PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

MIESIĘCZNIK POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA WĘDKIEWICZA
PROF. UNIW. JAGIELL.

ROK IX — TOM XXXII
(STYCZEŃ — MARZEC 1903)

WYDAWCY:
DR STAN. BADENI i KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
KRAKÓW 1930



Odbito w drukarni „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem L. Wójcika.

TADEUSZ SZYDŁOWSKI

PAMIĘCI JACKA MALCZEWSKIEGO

W pogodną noc jesienną przyszła doń Śmierć; położyła dłoń miękką na utrudzoną głowę, przymknęła oczy zbolałe od długiej męki żywota. Widywał ją oddawna, jak przybierając postać urodziwej niewiasty skrzydlatej, zbliża się zwolna bezszelestnym krokiem, promienna, niebiańsko uśmiechnięta, w pochyleniu łagodnych rąk przynosząca dar największy: wyzwolenie z ciężkiego jarzma, z udręki bolesnych walk i trudów nad siły. Wyraziste i wymowne wizje śmierci przyoblekał Malczewski w kształty i barwy na wiele lat przedtem, zanim jej zjawa realna zstąpiła jakby z obrazów, by go zaprowadzić w krainę wiecznego snu.

Z przed lat już trzydziestu, z r. 1898 i 1899 pochodzą dwa obrazy, którym artysta nadał tytuł *Thanatos,* jakkolwiek jego wyobrażenie śmierci jest od greckiego zupełnie odrębne, a wspólny chyba tylko zasadniczy do niej stosunek pogodny i przyjazny. Pole owych obrazów zajmuje naga postać niewieścia, trzymająca kosę w ręku, zwrócona do widza w prawie nieruchomej, posągowej pozie. W zimnym blasku księżyca wybłyskuje jej ciało szaro-zielonawe z osłony kilku matowo-barwnych skrzydeł. W głębi, z wiejskiego dworu wychodzi ku niej starzec pochylony i płaszcz zdejmuje z ramion. Psy zatrwożone witają skowytem przybycie zwiastuna zaświatów.

Wryły się także w pamięć każdemu inne, późniejsze wizerunki śmierci, o postaci bynajmniej nie niemiłej i odpychającej, jak zazwyczaj, lecz obdarzonej przez Malczewskiego urokiem osobliwym, tchnącej życzliwą dobrocią ciszy i ukojenia. Znamy z jego obrazów dziewczęcego anioła śmierci, który z zalotnym uśmiechem zwraca się do pogrążonego w zadumie starca. To znów naga niewiasta o bujnej urodzie cielesnej zaprasza pielgrzyma do przejścia przez bramę, z poza której już niema powrotu.

Na obrazach tych występują w dialogu ze śmiercią starcy, którzy wlokąc z trudem nogi, ociężałe brzemieniem kajdan, dochodzą wreszcie do kresu mozolnej wędrówki. Zanim do przejścia na tamtą stronę krok uczynią ostatni, przystają w zadumie głębokiej i zdają się rozpamiętywać drogę przebytą, dążyć myślą ku krainie dzieciństwa sielskiej, anielskiej. Kraj tych lat dziecinnych wyłania się na horyzoncie obrazu, w głębi za kołowrotem, przy którym stoi śmierć. Wspomnienie dawnego szczęścia rozjaśnia twarz wędrowca. Jest nim niejednokrotnie sam artysta. Poznajemy jego głowę charakterystyczną, o łysej czaszce, wyniośle sklepionej i nieco wątłą postać, jak objuczony sprzętem malarskim przystaje przed domem rodzinnym, a za nim czeka śmierć, trzymając pegaza za uździenicę. Tytuły obrazów: *Kres wędrówki, Koniec rapsodu, Pożegnanie* i t. p. podkreślają ich ideową koncepcję i wskazują, jak często myśl Malczewskiego rozważa ów koniec ostateczny.

Obrazy, które się tu pierwsze nasunęły, zarysowują już wyraziście duchowy portret artysty. Każą w nim widzieć malarza-poetę, który w kształty plastyczne ujmuje wizje swej wyobraźni, posługując się przytem mową symbolu. Zasadniczy nastrój psychiczny Malczewskiego występuje również dosyć dobitnie. Nie przebywa nikt tylekroć wyobraźnią w krainie śmierci, w kim drga z siłą potężna i radosna życia afirmacja, kto wchłania w siebie pełną piersią barwy i blaski życia, kto walki z życiem nie bierze zbyt tragicznie i nie traci nigdy pogodnej równowagi.

Patrząc w dzieła Jacka Malczewskiego, trudno odrazu nie dostrzec, że w twórczości jego brzmi silnie i wyraźnie nuta łagodnego smutku i melancholijnej zadumy. Owe obrazy śmierci nie są zjawiskiem odosobnionem. Widocznie nie są to dlań tylko motywy artystyczne, nasuwające się w szeregu innych, dowolne, przypadkowe, lecz jakaś z głębin duszy płynąca tęsknota, jakiś odzew udręki serdecznej. Od tych zamyślonych, stroskanych, od tych smętnych postaci, zakamieniałych w boleści, płynie nuta osobistego wyznania.

Posępny smutek powleka jakby mgłą obrazy artysty już od wczesnej młodości, w latach, w których radość życia nad wszystkiem bierze górę. Wiadomo, że tematem owych obrazów była niedola wygnańców na dalekiej ziemi sybirskiej:

cicha rozpacz więźniów, ciemiężonych przez wrogą przemoc, ból konania zdala od swoich, o tysiące mil od stron rodzinnych. Z zesłańców, nękanych na etapach, w kazamatach i kopalniach sybirskich uczynił Malczewski swych idealnych bohaterów, rzucił na ich czoła blask zadumy i rezygnacji, nadał im postawy tępego bezwładu, odrętwienia, zestawił ich w chór, zawodzący niemą pieśń żałosną.

A choć pod nakazem panującego wówczas w malarstwie (około r. 1885) hasła objektywnego realizmu, dążył zaciekle do jak najbardziej naturalistycznego ujęcia swych scen przez dokładne i wierne odtworzenie wszelkich szczegółów i nadanie budowie kompozycji cech przypadkowości — z obrazów jego czytało się wyraźnie, że nie jest to malarz, przejmujący się wyłącznie odzwierciedlaniem fragmentów rzeczywistości, podchwytujący typy ludzkie, ich charakterystyczne pozy i wtapiający je na płótnie w pstrą gamę barw i świateł. Widziało się poprzez to wszystko pewien rytm uczuciowy dobitnie pulsujący i wprowadzający w trzeźwe odbicie życia i natury — blask poetycznego piękna.

Owe tematy sybirskie odpowiadały najlepiej nastrojowi duszy artysty, a wynikały z czci dla ideału, głoszącego, że obowiązkiem sztuki jest służba dla ojczyzny. Ideał ów wpoił w Malczewskiego mistrz jego, Matejko, który wskrzeszał w obrazach wielkość i chwałę dawnych dziejów na pokrzepienie serc zbolałych i dla rozbudzenia dusz zgorzkniałych w jarzmie niewoli. Uczeń nie poszedł drogami mistrza. Niedola Polski współczesnej była mu czemś bliższem, bardziej bezpośredniem i przedewszystkiem domagającem się kształtu. Duszy polskiej tragizm i tęsknota budziły w nim zawsze jak najsilniejszy oddźwięk. A choć od tematów patrjotycznych przeszedł wkrótce w szersze kręgi ogólno-ludzkich zagadek bytu, wizja kajdan polskiej niedoli nie zeszła mu nigdy z oczu.

Od obrazu realnego więźnia w okowach do zobaczenia w tym obrazie symbolu wszelkiej życiowej męki, niewoli i tragicznego musu, krok niedaleki, zwłaszcza u kogoś, kto, jak Malczewski, miał naturę kontemplatywną i poetycko nastrojoną, skłonną do przetwarzania wrażeń zewnętrznych na świat własnych obrazów i myśli. Galerja sybirskich męczenników przeobraziła się w korowód postaci, wplątanych w „błędne koło“

życia, trawionych gorączką pragnień nieziszczalnych i nienasyconych, postaci oddanych w niewolę żądzy zmysłów, upadających pod brzemieniem losu, wyciągających ręce w bólu i tęsknocie. W szeregu obrazów kreśli artysta różne epizody owych zaciętych walk i tragicznych klęsk, owego mozolnego wspinania się ku wyżynom i straszliwego staczania w bezdno nędzy. Otoczony kręgiem swych figur, patrzy w ich dolę wnikliwie, współczująco, utożsamia się z niemi, przeżywa ich szaleństwa i rozpacze. Jego to własne są dzieje, jego wzloty niebosiężne, obłędne zmagania i tytaniczne upadki; własnych przeżyć, mąk i zawodów bolesnych łańcuch długi, różnorodny, spleciony przez życie. W szeregi postaci realnych i fantastycznych zaklęty przez artystę świat duszy ludzkiej, jego wewnętrzny świat! Z codziennego kalejdoskopu, z dróg i ulic rozgwaru, jaki dokoła się szerzy i tłumem ludzkich figur i zdarzeń powszednich natrętnie się narzuca, to tylko zostało w jego pamięci, co mogło służyć za tworzywo wyobraźni, co przeszedłszy przez pryzmat duszy, mogło stać się wiernem i szczerem jej odbiciem.

By ów świat duszy odzwierciedlić i możliwie jasno go wyrazić, musiał Malczewski stworzyć swą oryginalną malarską mowę, której słowami są jużto symbole, jużto pewne znaki, suggerujące nastrój konieczny, dotykające pokrewnych strun w duszy widza i pobudzające ją do współdrgania. Subtelnych tu trzeba narzędzi, gdyż podręczny zasób wyświechtanych, konwencjonalnych symbolów i alegoryj niewiele może się przydać. Malczewski nie czerpał ze słownika zużytych malarskich komunałów dla oznaczenia wyobrażeń, które malarskiemi środkami nie dadzą się bezpośrednio wyrazić, lecz na drodze coraz silniejszego uczuciowego przetwarzania swych motywów, coraz głębszego ich uduchowienia, tworzył własne symboliczne znaki, odpowiedniki myśli i uczuć. Jego wyobraźnia, kształtująca formy plastyczne z niezmierną łatwością i niezwykłą siłą, wyprowadziła na świat postaci fantastyczne bardzo konkretnie ujęte, a przedewszystkiem interpretowała z niezrównaną intuicją obrazy przyrody, dobierając jako tło dla scen i figur motywy pejzażowe, w całość nastroju świetnie sharmonizowane.

Lecz najwięcej swego czucia i duchowego przenikania włożył artysta w postać ludzką, w wyrazy twarzy, układ figur, ich ruchy i gesty. Pulsuje w nich rytm wewnętrzny, który

wszelką przypadkowość, przelotność pozy przeobraża w kształt posągowy, trwały, jakby na zawsze zamknięty. Nastrój chwili jednej, przelotnej, której momentalny oddźwięk przebija się błyskiem na twarzach, oraz powoduje poruszenie ciała i wymowny gest rąk, w malarstwie Malczewskiego nabiera siły akcentu i dobitności znaczenia, nabiera cech wielkiej prawdy i głębokiej tajemnicy.

W sztuce tak pojętej, zmierzającej do tak trudnego celu, jak uzmysłowienie przez kształt malarski pewnych idej i oddanie stanów duszy, musi być dużo niedomówień, półsłów, napomknień raczej, niźli odrazu dostępnych i uchwytnych obrazów. Nie może się tu wszystko odrazu i łatwo tłumaczyć, jak anegdota w obrazie historycznym, lub scena jakaś rodzajowa, wzięta wprost z jarmarku czy alkowy. Wewnętrzna treść obrazów Malczewskiego wymaga głębszego skupienia i uwagi, wnikania powolnego, wczuwania się w nastrój i dopiero wtedy coraz bardziej odsłania się, staje się coraz bliższą, aż przechodzi niejako na duchową własność widza. Raz po raz owa Chimera, jak ją malował Malczewski, zdaje się przysuwać do nas zdradziecko i szeptać słowa pokusy, podsycać tęsknoty nieugaszone, ożywiać marzenia nieziszczalne, budzić zwodnicze rojenia o miłości, sławie, czy potędze. Sfinks skrzydlaty o torsie kobiecym i olbrzymich udach tygrysich kładzie swe drapieżne łapy, tratuje i dławi, Harpje wysysają krew serdeczną, Erynje ukazują się groźne i mściwie karzące zły czyn, złośliwe Fauny zbliżają się i drwią z nas w chwilach uroczystych i rzekomo wzniosłych.

Znaczenia tych postaci niepodobna ściśle ująć w słowa, w formuły krótkie i konkretne. Jest to mowa kształtów malarskich, z nich zrodzona i wysnuta i tylko jako kształt przemówić może do duszy i utkwić w pamięci. Wbrew temu, co się naogół mówi o Malczewskim, w dziełach jego z późniejszej epoki niema „literatury“ w tem znaczeniu, by były to ilustracje do jakiegoś luźno z niemi związanego tekstu, ilustracje pojęć zrodzonych w innej sferze, gwałtem niejako w malarstwo wtłaczanych i ramy jego rozsadzających. Malczewskiego obrazowe, plastyczne, malarskie znaki nie dadzą się wcale przełożyć na inny język, a działają tylko na tego, kto umie być wrażliwym na ich bezpośrednią wymowę. Niema w nich żadnych

łamigłówek i zagadek, do których trzeba mieć klucz literacki, by odczytać ich znaczenie, lecz tajemnica jest bez reszty zawarta w samym obrazie i tylko, gdy się weń wnika coraz uporczywiej oczyma, można wysnuć wątek i pochwycić myśl przewodnią całości.

Sztuka Malczewskiego posiada charakter suggestyjny, pobudza wyobraźnię, trąca o struny uczuć, wywołuje szeregi skojarzeń myślowych. Dzieje się to dzięki mistrzowskiej formie, w jaką artysta ujął swe koncepcje. Posiadł prawie absolutną pewność i doskonałą precyzję rysunku oraz wydobycia przestrzeni i głębi na dwuwymiarowej płaszczyźnie obrazu. Przeprowadzał z największą swobodą rozbudowę i kompozycję obrazu; zdobył koloryt świeży i harmonijny, jasnobarwny i świetlany. Przez niezmiernie sumienne i zaciekłe studjum natury w okresie najwierniej realistycznego jej oddawania, doszedł do umiejętności ujmowania bardziej zwartego, syntetycznego, dobitnego przez uproszczenie, a poniekąd i do przekształcania natury dla wydobycia z niej rysów właśnie najistotniejszych, t. j. najwyższej sumy ekspresji. Z psychicznej organizacji artysty wynikało, że rysunek i plastyka kształtów tworzyły zasadniczą podstawę jego stylu. Niezmiernie ścisła rysunkowa struktura stapiała się w całość z łuną barw wyrazistych, odpowiednio zestawionych i stonowanych dla wydobycia zamierzonych efektów nastrojowo-kolorystycznych.

Malczewski uformował swój styl własny, wybitnie indywidualny, w czasach, gdy w malarstwie zapanował wszechwładnie impresjonizm, dążący do wiernego oddawania subjektywnych, momentalnych wrażeń czysto wzrokowych, do wirtuozowskiego ich wywoływania na płaszczyźnie obrazu zapomocą plam barwnych i świetlnych, odpowiednio ustosunkowanych, przy pomijaniu plastyki i ścisłych konturów. Malczewski nie mógł poddać się wpływowi tego kierunku jako indywidualność zbyt już silnie skrystalizowana, a krańcowo przeciwna powyższym tendencjom. Zaliczono go do czołowych przedstawicieli symbolizmu w sztuce, co za czasów hasła *l'art pour l'art* w znaczeniu: sztuka dla jej techniki względnie formy — gdy wszelkie tematy, wszelkie konkretne objekty wyraźnie proskrybowano — nie było bynajmniej wysoką klasyfikacją, lecz było pobłażliwie traktowane jako *vieux jeu.*

Zjawisk sztuki nie można jednak mierzyć stronniczemi, chwilowo panującemi teorjami. W malarstwie, jak w każdej innej dziedzinie sztuki, istnieje szereg dróg odrębnych i różnych możliwości. Wielkość osiąga ten, kto umie znaleźć wyraz dla siebie najwłaściwszy, kto go wyprowadzi z wnętrza i z głębi swej duchowej organizacji, przepoi silnem odczuciem, umiłowaniem szczerem i gorącem. A warunek także nieodzowny, by przez obrane środki wyrazu i właśnie w obrębie tych a nie innych środków, mieć coś naprawdę do powiedzenia. Artyzm w malarstwie polegać może na radosnem upajaniu się światem kształtów i barw i wyłącznem interpretowaniu wrażeń wzrokowych, lecz wyrastać może także ze skomplikowanego podłoża duszy ludzkiej, wszechstronniej aniżeli tylko na zjawiska wzrokowe wrażliwej — i dążyć do wyrażenia jej bogatej treści zapomocą środków malarstwa. Malczewski należy do tej drugiej a mniej licznej kategorji artystów, którzy są przedewszystkiem głęboko czującymi ludźmi. Jest artystą ze swej postawy duchowej, ze swego stosunku do świata i ludzi. Na wrażenia i pytania, przynoszone falą życia, formułuje w kształtach malarskich swą odpowiedź i w całej pełni ją wyraża; siebie na tej drodze poznaje i rozwija, sobą jest zawsze w pracy swej i czynach. Dzieła jego mają bezpośredniość szczerą, istotną, mają siłę wielką i powagę; wyrażają duszy ludzkiej wiele subtelnych tajemnic, wiele jej bólów i tęsknot, jej cierpień i radości. Mają też w sobie jasną ducha pogodę, którą mimo zasadniczo pesymistycznego poglądu na świat Malczewski umiał osiągnąć w chwilach swej cichej zadumy w sobie się zamykającej, gdy jakby z wyniosłego pagórka patrzył na ziemski padół z uśmiechem dobrotliwym i kreślił jego obraz z spokojnej oddali. Artysta, który dawał niejednokrotnie upust łagodnej, lekko kpiącej ironji, w okresie swym ostatnim uderzał w nutę pewnego zaziemskiego mistycyzmu i wznosił się do intonowania ekstatycznych religijnych hymnów na cześć Stwórcy i stworzenia. Aż „odszedł z duchami i jakgdyby tu szczęście było, odszedł smętny".

Zostały po nim liczne dzieła, w których tkwi tyle prawdy o duszy polskiej z czasów narodu niewoli, tyle głębokiej prawdy o duszy człowieka, szukającego odpowiedzi na zagadkę swego losu; zostały po nim szeregi przedziwnych pieśni bez słów,

poematów tak barwnych i w tak arcydzielne kształty ujętych, że urok ich formy działać musi i na tych, którzy pozostają obojętni wobec owych głębszych zawartych w nich akordów.

Naturalnym naszym obowiązkiem wobec tej cennej, a nie dość jeszcze cenionej puścizny, jest zgromadzić szereg dzieł co najlepszych w polskich muzeach,[1] stworzyć sale Malczewskiego, by dzieła te mogły przemawiać do swoich i obcych jako jedna z najświetniejszych i najwymowniejszych kart polskiej sztuki i jako dokument duszy ludzkiej, któremu równego nie łatwo znaleźć w współczesnej sztuce europejskiej.

*

Z nastroju ducha był poetą, z talentu wielkim malarzem. Z głębi duszy wrażliwej i serca współczującego ludzkiej męce wyprowadził swój twórczy świat, a mowa kształtów i barw była mu narzędziem powolnem i najwłaściwszem; pozwoliła mu wypowiedzieć się najpełniej i najdobitniej. W chwilach wytchnienia od pracy przy sztaludze, szukał wyrazu dla uczuć swych i myśli także w mowie wiązanej; pisywał często wiersze o formie to więcej to mniej wykończonej, nie przeznaczonej do druku. Dyktowała mu owe wiersze najczęściej melancholijna zaduma, a przewijały się przez nie owe motywy, którym dawał pełny wyraz w swych obrazach. Także motyw śmierci napotyka się w nich niejednokrotnie. Wielkiej poezji, w malarskie dzieła zaklętej, znajdujemy w tych wierszach wierne odbicie, a duchowego portretu twórcy interesujące dopełnienie.

Oto jeden z tych wierszy, wybrany dorywczo.

Kraków, 8 grudnia 1913.

Łzy gorące mi płyną po twarzy,
Cicha muzyka za ścianą je budzi.
Młodość wolna, swobodna się marzy,
Widzę rodziców twarze, drogich ludzi.
Czuję zapach topól i sosnowych borów,
Odchylam radomskich ja wrota cmentarzy
Wśród ziela jasnych, wesołych kolorów.

[1] Najbardziej do tego powołane byłoby krakowskie Muzeum Narodowe, gdyż sztuka Malczewskiego wyrastała na gruncie Krakowa, w którym artysta przepędził prawie całe swe życie.

Matki ręką poruszane klawisze
Temi samemi tony kiedyś brzmiały.
Łzy mnie płyną — bo teraz je słyszę,
Przy jej sukni siedzę znowu mały.

Głowa moja znużona tęsknie czeka,
Czy dłoń Jej nie spocznie na tem czole
Choć na chwilę, na czole człowieka,
Który zamknął życie w sztuki kole.

Zapach ziemi zoranej i ziół
Coraz bardziej wyraźny, realny.
Na mych wargach łez mych czuję sól,
Sercem mojem miota wicher halny.

Już nie spocznie Matki mojej ręka
Na tej czaszce żółtej, pełnej bruzd,
Tej tęsknoty nie powtórzy już może się męka,
Śmierci konie rżą już trzymane u uzd.

Niech łzy moje płyną, niech marzenia
O dziecinnym raju orzeźwią mi ducha,
Niech się otrząsnę z martwoty kamienia,
Ucho moje niechaj jeszcze słucha.

Niech przed śmiercią z dziecinną prostotą
Spojrzeć zdołam na powaby rodzinnego kraju
I odczuję, że sztuką moją była oto
Polska, widziana przez pryzmat dziecięcego raju.

ADAM HEYDEL

ZE WSPOMNIEŃ O JACKU MALCZEWSKIM

Jako dziecko bawiłem się rysowaniem. „Portretowałem" tak kiedyś na ganku dworu w Gardzienicach starego, zgarbionego żydka — krawca z Ciepielowa. Obejrzał rysunek, pokiwał głową i powiedział: „tu dawniej był taki mały Jacuś Malczewski, co też umiał rysować. Później to on gdzieś wyjechał. Ja nie wiem co się z nim stało... Nic o nim nie słychać..."

*

Urodzony i wychowany w Gardzienicach, gdzie Jacek Malczewski spędził dużą część swojej młodości, o parę kilometrów od Wielgiego, gdzie upłynęło całe jego dzieciństwo, spotykałem się ze wspomnieniami o Nim, pamiątkami po Nim, śladami Jego twórczości na każdym niemal kroku.

Na ścianach wisiały młodzieńcze portreciki kuzynek, w których się podkochiwał, ilustracje do bajek, które potem opowiadał dzieciom tych kuzynek, krajobrazy naszych stron, staroświeckie fotografje Jego i Jego Rodziny. W szufladach biurka — pełne nieraz poezji — Jego wiersze.

Tu Jacek chodził ze starym wujem na kaczki, tam bawił zebranych, skacząc na jednej nodze i skrzecząc jak sroka. Gdzieindziej „cała wieś" schodziła się patrzeć jak panicz maluje obrazy.

Wspólne węzły rodzinne i wspólne wspomnienia ułatwiały mi zbliżenie się do Malczewskiego w latach późniejszych.

Może to usprawiedliwi tę garść wrażeń, które pragnąłbym utrwalić.

*

Urodzony w Radomiu, wszystkiem związany był Malczewski ze wsią. „Nie z pod strzechy, nie z pałacu, ale z gontem krytego szlacheckiego dworu, wywodzi się ten artysta" — pisał o Nim kiedyś Konstanty Górski.

Jego dzieciństwo to wieś i średnio zamożny dwór szlachecki. Najbliżsi, wśród których się obraca, to zubożałe nieco, ale karmazynowe, o dumnych tradycjach rodziny Korwin-Szymanowskich, Karczewskich, Świdzińskich. Tradycje dalsze, sięgające w czasy przedrozbiorowe, to Stronnictwo Patrjotyczne. Potem — wojen napoleońskich i 31 roku. W 63-cim, część rodziny w szeregach powstańczych, najbliżsi „Biali".

W Wielgiem patrzał chłopiec codzień na długi szereg pociemniałych portretów pancernych w zbrojach z czerwonemi płaszczami, i pudrowanych dam i kawalerów XVIII wieku. Ryngrafy, virtuti na spłowiałych wstążeczkach. Na strychu, hełmy napoleońskich kirasjerów.

Życie wyrostka w przytłumionym, dusznym okresie popowstaniowym. Atmosfera ziemiańsko-epikurejska i egzaltowana zarazem. Atmosfera wybitnych cnót domowych i życia skurczonego do wąskiego obrębu rodzinnego domu. Ta atmosfera, której zapach bije ze starych roczników *Tygodnika Ilustrowanego*, czy *Kłosów*. Naogół tylko solidność, zacność, patrjarchalność. Ale czasami te cnoty dostają skrzydeł, przechodzą w bohaterstwo lub świętość (jak u rodzonej ciotki Jacka, błogosławionej Wandy Malczewskiej). Pogranicze romantyzmu i pozytywizmu.

Wychowuje go, wraz z młodymi Karczewskimi w Wielgiem nie byle jaki nauczyciel — Adolf Dygasiński. Wśród rówieśników, brat cioteczny Karol Potkański, delikatny jak kwiat, cudowny później artysta życia, myśliciel i uczony. Kuzyn, potem szwagier Wacław Karczewski, lekkomyślny, pełen fantazji utracjusz, obiecujący talent literacki, głośny w swoim czasie Jasieńczyk, autor *Leny*.

Jest z owych czasów fotografja grupy młodych z Dygasińskim pośrodku. Odczytać z niej niemal można przyszłość tych chłopców. Awanturnicze nieco marzycielstwo Jasieńczyka, twardy, obowiązkowy realizm jednego, łagodną i wygodną miękkość drugiego z jego braci. Czternastoletni Jacek Malczewski odcina się od nich dzielnością czujnej postawy, skupionem spojrzeniem czarnych oczu, dumą.

Razem poszli ci chłopcy do szkoły — nie rosyjskiej — do Krakowa. Jacek, przyjęty do szkoły, zwrócił się do prymusa

i powiedział: bardzo cię kolego przepraszam, ale od dziś ja będę pierwszy. I był prymusem.

Do tego kraju i do tych ludzi wraca poprzez całą młodość. Tu przeżywa pierwszą, młodzieńczą miłość. Miłość uznaną przez rodzinę panny za nieodpowiednią; przez pannę odwzajemnioną kuzynowską sympatją. Coś, jak Mickiewicza do Maryli. Uczucie rozkwitłe z dziecinnych igraszek, spojrzeń, uśmiechów:

w cienistych alei pomroku
nad brzegiem strumyka
i pod gruszą starą.

Zawód zostawił mu w sercu osad goryczy. W Paryżu, w 1877 roku, pisał o chwili, kiedy mu powiedziała, że kocha innego:

Wśród starych olch
wśród nocy cieni
na łodzi — osamotnieni.
Płynąłem z nią.

A księżyc drgał
na wód topieli,
czasem nenufar się zabieli,
zaszumi daleki młyn

. . . . . .

Wśród nocy mar, wśród nocy cieni
jeszcze ją widzę, jak mi się bieli
i jak wiosłuje w morzu z promieni,
księżycem świecących fal.

Tylkoż więc żal,
na zawsze złamane wiosło,
w serca mi tylkoż chwastów przyrosło
z miłości jej?

A ona?... wciąż
gdy księżyc się promieni
wśród starych olszyn cieni
żegluje biała.

Lecz na tę głębię tam
nigdy nie wpłynie ostrożna
Czyż w toni — grobu dopatrzeć się można?
Ja nie wiem sam.

Tak do słodkich wrażeń dzieciństwa domieszała się gorycz nigdy nie zapomniana. Przybyły też inne bolesne wspomnienia: Tu pochował oboje rodziców.

Kraj, to okolice Zwolenia, ziemia Kochanowskiego. Szare, ubogie, smętne strony. Płaszczyzna. Niewielkie piaszczyste, albo rędzinne pagórki, lasy sosnowe i brzozowe, bagniste łąki nad rzeczką Iłżanką, torfy. Olbrzymie, miejscami, dęby. „Czuje się, że to wszystko niedawno wyszło z puszczy" — mówił Malczewski. Stary z XVI wieku, drewniany z basztami dwór w Ciepielowie, gniazdo Karczewskich, modrzewiowy poczerniały z białemi kolumnami, empirowy dom w Gardzienicach. I przedewszystkiem dziwaczny, niski, o dwóch skrzydłach, schodzących się pod prostym kątem, nigdy nie dobudowany do końca dom w Wielgiem. Tuż obok wielki, napół zarośnięty trzciną staw, nad którym chylą się olszyny, za stawem widok na długoszowski, gotycki, z czerwonej cegły kościółek.

Lud — wówczas jeszcze — w brunatnych sukmanach; goleni i z przydługim włosem. Kobiety w samodziałowych „zapaskach", granatowych w białe prążki. Zapaski te zakłada się w słotę na głowę, jak peleryny.

Te wszystkie drzewa i ugory, domy i pokoje, kościoły i ludzie przewijają się w twórczości Malczewskiego do ostatnich lat jego życia.

Malczewski od chwili gdy osiadł w Krakowie, raz tylko, 30 lat temu mógł być w tych stronach. Marzył o tem, by je zobaczyć, bezustannie. Z wiekiem, coraz trudniej mu było. A może się bał jechać, bał się zmian, nowych ludzi, starych grobów.

Ale tęsknota go żarła. W Lusławicach zachwycałem się pogodnym, łagodnym naddunajcowym krajobrazem. „Ja nie lubię tych stron" — powiedział smutno — „mnie się zawsze wydaje, że tam, u nas, najładniej".

Smutno mi, tęskno...
za tym dworem, co się nocą bieli
. . . . . .
za tym kościółkiem, co zgarbiony laty
a choć drewniany — to taki bogaty
mojej rodziny świętemi modlitwy,
że mi jest zwycięstw arką, w czasie bitwy.

Trzeba to wiedzieć, trzeba znać tamte pola, domy, obejścia gospodarskie, żeby zrozumieć jedną z dominujących, najbardziej osobistych nut w twórczości malarskiej (czy poetyckiej?) Malczewskiego. Są to wszystkie obrazy, tryptyki i cykle, które nazywał „moje życie". Powtarza się w nich bezustannie jeden motyw: śmierć, to powrót. Powrót do „kraju lat dziecinnych". Śmierć to spokój, ukojenie w ciszy domowego obejścia, wśród opłotków folwarcznych, wśród drewnianych, świecących murowanemi białemi słupami stodół i obór.[1]

Tam się wyrywa, do dawnych, najbliższych ludzi. Nie puszcza go, kusi, odciąga uwodzicielka Sztuka.

W Wielgiem widział jako dziecko, roztasowanych rosyjskich oficerów i żołdackie szynele. W Gardzienicach szukali kozacy jego wuja, powstańca. I oto bezpośrednio z życia, z wrażeń dzieciństwa wyrasta drugi akord sztuki Malczewskiego — narodowa tragedja.

Wszystkie te wrażenia psychiczne i wzrokowe odcisnęły się z ogromną siłą i tkwiły z zadziwiającą trwałością w pamięci Malczewskiego. Była to niemal obsesja. Nie sposób zliczyć obrazów, szkiców, notatek tworzonych do ostatnich lat, a odnoszących się do tamtej epoki. Wspomnienia cisnęły się za lada pretekstem. Do przyjaciela we Włoszech pisał:

Znowu...
stajesz upowity
w niebios blaski i błękity
po raz drugi tłem ci szczyty
Apenińskich gór.

. . . . . .

A ja tutaj senne, blade
nieba za tło sobie kładę,
zmrużę oczy, to jedyny
w oczach las mi staje siny
i cmentarny łan...
Czarna rola, czarne drzewa
ptak po sosnach dziko śpiewa
dziki sosen szum.

---

[1] Gumna i budynki gospodarcze miały dla niego szczególny urok Pamiętam moje zdziwienie, gdy mnie zapytał: „Byłeś w Modrzejewicach? Tam jest takie śliczne polskie podwórze".

Uczucie wydobywało wspomnienia wciąż na jaw. Ale, wywoływane z pamięci, były mu tylko pretekstem do wyrażania samego siebie. Był bowiem do głębi swojej potężnej indywidualności lirykiem, nie opisowcem. Był nawskróś samodzielny i z samego siebie czerpał swoją twórczość.

*

Jako dziecko, wychowany na wsi, miałem kult koni. Więc w sztuce kult Kossaków, Juljusza z jego arabami jak z bajki i Wojciecha z jego jędrnym realizmem nowoczesnych bitew, jeźdźców i nowoczesnego konia. Malarzy, którzy nie malowali koni, uważałem za niższą kategorję.

Raz jednak odczułem na czem polega sztuka Malczewskiego. W *Tygodniku Ilustrowanym*, gdzieś w r. 1905, była reprodukcja jego starego skrzypka, który przysłuchuje się głosowi skowronka. Rozwinęła się dyskusja wśród „starszych" nad tym obrazem. Ktoś mówił, że myśl jest niejasna, inny zapytał: „czy którykolwiek malarz potrafi tak oddać wyraz zasłuchania i rozmarzenia muzyka?"

Ja — dziecko — wpatrywałem się w reprodukcję i naraz wyraźnie odczułem, że ten drugi ma rację. Zrobiło mi się, nie wiem czemu, żałośnie i tęskno. Zrozumiałem, że oprócz koni, ułanów i bitew, można malować duszę.

*

Potem poznałem Go naprawdę. Jakże dziwny wydawał mi się, taki bardzo odmienny od masywnych, okazałych, zamaszystych krewnych, których spotykałem tam, na wsi. Drobny, delikatnej i bardzo harmonijnej budowy, z pięknemi rękami, z wąską twarzą i kozią bródką. Szpiczaste, bardzo wysoko sklepione, niemal naprzód wysunięte czoło. Rozprostowany i sztywny w karku, zdecydowany w lekkich ruchach. Czarne oczy szeroko otwarte, jak u dziecka. Oczy, jakgdyby nie widzące, a takie machinalnie czujne. I wyraz, niekiedy groźny w swojej oziębłości, a kiedyindziej kobieco miękki z słodkim, smutnym uśmiechem.

Mieszkał Malczewski wówczas w pełnej uroku, oplecionej dzikiem winem willi, nad brzegiem Wisły, na Zwierzyńcu. Dokoła willi był ogród, pnący się pod górę, pełen zakątków i kryjówek, w których mogły przebywać jego fauny. Z przodu sze-

roki widok na burą Wisłę i dokoła krzywo stawiane domki krakowskiego przedmieścia.

Lata to 1905—1913. Byłem wyrostkiem w gimnazjalnym mundurku. Teraz już „największym" malarzem wydawał mi się Grottger, więc rozumiałem także Malczewskiego pochody na Sybir i śmierć wygnanki.

Chodziłem do Niego co parę tygodni w niedzielne popołudnia. Chodziłem z wielkiem nabożeństwem i tremą. Coś jakby do spowiedzi. Onieśmielał mnie i przykuwał. Nie zawsze udało mi się trafić na dobry dzień i dostać parę słów. Bywał zgryziony, nie dostrzegający nic wokoło. Ale bywało, że uśmiechał się serdecznie, i cicho, urywkowo zaczynał ze mną rozmowę.

Miałem wtedy wrażenie, że przenoszę się w inne światy. W światy, gdzie niema „starszych", myślących o rzeczach „poważnych", „gdzie się już nic nie robi praktycznie" (Norwid), gdzie można i trzeba myśleć o pięknym kolorze chmury, o plamach na skrzydłach motyla, o wszystkiem co tylko cieszy i tylko jest radością, a do niczego nie potrzebne.

Zawsze mnie to dziwiło, że starszy, dorosły człowiek może przebywać w tym „dziecinnym" — zdawało mi się — świecie.

I mówił trochę jak dziecko. Nietyle słowami, co wyrazem oczu, gestem ręki. Nie rozumował, nie tłumaczył. Rzucał swoje myśli aforystycznemi skrótami. Pokazał mi kiedyś głowę Chrystusa, Grottgera. „Widzisz" — powiedział — „Matejko namalował bitwę pod Grunwaldem, a Grottger namalował Chrystusa, a to trudniej jest zrobić Chrystusa". Był wówczas pod świeżem wrażeniem książki Antoniego Potockiego i jej ilustracyj. Powracał wciąż do Grottgera. Bezpośrednio potem zaczął malować obrazy z Chrystusem i Faryzeuszami. Wydaje mi się, że był związek między niemi, a Chrystusem Grottgera.

Matejki nerwowo nie lubił. „Matejko, to jest barok" — powtarzał.[1] Jednostronny w swych sądach, jak każdy artysta, nie przekonał się nigdy nawet do polichromji Marjackiego kościoła. „Jeszcze w Polsce ludzie nie dorośli, żeby zrozumieć, że to niełądne" — powtarzał. Skarżył się, że historyzm Matejki

[1] Słowa Malczewskiego o baroku w dawniejszem polskiem malarstwie, przytoczone w artykule p. Mieczysława Sterljnga (*Wiadomości Literackie* Nr 44 do Matejki się niewątpliwie odnoszą.

skłonił go do malowania „rzeczy, których nigdy nie widział“ — pochodów i etapów sybirskich.

(Malczewski malował zawsze „rzeczy, których nie widział“ — fauny, centaury i harpje, ale te przeżył sam, od wewnątrz).

Zachęcał mnie do czytania książki Stanisława Witkiewicza o Kossaku. „To bardzo mądra książka. Powinna ludzi w Polsce dużo nauczyć. Witkiewicz tam z Kossaka niepotrzebnie robi genjusza. Zadużo w Polsce tych genjuszów. Prawdziwy u nas genjusz to był Chopin. Ale Kossak to był wielki talent. To był malarz naprawdę polski. Chełmoński jest polski w krajobrazach, ale jego ludzie, konie są rosyjskie“.

Dla nowszej sztuki był bardzo niewyrozumiały. Wyspiańskiego uważał za wielkiego poetę, ale nie malarza. „Znakomity malarz francuski Carrière mówił, że niema artystów bez ojców“. Wyspiański był według niego bez ojca.

A potem, już po wojnie, gdy wspomnieć było któreś z głośnych ostatnio nazwisk, powiadał: „To wszystko tak, jak mówi Norwid: »przemysł, namysł i wymysł« — tylko natchnienia tam niema“. Mówiliśmy o obrazie jednego z najmłodszych malarzy. „Dlaczego on maluje wszystko płasko?“ — zapytał. Może to stylizacja — napomknąłem. „Ej, nie!“ — powiedział z przekąsem. — „To dlatego, że tak łatwiej“. — „Ale może być przecie sztuka nierealistyczna“. — „Mnie nie chodzi o to, by była realistyczna, ale żeby to tak wyglądało, jakby mogła żyć“. — „A sztuka dekoracyjna?“ — „Dobrze, ale w takim razie poco malują olejno — niech robią dywaniki“.

Mimo ironji tego zwrotu, była w tem powiedzeniu głęboka prawda. Wszystkie wartości dekoracyjne można wydobyć w kilimie, w makacie, w dywanie. A ponadto przybywa cały urok materjału. Olejne, czy akwarelowe malarstwo otwiera natomiast zupełnie inne możliwości, których nie sposób zastąpić „dywanikiem“. Dlatego nałamywanie tych różnych rodzajów sztuki do spełniania, nie odpowiadających im zadań, musi zawodzić.

Podobały mu się fotografje z wystawy „Bractwa Świętego Łukasza“. — „To odrodzenie polskiego malarstwa“ — powtarzał.[1]

---

[1] Zwrócono już — słusznie, jak mi się wydaje — uwagę na pokrewieństwo malarskie Malczewskiego z kierunkiem, reprezentowanym obecnie przez Ślendzińskiego i szkołę warszawską.

Szczerze, z radością zachwycał się rzeźbami i rysunkami Szukalskiego. — „A cóż te smarkacze o nim mówią?“ — pytał sarkastycznie.

Dla starej sztuki miał kult głęboki. Byłem u Niego po powrocie z Medjolanu. „Widziałeś galerję Brera? — pocóż ci patrzeć na naszą sztukę, jeśliś widział Brera. Oni umieli malować. Cóż my dzisiaj...“ [1] Nad łóżkiem w Lusławicach miał fotografję *Ostatniej Wieczerzy* Leonarda. Nie mylę się może, przypuszczając, że niejedna głowa, niejeden wyraz twarzy, zwłaszcza w obrazach o temacie religijnym — stamtąd się wywodzą.

Ten wielki majster techniki odróżniał wyraźnie sztukę od malarskiego rzemiosła. Znał źródła prawdziwej sztuki i wiedział, że nauczyć jej nie można. Gdy krakowską Szkołę Sztuk Pięknych przetworzono w Akademję, zakpił: „Otwórzcież jeszcze akademję dla poetów“. A potem, jako rektor Akademji w r. 1912, dał w mowie inauguracyjnej wyraz swoim poglądom na sztukę. Przywiązywał do tej mowy wielką wagę i w jej zakończeniu powiedział: „Te parę twierdzeń proszę zapamiętać. Może na tem przemówieniu ograniczy się cała skuteczna działalność moja w tej Akademji“. Toteż zazwyczaj wstydliwy, pod żartem i ironją ukrywający swoje uczucia, zdobył się wówczas na wyznania w formie pełnej patosu:

> „Jesteśmy (artyści) rodziną, stowarzyszeniem, sektą wtajemniczonych... Uczucia (świętości sztuki) wyodrębniają nas z reszty społeczeństwa, gdzie walka o byt pisze historję: polityki, przemysłu, finansów i socjalnych zagadnień.
>
> „Te uczucia, powtarzam, wyodrębniają nas, bo nie w walce o byt, ale w beztrosce bytu doczesnego możemy tylko dążyć do ideałów w sztuce, która to sztuka dla reszty ludzkiej społeczności jest przedewszystkiem zabawą, nim stanie się z biegiem czasu i historją i nauką szczególną i jedną z największych modlitw ludzkości.
>
> „Trzy są drogi do udoskonalenia ducha i zbliżania tegoż do tronu Boga: droga modlitwy (askeza), droga

---

[1] P. Mieczysław Wallis (*Wiadomości Literackie* Nr 43) zwraca uwagę na wpływ obrazu Mantegni z galerji Brera na kompozycję Malczewskiego.

miłości i droga wiedzy. Na drodze miłości jest szlak sztuki.

„Uwielbiamy Ducha Najwyższego, podziwiając czy obłok, czy kwiat, czy kryształ najdrobniejszy.

„Zapatrzeni tak, a pokorni: przy pracy odtwarzania śpiewamy w duchu hymn uwielbienia, hymn miłości... Z tą chwilą naraz łączymy dwie d r o g i, dwa s z l a k i, dwie d r a b i n y, po których się wznosi duch ludzki ku udoskonaleniu i osiągnięciu swojej istotnej Jaźni: drogę m o d l i t w y z drogą m i ł o ś c i.

„Tak (jak modlitwy) i sztuki, która jest modlitwą naszą, nie będziemy czynili ani dla świata, który nas otacza, ani dla pieniędzy, których do życia nam pozornie potrzeba, ani dla pychy rzemiosła, w którem staliśmy się biegli, ani dla podziwu tłumów...

„Ale uprawiać ją będziemy z miłości zbliżania się i łączenia z Najwyższym Duchem, Ojcem przedwiecznym, w ciszy, w pokorze i osamotnieni.

„A jak modlitwy najszczerszej, najżarliwszej, najgłębszej, z głębi głębin ducha pochodzącej, ani powtórzyć drugi raz nie można, ani nauczyć jej nie można...

„Tak my was tutaj tej modlitwy, tej najszczerszej, najgłębszej, najprawdziwszej sztuki, jako całości modlitwy waszej — nie nauczymy.

„Arcydzieła modlitwy was nie nauczymy — arcydzieła w Sztuce jak czynić, was n i e n a u c z y m y!

„Ale starać się będziemy wam pokazywać wielkość Boga — czy w budowie kości najmniejszej istoty, czy w zarysowaniu formy przedpotopowego olbrzyma. Uczyć was będziemy patrzeć na te cuda Światła, Cienia, Półtonów i Blasków, jakie Prawodawca Najwyższy roztoczył i zakreślił we wszechświecie. Uczyć was będziemy byście byli: dumni w ducha całości, a pokorni w każdej chwili życia.

„Będziecie bowiem s a m i i s a m o t n i, jeżeli wytrwacie i zostaniecie artystami, to jest jeżeli żyć będziecie c h c i e l i modlitwą sztuki, klęcząc przed tronem miłości Bożej".

I kończył:

„Poglądy moje wysnułem z własnego przeżycia, a nieubłaganość skutków dźwigam jak ciężar przewinień na grzbiecie moim".

Inaczej — prostemi słowami, lub żartem — apostołował swoje przekonanie o sztuce przez całe życie. Zwalczał „pychę rzemiosła". Początkującemu malarzowi, dumnemu z wirtuozowskiego rozmachu, powiedział: „To trzeba dokładniej, bo tak, to nie jest prawda. A widzisz, tylko tam, gdzie jest prawda, tam jest Pan Bóg".

*

Pamiętam Go wreszcie po wojnie. Do Jego pracowni w Akademji Sztuk Pięknych poszedłem Go przywitać po paroletnim pobycie w Rosji. Zbolały był i rozgoryczony wojną.

Malował wówczas „pole kości". Na stole leżał tom Norwida. „To są czasy dzisiejsze" — powiedział, wskazując wiersz:

Za drugą, trzecią skonów metą
Gladjator rękę podniósł swą:
„To — nie to" krzycząc „s i ł a nie to,
To nie to m ą d r o ś ć, co dziś zwą".
— — — — — — — — —
Przyszliście drżąc i wątpiąc razem
Gdzie d u s z a wietrzyć i gdzie m o c
— — — — — — — — —
Przyszliście drżąc i wątpiąc razem
Cała już światłość wasza — noc! [1]

Pierwszy raz w życiu zetknąłem się z Norwidem. Przerzuciłem kilka stron: „jakież to śliczne wiersze!" zawołałem. Darował mi tę książkę i cieszył się, gdym mu potem Norwida cytował.

„Jestem już na drugiej stronie pagórka pochyłości, idę ku zachodowi", mówił w swojej mowie w r. 1912. Pełen jeszcze sił w okresie wojny, posunął się znacznie w latach następnych. Nie był to już ten, delikatny jak mimoza, ale zarazem twardy, wyniosły, opryskliwy wobec niemiłych mu ludzi człowiek. Pochylał się fizycznie i łagodniał. Tembardziej obracał się ku

[1] Norwid: *Spartakus.*

medytacji i kontemplacji. „Czy czytałeś co nuncjusz Ratti powiedział na przyjęciu noworocznem w Belwederze? — Złożył życzenia jako przedstawiciel Państwa, które pierwsze wprowadziło zasadę samostanowienia o sobie. Samostanowienia o sobie sumień ludzkich. Jakie to czasy przyszły! Watykan to mówi!"

Zajmowały Go bardzo sprawy polityczno-społeczne. Sądził o nich ze swojego wysokiego mistyczno-metafizycznego stanowiska. Cieszył się z powodzeń Paderewskiego i wyprowadzał je z Chopina. „On rozumie duszę polską" — powiadał. Bezpośrednio po zwycięstwie koalicji rozmawiał z jednym z przyjaciół, stańczykiem: „Cóż teraz będzie z twoją partją? — zapytał. „Cóż mnie moja partja. Polskę mamy!" „A wiesz — nie myślałem, żeś ty taki Polak!" — Powracał nieraz do tej rozmowy.

W ostatnich latach przyjmował w Lusławicach — gdzie w starym, zapuszczonym dworze, mieszkały Jego dwie siostry — Witosa. Wniósł jego zdrowie i powiedział: „Panie pośle — jest pan u przedstawicieli ginącej szlachty polskiej. Niech Pan wie, że nikt z nas, ani synów naszych nie będzie miał do pana żalu za pańską politykę, jeżeli będziemy wiedzieli, że pan to robi w przekonaniu, że to dla dobra Polski". To nie była pusta ceremonja, tak czuł.

Miał gest. Ten gest wewnętrzny, graniczący z donkiszoterją, nie opuszczał Go nigdy. Na prawo i lewo rozdawał obrazy, choć lekce ich sobie nie ważył. Miał wyniosłe, z fantastycznością graniczące poglądy moralne.

Oto szczegół z Jego życia, który mi sam opowiedział: Na schyłku XIX wieku mieszkał w Krakowie bardzo zamożny człowiek p. X., z którym, a zwłaszcza z jego synem, łączyły Jacka Malczewskiego stosunki bliskiej przyjaźni. Po konfiskacie przez rząd rosyjski, majątki p. X. oddane zostały jego synowi (przyjacielowi Jacka). Młody X. umarł, a ojciec znalazł w jego papierach testament legujący Malczewskiemu całość majątku. Oddał testament Malczewskiemu. Ten mu go zwrócił, nalegając, by tymczasem nie zmieniał nic w swoich majątkowych sprawach i prosząc tylko o zachowanie mu dotychczasowej przyjaźni. „Niech mnie pan traktuje jak przybranego syna — ja pana będę uważał za przybranego ojca". Po paru latach umarł X. Zjechała się jego rodzina. O testamencie nikt nie wspomniał.

Dwaj poważni ludzie, przyjaciele zmarłego, zwrócili się do Malczewskiego z propozycją poświadczenia Jego praw, o których od zmarłego p. X. wiedzieli. Odmówił.

Niedwuznaczny wielbiciel pewnej pięknej pani zamówił u Malczewskiego jej portret. „Dobrze, ale pod jednym warunkiem: namaluję dwa portrety — jeden dla Pana, drugi (w prezencie) dla jej męża". Mąż owej pani zgodził się. Przyszedł po skończeniu dziękować. „O nie! Łapa precz!" — powiedział mu Malczewski.

Piszę plotki? Nie, zbieram dokumenty do jednej z najdziwniejszych, ale i najgórniejszych, najczystszych dusz, jakie miała Polska wczorajsza.

„Bayard polski" — określił Go ktoś z przyjaciół.

Trzeba znać tę Jego niezłomność, prawdziwą wielkopańskość, by zrozumieć pióropusz, przekorę, lekceważenie, niemal pogardę, którą się od ludzi odcinał.

Była w tem pewna tragiczność. Bo ludzi, uznania, oddźwięku potrzebował, jak każdy artysta, t. j. więcej niż każdy nieartysta. Bolesne były Jego lata ostatnie. „Każdy z nas będzie s a m przez całe życie" — ostrzegał młodszych w swojej mowie rektorskiej. Był coraz bardziej samotny. Skleroza osłabiła mu wzrok. Nie mógł od trzech lat pracować. Trzeba pamiętać o tem, że był jednym z najpłodniejszych artystów w historji sztuki. Trzeba znać jego niezmordowaną, namiętną pracę, by odczuć jakim ciężarem była mu przymusowa bezczynność. Ślepnący malarz, to o wiele tragiczniejsze jak głuchy Beethoven. Beethoven mógł komponować. Malczewski do ostatnich tygodni miał przed sobą karty papieru z napoczętemi szkicami. Widział, że ich nie zdoła wykończyć. „Ja dawniej byłem taki pan, co na jednem posiedzeniu malował portret. Teraz już nie mogę".

Do ostatnich dni wodził mdlejącą ręką po kołdrze, po ścianie.

*

Była w nim zawsze tragedja. Tragedja nostalgji, tragedja choroby, tragedja Polaka i tragedja artysty. Nie był z pośród olimpijskich klasyków. Był fragmentaryczny, zawikłany, niespokojny. Był ciągłym porywem i ciągłem udręczeniem. Stąd dramatyczne napięcie całej jego sztuki. Dlatego z takim uporem

wracał do tych samych tematów, tych samych, a innych przecie ujęć formalnych.

Dlatego także miał życie wewnętrzne tak bardzo bogate i głębokie.

I dlatego był, jak nikt może przed nim, malarzem duszy ludzkiej.

EUGENJUSZ WAWRZKOWICZ

KONWENCJA ALVENSLEBENA 1863 R.

Na losach naszej walki o niepodległość w 1863 r. zaważyło niemało wrogie stanowisko, jakie wobec powstania zajęły Prusy, tak, że tragiczny jego upadek sprowadziła nietylko przewaga rosyjskiego oręża, ale i wspomagająca go dzielnie, nieprzyjazna dla nas polityka pruska. Punktem wyjścia ścisłego podówczas współdziałania Prus z Rosją, podstawą do rozwiniętej na wielką skalę akcji, mającej na celu zgniecenie polskiego ruchu zbrojnego w Królestwie, a będącej wyrazem tradycyjnej solidarności rosyjsko-pruskiej w sprawach polskich, była umowa, zawarta przez oba państwa w Petersburgu 8 lutego 1863, zwana konwencją Alvenslebena.[1]

*

Wybuch powstania styczniowego nie był dla Prus żadną niespodzianką wobec dokładnych informacyj, które otrzymywano z Warszawy o całym rewolucyjnym ruchu w okresie t. zw. manifestacyjnym. Doceniając powagę położenia w Królestwie Polskiem i zdając sobie sprawę z następstw, jakie stąd dla Prus mogą wyniknąć, zaniepokojono się w Berlinie poważ-

[1] Szkic niniejszy oparty na papierach konsula pruskiego w Warszawie z r. 1863, barona Rechenberga i korespondencji ks. Gorczakowa z w. ks. Konstantym, z uwzględnieniem całej drukowanej dotychczas literatury. Ostatnia, zajmująca się konwencją Alvenslebena praca prof. R. H. Lorda, *Bismarck and Russia in 1863* (*The American Hist. Review*, XXIX, 1923, str. 24—48), wyjaśniła gruntownie na podstawie materjałów leningradzkich genezę konwencji, rozwiewając ustaloną dotąd wersję Bismarckowsko-Sybelowską. Tekst konwencji A. ogłoszony po raz pierwszy przez barona Noldego, *Wniesznaja Politika* (Petrograd 1915) 153 sq:, przedrukowany ostatnio w *Insurrekcjach* (Warszawa 1929) I. 24 sq. Z niewyzyskanej dotąd literatury szczegóły interesujące zawierają: Verdy du Vernois, *Im Hauptquartier der russ. Armee in Polen 1863—5* (Berlin 1905), i (Tettau), *Die polnische Revolution v. J. 1863, Aus d. Tagebuch eines verstorbenen Diplomaten, Deutsche Revue*, XVII (1892) i XVIII (1893).

nie na pierwszą wiadomość o wybuchu powstania, tem bardziej, że powątpiewano, czy Rosjanie rozporządzają w Królestwie wystarczającemi siłami, by uporać się w krótkim czasie z rewolucją i czy wogóle do stłumienia powstania wezmą się energicznie. W przeciwieństwie do władz rosyjskich w Królestwie, które nie potrafiły opanować sytuacji, Prusy, w obawie o swe polskie prowincje, wystąpiły stanowczo przeciw powstaniu, rozwijając energiczną a planową przeciwko niemu akcję. Rzecz prosta, zależało przedewszystkiem na tem, ażeby pożar rewolucyjny nie objął zaboru pruskiego, wobec czego obsadzono jak najszczelniej granicę wojskiem i żandarmerją. Zaraz też, jakby w przygotowaniu do poważniejszych przedsięwzięć, przeprowadzono mobilizację prawie połowy armji pruskiej, a cztery korpusy, królewiecki, szczeciński, poznański i śląski, oddano pod rozkazy gen. Werdera, który stanął kwaterą główną w Poznaniu. W Wielkopolsce zaprowadzony został jakgdyby stan wojenny, a dowodzący V. korpusem gen. hr. Waldersee i nadprezydent prowincji poznańskiej, Horn, przestrzegali mieszkańców w wydanej przez siebie odezwie przed „niesieniem pomocy, a nawet pośredniem sprzyjaniem powstaniu", grożąc, że będzie to traktowane jako „przedsięwzięcie przeciw prawu krajowemu, któreby mogło pociągnąć za sobą karę zbrodni stanu".

Celem zlokalizowania ruchu zbrojnego w Królestwie Polskiem i ażeby nie dopuścić do tego, by zabór pruski stał się dlań podstawą operacyjną, wytężyli całą swą energję nadprezydenci trzech sąsiadujących z Królestwem prowincyj, Schleinitz, Horn, Eichmann, wydając odpowiednie zarządzenia podległym sobie władzom. Policja pruska zaostrzyła swą czujność, tropiła tworzące się w Wielkopolsce organizacje polskie i usiłowała przeszkodzić przechodzeniu ochotników przez granicę i dostawie broni i amunicji do Królestwa, zwracając baczną uwagę na przylegające do terenu walki pogranicze i prowadzące do Warszawy obie linje kolejowe, toruńską i katowicką. Przekraczający granicę pruską powstańcy mieli być traktowani zgodnie z postanowieniami prusko-rosyjskiej konwencji kartelowej z r. 1857, t. j. bezwzględnie wydawani w ręce Rosji. Tym sposobem wznowiono wszystkie zarządzenia, jakie w podobnem położeniu podjęły Prusy w r. 1831, kiedy również zmobilizowano połowę armji pruskiej i oddano pod rozkazy

gen. Gneisenaua, zamknięto i obstawiono granicę, rozbrajano i internowano oddziały powstańcze, przechodzące na terytorjum pruskie, oddano pozatem niemałe usługi Rosji, zwłaszcza w czasie marszu Paskiewicza na zdobycie Warszawy, wzdłuż granicy wschodnio-pruskiej.

Najważniejszem atoli posunięciem w całej tej kontrinsurrekcyjnej akcji, niezależnie od zarządzeń miejscowych, zabezpieczających zabór pruski przed powstaniem, było wysłanie adjutanta królewskiego, generał-lejtnanta Gustawa Alvenslebena w specjalnej misji do Petersburga celem zaofiarowania Rosji bezpośredniej pomocy wojskowej dla stłumienia powstania. Formalnie pozostawała ta misja w związku i była niejako odpowiedzią na aluzje co do ewentualnej pomocy pruskiej, aluzje, czynione przez nowego posła rosyjskiego w Berlinie, d'Oubrila. Dlatego też Alvensleben miał właściwie udać się do Warszawy, ażeby, jak stwierdzał Bismarck w depeszy swej do konsula pruskiego w Warszawie, Rechenberga, z 3 lutego 1863, porozumieć się z władzami rosyjskiemi co do ewentualnego współdziałania dla stłumienia niepokojów w Królestwie, przyczem szło w szczególności o to, by odrzucić insurgentów od granicy pruskiej, brać ich do niewoli i wydawać Rosji zgodnie z konwencją kartelową. Użycie bowiem szybkich, wspólnych środków przeciw powstaniu i wszelkim próbom rozszerzania się go miało być nietylko interesem obu rządów, ale i ludzkości.[1] Zamiast jednakże pojechać z Berlina wprost do Warszawy, udał się Alvensleben najpierw do Petersburga, ażeby stamtąd dopiero podążyć do Warszawy, dokąd natomiast wprost z Berlina wysłano tymczasem w celach wywiadowczych dwóch oficerów pruskich, majora Raucha i kapitana Verdy du Vernois.

Przyczyną tej dziwacznej peregrynacji posła pruskiego z Berlina przez Petersburg do Warszawy była nietylko wiadoma w Berlinie, zrozumiała zupełnie, niechęć namiestnika Królestwa Polskiego, w. ks. Konstantego, do nieproszonej pomocy pruskiej, a stąd małe widoki powodzenia, gdyby Alvensleben wprost do Warszawy się udał. Ostentacyjna misja jego do Petersburga, której ani początkowe zaniepokojenie, ani pa-

[1] Bismarck do Rechenberga, Berlin, 3 Febr. 1863. Vertr. Durch Major v. Rauch.

nujący w Berlinie brak zaufania do Rosjan usprawiedliwić nie mogły — pomijając już to, że bezpośrednie niebezpieczeństwo Prusom właściwie nie groziło — miała o wiele ważniejsze zadanie do spełnienia, niż uzgodnienie miejscowych zarządzeń na podstawie dawnego układu kartelowego, czyli poprostu ściślejsze wykonywanie policji granicznej. Niezależnie od zbadania sytuacji w Petersburgu i w Warszawie i podszczucia cesarza rosyjskiego przeciw Polakom miał Alvensleben doprowadzić do zawarcia takiego układu z Rosją, któryby umożliwił Prusom zbrojną na terenie Królestwa Polskiego interwencję celem zgniecenia całego ruchu zbrojnego połączonemi siłami obu państw.

Takie nowe braterstwo broni prusko-rosyjskie, przypieczętowane krwią polską, musiałoby sprowadzić przedewszystkiem politykę rosyjską z niepożądanych dla Prus torów na grunt dawnej solidarności prusko-rosyjskiej w sprawach polskich. Tym sposobem ucbyloneby zostały ustępstwa, uczynione Polakom przez koronę rosyjską i pogrzebane nieodwołalnie wszystkie autonomiczne plany Wielopolskiego, które takie zaniepokojenie budziły w Berlinie, nie mówiąc już o zażegnaniu jeszcze niebezpieczniejszego widma niepodległości Polski, wywołanego przez rewolucję. Ale poza temi kombinacjami ubezpieczającej natury kryła się pod płaszczykiem sąsiedzkiej przysługi, którą proponować miał właśnie Alvensleben w Petersburgu, niepohamowana chęć zaboru, podobnie jak w r. 1831, widoczna rachuba na jakąś okupację lub ewentualny nowy podział Królestwa. Ziszczenie tych planów nie wydawało się Bismarckowi tak trudnem, gdyż od czasu pobytu swego w Petersburgu nabrał przekonania, że panuje tam zniechęcenie z powodu niepowodzenia wszystkich stosowanych dotąd w Polsce metod rządzenia. Czego nie potrafiły dokazać ani twarde rządy paskiewiczowskie, ani liberalne w. ks. Konstantego, tego chciał się podjąć Bismarck, rzecz prosta, na wyłączny pruski pożytek. Nietylko zatem może z obawy o zachowanie swoich polskich prowincyj gotowały się Prusy do jak najszybszego wystąpienia zbrojnego przeciw powstaniu, które przeciwko Rosji wybuchło, ale szło im widocznie o to, żeby cały świat postawić przed faktem dokonanym, zanim się ktoś zdobędzie na jakiś krok w tej sprawie.

Wyruszywszy z Berlina 2 lutego, odbył Alvensleben nie bez przeszkód swoją podróż do Petersburga, a to z powodu przerwania w Wierzbołowie linji kolejowej z Ejdkun do Kowna, którą uszkodzili powstańcy celem uniemożliwienia transportu wojsk rosyjskich w Płockie przez Prusy Wschodnie, koleją królewiecką i bydgoską. Kiedy ostatecznie stanął w Petersburgu, nie tak łatwo też przyszło mu wywiązać się z powierzonej misji. Propozycje pruskie były bardzo niewygodne dla kanclerza rosyjskiego, ks. Gorczakowa, ponieważ krzyżowały całą jego dotychczasową politykę. Zarzuciwszy bowiem rolę żandarma, którą Rosja w oparciu o Prusy i Austrję przez pół wieku zgórą w Europie odgrywała, usiłował Gorczakow od czasu kongresu pokojowego paryskiego wejść w jak najlepsze stosunki z Napoleonem III. ażeby przy pomocy Francji odzyskać dla Rosji jej stanowisko, podkopane w Europie skutkiem klęski w wojnie krymskiej, a przedewszystkiem wpływy, utracone na Wschodzie. W związku z tą postępową polityką zagraniczną Gorczakowa, przybierającą charakter wybitnie antygermański, a zarazem panslawistyczny, pozostawał właśnie zainicjowany w polityce wewnętrznej zwrot ku liberalniejszym sposobom rządzenia w Polsce, czego wyrazem było złagodzenie dotychczasowego ucisku w Królestwie Polskiem, mianowanie brata cesarza, w. ks. Konstantego, namiestnikiem i reformy Wielopolskiego. Związać się teraz z Prusami w tak ostentacyjny sposób, co musiałoby pociągnąć za sobą uchylenie wykluwającego się przymierza rosyjsko-francuskiego, byłoby pozatem dla Rosji poprostu kompromitujące, gdyż przyjmując pomoc pruską, znalazłaby się ona prawie w takiej sytuacji, jak Austrja wobec niej samej w r. 1849. Jakiegoż wyobrażenia nabrałaby Europa o potędze Cesarstwa, gdyby się przekonała, że regularne wojska rosyjskie nie mogą poradzić źle uzbrojonym, nielicznym oddziałom powstańczym, tak że do pokonania ich potrzebna byłaby pomoc sąsiada.[1] Niechętnie tedy przyjął Gorczakow propozycje Alvenslebena i z pewnością, o ileby tylko od niego rzecz cała zależała, nie doszłoby do zawarcia takiego układu, o jakim w Berlinie myślano. Polityczne jednakże względy musiały ustąpić dynastycznym sentymentom, wzięła górę pamięć

[1] Gorczakow do w. ks. Konstantego, St. Pétersbourg, 13/25 Février 1863.

starej przyjaźni i poczucie pokrewieństwa, łączącego oba dwory. Aleksander II przywiązany osobiście do Prus, a ujęty ofiarną propozycją swego rodzonego wuja, króla Wilhelma I, rozstrzygnął rzecz całą odmiennie. Zaofiarowaną przez Alvenslebena pomoc postanowił przyjąć, a zasady współdziałania z Prusami przeciw powstaniu polecił ustalić kanclerzowi swemu z posłem pruskim. Wobec tego, stosując się do woli monarchy, Gorczakow przystąpił do zawarcia formalnego układu, którego natarczywie domagał się generał pruski, głosząc, że „król chce mieć coś na piśmie".

Zgodnie tedy z propozycjami Alvenslebena, podanemi w konkretnej formie a prawdopodobnie tylko w języku niemieckim, zredagowana została przez Rosjan umowa, posiadająca charakter dość ogólny, dopuszczająca swobodną wykładnię zobowiązań, z dodatkiem osobnego artykułu, umożliwiającego rozwiązanie konwencji każdej chwili, zależnie od położenia i stosownie do uznania obu dworów. Nadając narzuconemu sobie układowi tak elastyczny tenor, Gorczakow próbował osłabić tym sposobem całe jego znaczenie, licząc, być może, na to, że Prusy odrzucą zredagowaną w ten sposób umowę. Sam Alvensleben musiał mieć pewne skrupuły co do podpisania układu w tej formie, ponieważ odniósł się telegraficznie do Berlina i, komunikując tekst konwencji, zapytał, czy może ją podpisać. Upoważnienie zostało mu jednakże natychmiast udzielone, chociaż pochodząca z kancelarji rosyjskiej redakcja układu nie podobała się królowi pruskiemu. Nie chciano jednakże zrażać Rosji i budzić odmową wątpliwości co do rzetelności swoich zamiarów. Nie próbowano zatem wcale zmieniać tekstu konwencji, przyjęto ją w tej formie, jak została przez Rosjan ułożona, pożądane zaś dla siebie modyfikacje postanowiono wprowadzić do osobnej, wspólnej dla władz wojskowych i cywilnych obu państw, instrukcji wykonawczej, która, dopełniając zbyt ogólnikową konwencję petersburską, stanowiłaby dopiero podstawę do współdziałania i określała jego rozmiary i warunki.[1] Ułożenie takiej instrukcji, precyzującej wprowadzenie w czyn dokonanego w Petersburgu porozumienia, miało nastą-

[1] Thile do Rechenberga, Berlin, 28 April 1863, Durch H. Deysing, z załączonemi „Erlassami" z 7 i 9 marca.

pić dopiero w Warszawie, dokąd też Alvensleben miał się udać, by za upoważnieniem cesarza Aleksandra II porozumieć się bezpośrednio z namiestnikiem Królestwa Polskiego, w. ks. Konstantym.

Treść układu podpisanego definitywnie w Petersburgu 8 lutego 1863 r. przez Alvenslebena i Gorczakowa, była następująca: Wobec niebezpieczeństwa, grożącego własności publicznej i prywatnej, oraz porządkowi w prowincjach pruskich z powodu wypadków, które zaszły w Królestwie Polskiem, postanowiły oba rządy upoważnić swoich dowódców do udzielania sobie pomocy i do przekraczania granicy w pościgu za powstańcami, przechodzącymi granicę, o ile tego zażąda głównodowodzący wojskami rosyjskiemi w Królestwie Polskiem lub dowodzący czterema korpusami pruskiemi nad granicą, gen. Werder lub też władze pograniczne obu krajów. Do kwater głównych obu armij wysłani będą osobni oficerowie celem utrzymywania łączności między dowódcami obu armij; przydzielani oni będą dowódcom oddziałów detaszowanych i będą otrzymywali informacje co do dyslokacji wojsk. W oddzielnym artykule tajnym zobowiązywały się obie strony do wzajemnego udzielania sobie informacyj co do agitacji politycznej, zarówno o ileby szło o Królestwo Polskie, jak i W. Ks. Poznańskie. Według osobnej klauzuli umowa cała miała tak długo obowiązywać, jak długo tego będzie wymagało położenie i jak długo oba dwory uznają to za odpowiednie.

Doprowadziwszy negocjację swoją w Petersburgu do skutku, Alvensleben podążył z kolei do Warszawy, gdzie zabawił od 11 do 17 lutego. Przebywało tu już kilku oficerów pruskich, wysłanych w celach wywiadowczych równocześnie z wyjazdem Alvenslebena do Petersburga. Był tam przyboczny adjutant królewski, major Rauch i kapitan sztabu generalnego, Verdy du Vernois, wybrany przez ministra wojny v. Roona dlatego, ponieważ bawiąc przed dwoma laty w Warszawie w czasie manifestacji, poznał dokładnie tutejsze stosunki i z góry przewidział rewolucję. Miał on w dalszym ciągu pozostać w Królestwie przez cały czas trwania powstania i posyłał królewskiemu gabinetowi wojskowemu raporty z operacyj wojennych rosyjskich przeciw powstańcom. Umocowanie oficerów pruskich w Warszawie na stałe nastąpiło w związku z wyraźnem życze-

niem Gorczakowa, który, chcąc zachować porozumienie z Prusami w najściślejszej tajemnicy, zastrzegł się, by władze wojskowe pruskie i rosyjskie porozumiewały się nie za pośrednictwem konsula pruskiego w Warszawie, ale przy pomocy osobnych oficerów łącznikowych.

W Warszawie był wprawdzie Alvensleben przyjmowany z wielkiemi honorami, wyznaczono mu kwaterę na Zamku, a w. ks. Konstanty przywdział na przyjęcie posła swego wuja pruski mundur, ale w rzeczywistości, podobnie jak i w Petersburgu, był ten pobrzękujący szablą gość pruski prawdziwym gościem nie w porę. Jeszcze przed jego przyjazdem, na wiadomość o alarmie, jaki w Berlinie podniósł tymczasowy zastępca konsula pruskiego w Warszawie, baron Tettau, pisał szef kancelarji dyplomatycznej w. księcia, Tęgoborski, do d'Oubrila, ażeby starał się przeszkodzić misji Alvenslebena.[1] W. ks. Konstanty był dobrze poinformowany o przebiegu negocjacji petersburskiej i, podobnie jak kanclerz, z punktu widzenia polityki ogólnej był ze stanowiska swego jako namiestnik dość niechętny misji pruskiej. Jasną było przecież rzeczą, że przyjęcie pomocy wojskowej pruskiej i użycie jej w Królestwie stwierdziłoby tylko bezsilność wobec powstania, i to bezsilność zarówno naczelnego dowództwa jak i cywilnego zarządu krajem, które przecież spoczywały w ręku Konstantego, jako namiestnika. Stanowisko jego było już i tak poważnie zachwiane z powodu obrotu, jaki wzięły wypadki od czasu jego przyjazdu do Polski. W Petersburgu powątpiewano wogóle, czy uda mu się opanować sytuację, która wytworzyła się w Królestwie, a przeciwnicy polityczni w. księcia triumfowali z niepowodzenia jego polityki i fiaska reform Wielopolskiego. Cesarz Aleksander, kierując się osobistemi względami, wstrzymywał do czasu tylko jeszcze odwołanie swego brata z Warszawy. Utrzymanie się zatem w. księcia na namiestnictwie zależało wtedy właściwie wyłącznie od tego, czy uda mu się szybko uporać z powstaniem, ale oczywiście przy pomocy sił własnych, a nie wojsk pruskich. Niechętnie przeto musiał widzieć w. ks. Konstanty generała Alvenslebena w Warszawie, ale wobec wyraź-

[1] List ten z 4 lutego 1863, przyłapany przez powstańców, ogłoszony został zaraz w prasie polskiej (*Czas* z 14 i 20 lutego 1863) i zagranicznej.

nej woli brata, który posła pruskiego wysyłał do Warszawy „de s'entendre avec Kostia", nie mogło być mowy o jakiejś, choćby biernej, opozycji. Sprzyjali za to misji wojskowej pruskiej niektórzy wojskowi rosyjscy, sabotujący pocichu wszystkie zarządzenia w. księcia, ponieważ rozumieli, że interwencja pruska musi za sobą pociągnąć nietylko odwołanie Konstantego, ale i upadek znienawidzonego przez nich margrabiego Wielopolskiego.

Rezultatem układów warszawskich, prowadzonych w najściślejszej tajemnicy, tak, że oprócz w. ks. Konstantego i Alvenslebena brali w nich udział tylko Tęgoborski i szef sztabu rosyjskiego, gen. Minkwitz, był projekt instrukcji wykonawczej, która w 5 artykułach określała w ten sposób rozmiary i warunki współdziałania obu państw wobec powstania. Wzajemnej pomocy wojskowej miały sobie udzielać obie strony, jeśliby tego żądał głównodowodzący wojskami w Królestwie Polskiem od głównodowodzącego wojskami pruskiemi lub odwrotnie, na żądanie jednego tylko z obu głównodowodzących, zwrócone do dowódców oddziałów wojskowych rosyjskich lub pruskich na granicy, lub wreszcie na żądanie dowódcy pogranicznego oddziału rosyjskiego i odwrotnie. Artykuł drugi, określający warunki i sposób przekraczania granicy, sprowadzał je do dwóch wypadków, a mianowicie: w razie akcji łącznej wojsk pruskich i rosyjskich, jeżeliby od przekroczenia granicy zależało powodzenie całego współdziałania lub w razie akcji jednej tylko strony, jeżeliby wojska jej przekroczyły granicę, walcząc, w pościgu za nieprzyjacielem. W takim wypadku wolno było wojskom posuwać się na obcem terytorjum, jak daleko będzie sięgał pościg połączony z walką i dopóki powstańcy będą widoczni. Po wkroczeniu na obce terytorjum należy o tem w najkrótszym czasie zawiadomić niezwłocznie władze miejscowe, cywilne lub wojskowe, ażeby mogły wyznaczyć komisarza wojskowego lub cywilnego, który pozostanie tak długo przy wojskach obcych przekraczających granicę, dopóki nie powrócą do swego kraju. Powrót taki powinien nastąpić z tą chwilą, gdy ustanie powód, jaki był do wkroczenia, t. j. w jaknajkrótszym przeciągu czasu. Artykuł trzeci odnosił się do udzielania sobie wzajemnej pomocy celem zabezpieczenia kas celnych lub miast, miasteczek i wsi na granicy, zagrożonych przez powstańców.

Kasy skarbowe, celne, kolejowe, miejskie i gminne mogą być w takich wypadkach oddawane do przechowania, celem lepszego zabezpieczenia, komorom celnym sąsiedniego państwa. Do współdziałania na żądanie drugiej strony zobowiązane są oba państwa tylko w granicach możliwości, o ileby jakiś ważny powód lub wzgląd na interes większej wagi temu się nie sprzeciwiał, przy osobistej odpowiedzialności władz cywilnych lub wojskowych tej strony, od której się żąda pomocy. Ostatni wreszcie artykuł zawierał szczegółowe przepisy, co do indywidualnego przekraczania granicy przez wojskowych lub urzędników cywilnych.[1]

---

[1] Projekt instrukcji wykonawczej odnaleziony w papierach konsula pruskiego w Warszawie, barona Rechenberga, wyjaśnia wzmianki i aluzje do akcji wojskowej u Sybla (*Die Begründung des deutschen Reiches* (1890) str. 492 sq.) i w cytowanych przez Lorda (*op. cit.* str. 30—33) wyjątkach korespondencji d'Oubrila i Gorczakowa. Wyraźnie natomiast wskazana jest instrukcja wykonawcza w depeszach Buchanana do Russela z 20 i 27 lutego i 5 marca 1863 (Filipowicz, *Confidential Corresp. of the British Government respecting the insurection in Poland 1863* (Paris 1914), str. 68, 92 sq„ 118 sq, 152). W archiwach państwowych rosyjskich nie zachował się widocznie projekt tej instrukcji, skoro nie ogłosili go mający do nich dostęp historycy tacy, jak Nolde i Lord. Oryginalny tekst owego projektu: „Sur la réquisition du Commandant de l'Armée Russe dans le Royaume de Pologne ou sur celle de M. le Général d'infanterie de Werder, Commandant en chef les 1-er, 2-me, 5-me et 6-me Corps d'armée Prusienne, soit aussi à la demande des autorités limitrophes des deux pays, les chefs des détachements Russes et Prussiens seront autorisés à se prêter un mutuel concours et en cas de besoin à franchir la frontière afin de poursuivre les rebelles qui passeraient d'un pays dans l'autre.

Le concours mutuel qne se prêteront les armées des deux pays aura lieu dans les conditions suivantes:

1. *a)* soit sur une demande adressée par le Commandant des troupes dans le Royaume de Pologne, au Commandant Général des troupes Prussiennes et *vice versa*,
   b) soit sur une demande de l'un des deux Commandants respectifs adressée aux chefs des détachements Russes ou Prussiens stationnés sur la froutière,
   c) soit enfin sur la demande d'un chef de détachement frontière Rnsse adressée à un chef de détachement frontière Prussien et *vice versa*.

2. Les troupes des deux Armées Russe et Prussienne ne sont autorisés à passer la frontière des deux pays respectifs que dans les cas suivants:
   a) en cas d'une coopération combinée des troupes Russes et Prus-

Ułożona w Warszawie instrukcja wykonawcza, która miała stworzyć podstawę do bezpośredniego współdziałania wojskowego obu państw, precyzowała w ten sposób jego zakres i warunki, że sprowadzała je właściwie do akcyj pogranicznych skromnych rozmiarów, nie sięgających w głąb krajų, posiadających charakter zabezpieczający i nie mogących pociągnąć za sobą dalej idących następstw politycznych. Zredagowana w ten sposób instrukcja nie mogła być zatem upoważnieniem do akcji na większą skalę i rozwinięciem tejże, ale raczej ograniczeniem całego współdziałania Prus ogólnie tylko konwencją petersburską określonego, któremu odbierała właściwie charakter interwencji. Zamknięte w ramach jakiejś policji granicznej współdziałanie Prus nie mogłoby tym sposobem przybrać ta-

---

siennes sur les lieux mêmes où il s'agirait de passer la frontière pour assurer le succès de cette coopération.

b) en cas d'une opération faite seulement par les troupes de l'une des deux Puissances si dans la poursuite des insurgés la frontière est passée en combattant. Les troupes respectives pourront en ce cas s'avancer sur le territoire étranger aussi loin que la poursuite aura lieu en combattant, et que les insurgés seront en vue.

c) Dès que les troupes de l'une ou de l'autre Puissance auront passé en pays étranger, elles seront tenues d'en informer, sans le moindre délai, les autorités locales militaires ou civiles, afin que celles-ci puissent adjoindre un Commissaire militaire ou civil aux troupes étrangères qui auront passé la frontière, et qui restera auprès d'elles aussi longtemps que celles-ci ne seront pas rentrées dans leurs pays respectifs.

d) Les troupes des deux Puissances rentreront dans leurs pays respectifs, dès que les circonstances, qui auront motivé leur passage en pays étranger auront cessé d'exister, c. à. d. dans le plus bref délai possible.

3. Les autorités douanières ainsi que les autorités civiles et municipales des deux pays pourrout en cas d'urgence adresser des demandes de secours aux autorités militaires ou civiles respectives, afin de garantir, soit les caisses des douanes soit les villes, bourgs et villages situés sur les frontières et menacés par les insurgés. Les caisses de l'état et publiques, telles que caisses de trésorerie, de douane, de chemins de fer, caisses municipales et communales des deux pays pourront pour plus de sûreté être transportées aux douanes frontières du pays voisin qui en accepteront le dépôt.

4. Il s'entend que la coopération demandée d'une part ou de l'autre sera donnée dans la limite du possiblé, en tant que quelque raison

kiego obrotu, o jakim zamyślał Bismarck, kiedy rozprawiał na ten temat z posłem rosyjskim d'Oubrilem, angielskim Buchananem lub wiceprezesem Landtagu Behrendtem, t. j. nie mogłoby rozwinąć się w zakrojoną na większą skalę akcję, do której po zmobilizowaniu połowy armii gotowe były przystąpić Prusy, wkraczając do Królestwa, czy to na przestrzeni od Torunia do Mysłowic, czy to sięgając dalej na wschód. Ubezpieczając się tym sposobem, nie rezygnowano, rzecz prosta, z innych usług pruskich, które były nawet bardzo pożądane, a nie wymagały osobnej w układzie specyfikacji, jak np. ścisłe obsadzenie granicy Królestwa przez wojska pruskie, czego nie można było przeprowadzić przy pomocy żołnierza rosyjskiego, zatamowanie dowozu broni i amunicji oraz wstrzymanie napływu ochotników z Wielkopolski i oddawanie sobie policyjnych, wywiadowczo-zapobiegawczych usług. Chociaż tedy przesadne były obawy w obozie powstańczym co do grożącego już wkroczenia Prusaków do Królestwa Polskiego, nie była to może jednak czcza przechwałka generała Alvenslebena, kiedy zadowolony z osiągniętych w Warszawie wyników, obwieścił triumfując swoim zdziwionym kolegom, że wojna została wypowiedziana, t. j. wojna

---

importante ou quelque intérêt majeur, ne s'y opposeraient, et sous la responsabilité personnelle des autorités militaires on civiles respectives auxquelles la coopération aura été demandée.

5. Le passage de la frontière respective en vue du concours mutuel que doivent se prêter les autorités militaires et civiles de deux pays [1] est autorisé sans aucune formalité à tous les militaires des Armées Russe et Prusienne de quelque grade qu'ils soient ainsi qu'aux employés civils portants uniforme ou munis d'un signe distinctif quelconque qui les fasse reconnaître comme tels.
Pour ce qui concerne les employés civils qui pour affaire et en cas d'urgence se présenteraient à la frontière eu tenue bourgeoise et sans être munis de passeports ou d'autres documents, constatant leur qualité officielle, ils devront se rendre directement auprès des autorités militaires ou civiles les plus voisines accompagnés d'un employé de la douane ou d'un garde de la frontière qu'ils désirent passer." [2]

---

[1] Określenie to umieszczone zamiast: „en vue de l'exécution de la convention conclue entre les deux Cours de Russie et de Prusse".

[2] W oryginale dopisek własnoręczny Rechenberga: „Es ist mir keine Zeit geblieben eine Abschrift anfertigen zu lassen".

powstaniu polskiemu przez Prusy i Rosję. Istotnie bowiem od chwili ostatecznego uzgodnienia całej akcji w Warszawie przybywał powstaniu polskiemu potężny przeciwnik, z którym wprawdzie nie przyszło skrzyżować broni na polu bitwy, ale który, sekundując skrycie a wytrwale Rosji, miał być niemniej od niej niebezpiecznym.

Ażeby wprowadzić jak najprędzej w czyn uzgodnioną w Warszawie akcję, Alvensleben wysłał 14 lutego majora Raucha do Berlina, który oprócz ułożonego projektu instrukcji powiózł list odręczny w. ks. Konstantego do króla Wilhelma I i raport własny Alvenslebena. W związku z tą ekspedycją władze warszawskie, za pośrednictwem konsula pruskiego Rechenberga, zwróciły uwagę rządu pruskiego na Wrocław, jako miejsce pobytu niektórych agentów rewolucyjnych. Sam Alvensleben zabawił jeszcze kilka dni w Warszawie, konferując dalej z w. ks. Konstantym, Tęgoborskim i generałem Minkwitzem co do uzgodnienia pomniejszych szczegółów współdziałania. Ustalono wówczas jako punkty wzajemnego wydawania sobie ujętych powstańców, zbiegów i żołnierzy rosyjskich, którzy przeszli na terytorjum pruskie, miejscowości: Jurbork, Wierzbołowo, Filipowo, Aleksandrów, Kalisz, Częstochowę i Mysłowice, o czem zaraz zawiadomieni zostali przez konsula pruskiego w Warszawie nadprezydenci trzech sąsiadujących z Królestwem pruskich prowincyj. Dopiero 17 lutego, ukończywszy ostatecznie swą misję, podążył Alvensleben z powrotem do Berlina. Równocześnie wysłano do Poznania, do kwatery głównej generała Werdera, pułkownika rosyjskiego Weymarna, jako oficera łącznikowego, ażeby tym sposobem nawiązać ściślejsze z naczelnem dowództwem pruskiem stosunki. Udzielić miał Weymarn generałowi Werderowi rozmaitych informacyj co do stanu i rozmieszczenia wojsk rosyjskich w Królestwie, organizacji i podziału terytorjalnego kraju na okręgi wojskowe, jako obszary operacyjne. Według zakomunikowanych wtedy Prusakom *ordres de bataille* wynosiły siły rosyjskie w Królestwie 50.250 piechoty, 5.230 kawalerji, 4.600 ludzi i 184 dział artylerji, 1.800 saperów, 5.600 kozaków, t. j. razem 67.480 ludzi i 184 dział, w skład czego wchodziły już nadeszłe w połowie lutego posiłki, 2 pułki gwardyjskie jazdy i 1 lekkokonna baterja. Ponieważ połowa niemal tych sił przypadała ná garnizony — w samej

zresztą Warszawie stało 15.000 żołnierzy rosyjskich — pozostawało do właściwych operacyj tylko 30.000, siła stosunkowo niewielka, uwzględniwszy obszar kraju, rozległość granic i długość linij kolejowych do strzeżenia oraz charakter partyzancki walki. W szczególności dawał się odczuwać brak jazdy, znajdowało się bowiem w Królestwie oprócz kozaków tylko 5 pułków kawalerji. W miejsce majora Raucha natomiast, który już do Warszawy nie powrócił, wysłano z Berlina pułkownika Tresckowa, który pozostał na miejscu do końca powstania, pełniąc funkcje sprawozdawcy.

Rosyjsko-pruski układ lutowy przedostał się szybko do wiadomości publicznej i wprawił w największe poruszenie cały świat dyplomatyczny. W opinji publicznej, zwłaszcza na Zachodzie, powstało wielkie oburzenie z powodu zupełnie nieuzasadnionego i mocno podejrzanego wystąpienia Prus. Insurekcyjny ruch w Królestwie Polskiem, lekceważony dotąd przez mocarstwa jako nieposiadająca większego znaczenia, lokalna ruchawka rewolucyjna, nabrał w związku z interwencją pruską odrazu charakteru zagadnienia europejskiego. Rozpętana na Zachodzie burza obróciła się jednakże nie przeciwko Rosji, ale Prusom, Napoleon III bowiem. porzucając dotychczasową wobec powstania bierność, rozpoczął organizować zbiorową przeciw gabinetowi berlińskiemu remonstrację, do której usiłował nakłonić Austrję i Anglję. Był to wstęp do jego interwencyjnej w sprawie powstania styczniowego akcji, w której pod hasłem zainteresowania dla sprawy polskiej miał na oku przeprowadzenie własnych zaborczych celów, z których głównym było zdobycie dla Francji granicy Renu. Dlatego też nie przeciwko Rosji, którą narazie oszczędzał, mając w tem inne rachuby, ale przeciw Prusom wymierzony miał być pierwszy atak. Położenie Prus, a w szczególności Bismarcka, stało się wówczas niezmiernie kłopotliwe. Ambasadorowie francuski i angielski w Berlinie zaczęli się coraz energiczniej domagać wyjaśnień z powodu zawartego w Petersburgu układu, tak że gabinet berliński znalazł się w obliczu groźby wojennej. Ale i w kraju własnym awanturnicza polityka Bismarcka nie znalazła uznania i wywołała niemałe oburzenie, skutkiem czego z komplikacjami zewnętrznemi połączyły się kłopoty domowe. Już od roku trwał

w Prusiech zatarg budżetowy pomiędzy rządem a liberalną opozycją pruską w sejmie z powodu kredytów na reorganizację armji pruskiej, od czego miała zależeć cała przyszła militarna i polityczna potęga Prus. Zwalczając niemiłego premjera, opozycja, dla której sama nominacja jego była jakby rzuceniem rękawicy, skorzystała zaraz ze sposobności, ażeby zaatakować go także na gruncie polityki zagranicznej. Już 7 lutego 1863 r. zainterpelowali rząd w Landtagu pruskim posłowie polscy Kantak i Chłapowski z powodu odezwy, ogłoszonej w Poznaniu przez dowódcę V korpusu armji generała Waldersee i nadprezydenta Horna, zapytując, czy odezwa ta oznacza zaprowadzenie stanu wyjątkowego w Poznańskiem i czy rząd aprobuje treść i formę tego rozporządzenia. Konwencja Alvenslebena i pomysły interwencyjne Bismarcka wywołały też oburzenie liberałów pruskich, tak że 18 lutego znalazła się na porządku dziennym sejmu nowa interpelacja, w której domagano się wyjaśnień z powodu zawarcia umowy z Rosją, żądając zarazem podania jej do wiadomości Izby. W związku z tem rozwinęły się 26 i 27 lutego ożywione debaty, w których opozycja potępiła jak najostrzej całą politykę Bismarcka, jako wysługiwanie się Rosji i olbrzymią większością głosów przeprowadziła zaproponowaną przez posła Bockum-Dolffsa rezolucję, która polecała rządowi zachować zupełną neutralność wobec wypadków w Królestwie Polskiem, niedopuszczać do przekraczania granicy pruskiej i rozbrajać przechodzących ją bez względu na to, czy to będą Rosjanie, czy Polacy. Równało się to potępieniu całej agresywnej polityki Bismarcka i było protestem przeciwko konwencji petersburskiej. Bismarck stawiał odważnie czoło atakom liberałów pruskich, ściągając zjadliwą swoją repliką admonicję wiceprezesa Izby, Behrendta, ale ostatecznie uchylił się od zakomunikowania Izbie treści układu, odmawiając sejmowi prawa mieszania się do bieżącej polityki zagranicznej. Chociaż jednak z pogardą traktował te objawy woli parlamentarnej, nie mógł przecież wobec grożącego z Zachodem zatargu zupełnie pominąć wywołanej swą polityką opozycji.

Wszystkich tych trudności Bismarck, zdaje się, nie przewidywał, gotując się do zbrojnego wystąpienia lub raczej nie brał ich poważnie w rachubę, zamierzając zaskoczyć wszystkich i postawić przed faktem dokonanym. Ale i w Petersburgu

wojownicze jego zamierzenia, z któremi wynurzał się przed posłem rosyjskim w Berlinie, wywołały zaniepokojenie, tak że Gorczakow telegraficznie polecił d'Oubrilowi zawiadomić Bismarcka, że cesarz nie zgodzi się na to, by współdziałanie Prus przybrało większe rozmiary, niż to było przewidziane konwencją, gdyż nie odpowiada to ani potrzebie, ani siłom obu państw. Hamując interwencyjne zapędy pruskie, Gorczakow starał się uniknąć konfliktu z mocarstwami zachodniemi, z których żadne dotąd nie wystąpiło jeszcze przeciw Rosji, liczył zaś na to, że tymczasem uda się może powstanie stłumić, a wówczas nie będą one miały wogóle podstawy do działania. Hałaśliwa zapowiedź interwencji pruskiej zbytecznie te państwa tylko podrażniła, a właściwie całej tej pomocy Rosja nie tak bardzo potrzebowała. W korespondencji swej z w. ks. Konstantym z lutego i marca 1863 ujawniał Gorczakow wyraźnie swoją niechęć do korzystania z pomocy pruskiej i pragnienie utrzymania dobrych stosunków z mocarstwami zachodniemi, które poprostu usiłował „menażować" ile możności. „Uwzględniwszy troskliwość cesarza Napoleona III w zasięganiu zdania u opinji publicznej u siebie— pisał Gorczakow 22 lutego 1863 do w. ks. Konstantego — oraz słabość ministerstwa angielskiego wobec własnego parlamentu, nie można być dostatecznie ostrożnym, a ostrożność pojmuję w ten sposób, ażeby sprowadzić pomoc, którą nam tak skwapliwie ofiarował gabinet pruski, do granic najciaśniejszych, ograniczając się do wypadku bezwzględnej potrzeby. Cieszyłbym się, gdybyśmy w praktyce wogóle nie potrzebowali z niej korzystać".

Wobec rezerwy zachowanej przez Rosję i grożącego konfliktu z Francją, mając w dodatku swoją egzystencję ministerjalną poważnie zachwianą, Bismarck rozpoczął odwrót i nie wahał się przyłożyć ręki do zniszczenia swego pierwszego dyplomatycznego majstersztyku. Po niedawnych jeszcze fanfaronadach, które więcej zapowiadały, niż umowa z Rosją istotnie zawierała, próbował teraz, naciskany interpelacjami posłów francuskiego i angielskiego, obniżyć znaczenie konwencji, sprowadzając ją do aktu jakiejś samoobrony ze strony Prus i głosił, że właściwie ona jeszcze nie obowiązuje wobec tego, że nie została dotąd ratyfikowana. Wkońcu, nie widząc innego wyjścia z trudnej sytuacji, nie wahał się wyrzec całej konwen-

cji, przypisując całą w tym względzie inicjatywę Rosji. Stało się to między 16 a 27 lutego, pod wrażeniem coraz groźniej brzmiących relacyj z Paryża, przy wtórze burzliwych debat w Landtagu, kiedy do Berlina przybyli najpierw major Rauch, a w kilka dni po nim sam Alvensleben, przywożąc ze sobą nie tak wiele zresztą obiecujące rezultaty negocjacji petersburskiej i warszawskiej. Zamiast tedy, przedłożywszy królowi do zatwierdzenia uzgodnioną w Warszawie instrukcję, przystąpić na jej podstawie do współdziałania z Rosją, wolał Bismarck zrezygnować z całej akcji. Zaproponował wówczas sam d'Oubrilowi, by zawiesić dalsze rokowania co do przekraczania granicy, Prusy ograniczą się tylko do pilnego strzeżenia własnej granicy, nie podejmując żadnej akcji na terenie Królestwa Polskiego. Propozycji tej nie sprzeciwiał się zupełnie poseł rosyjski, kierując się instrukcjami, jakie właśnie otrzymał z Petersburga, zresztą sytuacja wojsk rosyjskich w Królestwie była w tym czasie lepsza, niż z początkiem powstania. Zgodnie z tem wydano natychmiast z Berlina generałowi Werderowi rozkazy, ażeby wstrzymał się wogóle z wszelkiem przechodzeniem granicy Królestwa, jeżeliby zaś żądano pomocy ze strony rosyjskiej, należy w takim razie zasięgnąć najpierw upoważnienia królewskiego. Instrukcja wykonawcza warszawska stała się wobec tego wszystkiego poprostu nieaktualną.

Konwencja petersburska straciła tym sposobem całe swoje praktyczne znaczenie, chociaż w zasadzie miała nadal obowiązywać. Była też w dalszym ciągu przedmiotem ożywionej dyskusji pomiędzy Bismarckiem a posłem angielskim w Berlinie, Sir Andrew Buchananem, który z polecenia swego rządu domagał się okazania mu tekstu samego układu. W najkrytyczniejszym dniu całego przesilenia, 27 lutego, nazajutrz po burzliwej debacie w sejmie pruskim, a w kilka dni po propozycji napoleońskiej, by Anglja i Austrja wzięły udział w zbiorowej remonstracji w Berlinie, Bismarck, udzieliwszy posłowi angielskiemu nieścisłych zresztą i wykrętnych wyjaśnień co do genezy całego układu, w której to negocjacji Rosja jakoby pierwsze skrzypce miała odegrać, odczytał mu wkońcu treść konwencji. Następnie na żądanie Buchanana upoważnił go Bismarck do zakomunikowania swemu rządowi, że konwencja petersburska nie będzie wogóle wykonana, ponieważ ze względu na za-

szłe tymczasem w Polsce zmiany i bezpieczeństwo prowincyj pruskich już tydzień temu zawieszono układy dalsze co do wprowadzenia jej w czyn, i że wymiana ratyfikacji nie nastąpi. Oświadczenie to, przesłane natychmiast telegraficznie do Londynu, potrzebne było premjerowi angielskiemu w spodziewanej debacie w Izbie gmin, czyli miało być „un acquit de conscience parlementaire", jak się kanclerz rosyjski wyrażał o tego rodzaju depeszach dyplomatycznych. Miało ono tem większe znaczenie, że złożył je Bismarck w obecności przybyłego w ciągu tej rozmowy posła rosyjskiego, d'Oubrila, który mimo swoje zdziwienie, zaskoczony zupełnie, nie oponował tej deklaracji, a nawet na życzenie Bismarcka ją potwierdził. W dalszej rozmowie, która po odejściu Buchanana już w cztery oczy się toczyła, zapytał Bismarck wprost d'Oubrila, czy wogóle Rosja życzy sobie konwencję utrzymać, a w takim razie, czy gotowa jest zaryzykować prawdopodobną wojnę z Francją i Anglją, czy też godzi się na to, by układ ten znieść zupełnie. Prusy byłyby gotowe do wojny, ale tylko w takim wypadku, jeśliby mogły być pewne pomocy rosyjskiej. Rzecz prosta, że wobec takiego postawienia sprawy postanowiono w Petersburgu ułatwić Prusom wydobycie się z niemiłej sytuacji i nietylko że nie nalegano na utrzymanie konwencji Alvenslebena, ale sam cesarz Aleksander II, choć poprzednio z żalem przystał na zawieszenie rokowań o akcję wojskową, zgodził się obecnie na to, by uważać konwencję za niebyłą. Pospieszna ta, na komendę mocarstw zachodnich, likwidacja układu, który trzy tygodnie temu całą Europę poruszył, nie obyła się bez nieprzyjemnych dla obu sojuszników zgrzytów w ciągu wzajemnej wymiany zdań w tej sprawie w owych krytycznych dniach lutowych. Urażony był gabinet petersburski, że Bismarck w dysputach swoich z ambasadorem francuskim i angielskim nietylko obarczył Rosję główną rolą w postaci konwencji, ale że Rosji przypisał inicjatywę zawieszenia rokowań i unieważnienie całego układu. Tę niemiłą, ubliżającą Rosji wersję Bismarcka co do przebiegu rokowań usiłował sprostować Gorczakow, posyłając do Berlina specjalne historyczne résumé całej negocjacji. Cesarz Aleksander II, żałując widocznie rozbicia się całego układu, przypisywał je finezji dyplomatów, którzy popsuli to, co zrobili wojskowi. Tak się bowiem wyraził wobec attaché pruskiego

w Petersburgu, pułkownika Loena, jadącego właśnie do Berlina.

W dyplomacji europejskiej nastąpiło wówczas chwilowe odprężenie, ponieważ mocarstwa zachodnie zadowoliły się ujawnieniem częściowem układu petersburskiego i ostatecznem jego oficjalnem unieważnieniem. Z podjętej atoli z powodu konwencji Alvenslebena napoleońskiej akcji przeciw Prusom, do której, nawiasem mówiąc, nie miały ochoty przystąpić ani Anglja, ani Austrja, wyłoniła się za sprawą dyplomacji angielskiej interwencja mocarstw wobec Rosji i wtedy już nieodwołalnie doszło do zupełnego rozbicia owej „entente intime“ rosyjsko-francuskiej, którego pragnęli uniknąć i ks. Gorczakow i Napoleon III. Wówczas to stała się sprawa polska igraszką w ręku samolubnej dyplomacji europejskiej, która prowadząc naród cały złudnemi nadziejami do największych wysiłków, opuściła go, pogrążając w rozpaczliwej katastrofie.

Konwencja Alvenslebena po czterotygodniowem swojem istnieniu przestała zatem formalnie istnieć, nazwana urzędowo martwą literą, zanim wogóle przyszło do wprowadzenia jej w życie. W gruncie rzeczy jednakże węzeł porozumienia, zadzierzgnięty wówczas pomiędzy Prusami a Rosją celem zwalczania powstania polskiego, nie został zupełnie zerwany, a chociaż nie obowiązywała litera, nie stracił mocy wiążącej duch całego tego układu. Po formalnem uchyleniu konwencji, mimo wzajemne rekryminacje co do inicjatywy w tym względzie, panowały zresztą najlepsze stosunki pomiędzy obu dworami. Król pruski Wilhelm I zapewniał posła rosyjskiego w Berlinie, że układ cały zachowa swą siłę, a cesarz Aleksander II potwierdził to, kładąc na odnośnym raporcie swego posła własnoręczną adnotację: „Niech tak będzie“. Oczywista, nie mogło być już mowy o jakiemś bezpośredniem współdziałaniu wojskowem, ale przez cały czas powstania styczniowego Prusy stały wiernie przy Rosji i wspomagały ją energicznie, oddając niezliczone, ważne usługi. Tę intensywną współpracę Prus z Rosją, która powstaniu 1863 r. niejeden cios zadała, ujawni w pewnej mierze korespondencja pruskiego konsula w Warszawie, barona Rechenberga, w którego ręku schodziła się przeważna część nici tego współdziałania.

S. S.

MIĘDZYNARODOWA WSPÓŁPRACA W LIDZE NARODÓW

Liga Narodów została powołana do życia na zasadach równouprawnienia wszystkich państw, poszanowania ich suwerenności, a co za tem idzie, na wykluczeniu przymusu. Bez zgody wszystkich suwerennych państw niema decyzyj w Lidze.

Niewątpliwie podobna ewolucja zasad nastąpiła w pewnej mierze w myśl przesłanek natury ogólnej i abstrakcyjnej, jak słuszność, sprawiedliwość, poszanowanie cudzego zdania i interesu, niechęć do przymusu i t. d. Niemniej jednak jest rzeczą pewną, że przesłanki natury praktycznej odegrały w tym wypadku znaczniejszą rolę. Państwa silne zgodziły się na współpracę z ogółem państw, gdyż leżało to w ich własnym interesie. Zależało im na wciągnięciu do własnych poczynań możliwie wielkiej ilości narodów. Starając się rozszerzyć teren swych wpływów gospodarczych, finansowych oraz politycznych, wielkie mocarstwa musiały dbać o to, aby teren ten nie ustosunkowywał się do nich wrogo, lecz przeciwnie współpracował z niemi możliwie zgodnie. Jeśli dopuszczenie innych państw do omawiania spraw międzynarodowych przedstawiało dla wielkich mocarstw pewną niewygodę, niewygoda ta znajdowała rekompensatę w lepszych lub łatwiejszych formach pracy na terenie właśnie tych państw. Zrozumienie, iż z ogólnej współpracy mogą wyniknąć większe korzyści, niż z metody narzucania swej woli innym państwom, przyczyniło się w znakomitej mierze do zgody najsilniejszych mocarstw na zorganizowanie Ligi Narodów na obecnych jej zasadach.

Wyczucie korzyści z podobnej metody postępowania przenikło nietylko do sfer rządowych — wobec szybko wzrastającej współzależności nawet najbardziej oddalonych części naszego globu wyczucie to przenikło międzynarodowe sfery gospodarcze,

przemysłowe, kupieckie i finansowe, posiadające tak wybitny wpływ na obecne nasze życie.

Na podstawie doświadczenia zrozumiano, że przymus zapewnia wygody zaledwie chwilowe, a na dłuższą metę nie odpowiada interesom silniejszego. Uznano więc wobec tego zasadę współpracy jako najlepszą metodę postępowania, a bodaj że nigdzie zasada ta nie została zrealizowana tak całkowicie, jak w organizacji Ligi.

Na podstawie statutu Ligi 55 państw uzyskało legalnie prawo i możność międzynarodowej inicjatywy w sprawach politycznych, gospodarczych, finansowych, rozbrojenia, w sprawach społecznych, współpracy na polu umysłowem, organizacyj międzynarodowych, wreszcie w dziedzinie prawa międzynarodowego i wogóle we wszystkich sprawach, które bezpośrednio lub pośrednio mogą wpłynąć na współpracę międzynarodową, na dobre stosunki między państwami i na utrzymanie pokoju.

Z powstaniem Ligi można było spodziewać się, że ustaną wszelkie utyskiwania, wszelkie żale i krytyki samowoli, autokratyzmu czy to wielkich mocarstw, czy też światowej finansjery, i że nastąpi nowa era w życiu międzynarodowem, tym razem oparta na współpracy ogółu państw, a pozbawiona wszelkiego przymusu.

Niestety, życie wcale nie przyczynia się do potwierdzenia podobnego, logicznego zresztą, wniosku i od pewnego już czasu znowu dają się słyszeć stare, dawne, dobrze znane żale na możnych tego świata.

Zarzucają wielkim mocarstwom, iż najważniejsze sprawy załatwiają najpierw między sobą, następnie używając presji zmuszają innych Członków Ligi do przyjęcia powziętych przez się decyzyj, a oficjalne posiedzenia odbywają jedynie po to, by *urbi et orbi* ogłosić jednomyślność, która w rzeczywistości jest porozumieniem zaledwie wielkich.

Niewątpliwie niezadowolenie ogółu państw jest uzasadnione. Niewątpliwie tajemne konwentykle przedstawicieli Francji, Wielkiej Brytanji, Niemiec, a czasem Japonji i Włoch, odbywające się w Genewie w apartamentach hotelowych francuskiej lub angielskiej delegacji, stwarzają niemożliwe sytuacje dla innych Członków zebrań Ligi i prowokują ich uczucia osobiste, gdyż w podobnych wypadkach nawet pozory współpracy wszystkich

zainteresowanych nie są zachowywane. Łatwo więc uczynić zarzut wielkim Mocarstwom, że czynią wbrew przyjętym w Lidze zasadom, że czynią nierozważnie, stale podniecając istniejące już niezadowolenie, wreszcie, że stwarzają warunki zupełnie nieuniknionego konfliktu, który prędzej czy później musi przyjąć ostre formy.

Na pierwszy rzut oka, podobny zarzut wydaje się zupełnie słuszny, lecz przy bliższem rozważeniu bardzo traci na swej wartości. Wielkie mocarstwa zgodziły się na współpracę z innemi państwami, a właściwie same zaprosiły państwa słabsze do do obrad; wcale nie sprzeciwiały się zwiększeniu n. p. w Radzie — kierowniczym organie Ligi — ilości tych państw, która z czterech wybieralnych w r. 1920 obecnie wzrosła do dziewięciu, najchętniej odstępowały kierownictwo mniejszym państwom w poszczególnych pracach (przewodnictwo w komisjach, referaty i t. d.). Lecz cóż widzimy? Dla tych państw współpraca, a raczej wybór do Rady lub komitetów Ligi okazał się jedynie sprawą prestiżu, zadowoleniem próżności, gdyż w praktyce państwa te nie wnosiły i nie wnoszą prawie żadnej inicjatywy, nic posiadają żadnego własnego stanowiska w międzynarodowych sprawach, nie formułują swych wymagań, krótko mówiąc nie chcą niczego, nie walczą o zrealizowanie żadnego programu, rezerwując sobie jedynie możność zabierania głosu we własnych sprawach, naogół małoważnych, i bez większego znaczenia międzynarodowego. W tych warunkach państwa te stały się nie współpracownikami dla wielkich Mocarstw, nie partnerami, lecz jedynie zbędnym ciężarem, tolerowanym przez nie ze względów bardzo ogólnych, jako *malum necesarium.*

Każdy obserwator Ligi Narodów niewątpliwie przyzna, że podobne wyjaśnienie odpowiada prawdzie. Członkowie Ligi Narodów zabiegają o względy wielkich Mocarstw, aby za ich pośrednictwem i poparciem dostać się do Rady lub do specjalnych komitetów. Zdawałoby się, że dbają o podobne stanowiska, aby pracować tam w myśl i w obronie interesów mniejszych państw. W rzeczywistości zaś, po dostaniu się na te stanowiska, delegaci tych państw siedzą tam cicho, aby „nie narazić się“ wielkim i aby w ten sposób zapewnić sobie łaski na przyszłość, łaski zmuszające do dalszego i ponownego wysługiwania się silnym. Doszło do tego, że w obecnej sytuacji,

na odważne poczynania na terenie Ligi Narodów pozwalają sobie bądź tak silne państwa jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej (które nadomiar nie są członkiem Ligi), gdyż nie mają nic do wygrania, bądź państwa najsłabsze, gdyż te nic nie mają do stracenia na terenie międzynarodowym.

O ile więc chodzi o zagadnienie współpracy wszystkich zainteresowanych państw, można bez żadnej przesady stwierdzić znaczne pogorszenie się sytuacji w porównaniu z 1920 r. System zapoczątkowany w Lidze Narodów zaczyna mocno zawodzić.

Tak wygląda współpraca w dziedzinie politycznej, a w dziedzinie finansów przedstawia się jeszcze gorzej. I tak w 1920 r. podczas pierwszej konferencji finansowej, zarówno państwa, jak i sfery finansowe wypowiedziały się za utworzeniem w Lidze międzynarodowego ośrodka finansowego. Został powołany do życia międzynarodowy Komitet finansowy, za pośrednictwem którego Liga Narodów, czyli ogół państw, miała mieć możność racjonalnego regulowania stosunków międzynarodowych.

O finansjerze międzynarodowej utarło się naogół przekonanie, że używa swych potężnych wpływów dla celów wyłącznie egoistycznych, nie licząc się z krzywdą, jaką może wyrządzić w poszczególnych krajach. Zgoda więc tej finansjery na rozważanie międzynarodowych spraw finansowych z przedstawicielami państw nawet najdrobniejszych zdawałoby się musi oczyścić w tej dziedzinie atmosferę i zapewnić uzdrowienie finansowych stosunków międzynarodowych.

W Lidze zabrano się do pracy. Na przyszłość w dziedzinie finansów decydować miał nie prywatny interes bankiera, lecz rozum polityczny, a cała akcja finansowa miała być przeprowadzona w myśl rozumnej solidarności międzynarodowej i wynikającego stąd wspólnego interesu.

Życie i tym nadziejom zadało kłam. Państwa, które dopiero co same przyjęły sposób postępowania i zasady w dziedzinie finansów międzynarodowych, jedno za drugiem wolały zwracać się bezpośrednio do bankierów, o których fama głosi, że mają jedynie własny interes na względzie, niż uciekać się do pośrednictwa Ligi.[1]

[1] W kilku wypadkach Liga przyczyniła się do sanacji finansowej poszczególnych Państw. Niewątpliwie interwencje Ligi były skuteczne i należy

Trudno w kilku zdaniach ująć wszystkie przyczyny, które złożyły się na podobny stan rzeczy. Nie ulega jednak wątpliwości, że dopuszczenie wszystkich państw do głosu w sprawach finansowych, dopuszczenie wyczekiwane z takiem upragnieniem, w praktyce zawiodło, gdyż doprowadziło do opracowania warunków cięższych lub mniej dogodnych dla państw potrzebujących kredytów, niż warunki wymagane przez samych bankierów.

Przesunięcie finansowego ośrodka z Ligi do banków musiało przekonać i samych bankierów o nieskuteczności narad genewskich, jak i o potrzebie załatwiania spraw finansowych w ciasnem gronie fachowców.

Organizowanie w obecnej chwili międzynarodowego banku (przewidzianego w planie Younga) przez 7 państw z wykluczeniem innych członków Ligi wymownym jest tego dowodem.

Jeżeli więc w sprawach politycznych odseparowanie się silnych nastąpiło na skutek braku zainteresowania ze strony innych państw, w dziedzinie finansowej obserwujemy tenże objaw spowodowany bądź to nieudolnością, bądź też niefachowością nowodopuszczonych do głosu krajów.

Takie cofanie się w przeszłość daje się zauważyć poza nielicznemi wyjątkami, niemal na całej linji życia międzynarodowego. Objawy podobnego cofania się zarysowują się już zupełnie wyraźnie w dziedzinie gospodarczej. Lansowanie pomysłu gospodarczo sfederowanej Europy, rozmaite plany porozumień celnych, porozumień cłowych i t. d., mają jedynie formę ogólnoeuropejską lub ogólno-światową, lecz projektowane są wyłącznie dla korzyści silnych i poza faktycznem dopuszczeniem państw słabszych. Śmiało można twierdzić, że jedynie dla przyzwoitości w projektach tych przewidziano drzwi otwarte dla wszystkich, gdyż wygodne miejsca zgóry zostały zajęte.

Jak w innych, tak i w dziedzinie gospodarczej, sytuacja jest zupełnie jasna. Dla silnych współpraca z resztą państw jest korzystna. Lecz jeśli ta współpraca ma się ograniczać jedy-

uznać, że Liga całkowicie wywiązała się ze swego zadania. Niemniej jednak należy pamiętać, że finansowa działalność Ligi nie zachęciła innych państw do zwracania się o pomoc Genewy, a nawet te państwa, które o taką pomoc prosiły, uczyniły to jedynie po przekonaniu się, że poza Ligą kredytów nie uzyskają.

nie do strony formalnej, jeśli dopuszczenie do współpracy nowych partnerów nie wnosi żadnej myśli twórczej, żadnej energji poza energją biernego oporu, w takim razie wygodniej jest pracować w ciaśniejszym zespole, licząc się następnie z koniecznością przezwyciężenia bierności mniej zaawansowanych gospodarczo państw.

Państwa będą miały Ligę Narodów, na jaką zasługują. Jeśli większości delegatów będzie zależało jedynie na „stanowiskach", na popisach krasomówstwa, na okazjach zabłyśnięcia na terenie międzynarodowym, aby w ten sposób „wzmocnić" swe stanowiska we własnych krajach, na ocieraniu się o wielkich ludzi i popisywaniu się znajomością z niemi, będą mieli Ligę rozgadaną, śniadankującą, obiadującą, przepracowaną przyjęciami, rautami... „posiedzeniami", zastanawiającą się czy należy zalecić wszystkim państwom wydanie jakiejś broszurki, uchwalającą międzynarodowe konwencje oparte na fałszywej frazeologji konwencyj, których żadne państwo nie będzie miało zamiaru stosować, — krótko mówiąc, będą mieli Ligę dostosowaną do potrzeb większości. Wartki natomiast pęd życia międzynarodowego, bogaty w olbrzymią energję, nie zada sobie nawet trudu wywracania takiej Ligi, pozostawi tę zabawkę w spokoju, a będzie rwał naprzód, wymijając Genewę zdaleka.

Na podstawie doświadczenia pierwszych 10-ciu lat, międzynarodową współpracę na terenie Ligi Narodów można na przyszłość przedstawić linją falistą według następującego wzoru:

1) Dopuszczenie do współpracy wszystkich zainteresowanych;

2) przystąpienie do tej współpracy większości państw *pro forma*, jedynie ze względów prestiżowych, bez żadnego programu pracy;

3) obniżenie poziomu pracy międzynarodowej;

4) organizowanie współpracy państw energicznych poza ogółem państw, poza Ligą;

5) odczucie niewygody podobnej sytuacji przez państwa pozostające poza tą współpracą i wymaganie przywrócenia ogólnej współpracy;

6) nawrót do ogólnej współpracy;

7) i znowu upadek tej współpracy z wyżej wymienionych względów i t. d., i t. d. w kółko.

Przerobienie niemal żywiołowej energji, którą wszyscy odczuwamy w stosunkach międzynarodowych, na energję użyteczną dla danego kraju wymaga od jego obywateli rzetelnego wysiłku — pozorami nie da się uskutecznić.

Genewa, w listopadzie 1929 r.

ROMAN DYBOSKI

MIĘDZYNARODOWY KONGRES OŚWIATOWY W CAMBRIDGE

(22—29 SIERPNIA 1929 R.)

I

Zagadnienie oświaty dorosłych jest jednym z problemów społecznych, które z konieczności wywiązać się musiały na gruncie demokratycznego rozwoju nowoczesnych społeczeństw w XIX w. Demokracja mieszczańska, gdy doszła do panowania w ustrojach politycznych Europy zachodniej w pierwszej połowie tego stulecia, zabrała się wszędzie między innemi do systematycznego rozszerzania oświaty szkolnej na upośledzone dawniej warstwy społeczne. Obok tego niebawem powstająca w uprzemysłowionym świecie demokracja robotnicza poczęła się domagać zorganizowanej pracy oświatowej wśród dorosłych, któraby im dawała surogat nieodbytych wyższych studjów szkolnych, a zarazem dostarczała środków duchowych do walki o polepszenie bytu i podniesienie się na wyższy szczebel hierarchji społecznej.

Tym żądaniom warstw robotniczych najwcześniej i najobszerniej zaczęła czynić zadość prywatna inicjatywa organizacyjna społeczeństwa w Anglji. W tym sensie Anglja jest właściwą ojczyzną nowoczesnych usiłowań na polu oświaty dla dorosłych. Przybrały one tam zrazu skromniejszą formę „szkółek niedzielnych", sięgających swemi początkami jeszcze XVIII wieku; później, w pierwszej połowie XIX stulecia, nastąpił okres bujnego rozkwitu tak zwanych Mechanics' Institutes, dokształcających rzemieślników i robotników głównie w zakresie nauk przyrodniczych i technicznych. Dalszym stopniem było tworzenie „Kollegjów robotniczych", wyposażonych w budynki i prowadzących systematyczne wieczorne wykłady. Najstarsze i najpoważniejsze takie Working Men's College, działające do dzisiaj, założył w r. 1854 w północnej części Londynu liberalny teolog, Fryderyk Denison Maurice,

a w historji jego zapisali się jako wybitni działacze oświatowi powieściopisarz Charles Kingsley i znakomity medjewalista, Fryderyk James Furnivall.

W nową fazę weszła sprawa oświaty dorosłych w Anglji, gdy poczęły się nią interesować stare Uniwersytety angielskie. Pierwsze powszechne wykłady uniwersyteckie pod egidą samego Uniwersytetu zorganizowane zostały w Cambridge w r. 1873, a inicjatorem ich był James Stewart. Od tego czasu i Cambridge i Oxford nie ustają w pracy na polu powszechnych wykładów uniwersyteckich, ujętych po wojnie w ramy organizacyjne osobnych „Komisyj dla studjów poza murami Uniwersytetów" (Boards of extra-mural studies). Za przykładem starych wszechnic nowsze Uniwersytety angielskie z Londynem na czele roztoczyły gorliwą działalność oświatową wśród szerszego ogółu i prowadzą ją dziś — o ile chodzi o Uniwersytety prowincjonalne w wielkich miastach przemysłowych — każdy w swojej właściwej, geograficznie ograniczonej sferze wpływów.

Na gruncie jednej ze starych wszechnic, mianowicie Oxfordu, w r. 1899, dzięki hojności amerykańskiej, powstał przybytek innej jeszcze i dalej idącej idei w zakresie kształcenia dorosłych: stworzony został internat, w którym wybrane jednostki z klasy robotniczej mogą przebywać okres dłuższy i odbyć na miejscu regularne oxfordzkie studja uniwersyteckie. Instytucja nosi nazwę Ruskin College na cześć wielkiego pisarza, który sam tak wybitnie się przyczynił do szerzenia kultury estetycznej wśród szerokich mas uprzemysłowionej Anglji nowoczesnej.

Równocześnie na terenie misjonarskiej pracy wyznaniowej, z inicjatywy sekciarskiej, oświata dla dorosłych w Anglji zyskała w r. 1899 nowy i również czynny dotychczas ośrodek pod nazwą „Unja szkół dla dorosłych" (Adult Schools Union).

Ważniejszy jednak jeszcze i prawdziwie przełomowy wypadek zaszedł w r. 1903, gdy utalentowany samouk i znakomity organizator, Albert Mansbridge, założył największą w dzisiejszej Anglji organizację oświatową: „Związek oświatowy pracowników" (Workers' Educational Association). Dziełem tej organizacji jest gruntowne przekształcenie całego systemu kształcenia dorosłych pod względem metodycznym. Na miejsce dawniejszych wykładów do tłumnych audytorjów stanęły teraz zamknięte i ograniczone do szczupłej liczby uczestników grupy dyskusyjne pod

nazwą Tutorial Classes. W tych grupach nauka odbywa się bardziej systematycznie, przy ciągłym osobistym kontakcie małego grona uczniów z kierownikiem przez dłuższy okres czasu (zwykle trzy lata) i przy czynnym współudziale uczniów przez referaty i dyskusje, na które zasadniczo przeznaczona jest ta sama liczba godzin, co na wykłady. Oświata dorosłych przeszła w ten sposób — by mówić żargonem uniwersyteckim — od metod ściśle wykładowych do nowszej metody seminaryjnej. [1]

Za przykładem Workers' Educational Association poszły inne organizacje, stojące po części na platformie jakiejś ideologji wyznaniowej czy radykalizmu politycznego, i wszędzie dziś metoda klas dyskusyjnych jest przyjętym sposobem prowadzenia nauki na kursach oświatowych dla dorosłych. Z Anglji metoda ta rozeszła się po wielu krajach kontynentu europejskiego oraz po Ameryce.

Wobec szybkiego wzrostu rozmiarów całej pracy od założenia Workers' Educational Association i zgodnie z panującemi dziś we wszystkich dziedzinach prądami etatystycznemi, dzieło oświaty dorosłych w Anglji, pozostawione dawniej w zupełności inicjatywie prywatnej jednostek i grup społecznych, w naszych czasach toczy się przy coraz wydatniejszym współudziale Państwa, zarówno w postaci subwencyj jak i w postaci kontroli. Nastroje w czasie wojny światowej wyraźnie zapowiadały, że po niej pragnienia oświatowe mas wzmogą się znacznie i pretensje do Państwa w tym względzie będą większe niż kiedykolwiek. Toteż Państwo w r. 1919 przez najnowszą z epokowych angielskich ustaw oświatowych ostatnich dziesięcioleci unormowało cały swój stosunek do pracy nad oświatą dorosłych, a od r. 1921 przyczynia się do jej postępów także przez prace stałej Komisji rządowej dla tych zagadnień: cały szereg sprawozdań tej Komisji o stanie poszczególnych zagadnień z tej dziedziny wyszedł w publikacjach Ministerstwa oświaty.

---

[1] Metodę Tutorial Classes bardziej szczegółowo przedstawiłem w mojej broszurze *Nauka i oświata pozaszkolna* (Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1924). Na samym kongresie w Cambridge obecny sposób działania tych Tutorial Classes zaprezentował nam w pełnym werwy referacie ślepy, ale bardzo ruchliwy i czynny docent historji w Uniwersytecie Cardiff, Mr. McInnes.

II

Obok Anglji na polu oświaty dorosłych wybitnie się zaznaczyły kraje skandynawskie, przedewszystkiem Danja, której naczelny nowoczesny działacz oświatowy, Sven Grundtvig, stał się prawdziwym bohaterem narodowym, a której Uniwersytety ludowe cieszą się w całym świecie zasłużoną sławą wzorów i przykładów.

Doświadczenia Anglików i Skandynawów zużytkowali z właściwą sobie skrzętnością Niemcy w okresie uprzemysłowienia i rozwoju opieki społecznej po r. 1870, pogłębiając, rozszerzając i różniczkując całą tę robotę oświatową pod względem ideowym i metodycznym. Rozmiarami pracy i techniczną sprawnością jej organizacji, tak samo jak obfitością zasobów w nią włożonych i liczebnością ludzi z niej korzystających, przoduje oczywiście w naszych czasach w tej dziedzinie, jak w tylu innych, Ameryka.

W Polsce potężny impuls pracy oświatowej wśród dorosłych drogą prywatnej inicjatywy społeczeństwa dały przykre konieczności naszego położenia politycznego w XIX wieku, i śmiało rzec o sobie możemy, że gdy o usiłowaniach szczęśliwszych, wolnych narodów — jak Danja — było w świecie głośniej, u nas dokonywały się na tem polu rzeczy wielkie. O pracach takich instytucyj epoki porozbiorowej jak Towarzystwo Czytelń Ludowych w Poznańskiem, Towarzystwo Szkoły Ludowej i Uniwersytet Ludowy pod zaborem austrjackim, Macierz Szkolna i warszawskie Kursy dla Dorosłych w Królestwie, możemy mówić z dumą do całego świata. W Polsce wolnej praca nad oświatą pozaszkolną obok pracy nad rozbudową szkolnictwa staje się uznanym terenem działalności Państwa, tak samo jak w innych krajach w dobie dzisiejszej. Obecnie Instytut Oświaty Dorosłych w Warszawie i Wydział Oświaty Pozaszkolnej w Ministerstwie Oświaty skupiają fachowych przedowników, prowadzą badania i służą informacjami, wreszcie koordynują wysiłki różnych instytucyj społeczno-oświatowych, które nam w spuściźnie przekazała epoka porozbiorowa. Mamy kwitnące uniwersytety ludowe wiejskie, walczymy skutecznie z analfabetyzmem, szerzymy kulturę artystyczną przez teatry ludowe, udostępniamy dobrą muzykę i społecznie przydatną wiedzę fachową przez radjo, oraz przez prasę i tanią literaturę popularną. Wśród tego wszystkiego urabia się i u nas, jak gdzieindziej, zastęp ludzi, którzy już nie są zapalonymi amatorami, oddającymi się pracy nad oświatą

dorosłych w chwilach wolnych od innej pracy zawodowej, lecz mogą się poczytywać za fachowców w tej dziedzinie i oddają jej całe swe siły. Grupują się oni wokoło pisma *Polska oświata pozaszkolna* w Warszawie i gorliwie się starają korzystać z doświadczeń innych krajów na polu oświatowem.

Pragnienia ludzi tego typu w całym świecie cywilizowanym musiały znaleźć wyraz w dążeniu do organizacji międzynarodowej tej kategorji oświatowców. W licznych takich organizacjach międzynarodowych i w prawdziwej powodzi rozmaitych kongresów w ostatnich latach wszakże znajduje wyraz tęsknota powojennej ludzkości za zbliżeniem poważnionych niedawno narodów i za harmonijną współpracą kulturalną celem dźwignięcia się wspólnemi siłami z ruiny wojennej i zapewnienia światu trwałego pokoju. Znajduje w nich także wyraz mesjanizm i duch misjonarski wielkich i politycznie silnych narodów, pragnących mentorować mniejszym, normalizować ich życie, utrzymywać pośród nich pewien ustalony porządek, a między sobą równowagę wpływów światowych.

Wszystkie te tendencje, które znamy z Ligi Narodów i skądinąd, musiały się także przejawić w organizacji międzynarodowej działaczy na polu oświaty dorosłych. Organizacja skrystalizowała się w Anglji jako kraju o najdawniejszej w tej dziedzinie tradycji. Mansbridge i kilku jemu bliskich założyło w Londynie wkrótce po wojnie Międzynarodowy Związek Oświatowy (World Association for Adult Education), a silnem oparciem dla nowego zrzeszenia stał się stworzony również po wojnie w Londynie osobny instytut dla badań nad zagadnieniami oświaty pozaszkolnej — British Institute of Adult Education — dzieło zmarłego niedawno męża stanu o filozoficznym umyśle i rozległych światowych widnokręgach, lorda Haldane. Za patrona nowych międzynarodowych poczynań rozmyślnie obrano pozaangielskiego męża stanu podobnie filozoficznego typu — prezydenta Masaryka — i uczyniono go honorowym prezydentem światowego Związku. Ale do kongresu międzynarodowego jako wielkiej manifestacji działalności nowego światowego stowarzyszenia doszło dopiero w dziesięć lat po końcu wojny. Kongresy międzynarodowe dla spraw oświaty pozaszkolnej nie są oczywiście pomysłem zupełnie nowym. Jeden taki kongres odbył się w Belgji dwa lata przed wojną, drugiemu przeszkodziła wojna; kongres roku 1929 jest pierwszym powojennym i pierwszym wogóle zjazdem oświatowców na tę skalę.

Na miejsce kongresu obrano Cambridge, hołdując w ten sposób inicjatywie tego starego Uniwersytetu w sprawie Uniwersytetów ludowych w r. 1873. Wybór okazał się nader szczęśliwym. Mieszkając przez tydzień w cudnych starych budynkach kollegjów uniwersyteckich, przechadzając się przy wspaniałej pogodzie i boskim wakacyjnym spokoju po spowitych bluszczem dziedzińcach i zielonych ogrodach, wdychaliśmy istotnie w siebie coś z tej atmosfery wielowiekowego historycznego dostojeństwa i wzniosłej filozoficznej zadumy, jaką owiane są stare mury Oxfordu i Cambridge. Umiał przelać w słowa czar tej atmosfery i majestat długich stuleci historji Uniwersytetu jeden z najstarszych uczestników kongresu, czcigodny dziekan z Norwich, gdy w osobnym doskonałym wieczornym odczycie, obficie ilustrowanym obrazami świetlnemi, zaznajomił nas w zarysie z dziejami miasta i wszechnicy Cambridge i z ustrojem Uniwersytetu, do czego jeszcze młody jego współpracownik dorzucił pełny temperamentu szkic dzisiejszego życia studenckiego w Cambridge.

Otaczający nas czarowny świat kamienny starego miasta uniwersyteckiego swem spokojnem pięknem i łagodną zadumą musiał oddziaływać uspokajająco na wszelkie roznamiętnienie, na wszelką egzaltację, na wszelką przesadę: a ten pierwszy wielki kongres oświatowców, złożony z zapaleńców ideowych i po części z radykałów społeczno-politycznych, na te wady przecież szczególnie był narażony. Kojąco swoją drogą wpływał na nie także ten orzeźwiający żywioł humoru, którym wszelkie większe zebrania i uroczystości w Anglji ku niemałemu zdziwieniu przeciętnego kontynentalnego Europejczyka stale są przeniknięte.

A kongres miał i musiał mieć oczywiście przeważająco anglosaski charakter Zorganizowany przez prezydjum o przeważająco angielskim składzie, zgromadził w Cambridge sporą liczbę przedstawicieli starszych i nowszych organizacyj oświatowych angielskich i w ich przemówieniach,[1] oraz w krótkim memorjale drukowanym, oddanym do rąk uczestników kongresu przez brytyjskie Ministerstwo Oświaty, otrzymaliśmy doskonały obraz przeszłych i teraźniejszych usiłowań na polu oświaty dorosłych w Wielkiej Brytanji.

[1] Względnie w drukowanych streszczeniach jako surrogatach przemówień niewygłoszonych. Dzięki przeszkodom osobistej natury nie stawili się bowiem niektórzy bardzo wybitni oświatowcy angielscy, jak Sir Michael Sadler, socjolog G. D. H. Cole i ekonomista Tawney z Oxfordu.

Obok Anglików, jak na wszystkich kongresach powojennych, liczebnie wysuwali się na front Amerykanie i zwyczajem swoim w licznych referatach bombardowali nas masami cyfr i faktów. Rozwój instytucyj, służących oświacie pozaszkolnej w Ameryce, przedstawia się istotnie imponująco, nietylko dzięki ogromnym środkom materjalnym, któremi Ameryka rozporządza, ale także dzięki specjalnemu nastawieniu psychicznemu społeczeństwa, w którem kształcenie się pozaszkolne ludzi zarobkujących celem osiągania coraz wyższych stopni na drabinie społecznej należy — lub przynajmniej należało do niedawna — do zjawisk najzwyklejszych i do tradycyj narodowych najżywotniejszych.

Nietyle liczebnością członków, ile obfitością i ideowem bogactwem swoich referatów wyróżniało się przedstawicielstwo Niemiec, złożone z pierwszorzędnych fachowców i, jak zwykle, przygotowane doskonale do swego zadania. Delegaci niemieccy, wśród których nie było przedstawicieli ani skrajnej prawicy, ani skrajnej lewicy politycznej, prezentowali się naogół jako oświatowcy *pur sang* i wnieśli znaczny kapitał myślowy w obrady kongresu. Widocznem było, jak na wszystkich prawie kongresach powojennych, że wysiłek ten jest celowy i zdąża do zdobycia dla żywiołu niemieckiego silnego stanowiska w organizacji światowej, opanowanej dotychczas przez Anglików. Językiem urzędowym kongresu był język angielski, i na ten język jedynie tłumaczono wszelkie przemówienia, wygłaszane w językach innych. Niemcy demonstracyjnie prawie wszyscy bez wyjątku zmuszali zebrania zarówno plenarne jak sekcyjne do wysłuchiwania długich referatów w języku niemieckim, potem dopiero tłumaczonych na język angielski lub po angielsku streszczanych. Obok oczywistego dążenia do zajęcia mocnej pozycji w reprezentacji światowej biła jednak ze wszystkich prawie przemówień niemieckich troska nad rozstrojem moralnym, anarchją intelektualną i niepokojem społecznym Niemiec powojennych i pragnienie znalezienia w oświacie czegoś, coby, jak dawniej religja, wnosiło pierwiastki pewności i stałości w umysły i w życie.

Obok Niemców poważnie się zaznaczyły narody skandynawskie, które na każdym kroku traktowano z poszanowaniem, należnym ich świetnej tradycji oświatowej. Znikomym natomiast był udział narodów romańskich, ograniczony do jednego przemówienia francuskiego. Przyczyny może szukać należy w tem, że, jak wynikało z referatu francuskiego delegata, formy poza-

szkolne pracy oświatowej mało są w świecie łacińskim rozwinięte. Włochów nie było wcale: jak sobie opowiadano, działaczom włoskim odmówił paszportów rząd Mussoliniego, może ze względu na lewicowe zabarwienie polityczne wielu organizacyj oświatowych. Jedyny obecny na kongresie Hiszpan drapował się w dostojne milczenie.

Świat słowiański wystąpił dość licznie i czynnie. Sporo, jak zwykle, było Czechów; ale przewyższyła ich i liczbą uczestników i liczbą referatów grupa polska, złożona z blisko trzydziestu przedstawicieli różnych organizacyj oświatowych. Z Jugosławji przybył tylko belgradzki docent literatury angielskiej, z Rosji emigranckiej dwóch wybitnych profesorów (Hessen i Meyendorff). Rosja sowiecka reprezentowaną nie była, ale drukowany komunikat o jej oświacie pozaszkolnej znalazł się w rękach uczestników kongresu.

W obradach kongresu zarówno na zebraniach plenarnych, jak na posiedzeniach sekcyj, przeważały systematyczne referaty, które zajęły niemal wszystek czas. Ten jednostronnie informacyjny charakter kongresu nie leżał podobno w zamiarach jego organizatorów, którzy potrzebny zasób informacyj faktycznych pragnęli oddać w postaci księgi encyklopedycznej do rąk zebranych, a same obrady poświęcić wymianie myśli co do zagadnień zasadniczych. Księga jednak nie ukazała się na czas, a że przy takiem pierwszem spotkaniu w okresie powojennym każdy, kto tylko doszedł do słowa, pragnął rzucić garść faktów o działalności oświatowej wśród własnego narodu, to było może naturalne i nieuniknione. W każdym razie jednak nie brakło skarg na „kagańcową" organizację kongresu — z polskiej strony wyraził je w dowcipnem improwizowanem przemówieniu profesor W. Lutosławski — i słusznie w kilku przemówieniach podniesiono, że nie takiej postawy można było się spodziewać po organizatorach kongresu, którzy sami w swych usiłowaniach oświatowych reprezentują nowy prąd dyskusyjny, a tymczasem na kongresie zastosowali do przesady dawne metody normatywno-wykładowe.

III

Zobrazowawszy w ten sposób w ogólnych zarysach zewnętrzne oblicze kongresu, rzućmy z kolei okiem na treść ideową jego obrad. Charakterystyka jej może się oczywiście opierać tylko na tych

przemówieniach na zebraniach plenarnych i sekcyjnych, których sprawozdawcy udało się wysłuchać.

Kongres miał i musiał mieć swoją tendencję. Nie mówię tu o tendencyjności polityczno-socjalnej. Tej była tylko bardzo skromna doza: dała się zauważyć w pewnej mierze w przemówieniu powitalnem ministra oświaty obecnego robotniczego Rządu Jego Królewskiej Mości, Sir Ch. P. Trevelyan'a, który oczywiście nie omieszkał zaznaczyć, że oświata pozaszkolna była potężnym czynnikiem w rozwoju Labour Party (tak jakby to było jednym z najważniejszych celów pracy oświatowej!). Także dwaj robotnicy angielscy, którzy przemawiali — jako jedyni przedstawiciele „konsumentów" oświaty na tym zjeździe jej „producentów" — ku rozczarowaniu obecnych powtarzali przeważnie utarte hasła demagogji klasowej. Nie uderzył w tę nutę bynajmniej — to trzeba zaznaczyć — w swych dwóch zasadniczych przemówieniach sam prezydent kongresu, zasłużony przodownik w pracy oświatowej, Albert Mansbridge. Przeciwnie, podniósł konieczność naukowej bezinteresowności w pracy naukowej i podkreślił, że nawet wychowanie obywatelskie mas jest tylko drugoplanowym celem tej pracy. Odgraniczył przez to siebie i swoją „Workers' Educational Association" wyraźnie od innych imprez, forytowanych przez Stronnictwo Robotnicze i działających w imię ściśle partyjnej ideologji. Z drugiej strony zato starał się usilnie zaakcentować pokrewieństwo duchowe, zbliżenie faktyczne i wymianę wpływów ideowych między oświatą pozaszkolną a oficjalną nauką uniwersytecką. Mansbridge, choć samouk bez systematycznego wykształcenia, ale dziś obsypany zaszczytami przez uniwersytety angielskie, jest gorącym wielbicielem wspaniałej tradycji Oxfordu i Cambridge i napisał o nich pełną zapału książkę. Przemówienia jego na kongresie jednak, niestety, były raczej dowodem na to, że najrzetelniejsze wysiłki samouka, o ile nie jest genjuszem, nie zastąpią tej kultury filozoficznej, którą Oxford i Cambridge tajemniczym jakimś sposobem napawają swych wychowanków przez samą swą atmosferę. Mansbridge starał się mówić filozoficznym stylem akademickim, ale często upajał się tylko poprostu samym dźwiękiem wzniosłych abstrakcyjnych wyrażeń. Jeżeli mimo to wybrano go jednomyślnie przewodniczącym związku światowego, to był to raczej hołd dla wielkiej organizatorskiej inicjatywy w przeszłości, niż dla jakichkolwiek twórczych dokonań duchowych w dobie obecnej.

Wybór ten zarazem był manifestacją tej tendencji, o której zacząłem mówić jako panującej nad całym kongresem. Chodzi o pewną tendencję w samem pojmowaniu pracy oświatowej i w jej metodach. Kongres był wszakże jakby przyłożeniem pieczęci międzynarodowej na tym procesie przemiany, który w nauczaniu pozaszkolnem w Anglji przedewszystkiem, a za jej przykładem i gdzieindziej, w ostatnich dziesięcioleciach się dokonał, a któremu założona przez Mansbridge'a organizacja Workers' Educational Association w swych metodach najwybitniejszy dała wyraz. To też od początku do końca przez całe obrady kongresu ciągnął się motyw przeciwieństwa między dawniejszym czyli „ekstensywnym" a nowszym czyli „intensywnym" sposobem prowadzenia nauki pozaszkolnej dla dorosłych. Kontrastowi temu specjalnie była poświęcona jedna sekcja kongresu, ale i na innych sekcjach i na ogólnych zebraniach ciągle o nim mówiono. Okazało się przytem od pierwszej chwili, że różne narody bardzo rozmaite łączą pojęcia z wyrazami „ekstensywność" i „intensywność", ale po wysłuchaniu pewnej ilości przemówień przeciwieństwo, o które chodzi, dało się łatwo sprowadzić do kilku zasadniczych różnic. W swoim własnym referacie kongresowym pozwoliłem sobie streścić je w trzech punktach. Po pierwsze dawniejszy „ekstensywny" system apelował do wielogłowych, tłumnych audytorjów na odczytach, a nowy, „intensywny", dzieli uczniów na małe grupy o ograniczonej, ściśle określonej liczebności. Powtóre tamten system działał przez wykłady, a więc drogą normatywnego nauczania, a ten działa przez dyskusje w grupach, a więc drogą wspólnego uczenia się. Wreszcie po trzecie tamten system za cel sobie stawiał podawanie wiedzy — po niemiecku wissen — a więc oddziaływał głównie na intelekt i starał się udzielać pewnego zasobu ogólnego wykształcenia, system zaś intensywny ma za cel wyrobienie pewnych czynnych i twórczych uzdolnień — po niemiecku können — zwraca się nietylko do rozumu, ale do całej osobistości człowieka i dąży nie do zaokrąglenia jego ogólnego wykształcenia, lecz do doskonalszego przysposobienia człowieka do pełnienia pewnych funkcyj społecznych, które mu życie wyznaczyło.

Kongres, zgodnie z górującym w całem dzisiejszem myśleniu kierunkiem społecznym, stanął przeważającą siłą swej opinji po stronie metod intensywnych. Zalecał je gorliwie w pierwszym dniu obrad w długim i niezmiernie bogatym w myśli i fakta odczycie

znakomity nowoyorski profesor pedagogiki, W. H. Kilpatrick. Profesor Kilpatrick znany jest z tego, iż jako naczelną myśl swej filozofji pedagogicznej rzucił światu proste, ale śmiałe twierdzenie, że „wychowanie nie jest przygotowaniem do życia, ale samem życiem". Teorja taka musiała pociągnąć za sobą gruntowny przewrót w stosunku nauczyciela do uczącej się młodzieży; wynikało z niej poważniejsze, niż dotąd, traktowanie dziecka i młodzieńca jako samodzielnej, żyjącej swoistem życiem jednostki ludzkiej. Ale wynikało także naodwrót, że jeżeli wychowanie jest życiem, to całe życie jest z pewnego punktu widzenia ciągłem wychowaniem i nikt z nas nigdy uczniem być nie przestaje. Pojęcie „kształcenia dorosłych", na takiej ideologji oparte, rozciąga się niebywale szeroko Kilpatrick nie uniknął błędu innych entuzjastów oświaty pozaszkolnej, którzy w zakres czynników oświatowych wciągają całe mnóstwo sił, nie służących bezpośrednio wykształceniu, ani wychowaniu, i przez to pozbawiają hasło „oświaty dla dorosłych" właściwie specyficznej treści. W odczycie programowym Kilpatricka określeniem organów kształcenia dorosłych objęta była cała rozległa galerja zjawisk życia współczesnego od kina i radja do prasy i książki, ba nawet od partji politycznej do Ligi Narodów. Ale ciekawszem od tego szerokiego ujęcia idei środków wychowawczych — naturalnego przecież na ustach zapalonego pedagoga! — było niemniej szerokie ujęcie samych zadań i celów ideowych pracy wychowawczej dzisiejszej. Stwierdził więc Kilpatrick zasadniczo, że minęły czasy, gdy kształcenie dorosłych miało poprostu służyć jako środek do polepszenia bytu klas „niedostatecznie uprzywilejowanych" (under-privileged). Dziś, wśród kołowrotu przemian technicznych i innych w naszym uprzemysłowionym i zmechanizowanym świecie, chodzi o usprawnienie człowieka, o ułatwienie mu dostosowania się do zmiennych i wzrastających wymagań czasu. Od cywilizacji, opartej na tradycji i normie, przeszliśmy do cywilizacji, której duszą jest eksperyment; na miejscu społeczeństwa statycznego mamy dynamiczne. W tych warunkach stałe kształcenie się człowieka dorosłego jest elementarną koniecznością życiową. Oprócz imperatywnych konieczności gospodarczo-społecznych szczególniejsze znaczenie sprawie oświaty dorosłych nadają w dobie obecnej jeszcze dwie okoliczności, pozornie uboczne, a jednak nader ważne. Pierwsza z nich, to ta wzrastająca ilość wolnego czasu, którą przy ciągłych mechanicznych udoskonaleniach pracy przemysłowej i przy

stałym rozwoju ustawodawstwa społecznego masy robotnicze wszędzie zaczynają rozporządzać. Kwestja godnego i kulturalnego zużytkowania tego czasu jest kwestją pierwszorzędnego znaczenia dla całej przyszłości naszej cywilizacji. Powtóre zaś przenikający całą naszą epokę gorączkowy niepokój na gwałt domaga się lekarstw. Przyczyną tego niepokoju i niezadowolenia jest po części zabójcza monotonja i duchowa jałowość tej mechanicznej pracy, na którą najszerszy ogół ludności jest skazany — a po części, i to w większej jeszcze mierze, brak jednolitego religijno-filozoficznego systemu ideowego, któryby posiadał powszechny autorytet i ożywiał i uświęcał swem tchnieniem nawet najpospolitsze zajęcia ludzkie, tak jak to miało miejsce w katolickiem średniowieczu. Dziwić się nie można, że wielki teoretyk pegagogiki, jak Kilpatrick, w działalności oświatowej na szeroką skalę widzi środek na tę naczelną bolączkę naszych czasów, jak ją słusznie nazywa.

W tym punkcie myśli jego spotykają się z treścią kilku innych zasadniczych referatów na kongresie. W nutę religijną z natury rzeczy uderzył Dr. Masterman, anglikański biskup diecezji Plymouth, w swem doskonałem przemówieniu na pierwszem posiedzeniu plenarnem. I on, jak po nim Kilpatrick, silnie zaznaczył, że głównym i ostatecznym celem kształcenia dorosłych musi być urobienie sprawnej i twórczej osobistości ludzkiej, nacechowanej pełnią rozwoju, harmonją i równowagą. Prawo człowieka do własnej osobowości narażone jest na szwank w dzisiejszym świecie ruchów masowych, masowego bytowania i masowej świadomości. Funkcją oświaty jest przywrócić człowiekowi to prawo. W duchu tych zasad biskup Plymouth zajął się w swem przemówieniu pewnemi „ubocznemi produktami moralnemi“ pracy oświatowej, jakby je może nazwał fachowy oświatowiec. A więc uwydatnił znaczenie takich uszlachetniających wyników kształcenia dorosłych, jak przebudzenie zmysłu dla piękna, jak wyrobienie poczucia koleżeństwa przez wspólne poszukiwanie prawdy, jak wreszcie podnoszenie ducha służby społecznej w szerokich kołach przez przykładną pracę oświatową. Według pięknego jego określenia powszechne dążenie do dóbr materjalnych wytwarza współzawodnictwo i antagonizm, zaś dążenie do dóbr duchowych — współdziałanie i zgodę. „Świat uczący się byłby światem pokoju“. Zatrzymał się biskup Plymouth na chwilę przy kwestji metod, podzielając zresztą ogólne na kongresie uznanie dla metod intensywnych. Nadewszystko jednak usil-

nie akcentował związek między oświatą a religją. Zaraz na początku swego przemówienia stwierdził śmiało, że problem oświaty pozaszkolnej jest problemem religijnym, bo religja właśnie zajmuje się urabianiem osobistości. Tylko w jedności z Bogiem osobistość ludzka sięga szczytu rozwoju: *ego* tylko wtedy dochodzi do pełni bytu, gdy jest w ustalonej rozumowej łączności ze wszechświatem wartości duchowych. Do ustalenia tej łączności, do wskazania człowiekowi tego jego miejsca w świecie i do wyjawienia mu owego układu prawdziwych wartości, dąży zarówno nauka, jak religja. Dlatego zdaniem biskupa Plymouth różnicy między nauką świecką a nauką religijną naprawdę być nie może. Wszystkie bowiem przedmioty nauki i wszelkie jej metody zbiegają się w kierunku rzeczywistości ostatecznych, w kierunku tworzenia jakiegoś poglądu na świat, który nie jest niczem innem, jak religją. Wskazawszy w ten sposób na węzły, które łączą pracę oświatową w naczelnych jej zadaniach z religją, liberalny teolog anglikański z wykwintną dyskrecją nie omieszkał podnieść, że zadaniem pracy oświatowej musi być utrzymanie umysłu ucznia w stanie giętkim, podatnym i otwartym dla świeżych idei i nowych prawd. Taka otwartość umysłu da się pogodzić z ustalonemi przekonaniami, nie zgadza się tylko z fanatyczną nietolerancją. Oczywiście, że na to postawienie sprawy zgodzić się musieli nawet ci z obecnych, którzy są zwolennikami zasadniczego rozgraniczenia między oświatą a religją.

IV

O ile w przemówieniach, jak Kilpatrick'a i Masterman'a, rozbrzmiewała raczej zasadnicza nuta duchowej doniosłości kształcenia dorosłych wogóle, o tyle w ściślej programowym już sensie, w duchu panującej na kongresie tendencji, mówił o funkcji i celach kształcenia dorosłych w świecie dzisiejszym młody, ale niepospolicie bystry i stanowczy myśliciel pedagogiczny niemiecki, profesor Wilhelm Flitner z Hamburga. W jego przemówieniu dwie przeciwstawione sobie na kongresie metody pracy oświatowej — ekstensywna i intensywna — urosły do dostojeństwa ideałów kulturalnych dwóch epok historycznych — minionej i obecnej. Ideał oświatowy zaokrąglonego, wszechstronnego, „ogólnego" wykształcenia, to według prof. Flitnera ideał arystokratycznej kultury wieku oświecenia, niewłaściwie stosowany w początkach nowej demokra-

tycznej ery, a dziś już zupełnie nieprzydatny. Nie wierzymy dziś w tym stopniu, że czysta wiedza jest potęgą, a tembardziej, że inteligent o „ogólnem" wykształceniu dawnego typu będzie życiowo i społecznie sprawnym. Musimy się starać wychowywać dziś każdego do skutecznego pełnienia tych funkcyj, które ma w społecznym systemie do pełnienia, i w tym sensie musimy różniczkować uzupełniające wykształcenie dorosłych. Musimy też starać się wykryć prawdziwe duchowe potrzeby mas, dyktowane przez przemiany w warunkach socjalnych i ekonomicznych, — a nie wychodzić poprostu z założenia, że są to potrzeby czysto intelektualne. Musimy wreszcie zrezygnować z ideologji liberalizmu, który oddzielał wykształcenie od wszelkich spornych problemów aktualnych, czy to politycznych, czy społecznych, czy religijnych. Taka neutralność dziś nie jest możliwą. Kształcenie dorosłych, by być żywotnem, musi być zróżniczkowane nietylko społecznie i funkcjonalnie, ale także ideologicznie. A więc muszą w praktyce istnieć obok siebie kursa dla dorosłych wyznaniowe i bezwyznaniowe, radykalne i konserwatywne, socjalistyczne i nacjonalistyczne, robotnicze i burżuazyjne. A spotkanie się ze sobą tych różnych tendencyj w dziedzinie pracy oświatowej może dać wyniki twórcze. Musi się stać rzeczą możliwą pracować oświatowo obok siebie przy bezwarunkowem wzajemnem uznaniu rozmaitych platform ideowych: to będzie dopiero prawdziwem wychowaniem do współpracy w społeczności politycznej. Tak samo między narodami — zakończył Flitner — wymiana doświadczeń w dziedzinie pracy oświatowej na zasadzie spokojnego uznania istniejących różnic politycznych może się stać szkołą sąsiedzkiego pożycia państw.

Wywody profesora Flitnera słusznie zwróciły na siebie powszechną uwagę, bo w pierwszej swej części ujmowały w sposób najbardziej zdecydowany i skrajny pewne panujące tendencje, a w drugiej zwracały się w sposób zgoła sensacyjny przeciwko przyjętej i wielokrotnie bezkrytycznie powtarzanej angielskiej tezie o koniecznej „bezpartyjności" pracy oświatowej. Właśnie z tą drugą częścią referatu Flitnera, choć przeciwną doktrynie Anglików, zgodziłem się najzupełniej: sam wszakże w mej broszurze *Nauka i oświata pozaszkolna* (1924) określiłem nie utopijną „bezpartyjność", lecz możliwą w praktyce „międzypartyjność" jako właściwą postawę ideową w pracy oświatowej. Natomiast pierwsza część tego znakomitego referatu niemieckiego właśnie przez swą skrajną jed-

nostronność w obronie metod intensywnych jako jedynie dziś wskazanych i w potępieniu metod ekstensywnych jako zupełnie przeżytych, pobudziła mnie do opozycji w referacie, który na wezwanie prezydjum kongresu wygłosiłem na posiedzeniu sekcji, poświęconej zagadnieniu metod. Zaznaczyłem tam, że to ryczałtowe traktowanie sprawy jest zrozumiałe jako objaw panującej w całym powojennym świecie reakcji przeciw tradycjom i autorytetom, że jednak rozumowanie obrońców metody wyłącznie intensywnej cierpi na pewne rażące niedostatki. Ośrodkiem ich koncepcji kształcenia dorosłych jest idea funkcji społecznej danej jednostki, czyli, jak to językiem teologji protestanckiej określił inny niemiecki mówca, Pfleiderer, idea „powołania człowieka". Otóż takie postawienie rzeczy byłoby zupełnie słuszne tylko wtedy, gdyby ta funkcja społeczna jednostki była ściśle określona i niezmienna. Teoretycy funkcjonalizmu zdają się operować pojęciem społeczeństwa dyscyplinowanego po prusku, stopniowanego według rang jak wojsko (i to bez możliwości awansu!), podzielonego na grupy społeczne o stałości cechów średniowiecznych lub kast indyjskich. Zdają się myśleć o „powołaniu społecznem" jakby o czemś w rodzaju kalwińskiego przeznaczenia. A my tymczasem żyjemy, jak nam powiedział Kilpatrick, w erze dynamicznego a nie statycznego porządku społecznego; musimy się liczyć z tem, że i w Europie, jak w Ameryce, zmiana zawodów i środowisk społecznych w życiu jednostki stanie się zjawiskiem powszechnem i częstem, i musimy wyrabiać zdolność do zastosowania w zakresie szerokim, a nietylko sprawność na polu ograniczonem. Zwróciłem się także przeciwko brakowi zmysłu historycznego, widocznemu u powojennych przeciwników dawnych metod ekstensywnych. Oświadczyłem, że wbrew opinji Niemców, jak Flitner, uważam Goethego zawsze jeszcze za ideał godny naśladowania przez każdego człowieka i w każdej epoce; że humanizm jako właściwa treść „ogólnego wykształcenia" nie jest bynajmniej związany wyłącznie z XVIII wiekiem, z arystokratycznym ustrojem społecznym, ani z bojami duchowemi ery Oświecenia; że właśnie po skrajnej specjalizacji, właściwej nauce wieku XIX, panuje dziś w rozległych dziedzinach myśli naukowej tęsknota za syntezą i poczucie potrzeby jeżeli nie pewnego zasobu ogólnej wiedzy faktycznej, to pewnego zapasu ogólnych idej u każdego należycie kształconego człowieka. Funkcjonalizm społeczny jako hasło dzisiejszego kształcenia dorosłych zwraca się przeciwko panującemu dawniej intelektualizmowi.

Rzeczywiście jednostronny intelektualizm zawierał w sobie niebezpieczeństwo popadania w martwą teorję, niebezpieczeństwo nieżywotności, a wskutek tego i niepopularności podawanej nauki. Ale zalecany dziś funkcjonalizm zawiera w sobie niemniejsze niebezpieczeństwo przeciwnego rodzaju: grozi popadnięciem w płaski i ograniczony utylitaryzm zawodowo-społeczny. Tymczasem, zdaniem mojem, praca oświatowa winna zawsze dbać o utrzymanie idealizmu w duszach ludzkich. Idealizm zaś musi znajdywać wyraz w pewnem wznoszeniu się ponad bezpośrednie potrzeby bieżącego życia społecznego, choćby potrzeby najbardziej krzyczące.

Jako wyjście praktyczne z dylematu wskazałem — tak jak to zresztą już uczynił w swem przemówieniu sędziwy szwedzki działacz oświatowy, Oskar Olsson — konieczność syntezy ekstensywności z intensywnością w prawdziwie racjonalnym programie. Mogłem się zresztą powołać na fakta doświadczenia, choćby na postępowanie samej organizacji angielskiej Workers' Educational Association, która dzieli czas swych grup po połowie między wykłady a dyskusję, lub na przedstawione nam przez pannę van Dugteren metody kursów holenderskich, gdzie po kursie wykładów następuje równej długości kurs studjów. Innego rozwiązania — tak zakończyłem — nie ma i być nie może, bo żadna grupa ludzi uczyć się bez przewodnictwa nie potrafi, tak samo jak żaden tłum ludu sam nie stworzy ballady, pieśni lub melodji ludowej.

V

Jak czytelnik widzi z powyższego streszczenia referatów Flitnera i mojego, był na kongresie nastrój bezwzględnej propagandy „modernizmu oświatowego", jeżeli go wolno tak nazwać, i przeciwko jednostronności tej propagandy ja uznałem za wskazane wystąpić w roli „adwokata szatana", czyli obrońcy potępianych metod dzisiejszych.

Ale nie byłem jako ten *advocatus diaboli* zupełnie odosobniony. Od pierwszego dnia kongresu nie brakło głosów krytyki i sceptycyzmu w stosunku do rozmaitych stronniczych wybujałości panującej ideologji. Trzeźwym zmysłem dla rzeczywistości i nawet rozkosznym humorem tchnął wygłoszony zaraz na pierwszem ogólnem zebraniu referat profesora A. L. G. MacKay z Uniwersytetu

Adelaide o pracy oświatowej w Australji. Przedstawiając nie bez ironji wielkie wysiłki nad stworzeniem standardyzowanej kultury masowej w młodem społeczeństwie australijskiem, prelegent starannie uwydatnił niedomagania systemu. Zaznaczył, że metodzie dyskusyjnej stoi na przeszkodzie brak należytego mechanizmu zarówno językowego jak myślowego u ogółu uczestników kursów dla dorosłych; że z drugiej strony nauczyciele na tych kursach — przeważnie profesorowie lub inni zawodowcy, poświęcający tej pracy część wolnego czasu i siły już nadwerężone inną robotą — przy wielkich audytorjach łatwo ulegają pokusie powierzchownego a efektownego traktowania przedmiotu. Zakończył wnioskiem, że na miejsce forsownej i masowej produkcji oświaty staranna selekcja i ograniczenie ilościowe zarówno co do nauczycieli, jak szczególnie co do uczniów, byłyby wskazane. Używając nader trafnego porównania, powiedział nam, że „nie warto szlifować wszystkich naszych kamyków: lepiej oszlifować dobrze diamenty, a one roztoczą swe promieniowanie wśród kamyków".

Niemniej mile od Australczyka orzeźwił nas wykwintnym humorem sędziwy Francuz, inspektor szkolny, p. M. Roger, w swem przemówieniu francuskiem — jedynem na kongresie, ale zato, jak zwykle przemówienia francuskie, jako popis oratorski, prawdziwie koncertowem Zaznaczył, że w kraju nawskróś etatystycznym, jak Francja, tę jedną dziedzinę wychowania, t. j. wykształcenie dorosłych, pozostawiono inicjatywie prywatnej, i to nietylko dla oszczędności (motyw u Francuzów zawsze pierwszy), ale dlatego, że nieubłaganie jasna myśl francuska zdawała sobie sprawę z ograniczonych możliwości zorganizowanej akcji w tej dziedzinie. We Francji „Uniwersytety ludowe" pod koniec XIX wieku falą przyszły — i przeszły; na uzupełniających kursach zawodowych (organizowanych przez państwo) jest dążność do kompletowania programu przez wychowanie moralne i obywatelskie; ale w opinji publicznej niema wiary w szerzenie „ogólnej kultury" wśród ludzi „skończonych", o ile sami indywidualnie po nią nie sięgają. Zapowiedział wprawdzie mowca zwrot w poglądach dzisiejszego społeczeństwa francuskiego na korzyść wysiłków organizacyjnych w tej dziedzinie, jako potrzebnej i właściwej nadbudowy szkolnictwa powszechnego; ale jako dokonany fakt specyficznie francuski mógł ukazać nam tylko skromne miejscowe organizacje byłych uczniów przy pojedynczych szkołach — tak zwane amicales, które rzeczywiście,

jego zdaniem, stają się prawdziwemi ogniskami dalszego wykształcenia rzesz pracujących.

Na szerszej, niż oświatowa, bo ogólno-społecznej podstawie oparli krytykę dotychczasowych dokonań i popularnych programów niektórzy wybitni mowcy na posiedzeniu plenarnem, poświęconem zagadnieniu: „Kształcenie dorosłych a klasa robotnicza". Jako pierwszy na tem zebraniu przemówił doskonałą angielszczyzną zangliczały Niemiec, Dr. W. Picht z Hamburga, obecny szef sekcji uniwersyteckiej w Komisji Współpracy Intelektualnej przy Lidze Narodów. Z godną uznania odwagą stwierdził bez ogródek, że akcja oświatowa wśród dorosłych spotykała się niejednokrotnie z nieufnością w oficjalnych kołach uniwersyteckich z powodów zrozumiałych i słusznych. W niektórych bowiem swych formach akcja ta była, jak się wyraził Dr. Picht, jakimś „komunizmem oświatowym", była nazbyt wyraźnie natchniona przez zgoła nierealne złudzenia demokratyczne co do zainteresowań duchowych szerokich mas, i obniżała jakość wielkich wartości duchowych nauki przez sposoby ich popularnego ujmowania Z drugiej strony zaś działacze na polu oświaty pozaszkolnej — przeważnie szlachetni dyletanci i samouki — unosili się nieraz sentymentalną egzaltacją w stosunku do „skarbów wiedzy" w czasie, gdy pośród wtajemniczonych już się dokonywała rewizja pojęć co do wartości tych skarbów. Był więc w całym ruchu oświatowym pewien brak zmysłu dla proporcji, pewien brak równowagi duchowej, który mu szkodził. Zdaniem referenta tę równowagę ustalić mogą nietyle sami działacze oświatowi, ile odbiorcy oświaty w postaci rzesz robotniczych. Te rzesze mianowicie dokładnie wiedzą, czego chcą, nie patrzą, tak jak inteligencja, na odczyty i kursy dla dorosłych jako na rekreację, nie pragną szukać w sferze myśli naukowej ucieczki od rzeczywistości życia, lecz przeciwnie żądają uzbrojenia duchowego do rozumowego opanowania otaczającego świata, chcą mieć w ręku środki do stworzenia sobie życia lepszego i godniejszego, nietylko pod względem materjalnym, ale i moralnym. Klasa robotnicza w Europie, mniej związana z przeszłością, niż inne warstwy, wytwarza atmosferę twórczego niepokoju i fermentu, a przez to warunki postępu. Zbawienie całego świata leży w tem, by robotnikowi dawać w dziedzinie oświatowej to, czego dziś świadomie żąda.

Do tego przemówienia dodał jeszcze drugi obok Pichta przedstawiciel Ligi Narodów imieniem Międzynarodowego Biura Pracy w Ge-

newie, że Liga Narodów właśnie przez to swoje biuro przyczynia się do stworzenia podstawowych warunków należytej działalności oświatowej wśród robotników przemysłowych, starając się zagwarantować klasie robotniczej we wszystkich krajach drogą ustawodawczą potrzebną ilość wolnego czasu na cele kulturalne.

Wywody Dr. Pichta, śmiałe i trafne w swej pierwszej części, gdzie krytykował pewne błędy i iluzje dotychczasowej akcji oświatowej, w części drugiej same może były natchnione pewnemi iluzjami co do świadomości kulturalnej dzisiejszego robotnika europejskiego [1] — a może były rozmyślnym komplementem pod adresem klasy robotniczej w modnym dzisiaj stylu.

To też pożądaną poprawkę do tych rozumowań wniosło przemówienie innego znakomitego działacza oświatowego na tem samem zebraniu. Szwed Dr. Ryszard Sandler, przewodniczący głównej robotniczej organizacji oświatowej w swym kraju i były socjalistyczny minister oświaty, ku zdziwieniu słuchaczy wystąpił stanowczo przeciwko zamącaniu ideologji oświatowej przez hasła klasowe. Stwierdził, że jest zasadniczym błędem odróżniać oświatę dla robotnika od innych form oświaty pozaszkolnej; że robotnik rzeczywisty przedstawia się całkiem inaczej, niż literackie pojęcia o „proletarjacie"; że robotnikowi prawdziwemu obcą jest przypisywana mu awersja do „kultury burżuazyjnej"; że, przeciwnie, gorąco pragnie posiąść tę kulturę, jaka w świecie istnieje i jaką przeszłość historyczna stworzyła; że robotnicy bynajmniej nie unoszą się tym zachwytem, co działacze oświatowi na kongresie, dla idei „funkcjonalizmu", — nie widzą w usprawnieniu zawodowem naczelnego celu oświaty pozaszkolnej; że szczególnie młodsi robotnicy w Szwecji okazują skłonność do studjów humanistycznych. O ile chodzi o wpływ oświaty na losy ludzkości, dowodził Dr. Sandler, lepiej może nie marzyć o przeobrażeniu całej społeczności ludzkiej przez kształcenie robotnika, a raczej stawiać sobie za cel, by tego robotnika przez oświatę zrobić dobrym obywatelem tego świata, w jakim *de facto* żyjemy. Podniósł dalej mowca, że żywotnym pier-

[1] Na dowód, jak dalece tu chodzi jeszcze o „muzykę przyszłości", wystarczy wspomnieć, że według statystyki Brytyjskiego Ministerstwa Oświaty, z 12 miljonów ludności robotniczej Wielkiej Brytanji, zaledwie 160.000 ludzi obecnie korzysta z oświaty dla dorosłych w jakiejkolwiek formie! Przytoczył ten fakt w swym referacie p. B. B. Thomas, szef Uniwersytetu ludowego Harlech College w Walji.

wiastkiem pracy oświatowej musi być ochotniczy charakter roboty zarówno nauczycieli, jak uczniów i wolność działania: lepsza wolność z wszystkiemi omyłkami, w które się przy najlepszej woli popada, niż najoświeceńszy despotyzm. Właśnie z tą wolnością zaś nie zgadza się krępowanie programów oświatowych przez doktrynę walki kłas i interesów stanowych Wiele innych jeszcze równie zdrowych jak nieoczekiwanych myśli zawierało to interesujące przemówienie. A więc zaznaczył były minister socjalistyczny z całym naciskiem, że właściwości i tradycje narodowe muszą nadawać swe zabarwienie wszelkiej pracy oświatowej, bo wychowanie wszystkiemi korzeniami tkwi w glebie życia narodowego. Podniósł również, wbrew nieprzemyślanym hasłom demokratycznym, że muszą być wyższe i niższe stopnie w systemie oświaty pozaszkolnej dla dorosłych: że innej oświaty potrzeba dla mas, a innej dla jednostek wybranych, które mają być przywódcami. I tego nie omieszkał powiedzieć, że oświata musi obejmować nietylko rzeczy bezpośrednio potrzebne w życiu, ale także pierwiastek pewnego zbytku duchowego, bo właśnie taki zbytek wysubtelnia i uszlachetnia przeciętne ludzkie natury. Zakończył Dr. Sandler pięknemi słowami: „Robotnik jest człowiekiem, i chce stać się jeszcze bardziej człowiekiem przez oświatowy ruch robotniczy".

Byłoby się chciało widzieć sowieckiego komisarza oświaty, słuchającego takiej mowy doświadczonego działacza socjalistycznego. W każdym razie otrzeźwiającą i orzeźwiającą chłodną kąpielą była ta przemowa dla wielu obecnych na sali działaczy oświatowych w ich ferworze ideologicznym.

VI

Na przykładzie tych kilku wybranych i streszczonych powyżej przemówień o treści ogólnej i zasadniczej poznaliśmy główne prądy ideowe, które nurtowały kongres, i przekonaliśmy się także o tych nieuniknionych i wielkich sprzecznościach, w których kongres jako pierwszy światowy zjazd tego rodzaju wikłać się musiał w swych rozważaniach nad samemi podstawowemi zagadnieniami.

Rozejrzyjmy się nieco w obradach różnych sekcyj kongresu nad poszczególnemi zagadnieniami i dziedzinami pracy oświatowej.

Mówiłem już o jednej z najważniejszych sekcyj, mianowicie o tej, która była poświęcona centralnemu dla całego kongresu pro-

blemowi stosunku ekstensywności do intensywności w metodyce oświaty pozaszkolnej. Sekcja ta obradowała w dwóch grupach, i w pierwszej z nich zagwoździł niemal całą dyskusję, ale zarazem także wywarł głębokie wrażenie na słuchaczach dyrektor Uniwersytetu ludowego ze Stutgartu, Dr. W. Pfleiderer, przez swoje długie przemówienie o moralnych niedomaganiach naszych czasów i o znaczeniu oświaty jako środka zaradczego na nie. Dr. Pfleiderer mówił o stosunkach w swojej ojczyźnie, ale niewątpliwie z myślą, że cała cywilizowana ludzkość naszych czasów znajduje się w stanie podobnym. W każdym razie nigdy jeszcze w świecie powojennym nie spotkałem się z podobnie przejmującym obrazem głębokiego fermentu w społeczeństwie. Rozkład rodziny, niepewność w stosunkach społecznych, przesilenie państwowości — oto w oczach tego światłego Niemca naczelne cechy dzisiejszego stanu Niemiec. Niegdyś normowała te dziedziny życia swym autorytetem religja: w świecie nowożytnym od nastania protestantyzmu religja tego autorytetu nie ma; więc jedynym ratunkiem jest, by go dostarczyła nauka i oświata — oto konkluzja, do której doszedł mowca. Można ją podzielać albo jej nie podzielać; niejeden z nas może nie będzie zdolny przypisać oświacie taką czarodziejską wszechmoc społeczną; w każdym razie jednak w tym niemieckim referacie uszanować trzeba było realny wysiłek nad moralnem ufundowaniem pracy oświatowców i nad związaniem zadań kongresu z najważniejszemi sprawami dzisiejszego świata.

W sekcji drugiej, poświęconej oświacie rolniczej, jeden z delegatów polskich, p. Kobyliński z Ministerstwa Rolnictwa, w treściwym referacie (wygłoszonym po angielsku przeze mnie) przedstawił poważny dorobek Polski w tej dziedzinie.

Sekcji poświęconej zagadnieniom kobiecym przewodniczyła wdowa po zmarłym niedawno wybitnym działaczu oświatowym niemieckim i była jego współpracowniczka, pani Erdberg. Zauważyć się jednak dało, że obrady tej sekcji nie budziły szerszego zainteresowania, może dlatego, że kobiety uczestniczące w kongresie, na równi z mężczyznami bardzo gorliwie i czynnie pracowały po wszystkich innych sekcjach. Tak samo niewiele (może za mało) zainteresowania obudziły obrady sekcji poświęconej wychowaniu rodzicielskiemu.

Osobna sekcja poświęcona oczywiście być musiała doniosłej roli, jaką w dziele oświaty pozaszkolnej odegrał ruch t. zw. settle-

ments, t. j. kolonij uniwersyteckich w dzielnicach robotniczych wielkich miast przemysłowych. Od stworzenia pierwszego takiego settlement przez Arnolda Toynbee w Londynie pod koniec wieku XIX liczne dalsze instytucje tego typu niemało się przyczyniły się do zbliżenia i lepszego zrozumienia wzajemnego między inteligencją akademicką a demokracją robotniczą i do podniesienia poziomu życia duchowego wśród mas robotniczych. Nic też dziwnego, że w sekcji settlementowej wiele miały do powiedzenia o swym dorobku w tej dziedzinie nadewszystko Anglja i gorliwie naśladująca jej przykład Ameryka. Ale zwrócili też na siebie powszechną uwagę przedstawiciel finlandzki, który dał obraz intensywnej pracy settlementowej w Finlandji powojennej, szczególnie na wsi, — oraz polski oświatowiec, p. K. Korniłowicz z Warszawy, który w angielskiem przemówieniu zobrazował pokrewne settlementom nasze organizacje „świetlicowe", a szczególnie pomyślny ich rozwój w dzielnicach robotniczych Warszawy.

Obszerne miejsce w obradach kongresu zajmowała sekcja bibljoteczna. Niedarmo wszakże Carlyle już blisko sto lat temu powiedział, że „najlepszy Uniwersytet w naszych czasach, to zbiór książek", i dziś praca nad rozwinięciem czytelnictwa jest jedną z najżywotniejszych gałęzi roboty oświatowej. Obok działaczy amerykańskich, angielskich i niemieckich, którzy na zebraniu tej sekcji przedstawiali doświadczenia swych krajów w dziedzinie bibljotekarstwa popularnego, doszły tam do głosu także Czechy i Polska — ta ostatnia nader kompetentnie reprezentowana przez francuski referat p. prof. H. Orsza-Radlińskiej z Warszawy.

Jednym z efektowniejszych pomysłów organizatorów kongresu było poświęcenie osobnej sekcji temu potężnemu czynnikowi oświatowemu, jakim w ostatnich latach stało się radjo. Do licznie zebranych uczestników tej sekcji przemawiał jako jej przewodniczący pierwszorzędny znawca przedmiotu — Anglik, A. R Burrows, sekretarz Międzynarodowego Związku Radjowego w Genewie. Byłoby się chętnie i w tej sekcji usłyszało głos polski, któryby poinformował zgromadzenie o tej znacznej przecież roli, jaką u nas w ostatnich czasach odgrywa radjo jako rozsadnik oświaty na wsi, szczególnie za sprawą Kół Młodzieży Wiejskiej. Nie omieszkałem zresztą szerzyć wiadomości o tem w rozmowach prywatnych, do których wspólne posiłki dawały dość sposobności, i które były wogóle nader cennem uzupełnieniem oficjalnych obrad kongresowych.

Praca oświatowa wśród marynarzy stanowiła przedmiot osobnej sekcji, bardzo ważnej oczywiście z punktu widzenia Anglików, u których ta dziedzina pracy jest szeroko rozrośniętą. Miejmy nadzieję, że i u nas, w miarę rozrostu naszej marynarki handlowej, dojdzie ona do większego znaczenia.

Na zebraniu sekcji, poświęconej powszechnym wykładom uniwersyteckim (University Extension), usłyszeliśmy wyczerpujący referat jednego z dygnitarzy uniwersyteckich w Cambridge, czcigodnego staruszka, Dr. R. St. J. Parry, o rozwoju tej instytucji w Anglji, zapoczątkowanym przez Cambridge. Po nim obszernie i z wielkim nakładem materjału statystycznego mówił o analogicznym ruchu w Ameryce profesor łaciny w Uniwersytecie Kalifornijskim, L. J. Richardson, ilustrując swoje wywody przedewszystkiem przykładami z Kalifornji samej. Dowiedzieliśmy się, że w tym szczęśliwym Stanie, który przecież i pod względem krajobrazowym jest istnym rajem ziemskim, panuje natężony pęd ku oświacie pozaszkolnej: $^1/_{12}$ ludności całej Kalifornji z różnych instytucyj dla oświaty dorosłych korzysta; frekwentantów tych instytucyj, dodał prelegent, w całych Stanach Zjednoczonych jest pięć razy tyle, co studentów w Uniwersytetach, które przecież, jak wiadomo, właśnie w obecnej dobie są w całej Ameryce przepełnione. Miał więc prawo profesor Richardson użyć wyrażenia, że po Ameryce przechodzi obecnie podobna fala entuzjazmu dla nauki, jak po Europie w dobie Odrodzenia. Opowiedział nam także ciekawe rzeczy o rozpowszechnieniu w Ameryce wyższych kursów korespondencyjnych, przez które nauka z Ameryki dociera nawet do obywateli amerykańskich, pracujących zawodowo w odległych od cywilizacji stronach świata, np. w Azji środkowej, i uzupełniających tą drogą tam na miejscu swoje wykształcenie.

W sekcji pod tytułem „Organizacje internatowe“ miało oczywiście pole do popisu wspomniane już we wstępie do niniejszego sprawozdania uniwersyteckie Kollegjum robotnicze imienia Ruskina w Oxfordzie: przemawiał jego szef A. Barrat Brown. W tej sekcji także doszła do głosu instytucja wyznaniowa katolicka, mianowicie Katolickie kollegjum robotnicze w Oxfordzie, które reprezentował jezuita, ks. L. O'Hea. Jest wielką zasługą Mansbridge'a, że w przeciwieństwie do innych doktrynerów oświaty pozaszkolnej nie wzgardził

ani nie zignorował oświaty, szerzonej przez tego rodzaju instytucje wyznaniowe pod egidą różnych kościołów chrześcijańskich, lecz przeciwnie, od początku szukał z niemi kontaktu, ustanowił wymianę doświadczeń i idei i umożliwił współpracę. Ze strony polskiej przemawiał w tej sekcji p. Ignacy Solarz, kierownik Uniwersytetu ludowego w Szycach pod Krakowem, i dał obraz instytucji, z której mamy wszelki powód być dumni.

Żywotne znaczenie dla całego szeregu narodów miały obrady sekcji, poświęconej walce z analfabetyzmem. Zaprezentowały się nam na tej sekcji przedewszystkiem Indje z ogromem swoich zadań oświatowych. Mówili o sytuacji oświatowej w Indjach z wielką znajomością rzeczy i szczerą sympatją dwaj przedstawiciele żywiołu angielskiego, urzędnik administracyjny (o kiplingowskiem nazwisku Strickland!) i działacz oświatowy; ale usłyszeliśmy także głos samej ludności indyjskiej przez usta kobiece: mówiła jedna starsza pracowniczka oświatowa z księstwa Hyderabad i jedna młoda i urocza przedstawicielka plemienia Parsów, a więc jednego z najruchliwszych umysłowo szczepów indyjskich. Ta ostatnia wprawiła nas także w zachwyt na improwizowanym koncercie w jeden z wieczorów kongresu, śpiewając nam pieśni ludowe w kilku językach Indyj. Sprawy oświaty w Indjach, tak ważne i zajmujące dla Anglików, zajęły zresztą nieco czasu i na zebraniach ogólnych. Mówił o nich z wielką rozwagą i z całą godnością wspaniałej kulturalnej tradycji Indyj znany dobrze z różnych powojennych kongresów międzynarodowych mohamedański działacz indyjski, Jussuf Ali, który przy tej okazji miał nawet odwagę powiedzieć, że analfabetyzm nie jest koniecznie równoznaczny z brakiem kultury, i że od niejednego analfabety indyjskiego, przesiąkniętego wielowiekową mądrością swego kraju, wiele może się nauczyć cywilizowany Europejczyk. Mówił o zadaniach pracy oświatowej w Indjach z drugiej strony z propagandystyczną zawziętością anty-angielską zapalony młody student indyjski, który nie omieszkał wpleść pochlebnej wzmianki o Rosji sowieckiej jako wzorze walki z analfabetyzmem dla całego świata. Z inicjatywy profesora Lutosławskiego, ja, jako jedyny na sali względny znawca stosunków bolszewickich, nawiązałem do tego wystąpienia w krótkiem przemówieniu własnem i przedstawiłem przyczyny, dla których reklamowana hałaśliwie kampanja anty-analfabecka rządu sowieckiego uległa załamaniu.

W samej sekcji walki z analfabetyzmem chlubny dorobek odrodzonej Polski w tej dziedzinie zaprezentował w swym referacie (wygłoszonym po angielsku przezemnie) naczelnik wydziału oświaty pozaszkolnej w naszem Ministerstwie Oświaty, p. Marjan Godecki. Szczególne wrażenie na obcych słuchaczach zrobiło — jak zawsze, gdy się o tem zagranicą mówi — stwierdzenie wielkich zasług naszej armji około tępienia analfabetyzmu. Jedyna to chyba armja w świecie dzisiejszym, co tak skutecznie pracuje oświatowo.

VII

Do najbardziej interesujących ze względów zasadniczych należały dwa tematy, omawiane na ostatniem posiedzeniu plenarnem kongresu. Pierwszy z nich opiewał: „Stosunek nauk humanistycznych do technicznych w oświacie pozaszkolnej". Jak się pokazało, w pojęciu organizatorów dyskusji chodziło właściwie o różnicę między nauką czystą a stosowaną. Otóż obaj mowcy na ten temat, Duńczyk Hegermann-Lindencrone i Anglik Dr. Herbert Schofield, trafnie stwierdzili, że granica między temi dwiema dziedzinami nauki jest trudną do pociągnięcia — że każdej, nawet najbardziej praktycznej i zawodowej umiejętności, można uczyć tak, żeby otwierać przed uczniem perspektywy w kierunku wielkich uogólnień wiedzy abstrakcyjnej, i że z drugiej strony tak zwana nauka czysta także służyć może społecznej przydatności człowieka, i wtedy naprawdę tylko jest żywotną, gdy tę łączność z rzeczywistem życiem zbiorowem ma na oku. Dr. Schofield, kierownik wyższej szkoły technicznej w Loughborough, a zarazem kursów dokształcających przy tej szkole, na podstawie swojego bogatego doświadczenia pedagogicznego w doskonały sposób przedstawił praktycznie, jak z wykształceniem technicznem łączyć można elementy wykształcenia w ścisłem znaczeniu słowa humanistyczne, i jak dobroczynnie na umysły jego studentów oddziałują praktykowane systematycznie ćwiczenia w wymowie oraz zajęcia dobrowolne w zakresie sztuki dramatycznej i muzyki. Ukazał nam również jako prawdziwie zachęcający przykład te wielkie obopólne pożytki duchowe, jakie w jego szkole wynikły z organizacji koleżeńskiego współżycia między studentami szkoły a uczestnikami kursów oświatowych przy szkole.

Jak każdy kongres, tak i ten oświatowy w Cambridge musiał pod koniec uderzyć szczególnie silnie w nutę porozumienia i zbliżenia międzynarodowego. To też drugim tematem ostatniego zebrania plenarnego była „Funkcja Międzynarodowego Związku Oświatowego w dziedzinie współpracy międzynarodowej". Znaczenie tego przedmiotu było silnie zaakcentowane przez to, że przemawiał o nim sam prezydent kongresu, Mansbridge. Kilka nader konkretnie ujętych myśli o możliwych formach działalności Międzynarodowego Związku Oświatowego rzucił w pełnem temperamentu przemówieniu młody amerykański działacz Edward C. Lindeman, profesor psychologji socjalnej w Szkole Pracy Społecznej w Nowym Yorku. Ale najbardziej może realnie, i to od strony zaniedbanej zazwyczaj na takich kongresach, ujęła dane zagadnienie nasza doświadczona działaczka oświatowa, prof. Helena Orsza-Radlińska z Warszawy, w referacie, który za nią wygłosiłem po angielsku. Przypomniała mianowicie, że Międzynarodowy Związek Oświatowy, istniejący od dziesięciu lat, nie działa w pustej przestrzeni, lecz że istnieje cały szereg innych organizacyj międzynarodowych o celach pokrewnych, i że trzeba szukać kontaktu i koordynacji z pracą tych innych instytucyj. Jedna z nich, również na skalę światową, World Federation of Educational Associations[1] odbywała prawie w tym samym czasie wielki kongres w Genewie. Z innych p. Radlińska wymieniła kilka wybitniejszych — jak „Międzynarodówkę Oświatową Robotników", międzynarodową organizację bibljotekarzy, międzynarodową organizację służby społecznej, wreszcie Międzynarodowe Biuro Pracy w Genewie — i zalecała ich poznanie i współpracę z niemi. Wskazówki te były bardzo na miejscu pod adresem przeważających na kongresie Anglików i Amerykanów, którzy często po wojnie, z zapałem tworząc wielkie organizacje międzynarodowe dla kulturalnego zbliżenia narodów, nie wiedzą zupełnie o tem, że podobne rzeczy na kontynencie Europy już się robiły lub robią.

Manifestacyjnem dopełnieniem obrad tego ostatniego zebrania na temat współpracy międzynarodowej była wielka mowa, którą na osobnem uroczystem zebraniu wieczornem wygłosił Newton

---

[1] O tej organizacji i jej konresie w Edynburgu, odbytym w lecie r. 1925, pisałem w październiku r. 1925 w miesięczniku *Ruch Pedagogiczny* (Kraków).

D. Baker, były minister wojny Stanów Zjednoczonych. Mówił o znaczeniu pracy oświatowej dla wytworzenia atmosfery pokoju w świecie i obudził entuzjazm przez swą swadę, szczególnie gdy kreślił obraz wysoko rozwiniętej pracy oświatowej wśród wojsk amerykańskich we Francji w czasie wielkiej wojny.[1]

Jak już wspomniałem, rozlegały się kilkakrotnie na kongresie głosy niezadowolenia z powodu, że program był zawalony gotowemi referatami i mało było sposobności do dyskusji. Ulegając tym narzekaniom, kierownictwo kongresu dopuściło w ostatnich dniach do przeplatania referatów wystąpieniami niezapowiedzianemi, i w ten sposób doszli do głosu na zebraniach plenarnych przedstawiciele różnych, przeważnie niedawno wyzwolonych narodów, pragnących nam zaprezentować swój dorobek oświatowy. Mówił więc z wielkim zapałem i sporą dozą anty-angielskiej animozji przedstawiciel Egiptu; mówił z podobnie encyklopedyczną gorliwością i politycznem zacięciem przedstawiciel Persji; mówił, witany szczególnie życzliwie, młody przedstawiciel starego kulturalnego kraju, wolnej od kilku lat mglistej wyspy na dalekiej Północy — Islandji — tego jedynego może kraju na świecie, w którym wspaniała literatura średniowieczna („sagi" o przygodach i zwadach rodzin dawnych kolonistów) zachowała żywotność i jest skarbem w całej pełni wykorzystywanym przez dzisiejsze pokolenia narodu.

Oprócz tej koncesji dla usprawiedliwionych ambicyj narodowych kierownictwo kongresu zrobiło jeszcze drugie ustępstwo na rzecz swobodnej dyskusji: urządziło mianowicie w jeden z ostatnich wieczorów szereg równoczesnych zebrań dyskusyjnych w mniejszych grupach. Z tych grup największe może ogólne znaczenie miała grupa poświęcona „Filozoficznym podstawom pracy oświatowej"; odznaczała się też szczególnie liczną frekwencją. Przewodniczył jej młody profesor filozofji A. E. Heath z najmłodszego w Wielkiej Brytanji Uniwersytetu Swansea w Walji, założonego w r. 1920. Profesor Heath w swojem przemówieniu wstępnem stanął na tradycyjnem stanowisku czystego filozoficznego empirycyzmu angielskiego, określając rolę filozofji jedynie i wyłącznie jako „refleksję nad danemi doświadczenia zmysłowego". Takie ujęcie rzeczy pobudziło do opozycji dwóch obec-

[1] Przypomnieć przecież warto, że Ameryka dopiero z okazji mobilizacji wojennej z przerażeniem się przekonała, wielu jeszcze wśród swej ludności ma analfabetów!

nych na sali Polaków. Profesor Wincenty Lutosławski ograniczył się do stwierdzenia, że bez jakiegoś metafizycznego poglądu na świat praca oświatowa nie ma żadnej głębszej treści ani wartości. Ja zaś w dłuższem przemówieniu rozwinąłem pewne myśli, już poruszone w dyskusji nad „ekstensywnością“ i „intensywnością“ pracy oświatowej. Stanąłem w obronie tezy o samodzielnej twórczej czynności ducha ludzkiego, niezależnie od doświadczenia zmysłowego — w obronie idealistycznych systemów filozofji i idealistycznych walorów w pracy oświatowej. Nawiązując do odbytej w tym samym dniu przez wielu członków kongresu wycieczki do wielkiej średniowiecznej katedry w Ely, niedaleko Cambridge, przypomniałem im, że w tym wspaniałym pomniku dawnej kultury podziwialiśmy przecież nie arcydzieło celowego dostosowania do pewnych funkcyj społecznych, nawet nie arcydzieło techniki architektonicznej, lecz nadewszystko monumentalny wyraz tej siły, jaką społeczności owych wieków dawała przenikająca ją całą wielka idea, co uświęcała i ożywiała wysiłki wszystkich, od twórczego genjusza do skromnego wyrobnika.

VIII

Nakoniec kilka słów o naszej reprezentacji na kongresie. Jak już zaznaczyłem, była dość liczną i obok przedstawicielstwa władz i instytucyj państwowych obejmowała przedstawicieli różnych samorządowych i społecznych organizacyj oświatowych. Nad przygotowaniem udziału tego grona przedstawicieli Polski w kongresie pracował już od roku utworzony *ad hoc* Komitet ogólno-państwowy. Staraniem tego Komitetu odbyły się dwa zjazdy oświatowców, w Kazimierzu nad Wisłą i w Szycach pod Krakowem; ponadto zaś z prac Komitetu jako trwały dorobek wyrosły dwie prawdziwie imponujące księgi zbiorowe, które dają wszechstronny obraz przeszłej i obecnej pracy nad oświatą dorosłych w Polsce.[1]

O udziale czynnym pojedynczych członków delegacji z Polski w pracach kongresu przez referaty na zebraniach plenarnych i sek-

[1] *Przewodnik oświaty dorosłych* (1928), pod redakcją A. Konewki i K. Korniłowicza. Warszawa 1929, wydawnictwo Federacji Oświatowej Organizacyj społecznych. — *Bibljografja oświaty pozaszkolnej*, pod redakcją J. Muszkowskiego i H. Radlińskiej, w opracowaniu J. Skarżyńskiej. Warszawa 1929, nakładem Ministerstwa W. R. i O. P.

cyjnych już mówiłem. Tu jednak miejsce jeszcze wspomnieć, że na pierwszem zebraniu ogólnem p. Antoni Konewka, kierownik Kursów dla dorosłych miasta Warszawy i sekretarz Polskiego Komitetu Kongresowego, wygłosił w języku angielskim referat syntetyczny o zasadach i zagadnieniach pracy oświatowej w Polsce wyzwolonej. Szczegóły tej pracy w faktach i cyfrach były zobrazowane po angielsku w osobnej broszurze, stanowiącej odbitkę rozdziału wielkiej księgi informacyjnej kongresu; i trzeba z zadowoleniem nadmienić, że zarówno wyłożone na stół kongresowy liczne egzemplarze tej odbitki, jakoteż egzemplarze drugiej broszury angielskiej p. t *Education in Poland,* wydanej z okazji Wystawy Poznańskiej, zostały skwapliwie rozchwytane przez członków kongresu.

Wspomnieć dalej wypada, że na jednem z zebrań późniejszych ja miałem sposobność wygłosić oficjalne przemówienie grzecznościowe imieniem Rządu Polskiego, i że mnie również przypadł w udziale zaszczytny przywilej postawienia wniosku o wyrażenie przez kongres uznania prezydentowi Dr. Mansbridge na końcowem zebraniu plenarnem. Do tej ostatniej czynności honorowej uzyskałem niejako prawo przez to, że na zebraniu sprawozdawczem przy konstytuowaniu władz Międzynarodowego Związku Oświatowego na rok najbliższy na wniosek prof. Pattersona z Exeter zostałem jednomyślnie wybrany jednym z czterech wice-prezydentów Związku, obok Amerykanina, Duńczyka i Niemki. W tym nieco niespodzianym wyborze wolno widzieć wyraz uznania opinji kongresowej dla żywego i czynnego udziału delegacji polskiej w pracach kongresu

Delegacja polska, choć złożona z żywiołów ideowo różnorodnych, utrzymywała łączność między sobą przez zebrania wieczorne, na których informowaliśmy się wzajemnie o wrażeniach z zebrań ogólnych i sekcyjnych, oraz naradzali się nad taktyką i treścią naszych wystąpień. Tej solidarności w pracy mamy do zawdzięczenia, że udało się nam zdobyć miejsce w programie dla znacznie większej ilości referatów polskich, niż była pierwotnie projektowana przez organizatorów kongresu. Ze szczególnem zadowoleniem nadmienić trzeba, że we wszystkich naszych zebraniach brali udział i przez cały przeciąg kongresu najlojalniej z nami współpracowali przedstawiciele organizacyj oświatowych mniejszości narodowych w Polsce, mianowicie p Dr. Iwan Bryk imieniem „Proswity“

ukraińskiej i p. Seefeldt z małżonką jako kierownik niemieckiego Uniwersytetu ludowego w Dornfeld koło Lwowa.

W myśl naczelnych dążeń kongresu do współpracy i porozumienia między narodami w dziedzinie usiłowań oświatowych delegacja polska uważała za swój obowiązek szukać kontaktu nadewszystko z przedstawicielami naszych sąsiadów. Z inicjatywy naszej odbyło się kilka konferencyj z delegacją czeską, w których wzięli także udział Jugosłowianin i dwaj Rosjanie. Gdy doszło do naszej wiadomości, że ponowny wybór czcigodnego prezydenta Masaryka na przewodniczącego Międzynarodowego Związku wskutek oporu ze strony niemieckiej nie dojdzie do skutku, my Polacy sami wystąpiliśmy z wnioskiem, by jednym z członków stałego Wydziału Wykonawczego Związku został wybrany syn Masaryka, obecny poseł Republiki Czechosłowackiej w Londynie. Wybór został na wniosek naszego delegata przeprowadzony, i w zamian za ten gest z naszej strony Czesi zobowiązali się pisemnie postawić na rok przyszły kandydaturę Polaka. Z ich inicjatywy tym układem zostało objęte także stanowisko jednego z wiceprezydentów, zajęte obecnie przeze mnie; zajmie je zatem z kolei w przyszłym roku Czech.

Narady z delegacją czeską dotyczyły głównie spraw reprezentacji, gdyż współpraca między Polską a Czechami co do samego *meritum* pracy oświatowej pozaszkolnej przez wymianę publikacyj oraz wzajemne wizyty i korespondencję już jest od dłuższego czasu w zadowalający sposób ustalona. Na śmielszy eksperyment stworzenia takiej nieistniejącej dotąd współpracy odważyliśmy się na kongresie w stosunku do innych naszych sąsiadów, mianowicie Niemców. Zaprosiliśmy kilku głównych ich przedstawicieli pod koniec kongresu na zebranie porozumiewawcze do mieszkania jednego z delegatów polskich. Jak już zaznaczyłem, w kongresie uczestniczyli przeważnie rzetelni oświatowcy niemieccy, wolni od zacietrzewienia politycznego. To też rozmowa z Niemcami, zagajona przez niemieckie przemówienia p. Perzyńskiego i moje, toczyła się spokojnie i w nastroju harmonijnym, i doprowadziła do postanowienia utrzymywania stałych stosunków przez korespondencję między instytucjami i jednostkami, oraz przez perjodyczne mniejsze konferencje regjonalne. Uznano słusznie z obu stron, że narody sąsiadujące ze sobą i żyjące w zbliżonych do siebie warunkach, szczególnie wiele mogą się wzajemnie od siebie nauczyć.

W tym fakcie, że tutaj grono światłych i rozważnych Niemców uznało, że z Polakami o sprawach kulturalnych warto mówić jako „wolni z wolnymi i równi z równymi", delegacja polska ma prawo widzieć jeden z najcelniejszych zysków moralnych, jakie przez swą uczciwą pracę na forum międzynarodowem w Cambridge dla Polski zdobyła.

ROMAN GRODECKI

ZAGADNIENIE FEUDALIZMU W POLSCE

W artykule niniejszym [1] rozpatrzeć pragnę pokrótce zagadnienie, czy ustrój feudalny, w którego ramach przeżyła zachodnia Europa kilka stuleci średniowiecza, nazywanego stąd nawet w potocznej mowie niekiedy „epoką feudalną", zapanował też równocześnie i w Polsce, czy nie; a zatem czy w rozwoju kulturalno-politycznym, o ile on znajdował odbicie w feudalizmie, Polska dotrzymała kroku zachodniej Europie, czy też poszła jakąś inną, własną drogą.

Nim przystąpię do merytorycznego rozważenia tego zagadnienia, które — wobec rozciągłości problemu — musi się ograniczyć do najbardziej tylko istotnych punktów, pragnę krótko scharakteryzować stanowisko, jakie nasza nauka historyczna zajęła wobec kwestji feudalizmu. Otóż odrazu można stwierdzić, że w historjografji naszej panuje na ten temat niemal uroczyste milczenie, przerwane zaledwie paru nieśmiałemi głosami. Milczenie to jest dosadnym wyrazem powszechnego poczucia, że feudalizm — to zjawisko o b c e polskim dziejom, a więc i temat o b c y historykom polskim. Można się nim zajmować tak, jak problemami dziejów starożytnego Wschodu, czy Grecji lub Rzymu, a więc z czysto naukowego zainteresowania teoretycznego, lecz bez myśli, by tą drogą zyskać światło dla bezpośredniego rozjaśnienia dziejów własnego narodu i państwa.

Jeżeli w tem powszechnem milczeniu przejawiło się niejako podświadome przekonanie ogółu historyków o obcości feudalizmu dla dziejów Polski, to jednak znaleźli się autorowie, którzy wprost i z całym naciskiem przekonanie to wyrazili, wskazując na zupełną p r z e c i w s t a w n o ś ć rozwoju Polski w porównaniu z zachodnią Europą i starając się ustalić zasad-

[1] Wygłoszony, jako trzeci odczyt z cyklu *Europa i Polska w stosunku dziejowym,* urządzonego w listopadzie i grudniu 1929 przez „Koło Historyków U. U. J." w *Collegium Novum.*

nicze rysy naszych stosunków, uznanych za wytwór własny, swoisty, oryginalny. Pozatem luźnie rozmaici autorzy, pisząc o stosunkach polskich w średnich wiekach, zaznaczali mimochodem podobieństwa lub różnice, jakie ich uderzyły przy mimowolnem porównaniu naszych stosunków z panującemi w krajach zachodniej Europy. Tak jednakże wyraźnie postawione tezy o przeciwstawności naszego rozwoju w porównaniu z zachodnio-europejskim, jak i te luźne uwagi nie miały gruntownego oparcia w celowo przeprowadzonem badaniu źródłowem, lecz były wynikiem czysto zewnętrznej — nie przesądzam na razie: trafnej czy nietrafnej — obserwacji szczegółów analogicznych lub rozbieżnych, bez usiłowań ogarnięcia całokształtu problemu.

Czynnie zapoczątkował u nas naukowe badanie tego zagadnienia na gruncie polskich źródeł historycznych pod kątem widzenia porównawczym z Zachodem Europy prof. Marceli Handelsman w studjum pod tytułem: *Z metodyki badań feodalizmu* (1917 r.). Cel swojego studjum określił w podtytule w ten sposób, iż chodzi mu o ustalenie naukowo właściwych „podstaw porównania". Dostrzegł zaś te podstawy w trzech elementach feudalizmu, t. j. trzech instytucjach, na których — jego zdaniem — opierała się „feodalizacja", postępując niemi, jakby naturalnemi drogami swego rozwoju. Rozumowanie prof. Handelsmana w najzwięźlejszym skrócie przedstawia się tak, że jeśli te trzy podstawowe dla feudalizmu instytucje, czyli te trzy drogi, które nieuchronnie prowadziły do feudalizacji, istniały w Polsce, to w takim razie i nasz kraj i nasze społeczeństwo włączone zostały w obręb świata feudalnego. Studjum swe pojął prof. Handelsman jako do pewnego stopnia próbne, bardziej mu zależało na ustaleniu właściwej metodycznie drogi badania naukowego w danym przedmiocie, niż na osiągnięciu już bezpośrednio i odrazu ostatecznych, zupełnie pewnych wyników. To też choć do zamierzonej analizy nagromadził wcale duży zasób wiadomości źródłowych, jednakże nie uczynił tego jeszcze bynajmniej w wyczerpujący sposób i uzyskane wyniki traktował raczej jako tymczasowe. W zasadzie jednak — jak to poniekąd wypływało z intencyj całego studjum — wynikami osiągniętemi przeciwstawił się tezom o swoistości polskiego rozwoju, a opowiedział się raczej za

równoległością i zasadniczą tożsamością polskiego i zachodnio-europejskiego procesu rozwojowego, określonego nazwą „feodalizacji". Wstrzymał się tylko autor przed wyraźnem stwierdzeniem, że Polska wraz z zachodnią Europą podległa feudalizacji, ponieważ uzyskane wyniki postawiły go właściwie przed dylematem, możliwym do rozwiązania dopiero po o wiele szerszem i głębszem zbadaniu sprawy, mianowicie czy zauważone podobieństwa ewolucji dziejowej są już dowodem tożsamości, ale zarazem samoistności rozwoju Polski i Europy zachodniej, czy tylko dowodem działania pewnych wpływów pośrednich lub bezpośrednich z Europy zachodniej na Polskę.

Do tego samego zagadnienia powrócił prof. Handelsman w roku 1923 w artykule drukowanym w *Przeglądzie Współczesnym*. Mimo niezupełnej jasności jego wywodów jest rzeczą widoczną, że mając otwarte oczy na szereg zasadniczych różnic między ustrojem Polski i Francji w XII w., trwa jednak autor przy tezie, której i tu również wyraźnie nie formułuje, że Polska podległa procesowi feudalizacji, jakkolwiek w tym procesie nie doszła do wytworzenia tej szczególnej, niektórym tylko krajom zachodnim właściwej formy budowy społeczeństwa w średniowieczu, którą nazywamy feudalizmem. Jest tu pewien jakby brak decyzji w tem mglistem nieco sformułowaniu, że polskie społeczeństwo podległo feudalizacji, która była zjawiskiem powszechnem w średniowieczu, ale nie wytworzyło feudalizmu, który był formą szczególną, właściwą krajom, położonym w granicach terytorjum starożytnego cesarstwa rzymskiego i w najbliższym promieniu jego cywilizacyjnych wpływów. Ta ostrożność wynikła z przeświadczenia, że są między Polską a Zachodem Europy silne i wielorakie podobieństwa, ale równocześnie jest tyle niemniej istotnych różnic, że owe podobieństwa nie wystarczają do stwierdzenia tożsamości rozwoju i tożsamości jego wyników.

Otóż to mimowoli tu odsłonięte przeświadczenie, że obok uderzających podobieństw zachodzą tu niemniej silne różnice, można, zdaje się, uznać za przekonanie ogółu naszych historyków.

Prace prof. Handelsmana są jedynym dotąd w naszej nauce szerzej źródłowo uzasadnionym głosem w sprawie stosunku Polski do zachodnio-europejskiego feudalizmu. Zajęcie stanowi-

ska wobec tych prac da mi właściwy punkt wyjścia dla moich własnych dalszych wywodów. Otóż te trzy instytucje, uznane przez prof. Handelsmana za trzy drogi, któremi postępowała u nas feudalizacja, są to: 1) immunitet czyli wyłączenie z pod władzy państwowej; 2) warunkowa własność ziemi, wprowadzona pod nazwą *beneficium* na miejsce własności pełnej; wreszcie 3) umowny stosunek osobisty wasala do suzerena, zamiast dawniejszego przymusowego stosunku poddanego do państwa względnie monarchy. Rozpatrzenie historycznych źródeł polskich z XII i XIII w. doprowadziło prof. Handelsmana do spostrzeżenia, że: 1) w Polsce znalazł zastosowanie immunitet zupełnie aż do szczegółów podobny do frankońskiego, 2) że są znane fakty warunkowego posiadania ziemi przez rycerzy w majątkach kościelnych w połowie XIII w. i 3) że są znane wypadki istnienia rycerstwa służebnego, którego stosunek do zwierzchników mógł być umowny, wasalski.

Cóż sądzić o tych wynikach?

Otóż przyjmując wyniki te za udowodnione, choć sam autor co do dwóch ostatnich punktów wyraził się niemal jako o cieniach prawdopodobieństwa, musimy uznać za okoliczność decydującą o ich znaczeniu, czy chodzi tu o fakty stanowiące zjawiska masowe, czy też o fakty zupełnie wyjątkowe, bo od tego musiała zależeć siła przekształcającego nasze stosunki wpływu tych elementów procesu feudalizacji. Jeśli działanie niektórych lub wszystkich trzech tych czynników było zbyt słabe, to mimo stwierdzenia, że one u nas rzeczywiście istniały, łatwo zauważyć, iż mogły one nie wytworzyć owej zbiorowej całości, którą przy odpowiedniem nasileniu działania wytworzyły na zachodzie Europy w postaci feudalizmu. Wytwór ostateczny zależał od pewnego minimalnego *quantum* siły działania u poszczególnych elementów twórczych. A otóż tylko immunitet — o czem już zresztą oddawna wiedzieli nasi historycy — działał u nas masowo, i to — jak nowsze badania ustalają — od stosunkowo wczesnego momentu, bo albo od schyłku XI lub od początku XII w. przez wiek XIII i XIV. Natomiast fakty wasalskiego stosunku rycerstwa służebnego, czy fakty prekaryj kościelnych, gdyby je nawet przy skrzętnem przejrzeniu naszych dokumentów z okresu Piastowskiego pomnożyć kilkakroć, zawsze pozostaną czemś zupełnie wyjątko-

wem, odstającem ostro od tła zupełnie odmiennych stosunków przeważających w kraju.

Ale również z punktu widzenia metodycznego można mieć wątpliwości, czy droga wskazana i obrana przez prof. Handelsmana jest najtrafniejszą. Wszak gdyby nawet dało się zupełnie ściśle udowodnić, że wszystkie te trzy zasadnicze instytucje feudalizacji w sposób masowy i z odpowiednią siłą u nas działały, to możnaby jedynie stwierdzić, że odbywał się u nas proces feudalizacji, ale bez odpowiedzi pozostałoby bardziej zasadnicze pytanie, czy u nas zapanował feudalizm. Jeśli zaś o odpowiedź na to zagadnienie nam będzie chodziło, to inny kierunek należałoby nadać poszukiwaniom historycznym. Mianowicie wydaje mi się jedynie właściwem ustalenie zasadniczych cech rozpoznawczych już wykształconego i skrystalizowanego feudalizmu i analiza naszego średniowiecznego ustroju państwowego i społecznego pod tym kątem widzenia, czy te cechy dadzą się na polskim gruncie odnaleźć i udowodnić ponad wszelką wątpliwość. Jeśli tak, w takim razie — mimo wszelkie różnice, jakieby nadal odróżniały nasze stosunki od zachodnio-europejskich — należałoby uznać istnienie u nas feudalizmu za udowodnione, a owe różnice oceniać jako drugorzędne, nieistotne dla kwestji zasadniczej. Jeśli zaś te cechy rozpoznawcze, składające się na najistotniejszą treść pojęcia feudalizmu, nie dadzą się odszukać i stwierdzić w Polsce średniowiecznej, w takim razie nie może być mowy o feudalizmie w Polsce, a co najwyżej o pewnych procesach o różnem natężeniu, analogicznych do procesów feudalizacji. Tak postawione pytanie będzie też lepiej dostosowane do dwóch możliwości, jakie tu wchodzą w rachubę. Mianowicie śledzenie elementów procesu rozwojowego poniekąd przesądza zgóry sprawę w tym duchu, że chodzi tu jedynie o genetyczne, samoistne, powolne wytwarzanie się jakiegoś zjawiska. Tymczasem rzecz ta mogła być w gotowej postaci przeszczepiona ze swej ojczyzny na nasz grunt, i to albo narzucona siłą z zewnątrz, albo zaszczepiona celowo przez miejscowe czynniki decydujące. W pytaniu, czy był w Polsce feudalizm? mieszczą się obie możliwości, t. j. i wytworzenie się ewolucyjne i zaszczepienie sztuczne.

Jakież tedy mamy wziąć pod uwagę cechy rozpoznawcze

feudalizmu, decydujące o jego istocie, których stwierdzenie w Polsce byłoby dowodem istnienia u nas feudalizmu? Niema jeszcze pod tym względem pełnej zgody w nauce niemieckiej, francuskiej i wogóle zachodniej, która tylokrotnie i tak wszechstronnie zajmowała się już problemem feudalizmu, jego genezy i dalszego rozwoju aż do przekwitu i likwidacji. Można przecież wskazać pewne punkty, co do których jest powszechna zgodność zapatrywań i przyjąć je za probierz dla stosunków polskich. Wskażę więc dwa najważniejsze, najistotniejsze dla istoty rozwiniętego feudalizmu zjawiska, których wypadnie nam poszukać w Polsce średniowiecznej. Jedno z nich będzie dotyczyło raczej natury państwa i jego ustroju, drugie zaś społeczeństwa i stosownie do tego można mówić o feudalizacji państwa odrębnie od feudalizacji społeczeństwa, jakkolwiek zachodzi tu ścisłe wzajemne przenikanie i organiczny związek. Obie też te cechy będą zupełnie ściśle odróżniały średniowiecze, jako epokę feudalną, od poprzedzającej ją starożytności, równie ostro i silnie, jak i od czasów nowożytnych, które w obu dziedzinach oznaczają powrót do pojęć świata klasycznego.

Pierwsze zjawisko, oznaczające feudalizację państwa, polega na tem, iż rozluźniony, czy też rozwiązany, czy wreszcie rozerwany zostaje związek poddańczy, łączący poddanych (względnie obywateli) z państwem, względnie z monarchą. To rozerwanie związku poddańczego równa się w gruncie rzeczy unicestwieniu i zaprzeczeniu istoty państwa, jako związku przymusowego, a dokonywało się na dwojakiej drodze: *a)* przez immunitety, t. j. wydawane przez monarchę przywileje, na mocy których pewne terytorja, należące do właścicieli prywatnych, zostawały wraz z zamieszkującą je ludnością wyjęte z pod władzy urzędników państwowych, przyczem tę władzę miał odtąd nad niemi pełnić właściciel ziemi, uznający nad sobą zwierzchnią władzę monarchy, ale znowuż nie w jego charakterze prawno-publicznym monarchy, lecz na zasadzie osobistego stosunku wasalskiego jako do senjora. W ten sposób ludność danego terytorjum, nieraz bardzo liczna, ulegała medjatyzacji, t. j. przestawała w monarsze widzieć swego bezpośredniego władcę, a tylko pośrednio mu była podporządkowana ze względu na to, iż jej pan bezpośredni uznawał w mo-

narsze, jako wasal, swego senjora-zwierzchnika. Wytwarzał się w ten sposób osobliwy rodzaj pośredniego poddaństwa.

Druga droga wiodła przez zamianę urzędów państwowych w lenna lub wyzbycie się różnych praw zwierzchnich przez państwo na rzecz ludzi prywatnych transakcjami o charakterze prawno-prywatnym, jak dzierżawa, nadanie, zastaw i t. p. Na tej podstawie dotychczasowi urzędnicy i funkcjonarjusze państwowi, działający w imieniu władzy państwowej, zaczynają odtąd działać na podstawie tytułu osobistego, w sposób samoistny. W szczególności najważniejsze tu były funkcje sądowe państwa, które w poszczególnych okręgach sądowych stały się własnością prywatną. Państwo potraktowało swe prawa suwerenne, jak zwykłe prawa majątkowe i wyzbyło się ich tytułem prawno-prywatnym. Jak daleko odbiega stan tego rodzaju od naszych pojęć o państwie, wystarczy dla skontrolowania tego wyobrazić sobie na chwilę, że dzisiejsze państwo rozdało i wydzierżawiło swe sądy ludziom prywatnym lub pozwoliło jednostkom powoływać i formować prywatne siły zbrojne w określonych okręgach. Feudalizm polegał na pełnem zrealizowaniu tej — wedle naszych dzisiejszych pojęć — niemożliwości. I tą drogą wszyscy dawniejsi poddani monarchy przestali być jego poddanymi, ich stosunek do państwa został przerwany, bo władze, którym nadal mieli podlegać, przestały być organami państwa.

Obie te ewolucje, niszczące związek poddańczy, dokonały się w ramach systemu lennego czyli wasalskiego, który jest też nierozerwalnie złączony z ustrojem feudalnym. W ramach tego systemu każdy wolny człowiek miał swego zwierzchnika-suzerena, którego władzę nad sobą uznawał na zasadzie osobistego zobowiązania do wasalskiej wierności i ściśle określonych obowiązków wzamian za opiekę i ochronę. Jak wiadomo, system ten wytworzył w różnych krajach nieco odmienną drabinę hierarchji lennej, na której szczycie stał król czy cesarz. Jemu podlegało bezpośrednio tylko nieliczne grono najpotężniejszych wasali świeckich i duchownych, jednakże nie w dawnym charakterze poddanych, lecz jako wasale związani przysięgą osobistej wierności. Tym najpotężniejszym wasalom monarchy podlegali niżsi zkolei wasale i tak dalej w dół aż do najniższych, a wszyscy oni prócz garstki objętej

pierwszą kategorją nie uznawali w cesarzu czy królu swego bezpośredniego władcy, nie byli jego poddanymi, lecz wasalami trzeciego i czwartego rzędu, obowiązanymi do posłuszeństwa tylko własnym senjorom, podległymi ich sądownictwu i t. p.

Drugie zjawisko, oznaczające feudalizację społeczeństwa, względnie feudalizację z punktu widzenia społecznego, polega na tem, że zanikło właściwe światu starożytnemu i nowożytnemu pojęcie pełnej, rzeczywistej własności ziemi; jak się dosadnie wyraził jeden z francuskich uczonych, stało się to pojęcie własności ziemi w ustroju feudalnym nieobecne, względnie straciło swój sens. Ziemia jest w ustroju feudalnym posiadana w ten sposób, iż jej posiadacz jest z tytułu tego posiadania obowiązany do pewnych osobistych i rzeczowych ciężarów na rzecz osoby drugiej. Ta osoba druga, t. j. suzeren, jest teoretycznie właścicielem tej ziemi, ale nie dysponuje nią wcale i zadowalać się musi tylko temi osobistemi świadczeniami wasala, który dziedzicznie wykonywa prawa użytkowe.

Zniweczeniu poddaństwa w zakresie ustroju państwowego odpowiadało zniweczenie pojęcia pełnej własności ziemi w dziedzinie społecznej. A wszystko to razem wplecione w ustrój lenny, organicznie z nim zrośnięte jako jedna skomplikowana całość, w której z trudem zdołała nauka przeprowadzić pojęciowe rozgraniczenie pojedynczych składników.

Spróbujmy teraz te istotne cechy rozwiniętego feudalizmu odnaleźć w ustroju państwowym i społecznym Polski średniowiecznej. Jakież wyniki da to poszukiwanie?

Oto następujące:

Co się tyczy rozerwania związku poddańczego, to zostało ono uskutecznione stosunkowo późno i to odnośnie do najniższej warstwy społecznej, t. j. ludności wieśniaczej. Stało się to wyłącznie tylko zapomocą przywilejów immunitetowych. Przed pojawieniem się tych przywilejów u nas za niewątpliwym wzorem i wpływem Zachodu, stała cała ludność kraju w stosunku bezpośredniego poddaństwa do osoby panującego, z wyjątkiem jedynie niewolników w ścisłem tego słowa znaczeniu, stanowiących rzecz i przedmiot prawa w rękach swych właścicieli. Na zasadzie immunitetowych przywilejów, wydawanych na rzecz zrazu najpotężniejszych panów duchownych i świeckich, następnie na rzecz ogółu właścicieli ziemskich, t. j. warstwy

rycerskiej, przeszły powoli rzesze t. zw. przypisańców, a w dalszym ciągu wolnych wieśniaków pod władzę duchowieństwa i rycerstwa, jako panów prywatnych. Do schyłku XIII w. słyszymy jeszcze w zastrzeżeniach odnośnych przywilejów immunitetowych o tem, że wolni kmiecie mają dostęp do osobistego sądownictwa monarszego. Gdy te zastrzeżenia skasowano, został istotnie przerwany związek poddańczy tej ludności z monarchą, została ona poddana patrymonjalnej władzy swych prywatnych panów, straciła dostęp do urzędów publicznych i do władcy kraju. Tylko w obrębie majątków należących do państwa utrzymał się bezpośredni stosunek chłopa do monarchy, ale zmienił swój charakter, bo z prawno-publicznego stosunku poddańczego stał się prawno-prywatnym stosunkiem drobnego dzierżawcy gruntu do jej właściciela, t. j. księcia czy króla. Władza króla stała się obecnie w tym stosunku patrymonjalną władzą właściciela ziemi.

Poza warstwą wieśniaczą jednak cała reszta społeczeństwa, t. j. politycznie aktywne warstwy duchowieństwa i szlachty-rycerstwa, utrzymały się na jednakim poziomie bezpośredniego stosunku poddańczego do monarchy, nie wytworzyła się zaś drabina pośrednich poddanych na kilku stopniach. Tak w kronice t. zw. Galla-anonima dla początków XII w., jak w kronice mistrza Wincentego Kadłubka dla początków XIII w. czytamy o tem, jak cały ogół tych dwu warstw składał przysięgę poddańczej wierności odnośnym książętom, osobisty zaś stosunek wasalski i przysięga wasalska nie znalazła w tych momentach zastosowania.

Przemiana urzędów państwowych w dziedziczne lenna nie została przeprowadzona w Polsce, pozostały one zawsze w bezpośredniej zależności od monarchy, jako organy jego władzy, a więc państwo utrzymało pod swą władzą ogół poddanych. A gdy z biegiem czasu rozwój stosunków poczynał te urzędy do pewnego stopnia czynić organami samorządu ziemskiego przez uzależnienie ich obsady od społeczeństwa danej ziemi, umieli nasi monarchowie przez stworzenie nowego, bezwzględnie od siebie zależnego urzędu starostów utrzymać rzeczywistą władzę nad krajem w swych rękach. Ewolucja władzy panującego od pierwotnie absolutnej do prawnie skrępowanej i ograniczonej nie wpłynęła w niczem na podstawową zasadę, iż cały

ogół szlachty i duchowieństwa stanowi poddanych bezpośrednich króla.

System lenny nie znalazł też w Polsce prawie zupełnie zastosowania, ale w tej właśnie dziedzinie były próby z zewnątrz celem narzucenia go Polsce, i były próby wewnątrz celem zaszczepienia go w naszych stosunkach. Rozważenie tych prób nasunie ciekawe wnioski i spostrzeżenia.

Próby z zewnątrz miały na celu shołdowanie lenne Polski, skoro podbicie jej integralne nie miało widoków powodzenia. W szczególności, jak wiadomo, najazdy cesarzy rzymskich, a królów niemieckich groziły Polsce wciągnięciem w obręb feudalnej monarchji cesarskiej, w której monarsze polskiemu wyznaczano miejsce wasala. Po przelotnych epizodycznych sukcesach cesarstwa, które znajdowały wyraz od czasu do czasu w hołdzie lennym kilku książąt polskich z XI i XII wieku, usiłowania te urwały się, jako bezskuteczne. Ale ten szablon stosunku lennego okazał się w oczach naszych monarchów celowym i pożytecznym, gdy chodziło o własne cele państwowego rozprzestrzenienia się, czy też o utrzymanie teoretycznej jedności państwowej. Widzimy więc np., że Bolesław Krzywousty, który z takiem bohaterstwem odparł żądania hołdu wasalskiego, postawione mu przez cesarza Henryka V, sam równocześnie wiązał z sobą węzłem wasalskiej zależności Zbigniewa, jako księcia Mazowsza, oraz drobnych dynastów pomorskich, których ziemie tym sposobem chciał ustrojowo sprzęgnąć z państwem polskiem. W XIV w. w dobie ponownego jednoczenia dzielnic książęcych w jednolite królestwo za Łokietka i Kazimierza W. posłużono się również szablonem stosunku lennego, by mające własnych książąt Mazowsze związać z Królestwem, podobnie jak drobne ziemie na zachodniej granicy Wielkopolski oraz księstwa ruskie. W ten sposób nabrała ówczesna Polska charakteru państwa związkowego, które prof. Balzer określa jako „rzeszę polską", a którego osobliwem znamieniem było to, iż związek ten opierał się na właściwym feudalizmowi stosunku wasalskim. Księstwa lenne tworzył następnie Ludwik i Jagiełło, gdy okoliczności czyniły to celowem, np. gdy chodziło o utrzymanie Podola przy Koronie, a równoczesne zadowolenie aspiracyj Litwy, uosobionej przez Witolda. Ostatni raz związano tym węzłem zależności lennej już na progu epoki

nowożytnej księstwo pruskie, utworzone po sekularyzacji Zakonu krzyżackiego, choć poza pompą hołdu wasalskiego już niezbyt bogata kryła się treść prawna w tym teoretycznym stosunku podwładności. Nie umiano tylko, czy też nieznane nam dziś okoliczności nie dozwoliły związać księstw śląskich z Królestwem Polskiem na początku XIV w., i ten sam środek, który je mógł wówczas dla Polski uratować, użyty zręcznie przez królów Czech, zadecydował o złączeniu się Śląska z Czechami w jedną całość państwową.

Taką rolę odegrał system lenny, gdy chodzi o politykę zewnętrzną państwa polskiego w średniowieczu. Godzi się zapytać, jaka była jego rola wewnątrz kraju? Otóż to wszystko, co nam źródła historyczne mówią o ustroju lennym na ziemiach polskich, świadczy niezbicie za tem, że nie może tu być mowy o samoistnem, genetycznem wytwarzaniu się tego zjawiska na gruncie własnych potrzeb i z rodzimych pierwiastków, lecz najwidoczniej mamy tu do czynienia ze sztuczną szczepionką w gotowej już postaci, która nie chciała się przyjąć na naszej ziemi.

Pomijając odosobniony przypadek t. zw. komendacji z początków XIII w. na Śląsku, słyszymy o zadzierzgnięciu stosunków wasalskich na szerszą skalę w ziemi chełmińskiej, w rozległych dobrach pierwszego biskupa Prus, Chrystjana. Był to Niemiec z pochodzenia i osadzani przez niego wasale byli obcymi przybyszami z Niemiec. Tę akcję ciągnął dalej założony przez biskupa Chrystjana i również z Niemców złożony zakon Braci Dobrzyńskich w ziemi Dobrzyńskiej nad dolną Wisłą. A po nich z jeszcze większą zapobiegliwością czynili to samo Krzyżacy, gdy te odwieczne polskie ziemie przejęli od Chrystjana i Braci Dobrzyńskich, i zorganizowanem osadnictwem rycerstwa, mieszczan i chłopów niemieckich rozpoczęli ich germanizację. Z książąt polskich XIII w. konkretnie wiemy tylko o Władysławie Odoniczu w Wielkopolsce i o książętach śląskich, że usiłowali zaszczepić ustrój lenny w swych księstwach. Ale bynajmniej usiłowań tych nie kierowali ku rodzimej ludności i nie zdążali do przekształcenia miejscowych stosunków. Usiłowania ich zamknęły się w ich programie kolonizacyjnym i miały na celu pozyskanie nowej ludności dla gospodarczego wyzyskania ziemi i do lepszej wojskowej jej obrony. Ogólnie o tem

mówi jedna z uchwał synodu prowincjonalnego wrocławskiego z r. 1248, że niektórzy książęta polscy „pragnąc rycerzy niemieckich lub innych cudzoziemców zatrzymać w służbie u siebie, nadają im *in feudum* pewne ziemie w swych księstwach". Istotnie też takich rycerzy niemieckich na Śląsku osiedlonych, jako wasale tamtejszych książąt, spotykamy już w XIII w. sporo, a liczba ich później silnie wzrasta, ze względu, że napływ żywiołu niemieckiego kierował się niemal wyłącznie na ziemię śląską. Pod koniec XIII w. zostały założone w jednem z księstw śląskich rejestry czyli wykazy lenników, w których spisane były *dextrarialia et servicia vassallorum*, t. j. rozmiary obowiązku konnej służby wojennej w zależności od wielkości lenn.

W innych dzielnicach Polski XIII w. słyszymy zupełnie tylko wyjątkowo o nadawaniu ziemi w lenno i zachodzi częstokroć prawdopodobieństwo, że określenie *iure feudali* oznaczało raczej zwykłą dzierżawę, nie zaś nadanie lenne z obowiązkami wasalskiemi. Bo owe nadania *iure feudali*, czynione niekiedy przez pewne bogatsze instytucje kościelne na rzecz drobnych rycerzy, są terminowe lub dożywotnie *ad tempora vite*, co stoi w jaskrawej sprzeczności z ustaloną w świecie feudalnym zasadą dziedziczności lenn wedle primogenitury.

Widzimy więc, że w tej pierwszej fazie przenikania ustroju lennego na ziemie polskie czynnikiem szerzącym go u nas są żywioły obce, które zagnieździły się na naszych ziemiach (jak biskup Chrystjan, Zakon Dobrzyński i Krzyżacy), albo też jeśli tę akcję prowadzą nasi książęta, to wasali zyskują w żywiole obcym, t. j. Niemcach, osiedlających się zwłaszcza liczniej na Śląsku. Jednem słowem, jest to akcja obca w naszym kraju. Co ciekawsze, to że ta innowacja nie działała przekształcająco na nasze odwieczne stosunki, lecz wręcz naodwrót wcześnie zaczęła się asymilować do naszego środowiska. Dowodem tego są przypadki z początków XIV w. ze Śląska, gdzie *feudum et servicium dextrarii* czyli lenno z obowiązkiem konnej służby wojskowej nadane Niemcowi zostaje następnie na jego prośby nadane mu powtórnie *iure proprietario*, czyli prawem pełnej własności, poczem następuje skreślenie go z rejestru wasali. W innych wypadkach wasal za gotówkę skupywał swój obowiązek wasalski wobec księcia i znowu — jako

pełny właściciel dawniejszego lenna — bywał skreślany z księgi lennej. Są to objawy likwidacji systemu lennego u nas, niezwykle wczesne, bo dokonane niemal tuż po jego przeszczepieniu na naszą ziemię, co jest objawem jego nikłej żywotności na podłożu miejscowych stosunków i warunków rozwoju.

Cechą charakterystyczną tych prób wprowadzenia wasalstwa w Polsce jest to, że z reguły chodzi tu o wasali bezpośrednich samego księcia, którzy już ze swych lenn nie wydzielają dalszych beneficjów i nie wytwarzają zastępu drobniejszych, własnych wasali, których stosunek do księcia byłby już tylko pośredni. Parę takich przypadków w dobrach kościelnych nie narusza tej zasadniczej cechy naszych stosunków, zwłaszcza że właśnie te wypadki budzą bardzo uzasadnione wątpliwości, czy w nich istotnie chodzi o stosunek wasalski.

Znamienne są dzieje innego eksperymentu z zaszczepieniem ustroju lennego w państwie polskiem w XIV i XV w., mianowicie na terenie Rusi Halickiej i Podola. Już Kazimierz W. rozpoczął tu rozdawnictwo ziemi między rycerstwo miejscowe czy też na rzecz Polaków lub nawet Węgrów, ale z nadaniami lennemi miały te donacje wspólną tylko tę jedną rzecz, że mianowicie określano tu ściśle obowiązek służby wojskowej od nadanej ziemi. Samo nadanie jednak rozumiało się *pleno iure et dominio,* bez ograniczeń przy transakcjach na rzecz osób trzecich i bez jakichkolwiek innych obowiązków wasalskich, normalnych w feudaliźmie zachodnim. Jednak książę Władysław Opolczyk podczas swych kilkoletnich rządów na Rusi Czerwonej poczynił szereg nadań lennych w ścisłem tego słowa znaczeniu. To samo czynił później Jagiełło na Rusi i Podolu. Znamieniem tych infeudacyj jest ich dziedziczność z uzależnieniem dalszego pozbycia od woli suzerena oraz ich ściśle określona wojskowa celowość mianowicie ze względu na konieczność stałej obrony tych ziem granicznych od napadów nieprzyjacielskich. I ta celowość bezpośrednia stała się źródłem oryginalnego dodatkowego, nie stosowanego na zachodzie warunku, jaki narzucano tym wasalom, mianowicie że obowiązuje ich stale *personalis residencia,* osobista obecność w nadanych dobrach, by tworzyć tu stałe pogotowie wojenne. Były też dla tych wasali zorganizowane lenne sądy wasalskie, choć brak nam dziś śladów ich urzędowania. Że instytucja wasalstwa za-

szczepiana tu była w pełnej świadomości, iż jest to instytucja obca, dowodzi tego jej nazwa polska *maństwo,* utworzona od wyrazu niemieckiego *man = homo,* wasal, *manschaft = homagium (hominium),* hołd wasalski. Charakterystyczne, że wśród tych wasali często spotyka się Niemców i zniemczonych Ślązaków, a niewiele elementu rdzennie polskiego. Są to również — podobnie jak to widzieliśmy na Śląsku w XIII w. — wasalstwa bezpośrednie samego króla, a tylko zupełnie wyjątkowo znane są przypadki, gdzie „maństwo" czyli stosunek wasalski został zadzierzgnięty między bogatszym i uboższym szlachcicem, gdzie więc tym sposobem powstawała dwustopniowa drabina hierarchji lennej w dół, w głąb społeczeństwa.

Naogół te „maństwa" były nieliczne, a poznajemy je w XV w. przeważnie już w fazie ich likwidacji, która odbywała się przez wykupienie owego *servicium expedicionale* (zwanego maństwem), dokonywane przez wasala, który w ten sposób stawał się pełnoprawnym właścicielem swego dotychczasowego lenna. Powtórzyło się tu więc w tej samej formie skupu zjawisko, znane nam już ze Śląska z początków XIV w., zjawisko przemiany lenna w pełną własność, czyli likwidacji systemu lennego, jako już nieodpowiadającego potrzebom i warunkom rozwoju.

Ten sam los spotkał inny typ nadań lennych, który najszersze znalazł zastosowanie na ziemiach polskich, mianowicie nadania na rzecz sołtysów wiejskich w dobie kolonizacji na prawie niemieckiem. Stosunek ich do panów wsi był klasycznie wasalski w swym zasadniczym zespole szczegółów. Sołtystwa te wielokrotnie obejmowane były już w XIII i XIV w. przez szlachtę, nietylko uboższą, ale także t. zw. *comes*'ów, a komplikacjom, jakie stąd niekiedy wynikały, starało się zapobiedz ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego. Ustawowo umożliwiony został skup sołectw przez panów wsi dopiero w r. 1420 na szerszą skalę, ale znane są nam wcale liczne przypadki dokonanego polubownie skupu sołectw w ciągu wieku XIV-go. Wprawdzie omówione przed chwilą „maństwa" były czemś innem niż sołectwa, i skup maństw przeprowadzany był przez wasali, którzy zamieniali się we właścicieli, zaś skup sołectw dokonywany był przez samych właścicieli wsi, usiłujących sołtysa wyrugować, by jego uposażenie z powrotem dostać w swoje

ręce — ale w obu tych dziedzinach dokonywa się drogą skupów ten sam w zasadzie proces skasowania urządzeń lennych w Polsce nawet w tej skromnej stosunkowo ilości, w jakiej na pewien czas zdołano je tu zaszczepić. Widocznie okazywały się nieodpowiednie po spełnieniu chwilowej roli i ustępowały miejsca tym formom ustrojowym, w których od wieków żyło społeczeństwo miejscowe.

Przechodząc do drugiej cechy rozpoznawczej feudalizmu, t. j. do owego zaniku pojęcia własności ziemi w ustroju feudalnym, nie mam już wiele do dodania do tego, co powiedziałem omawiając ustrój lenny. Wystarczy krótko stwierdzić, że w Polsce panującym sposobem posiadania ziemi była p e ł n a w ł a s n o ś ć. Obciążenia jej podatkowe na rzecz monarchy i państwa nie mogą oczywiście uchodzić za ograniczenie prawa własności pełnej. Wszelkie zaś inne ograniczenia, jakie poznajemy u nas w tym zakresie we wcześniejszem zwłaszcza średniowieczu, dotyczą albo praw rodziny i współrodowców (do pierwokupu względnie do retraktu w razie pozbycia bez zgody rodowców), albo też dotyczą ziemi pochodzącej z nadania książęcego, jeśli ją szlachcic chciał następnie pozbyć na rzecz instytucji kościelnej. Potrzebna była do tego zgoda księcia - nadawcy, któremu chodziło tu o możliwe umniejszenie dochodów skarbowych, skoro instytucje kościelne miały już udzieloną immunitetem wolność od podatków. Ale około połowy XIII w. zrzekają się różni książęta swego prawa „veta" w tych przypadkach.

Co do obowiązku służby wojskowej od posiadanych dóbr ziemskich, to ona — jako normalny obowiązek na rzecz państwa — nie jest też w gruncie rzeczy ograniczeniem prawa własności i nie stwarza jakiegoś specjalnego typu upośledzonej własności. Zresztą, o ile chodzi o jego rozmiary, to różnił się on korzystnie od obowiązków wasalskich z punktu widzenia interesów szlachty, bo gdy wasal — wedle zasady wyrażonej u nas już w r. 1239 — który ziemię otrzymał *in feudo*, miał obowiązek służyć na wyprawie wojennej *propriis sumptibus*, na własny koszt, to rycerstwo polskie, ciesząc się pełną własnością swej ziemi, miało prawo do pewnych należytości pieniężnych od monarchy, poświadczone źródłami od drugiej połowy XII w. do końca XIV w. Jakkolwiekby się zapatrywać

na charakter tych opłat, to zawsze trudno będzie je pogodzić z teorją o nadaniach ziemi *iure militari*, t. j. za służbę wojskową, skoro ona była zosobna honorowana niezależnie od posiadania ziemi. Zresztą znane nam dotąd nadania ziemi *iure militari* czyli prawem rycerskiem nigdy nie zastrzegają służby wojskowej jako ekwiwalentu za ziemię, choć inne ciężary na rzecz państwa nieraz zastrzegają. Przebijać się zdaje przez to koncepcja służby wojskowej, jako obowiązku raczej osobistego, niezależnego od faktu posiadania ziemi. Statuty Kazimierzowskie stawiając niejako poza nawiasem obowiązek osobistej służby rycerskiej właścicieli ziemi, określają tylko rozmiary cyfrowe tej służby w zależności od rozmiarów posiadanej ziemi, t. j. ilość giermków, uzbrojonych chłopów czy sołtysów, zależnie od zamożności szlachcica.

Podobnie jak szlachta, tak i duchowieństwo posiada swe ziemskie majątki pełnem prawem własności. Jedynie tylko stosunek chłopa do ziemi ma ten charakter, jaki właściwy jest feudalizmowi. Mianowicie chłop nie posiada nigdy ziemi na własność. A choć ma prawo dziedziczne do swego łanu ziemi, to jednak jest to tylko prawo użytkowe o charakterze wieczystej dzierżawy na warunkach stałych świadczeń czynszowych i robociźnianych na rzecz właściciela ziemi, którym jest szlachcic lub duchowny lub wreszcie sam monarcha (względnie państwo).

Ale ten właśnie typ posiadania ziemi przez chłopa jest obcy, jest zaczerpnięty z pojęć świata feudalnego, został przyniesiony do nas przez kolonistów niemieckich w potężnym ruchu osadniczym od końca XII w. Pod nazwą „prawa niemieckiego“ lub zwyczaju czy wolności niemieckiej przyswoiła sobie wieś polska tę formę prawnego stosunku kmiecia do ziemi. Jak było dawniej w tym względzie — nie wiadomo, bo tej kwestji źródła historyczne XI i XII w. nie rozjaśniają. Czy chlop posiadał u nas kiedykolwiek przedtem ziemię tytułem pełnej własności, nie da się rozstrzygnąć, zachowane dotąd źródła historyczne nie dostarczają ani jednego dowodu na to. Ale jeśli tak było, to w nowym ustroju, opartym na tym wzorze feudalnym, pogorszyła się pozycja tylko chłopów wolnych osobiście, którzy jedynie mogli być niegdyś pełnoprawnymi właścicielami. Poprawiło się zaś nieskończenie poło-

żenie t. zw. przypisańców i owych tysięcznych rzesz niewolników, o których jeszcze w XIII w. czytamy tak często. W nowym ustroju niewola bezpowrotnie zanikła i to jest jego u nas niewątpliwą zasługą cywilizacyjną. Dawny niewolnik czy przypisaniec, przeniesiony na prawo niemieckie, stawał się człowiekiem o tyle wolnym, że spełniwszy pewne ściśle określone warunki gospodarcze, mógł zmienić miejsce swego pobytu, co dawniej bezwarunkowo było mu prawnie wzbronione. A gdy przez unję z Litwą złączyły się z Polską olbrzymie przestrzenie, na których zupełna niewola ludności wiejskiej byta stanem normalnym, otwarła się przed Polską możność przeszczepienia własnych form życia społecznego dalej na wschód, gdzie musiały być powitane jako istotny postęp. Że sobie zdawano u nas sprawę z tych możliwości i z ich społecznego znaczenia, to poświadcza fakt, że przedstawiciel krakowskiego uniwersytetu wskazał Kazimierzowi Jagiellończykowi 1447 r. przy objęciu przezeń tronu jako szczytne posłannictwo jego rządów, by zniósł okrutną niewolę chłopa na Litwie. Takie hasło mogło paść z ust człowieka. który tej niewoli już we własnym kraju nie widział.

Wywody niniejsze łatwo mi przyjdzie obecnie zamknąć konkluzją, że w Polsce nie doszło do zupełnego rozerwania związku poddańczego ani też do zupełnego zatracenia pojęcia pełnej własności ziemi, czyli że w Polsce nie zapanował feudalizm w pełnym kształcie, skoro jego najistotniejsze cechy dały się odnaleźć na gruncie polskim tylko w odniesieniu do jednej warstwy społecznej; wprawdzie najliczniejszej, ale najmniejsze mającej znaczenie polityczne. Polska ani nie wytworzyła u siebie samoistnie, ani nie zaszczepiła feudalizmu w jego rozwiniętej pełnej formie, lecz jakgdyby instynktownie zastosowała tu pewien eklektycyzm, wybierając z ustroju feudalnego tylko to, co istotnie odpowiadało jej potrzebom i tylko w tym stopniu, w jakim to było celowe.

W zakończeniu pozwolę sobie jeszcze nawiązać do wywodów pierwszego z prelegentów w tym cyklu odczytów, mianowicie prof. Semkowicza. Słyszeliśmy wówczas o owych teorjach „przejściowości“ względnie „pomostowości“ obszarów polskich, związanych z geograficznem ich położeniem. Niewątpliwie w różnych dziedzinach swego rozwoju dziejowego odegrała

Polska istotnie rolę terenu przejściowego ze wschodu na zachód lub odwrotnie, czy też rolę pomostu od wód południowych ku północnym. W tej dziedzinie, którą dziś rozważyliśmy, nie trudno dostrzec, że pewne idee wylęgłe na zachodzie i pewne odpowiadające im formy bytu społecznego i państwowego zostały przyjęte przez Polskę, gdy w swym pochodzie dziejowym doszły do jej granic i następnie zostały podane przez Polskę dalszemu wschodowi, jako zaczyn ewolucji, przekształcającej tamtejsze stosunki na modłę cywilizowanego Zachodu. Polska odegrała więc tu rolę pośrednika w szerzeniu kultury i przenoszeniu jej z jej zachodnich ognisk na rubieże ówczesnego świata politycznego, ale obok tego pośrednictwa nie można nie dostrzec też pewnej czynnej samodzielnej roli. Dostrzegać zaś ją można w tem, iż urządzenia zachodnio-europejskie modyfikowała Polska w dostosowaniu do swych istotnych potrzeb, nie przyjmowała ich bezdusznie, lecz niejako doświadczalnie u siebie stwierdziwszy ich celowość i dodatnią skuteczność, przeszczepiała je własnym wysiłkiem i wedle własnej koncepcji do krajów, które węzłem wspólnej państwowości z nią się związały. I to, co w tych krainach dziś jest zachodnio-europejskiego, jest i pozostanie trwałem świadectwem, że swą misję dziejową spełniała Polska skutecznie ku pomnożeniu kultury ogólnej w Europie.

KAZIMIERZ ANTONI ZDZIECHOWSKI

CZY POLSKA MOŻE I POWINNA MIEĆ AKTYWNY BILANS HANDLOWY?

Bilans handlowy jest pojęciem chętnie i często używanem przez publiczność jako punkt wyjścia do dyskusyj ekonomicznych, a przedewszystkiem jako miernik oceny sytuacji gospodarczej. Niedawno dość znaczne miesięczne salda pasywne naszego handlu zagranicznego wywołały w kraju wielkie zaniepokojenie, a w prasie istną burzę dyskusyj. Przy tej sposobności gazety opozycyjne skwapliwie wykorzystywały fakt tych deficytowych wyników jako argument przeciwko polityce rządowej. Ze zwiększonego zainteresowania kwestjami ekonomicznemi u nas wypadałoby się raczej cieszyć, w tym wypadku jednak należy podkreślić, iż specjalnie w takiem posługiwaniu się pojęciami aktywnego czy pasywnego bilansu handlowego, w takiem wiązaniu tych pojęć z całym kompleksem różnych zjawisk ekonomicznych, dopatrzyć się można pewnej teoretycznej nieścisłości i nielogiczności. Więcej nawet. Z punktu widzenia jasności w naszem rozumowaniu kryje się tu niebezpieczeństwo. Polega ono na tem, że bilans sam przez się jest pojęciem czysto abstrakcyjnem; w tym wypadku bilans handlowy jest rachunkowem przedstawieniem wyniku ruchu towarów w jakimś okresie czasu między danem państwem a resztą państw, z któremi ono utrzymuje stosunki handlowe. A właśnie każde wtrącanie abstrakcyj w świat konkretnych faktów, w założeniu swem zawiera pewne pierwiastki niebezpieczeństwa. Bilans handlowy przytem jest symptomem. Sama świadomość istnienia aktywnego czy pasywnego bilansu handlowego, t. zn. świadomość, że wartość towarów wywiezionych przewyższyła wartość towarów przywiezionych, względnie odwrotnie, mówi nam stosunkowo niewiele, a dopiero w połączeniu ze znajomością całokształtu przyczyn, które ten bilans wytworzyły oraz związanych z nim spraw takich jak: sposób

pokrycia ewentualnego deficytowego salda, stwierdzenie czy jest to zjawisko stałe czy tylko chwilowe, charakter wymienianych towarów i t. d., nabiera właściwego znaczenia. Otóż posługiwanie się pojęciem bilansu w omawianiu spraw gospodarczych może doprowadzić do fałszywych wniosków, następnie zaś bilans może się nieświadomie zamienić w cel sam dla siebie, szczególnie w opinji publicznej, u której, możnaby powiedzieć, drzemią jeszcze reminiscencje merkantylistyczne. Może się łatwo zatrzeć świadomość tego, że sam ruch towarów nie jest istotą rzeczy, lecz jest właściwie zjawiskiem wtórnem. Nikt bowiem nie sprowadza ani nie wywozi towarów dla samego faktu ich sprowadzania lub wywiezienia, lecz czyni to wskutek istniejącego, a wstrzymuje się od tego wskutek nieistniejącego zapotrzebowania. Kupujemy np. jakąś maszynę, która jest potrzebna, powiedzmy, dla budującego się nowego Chorzowa, a konsumujemy mało jedwabi, gdyż społeczeństwo jest ubogie. Tak samo jest z wywozem. Cała więc treść, wszystko to co decyduje, co wpływa na takie lub inne kształtowanie się ruchu towarów, zostaje ukryte przed nami, jeżeli zadawalamy się przeczytanem stwierdzeniem, że w pewnym miesiącu wartość przywozu naszego przewyższała wartość wywozu o tyle i tyle miljonów złotych. Zamiast wyczerpująco uzmysłowić sobie kolejność i układ przyczynowy wszystkich czynników, powodujących dany stan rzeczy, większość osób ucieka się do owego właśnie pojęcia bilansu. Chcąc sobie skrócić drogę myślenia, przeskakuje się w łańcuchu logicznym naszego rozumowania szereg ogniw, aby wkońcu zawsze się na nim zatrzymać. Jest oczywistem, jakiego zamącenia i spaczenia może doznać ekonomiczny obraz rzeczywistości, jeżeli się tę opuszczoną drogę zupełnie zignoruje albo interpretuje fałszywie. Jest przecież dosyć rozpowszechnioną opinja, uważająca zasadniczo każdy import za zło konieczne a pasywny bilans handlowy wogóle za wielkie zło. Niepokojono się w niedawnej przeszłości naszym pasywnym bilansem, szczególnie, gdy jednocześnie zmniejszał się zapas dewiz w Banku Polskim. Mówiono: „bilans jest pasywny“, „bilans jest zły“. Zaniepokojenie zupełnie zrozumiałe wobec takiego charakteru deficytu handlowego, niepokrywanego wpływami z zewnątrz, ale idącego częściowo na koszt rezerw dewizowych kraju. (Jak wiadomo, wobec ówczesnej powszechnej zwyżki

stopy procentowej zagranica wycofywała od nas depozyty). Przy tej sposobności jednak następowało często pomieszanie istoty rzeczy z jej skutkami, jeżeli nawet nie mylne zrozumienie samej jej istoty. Pomijając narazie te przykłady, postarajmy się wyszukać odpowiednią platformę, z której rozpatrywać należy zagadnienie bilansu handlowego. Po należytem ustosunkowaniu się do tej kwestji, spróbujmy przenieść wynik naszego rozumowania w sferę konkretnych danych i określić charakter tej sprawy z punktu widzenia interesów Polski.

Fakt, że pewien kraj w jakimś okresie czasu sprowadza towarów na większą sumę pieniędzy niż ich sprzedaje (t. zn. to, co w potocznej mowie nazywamy pasywnym bilansem) może być zjawiskiem bądź strukturalnem (t. zn. wynikającem ze specyficznego trwałego układu stosunków gospodarczych danego kraju) bądź też konjunkturalnem (t. zn. będącem wynikiem czasowego dynamicznego przesunięcia sił gospodarczych). Jeżeli jakiś kraj naprawdę musi stale więcej płacić za całość kupionych towarów niż otrzymuje za towary sprzedane, dowodzi to tylko tego, że ma za co to robić. Właściwie jest raczej odwrotnie, ale tymczasem dla uproszczenia przyjmujemy taki stan rzeczy. Zachodzą tutaj dwie możliwości. Albo dany kraj tę dopłatę pokrywa z zagranicznych należytości nietowarowych, jak procenta od inwestycyj, dochody z ruchu podróżnych lub z innych podobnych, albo też czyni to za pożyczone pieniądze. Klasycznym przykładem są tutaj Niemcy. Przed wojną stale, podobnie i Anglja, miały pasywne saldo bilansu handlowego, co było uwarunkowane koniecznością przywozu zasadniczych surowców, których potrzebowały olbrzymie przemysły obu krajów, oraz środków żywności, gdyż pod tym względem kraje te były wybitnie niesamowystarczalne. Stałe pasywne bilanse handlowe były więc w obu tych wypadkach zjawiskami strukturalnemi. Jednocześnie jednak Niemcy i Anglja posiadały kolonje, wielkie floty, olbrzymie inwestycje kapitałów zagranicą, dzięki czemu bilans płatniczy tak się kształtował, że deficytowe saldo bilansu handlowego nietylko było pokryte, ale zostawały do dyspozycji jeszcze znaczne nadwyżki. Przyszła wojna światowa, która pociągnęła za sobą daleko idące zmiany w strukturze gospodarczej świata. Niemcy zostały nagle pozbawione tych zagranicznych dochodów. Uzasadnienie potrzeby przywozu surow-

ców i środków żywności zostało niezmienione, nawet spotęgowane. Odtąd (od chwili stabilizacji stosunków gospodarczych) pokrywają Niemcy deficyt handlu zagranicznego wpływami z pożyczek zagranicznych. Anglja znajduje się nadal w podobnej sytuacji jak i przed wojną. Rolnicza Rosja przed wojną, jak również Stany Zjednoczone Am. Półn. (te ostatnie od mniejwięcej 1880 r.), wywożące w wielkiej ilości płody rolnicze, wykazywały aktywne saldo bilansu handlowego. Nikt by przecież nie twierdził, na podstawie tego, że społeczeństwo rosyjskie było zamożniejsze od angielskiego, pomimo istnienia pasywnego bilansu handlowego w Anglji a aktywnego w Rosji. W ramach jednak pewnego strukturalnego stanu, przejawiającego się w takiem lub innem stałem kształtowaniu się bilansu handlowego, zachodzą czasowe przesunięcia w jednym lub drugim kierunku, będące wynikiem zmian konjunktury. Wiadomo jest, że zagraniczny obrót towarowy znajduje się w silnej zależności od cyklu konjunkturalnego. W grubszych zarysach przedstawia się to w tej formie, że w okresach ożywienia gospodarczego import się zwiększa w nieproporcjonaluie silniejszym stopniu niż eksport, a w okresach depresji i zastoju import spada a natomiast potęguje się eksport. W Niemczech np. nastąpił w r. 1926 silny kryzys, który się objawił w pewnem nieznacznem zaktywizowaniu bilansu handlowego, pomimo tego, że Niemcy miały w latach poprzednich i następnych bilans w wysokim stopniu pasywny, warunkowany ich gospodarczą strukturą, a występujący w tak silnym stopniu wskutek odbudowy kapitałowej kraju. Także i teraz w ostatnich miesiącach możemy zaobserwować zjawisko konjunkturalnej aktywizacji handlu zagranicznego w Niemczech. Widać więc z tego, że w kraju, w którym jego struktura gospodarcza poniekąd narzuca zgóry charakter kształtowania się wymiany towarowej z zagranicą, dzięki konjunkturze charakter ten może ulegać zmianom i odbiegać od swej strukturalnej postaci.

Lecz konjunktury są zmienne i niestałe — zasadniczą kwestją jest przedewszystkiem struktura. Jakiż kraj jest krajem o strukturalnym aktywnym, a jaki o takimże pasywnym bilansie handlu zagranicznego? Wyczerpująca odpowiedź na to pytanie byłaby może tematem do obszernego studjum, w tym wypadku jednak ograniczymy się do jednej okoliczności o decydującem

znaczeniu. Okolicznością tą jest fakt, że zasadniczo import kapitału pociąga za sobą import towarów, przybierając zaś większe rozmiary, prowadzi do pasywnego bilansu handlowego. Kraj, który dla swej gospodarczej rozbudowy potrzebuje znacznego importu kapitału, zakreślonego na dłuższy okres czasu, jest krajem, o którym można powiedzieć, że pasywny bilans jest dla niego zjawiskiem strukturalnem. Oczywiście, z tem zastrzeżeniem, że w razie braku dopływu kapitału może ten pasywny bilans wogóle nie istnieć. Faktu dopiero co wspomnianego, że każdy dopływ obcego kapitału do jakiegokolwiek kraju objawia się dodatkowym importem towarów (towarów w szerszem znaczeniu, t. j. środków produkcji i dóbr konsumcyjnych), nie można dość silnie podkreślić. Jeżeli dany kraj posiada już pasywny bilans handlowy, to pasywność jego się wzmaga, jeżeli pasywnym jeszcze nie jest, to albo się nim staje, albo w najlepszym razie aktywne saldo maleje. Oczywiście, że eksport może się zwiększać i rzeczywiście tak się dzieje, ale następuje to później i zwykle w mniejszych rozmiarach niż przy imporcie (mamy tu na myśli nie kraje dziewicze ale organizm gospodarczy o intenzywnej formie gospodarowania). Z drugiej strony wskutek zwiększonej konsumcji, spowodowanej tak samo importem kapitału, zmniejsza się ilość dóbr przeznaczonych na eksport, co również działa w kierunku pasywizacji bilansu. Najczęściej zarazem inwestycje takie, dokonane kosztem obcego kapitału, pociągają za sobą dalsze zapotrzebowanie kapitału, tak że bezustannie trwa tendencja wzmocnionego importu. W każdym jednak razie, objętość obrotu towarowego między danym krajem a zagranicą jest wybitnie zwiększona, co ma oczywista wielkie znaczenie, boć przecież inną wagę ma np. 50 miljonów zł. pasywnego względnie aktywnego salda bilansu handlowego przy 600-miljonowym niż przy 200-miljonowym obrocie.

Fakty powyższe trzeba mieć ciągle na uwadze. Jest niemożebnością, żeby zagraniczna pożyczka zużyta w granicach kraju nie pociągnęła za sobą przywozu towarów.

Wystarczy uprzytomnić sobie przebieg zaciągnięcia i żużycia pożyczki zagranicznej i wszystkie możliwości tego zużycia, które tu zachodzą, żeby znaleść potwierdzenie powyższej tezy. Wyobraźmy sobie, że taką pożyczkę zaciąga państwo, gmina

czy też prywatne przedsiębiorstwo w celu zbudowania linji kolejowej, elektrowni czy też uczynienia jakichś innych inwestycyj. Otóż pożyczka ta przyczyni się zawsze do wywołania importu w bezpośredni albo też pośredni sposób, a najczęściej w jeden i drugi. Pożyczoną bowiem kwotę może dłużnik wydać całkowicie na sprowadzenie z zagranicy potrzebnych maszyn. Nie można pominąć również tutaj faktu, że często zagraniczna grupa kapitalistów, udzielając pożyczki, ustanawia klauzulę zobowiązującą dłużnika do zakupywania u niej towarów. Zamiast firmom zagranicznym, można udzielić odpowiednich zamówień także krajowej fabryce o ile taka istnieje, i w takim wypadku wywrze to w bezpośredni sposób zawsze ten sam skutek. Odnośna fabryka bowiem będzie zmuszona sprowadzić odpowiednie surowce nieznajdujące się w kraju. Ale praca przy samej budowie i związanych z nią zamówieniach zwiększy dochody całych zastępów robotników, tej pracy oddanych, przez co wzrośnie siła kupna w kraju i wzmoże się konsumcja. Skonsumowane zostaną towary oczywiście nietylko zagraniczne, ale w większej części krajowe. Te ostatnie jednak, żeby mogły być wyprodukowane, wymagają zagranicznych surowców. Robotnik kupi sobie np. ubranie z materjału wytworzonego w kraju. Ale do tego potrzeba wełny i bawełny, którą właśnie trzeba sprowadzić. Taki sam skutek wywołałaby pożyczka zaciągnięta dla celów konsumcyjnych, np. dla wypłacania wyższych pensyj urzędnikom, coby było z innej strony naturalnie zużyciem wysoce nieproduktywnem.

Jeżeli tak dalej będzie się rozpatrywać wszelkie możliwe wypadki związane ze zużyciem pożyczki, przekonamy się, że zawsze czy w ten czy w inny sposób, wcześniej czy później, zużycie zagranicznej pożyczki przyczyni się do powstania importu. Jeżeli wyobrazimy sobie kraj, który sam wszystko produkuje, to objaw ten musiałby chyba wystąpić w formie negatywnej, t. zn. w odpowiedniem zmniejszeniu się eksportu, co jest zresztą przykładem zupełnie nierealnym, gdyż nie istnieje kraj tylko eksportujący, a niczego nie importujący.

Ta wzajemna współzależność dopływu kapitałów i obrotu handlowego z zagranicą, objawiająca się właśnie we wzmożonym imporcie, jest zresztą koniecznością. Cóżby bowiem nastąpiło w przeciwnym razie, jak nie najwyraźniejsza inflacja,

gdyby tej samej ilości dóbr odpowiadała zwiększona ilość pieniędzy. Jeżeliby te pieniądze były nawet używane do powiększenia produkcji, to zanimby ten proces produkcyjny doszedł do końca, zanimby towar został wytworzony, nastąpiłoby już naruszenie równowagi dotychczasowego stosunku dóbr i pieniędzy. Dobrze jest oświetlić to zagadnienie jeszcze ze strony walutowo-pieniężnej. Kwoty otrzymane z pożyczek są wymieniane w bankach emisyjnych na walutę krajową, tem samem zwiększa się pokrycie tej waluty — a to upewnia i utrwala na przyszłość możność importu przewyższającego eksport i możność tę czasami może nawet stwarza. Przypuśćmy, że pokrycie banknotów spada do dozwolonego minimum. Gdyby nie dopływ obcego kapitału, zwiększającego na nowo pokrycie, Bank Emisyjny widziałby się zmuszony podnieść stopę dyskontową, a taki stan, jak wiadomo, nie jest korzystny dla rozwoju handlu zagranicznego. Nie mówiąc już o inflacji, która automatycznie działa na import w sposób prohibitywny.

O tem, czy jaki kraj jest zasilany przez prąd obcego kapitału, decyduje normalnie rentowność. Innemi słowy, musi istnieć pewna rozpiętość między stopą procentową kraju potrzebującego kapitału, a kraju, mającego ten kapitał do zaofiarowania. Rozpiętość ta jest może czasami w rzeczywistości większa, gdyż ukryta w warunkach koncesyj, jakich udzielić gotów jest dany kraj obcemu kapitałowi. Oczywiście, że musi też istnieć przedewszystkiem ten, kto ma nadmiar kapitału. Bieg naszej myśli jest dalej bardzo prosty. Jeżeli pewien kraj ma stale bardzo wysoką stopę procentową, nie dowodzi to niczego innego, jak tylko, że kraj ten kapitału tego potrzebuje, że czeka w tym kraju na spełnienie moc zadań i że o własnych siłach dokonać tego nie potrafi. Jeżeli teraz kraj taki odszukamy i skonstatujemy w dodatku, że stoi on u progu swej rozbudowy gospodarczej, to życzyć mu przedewszystkiem będziemy, żeby tej rozbudowie nic nie stało na przeszkodzie. Wówczas właściwej wagi nabierze dla nas kwestja kształtowania się obrotu towarowego tego kraju z zagranicą, kwestja „pasywności“ czy „aktywności“ bilansu. I to właśnie chcemy uczynić w stosunku do Polski.

Jest tutaj jeden moment, nasuwający niewesołe refleksje w związku właśnie z tem zadaniem, bardzo nietrudnem zresztą,

i podobnem poniekąd do owego przysłowiowego wywalania drzwi otwartych. (Wiemy przecież wszyscy w jakim stanie znajduje się] Polska, jak żywo odczuwa głód kapitału i w jak małych rozmiarach ten głód jest zaspakajany). Wyraziliśmy się, że o dopływie, a raczej o zjawisku ciągłego przypływu i odpływu kapitału, które się rozgrywa na kapitalistycznym Zachodzie, decyduje normalnie rozpiętość między stopami procentowemi. Wiemy znów z innej strony, że Polska należy w Europie do krajów o najwyższej stopie procentowej i że wobec tego zdawałoby się, iż na zagranicznych rynkach pieniężnych Polska powinnaby być silnym magnesem ściągającym do siebie kapitały. Ponieważ tak nie jest, muszą tu wchodzić w grę inne okoliczności, którym warto jest trochę miejsca poświęcić.

*

Znany ekonomista niemiecki Feliks Pinner (redaktor handlowy *Berliner Tageblattu*) ogłosił niedawno (Nr 495 z 19/X 1929) artykuł p. t. *Altpreussisch oder amerikanisch?*, zawierający znamienną uwagę co do Polski. Chodzi tam mianowicie o dwie drogi, któremi biedny kraj może dążyć do podniesienia się ekonomicznego. Jedną z nich nazwał drogą staropruską, drugą amerykańską. Twierdzi on, że „gospodarcza odbudowa kraju zbiedniałego, a mimo to obarczonego znacznemi zobowiązaniami zagranicznemi (mowa jest o Niemczech), jest z punktu widzenia teorji możliwa w dwojaki sposób. Pierwsza droga jest wybrukowana szeregiem wyrzeczeń, dlatego jest ona niepopularna, a także gospodarczo jest przestarzała". Dalej naczelnym motywem tej pierwszej drogi jest oszczędność i jeszcze raz oszczędność. Jak najdalej idące ograniczenie poziomu życia, poziomu urządzeń publicznych, nawet początkowo poziomu urządzeń produkcji. Jest to zasada dawnego pruskiego głodowania, dzięki któremu Niemcy, a w każdym razie ich polityczny rdzeń, już raz wyrosły. Niskie ceny i płace, daleko idące ścieśnienie konsumcji, forsowanie eksportu a hamowanie importu, dające jako rezultat aktywny bilans handlowy, oraz finansowanie gospodarczej budowy z nadwyżek rosnących wolno i w naturalny sposób, z których to przy naszem obecnem położeniu w pierwszym rzędzie musiałyby być spłacone procenta od politycznych i prywatnych długów. Prusy, jak właśnie powie-

dziano, przeszły już raz tę drogę. Rosja jest zmuszona dzisiaj nią iść. Także inne kraje, które zupełnie albo tylko słabo mogą czerpać ze skarbca zagranicznego kapitału, jak np. nowa Polska, starają się wydostać na górę w ten uciążliwy sposób ofiarami i wyrzeczeniami się (chociaż od czasu do czasu także szerokiemi gestami, zdającemi się wskazywać na drugą drogę).

Tak wygląda pierwsza droga. Druga jest oczywiście wręcz przeciwna. Jest ona ekspanzyjną, jest tą właśnie drogą, którą poszły Niemcy. Polega na wzmożeniu napięcia życia gospodarczego, na olbrzymich inwestycjach w celu racjonalizacji i zastosowania ostatnich zdobyczy techniki, na podniesieniu poziomu życia ludności. Jednem słowem na wielkich obrotach, wielkich dochodach. Naturalnie, że warunkiem tego jest pomoc kapitałowa z zewnątrz.

Autor powyższego artykułu ma zapewne teoretycznie zupełną rację — co do jednej rzeczy tylko się nieco przerachował, a mianowicie co do możliwości i skuteczności praktycznego zastosowania tej pierwszej drogi w dzisiejszych czasach. Możliwość ta coprawda istnieje, ale zastosowanie jej oznacza skazanie się na wieczną stagnację, na stałe zajmowanie upośledzonego miejsca wobec zaawansowanych gospodarczo państw. Dlatego Rosja, która według słusznej uwagi autora znajduje się w tej sytuacji, buntuje się wszystkiemi swemi siłami przeciwko swemu losowi. Szaleńcza wizja „piatiletki" jest tego buntu wynikiem i dowodem. Dla Polski podobnie ta pierwsza droga oznaczałaby nietylko względne, powolne cofanie się (wobec szybkiego postępu Zachodu), nietylko przekreślenie może niejednej karty roli, którą przypuszczalnie będzie miała Polska do odegrania wogóle, a w szczególności na Wschodzie, ale także odłożenie na długi okres lat wykonania szeregu niezbędnych zadań socjalnych i kulturalnych.

Lecz wróćmy jeszcze do naszego punktu wyjścia i spróbujmy w inny sposób uzasadnić potrzebę postępu. To, że wogóle każdy kraj jest skazany na stały, coroczny postęp, wynika z faktu, że posiada on ludność z roku na rok się zwiększającą. Przeciwny stan byłby chyba możliwy tylko w społeczeństwie zupełnie statycznem. Jasno i zupełnie przekonywująco potrzebę tę wykazał Cassel. Przez postęp rozumie się tutaj zwiększenie ogólnej sumy kapitału społeczeństwa, inaczej kapi-

talizację, ale w szerokiem znaczeniu tego słowa, t. zn. nietylko kapitalizację pieniężną. Jeżeli kapitalizacja w jakimś kraju postępuje szybszym krokiem niż przyrost ludności, oznacza to, że społeczeństwo tego kraju wzrasta w zamożność, jeżeli zaś tylko odpowiada temu przyrostowi albo nawet mu nie dorównywa, dowodzi to, że zamożność społeczeństwa zupełnie nie wzrasta, a względnie nawet się zmniejsza. Chodzi w tym wypadku o to, aby przy naszym olbrzymim przyroście ludności, przy olbrzymiej masie palących zadań czekających na spełnienie, ten roczny współczynnik postępu się zwiększył, inaczej mówiąc, żeby się zwiększyło tempo naszego rozwoju.

Że z punktu widzenia ogólnego, nie wyłącznie ekonomicznego, nasz rozrost i rozwój gospodarczy, w większych rozmiarach niż dotychczas, jest wysoce pożądany, jest konieczny, niema chyba dwóch zdań. Jest pożądany dlatego, że nie jesteśmy krajem izolowanym na świecie, ale musimy mniej więcej dotrzymywać kroku innym narodom, że otoczeni jesteśmy od zachodu niesłychanie silnymi i silnie rozwijającymi się sąsiadami, dlatego wreszcie, że prędzej czy później, wyjaśni się ta wielka niewiadoma, jaką jest przyszłe ukształtowanie się sytuacji w Rosji, i wówczas lepiej będzie dla Polski, jeżeli ta zmiana zastanie ją gospodarczo mocarstwową, zdolną do odegrania należnej jej roli. Lecz są to rozważania bardzo ogólne i nie o nie tu chodzi. Ważniejsze, bo przedewszystkiem dużo konkretniejsze, są względy wewnętrzno-polityczne. I właśnie rozważania tej natury mogą nas doprowadzić do wysnucia tego samego wniosku. Czy przez gospodarcze podniesienie wschodnich kresów, przez inwestowanie tam wielkich kapitałów, nie znalazłaby rozwiązania kwestja tamtejszych mniejszości narodowych? Lecz trzeba właśnie móc to uczynić. Trzeba właśnie znaleźć się w posiadaniu własnych kapitałów pieniężnych. Są cele, dla spełnienia których zagraniczny kapitał bezpośrednio się nie nadaje. A to zdziałać może wstrzyknięcie w anemiczny nasz organizm gospodarczy dawki kapitału, raczej może regularne odżywianie przez dłuższy okres czasu organizmu tym kapitałem. Ostatecznie sytuację możnaby tak ująć: Szereg względów zewnętrzno- i wewnętrzno-politycznych, dopieroco tu wyłuszczanych, narzuca konieczność gospodarczego rozrostu kraju. Środkiem do tego jest dopływ kapitału. Następnie

szereg względów wewnętrzno-gospodarczych, o których będzie mowa, wymaga wytworzenia się sytuacji takiej, aby w kraju powstały własne pieniężne kapitały, którychby można użyć do pewnych określonych celów. Tutaj znów środkiem do tego jest dopływ kapitału. I dlatego dopływ ten jest zasadniczym postulatem gospodarczej racji stanu Polski. Jest faktem dowiedzionym i zresztą najzupełniej naturalnym, iż z chwilą, kiedy obcy kapitał zaczyna się angażować w gospodarstwie jakiegoś kraju, wywołując przez to dobrą konjunkturę, oszczędności w tym kraju wzrastają w szybkiem tempie. Dość spojrzeć na tabelkę, ilustrującą wzrost wkładów w niemieckich bankach i kasach oszczędności, począwszy od r. 1924, t. j. od chwili przyjęcia planu Dawesa i współpracy finansowej z wielkiemi centrami Zachodu. Wprawdzie w ówczesnej chwili stan tych wkładów był minimalny ze względu na przeszłość inflacyjną, niemniej jednak nie narusza to prawdziwości powyższego twierdzenia. W takich wypadkach otwierają się na wewnętrznym krajowym rynku pieniężnym możliwości emisyj. Znajdują się wówczas środki, wytwarza się w ten sposób możliwość rozwiązania szeregu zadań, do których się nadaje tylko kapitał krajowy. Z drugiej strony w parze z tem idzie znaczny wzrost dochodów budżetowych państwa. Epoka przypływu kapitału jest epoką wielkich nadwyżek w dochodach od ceł (wzrost importu), podatków pośrednich (wzrost konsumcji, dzięki spadkowi bezrobocia, dzięki wyższym płacom), opłat stemplowych, pocztowych, wzmaga się rentowność kolei i t. d. Państwo wówczas dysponuje większemi sumami pieniędzy i może je zużywać do wspomnianych właśnie zadań. Takiem jest zagadnienie budowlane, którego znaczenia socjalnego, kulturalnego, gospodarczego podkreślać chyba nie potrzeba. Lecz bez zagranicznego kapitału, który w tym wypadku będzie tylko pośrednim, aczkolwiek koniecznym środkiem, ruszyć się z miejsca nie da. Każda próba, w rodzaju dotychczasowych projektów, polegających na takiem lub innem wyciśnięciu podatków ze społeczeństwa, będzie załatwieniem połowicznem na bardzo skromną skalę. Lecz na tem nie koniec. Są jeszcze inne przyczyny, dla których potrzebne są większe kapitały pieniężne w kraju, przyczyny, będące wynikiem pewnych specyficznych właściwości naszej struktury gospodarczej, oraz specyficznego ustosunkowania się kapitału do

nas. Zacznijmy od tego ostatniego. Otóż trzeba stwierdzić, że wobec krajów eksportujących kapitał nasza pozycja pod pewnemi względami jest dosyć niewygodna i nie można jej porównać np. z taką samą pozycją Niemiec. Pomińmy takie rzeczy, jak kwestja zaufania lub ewentualnych ukrytych, wrogich nam zakulisowych kampanij czynników, którym nie na rękę byłaby pomoc kapitałowa zagranicy. Wróćmy znów do przykładu Niemiec i na podstawie analogji z niemi, mając jednak ciągle w pamięci różnice w proporcji między obu krajami, postarajmy się lepiej zilustrować naszą myśl. Niemcy są dlatego znakomitym przykładem, gdyż same uległy procesowi wielkiego dopływu zagranicznego kapitału i dostarczają przez to pola do obfitych i pouczających obserwacyj. Z drugiej strony przez jaskrawe kontrasty z nami ułatwiają zorjentowanie się w istocie zagadnienia.

Zadłużenie Niemiec dzieli się na dwie kategorje: zadłużenie publiczne i zadłużenie prywatne. Pożyczki zaciągały z jednej strony Rzesza, kraje, prowincje, miasta, związki miast itp., z drugiej strony przedsiębiorstwa prywatne, wielkie koncerny, wielkie banki i t. p. Zaciągać pożyczki mogły wogóle tylko wielkie zasobne jednostki, mniejsze mogły coś otrzymać tylko za ich pośrednictwem albo przez utworzenie specjalnych związków. U nas brak jest tego ostatniego rodzaju kandydatów, reflektujących na kredyt, brak u nas tych wielkich prywatnych jednostek, wielkich instytucyj przemysłowych, koncernów i t. p. Parę wyjątków, które może istnieją, nie zmienia tu stanu rzeczy.

Nie znaczy to bynajmniej, żeby polskie fabryki, kopalnie, banki nie interesowały zagranicznych kapitalistów. Przeciwnie, kapitał będzie się napewno w nich angażował, pomijając to, że wogóle szereg największych przedsiębiorstw częściowo do niego należy (kopalnie, huty na Górnym Śląsku, Zieleniewski, niektóre banki). Zjawisko to stanowi poniekąd istotę kapitału i dlatego byłoby rzeczą bezpodstawną i bezcelową przeciwko niemu występować, aczkolwiek nie można zaprzeczyć, że najmilszą formą dopływu kapitału dla kraju jest wypuszczenie przez rodzime przedsiębiorstwo obligacyj i sprzedanie ich zagranicy, t. zn. zaciągnięcie długoterminowej pożyczki. Skądinąd jednak, ponieważ w takich wypadkach ze względu na nierów-

ność sił zawsze jesteśmy tutaj w roli słabego partnera, nasze jednostki gospodarcze, przechodząc w posiadanie obcego kapitału, mogą przybrać zbyt wyraźny charakter jego agentur. Żeby ustanowić tu pewną przeciwwagę, żeby czasem móc przeciwdziałać takim agenturom, konieczne są własne pieniężne kapitały.

Rozpatrując dalej możliwość zaciągnięcia zagranicznych pożyczek, widzimy, że w rachubę wchodzą głównie państwa i związki komunalne. Możliwości tych ostatnich są też raczej ograniczone ze względu na małą ilość większych i zamożnych miast (niektóre z nich otrzymały [1] już pożyczki, jak Warszawa, Poznań, a także wojew. śląskie).

Pozostaje więc głównie państwo z całym swoim aparatem własnych przedsiębiorstw i monopoli. Lecz rola i waga państwa nie wyczerpuje się tutaj na tej potencjalnej możności zaciągania pożyczek. (W tej chwili naturalnie pozostawiamy na boku kwestję, czy na zagranicznych rynkach pieniężnych te pożyczki miałyby widoki dojścia do skutku. Narazie przyjmujemy, że tak jest). Państwo pozatem może ściągać, zachęcać obcy kapitał, udzielając koncesyj, np. w rodzaju Harrimanowskiej. Są pewne dane do twierdzenia, że koncesjami jeszcze najłatwiej da się ściągnąć ten kapitał. Na zagranicznych rynkach nie my sami występujemy jako reflektanci na pożyczki. Inne państwa mają dużo silniejsze atuty w tym względzie (specjalne zainteresowania, większe zaufanie). Zdaje się, że koncesje, zawierające przynętę zysków wyższych niż stałe oprocentowanie obligacyj, jeszcze najłatwiej staną się drogą, którą przyjdzie do nas kapitał. Państwo jako takie dla innych względów zresztą nie może i nie powinno zaciągać pożyczek.

Prof. Krzyżanowski w ostatniej pracy p. t. *Polska konjunktura gospodarcza* zaleca wziąć między innemi pod uwagę dalszy jeszcze sposób zainteresowania kapitału zagranicznego:

[1] Tutaj w związku z wyrażeniem: „miasta otrzymały pożyczki" nasuwa się mimowoli pewna uwaga. Utarło się w potocznej mowie określenie dojścia do skutku tranzakcji pożyczkowej przez „otrzymanie" pożyczki, zamiast „zaciągnięcie". Pierwsze z tych wyrażeń zawiera pewien pierwiastek doznania łaski, drugie oznacza tylko skończony proces brania pożyczki. Czy nie można się tu dopatrzeć nieświadomego odmalowania przez opinję publiczną charakteru stosunku do nas obcego kapitału?

państwo może zamienić bardziej dochodowe przedsiębiorstwa na towarzystwa akcyjne i część akcyj odstąpić obcym kapitalistom. Istnieją i inne sposoby. Można wydzierżawić monopole (tylko nie wzorując się na monopolu zapałczanym), przedewszystkiem zaś skomercjalizowane koleje mogłyby skutecznie zaciągnąć znaczniejszą pożyczkę. Znamiennym byłby wpływ takiego postępowania na wewnętrzny rynek pieniężny. Zmniejszenie popytu na pieniądze, potrzebne do finansowania tych przedsiębiorstw, działałoby zniżkowo na stopę procentową.

Wogóle państwo mogłoby odegrać rolę wdzięczną i pełną bohaterskiego samozaparcia się. „Rola" ta polegałaby na częściowem unicestwieniu swej własnej, zakrojonej na trochę za szeroką skalę etatystycznej — roli. Trzebaby było wyzyskać ukryte w angażującym się kapitale antyetatystyczne zadatki. Proces przypływu kapitału mógłby się stać naturalnem złagodzeniem ostrości zagadnienia etatyzmu w Polsce, coby było dziełem niezmiernie doniosłem. Sprawę tę możnaby jeszcze ująć tak: Stosunek majątku oraz stosunek dochodu państwowego do dochodu społecznego jest niepomiernie wysoki. Prof. Krzyżanowski w *Biernym bilansie handlowym* podaje ten ostatni na zgórą 40%, kiedy tymczasem w Stanach Zjednoczonych wynosi on 3%. Dzięki konjunkturze, którąby wywołał przypływ kapitału, a co za tem idzie, zwiększeniu zysków obywateli, dzięki popieraniu, ułatwianiu przez rząd wewnętrznej kapitalizacji (zmniejszenie podatku obrotowego) podniósłby się dochód społeczny. To samo by się stało też i z dochodem państwowym, ale pierwszy z nich wzrósłby bezporównania więcej i cały stosunek by się zmienił na korzyść dochodu społecznego.

Reasumując ostatecznie powyższe rozważania, możnaby je tak ująć: wszystkie są one próbą scharakteryzowania dzisiejszego stanu rzeczy, przeciwstawienia obrazu lepszej[1] przyszłości oraz określenia drogi, która do tej przyszłości może doprowadzić. Stwierdzenie gospodarczo pięknego celu z życzeniem osiągnięcia go jest zadaniem nietrudnem. Tutaj, pomijając umysły specjalnie światoburcze, panuje chyba jednomyślność. Wszyscy wiedzą, do czego dążą. Poglądy mogą być więc różne co do środków osiągnięcia celu, ale i w tym wypadku zdaje mi się,

[1] Lepszej w pojęciu czysto ekonomicznem, kwantytatywnem.

że wszyscy w Polsce będą zgodni z tem, iż byłoby nad wyraz rzeczą pożądaną, żeby warunki ułożyły się według życzenia przebijającego z całego toku wyrażonego tu rozumowania. Inaczej mówiąc, żeby przyszedł do nas z pomocą kapitał zagraniczny. Jest to w każdym razie droga najpewniejsza, już nieraz wypróbowana, a także najwygodniejsza.

Czy na tem się ograniczyć należy — to rzecz inna. Czy nie należy zastanowić się nad tem, czy poza tym omawianym elementem postępu, jakim jest kapitał, istnieją już pewne wartości, w którychby tak samo tkwił pierwiastek postępu i któreby obok kapitału, a nawet w razie jego niedopisania, mogły współdziałać w tym procesie postępu? Czy w takim razie nie możnaby ich odszukać w twórczym dorobku faszystowskiej Italji, a z innej strony, nawet w twórczych poczynaniach, zmaganiach się sowieckiego rządu Rosji i czy nie należałoby dlatego bacznie się im przyglądać?

Lecz to wszystko zaprowadziłoby nas za daleko, jakkolwiek byłoby może bardziej pociągającym tematem od tych „pobożnych życzeń", do których się przecież ostatecznie sprowadza cała treść tych rozważań o „bilansie handlowym" Polski.

Na zakończenie wreszcie, aby nie odbiegać zanadto od tytułu powyższych wywodów, zaznaczę, że tę samą treść będzie można ująć jeszcze raz z punktu widzenia bilansu handlowego i to w formie również życzenia. Będzie ono brzmiało: oby Polska mogła przez dłuższy czas cieszyć się pasywnym bilansem handlowym, przy jednoczesnem znacznem powiększeniu obrotów towarowych z zagranicą, oraz stałem istnieniu wielkiego zapasu dewiz w Banku Polskim. Takie ujęcie co do treści jest identyczne z ujęciem pierwotnem, z punktu widzenia jednak systematyczności w rozumowaniu wygląda ono trochę tak, jak gdyby ktoś chciał życzyć komuś zdrowia, i zamiast mu to wprost powiedzieć, życzył mu np. zaoszczędzenia w wydatkach na lekarstwie lub użył innego, podobnego symptomu. W gruncie rzeczy przecież o jedno i to samo chodzi. Najbardziej nęcącem, aczkolwiek zwodniczem jest stawianie przepowiedni ekonomicznych, mało wdzięcznem ale często praktykowanem jest dawanie rad takiego lub innego postępowania, gdy natomiast samo stwierdzenie pewnych faktów, któ-

rych konieczności świadomi jesteśmy i których sprowadzenia pragnęlibyśmy, jest rzeczą najmniej pociągającą. Szczególnie, jeżeli spełnienie się tych pragnień jest w małej części zależne od naszej woli. W takim razie chyba wynagrodzić to może nadzieja, że garść tych uwag w pewnym stopniu rozproszyć potrafi lekkomyślne sądy na ten temat, tak bardzo rozpowszechnione.

KRONIKI

GEORGES BENJAMIN CLEMENCEAU
(1841—1929)

W końcu XV wieku sieur Jehan Clemenceau, protegowany biskupa z Luçon, de Sacierges'a, posiadał w Mareuil-sur-le Lay, u stóp zamku swego protektora, drukarnię i księgarnię. Od tej chwili spotyka się ciągle po archiwach Wandei to nazwisko. Są lekarzami, notarjuszami, urzędnikami królewskimi, członkami parlamentów prowincjonalnych. Uzyskują szlachectwo w r. 1623 od Ludwika XIII. Stanowią jedną z rodzin tej burżuazji francuskiej, czy też „noblesse de robe", które są najpierw podporą tronu, a potem twórcami wielkiej rewolucji. „Moja matka pochodziła z drobnej burżuazji, podczas gdy Clemenceau'owie należeli do burżuazji przedrewolucyjnej, z czego byli dumni jak pawie" — tak określił pozycję socjalną swej rodziny zwycięzca wielkiej wojny.

„Ojciec mój (Clemenceau-ojca nazywano „jakobinem", z czego się bardzo chlubił) mówił o Dantonie, o Robespierze. Był za Robespierrem, przeciw Dantonowi... W Nantes chodził często do czytelni. Znajdował się tam ktoś, kogo ojciec pokazywał mi, mówiąc: widzisz tego człowieka tam, w kącie? To stary przyjaciel Marata".

I

Rewolucyjna demokracja we Francji posiada siłę, czyniącą z niej czynnik twórczy — posiada tradycję. Jerzy Clemenceau był ostatnim, żywym łącznikiem tej tradycji rewolucji i tradycji heroizmu z życiem politycznem trzeciej republiki. Pochodził on z jednego z tych rodów, które od wieków tworzyły potęgę Francji poto, by półtora wieku temu z wielkiemi hasłami na ustach, z wielką wiarą w sercu, z tragiczną namiętnością w swej działalności dać swej ojczyźnie nowy cel, nowe ideje, nowe zadania wśród ludzkości i by dać jej nowych władców. Z tych rodów, które zdobyły wolność i zdobyły demokrację i uczyniły przez to z francuskiej burżuazji, z najpotężniejszej w XIX w. klasy, obrońców tej wolności i demokracji, która była ich dumą, ich przeszłością, ich przyszłością, ich własną. W istnieniu tej warstwy leży przyczyna, dla której ostatecznie we Francji zwyciężyła republika, dla której deklaracja praw człowieka i obywatela jest najwyższą normą konstytucyjną Francji, jest dogmatem ustroju Francji, choć nie jest nawet częścią składową francuskiej

konstytucji. W połączeniu tej tradycji, która sięga dokumentów archiwalnych XV wieku i tych jakże świeżych wspomnień walk z „ancien regime'm", tej jakże świeżej dumy z zyskanej wolności i triumfu idei, leży siła francuskiej demokracji.

Georges Clemenceau mógł powiedzieć o sobie — i mówił z dumą —: widziałem przyjaciela Marata, i to daje obraz drugiego jego rysu charakterystycznego, ostro go z pośród współczesnych polityków III Republiki wyróżniający. Żaden z nich nie może powiedzieć tego o sobie, są już wszyscy ludźmi innej epoki, ludźmi, dla których jest tradycją jedynie książkową, tradycją o rzeczach oddawna skończonych, to co dla Clemenceau nie było jeszcze wogóle tradycją, to co dla Clemenceau było życiem, było działalnością, było walką. Republika, demokracja była dla Clemenceau walką, była problemem, była czemś, co się kształtowało ostatecznie równocześnie z nim i z czego kształtowaniem się równocześnie i on zdobywał swój pogląd na świat, swój pogląd polityczny, społeczny i kulturalny. To wszystko dla dzisiejszych polityków problemem nie jest, to jest dla nich tak oczywiste, że w odpowiedzi na czynienie z tych zagadnień i haseł problemu — mają tylko wzruszenie ramionami. I dlatego to największy człowiek Francji dzisiejszej był w tak wysokim stopniu dla tych ludzi człowiekiem dnia wczorajszego.

II

Dziecko wzrastało w cieniu wspomnień Wielkiej Rewolucji, w czci dla jakobińskiej demokracji, charakter człowieka kształtował się pod rządami III Cesarstwa, najbardziej przez demokratów znienawidzonego tworu rewolucyjnych wspomnień. Dla młodego Jerzego Clemenceau nie było miejsca we Francji Bonapartych. „Czułem, że zbliża się u nas godzina demokracji. Powiedziałem do mego ojca: chciałbym zobaczyć, jak też ona wygląda". Przyszły mąż stanu trzeciej republiki zaczynał wykształcenie polityczne od badania Mekki twórców pierwszej republiki — Stanów Zjednoczonych. I cokolwiek starzec będzie później mówił o rezultatach badania, wrócił z nich takim, jakim pojechał, jakim będzie całe życie. Na pierwszym swym posterunku publicznym, po powrocie w czasie wojny 1870 roku, rozpłakatuje młody mer Montmartru odezwę do „obywateli" ze staremi hasłami „wolności, równości, braterstwa" na czele, z apelem: „Jesteśmy dziećmi rewolucji. Niech nas natchnie przykład naszych ojców z 1792 r., a jak oni zwyciężymy" — w zakończeniu. I oto mamy obie istotne cechy przyszłej działalności Clemenceau u samego jej wstępu. Są to: kult dla haseł Wielkiej Rewolucji, walka o demokrację bezkompromisową, konsekwentną, ludowładczą, wolną przeto i świecką. I walka właśnie w imię tych tradycyj, właśnie w imię tych wspomnień innej walki pierwszej francuskiej demokracji z tym samym monarchicznym nieprzyjacielem. „Revanche" w polityce zew-

nętrznej i — mimo wszelkich konfliktów z twórcą tego frazesu — „Le clericalisme, c'est l'ennemi" w polityce wewnętrznej: te dwa hasła będą mu towarzyszyły aż do grobu. W imię pierwszego z tych haseł będzie obalał gabinety, które oddalają czas rewanżu i zajmują uwagę społeczeństwa innemi problemami, w imię tych haseł będzie obalał rządy i będzie tępił osobę twórcy imperjum kolonjalnego, „tonkińczyka", gdyż punkt ciężkości polityki francuskiej jest dla niego na zawsze nad Renem i nigdzie indziej. A w imię drugiego z nich przeprowadzi rozdział kościoła od państwa i będzie obalał każdy rząd, który szuka porozumienia na prawo, który szukałby kompromisu z ideami, jakie jeszcze w bordoskiem Zgromadzeniu Narodowem miały tak znakomitą przewagę nad grupami republikańskiemi.

III

Gdy zaś w miarę lat, w miarę rosnącej potęgi wroga, w miarę ciężarów wojny wkońcu, celowi pierwszemu coraz bardziej będzie podporządkowany cel drugi, przyjdzie dlań chwila wielkości. Jerzemu Clemenceau danem było to, co nie było danem jego mistrzom, panom Francji Jakobińskiej; potrafił zespolić około swej osoby, około swojego rządu całą Francję. Jak ci pierwsi potrafili rzucić i realizować jedno hasło: „rząd Francji jest rewolucyjny aż do chwili pokoju", tak on potrafił stanąć przed reprezentacją narodu „z jedyną myślą wojny integralnej", o tyleż od nich tragiczniejszy.

IV

Clemenceau pragnął triumfu demokracji, gdyż miał on dać wielkość Francji. Sprzymierzeni pragnęli triumfu demokracji, ale bynajmniej nie pragnęli wielkości Francji. Francja — Francja pragnęła albo aneksji albo pacyfikacji, a raczej najpierw aneksji a potem pacyfikacji. Ojciec Zwycięstwa stanął w obliczu przeciwieństw między zwycięzcami, stanął w obliczu nieporozumienia z własnym krajem, stanął wobec konfliktu wewnętrznego. Demokrata — nie chciał popierać niedemokratycznej polityki aneksji Nadrenji, polityki sztucznego rozbijania Niemiec. „Czyż położyłbym swój podpis pod taką machinacją? Ojczyzna ma wartość wtedy, gdy reprezentuje ideę... jakaż w tem jest idea?" A równocześnie starzec, który drżał pół wieku blisko na wspomnienie klęski młodości, triumfował z starczą namiętnością, stwarzał formy i sankcje pokoju, które go czyniły obcym demokracjom. Wielcy jakobini, gdy przychodziła taka chwila konfliktu z społeczeństwem i taka chwila wewnętrznego konfliktu, szli na szafot. Dziś jesteśmy mniej krwawi. Clemenceau przeżył swą klęskę, przeżył — w tak małym stopniu „swój" — traktat pokoju i przeżył stopniową likwidację ducha tego traktatu. Nie poszedł na szafot, lecz pojechał do Wandei. Zgryźliwie określił przy-

czyny, dla których zbawcy republiki nie było danem stanąć na czele republiki. „Wszak to oznaczałoby pogrzeb cywilny w pałacu Elizejskim, czego trzeba troskliwie unikać“ — to pod adresem nieprzyjaciół z prawicy. „Choć to wyglądało jakbym się zwracał do parlamentu, zawsze w istocie zwracałem się do kraju. Mowy moje zawsze przechodziły nad głowami deputowanych i senatorów, zawsze dawałem im do zrozumienia, że, czy padnę, czy też nie, zawsze ostatecznie kraj będzie mnie sądził: i ich, ich także“ — to pod adresem demokratycznych przyjaciół.

V

Gorzkie słowa jednej z rozmów: „Demokracja jest demokracją. Nic nadzwyczajnego. Ale — po pierwsze — to nieunikniony kres doświadczenia ludzkiego. A po drugie — demokracja, arystokracja, plutokracja... wszystkie te kracje warte siebie. Jest tylko jedna dobra kracja: teokracja. Pod warunkiem, że ma boga“ — może nieco za jaskrawo, choć trafnie, oddają ten pogląd na współczesne społeczeństwa i państwa, jakim zamknął swe pełne walki życie jeden z twórców rządzącej demokracji francuskiej. W dwóch dziełach: *Au soir de la pensée* — szeregu luźnych uwag, rozmyślań, refleksyj i *Demosthène* — historji upadku demokracji greckiej, zawarł Clemenceau rezultaty swych doświadczeń politycznych. W głębi ducha, w najistotniejszym swym poglądzie na świat pozostał takim samym do końca: racjonalistą, mózgowcem, wrogiem wszelkiej wiary, wszelkiej mistyki, wszelkiej metafizyki, do szpiku kości — i przez to Francuzem do szpiku kości. Miejsce jedynej wiary jego młodości i życia, miejsce mistyki demokratycznej zajął jednak u schyłku lat sceptycyzm. Demokracja nie jest dla niego formą rządów idealną, nie jest przedmiotem wiary. Jest jedyną możliwą formą rządów, przyjmuje się ją z uśmiechem rezygnacji, z zrezygnowanem poczuciem, jak zawodną, jak chwiejną jest wola ludu, jak trudno jest nieraz się na niej oprzeć, i z zrezygnowanem zrozumieniem, że niema żadnego innego oparcia. Jakże współczesny jest ten sceptycyzm do gruntu przeżerający dziś demokracje i jakże niedzisiejszą, jakże jakobińską jest ta nieugaszona miłość Francji, ten nieugaszony żar patrjotyzmu, który z Jerzego Clemenceau uczynił ojca zwycięstwa.[1]

Konstanty Grzybowski

KRONIKA ZAGRANICZNA

Nie łatwo dać w tej chwili syntetyczny obraz najważniejszych wydarzeń polityki światowej w ciągu ubiegłego roku. Nie brako-

---

[1] Ustępy w cudzysłowach są cytatami z dzieł Clemenceau oraz rozmów z Clemenceau, jakie zanotował i opnblikował jego sekretarz, Jean Martet.

wało ich wprawdzie w tym okresie i dla całego kierunku wielkiej polityki mają niektóre z nich ogromne znaczenie. Ale zmiany, które wnieść mają w układ sił i wzajemny stosunek mocarstw, zostały zaledwie zarysowane — ostateczne ich przeprowadzenie przypadnie w udziale wielkim konferencjom, zwołanym na styczeń: morskie w Londynie i reparacyjnej w Hadze.

Pozytywne wyniki tej ostatniej są zgóry do przewidzenia mimo wszelkich trudności, które się pojawiają. Jeszcze przed kilku dniami zostały Niemcy zaalarmowane wiadomością, że Snowden zażąda dla płatności niemieckich sankcyj, których plan Younga wogóle nie przewiduje. Choć podobne żądanie jest w tej chwili uważane w Niemczech za tak wielki kamień obrazy, że mogłaby się oń rozbić cała konferencja, nie trzeba tych pogróżek brać zbyt serjo. Zainteresowane mocarstwa, przebywszy tak długą i ciernistą drogę rokowań reparacyjnych, dołożą wszelkich starań, aby ostatnie przeszkody z niej usunąć i zadanie to napewne spełnią.

Znacznie trudniej byłoby sformułować przewidywania co do przebiegu i wyników konferencji morskiej. Pewien optymizm w tym względzie jest jedynie usprawiedliwiony wizytą Mac Donalda w Waszyngtonie. Ogłaszając przy tej sposobności gotowość zrównania swych flot, Anglja i Ameryka złagodziły bowiem swe ostre współzawodnictwo, o które do tej pory rozbijały się wszelkie usiłowania wydatniejszego ograniczenia zbrojeń morskich. Trudno powiedzieć, czy takie złagodzenie równa się porozumieniu na całej linji, ponieważ szczegóły układu trzymane są dotąd w tajemnicy. W każdym razie zarysowujący się wspólny front mocarstw anglosaskich daje całej konferencji pewien punkt oparcia i ułatwia określenie stanowiska wszystkich jej uczestników.

Rzucają się przedewszystkiem w oczy ofiary, które dla pozyskania przyjaźni swej wielkiej siostry ponosi W. Brytanja. Uznana bowiem w Waszyngtonie zasada równości oznacza dla niej rezygnację z przodującego stanowiska, które dotąd w tym względzie zajmowała, mimo forsownej rozbudowy marynarki amerykańskiej. Prawda, że już pierwsza konferencja morska, odbyta w Waszyngtonie w lutym 1922, ustaliła dla tonażów Anglji i Stanów kwotę 5, dla Japonji 3, dla Francji i Włoch 1·75. Chodziło jednak wówczas tylko o wielkie jednostki linjowe, podczas gdy w Londynie mają radzić nad ograniczeniem wszystkich kategoryj okrętów. Ostatnie lata wykazały mianowicie, że nie do wielkich okrętów linjowych należy panowanie nad morzami, tylko do mniejszych a ruchliwych krążowników, których osławiony niemiecki „Ersatz-Preussen“ jest najznakomitszym prototypem.

Anglji, której kolonje i morskie punkty oparcia rozrzucone są po całym świecie, szczególnie musi zależeć na posiadaniu wielkiej ilości mniejszych, a więc mniej kosztownych, a zato szybkich i ruchliwych jednostek. Z drugiej strony to rozrzucenie angielskich posiadłości i niezmierna długość wybrzeży, wymagających obrony

w razie wojny, była dotychczas w ustach przedstawicieli Anglji głównym argumentem, usprawiedliwiającym jej roszczenia do bezwzględnej przewagi. I ten argument, tak łatwo trafiający do przekonania, wykazuje właśnie, że arytmetyczne zrównanie tonażu obu flot rozstrzyga o faktycznej wyższości floty Stanów, których wybrzeża wraz z Filipinami są krótsze nawet od francuskich. Ale Anglja przewidywała, że wyścigu zbrojeń na dłuższą metę nie wytrzyma i stąd jej wspaniałomyślna gotowość poprzestania przynajmniej na pozornej równości, która jej powagę jako tako ratuje.

Być może, iż podobne względy kierują także Japonją. Jak słychać, jej delegaci w przejeździe przez Amerykę dali dowód bardzo pojednawczych nastrojów, których się początkowo po nich nie spodziewano. Obstają jedynie przy dość wysokim kontyngencie łodzi podwodnych, oraz żądają oznaczenia stosunku tonażów poszczególnych flot, dla każdej kategorji osobno.

Znacznie bardziej wygórowane wymagania stawia natomiast Francja. Kwotę 1·75, przyznaną jej w Waszyngtonie dla okrętów linjowych, przyjęła, acz niechętnie, ponieważ jej finansowe położenie nie pozwalało na tak kosztowne budowy. Ten sam stosunek dla ogólnego tonażu uważa jednak za niemożliwy do przyjęcia; jeszcze gwałtowniej występuje przeciw temu punktowi porozumienia Hoover—Mac Donald, który domaga się całkowitego zabronienia budowy łodzi podwodnych, tej najskuteczniejszej broni słabych. Zdawało się przez krótki czas, że w tej sprawie, obok Japonji, i Włochy udzielą jej poparcia. Ale Mussolini uważa widocznie, że lepiej wyjdzie, stając po stronie silniejszych; to też rychło dał poznać, że jest gotów zgłosić swe désinteressement w kwestji łodzi podwodnych, byle wzamian za to uzyskać absolutne zrównanie sił włoskich z francuskiemi. Paryż zwalcza tę myśl, powołując się na konieczność obrony dwu wybrzeży, śródziemnomorskiego i atlantyckiego, nie mówiąc już o licznych kolonjach. Spotykamy się więc z argumentacją podobną tej, którą się do niedawna Anglja w stosunku do Ameryki posługiwała. To podobieństwo interesów zapewne doprowadziło w zeszłym roku do układu morskiego między Briandem a Chamberlainem, który przedostawszy się przez fatalną niedyskrecję do publicznej wiadomości nigdy nie wszedł w życie, ale zato zaognił stosunki między Anglją a Stanami.

Podczas gdy jednak tutaj wchodziły w grę głównie obustronne ambicje i nieporozumienia, które, jak wypadki wykazały, dały się stosunkowo łatwo usunąć, rokowania francusko-włoskie, nawiązane niedawno celem uzgodnienia stanowisk w Londynie, nie doprowadziły do żadnego rezultatu. Trudno się temu dziwić, gdy się zważy, że współzawodnictwo w zbrojeniach morskich jest tylko zewnętrznym wyrazem przeciwieństw, dotykających najżywotniejszych interesów obu państw Wynikają one głównie stąd, że gdy Włochy zgłosiły pretensje o część łupu kolonjalnego, jak poeta z ballady Schillera usłyszały odpowiedź: „świat już jest rozdany“. Wobec

nadmiaru ludności na ubogim półwyspie, a zamkniętej emigracji do Ameryki, faszyści, marząc o wznowieniu dawnego Imperjum Rzymskiego, zaczynają spoglądać pożądliwie na Tunis i inne wybrzeża północnej Afryki, których Francja nie ma kim zaludnić. W tych warunkach, gdzie jedna strona żąda tak wiele, nie dając drugiej nawet objektu do kompensaty, o porozumienie oczywiście bardzo trudno. Dlatego też nie znalazły oddźwięku ani w Paryżu ani w Rzymie propozycje Hendersona, zmierzające do zawarcia śródziemnomorskiego Lokarna, gdzie W Brytanji miałaby znowu przypaść korzystna rola gwaranta. Rząd brytyjski jest w takiem porozumieniu tem bardziej zainteresowany, że od tego w dużej mierze zależy powodzenie konferencji i równocześnie utrzymanie własnej powagi.

Tymczasem minimalne żądania Francji, które jej delegaci (Tardieu, Briand i min. marynarki Leygues) mają w Londynie przedstawić, przewyższają znacznie maximum, które jej Anglja i Ameryka zechcą przyznać. Ze względu na zaznaczony powyżej stosunek do Włoch, jak również na tak silną w ostatnich czasach rozbudowę marynarki niemieckiej, ma Francja niewątpliwie wszelkie powody obstawać przy swym minimalnym programie. Ale skoro na konferencji zajmie dość izolowane stanowisko, jej partnerzy postarają się zapewne, aby na nią spadło całe odjum ewentualnego rozbicia konferencji. Ubiegając ten zarzut, wysuwa ona już dzisiaj tezę, że ograniczenie sił morskich może mieć tylko pewien sens w związku z ograniczeniem zbrojeń lądowych powietrznych. Taki pogląd, zupełnie zresztą uzasadniony, sprowadziłby jednak konferencję londyńską do zgoła nie wiążącej wymiany zdań.

*

W początkach grudnia wypadki chińskie znowu zajmowały opinję publiczną i pozwoliły przyjrzeć się stanowisku, które poszczególne mocarstwa zajmują wobec tamtejszych walk wewnętrznych. Bezpośrednią przyczyną ich interwencji był zbrojny konflikt chińsko-sowiecki, który jeszcze ubiegłego lata wybuchł na tle wspólnej administracji kolei wschodnio-chińskiej. Dla centralnego rządu w Nankinie, który Mandżurję chce poddać swym wyłącznym wpływom, było to kondominjum kolejowe oddawna solą w oku i wywoływało liczne niesnaski. Ten zły humor znalazł pewnego dnia czerwcowego wyraz w przeszukiwaniu rosyjskich konsulatów i aresztowaniu rosyjskich urzędników kolejowych. Rosja uznała to za wystarczający powód do wypowiedzenia wojny, która zresztą, wskutek interwencji mocarstw związanych paktem Kelloga, była prowadzona bez rozlewu krwi. Dopiero w listopadzie postępowanie oddziałów rosyjskich staje się bardziej energiczne. Chińczycy ustępują, Ameryka, Anglja i Francja apelują znowu w imię Kelloga do obu walczących stron, aby działań wojennych zaprzestały. Na to odbiera rząd Stanów Zjednoczonych via Oslo odpowiedź z Moskwy, że

udzielane przezeń Sowietom rady są nie na miejscu, skoro ich jeszcze oficjalnie nie uznał. Zresztą wszystkie trzy mocarstwa mogły sobie oszczędzić fatygi, gdyż rokowania pokojowe zostały nietylko podjęte, ale nawet doprowadzone do szczęśliwego końca; obie strony bowiem zgodziły się przywrócić na kolei wschodniej status quo ante.

Kimże jednak była druga strona, skoro rząd nankiński, już po zawarciu ugody, rozpoczął kroki, aby wywołać interwencję Ligi Narodów? Otóż w Mukdenie istnieje również rząd z generałem Czang-Hsueh-Jang na czele, który w zasadzie uznaje narodowy rząd marszałka Cziang-Kaj-Szeka w Nankinie, ale zawsze dąży do podkreślenia swej faktycznej niezależności. To też cała ugoda w sprawie kolei była wyłącznie jego dziełem, dokonanem pod naciskiem bezpośredniego niebezpieczeństwa, ale poza plecami Nankinu i wbrew jego woli. Dla Cziang-Kai-Szeka była bowiem wojna z Sowietami, tak mało w gruncie rzeczy ryzykowna, pożądaną sposobnością wysunięcia hasła narodowej jedności, której brak tak dotkliwie daje mu się we znaki.

Istotnie wszyscy jego współzawodnicy, olśnieni jego powodzeniem w wojnie i u szerokich mas, tylko chwilowo i tylko pozornie mu się poddali. Dzisiaj podnoszą głowy, zarzucają mu trwonienie grosza publicznego i dyktatorskie metody, niezgodne z duchem narodowej partji Kuomitanga, która go tak wysoko wyniosła. Tym sposobem utworzyła się w Chinach prawdziwa koalicja przeciwko Cziang-Kaj-Szekowi, na której czele stoi „chrześcijański" generał Feng, znany ze swej sympatji dla Sowietów. Zresztą w najbliższem otoczeniu marszałka jest dużo elementów niepewnych, które po cichu obliczają korzyści, mogące dla nich wyniknąć ze zmiany porządku. Jego sytuacja jest tak niepewna, że z początkiem grudnia rozeszła się wiadomość, dotąd jednak nie potwierdzona, o jego ostatecznem ustąpieniu. Wojna domowa w Chinach trwa więc w całej pełni, a ocena jej wyników jest tem trudniejsza, że nie walczą ze sobą pewne grupy ideowe, tylko ambitni kondotjerzy, gotowi zmienić front na każde żądanie, byle było poparte odpowiednią ilością gotówki.

Z tego punktu widzenia należy też przedewstkiem ocenić interwencję Ameryki w konflikcie mandżurskim. Mając dużo pieniędzy zaangażowanych u rządu nankińskiego, pragnie we własnym interesie utwierdzić jego powagę. Dlatego zwraca się doń, jako do jedynego przedstawiciela Chin w chwili, kiedy już wiadomo, że Mukden nawiązał pokojowe rokowania z Sowietami. Przyjąwszy propozycję mocarstw, Nankin znajduje wyjście z kłopotliwej i upokarzającej sytuacji. Jednem słowem zamiast utwierdzać swe wpływy przy pomocy oddziałów zbrojnych i pancerników, jak to dotychczas mocarstwa czyniły, woli Ameryka operować w Chinach pożyczkami, które ożywiając zbyt jej produktów, Chińczyków usposabiają przyjaźnie, a pozwalają wiązać ich nićmi złotej zależności. Widać, że

Francja i Anglja również zrozumiały korzyści tej taktyki, skoro przyłączyły się do przyjacielskiego kroku Stanów Zjednoczonych; brak im tylko kapitałów, aby ją z równem powodzeniem stosować.

Zgoła odmienne natomiast jest stanowisko Japonji, która też wspomnianej akcji dyplomatycznej nie poparła. Będąc sama najbardziej zainteresowaną w sprawach mandżurskich, unika wszystkiego coby mogło urazić wrażliwość rządu w Mukdenie. Wszak łatwiej jest utrzymać dobre stosunki z rządem lokalnym, na którego samodzielności bardzo Japończykom zależy, niż z władcą całych Chin. Te dobre stosunki już im się sowicie opłaciły, gdyż dzięki nim zdołali w ostatnich latach wybudować linję kolejową, która łącząc się z koleją wschodnią i skierowując ruch towarowy do portu Artura, robi poważną konkurencję Władywostokowi.

Ale mimo tej rywalizacji kolejowej łączą Japonję z Moskwą pewne wspólne interesy. Jedna i druga jest w swych mandżurskich pozycjach w równym stopniu zagrożona przez kolonizację chińską, która w tej prowincji osiedla rocznie koło miljona ludzi i dąży do wykluczenia wszelkich obcych wpływów. Wspólne niebezpieczeństwo nastraja do wzajemnej przychylności. Bezceremonjalne usunięcie Rosjan z zarządu kolei wschodniej, którego Chińczycy w czerwcu spróbowali, może być z czasem zastosowane i do Japończyków na kolei południowej. Stąd ich konsekwentne dążenie, aby zapewnić sobie jej wyłączną własność, tem bardziej zrozumiałe, że jest ona bodaj najważniejszą z arteryj, które ją w surowce zaopatrują. Poprostu geograficzne i gospodarcze położenie zmusza Japonję i Rosję do prowadzenia polityki, przeciwnej interesom Chin i Chińczyków. Ameryka natomiast może sobie pozwolić na występowanie w roli ich przyjaciela, który każdej chwili gotów jest zamienić się w troskliwego opiekuna. Zdaje się też, że ona znalazła klucz do sezamu chińskiego.

*

Niedarmo jest w Berlinie rozpowszechnione zdanie, że najbardziej wpływowy w Niemczech człowiek nie rezyduje bynajmniej w pałacu kancelarji Rzeszy, tylko w szarym i niepozornym budynku, który mieści jej bank emisyjny. Prezydent jego, p. Hjalmar Schacht, posiada istotnie wszelkie warunki, aby ze swej niepozornej kryjówki decydująco wpływać na politykę niemiecką. Wszak korzysta z szerszych uprawnień i większej niezależności niż jakikolwiek z jego kolegów w innych krajach; cieszy się opinją uzdrowiciela waluty niemieckiej po bezprzykładnej inflacji; wreszcie jest mężem zaufania zagranicznych kapitalistów i wielkich przemysłowców niemieckich, których wpływ na politykę jest znany. Wszystkie te atuty już nieraz wyzyskał: inspirował raporty agenta reparacyjnego, poddające druzgocącej krytyce gospodarkę Rzeszy, krajów i samorządów; rozstrzygał przychylnie lub ujemnie o pożyczkach zagranicznych, regulując tym sposobem dopływ i obieg kapitałów

zagranicznych; przez bezwzględne restrykcje kredytów sprowadzał „czarne piątki“ na giełdy niemieckie.

Ale podobno Schacht, zachęcony powodzeniem, które jego zakulisowa działalność zyskała, pragnie teraz wystąpić sam na scenę i to w pierwszorzędnej roli, jako prezydent Rzeszy. Dlatego lubi się publiczności przypominać przez nadprogramowe wystąpienia w obronie praw i dobrobytu Niemiec. Podobne zapędy przejawiły się już w memorandum, które 17 kwietnia przedstawił na konferencji rzeczoznawców reparacyjnych w Paryżu, a w którem domagał się zwrotu kolonij niemieckich i Pomorza Nie osiągnął wówczas zamierzonego skutku, skoro w rezultacie musiał się zgodzić na ciężary znacznie przewyższające jego pierwotne propozycje, jak i to, czego się ogólnie w Niemczech spodziewano. Tem samem cała akcja, którą przeciwko planowi Younga Hugenberg rozwinął, była skierowana również przeciwko Schachtowi, jednemu z jego autorów. Aby odwrócić od siebie ten zarzut postanowił obdarzyć rząd Rzeszy — akurat w dzień św. Mikołaja — nowym memorjałem, niby rózgą, na którą właściwie sam zasługiwał.

Wedle Schachta mogą bowiem Niemcy znieść ciężary, które za jego zgodą na siebie przyjęły. Nie do zniesienia mają być natomiast te wszystkie dodatkowe prestacje, obliczane dość dowolnie na kilka miljardów marek, do których się później rząd zobowiązał, nie pytając go o zdanie; m. i. także zrzeczenie się pretensyj pieniężnych wobec Polski. Pozostawiamy oczywiście ocenie fachowców w Niemczech kwestję, do jakiego stopnia są słuszne zarzuty Schachta, który z pomocą wagi aptecznej chce określić zdolność płatniczą Niemiec.

Ważniejsze natomiast są obwinienia, skierowane pod adresem rządu za to, że, mimo licznych zapowiedzi, nie przedstawił dotąd projektu reformy podatkowej, koniecznej wobec zmienionych przez plan Younga płatności. Równolegle ze zmniejszeniem ciężarów powinno też przyjść obniżenie podatków. Pod tym względem wystąpienie prezydenta Banku odniosło pełen sukces, zmuszając gabinet do decyzji, z którą od dłuższego czasu zwlekał wobec tak rozbieżnych zapatrywań stronnictw, na których się opiera. Nie minął tydzień od publikacji memorjału, kiedy kanclerz Müller przedstawił Reichstagowi projekt reformy i zażądał wotum zaufania dla swego gabinetu.

Projekt, t. zw. program natychmiastowy, jest prawdziwem arcydziełem sztuki rządów parlamentarnych, jeżeli, wraz z hr. Taafe, widzimy jej istotę w równomiernem niezadowoleniu wszystkich. Niewątpliwie ogólne znamię projektu jest antysocjalne, skoro wyraża się on przedewszystkiem w podwyższeniu podatków pośrednich (od tytoniu i piwa) kosztem obniżenia bezpośrednich (majątkowego i dochodowego), Można więc szczerze współczuć z socjalistycznym ministrem finansów, który musiał pokryć swą odpowiedzialnością projekt tak horrendalny z punktu widzenia swej ideo-

logji. To też nie przetrzymał tego ciosu i po łabędzim śpiewie w Reichstagu podał się do dymisji. — Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby projekt zadawalniał prawą stronę koalicji. Przedewszystkiem zniżka podatków nie spełnia jej oczekiwań, przytem jest zrównoważona podwyżką składki na ubezpieczenie bezrobotnych.

Wotum zaufania, uchwalone ostatecznie nieznaczną większością głosów, w swem zawikłanem sformułowaniu wyraźnie odbija te niechętne nastroje stronnictw. Dalsze utrzymanie się przy władzy zawdzięczać będzie rząd jedynie świadomości katastrofalnych skutków, któreby za sobą pociągnęło jego ustąpienie przed drugą konferencją haską. Ale po ostatecznem przyjęciu planu Younga, gdy najważniejsze problemy polityki zagranicznej będą już załatwione, sprawy społeczne i gospodarcze wystąpią znowu na plan pierwszy, a wraz z niemi kryzys koalicji, którego rozwiązanie przy obecnym składzie Reichstagu wydaje się prawie niemożliwe.

Kraków, 22 grudnia 1929.

H. Dembiński

KRONIKA WEWNĘTRZNA

Widomy i ideowy wódz opozycji, Marszałek Ignacy Daszyński, stwierdzając niedawno kategorycznie, że „nie mógł usunąć się od walki z rządem", określił istotę walki, która się obecnie toczy na terenie polskiego życia politycznego, następującemi słowami: „Żadna popularność „wodza" nie utrzyma w masach ufności, jeżeli znikną uczciwe jej podstawy. Obecnie przeżywamy wśród robotników polskich jeden z największych upadków osobistej popularności".[1] Abstrahując od osobistej i subjektywnej nuty tego określenia, to jest od poglądów Ignacego Daszyńskiego na „uczciwość" podstaw ufności mas do wodza i na upadek jego osobistej popularności stwierdzić trzeba. że stary polityk trafnie określił, na czem konflikt polega. Walka z rządem Kazimierza Świtalskiego i obalanie tego rządu nie jest bynajmniej celem, jest jedynie środkiem w walce między Józefem Piłsudskim a zjednoczoną opozycją. Decyzja w tej walce nie zależy bynajmniej od takiego czy innego głosowania w Sejmie, decyzja zależy od tego, za kim się opowiedzą aktywne elementy społeczeństwa, czyjej popularności upadek naprawdę przeżywać będziemy.

I

Na tem, że poza walczącymi stoi ktoś trzeci — bezkształtna, niezorganizowana masa o poglądach, które trudno uchwycić i nie dającej się zgóry przewidzieć decyzji, na tem, że od decyzji tej masy zależy przyszły wynik walki, polega plebiscytarny charakter

[1] *Robotnik* z 24 grudnia 1929.

konfliktu politycznego w Polsce, ta okoliczność hamuje oba walczące obozy, skłania je do rozwiązań podobnych do obecnego, które można uważać równie dobrze za próbę stworzenia platformy pod przyszły kompromis, jak też i za zawieszenie broni, za zgodne ustalenie, że nie należy jeszcze szukać decyzji u społeczeństwa

Siła obozu rządzącego polega na tem, iż od niego zależy, kiedy, w jakiej sytuacji nastąpi odwołanie się do wyborców. Ten moment powoduje zapewne pewne pohamowanie zapędów opozycyjnych. Trudno się przecież zdecydować na oddanie przeciwnikowi decyzji co do czasu, a w dużej mierze i co do terenu walki. Dlatego woli się odraczać jej czas, poto, by przygotowywać teren. Dlatego w miejsce hasła o „likwidacji systemu rządzenia" daje się określenie, że system rządzenia doszedł do punktu kulminacyjnego w postaci gabinetu Kazimierza Świtalskiego, że gabinet Kazimierza Bartla jest cofnięciem się poza ten punkt kulminacyjny w tył, że — wniosek — to cofanie się w tył będzie następowało dalej, aż do zupełnej likwidacji systemu, że wkońcu — ukłon pod adresem społeczeństwa — dlatego mówić można, iż V-ty gabinet Bartla jest krokiem ku likwidacji, gdyż nastrój wyborców jest obecnie zupełnie odmienny, niż w chwili, gdy ustępował IV-ty gabinet Bartla, przypuszczać więc trzeba — znowu dalszy wniosek — że nastrój społeczeństwa będzie się dalej zmieniał w kierunku dla rządów pomajowych niekorzystnym. Mamy w tem całem rozumowaniu dwa twierdzenia: Bartel jest krokiem w tył od systemu rządów pomajowych ku systemowi rządów przedmajowych; społeczeństwo w nastrojach swych odwróciło się od rządów pomajowych w kierunku dla opozycji sejmowej życzliwym. Oba twierdzenia trudne w danej chwili do sprawdzenia. Ani gabinet Bartla nie dał jeszcze do poznania jakie zajmie stanowisko, ani nie zaszły żadne wydarzenia, któreby pozwoliły stwierdzić, że nastroje społeczeństwa uległy jakiejś decydującej zmianie. Trudno tedy, by i dwa wnioski co do stopniowej likwidacji systemu pomajowego tak w opinji społeczeństwa jak i w rządach państwem dawały się sprawdzić.

II

Trudność sprawdzenia wynika również ze stanowiska obozu rządzącego. Obóz rządzący nie uważa obecnego systemu — raczej obecnego braku systemu — za definitywny. Przeciwnie — uważa go za system prowizoryczny, mający przedewszystkiem jeden cel, to jest zmianę ustroju. O klęsce obozu pomajowego możnaby przeto mówić dopiero wtedy, gdyby w opinji społeczeństwa gruntowało się przekonanie, iż zmiana ustroju jest rzeczą zbyteczną, że przeto należy powrócić do ścisłego przestrzegania postanowień konstytucji marcowej i praktyki konstytucyjnej, jaka zdążyła się rozwinąć na jej podstawie w ciągu pierwszych lat pięciu jej obowiązywania. O tego obozu porażce możnaby mówić wtedy, gdyby w społe-

czeństwie utrwalało się przekonanie, że bez zaistnienia rządów pomajowych zaistniałaby również możliwość realizacji tych wszystkich celów, jakie rządy te stawiają przed społeczeństwem. Niema w tej chwili żadnych danych do niewątpliwego stwierdzenia nastrojów społeczeństwa w tej mierze, są pewne dane do stwierdzenia, że nastroje te są w dalszym ciągu u znakomitej większości wyborców niezdecydowane i obojętne.

III

To niezdecydowanie i obojętność oraz fakt, że znaczna liczba z pośród wyborców i ich reprezentantów (t. j. część mniejszości narodowych) opowie się w obecnej sytuacji przeciw każdemu możliwemu systemowi rządzenia i każdemu rozwiązaniu sytuacji powoduje, że nastąpiła pewna zmiana taktyki w obozie rządowym, a także w obozie opozycji. Zmiana ta polega, jak wspomniałem, na tem, że usiłuje się bądź to znaleźć kompromis, to jest szuka możności stworzenia nowego systemu rządów w drodze parlamentarnej, w obecnym Sejmie, bądź też odracza szukanie decyzji, to jest, po stronie opozycji, rezygnuje z próby natychmiastowej likwidacji systemu rządzenia. Rezultatem jest, iż jeszcze przez pewien okres czasu posiadać będziemy rząd, w którym czołową postacią jest Marszałek Piłsudski, oraz Sejm, którego większość uważa za swe najważniejsze zadanie kruszenie popularności Józefa Piłsudskiego. Jeżeli tym siłom uda się porozumieć — już nie co do uznania wzajemnego swych stanowisk, bo to wydaje się niemożliwem — ale co do zmiany ustroju — rezultatem będzie kompromis. Jeśli obie strony, lub też jedna z nich, dojdą po pewnym okresie do przekonania, że nawet taki kompromis nie jest możliwy — staniemy w tym samym punkcie, w którym staliśmy 31 października zeszłego roku. W tym wypadku rozwiązanie obecne polega na spekulacji, iż kiedyś będzie się miało lepszą pozycję, niż obecnie.

IV

Niebezpieczeństwo polega na tem, że ciągle będzie się robiło kompromis z myślą, że może się jednak nie uda, że wtedy trzeba będzie znowu wrócić do zaostrzenia konfliktu i że na ten wypadek trzeba sobie zapewnić sytuację dobrą, przeciwnikowi jak najgorszą. Dlatego kompromis będzie robiony nieszczerze, jak długo u obu stron nie ugruntuje się przekonanie, że niema innego sposobu rozwiązania konfliktu i że nie dadzą go wybory, bo nigdy nie przyniosą ani zupełnego rozbicia obozu rządowego, ani pozytywnej zdolności do rządów większości opozycyjnej, że nie dadzą go sposoby pozakonstytucyjne, bo stworzą jedynie nową platformę walki — o powrót do legalności ze strony opozycji, o uznanie przewrotu

ze strony tych, którzy się uciekną do środków pozakonstytucyjnych. Porozumienie jest koniecznością. Porozumienie byłoby niemożliwe, gdyby nie było koniecznością.

Konstanty Grzybowski

ŻYCIE UMYSŁOWE ZAGRANICĄ

Z LITERATURY NIEMIECKIEJ O WIELKIEJ WOJNIE

„Poległ w październiku 1918 r., w dniu, w którym tak spokojnie i cicho było na całym froncie, że komunikat wojenny ograniczył się tylko do zdania, że na Zachodzie nie zaszło nic nowego.

Padł ku przodowi i leżał jak śpiący na ziemi. Kiedy go obrócono widocznem było, że nie musiał męczyć się długo; oblicze jego miało wyraz tak spokojny, jakgdyby był prawie zadowolony, że tak poszło".

Temi słowy kończy się książka Remarque'a[1] i los bohatera, który poprzednio opisywał swe przeżycia. Tragizm tytułu i finału wynika z porównania intencji komunikatu z olbrzymią treścią całej książki i losami jej bohatera. Niemniej komunikat, mimo tej śmierci, nie zauważył niczego, coby było godnem publicznej wzmianki.

Dzieło autora, który występuje jako Erich Maria Remarque, poświęcone jest przeżyciom żołnierza niemieckiego na froncie zachodnim od wybuchu wojny do jej ostatnich drgnień jesienią 1918 r. Dzięki formie przedstawienia zaliczające się do literatury pięknej, jest zarazem syntezą i krytyką instytucji wojny. Trudno o krytykę bardziej dosadną... To też dokoła tej książki, o której głośno dzisiaj w Niemczech i poza ich granicami, rozpętała się burza polemiki: po jednej stronie stanęła prasa lewicowa i pacyfizująca, po drugiej prasa niemiecko-narodowa.

Książka Remarque'a to epopeja wojny. Pozornie ma formę pamiętnika spisywanego z dnia na dzień, pamiętnika, którego typ znamy z wielu publikacyj polskich i obcych. Ale tylko pozornie. Bo gdy się temu pamiętnikowi lepiej przypatrzymy, gdy wyodrębnimy poszczególne sceny, przekonamy się, że autor bez powtarzań, nieuniknionych w rzeczywistym pamiętniku, przedstawił w postaci barwnych opisów wszystkie najistotniejsze momenty wojny. Rzucił zaś ich obraz na kanwę artystycznej konstrukcji, nie polegającej na elementach czasowego jedynie następstwa. A więc np. książka zaczyna się od sceny zebrania resztek ocalałej kompanji przy kuchni kompanijnej, poczem dopiero dowiadujemy się o wcześniejszych przeżyciach bohatera. Być może, że wszystko to autor sam przeżył, ale to inna sprawa.

[1] Erich Maria Remarque, *Im Westen nichts Neues*, 726—750 Tausend, 1929, Im Propyläen-Verlag, Berlin, str. 287.

W książce Remarque'a wyodrębnić by można części następujące: wyszkolenie z piekłem koszar i podoficerów, front z różnemi typami walki: a więc ogień huraganowy, walka na bagnety, śmierć bliżej poznanych i dalszych żołnierzy, — urlop z frontu, szpital, obóz jeńców wojennych i t. d., i t. d. Jest tu jednem słowem rzeczowa całość bez powtarzań się, której nie wykrzeszemy, gdybyśmy za materjał wzięli jakiś rzeczywisty pamiętnik, opisujący przeżycia z dnia na dzień.

Typowość poszczególnych zjawisk wojenych została tak świetnie uchwycona, że niejeden z byłych żołnierzy, gdyby pisał swój własny pamiętnik, mógłby niejedną ze scen przedstawionych przez autora przenieść bez zmian — poza skreśleniem nazwisk — do przeżyć przez siebie doznanych.

W ujmowaniu tych poszczególnych etapów wojny łączy się talent artystyczny z realizmem „rzeczoznawcy". Takie sceny, jak zbiórka przy kuchni kompanijnej, gdy niedobita resztka kompanji spiera się z kucharzem o wydanie prowiantu, który pobrał dla kompanji w pełnym składzie — udowadniając mu, że pobrał go przecież nie dla 150 ludzi, tylko dla drugiej kompanji, a oni, choć ich tylko 80 (— „Reszty dzisiaj nie będziesz prowiantował. Lazaret polowy i wspólny grób" —), są przecież właśnie tą drugą kompanją, — pozostawiają silne wrażenie. Podobnie, jak chodzenie koło butów umierającego kolegi, ażeby uprzedzić spoglądającego na nie pożądliwie sanitarjusza, lub scena z matką, przed którą się przysięga, że syn się nie męczył, choć wiadomo. że konał bez końca...

Jakżeż wygląda u autora stosunek żołnierza do wojny? Nie słyszymy o szale bohaterstwa, o upojeniu patrjotycznem W jednem z najsilniejszych miejsc książki, w opisie starcia wręcz po uprzednim kilkudniowym ogniu huraganowym, u walczącego żołnierza znika wszystko, — pojęcie wroga, ojczyzny, — a pozostaje tylko instynkt samozachowawczy: „Staliśmy się niebezpiecznemi zwierzętami. Nie walczymy. Bronimy się przed zniszczeniem. Wyrzucamy granaty nie przeciw ludziom; czyż możemy zdać sobie sprawę z tego w tej chwili? Tam przecież tańczy koło nas śmierć w hełmie, możemy jej od trzech dni po raz pierwszy spojrzeć w oblicze, możemy po raz pierwszy od trzech dni bronić się przeciwko niej; opanował nas wściekły szał. Już nie oczekujemy dłużej bezprzytomnie, jak leżący na szafocie. Możemy niszczyć i zabijać, aby się uratować, aby się uratować i zemścić" (str. 116—117).

Jedynym jasnym punktem w tem morzu cierpienia i zwątpienia staje się uczucie przyjaźni i koleżeństwa. Już z koszar wynieśli żołnierze poczucie wspólnoty; na froncie wykształciła się ona jeszcze bardziej, znajdując wyraz w tem, co najlepszego stworzyła wojna: w koleżeństwie (str. 32). W jednej ze scen siedzi bohater książki wraz ze swym przyjacielem, czterdziestoletnim Stanisławem Katczyńskim. „I tak siedzimy naprzeciw siebie, ja i Kat... w głębi nocy. Nie mówimy ze sobą, ale jesteśmy dla siebie tak pełni wza-

jemnie serdecznych względów, iż sądzę, że i zakochani nie mogliby mieć ich więcej. Jesteśmy dwojgiem ludzi, dwiema drobniutkiemi iskierkami życia, a tam nazewnątrz jest noc i pole śmierci" (str. 98).

Osobno jednak poruszyć należy zagadnienie stosunku do wojny młodzieży, która poszła na pole walki prosto z ławy szkolnej. Problem ten jest jednym z głównych wątków książki. Motyw ten znajduje swój wyraz już w krótkiem, kilkuwierszowem przedsłowiu autora: Książka ta „chce pouczyć o pokoleniu, które wojna rozbiła, nawet jeśli niektórzy z niego uszli granatom".

Otóż ci ośmnastoletni chłopcy ruszyli na wojnę w tym okresie życia, w którym nie zostawili w kraju ani zawodu, ani żony, ani dzieci. „My... mamy tylko naszych rodziców, a niektórzy i dziewczynę. To niewiele — gdyż w naszych latach wpływ rodziców jest najsłabszy, a dziewczęta jeszcze nas nie opanowują" (str. 25). Wyszli więc spleceni z resztą społeczeństwa takiemi tylko więzami. Na wojnę szli jak na przedsięwzięcie bohaterskie. Pierwsze rozczarowanie nastąpiło w koszarach, kiedy się przekonali, że do bohaterstwa są przygotowywani tak, jak konie cyrkowe (str. 28). A potem przyszedł front, który zabił całą młodość. „Nie jesteśmy już młodzieżą. Nie chcemy zdobywać świata. Jesteśmy ludźmi uciekającymi. Uciekamy przed sobą. Przed naszem życiem. Mieliśmy lat ośmnaście i zaczęliśmy kochać świat i życie i musieliśmy zacząć w to strzelać. Pierwszy granat, który uderzył, trafił w nasze serce. Odcięci jesteśmy od życia czynnego, od pięcia się do postępu. Już w to nie wierzymy; wierzymy w wojnę" (str. 91).

Ale wojna nie składa się z samych bitew. Obok gorących dni frontowych są i rzadkie dni pozafrontowe, dni wypoczynku. Cóż wtedy? Wtedy „układamy się na ziemi, by grać w karty. To bowiem umiemy: grać w karty, kląć i prowadzić wojnę. Nie za wiele na lat dwadzieścia — za wiele na lat dwadzieścia" (str. 92).

I tak przeplata się wojna pomiędzy temi dwoma motywami: „Jestem młody, mam lat dwadzieścia; ale nie znam z życia niczego innego, poza zwątpieniem, śmiercią, lękiem i splotem najgłupszych powierzchowności z odmętami cierpienia... Wiedza nasza o życiu ogranicza się do śmierci. Co ma nastąpić potem, co może z nas być jeszcze?" (str. 260–261).

Ten refren powtarza się ciągle, a odpowiedź na postawione pytania wypada najbardziej pesymistycznie: „Jesteśmy opuszczeni jak dzieci, a doświadczeni jak ludzie starzy, jesteśmy nieokrzesani i smutni i powierzchowni — jesteśmy, sądzę, zgubieni" (str. 125—126).

Z przytoczonych fragmentów można wyrobić sobie pogląd, jak dalece ponury jest obraz wojny w książce Remarque'a Jest to dzień powszedni wojny. Niedzieli i święta, to jest uniesień patrjotycznych, zapałów bohaterskich nie dostrzegamy. Autor na ten temat bynajmniej nie ironizuje, poprostu tamte przejawy przemilcza. Czem to tłumaczyć?

Jak zobaczymy, obóz niemiecko-narodowy chce widzieć w książce

Remarque'a wyraz zbrodniczej, zdaniem jego, działalności pacyfistycznej, chęć przeciwdziałania wojnie przez karykaturalne jej przedstawienie. Sądzimy, że przyczyna takiego ujęcia wojny, tak u Remarque'a, jak u szeregu innych autorów, leży gdzieindziej. Szukać jej należy w wyniku wojny, zakończonej dla Niemiec klęską: wszystko napróżno! W omówionej poniżej książce Dwingera spotykamy taką scenę w obozie niemieckich jeńców wojennych w Rosji: „Załamanie w Niemczech. Czy oszalałem? Czy widzę zjawy? Na podwórzu stoi aktywny porucznik bez płaszcza i bez czapki. Ubrał wszystkie ordery i bije się w piersi i krzyczy bez przerwy: Wszystko napróżno! wszystko napróżno! wszystko napróżno!"

Oto wyjaśnienie. Przeżyta klęska przesłoniła mgłą tak intensywne w Niemczech w czasie wojny objawy uniesienia patrjotycznego. Pozostała tylko świadomość na marne niesionych wysiłków. Pozostał w świadomości dzień powszedni wojny. Jakże bowiem inaczej wygląda chwila zawieszenia broni w Paryżu (por. np. opis Strońskiego), a jakże inaczej wygląda ta chwila w książce Renna. Toteż inną będzie literatura wojenna Francji czy Polski od literatury wojennej Niemiec. Karty książek Remarque'a czy Dwingera przypominają u nas chyba karty *Wiernej rzeki*. Trzeba upływu pewnego czasu, aby zatarł się osad goryczy, by poezja mogła chwile takie otoczyć szatą legendy. Tragizm *Warszawianki* nie przypomina beznadziejności *Wiernej rzeki*.

Pacyfizm Remarque'a jest wtórny. Jest to wniosek z obrazu wojny, który w tej postaci mógł się ukazać dopiero po klęsce. Dopiero ona mogła ukazać w całej nagości ciemne strony wojny. Z książki Remarque'a tak ujęta tendencja pacyfistyczna przebija, choć wprost nie została wypowiedziana.

Krytyka książki Remarque'a wyszła w Niemczech z kół niemiecko-narodowych. Są to te koła, które chcą przekreślić wynik wojny. Jak rząd, który podpisał układ haski, ma, zdaniem tych kół, odcierpieć swą decyzję więzieniem, tak i Remarque zasługuje na surowe potępienie, conajmniej na publiczne spalenie książki, jako hańby Niemiec. Nieporozumienie leży w tem, że ani w dziedzinie polityki zagranicznej, ani w dziedzinie wewnętrznych przeżyć narodu nie można przejść do porządku dziennego nad wojną i jej rezultatem.

Z morza artykułów polemicznych wyjmujemy trzy. Jeden to parodja uwidoczniona w samym tytule: *Vor Troja nichts Neues*,[1] ponadto zaś w ogłoszeniu reklamowem (w oryginale: „Remarques Buch ist das Denkmal des unbekannten Soldaten, von allen Toten geschrieben"; w parodji: „Requarks Buch ist das Denkmal des seit

[1] Emil Marius Requark, *Vor Troja nichts Neues*, 1—10 Tausend, Brunnen-Verlag, Karl Winckler, Berlin; na str. odwrotnej data 1930 r. Str. 119.

dreitausend Jahren unbekannten Soldaten von einem Lebendigen geschrieben").

Autor parodjuje poszczególne sceny oryginału, w intencji jednak sięga dalej, bo przecie można parodjować sceny skądinąd cenionej i wartościowej ideowo i artystycznie książki. Otóż parodja ma w ustępach, samodzielnie dodanych przez autora, podkreślić braki Remarque'a. Autor jej wprowadza bowiem szereg scen i postaci własnych, u tamtego nie spotykanych. Ironiczne stanowisko parodjowanego bohatera wobec tych postaci i scen ma uwypuklić nicość moralną książki Remarque'a. Można się ze stanowiskiem autora parodji nie zgadzać, nie można mu jednak odmówić w różnych miejscach dobrego dowcipu. Rzecz czyta się odmiennie od innych, z trudem spisanych elukubracyj na ten temat, przemawiających z koturnów patosu.

Jedną z postaci wprowadzonych przez autora parodji — rzecz dzieje się pod Troją, w okresie wojny grecko-trojańskiej — jest Hipjasz z Aten, który uzasadnia, że bije się z Trojańczykami, „ponieważ są to wrogowie naszej ojczyzny". „Kaskada śmiechu była mu odpowiedzią". Niedługo po tej dyskusji dochodzi do starcia z Trojańczykami. „Oczywiście fakt ten spowodował straty. Między najbardziej wysuniętymi leżał śmiertelnie trafiony Hipjasz z Aten. Ruszył do ataku z pieśnią narodową „Grecja, Grecja, nadewszystko" (*Hellas, Hellas über alles*). Nie mógł zaśpiewać więcej, niż jedną zwrotkę..."

Tego rodzaju nastawienie uważają towarzysze parodjowanego bohatera powieści za *Hurrastimmung*. („Na ochotnika zgłasza się najmłodsza rezerwa, tylko ludzie, którzy dopiero co przybyli z ojczyzny w nastroju *hurra*"). Autor parodji nie uchyla się od wypowiedzenia swego zdania, czyni to zaś przez usta Homera, który jako poeta heroizmu przebywa w obozie greckim i, wiodąc rozmowę z bohaterem powieści, po jego enuncjacjach wybucha: „O bogowie, bogowie, czyż nie macie pioruna, któryby trafił bluźniercę, aby zniszczyć zdrajcę świętej sprawy Grecji?" — „Widzisz — odpowiada bohater — nie mają zgoła". Kiedy zaś opowiada poecie o swym pamiętniku, który zamierza ogłosić po wojnie, Homer wyraża przypuszczenie, że pamiętnik, ten „będzie publicznie spalony, jako hańba dla Grecji".

Po tej wstawce autora repliki przychodzi bezpośrednia parodja bohatera powieści Remarque'a. A więc określony zostaje powód, dla którego bohater opuścił ławę szkolną. Uczynił to dlatego, ażeby oszczędzić sobie siedzenia w szkole. Wyszedłszy bez żadnych przesłanek ideowych, nie zdaje sobie sprawy z istoty walki i z pojęcia nieprzyjaciela („co to znaczy wrogowie — urywek z rozmowy z Trojańczykami, parodjującej scenę z ciężko rannym Francuzem — przecież się zupełnie nie znamy, jak możemy być sobie wrogami?"). W takim układzie rzeczy do pomyślenia jest porozumienie z Trojańczykiem, spotkanym w czasie patrolowania na przedpolu. Czoł-

gają się razem ku linjom: jeżeli się okaże, że to linje greckie, natenczas Trojańczyk będzie uchodził za jeńca greckiego, jeżeli zaś trojańskie, będzie odwrotnie. Ludzi na froncie nazywa się w żargonie tylko „świniami frontowemi"; autor parodji przyjmuje treść tego określenia, w odniesieniu oczywiście do parodjowanego środowiska.

Dla bohatera tego pokroju wojna może polegać tylko na mordowaniu i tutaj autor parodji przytacza dosłownie zdanie Remarque'a: „zabijamy ludzi, których nie znamy, tylko dlatego, ażeby nas nie zabili". Zechciał jednak przytem zapomnieć, że przytoczone słowa dotyczą najwyższego napięcia nerwowego w czasie ataku, gdy u najbardziej uświadomionej ideowo jednostki dobędą się na wierzch momenty instynktu. Parodją jest charakterystyka wojny. A więc mówi bohater o swej książce, że w opisie jego nie brak ani jednej wszy. Na urlopie zaś zazdrości kolegom ich spleśniałego chleba, błota w którem leżą, łachmanów, które noszą. „Czuję, że to jedyny element, w którym żyć mogę".

Jako cel wojny: możność pisania o niej i grubego zarobku z tego tytułu. Bohaterowi wyrywa się westchnienie: „Jak pięknym byłby świat, gdyby nie było żadnej wojny, gdyby składał się tylko z jedzenia, picia i miłości niewieściej". W formie ironji autora pojawia się w ustach bohatera zdanie: „Nie było mi danem umrzeć jako męczennikowi prawdy". Litość, przebijająca z książki Remarque'a, to litość, będąca celem w sobie, a zatem, zdaniem autora parodji, nic nie warta. W zakończeniu bohater nazwany jest Tersytesem wojny trojańskiej.

Nie lepsi i jego towarzysze. Timarchos (parodja Katczyńskiego) przedtem rżnął woły, teraz rżnie ludzi, wszystko mu więc jedno. To też dziwić się trzeba, że taki żołnierz mógł zostać raniony. Drugi kompan, Archodamos, szczyty swe osiąga, gdy brzuch dobrze napełni.

Potem już przejście do słów bezpośrednich. A więc piewcy sławy Remarque'a to pacyfiści, którzy czują wstręt do wojny, nie poznawszy jej wcale. Sam zaś Remarque i jemu podobni, to sprawcy „uderzenia sztyletem w plecy". Wynika to ze słów bohatera: „U nas rewolucja wybuchnąć może każdego dnia. O to zatroszczyliśmy się ja i mnie podobni".

Tendencja innych pism polemicznych wynika jasno z ich zakończeń. A więc Wilhelm Müller Scheld w publikacji *Im Westen nichts neues — eine Täuschung*,[1] podkreślając swe konkluzje drukiem rozstrzelonym, pisze: „Es ist grotesk, dass in einer Zeit, in der in Paris darüber beraten wird, wieviel Blut den blutarmen Deutschen noch abgezapft werden soll, ebendiese Deutschen sich

[1] Wilhelm Müller Scheld, *Im Westen nichts neues, eine Täuschung*, Studie. 15—20 Tausend, 1929, Verlag Georg Grandpierre, Idstein in Taunus, str. 54.

mit hysterischer Begeisterung auf eine Darstellung wühlender Vernichtung und trostloser Hoffnungslosigkeit stürzen. — Den Franzosen kann dieses Buch so lieb sein wie 100 Miliarden".

Dr Gottfried Nickl[1] tak zaś ujmuje rezultat swego rozbioru: „Man predigt höchste Menschenliebe und die Heiligkeit und und Erhaltung des Menschenlebens und will den Tod unseres Volkes — wir aber wollen sein Leben, auch wenn es uns nur durch die Pforten des Krieges und Todes erschlossen werden kann. Das ist der Unterchied".

Słynne dzieło Remarque'a i powstała w związku z niem polemika zasłoniły swem wzięciem cały szereg innych publikacyj niemieckich poświęconych świeżo minionej wojnie. Wśród nich wyróżnia się książka Ludwika Renna, która p. t. *Wojna*, „pamiętnik żołnierza wielkiej wojny", ukazała się świeżo i w polskim przekładzie.[2]

Autor w podtytule wyraźnie podkreślił charakter swej książki jako pamiętnika. Pamiętnik ten rozpada się na kilka części, każda zaś z nich na poszczególne rozdziały. Oto tytuły odrębnych części: Wojna ruchoma, Wojna pozycyjna pod Chaillly, Bitwa nad Aisne w Szampanji 1917, Wojna pozycyjna 1917—1918, Ofenzywa z marca 1918, Klęska.

Podkreślenie wyraźnie pamiętnikowego charakteru książki Renna i unaocznienie tego faktu przez wyliczenie części składowych dzieła umożliwia z miejsca przeprowadzenie porównania z utworem Remarque'a i wysnucie stąd odpowiednich wniosków. Otóż dzieło Remarque'a, choć też jest z pozoru pamiętnikiem, uwypukla typowe przeżycia wojenne. Jest to — jak już wspomniałem — synteza wojny przedstawiona w postaci najbardziej typowych jej cech. Stąd u Remarque'a brak powtarzań. Odmiennie u Renna. Tam ciągłe powtarzanie scen ataku i odwrotu, tych samych momentów życia okopowego. Bo choć raz było się pod Chailly, a drugi raz nad Aisne, to jednak jeden okop niewiele różnił się od drugiego, a walka o lasek jest bliźniaczo podobna do walki o Białą Górę w cyklu kampanji nad Aisne.

Z porównania tego nie można jednak zbyt płocho wyprowadzać wniosków na niekorzyść książki Renna. Niewiadomo zresztą, czy w drodze świadomego, czy też nieświadomego zamierzenia

---

[1] Dr Gottfried Nickl, *Im Westen nichts Neues und sein wahrer Sinn*, Eine Betrachtung über den Pazifismus und Antwort an Remarque von... U dołu okładki: Das Schanddenkmal, welches in dem Buche von Remarque „Im Westen nichts Neues" unseren feldgrauen Helden des Weltkrieges errichtet wurde, gestürzt! Beginnende neue Weltverleumdung aufgedeckt! Jeder Leser des Buches von Remarque muss auch die Enthüllungen „dieser" Schrift kennen. — Powyższa publikacja ukazała się jako osobna odbitka (stron 46) z *Roseggers Heimgarten*, „Monatschrift für Unterhaltung und Aufklärung".

[2] Ludwik Renn, *Wojna*, Pamiętnik żołnierza wielkiej wojny. Przekład autoryzowany Juljusza Feldhorna, Kraków—Warszawa, Wydawnictwo „Panteon", Kraków, Księgarnia Powszechna, str. 358.

artystycznego daje autor rzecz inną, a mianowicie charakterystykę przeżyć wojennych jako kalejdoskopu ciągle zmieniających się i ciągle powtarzających się wrażeń. Człowiek to przeżywa, mocuje się z sobą, aż wreszcie lekarz stwierdza ciężką chorobę nerwową. Dla przykładu parę scen. A więc kazanie pastora: „Gdy Pan uwolni jeńców Sijonu, będziemy jako ci, którzy śnią... Kochani towarzysze, czy nie jesteście niewolnikami? Niewolnikami strachu i bojaźni i śmiertelnego przerażenia? Widzieliśmy wkoło śmierć, codzień, w tysiącach postaci. Czyż nie jesteśmy niewolnikami własnych wrażeń?... Ale kiedy Pan uwolni nas, niewolników, będziemy wtedy, jak ludzie śniący..." A potem refleksja autora: „A więc to tak naprawdę?"

„Widziałem wznoszące się nad dachy gołębie i to, że skrzydła ich błyszczały w słońcu. Mały piesek nadbiegł w środek kwadratu wojska i począł obwąchiwać kamasze duchownego". Kazanie, słońce, gołębie, mały piesek; okop, atak, ranni, zabici. Umysł rejestruje wrażenia, które szybko muszą ustępować, bo przychodzą nowe. Tak np. w innej scenie: „Jesteśmy na wolnem powietrzu. Potem pisałem list do narzeczonej Hartmanna Popołudniu nadleciały dwa granaty i wryły się w wał kolejowy. Zresztą nie było widać, ani słychać niczego. Potem nadszedł plutonowy i opowiadał, że dziś rano na sąsiedni pułk atakowali czarni; teraz leżą przed naszemi linjami pokotem martwi".

Tyle o „ogólnem" ujęciu wojny. Pozatem jednak stwierdzić trzeba, że poszczególne sceny, przedstawiane przez autora, nie spełniają jedynie roli materjału do wywołania wspomnianego wyżej ogólnego wrażenia Obok tego pamiętnik w poszczególnych scenach pokazuje, jak zbliska wyglądały fragmenty wielkiej wojny, znane szerokim masom przeważnie pod kątem syntetycznych ujęć politycznych czy strategicznych. A więc np. przejście granicy belgijskiej:

„Przybyliśmy nad granicę belgijską. Urządzono postój. Zniszczyli drogi i wznieśli zapory — głosiła wieść.

Szliśmy dalej. Budynek celny. Potem drogowskaz z francuskim napisem.

— Gdzież to zniszczono drogę? — pytałem niecierpliwy.

— No, leziesz przecie po niej — śmiał się Ziesche.

Co? I to było wszystko? Parę kamieni wyrwanych z bruku ulicznego? Po bokach szosy wznosiły się pnie drzew, odrąbane na wysokości jednego piętra, korony ich spoczywały na łąkach, świerki tak smukłe i wysokie, jakich nigdzie dotąd nie widziałem. Tem zamykano nam drogę?

Z słupów telegraficznych zwisały druty przecięte, abyśmy nie mogli telefonować. Na prawo stał mały domek. O drzwi opierał się jakiś człowiek, z czapką głęboko nasuniętą na czoło i gapił się na nas..."

Podobnie zbliska oglądamy sceny strzelania przez ludność cywilną do wojsk niemieckich. Pierwsze starcie z Francuzami nad Mozą, marsz poza Mozę, a potem wielka bitwa nad Marną. I znów nic o wielkim planie niemieckim i jego załamaniu, tylko poszczególne sceny z frontu, z dużą artystyczną zdolnością kreślone ilu-

stracie do wielkiego boju. Krótki meldunek huzara, pierwsze doniesienie o bitwie: „W nasze prawe skrzydło wtargnęły dwa francuskie szwadrony". O pochodzie naprzód Francuzów informuje zwięzła relacja jednego z oficerów o losie jego... papierosów: „Ano, odnoszę Hessego, który dostał postrzał w brzuch, a Francuzi są tuż za nami. Musiałem odrzucić tornister. A w nim była cała setka papierosów". A dalej z głębokim realizmem i artyzmem nakreślona scena okopania się w obronie przed atakującymi i golgota odwrotu:

— „Boehm — zawołał i chwycił go za obie ręce. — Może pan mówić? — Spojrzał zatroskanym wzrokiem na jego bandaż.
— Nawet i palić, panie majorze — rzekł Boehm.
— A to dobrze. Ale cóż robią ci czterej tu?
— Tych tylko przyprowadzam zdrowych.
— Wczoraj także nie pozostało ich więcej..."

Stała pozycja w stratach straży zamykających odwrót.

I dziesiątki podobnych scen z dalszych etapów wojny. Między niemi pokazana bitwa nad Somme'ą, u końca zaś szkice z dni klęski. Pierwsze jej ślady, zanik dyscypliny. A potem załamanie, odwrót. Za odchodzącymi wkraczają wojska koalicyjne:

„Późno wieczorem wrócił Mehling z Leodjum i powiedział, że całe miasto udekorowane chorągwiami. Byli tam już Francuzi, Anglicy i Belgijczycy. Siedzieli w kawiarniach, śpiewali „Marsyljankę" i krzyczeli: hurra! Mehling był jeszcze uradowany tym widokiem".

Mówiąc o dziele Renna nie można pominąć jednej jeszcze jego cechy, tak bardzo znamiennej, zwłaszcza dla książki Remarque'a. Jest nią ponury koloryt obrazu wojny. Coprawda na kartach książki Renna nie brak i ech wojennego uniesienia Niemiec. Wspomina o nich autor na początkowych stronach, sam zresztą wypowiada u wstępu swego pamiętnika zdanie: „Jakie to szczęście widzieć w życiu swem wojnę. Wojna stanowi pewnego rodzaju oderwanie od codzienności. Jak ubodzy są ci, których młodość bez tego upływa". Wspomina i swe marzenia o czynach bohaterskich, ale już tylko poto, by im przeciwstawić realizm wojny. Niepozbawiony jest uczuć patrjotycznych („Cóż to więc jest ojczyzna? Nic? Zastarzałe wyrażenie? Ale czemś ona jest przecie. I to czemś, co może nawet kocham"). W dniach klęski sądzi, że ojczyzna jego została przeklęta. Pesymizm, choć nie jest tonem wyłącznym, pozostaje jednak tonem panującym.

Książka Edwina Ericha Dwingera[1] chce być dokumentem: „Pojawi się wiele pamiętników wojennych, ale niech Bóg strzeże, żeby pojawił się inny, bardziej wstrząsający od tego, ażeby zjawił się inny dokument podobny do tego. Książka moja starczy na lat tysiąc". Ma za cel być zwierciadłem prawdy: „Prawda nie potrzebuje pięknej szaty, najpiękniejsza jest, gdy jest zupełnie od-

[1] Edwin Erich Dwinger, *Die Armee hinter Stacheldraht,* Das Sibirische Tagesbuch, Sechstes bis zehntes Tausend, Eugen Diederichs Verlag in Jena 1929, str. 306.

słoniona..., a kłamstwa nie pomogą ani przyszłym pokoleniom, ani naszemu światu". Nie ma to jednak być tylko stwierdzenie stanu faktycznego; autor podkreśla wyraźnie propagandowe znaczenie swej książki: „Rzecz jasna, naród powinien być zdolny do obrony i my, gdyby było trzeba, raz jeszcze spełnimy swój obowiązek i o nim tutaj nawet nie zapomnimy — dla nas tylko stało się jasnem, że wojna jest czemś zbyt strasznem, by mówić o niej chełpliwie i powierzchownie. Stało się dla nas rzeczą oczywistą, że najprzedniejszy obowiązek każdego kulturalnego człowieka upatrywać należy w dążeniu do unikania wojny".

Tutaj zatem autor bezpośrednio wypowiedział to, co było jednem z zamierzeń książki Remarque'a, choć w podobnie bezpośredniej formie przez niego ujawnione nie zostało. I tutaj podstawą dla wysnucia takich wniosków jest obraz wojny oglądany od jej ciemniejszej strony. Tem możliwsze było to dla autora, że miał za sobą nietylko klęskę wojenną, ale i specyficzne przeżycia z samej wojny, — przeżycia z obozu jeńców wojennych.

Główną treść książki stanowią jednak nie subjektywne wynurzenia, lecz opis przeżyć, dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Autor to właśnie stawia sobie za główne zadanie: „Starałem się zawsze być zimnym i rzeczowym, nie pomieszczać niczego z moich nastrojów i poglądów, tylko kreślić to co widziałem". Kreśli więc swe przeżycia, począwszy od chwili ocknienia na placu boju ze stanu nieprzytomności. Znalezienie ciężko rannego przez kozaków, transport poprzez szpitale polowe do lazaretów w Rydze i Moskwie, okropne chwile w obozie jeńców w gubernji samarskiej, potem w Irkucku, nakoniec w głębi Syberji. A niektóre z tych przeżyć są istotnie straszliwe. I tak w gubernji samarskiej wymiera dziennie na tyfus plamisty po kilkuset ludzi. Trupy zatarasowują dostęp do baraków (grzebać z powodu zamarzniętej ziemi i braku łopat nie można): „Dziś rano oszalało dwu Austrjaków. Jeden z pragnienia, drugi z przerażenia .. Wyjąc czołgają się pomiędzy trupami i bawią się ze szczurami, jakby to były małe pieski. Wczoraj zwarjował niemiecki piechociarz. Gdyby nie był tak osłabiony, byłby podusił nas wszystkich, pozostałych przy życiu, jednego po drugim".

Ograniczamy się do przytoczenia tego jednego fragmentu. Gdyby chcieć więcej przykładów, możnaby przepisać całą książkę. Lepiej jednak wówczas ją przeczytać. Interesuje nas w niej atoli jeszcze coś więcej. Chodzi o to, aby wyłowić reakcję grupy uwięzionych na stosunki w obozie jeńców panujące. Materjał taki może mieć poważne znaczenie dla socjologa, jako materjał do poznania grupy ludzkiej specjalnego typu.

A więc co Dwinger podkreśla, to moment koleżeństwa, jako łącznik pomiędzy ludźmi. Nieznany oficer kładzie autorowi na stoliku w przeddzień zapowiedzianej amputacji pudełko papierosów i puszkę konserw. Dla nieszczęśliwego tych kilka papierosów

i puszka konserwy staje się symbolem, nakazem wierzenia w ludzi — mimo wszystko. Jeżeli też przebył tyfus, to tylko dzięki opiece kolegów: „Wielu nie zeszłoby z tego świata, gdyby mieli takich kolegów, jak ja".

Ale i koleżeństwo może ulec rozprzężeniu. „Tak, byliśmy kolegami, np. w Tołzkoje (w Samarskiem) i bylibyśmy kolegami, także i dzisiaj, gdyby żądano od nas jakiegoś czynu, albo w razie nagłego niebezpieczeństwa. Ale tutaj niema niczego nagłego, wszystko wlecze się, wszystko chroma. Nasze położenie jest zdradliwe i niszczące nerwy, demoralizujące i pospolite". Okropne są bowiem nietylko przeżycia rannego, czy jeńca w Samarskiem. Równie ciężkim jest stan znośny, ale bez widoków końca. „Najbardziej dręczy nas to, że nie widzimy końca. Także i wy (t. zn. pozostali w kraju) go nie widzicie. Ale może widzicie go choć w postaci małej gwiazdki. My, ojcze, niczego nie widzimy. widzimy tylko noc, noc coraz ciemniejszą, coraz bardziej dręczącą, noc, która zdaje się chcieć nas wchłonąć". Nie jest to życie. „W gruncie rzeczy nie żyjemy już, chyba tylko czekamy..." To też w takich warunkach rozprzęga się dawne koleżeństwo: „Przychodzi do głosu wzbierająca ciągle nienawiść człowieka do człowieka, która nagle, niekiedy z najdrobniejszej przyczyny, doprowadza do szaleńczego wybuchu". Rozstrój ten szybciej postępuje w grupie żołnierskiej niż oficerskiej. Tam przecież odmienna jest kultura domowa i więzy dyscypliny zachowują dłużej swą moc, ale i tam dochodzi do tych samych przejawów. To też pod koniec wysnuwa autor taki wniosek: „Nie, koleżeństwa niema już u nas, natomiast wytworzyła się między nami więź łącząca więźniów karnych".

Tej atmosferze opierają się tylko najtęższe charaktery. Do nich należy z szeregowych ułan Podbielski, z oficerów doktor Berger. Z podoficerów kreśli autor ostremi rysami postać wachmistrza Schnarrenberga. Ten chciałby utrzymać dyscyplinę i porządek do ostatniej chwili. Wszystko dlatego, ponieważ nie traci łączności z krajem i myśli jego obracają się dokoła losu ojczyzny. „Dzieci — mówi czystym głosem — zwyciężymy, to jest rzecz główna, a wszystko inne ..... I uderza ręką w próżnię, pogardliwie klaskając palcami. To jest rzecz główna". Ludzi tego pokroju nic nie załamało; uczyniła to dopiero wiadomość o klęsce. Schnarrenberg się powiesił. Liczne były wypadki obłędu.

Zagadnieniem odrębnem jest życie płciowe grupy. Upowszechnia się homoseksualizm. Oto młody, chorowity chłopak, Blank. „Er ist eine richtige kleine Hure geworden". „Ale od tego czasu powodzi mu się lepiej, dostaje ze wszystkich stron papierosy i podarki. Mimo tego nie pociągnie długo — kaszle mi za wiele".

W grupie jeńców wyróżniają się najmłodsi. Inni, związani zawodami, rodzinami, po powrocie do kraju zapomną, wrócą do pracy przy starych warsztatach. Co jednak stanie się z tymi, co wyszedłszy, mając lat siedemnaście, wrócą dojrzalsi od starych, nie-

związani jednak ze społeczeństwem żadnemi węzłami? Temu problemowi poświęcił Remarque całą swą książkę. Potrąca oń i Dwinger, sam bowiem w osiemnastym roku dostał się do niewoli. Zrazu nęci go jeszcze nieznane (poza szkołą i wojną) życie. Nęci go cały kompleks przeżyć związanych z miłością. Ale potem wszystko staje się mu obojętnem. Gdyby wrócił, to chyba, by pójść do klasztoru: „w zielonym, dzikim lesie, do spokojnych, pobożnych mnichow". „Czy nie jest mądrzej zrzec się życia, w którem możliwem było to, cośmy przecierpieli? Może potrwa to jeszcze dwa lata. A gdyby nawet nie, to co mam czynić w domu? Czy cały świat przez tę wojnę nie stał mi się Sybirem? Dla nas będzie wszystko dokoła Sybirem, ponieważ o nim nigdy nie zapomnimy. Przewracam się po ziemi, uderzam się w skronie. A jednak muszę żyć jak niegdyś, krzyczę ku ziemi! Po tem wszystkiem? Spać i istnieć na jawie? Jeść i pić? Po tem wszystkiem? Może ożenić się? Płodzić dzieci?" Wyrazem ostatnich śladów instynktu samozachowawczego staje się decyzja ucieczki.

W tem piekle na ziemi jedynym jasnym punktem są objawy miłosierdzia ludzkiego. Nie koleżeńskiego — miłosierdzia ludzi obcych. Kiedy bohater leżał ciężko ranny, zrzucony na ziemię po pierwszym transporcie, jakaś nieznana dziewczyna napoiła go mlekiem i dała mu kawał chleba. „Powoli, prawie delikatnie kładzie mnię z powrotem na słomę. Czepiam się jej rąk, jak dziecko czepia się rąk matki. Czy moja gorączka zniknęła? A może wszystko było gorączką? Wszędzie są ludzie. Dotknęło mnie coś dobrego, miękkiego, wlało mi nowe siły w ciało. W godzinie śmierci będę ją widział przed sobą.." Drugim takim aniołem jest delegatka szwedzka, Dr Elsa Brandström, której książka poświęcona została.

W tym hołdzie złożonym idei miłosierdzia, jako dobra samego w sobie, nie są wspomnienia Dwingera odosobnione. Podobnie bowiem i książka Remarque'a przepojona jest propagowaniem tej idei. Uchwycili to trafnie antagoniści Remarque'a, skierowując i w tym kierunku swe zarzuty. Przypomina to analogiczną polemikę przeprowadzoną w Polsce z Żeromskim.

Słuszność wydaje się być po stronie Żeromskiego, Remarque'a i Dwingera.

Zygmunt Wojciechowski

NOWE WYDAWNICTWA

ZE STUDJÓW BOYA-ŻELEŃSKIEGO

Boy-Żeleński: *Ludzie żywi*, Warszawa 1929, Wydawnictwo J. Mortkowicza, str. 262.

Ze studjów, drukowanych poprzednio po czasopismach, a zebranych w zbiorze p. t. *Ludzie żywi*, najgłośniejszym stał się wstęp do wydania pism Mickiewicza. Wywołał on ożywioną dyskusję pry-

watną i publiczną, przyczem rzadko kto z atakujących Boya wniósł do niej jakieś cenniejsze pierwiastki, czy to w postaci odrębnego, ale głębiej uzasadnionego stanowiska ogólnego, czy też konkretnych zarzutów szczegółowych (o dwóch takich głosach będzie mowa poniżej). Jeszcze rzadziej zdarzyło nam się czytać spokojne i rzeczowe oceny, na jakie to oryginalne i niezwykłe studjum Boya zasługuje. Wydaje się więc rzeczą pożyteczną lukę tę zapełnić, a raczej uzupełnić to, co tu i ówdzie było już powiedziane, ale może nie wszystkim jest znane.

Naprzód małe wyjaśnienie. Redakcja nowego wydania dzieł Mickiewicza, powierzając Boyowi napisanie wstępu, kierowała się pragnieniem, aby wstęp ten wyszedł z pod pióra nie naukowca, nie specjalisty, „ani polonisty, ani profesora, ani mistyka“,[1] ale wybitnego poety, pisarza i krytyka w jednej osobie, który tkwi w współczesności, żyje nią i urabia ją do pewnego stopnia, który posiada subtelną wrażliwość na zmiany w niej zachodzące i na rytm jej życia, ocenia zjawiska literackie z punktu widzenia jej potrzeb duchowych, ale równocześnie przykłada do tych zjawisk miarę wieków kultury literackiej zachodnio-europejskiej, z którą jest tak zżyty, jak rzadko kto u nas. Tylko człowiek tego typu mógł odpowiedzieć na zapytanie, czem jest Mickiewicz dla dzisiejszej powojennej Polski, a o to wszak głównie chodziło w wydaniu, przeznaczonem dla szerszego ogółu. Uczeni specjaliści takiemi kwestjami się nie zajmują, a poglądy każdego z nich na Mickiewicza są dostatecznie znane z ich prac, żeby je trzeba było jeszcze raz w innej formie powtarzać. Chodziło o nowe „podejście“ do Mickiewicza, o rewizję stosunku do niego, o stwierdzenie, o ile jest on jeszcze „żywy“ i w czem mianowicie leży jego żywotność. W Europie zachodniej takie stawianie sprawy wcale nie jest rzadkością. Oto np. wspaniałe, pomnikowe, krytyczne, w wszelki aparat naukowy wyposażone wydanie pism Stendhala (Championa) zaopatrzone jest we wstępy, pisane przez wybitnych poetów i pisarzy współczesnych, m. i. Andrzeja Gide'a i Pawła Valéry, którzy oczywiście dalecy są od traktowania Stendhala z punktu widzenia historyczno-literackiego, naukowego. Jeżeli więc wydania krytyczno-naukowe zabiegają o współpracownictwo „współcześników“, tembardziej usprawiedliwione to jest przy wydaniu popularnem.

Na czem polega wartość studjum Boya o Mickiewiczu? Przedewszystkiem na tem, że ukazał on jeszcze raz, ale w innem oświetleniu, wielkość, potęgę i jedyność w naszem życiu duchowem tego zjawiska, które się nazywa Mickiewicz. Ukazał w sposób sugestywny, czasami przejmujący, tajemniczość, niesamowitość, otchłanność tego ducha, wymykającego się z pod wszelkich formuł i określeń. Uświadomił, że Mickiewicz „to ślepa siła, wybuchająca niespodzianie, nawpół świa-

[1] Słowa Boya o sobie w omawianym Wstępie.

doma siebie, nieoczekiwana... genjusz, który niejeden raz w życiu ociera się o obłąkanie..." (str. 178). „Paradoksem jest powstanie tego tyrana, tego opętańca z naszej miękkiej gleby; paradoksem kombinacja rasowa tego wcielenia polskości; paradoksem jest, że długoletnia biblja tej polskości zaczyna się od słów: „Litwo, ojczyzno moja"; paradoksem linja tej twórczości, tragicznie na szczycie załamana..." (192). Jeden tylko Słowacki tak odczuwał i ujmował Mickiewicza, zdawał sobie sprawę z przepastności i nadnaturalnej siły tego ducha, wiedział, że są w nim nieobliczalne możliwości, kiedy mu kazał być w *Królu-Duchu* i Zorjanem i Piastem i Jagiełłą, kiedy mu kazał w fragmencie *Dziadów* zjawieniem się swojem siać grozę i strach...

Przypuszczam, że Boy niezależnie od Słowackiego, przez własną wnikliwą intuicję doszedł do odkrycia tych rysów naczelnych, bez których niepodobna zrozumieć wielu faktów z życia Mickiewicza i wielu jego dzieł, a które niezawsze mają przed oczyma badacze Mickiewicza. Ta sama intuicja pozwala Boyowi i inne kwestje oświetlać w sposób śmiały i oryginalny. Otwarcie stwierdza, że pobyt Mickiewicza w Rosji jest „raczej wyzwoleniem", niż wygnaniem; za tragedję życia jego uważa nie więzienie wileńskie, ale powstanie listopadowe, które — w chwili, gdy wyrwał się na swobodę i odetchnął tchem Europy — przypomniało mu, „że w Polsce nie wolno być tylko poetą, tylko artystą, genjuszem, człowiekiem; straszna dola narodu zadzwoniła mu łańcuchem". W związku z tem zwraca uwagę na „cudowną mistyfikację genjuszu", dzięki której w III części *Dziadów* centralne zagadnienie narodowe przenosi się do więzienia OO. Bazyljanów w Wilnie. „Warszawa powstała, Polska się skrwawiła, ale despotyzm poezji przeniósł serce narodu do Wilna..." (możnaby jeszcze dodać, że Warszawa została tam wyśmiana i poniżona!)

Bardzo piękne są karty, poświęcone *Panu Tadeuszowi*. Jednem świetnem zdaniem załatwia się Boy definitywnie z „uniwersalistycznemi" atakami na *Pana Tadeusza* („sądzić *Pana Tadeusza* z punktu „świata pracy" to potrosze to, co sądzić pojedynek Hektora z Achillesem z punktu kodeksu Boziewicza, a wojnę trojańską z punktu Ligi Narodów"), poczem daje wyraz swemu uwielbieniu dla „tej wizji rozżarzonej do oślepiającej białości", dla jednego „z najbardziej tajemniczych misterjów sztuki", sięgającego „w istocie tych kręgów zachwycenia, w których czas się cofa i odwraca lica". Tutaj znów Boy spotyka się z Słowackim. Równie głębokie jest ujęcie Mickiewicza na tle dotychczasowej twórczości polskiej, wskazanie tego „olbrzymiego skoku", tego „tytanicznego wysiłku, który uczynił ten człowiek, „aby przebyć przepaść, jaka nas dzieliła od Europy i stanąć jednym susem w rzędzie największych twórców świata".

Niepodobna tu wyliczać wszystkich „zdobyczy" tego studjum; zbyteczne jest zresztą podkreślać znane dobrze wszystkim cechy

talentu Boya jako krytyka. Zwrócę więc jeszcze tylko uwagę na charakterystykę „namiętnej, bluźnierczej, zuchwałej“ miłości młodzieńczej Mickiewicza (str. 190), dalej rzeczowości i prostoty jego listów, braku w nich „owej poetyczności, której nawykliśmy szukać w listach poetów“ (177), wreszcie na kapitalne ujęcie roli Towiańskiego („... trudno się dziwić, że gdzie choroba zdaje się beznadziejna, a lekarze opuszczą chorego, zjawiają się znachorzy. Towiański był naszym znachorem“: str. 175).

Przez całe studjum przewija się myśl zasadnicza, że Mickiewicz nie był człowiekiem z jednej bryły, z „bronzu“; to człowiek ze swojemi wzlotami i upadkami, człowiek walki, rozdźwięków, rozdarć, przerażający potęgą swoich namiętności nawet Krasińskiego, który nie odznaczał się zgoła spokojnym temperamentem. W ten sposób Boy niewątpliwie „ożywia“ i „używotnia“ Mickiewicza, choć nie twierdzi bynajmniej, jakoby w tem wyczerpywała się jego istota, jakoby nie było w niej miejsca na wszelkie inne cnoty. Przeciwnie kilkakrotnie podkreśla niebywałe, niesamowite wprost bogactwo tej natury.

Przewijają się przez to studjum również inne tony, specjalnie boyowskie, lekkie, frywolne, przekorne, nieliczące się z drażliwościami, nazywające rzeczy po imieniu. Mogą one razić ludzi, przywykłych do namaszczonego myślenia, mówienia i pisania o Mickiewiczu — ale w istocie rzeczy są niewinne. Niemasz w nich płaskości, złośliwości czy szyderstwa — przeciwnie, rzecz cała owiana jest głębokim sentymentem „namiętnego czciciela poety“. Ostatecznie niema zasadniczego powodu do ukrywania pewnych rzeczy w życiu Mickiewicza, jak niema powodu do przywiązywania do nich zbytniej wagi. Boy też traktuje te sprawy mimochodem z punktu widzenia „normalnej“ biografji, jak i cała twórczość Mickiewicza ujęta jest przez niego pod kątem „normalnej“ krytyki literackiej, a nie metody „żywoto-świątecznej“. I w tem jest jeszcze jedna jego zasługa. Przypuszczać można, że w podobny, choć nie identyczny, sposób napisałby studjum o poecie polskim wybitny krytyk cudzoziemski, przystępujący do rzeczy „na świeżo“, nieobciążony balastem żadnych tradycyj. Szukałby cech ludzkich w człowieku i wartości artystycznych w poecie. Oczywiście brakłoby mu zapewne tego sentymentu, jaki ożywia Boya — ale rezultat ostateczny byłby z pewnością podobny. Nie trzeba zaś chyba podkreślać, że takie „spojrzenie z boku“ na poetę narodowego, o którym nagromadziło się wiele frazesów i komunałów — wnosi sporo świeżego powietrza i działa uzdrawiająco.

Można oczywiście inaczej, niż Boy, zapatrywać się na pewne kwestje, można polemizować z nim co do pewnych szczegółów, oświetleń, nastawień, ale nie można zaprzeczyć, że nawet tam, gdzie się nie zgadzamy, zmuszeni jesteśmy do głębokiego zastanawiania się i rewidowania naszych dotychczasowych poglądów. Tak np. słyszałem zarzut, że w rozprawie Boya zawiele jest „biografi-

zmu", zawiele zajmowania się życiem poety i tłumaczenia przez nie jego twórczości. Zarzut o tyle słuszny, iż rzeczywiście wolałoby się, aby Boy zajął się był więcej twórczością Mickiewicza, o której tak pięknie potrafi pisać; wówczas cały szereg faktów biograficznych, które nie mają żadnego związku z dziełami poety i nic w nich nie wyjaśniają — mógłby być pominięty, jako nieważny i nieistotny.[1] Ale, z drugiej strony, metoda „antibiografistyczna" nie da się nigdy w całości przeprowadzić, nietylko dlatego, że — jak powiada Boy — „nikt nigdy nie powstrzyma nas od interesowania się życiem genjalnego człowieka", ale przedewszystkiem dlatego, że dzieło każdego twórcy związane jest mniej lub więcej ściśle z jego życiem, u Mickiewicza zaś ten związek występuje szczególnie wyraźnie.

Z szeregiem poważnych zarzutów wystąpił prof. H. Elzenberg w artykule *Wielkość i my* (*Droga*, Nr. 6). Warto się z niemi zapoznać, gdy pochodzą od subtelnego i głębokiego umysłu, który tym razem jednak ujął rzecz — naszem zdaniem — niewłaściwie. Sprowadził całą sprawę na grunt etyczny i... biografistyczny, dwa punkty widzenia, które w dziedzinie literackiej łatwo prowadzić mogą na manowce. Uważa on, iż dwa są stanowiska wobec wielkiego człowieka: jedno nakazuje nam dążyć do tego, by stać się doń podobnym, urzeczywistniać jego wartości w sobie — drugie stara się uchylić od tego obowiązku, zejść kłopotowi z drogi i albo poprostu zaprzeczyć wielkości, albo też obezwładnić ją, unieszkodliwić, uczynić sobie z niej dramatyczne widowisko, które do niczego nie obowiązuje. To ostatnie stanowisko ma być właśnie stosunkiem Boya do Mickiewicza. Czy tak jest naprawdę? Czy tylko dwa takie stanowiska są możliwe? Przedewszystkiem usuńmy pewne nieporozumienie. P. Elzénberg powiada: „... Z chwilą, gdyśmy raz się zetknęli z jakąkolwiek wartością ludzką, nieuwarunkowaną jakiemś szczególnem uzdolnieniem albo talentem (podkreślenia nasze), nie wolno nam się uchylać od żadnego, najuciążliwszego wysiłku, by tę wartość urzeczywistnić w sobie". Ta „prawda podstawowa" budzi rozliczne zastrzeżenia zasadnicze; chcąc je przedstawić i uzasadnić, trzebaby wdać się w dłuższe wywody na temat „organizacji osobowości", na które tu niema miejsca. Jeżeli zaś chodzi o kwestję, która nas tu zajmuje, to sądzę, że to, co nazywamy wielkością, jest zawsze „uwarunkowane jakiemś szczególnem uzdolnieniem albo talentem" — a więc naśladowanie jej czy upodabnianie się do niej jest zadaniem zgoła niewykonalnem. Ale z tej fizycznej i duchowej niemożliwości „do-

[1] Jan Lechoń ma niewątpliwie rację, gdy twierdzi (w recenzji umieszczonej w *Pamiętniku Warszawskim*, Nr. 1), że nie pisać o rzeczach błahych „to nie znaczy jeszcze fałszować życie Mickiewicza — znaczy tylko podkreślać, co w nim było istotne" (w ten sposób możnaby obronić niektórych „bronzowników") — ale nie ma, jak mi się zdaje, racji, uważając, że z powodu operacji Boya uleciała gdzieś wielkość Mickiewicza. Wielkość utrzymała się, ale została inaczej oświetlona i ujęta.

ciągania się“ do wielkości nie wynika bynajmniej, żeby jej zaprzeczać, chować ją pod korzec, dostosowywać do siebie i t. p. Przeciwnie, można ją czcić, uznając własną małość i odrębność, pozostając sobą, organizując własną osobowość z elementów, które z tamtą wielkością mogą mieć pewne cechy wspólne, ale mogą i nie mieć. Można też wobec niej zająć stanowisko badawcze, w najlepszem tego słowa znaczeniu, t. j pałać szlachetną żądzą poznania prawdy, bez względu na to, czy ona jest przyjemna czy nie, moralna czy niemoralna. Otóż sądzę, że stosunek Boya do Mickiewicza jest właśnie kombinacją harmonijną tych dwóch stanowisk: uwielbienia i poszukiwania prawdy. Nie przestając być sobą, nie wyrzekając się swych orjentacyj ogólnych, nie mając bynajmniej zamiaru „stać się podobnym“ do przedmiotu swojej czci (ma na to zbyt wiele humoru, żeby sobie takie zadania stawiać) — Boy spowiada się z swojej miłości dla Mickiewicza (co mu przyznaje Lechoń w cytowanej recenzji), a równocześnie szuka prawdy jego życia i twórczości, stara się rozróżnić pomiędzy tem, co w nim było nadludzkiem i wiecznem, a tem, co było „ludzkiem“ i przemijającem.

Jest dla mnie rzeczą wprost niezrozumiałą, jakim sposobem właśnie p. Elzenberg mógł dopatrzeć się w studjum Boya „komedji wielkości“ — „wystylizowania wielkości na widowisko komiczne“. Na poparcie tego twierdzenia mógłby przytoczyć tylko kilka dobrych i niewinnych dowcipów — musiałby natomiast pominąć zupełnie całe stronice, na których — jak to powyżej starałem się uzasadnić — niepokojąca i straszliwa potęga ducha Mickiewicza odmalowana jest w sposób niesłychanie plastyczny. Prawda, mówi raz Boy o „zasadniczym komizmie“ życia każdego wielkiego poety, ale tam nie chodzi przecież o komizm mały, przyziemny, lecz „wspaniały i szlachetny“, komizm „kontrastu pomiędzy marzeniem a realnością, światem myśli a światem faktów...“ Podobnie jest i z innemi zarzutami: zjadacz smakowitych owoców, spijacz win, obojętny na to, „jakim sam jest owocem i winem“ — oporny na sugestję wielkości, obawiający się jej „przykrych skutkow...“ Pominąwszy już, że trudnoby znaleźć na to wszystko dowody w tem właśnie studjum Boya, pominąwszy, że zarzuty te brzmią conajmniej dziwnie w stosunku do pisarza, który nietylko zjada smakowite owoce literatury, ale je chyba również rozdaje hojną ręką i chyba w pierwszorzędnej jakości — ujawnia się w nich ta druga cecha artykułu p. Elzenberga, którą nazwałem powyżej biografizmem. Jak postawienie wzniosłej lecz nierealnej zasady etycznej (wielkość, jako program dla wszystkich) przesunęło całą dyskusję z Boyem na tory fałszywe — tak charakterystyka Boya, jako człowieka, tłumaczenie jego studjum krytycznego o Mickiewiczu pewnemi cechami jego charakteru wydaje mi się zbyt śmiałe i ryzykowne. Kwestja, czy kogoś obcowanie z mistrzami „obowiązuje do czegoś“ lub nie, i o ile obawa „przykrych skutków“ tego obcowania zabarwia jego stosunek do

nich — to problemat bardzo skomplikowany i prawie niemożliwy do rozstrzygnięcia. „Obowiązek“ można bardzo rozmaicie pojmować i stosować. Naogół najlepiej się go spełnia, gdy się o nim wcale nie mówi. Stosowanie tego kryterjum w sądach o pisarzach i krytykach może prowadzić do niemożliwego zupełnie „włażenia w duszę“ cudzą; pominąwszy już niedelikatność tego procederu, jest on przeważnie bezskuteczny, bo oparty na bardzo kruchych hipotezach.

Rozumiem dobrze o co p. Elzenbergowi chodzi. Akcentuje on konieczność głęboko etycznego stosunku do zjawisk życia i literatury, ale stawia zagadnienie tak ostro i tak bezwzględnie, że nie pozwala mu to dojrzeć wszystkich rzetelnych wartości nietylko tego studjum, ale całości pracy Boya. A przecież jakże łatwo w osławionej „niemoralności“ Boya dojrzeć to, czego właśnie szuka p. Elzenberg, t. j. zdrowych, tęgich pierwiastków etycznych, ujawniających się w tępieniu wszelakiego kłamstwa, obłudy i blagi, w zdzieraniu wszelakich masek cnotliwych, za któremi kryje się zgnilizna, w podważaniu przesądów, rozbijaniu martwych formuł, i tak dalej, i tak dalej. Trzeba tylko zżyć się trochę z jego metodą ujmowania rzeczy, uznać jego swoisty sposób oświetlania rozmaitych spraw, nie chwytać się drobnych szczegółów czy posunięć (które mogą być czasami niezręczne lub przejaskrawione), ale brać rzeczy ogólnie, syntetycznie, z wysoka, z dobrą wiarą i wolą — no i z świadomością, że taki talent, jak Boy, nieczęsto się zdarza, że więc należy mu się wśród sfer prawdziwie kulturalnych zrozumienie i poparcie.

Nakoniec jeszcze jedna sprawa, związana z wstępem do dzieł Mickiewicza. Słyszało się liczne głosy, że jest on bardzo ciekawy i wartościowy jako studjum literackie, ale nie nadaje się do popularnego wydania pism poety. Pogląd ten byłby może słuszny, gdyby się przypuszczało, że to wydanie rozejdzie się wśród sfer, które dotychczas nic nie wiedziały o Mickiewiczu Dla nich wstęp Boya byłby oczywiście trudny do strawienia. Ale, ściśle biorąc, czytelnikami jego będą ludzie z warstw inteligentnych, pół- lub ćwierćinteligentnych, którzy uczyli się kiedyś o Mickiewiczu i zdołali już o nim zapewne zapomnieć. Sądzę, że dla tego typu czytelników wstęp Boya będzie niemniejszym, choć innego rodzaju „ewenementem“, jak dla literatów; zaciekawi ich, rozrusza, pobudzi do myślenia o poecie i — co najważniejsze — do odczytania ponownego jego dzieł. Pomyślą sobie: „Jeżeli nawet „taki Boy“ pisze z entuzjazmem o Mickiewiczu, to musi być w nim przecież coś, co pasjonuje nawet najbardziej „nowoczesnych“ ludzi; nie jest to więc tylko szanowna relikwja przeszłości, do której nie warto zaglądać“. Trzeba pamiętać o tem, że Boy ma tysiące czytelników wśród najrozmaitszych sfer, że wpływ jego i znaczenie jego słowa są duże, że każdy niemal jego artykuł jest czytany, komentowany, dyskutowany, że otrzymuje on od swoich czytelników setki listów najrozmaitszych sprawach literackich i społecznych. Otóż ci ludzie przez Boya i dzięki Boyowi mogą na nowo zabrać się do Mickie-

wicza — a o to przecież głównie chodzi. Zapewne będą i tacy, którzy przeczytają tylko wstęp lub tacy, którzy z tego wstępu zapamiętają tylko dowcipy i anegdotki — ale na to niema już rady i ze zdaniem takich ludzi nikt nie powinien się liczyć.

*

Rozpisaliśmy się o „Mickiewiczu" Boya tak obszernie z tego względu, że zasługuje na to i samo studjum i ruch, jaki się około niego uczynił. O innych studjach tego tomiku możnaby również wiele pisać, tyle w nich ciekawego materjału źródłowego, ważnych wspomnień osobistych, głęboko ujętych problematów. Niestety, możemy tylko sumarycznie zdać z nich sprawę. Z pomiędzy pięciu szkiców o Przybyszewskim dwa („Blaski i nędze mowy polskiej" oraz „Smutny szatan") ustalają chyba w sposób definitywny rolę i znaczenie Przybyszewskiego w literaturze polskiej i są obok studjum St. Kołaczkowskiego (drukowanego w numerze *Wiadomości literackich*, poświęconym Przybyszewskiemu) najlepszemi pracami o tym pisarzu. Znowu tutaj Boy uświadomił nam wiele rzeczy, z których dotąd tylko niejasno zdawaliśmy sobie sprawę, śmiało postawił kwestję wartości jego dzieł, oświetlił bystro młodzieńczą (niemiecką) epokę *Sturm und Drang*'u i zanik talentu z chwilą powrotu Przybyszewskiego do kraju. Może przytem przecenił nieco dzieła jego niemieckie, ale rzucił ciekawe światło na ich stosunek do polskich „przeróbek", dokonywanych często nie przez samego autora. Pozatem wyjaśnił dokładnie dramatyczne dzieje stosunku pisarza do obu jego żon („Kłamstwo Przybyszewskiego") i dał wiele ciekawych przyczynków do życia pisarza, atmosfery ówczesnego Krakowa, tajemnicy wpływu, jaki Przybyszewski wywierał na młodzież i do historji sławnego „Paonu".

Do Żmichowskiej i jej spraw sercowych zastosował Boy metodę Freuda. Jest to — jak wiadomo — metoda, operująca hipotezami, mniej lub więcej prawdopodobnemi, rezultaty też jej w dziedzinie literatury nie mogą mieć pretensji do rozstrzygania kwestyj (w dziedzinie czysto medycznej może się ona wykazać wynikami znacznie lepszemi). To, co Boy pisze o przyjaźni Żmichowskiej z Pauliną Zbyszewską, jest rozwinięciem, pogłębieniem i wyprowadzeniem ostatecznych konsekwencyj z tego, czego się już dawniej domyślano, ale o czem nie mówiono tak otwarcie. A że nie mówiono w ten sposób, to wynikało z ostrożności w interpretowaniu odpowiednich ustępów z dzieł i listów Żmichowskiej, które są jedynym materjałem autentycznym do dziejów tej przyjaźni. Można się zgodzić na jej podkład seksualny (wobec silnej uczuciowości Gabrjelli i niemożności wyładowania swych uczuć w innym kierunku) — chodzi tylko o jego stopień i rodzaj. Te egzaltowane „entuzjastki" w swych listach i wypowiedzeniach są często ponoszone przez swój „styl" przesadny, napuszony, odświętny. Nie umieją pisać poprostu — stąd opisy ich uczuć i przeżyć nabierają często

zabarwienia i rozmiarów nieodpowiadających rzeczywistości. Mówiąc stylem Boya, poprostu zablagowują się nieświadomie albo i świadomie, może i wmawiają w siebie pewne rzeczy, żeby wyglądało bardziej „dramatycznie". Odnosi się to oczywiście w mniejszym stopniu do Żmichowskiej, która żyła naprawdę intensywnie, ale i u niej spostrzec można nierzadko ową skłonność do uderzania w nieproporcjonalnie wysokie tony.

Niezależnie od tej sprawy, studja Boya o Żmichowskiej przypominają współczesności słusznie tę napół zapomnianą a wyjątkową postać, która w innych warunkach życia publicznego i osobistego rozwinęłaby się zapewne pełniej i normalniej. Była to wielka i zacna dusza — ale czy był też taki wielki talent, jak to nam sugeruje Boy, co do tego możnaby mieć wątpliwości. Trzebaby to szerzej uzasadnić, niż to mógł uczynić Boy w swoich szkicach.

Wśród innych studjów tego zbiorku osobna wzmianka należy się *Procesowi Pana Jowialskiego* Tutaj wnikliwość Boya i jego nieomylna wrażliwość estetyczna święcą triumf w sprowadzeniu kwestji *Jowialskiego* na odpowiedni racjonalny grunt. Że „w całej tej komedji więcej doprawdy czuć rozmiłowanego w typach malarza, niż oburzonego satyryka" — to wydaje się rzeczą niewątpliwą.

Całości książki dopełnia filologiczno-anegdotyczny artykuł o rękopisie *Wesela* (ważny przyczynek do genezy tego dzieła), rzecz o malarzu Wojtkiewiczu i jego protektorze francuskim, André Gide — i wkońcu fragment z dziejów przyjaźni Grottgera z ojcem autora, Władysławem Żeleńskim. Bogate przypisy zawierają ciekawe dokumenty do sprawy Przybyszewskiego (m. i. wiele jego nieznanych listów).

Naogół, choć nie wszyscy omówieni w tej książce pisarze wydają się być dla doby obecnej „żywymi" (np. Przybyszewski i Żmichowska), to jednak nie ulega wątpliwości, że Boy dał ich bardzo żywe i bardzo plastyczne portrety, zainteresował nimi, pobudził do refleksji, przedstawił wiele kwestyj w nowem zupełnie świetle — słowem, dał jeszcze jedną książkę dużej wartości.

Manfred Kridl

NOWE POEZJE POLSKIE

Roman Kołoniecki: *Wschody i zachody.* Poezje. Warszawa 1927. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Stron 90 i nl. 4.

Na książce tej, którą debiutuje bardzo zdolny poeta, można studjować wszystkie dominujące tendencje współczesnej poezji polskiej, jej skomplikowaną genezę, jej „poetykę normatywną" w zakresie stylu, wersyfikacji, kompozycji, jej tematykę. Zaczynając od wiersza wstępnego „Romantyczność", widzimy jej zależność od

naszej wielkiej poezji romantycznej, Mickiewicza przedewszystkiem, po nowemu pojętych. Widzimy zainteresowanie poezją dydaktyczno-opisową pseudoklasyków: szereg wierszy poświęconych „naukom", któryby mógł się znaleźć obok *Rzemiosł* i *Przemysłów* M. Brauna. Nastawienie na bogactwo, obrazowania na daleką metaforę, nieoczekiwane porównania, hiperbolizm, W metryce współżycie wiersza tradycyjnego z akcentowym, obfitość pseudoheksametrów nieściśle rymowanych. Obecność obowiązkowych tematów: „poezja pracy", rewolucja, urbanizm, maszynizm, kosmiczność, zachwycone dzieciństwo, słowa rodzące się we krwi. Impresja podróżnicza, którąbyśmy mogli znaleźć u Słonimskiego. Ekstatyczna emocjonalność widzenia świata. Wszędzie dużo Tuwima. Specyficzna dla epoki postawa życiowa, gestykulacja „jaźni lirycznej" — zbyt złożona, żeby ją można było ująć w krótkie słowa recenzji. A w rezultacie piękne wiersze, strofy, poematy.

Cięciwy oddechu w niebo!
Dokoła pięściami spojrzeń!
Noce pokonać trzeba,
Chmurom zawołać i morzom
— — — — — — —

Nie wiem — nie wiem, skąd jestem — kim jestem
Jakiej siły uciska mnie brzemię,
Liści zwiędłych pożółkłych szelestem
Pozdrawiam ziemię.

Mniej zachwycają wyżej wspomniane „ody filozoficzne", gdy „zamęt liryczny" przejętego patosem danej nauki poetę zmusza do wieszczenia w bezładnem nagromadzeniu terminów naukowych (np. „Chemja"). Ale i tam trafiają się piękne ustępy podobnie jak w dłuższym tytułowym poemacie lirycznym. Ten ostatni nadawałby się do porównania z podobnych rozmiarów poematem M. Jastruna, ale o ileż bardziej skondensowanym, wyrazistym w linjach, suggestywnym. Ale i u p. Romana Kołonieckiego są tak piękne zwrotki, jak np.:

Jest cisza. Noc jak obłok owija się w ciszę.
Są liście. Liście obłok rozwiał swym szelestem.
Wiatr powiewem uderza w szyb czułe klawisze,
Serce moje nie bije, ale wiem że jestem.

Pod ramiona podpełzła ciemność obojętna,
Chłód zdradziecko się wślizga po taśmach bezruchu,
Budząc oszołomione i osłabłe tętna,
Po gwiazdozbiorów niemych skaczące łańcuchu.

Całą książkę cechuje wielka „poetyczność", nasycenie emocjonalne, znajdujące odpowiedniki stylowe i eufoniczne (aczkolwiek instrumentacja takiego np. wiersza „a czerwiec czadem czystej zaczadził czerwieni" wydaje mi się przesadna i elementarna). Wszędzie zresztą lwi pazur urodzonego poety, który niezadługo wykrystalizuje swoiste oblicze, tymczasem przesłonięte nieco ogólnym stylem epoki, z której się rodzi, w żarliwem zasłuchaniu się w jej pieśni

Marja Morstin-Górska: *Krąg miłości.* Warszawa 1929. Nakł. F. Hoesicka. Str. 57, 7 nl.

„...Jeśli draśniesz słowo paznokciem lub nożem z białej karty wytryśnie ci szkarłatna krew!" zapewnia p. M. Morstin-Górska w „Dedykacji" swej książki. Subjektywna prawda poetki: do tego żeby i czytelnik uwierzył w potęgę uczucia, z którego wytrysły wiersze, krok pozostaje jeszcze daleki. Tematycznie bliski erotyce Marji Pawlikowskiej, *Krąg miłości*, kobiecej i świadomie poddańczej, nie zniewala nas tem uniezwykleniem spraw odwiecznych, obnażeniem i gorzką zaprawą, które znajdujemy w *Wachlarzu* i *Dancingu*. Tu wiersze poprawne, nawet bardzo dobre, jak np. „Skarga", (o niewyrażalności uczuć w poezji) są ujęciem niezbyt rewelacyjnem już niejednokrotnie opracowanych tematów. Wczytując się można wykryć i szczegółowsze zależności: najczęściej przypomina się Pawlikowska, m. i charakterystycznym dla niej chwytem — daleką metaforą, nieoczekiwanem porównaniem (konkretne z konkretnem, abstrakcyjne z konkretnem) np. „dni płyną jak łodzie bez steru, Bóg odszedł i patrzy zdala, świat przygasł, zszarzał i zmalał, stał się jakoby kwiat z papieru" z pięknego i krótkiego wierszyka „Wieś, gdy ciebie niema" — jednak przyciągnięcie odbywa się zwykle nieco rozwlekle i czasem za włosy. Kosmiczność natchnienia i pracy poetyckiej „Nakazu Boga" mogłaby się znaleźć w której z ostatnich książek Tuwima, wraz ze „skłębioną zielonością ziemi", „pięknością straszliwą świata", „by mu zboża i trawy i rzeki naszą mową człowieczą szumiały", „by lecące burze śmigały na siebie rymami" — co zresztą jest wielką i zasłużoną pochwałą utworu. Następny zato wiersz oddźwiękuje Iłłakowiczówną, co bynajmniej nie zmniejsza jego wysokiej wartości, chociażby takiego zakończenia:

> Za rozkosz leśnych rykowisk, o nieświadome zwierzęta!
> ja muszę kochać sercem rozdartem i udręczonem!

Ale ostatecznie „c'est imiter quelqu'un que de planter des choux" i niepodobna robić zarzutu poetce z wielkiego oczytania i „impressionabilité" czy bluszczowości twórczej. Wiersze, takie jak „Ślub", stawiają książkę w rzędzie najczyściej i najtrafniej wyrażających uczuciowość kobiety, świadomej, że ukochany „wieczność jej trzyma w swej dłoni jak dziecko biedronkę małą". Wierszom ukształtowanym stroficznie, o których dotąd mówiłem, znacznie ustępują próby „vers libre'u"; poetka nie należy do tych (jeśli tacy wogóle istnieją), którym się ten wątpliwy gatunek udaje.

Janina Brzostowska: *Najpiękniejsza z przygód.* Warszawa 1929. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. 76 i nl. 4

Najnowszy zbiorek p. Janiny Brzostowskiej rozpada się wyraźnie na dwie części bardzo odmienne tematycznie i pod względem stosunku poety do tworzywa.

Pierwsza to „pamiętnik liryczny", miły prostotą, wzruszający szczerością, pamiętnik miłości przedewszystkiem. Jeżeli epitet „wzruszający" stosuję do „pamiętnika miłości", to dlatego, że tylko w chwilach, gdy ten temat jest poruszany, czytelnik ma objektywne przeświadczenie o powadze przeżyć poetki. Przy próbach utrwalenia innych wzruszeń, poetka nie umie nas przekonać o konieczności tych prób: wzruszenia są nikłe, niewyjątkowe ani barwą ani natężeniem; z drugiej strony nie są punktem wyjścia jakichś formalnie ciekawych ukształtowań słownych; pozostaje wrażenie szarej nieokreśloności. Np. „Skarga":

Od tych, których kochamy
odwracamy oczy,
aby smutek nie stał się za ciężki. —

Odwracamy oczy nasze i myśli
ku rzeczom przeróżnym
obcym i mało znaczącym
ku zdarzeniom pustym.

Pielęgnujemy najtroskliwiej kwiaty
gdy serca nasze w żalu —
uważamy tem pilniej, aby rosły szczęśliwie

i t. d. Dobrze, prostota. Ale i prostota powinna łączyć się z kondensacją emocji, być środkiem ekspresji. Nieokreśloność emocji potoczną mową, kategorjami logicznemi, nie wyklucza sprecyzowania jej innemi środkami właśnie dostępnemi poecie, przynajmniej wielkiemu poecie, który jedynie o to kusić się może. Dla porównania weźmy przykład analogicznej prostoty z ostatniego zbioru Tuwima:

Człowieku dźwigający
Usiądź ze mną.
Pomilczymy, popatrzymy
W tę noc ciemną.

Zdejm ze siebie
Kufer dębowy
I odpocznij.
W ciemną noc wlepimy razem
Ludzkie oczy.

Mówić trudno. Mowa ciężka.
Chleb kamienny.
Mówić na nic. Dwa kamienie
W nocy ciemnej.

Przytoczyłem ten wiersz nie dlatego, żebym go uważał za arcydzieło tego poety, albo żebym specjalnie aprobował ten styl jego twórczości. Chciałem tylko ukazać ile suggestywności można osiągnąć środkami nietylko prostemi, lecz i zupełnie ubogiemi i jak skomskomplikowanej emocji (współczucie, smutek samotności i nocy, zmęczenie) te środki ekspresji wystarczają, by osiągnąć ponadindywidualne objektywnie-obowiązujące znaczenie.

Trzeba przyznać, że choć prostota i ubóstwo cechują formalnie całą książkę, tam gdzie poetka ustosunkowuje się do tworzywa,

gdzie źródłem emocji jest przeżycie dla niej istotnie ważne (miłość), bez subtylizowania i wyszukiwania, pisze wiersze bardzo wdzięczne (np. „Ileż to przeżyć"), strofki zupełnie udane, np.

Nie potrzebne mi wasze słowa
ani z wyznań mędrców najszczersze,
wiem, ze lepiej całować
niżli pisać wspaniałe wiersze...

których lapidarnej prawdzie przyklaśnie chętnie czytelnik.

Druga połowa książki często konkretną rzeczywistością w niej odbitą a zawsze rozlewnością ubłogosławionego nastroju w zetknięciu się z przyrodą przypomina „Czartaka", do którego poetka należała; czasami zaniedbanie stylowe i brak kondensacji doprowadza do prozaicznego gadulstwa w stylu (obawiam się, że jestem zbyt surowy) p. E. Kozikowskiego. Jednak bynajmniej nie wszystko jest na tym poziomie: taki „Młyn w Białce" oddaje z wielką suggestywnością trwożliwe i ciemne uczucie przenikające wraz z pierwszą mgłą wieczorną na moście starego młyna:

Ktoś kiedyś, dawno, utonął
niedaleko wielkiego koła;
nie trzeba mówić w noc głośno,
bo odpowie, zawoła.

Niegdyś (w *Przeglądzie Warszawskim*) p. Janina Brzostowska dała mi okazję pomówienia o reformie rymu polskiego w ostatniem dziesięcioleciu. I w tym zbiorku rym jest dziedziną największego zainteresowania poetki pośród spraw formy i najbardziej samodzielnych prób. Konsekwentne użycie asonansu (snu : wzór, czeka : uśmiechach, nawet rytm : dni), powiększa w sposób niepożądany „ubóstwo" książki. Ciekawsze są rymy nierównosylabiczne, prawie bez precedensu w poezji polskiej: żartem : z kart, przekleństwa : klęsk, wieczny : miecz.

Władysław Maciszewki: *Zakosy*. Paryż. Société Générale d'Imprimerie et d'Édition 1927.

„O czem tu dumać na paryskim bruku?" Co tworzyć w oderwaniu od codziennych spraw i zainteresowań swego społeczeństwa, oceniając zdaleka ich błahość? Co jest aktualne w atmosferze „urbis aeternae" kultury europejskiej? Tylko rzeczy wieczne: stąd przewaga wśród tamtejszych książek polskich poezji — przecież to jest w zasadzie sformułowanie krzyku posłanego z samotności w wieczność. W samotności nie ulega się wpływom modnych kierunków.

Oto książka p. Władysława Maciszewskiego. W bardzo zgrabnych wierszach poeta „uderza w miedne gongi", „wypłakać dzisiaj chce — dostojność własnych lic" gdy mu „jeno została z tęsknicą zażyłość". Znacznie bardziej wzrusza, gdy wspomina utracony kraj lat dziecinnych, próbując dać obrazki jakże dalekiej od Paryża

Ukrainy. Mniej tu się daje odczuwać zależność od mody literackiej, mody z przed lat dwudziestu.

K. W. Zawodziński

O LENINIE

F. A. Ossendowski: *Lenin.* 1930. Wydawnictwo Polskie (R Wegner). Poznań, str. 10 nlb. i 472.

Valeriu Marcu: *Lenin 30 Jahre Russland.* Paul List Verlag. Leipzig (bez daty), str. VIII i 358.

Pierre Chasles: *La vie de Lenin.* Librairie Plon. Paris 1929, str. 8 nlb. i 248.

N. Krupskaja: *Erinnerungen an Lenin.* Verlag für Litteratur und Politik. Wien—Berlin 1929, str. 324.

Max Eastman: *La Jeunesse de Trotsky.* Paris, Librairie Gallimard (Le documents bleus. Notre temps. Numero 6), str. 6 nlb. i X i 220

I

Wydawca książki Ossendowskiego zapowiada, że wychodzi ona równocześnie w 10 językach i w półtora miljonie egzemplarzy. Choćby z tego powodu — i jedynie z tego powodu — zasługuje ona na pierwsze miejsce wśród książek omawianych. Książka Ossendowskiego jest doskonałym przykładem łatwości pisania, łatwości tworzenia fabuły, urozmaicania jej dawno ogranemi efekcikami, nie nużenia czytelnika czemkolwiek, coby wymagało wysiłku myślowego, coby wymagało nowego nastawienia wobec poruszanych „zagadnień“ („zagadnień“ — w tej książce jedynie w cudzysłowie). Rezultat: 1,500.000 egzemplarzy i 10 języków. Gdyby Mniszkówna została odkryta przez obcych wydawców, nie stałaby napewno niżej ani co do ilości egzemplarzy, ani co do ilości języków. Dlatego to książka Ossendowskiego zasługuje na omówienie na pierwszem miejscu, jest bowiem symptomem. Nie symptomem coprawda stanu literatury, ale symptomem, obrazem umysłowości masy czytelników. „Wie sich der kleine Moritz die Welt vorstellt“, czyli jak przeciętny człowiek z ulicy chce mieć sobie podanego Lenina. To zadanie Ossendowski napewno spełnił ku zadowoleniu przeciętnego czytelnika.

Bohaterowie tego światka czytelników, bohaterowie Mniszkówny i bohaterowie Ossendowskiego należą do tej samej rasy spopularyzowanych epigonów byronowskiego romantyzmu. Dyktator bolszewicki nabiera nienawiści do burżuazji i caratu, gdyż zamordowano mu jedynego brata, gdyż dla swej pracy rewolucyjnej musiał się wyrzec ukochanej kobiety. Z myślą o tym bracie bezcześci grobowce carskie, z myślą o ukochanej, która — o byronizmie straganów jarmarcznych — ginie z rąk czerezwyczajki, gdyż Lenin dowiedział się, że to o nią idzie, o dwie minuty zapóźno, majaczy ranny dyktator, jej śmierć łamie jego entuzjazm. Zaś najbardziej charakterystyczną cechą towarzyszy dyktatora proletarjatu i naj-

większą ich zbrodnią jest, że dopuszczają się nadużyć seksualnych, szczegółowo zresztą („ad captandam benevolentiam" dla 1,500.000 egzemplarzy zapewne) opisywanych. I jak przykry dysonans czyta się na ostatnich kartach powieści jedyną w całej książce artystycznie, z poczuciem tragizmu pomyślaną scenę: wizję Chrystusa, który się majaczy konającemu Leninowi. Ale znowu treść tej wizji — autor każe się domniemywać, a przynajmniej pozwala się domniemywać, że Leninowi jego dzieło będzie przebaczone, gdyż było „uczynione w imię miłości" — uderza niezrozumieniem stosunku Leninizmu i Chrystjanizmu. Jakże można tak nie rozumieć tego stosunku choćby po wspaniałych strofach Iłłakowiczówny o moskiewskiem męczeństwie.

Sądzę, że na tem, co wyżej podkreśliłem, polega pomyłka książki Ossendowskiego. Książka nie jest historją Lenina. Ma to być natomiast tak popularny dziś typ „vie romancée" o Leninie. Taka powieść-biografja ma wtedy wartość, gdy autor uchwycił i uwypuklił charakter swego bohatera. Może dla tego celu przeinaczać fakta, zmieniać rzeczywistość. Wszystkie fikcje są dozwolone, jeżeli przy ich pomocy cel został osiągnięty, jeśli ujęte zostało to, co stanowi istotę duchową, co stanowi o roli historycznej bohatera. Delteil np. w niedawno wydanej powieści-biografji o Lafayette obszedł się z historją dość bezceremonjalnie, a jednak książka jest piękna, bo na tle tych nieprawdziwych nieraz faktów jest Lafayette żywy, jest taki, jakim był. Lenin Ossendowskiego nie jest żywy, nie jest taki jakim był, jest papierowy. A historję i fakta także potraktowano bezceremonjalnie, tylko nie widzę celu tej bezceremonjalności — a może przyczyną tego jest nieznajomość faktów?[1] Ilustracje książki Ossendowskiego składają się z fotografij, reprodukowanych już uprzednio w książce Valeriu Mracu, o której mówię niżej, oraz w książce Fülop-Millera „Geist und Gesicht des Bolschewismus", ponadto z rysunków niepodpisanego autora. Postać Lenina na okładce, rysunku T. Rożankowskiego, jest udatną kopją jednego z plakatów bolszewickich, reprodukowanych również w wymienionej książce Fülop-Millera.

---

[1] Kilka przykładów: na str. 127—8 każe autor Trockiemu jako narzędziu Lenina doprowadzać do zerwania z Plechanowem, podczas gdy Trocki opowiedział się wówczas po stronie Plechanowa. Na str. 187—188 Lenin dowiaduje się niespodzianie o zwołaniu konferencji „do Zimmerwaldu i Kienthalu", podczas gdy były dwie oddzielone znacznym odstępem czasu konferencje, jedna w Zimmerwaldzie, druga w Kienthalu, a nie jedna, i Lenin nie potrzebował się o nich niespodzianie dowiadywać, skoro był jednym z ich organizatorów. Na str. 188 pisze Ossendowski, że na tych konferencjach (t. j. w r. 1917) powstała III międzynarodówka, podczas gdy III międzynarodówka powstała dopiero 2 (7) marca 1919 r.; na str. 132 każe Leninowi poznać popa Gapona dopiero w Petersburgu, podczas gdy Lenin poznał Gapona już przedtem w Szwajcarji. Na str. 161 Lenin przenosi się z Krakowa do Poronina, „by być bliżej granicy rosyjskiej" (?!). Na str. 193 każe Kiereńskiemu, być „zwolennikiem formuły zimmerwaldzkiej", co jest z gruntu fałszywe. Listę tę możnaby zresztą znacznie pomnożyć.

II

Książka Ossendowskiego jest przykładem, jak nie należy pisać biografji powieściowej. Książka Marcu nie jest coprawda aż przykładem jak to robić należy, niemniej jest biografją napisaną dobrze, interesująco, ładnym i żywym językiem. Charakter Lenina, jego rola, psychika Rosji i bolszewizmu uchwycone trafnie, obficie ilustrowane doskonale wybranemi, poprostu, naturalnie wplatanemi w opowiadanie cytatami z bolszewickich odezw, broszur, przedewszystkiem z pism Lenina. Książka pisana z widoczną sympatją dla jej bohatera, choć bez rażącej stronniczości, oprócz może opisu wojny z Polską, „środkiem dla gnębienia Niemców, która jest wprawdzie jedynie anglo-francuską kreaturą, ale jak drogo kupione zwierzę musi być utrzymywana w dobrym humorze, inaczej umiera z melancholji", która jest „związkiem obszarniczej, arystokratycznej anarchji nad Wisłą". Mimo tego jednak trafnie podkreślił autor znaczenie wojny polsko-sowieckiej: „Rozstrzygnięcie u bram Warszawy nie było rozstrzygnięciem zwykłej wyprawy wojennej. Przed tysiącem lat, podczas wypraw krzyżowych, przedstawiała ziemia podobny obraz". Rozdział ostatni, o agonji Lenina, jest jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie na ten temat napisano.

III

Książka Piotra Chasles jest rzeczową i ścisłą monografją, nie ma w sobie nic z romansu. Autor jej zna dobrze język rosyjski, ma już za sobą kilka cennych dzieł o Rosji, a z początkami bolszewizmu zapoznał się dobrze, bawiąc w czasie przewrotu w Rosji. Wykaz literatury, podany na końcu jego rozprawy, jest cenną informacją dla interesujących się życiem Lenina i jego rolą, zarazem wskazuje, jak gruntownie autor przygotował swoją pracę. Już sam początek pracy, gdzie Chasles wprowadza dyrektora gimnazjum Lenina, Fedora Kierenskiego, którego Lenin był ulubionym uczniem, a którego synem był Aleksander Kierenski, i gdzie wprowadza też skazanego razem z bratem Lenina Piłsudskiego (Bronisława),[1] wskazuje na żywe u autora poczucie dramatyczności, którem przesiąknięta jest cała książka. Tezą jej naczelną — ujęcie psychiki Lenina, określonej jako pewna sprzeczność logiczna między dogmatyczną wiarą w jeden cel a niesłychanie trzeźwą, niesłychanie realistyczną oceną warunków realnych Rosji, która czyniła z Lenina tak świetnego taktyka rewolucji, tak zwycięskiego działacza. Dalej: znakomita znajomość psychologji tłumu, niewiadomo gdzie, chyba intuicyjnie nabyta, — bo przecież nie dawała jej praca na wygnaniu wśród szczupłego grona kilkunastu przyjaciół. Tymczasem posiadał

[1] Tu w pracy jest pewna pomyłka. Z Bronisława robi Chasles Józefa Piłsudskiego, pisząc: „Pilsudski, le futur maître de la Pologne" (str. 11).

ją Lenin w wysokim stopniu. „Raczej twierdził, niż dyskutował, a wkońcu twierdzenia jego narzucały się (słuchaczom) jakby w hypnozie". Nie w tych stwierdzeniach zresztą, nie nowych, choć w nowy, bardzo jasny sposób sformułowanych, leży główna wartość pięknej książki Chaslesa, lecz w ilustracji ich dobrze nagromadzonym materjałem faktów i wydarzeń.

IV

Wspomnienia wdowy po Leninie, Krupskiej, wyszły po rosyjsku przed dwoma laty. Obecnie ukazały się w przekładzie niemieckim. Obejmują okres po 1905 r. Niewiadomo, czy usposobieniu autorki czy też raczej trafnie uchwyconej linji zasadniczej charakteru Lenina przypisać należy, że wspomnienia te przedewszystkiem uderzają brakiem wszelkiej nuty osobistej. Nie jest to właściwie książka o Leninie, raczej książka o pracy Lenina nad obaleniem rządów burżuazyjnych w Rosji, ściślej — o „nielegalnym", wyłącznie konspiracyjnym okresie tej pracy. Lenin nie jest bynajmniej w tej książce mężem autorki. Jest działaczem tak samo, jak ona, nie jest nawet działaczem jedynym, nawet nie najważniejszym. Jest jednym z towarzyszów, ściśle z szeregowcami swej pracy związanym. Dlatego to książka ma urok wspomnienia dawno minionej epoki, a o autorce myśli się, że — być może — naprawdę jest „trockistką", jest w opozycji do twórców i eksploatatorów legendy o Leninie.

V

Przypuszczenie tem prawdopodobniejsze, że książka Eastmanna, o której chcę z kolei kilka słów powiedzieć, kończy się właśnie listem Krupskiej do Trockiego, stwierdzającym niedługo po śmierci Lenina, jak wysoko i jak do samej śmierci zmarły wódz cenił Trockiego. Umieszczenie tego listu dobrze wskazuje na tendencję książki. Eastmann, socjalista amerykański, autor szeregu prac o teorji socjalizmu i rewolucji,[1] stał się ostatnio trockistą. Książkę swą napisał, jak wyjaśnia w przedmowie, w porozumieniu z Trockim, który udzielił mu szeregu wskazówek i informacyj. Zestawienie tej książki z ostatnio wydanemi wspomnieniami Trockiego daje ciekawą ilustrację, co Trocki chciał sam powiedzieć, co pozostawił do dopowiedzenia przyjaciołom.

Mimo pewnej tedy tendencyjności książka Eastmanna ma dużą wartość. W opisie młodości Trockiego (książka kończy swój opis na chwili rozłamu w redakcji *Iskry* i powstania partji bolszewickiej), nie może się tendencyjność naturalnie ujawnić w postaci polemiki z obecnymi władcami Rosji. Ujawnia się ona natomiast w podporządkowaniu — dość sztucznem — całego materjału bio-

[1] Jedna z tych prac: „La science de la Revolution" wyszła przed kilku laty w tem samem wydaniu, co obecnie i jego książka o Trockim.

graficznego jednej tezie: że cała ewolucja psychologiczno-polityczna Trockiego zmierzała w tym samym kierunku, w którym szła ewolucja Lenina i że z chwilą powstania partji bolszewickiej jako bojowej organizacji elity proletarjatu, odmienność temperamentu politycznego obu działaczy dała niesłychanie szczęśliwe dla partji połączenie kierownika o wielkim zmyśle realistycznym, jakim był Lenin, i kierownika o wybuchowym, dynamicznym, przedewszystkiem aktywnym temperamencie, jakim był Trocki. Dynamiczność usposobienia właśnie czyni, zdaniem Eastmanna, Trockiego bolszewikiem nietylko z przynależności partyjnej, ale również z najistotniejszych cech jego charakteru. To rzucanie osoby Trockiego na tło postaci Lenina skłania do twierdzenia, że „Młodość Trockiego" jest właściwie książką nie o Trockim, lecz o Leninie.

VI

Książki omówione łączy jeden rys wspólny. Są one objawem nowego okresu w literaturze o bolszewizmie. W coraz wyższym stopniu miejsce namiętnej propagandy *pro* i *contra* zajmuje chłodna rzeczowość. Nawet pamiętniki Krupskiej, nawet książka Eastmanna są daleko objektywniejsze, niż to, co dawniej z pod piór bolszewickich wychodziło. To rys pierwszy. Rysem drugim zaś i poczęści z tym złączonym jest coraz wyższy procent biografij o działaczach bolszewizmu. Charakterystyka działaczy, przedewszystkiem zmarłych i usuniętych działaczy, wchodzi w miejsce opisów doktryny, systemu i państwa. I objektywizm i zainteresowanie biografją wskazywałyby może, że od propagandy przechodzi się do historji, od aktywności do wspomnień, że przechodząc do rejestracji tego, co się już stało, daje się wyraz przekonaniu, że bolszewizm jest już nasycony, a raczej, że świat ma już dość tego pożywienia.

Konstanty Grzybowski

Z JĘZYKOZNAWSTWA POLSKIEGO

Symbolae Grammaticae in honorem Joannis Rozwadowski. Volumen II. Cracoviae, 1928, 8-o, str. 652.

Dopiero w ciągu ubiegłego roku pojawił się tom II Księgi pamiątkowej, którą 78 polskich i zagranicznych pracowników naukowych uczciło sześćdziesiątą rocznicę urodzin znakomitego językoznawcy, prof. Jana Rozwadowskiego (ur. 1867 r.). Całość obejmuje rozprawy z dziedzin językoznawstwa, wzbogaconych przez Rozwadowskiego jego własnemi pracami, przyczem tom I (Cracoviae 1927, 8-o, str. XXIV + 336) poświęcony jest zagadnieniom związanym z językoznawstwem ogólnem (6 rozpraw), indoeuropejskiem (20 rozpraw) i z naukami pogranicznemi i pokrewnemi (3 rozprawy). Z zakresu indoeuropeistyki w ściślejszem tego słowa znaczeniu

znajdziemy tu prace dotyczące całości językowej grupy indoeuropejskiej (7 rozpraw), języka greckiego (4 rozprawy), łacińskiego (4 rozprawy), języków celtyckich (4 rozprawy) i języka cygańskiego (1 rozprawa). Artykuły tego tomu poprzedza zwięzła, w języku łacińskim napisana, charakterystyka twórczości naukowej Rozwadowskiego oraz bibljografja jego prac.

Tom drugi wydawnictwa obejmuje prace z dziedziny językoznawstwa bałtyckiego oraz słowiańskiego. W dziale bałtyckim zwracają uwagę na modne dziś badania akcentologiczne D. W. Bubrich i T. Torbiörnsson, przyczynki zaś do dziejów języków bałtyckich dają J. Endzelin, E. Fraenkel i W. Porzeziński. Część slawistyczna Księgi zawiera w sobie 44 artykuły, dotyczące ogólnych kwestyj slawistycznych (13 rozpraw), języka staro- i nowo-bułgarskiego (7 rozpraw), języków ruskich (5 rozpraw), a wreszcie języka polskiego (19 rozpraw). Niesposób omawiać tu każdy artykuł z osobna. Wspomnę więc krótko przynajmniej te, które wychodzą poza granicę kwestyj czysto gramatycznych. W obręb oddziaływań tureckich na grupę językową słowiańską wprowadzają nas rozważania etymologiczne Z. Gombocza, oraz artykuł Tadeusza Kowalskiego *W sprawie zapożyczeń tureckich w języku polskim*. Tu wymienić można także uwagi J. Németha o tureckiem pochodzeniu nazwy *Bułgar*. Wpływy irańskie na język ruski bada na dwu przykładach H. Sköld. Do tej grupy zaliczyć możemy nakoniec rozprawę A. Kleczkowskiego o wyrazach niemieckich w języku staroczeskim i staropolskim. J. Melich rozpatruje nazwy przepływających przez Węgry i Siedmiogród rzek: *Temes, Maros, Körös, Szamos* i *Tisza* i na ich podstawie usiłuje twierdzić, że przed zajęciem Węgier przez Węgrów nie mogli mieszkać w tym kraju Słowianie. Ślady słowiańskie w nazwach rzek greckich wykazuje M. Vasmer. Południową granicę Słowian u Jordanesa omawia J. J. Mikkola. Na słowiańską północ przenosi nas artykuł S. Kozierowskiego o niektórych nazwach geograficznych na dawnem pograniczu wielkopolsko-pomorskiem. T. Lehr-Spławiński stara się ustalić najstarsze prasłowiańskie prawo cofania akcentu. W. Taszycki bada stosunek języka łużyckiego do innych zachodnio-słowiańskich i z pewnemi zastrzeżeniami włącza go do grupy lechickiej (połabsko-polskiej). O powstawaniu słownika języka staro-cerkiewno-słowiańskiego (staro-bułgarskiego) pisze M. Weingart. Z prac wchodzących w zakres dialektologji polskiej należy podnieść artykuł J. Czekanowskiego o stosunku terytorjów antropologicznych do terytorjów dialektologicznych polskiego obszaru językowego, oraz ważną dla historji polskiego języka literackiego rozprawę K. Nitscha, poświęconą dziejom narzecza małopolskiego, z której wynika, że rozwijało się ono pod silnym wpływem dialektu wielkopolskiego. Osobno wspomnieć trzeba interesujący artykuł S. Wędkiewicza p. t.: *„Cywilizacja“ czy „kultura“? Z zagadnień terminologii nauk humanistycznych*. Podnosi w nim autor postulat ustalenia nomenklatury humanistycznej, bo dotych-

czasowa jej chaotyczność i dowolność, co choćby z rozbieżności poglądów na te dwa przytoczone terminy widać, utrudnia wielce rozwój nauk humanistycznych. Koniecznością jest zatem opracowanie słownika terminologii nauk humanistycznych.

Prócz autorów już wymienionych ogłosili w drugim tomie Księgi pamiątkowej Rozwadowskiego prace między innymi: A. Belić, R. Ekblom, S. Ivšić, L. Miletič, F. Trávníček, N. van Wijk, H. Willman-Grabowska, S. Kulbakin, A Mazon, K. H. Meyer, S. Mladenow, S. Słoński, G. Ilijińskij, J. Janów, F. Karskij, I. Ziłyńśkyj, H. Gaertner, J. Łoś, H. Ułaszyn, T. Benni, F. Lorentz, I. Chrzanowski, Z. Klemensiewicz. Zwięzłe francuskie streszczenia artykułów ogłoszonych w językach mniej znanych umożliwią korzystanie z Księgi wszystkim językoznawcom. Wgląd do niej ułatwi potrójny indeks, sporządzony starannie przez H. Oesterreichera, a mianowicie indeks wyrazów, języków, o których się mówi w księdze, oraz nazwisk autorów dzieł cytowanych. Warto zaznaczyć, że indeks języków obejmuje 145 pozycyj.

Wysokiej wartości treściowej Księgi odpowiada niezwykle staranna strona redakcyjna wydawnictwa. Bez przesady można powiedzieć, że całość pod każdym względem wzorowa, że to niewątpliwie jedna z najlepszych Ksiąg pamiątkowych, które licznie nam przynoszą ostatnie lata zarówno w Polsce jak i zagranicą.

Witold Taszycki

UWAGI

ERRATA

W recenzji p. K. Czachowskiego, zamieszczonej w zeszycie grudniowym, poprawić należy m. i.: str. 460, w tytule omawianej książki: „Narcyza" zam. „Narasza", str. 463 w. 5 od góry: „wydać" zam. „czytać", str. 464 w. 12 od góry: „Długoszewski" zam. „Drogoszewski", str. 465 w. 15 „uprouscił" zam. „uprościł".

WITOLD KLINGER

TADEUSZ ZIELIŃSKI

14 września 1929 upłynęło lat 70 od urodzenia, w ciągu zaś bieżącego roku 1930 upływa ich 50 od ogłoszenia drukiem pracy doktorskiej Tadeusza Zielińskiego, wielkiego uczonego, pisarza i myśliciela. Dożył więc, otoczony czcią i podziwem swoich i obcych, którzy nie szczędzili wszystkich, na jakie stać ich było, godności i odznaczeń, do złotych godów działalności pisarskiej, w której urzeczywistnił wiele z swych marzeń młodzieńczych, i w swym uroczystym dniu dożynkowym ma prawo z zadowoleniem i dumą spojrzeć wstecz na drogę przebytą i dokonane w jej biegu dzieło swego życia. Czas też jest również i nam — ku pouczeniu swemu i otusze — przyjrzeć się bliżej temu pięknemu i bujnemu życiu i jego niezwykłym szlakom, tej imponującej bogactwem, wielostronnością i doniosłością wyników działalności.

Kresowiec z pochodzenia, w Skrzypczyńcach w gub. kijowskiej w r. 1859 urodzony, dzieciństwo swe spędził w Petersburgu, gdzie ojciec jego pracował na skromnem stanowisku urzędnika kontroli państwa, i kształcił się w niemieckiem gimnazjum św. Anny. O tych latach dziecinnych pięknie i rzewnie opowiedział niedawno czytelnikom naszego *Filomaty* (1929, zesz. II i IV: „Jak zostałem filologiem?"). Dowiadujemy się tam, że na wybór zawodu wpłynął określająco nauczyciel łaciny w klasie V, Józef König, dobry filolog z wiedeńskiej szkoły Bonitza, Vahlena i Hartla, a nadewszystko utalentowany pedagog z duszą żywą i wrażliwą, podtrzymując swego ucznia w jego instynktownym pociągu do łaciny, wszczepionym jeszcze przez ojca, i zasilając młody umysł odpowiednim dlań pokarmem. Wcześnie osierocony przez matkę i ojca, dostaje się pod opiekę stryja i po ukończeniu gimnazjum rozpoczyna wbrew jego woli studja klasyczne na uniwersytecie petersburskim. Przez to pozbawia się ze strony stryja pomocy materjalnej

i odtąd musi iść przez życie o własnych siłach, utrzymując się z lekcyj prywatnych. Po chlubnem ukończeniu uniwersytetu, jako wybitnych zdolności młodzieniec, wysłany zostaje w charakterze stypendysty rządowego do Lipska, gdzie pracuje u profesorów Ritschla, Ribbecka, Curtiusa, Lipsiusa i Langa, a po otrzymaniu w r. 1880 godności doktorskiej za pracę *Ostatnie lata trzeciej wojny punickiej*, studjuje dalej w Monachjum i Wiedniu, Włoszech i Grecji. Wcześnie więc rozpoczyna nietylko pracę samodzielną, lecz i „lata tułactwa" *(Wanderjahre)*, które równie jak pierwszą ukochał gorąco, jako źródło ciągłego wzbogacania i odświeżania umysłu, i których przeto nie zakończył aż dotąd.

Po powrocie do Petersburga w r. 1882 uczy czas jakiś w tejże „Annenschule", w której sam się był uczył, od roku zaś 1884 obejmuje wykłady filologji klasycznej na uniwersytecie petersburskim, zrazu jako docent, później — po obronie w Dorpacie w r. 1887 rozprawy *Die Gliederung der altattischen Komödie* — jako profesor. Z katedrą w uniwersytecie łączy niebawem katedrę w „Instytucie historyczno-filologicznym" (1890) i na Wyższych Żeńskich kursach Bestużewa i Rajewa. O początkach swego zawodu akademickiego bardzo interesujące wyznania i zwierzenia ogłosił przed paru laty we wstępie do polskiego opracowania swych szkiców popularno-naukowych p. t. *Z życia idei* (Zamość 1925, Pomarański, t. I[1]). Dowiadujemy się z nich, że nie odrazu trafił na własną drogę, która później miała samemu przynieść zadowolenie, w słuchaczach zaś żywy wywołać oddźwięk. Przez całe 15 lat, idąc szlakiem swych poprzedników i kolegów, sumiennie i wiernie przedstawiał młodzieży obecny stan swej nauki i podawał ostateczne wyniki badań cudzych i własnych — nie zapominajmy, że według słów jego własnych ogłosił w tym okresie „przeszło 200 arkuszy rozpraw, przyczynków i komentarzy" — stosunek jednak doń słuchaczy wciąż był dość chłodny, i wykłady, rozpoczynane na początku semestru „przy stu z górą słuchaczach", dobiegały końca przy kilkunastu lub kilku zaledwie.

I oto postanawia wstąpić na drogę nową — i objąwszy po prof. P. Nikitinie kurs tragedji greckiej, zrywa zupełnie

[1] Wskutek upadku firmy dalsze tomy — niestety — się nie ukazały. Wydanie rosyjskie liczyło ich 4.

z rutyną i zamiast tradycyjnych „wstępów“ poczyna mówić o tem, co w tragedjach mu się „najwięcej podobało“, wykrywać ich walory estetyczne i ideowe, wstawiać je jako ogniwa w łańcuch ewolucji duchowej od czasów zamierzchłych aż do dni dzisiejszych — i wkrótce staje się jednym z najpopularniejszych profesorów, stale przez młodzież oklaskiwanym rzęsiście. To jednak już mu nie wystarcza, i o „wartości umiłowanej nauki“ pragnie przekonać szerszą publiczność, jak już przekonał młodzież uniwersytecką. Zmienia przeto dotychczasowy sposób pisania i utorowawszy sobie nie bez trudu drogę do liberalnych miesięczników rosyjskich, naogół niechętnych klasycyzmowi, ze względu na jego rzekomą „reakcyjność“, poczyna w formie jedynie dla nich do przyjęcia możliwej, t. j. przystępnie pisanych i nadmiarem balastu naukowego nieobciążonych szkiców, ujawniać te same nieprzemijające wartości antyku, biorąc za punkt wyjścia jużto nowe odkrycie w dziedzinie filologji klasycznej, juzto poszczególne dawniej już znane arcydzieła literackie. Tu znowu sukces jest po jego stronie: sympatja czytelnika jest zdobyta na zawsze, — i Tadeusz Zieliński z uczonego tylko staje się pisarzem o wszechrosyjskim rozgłosie i wpływie. Te popularne co do formy artykuły kryją za sobą zwykle bezmiar uprzedniej pracy myślowej i powstają tylko wtedy, gdy autor ma coś istotnie nowego i własnego do powiedzenia, są więc dalszem pomnożeniem jego dorobku czysto naukowego.

Krocząc tą drogą i zdobywając coraz większe uznanie w świecie literackim rosyjskim, nie staje T. Zieliński bynajmniej w sprzeczności ze swem sumieniem narodowem, bo rozum mówi mu jasno, że przez to oddaje własnemu narodowi usługę podwójną: z jednej strony „krzewiąc w społeczeństwie rosyjskiem prąd humanistyczny naprzekór wrogim prądom reakcji nacjonalistycznej“, z drugiej „pozyskując dla swego narodu przyjaźń... istotnej i prawdziwej Rosji“. Mimo swej szaty obcej zachowują jego pisma z tej doby wyraźne piętno rodzime i ustami przedstawiciela nauki rosyjskiej, prof. Mitrofanowa, zostały uznane za „prace polskie pisane po rosyjsku“. Szerząc zainteresowanie lub pogłębiając zamiłowanie do studjów klasycznych wśród społeczeństwa rosyjskiego, broni on w tymże okresie wyraźnie i gorąco szkoły klasycznej przed

zamachami reformatorskiemi planowanemi przez rząd, a energicznie popieranemi przez oba skrajne skrzydła inteligencji ówczesnej. Tendencja apologetyczna leży też u podstawy jednej z najpiękniejszych ksiąg jego: *Świat starożytny a my*, która pierwotnie w formie odczytów przeznaczona była dla abiturjentów gimnazjów petersburskich, obecnie zaś, przełożona na kilkanaście języków, stanowi pokarm umysłowy wstępującej w progi uniwersytetu młodzieży całego świata cywilizowanego. Ta książka ściągnęła nań namiętne ataki ze strony zarówno lewicy jak i prawicy rosyjskiej, odbijane przezeń z niezwykłą ciętością i werwą, odwagą i męstwem. Wtedy to na zarzut, że jako Polak nie ma prawa zabierać głosu w sprawie organizacji rosyjskiej szkoły narodowej, padły z ust jego dumne słowa, że jakkolwiek jest istotnie „synem narodu, na obolałym grzbiecie którego robione są świetne karjery służbowe", niemniej jednak tego prawa, zdobytego długoletnią pracą dla dobra szkoły i młodzieży rosyjskiej, nie wyrzecze się nigdy... Stanowisko jego było zachwiane, i wykorzystując sytuację wydział filozoficzny uniwersytetu w Monachjum jednogłośnie wysuwa jego kandydaturę na opróżnioną przez śmierć Wölfflina katedrę — wybór, który jednak nie dochodzi do skutku ze względu na sprzeciw bawarskich władz naczelnych, niechętnych mianowaniu cudzoziemca. Tymczasem groźne chmury rozeszły się szczęśliwie, i prof. Zieliński pozostaje nadal w Petersburgu, gdzie w r. 1909 obchodzi 25-lecie swej działalności pedagogicznej, liczone od objęcia przezeń wykładów w uniwersytecie i obchodzone bardzo uroczyście.

Wielka wojna, w czasie której, mimo łączących go ze światem naukowym niemieckim ścisłych stosunków osobistych (O. Crusius, K. Neumann, H. Schwarz), opowiedział się wyraźnie po stronie mocarstw Ententy, wierząc w słuszność i ostateczne zwycięstwo jej sprawy, zaciężyła na życiu jego bardzo dotkliwie: znacznie uszczupliła zastęp słuchającej go młodzieży, utrudniła warunki wydawnicze, pozbawiła go podróży naukowych za granicę, za które słabą tylko rekompensatą były mu wycieczki turystyczne do gór i grot stalaktytowych Uralu, żywo i barwnie przezeń opisanych. Z drugiej jednak strony włożyła nań nowe obowiązki i zacieśniła jego żywy kontakt ze społeczeństwem polskiem, reprezentowanem obecnie — oprócz daw-

nej kolonji petersburskiej — przez liczny zastęp uchodźców. Po powstaniu tu polskiej rady szkolnej wchodzi do niej jako przewodniczący, ponadto jest dyrektorem dwuletnich kursów akademickich i kierownikiem kursów literackich i historycznych. Kiedy zaś w r. 1916 wysunięty został przez W. Wilsona postulat całkowitej niepodległości Polski, widzimy T. Zielińskiego w składzie deputacji, wysłanej do ambasadora Stanów Zjednoczonych z wyrazami podzięki.

Po przewrocie bolszewickim horyzont zachmurzył się dlań tragicznie: niezależna prasa przestała istnieć, firmy wydawnicze, dla których pracował, zostały upaństwowione i służyły jedynie „pogłębieniu rewolucji", wreszcie filologja klasyczna uznana została za naukę „burżuazyjną", a więc szkodliwą i niebezpieczną. Stanowisko więc jego petersburskie stało się zgoła zbędnem, i można było bez obawy posądzenia o ucieczkę z powierzonego mu posterunku pomyśleć o powrocie do ojczyzny, dokąd już przedtem podążyli uczniowie jego Polacy, zajmujący dziś katedry uniwersyteckie we Lwowie (Chyliński), Wilnie (Srebrny), Lublinie (Popławski). Lecz od zamiaru do urzeczywistnienia droga była jeszcze daleka. Udało mu się coprawda w początku 1920 r. — pod pozorem udziału w jakimś kongresie naukowym — wyrwać się za granicę i poczynić odpowiednie kroki w Warszawie, gdzie ofiarowano mu katedrę uniwersytecką, lecz związany danem słowem i dręczony uzasadnionym strachem o pozostawioną nad Newą rodzinę, musiał już w czasie naszej z Sowietami wojny powrócić raz jeszcze do Petersburga. Dopiero po traktacie ryskim otrzymał możność wyjazdu i opuścił b. stolicę Rosji na zawsze, zostawiając w ręku bolszewików swą bibljotekę, materjały i cenną korespondencję osobistą i nie wywożąc do kraju nic oprócz swego wewnętrznego bogactwa, które teraz niepodzielnie poświęcał ojczyźnie. Od r. 1922 pracuje na uniwersytecie warszawskim, który, jak się sam wyraża, „stał się mu przytuliskiem na ostatnie lata pracy i życia".

Praca ta zresztą, nad Wisłą jak nad Newą, nie ogranicza się do środowiska uniwersyteckiego, lecz zatacza kręgi szerokie, ogarniające kraj cały. Jakby wynagradzając sobie przymusowe wywczasy okresu bolszewickiego, kiedy prawie nic nie mógł publikować i pisał dla niepewnego jutra jedynie, drukuje

stopniowo swe prace rękopiśmienne, śledzi za dokładnością przekładów polskich swych dawniejszych prac rosyjskich, zasila swemi nowemi rozprawami i artykułami cały szereg pism polskich, od ściśle fachowych, jak *Przegląd Filologiczny, Przegląd Historyczny, Przegląd Humanistyczny, Eos, Kwartalnik Klasyczny*, do przeznaczonych dla młodzieży, jak *Filomata*, lub inteligentnej publiczności, jak *Przegląd Powszechny, Przegląd Współczesny, Pamiętnik Warszawski, Wiedza i Życie* i t. d. Co więcej, znów promieniuje on daleko za granice kraju, na cały świat cywilizowany, powróciwszy do przerwanej tradycji zagranicznych podróży naukowych i wznowiwszy intensywną pracę na terenie międzynarodowym. Członek całego szeregu Akademij — Paryskiej, Brytyjskiej, Bawarskiej, Czeskiej, Rumuńskiej, Bułgarskiej, nie mówiąc już o Polskiej i Rosyjskiej — nie zawodzący nigdy uczestnik kongresów międzynarodowych, występami swemi wywołujący zawsze i wszędzie entuzjastyczne oklaski i zapraszany skwapliwie na prelekcje do Paryża i Londynu, Berlina i Rzymu, Pragi, Sofji i Belgradu, jest T. Zieliński jakby stałym ambasadorem nauki polskiej przed obliczem starszej i bogatszej nauki Zachodu i w tej roli więcej niż ktokolwiek w kraju, a w każdym razie nieskończenie więcej niż cały nasz wydział propagandy zagranicznej, przyczynił się do podniesienia blasku imienia polskiego. W czasie ostatniej podróży w jesieni ubiegłego roku — przez Lund i Berlin do Barcelony — dotknęła sędziwego uczonego ciężka choroba, z którą, mimo powrotu do kraju, zmaga się dotąd i którą — o tem nie wątpimy — zmoże wkońcu zwycięsko. Bo też niewyczerpany zasób sił żywotnych kryje w sobie fizyczny organizm tego człowieka, który tak łatwo niósł przez życie brzemię nieustannej, wyczerpującej pracy myślowej i jeżeli szukał po niej odpoczynku, to chyba we wspinaniu się na lodowce i strome szczyty alpejskie lub w takiem przerzucaniu się — koleją parowcem, aeroplanem — z jednego końca świata w drugi, jakiego mógłby mu pozazdrościć zawodowy „pożeracz kilometrów“ amerykański. Chce się więc krzyknąć mu z oddali słowami bodaj najcudniejszej z wielu cudnych jego dzieł i zarazem najbardziej osobistej jego książki *Vince, sol!*: „Życie jeszcze raz! w imię radosnego śmiechu czarodziejki-słowianki — jeszcze raz życie!“

*

Od człowieka przechodzę do dzieła. Zadanie sprawozdawcy jest tu niezmiernie trudne. Dorobek naukowy T. Zielińskiego jest nietylko jakościowo, ale także ilościowo tak ogromny, że trzeba mieć w sobie coś z wszechstronności jego wiedzy, by go bodaj w głównych linjach zobrazować. Dość powiedzieć, że jego bibljografja, wydana w r. 1909 (w związku z pierwszem 25-leciem działalności) w Petersburgu, zawierała już paręset pozycyj, a tempo jego pracy w latach późniejszych nietylko nie zwolniało, lecz raczej stało się jeszcze szybszem. Co więcej, badania jego sięgają nieraz w dziedziny tak specjalne, że nie jest łatwo istotę rzeczy przedstawić czytelnikowi. Uproszczę więc sobie zadanie przez to, że pobieżnie tylko wspomnę o łatwo dostępnych publiczności polskiej książkach jego popularnych (w znaczeniu wyżej wyjaśnionem, oczywiście) i dla szerokich kół przeznaczonych, jak *Historja kultury antycznej* i *Historja literatury greckiej w epoce niepodległości*, których dopełnieniem i ilustracją są wydane niedawno przez uczniów jego, prof. St. Srebrnego, *Wzory*, t. j. przekłady wybranych ustępów z epików i liryków, pisarzy dramatycznych i prozaicznych. Również wyliczę tylko cieszące się u nas wielką poczytnością prace religjoznawcze, jak *Religja Rzymu, Religja starożytnej Grecji, Religja hellenizmu*, wreszcie wydany niedawno *Hellenizm i Judaizm*, w którym autor z wielką uczonością i dialektyczną zręcznością broni śmiałej tezy, że „religja antyczna jest właściwym starym testamentem chrześcijaństwa". Zatrzymam się za to na mniej znanych czytelnikowi polskiemu rozprawach i artykułach, starając się wskazać przynajmniej główne dziedziny, w których obracała się myśl jego twórcza, i podkreślić te szczytowe jej osiągnięcia, na których oparte jest zdobyte powszechnie uznanie.

Jeżeli w ostatniem dziesięcioleciu pociągało go przedewszystkiem badanie prądów religijnych na tle rozwoju kultury, to w latach poprzedzających na pierwszem dlań stało miejscu piękno poezji i prozy artystycznej starożytności. Do zakresu badań homeryckich należą jego prace: *Traktowanie wypadków jednoczesnych u Homera (Die Behandlung der gleichzeitigen Ereignisse bei Homer)* oraz *Prawo reminiscencji realnej u Homera* (po rosyjsku). Urzeczywistnia on tu dawne marzenie Greg. Nietzsche o stworzeniu „poetyki homerowskiej", ustala-

jąc szereg praw konstrukcyjnych, ściśle przestrzeganych w kompozycji *Iliady* i *Odyssei*. Pewne osobliwości struktury greckiej epopei heroicznej, będące dawniej kamieniem obrazy dla historyków literatury i wyzyskiwane przez nich, jako podstawa do krytyki rozdzielczej, okazały się prostym wynikiem stosowanych przez poetę zasad kompozycyjnych, tak że prace te przyczyniły się walnie do triumfu w chwili obecnej kierunku, broniącego pierwotnej jedności epopei homeryckiej.

Do zakresu studjów nad komedją grecką należą prace: *Die Märchenkomödie in Athen, Quaestiones comicae, Die Gliederung der altattischen Komödie, Pochodzenie komedji* (po rosyjsku). W ostatniej z wymienionych prac broni autor wymownie tezy, że artystyczna komedja Aten jest połączeniem i przytem niezawsze organicznem doryckiej komedji ludowej Peloponezu, realistycznej i operującej pewną ilością stałych typów ludzkich, oraz zaczątków komedji rodzimej, lubującej się w śmiałej fantastyce i wyszydzaniu poszczególnych jednostek czy indywidualności. W drugiej od końca pracy roztrząsa pytania, odnoszące się do pierwotnego znaczenia i roli poszczególnych części komedji, (prologu, parabazy, agonu i t. d.). Zastrzegam się, że książki tej w Poznaniu nie mam i mogę mówić o niej jedynie z pamięci. Zupełnie nowem jest tu wykrycie w jednym z niezbędnych składników komedji, w t. zw. „agonie", t. j. pojedynku słownym dwóch wrogich sobie postaci — części zupełnie analogicznych do zauważonych już przez badaczy starożytnych części „parabazy". W *Quaestiones comicae* stwierdza autor wyzyskanie dla sceny baśni ludowej także i przez późniejszą komedję grecką (*Menaechmi* Plauta), zajmuje się bliższem określeniem typów stałych, występujących w komedji doryckiej i t. d. W pracy, wymienionej na wstępie, Zieliński pierwszy zwraca uwagę na uderzające podobieństwo treści między dochowanemi urywkami starej komedji attyckiej a żyjącemi dotąd baśniami nowogreckiemi, sycylijskiemi, słowiańskiemi i daje na tej podstawie rekonstrukcję kilku komedyj utraconych lub rzuca niespodziewane światło na właściwe znaczenie dochowanych: tak np. *Ptaki* Arystofanesa, uważane dawniej za zawiłą alegorję, różnie przez różnych tłumaczoną, okazały się bezpretensjonalną „feerją", t. j. udramatyzowaniem dwóch zręcznie ze sobą spojonych wątków baśniowych.

Polem jednak szczególnie gorliwej uprawy stała się dlań po komedji — tragedja attycka. Jest on, jak wiadomo, tłumaczem na język rosyjski całej — nie wyłączając fragmentów — dochowanej spuścizny literackiej Sofoklesa, praca, która mu przyniosła krzesło w Rosyjskiej Akademji Nauk (wydział literatury pięknej), objęte po H. Sienkiewiczu. Dzieło to, ujęte w trzy okazałe tomy, zawiera oprócz przekładu obszerne wstępy, zarówno ogólne: o Sofoklesie, jego życiu i twórczości, o początkach tragedji attyckiej i t. d., jak i specjalne, omawiające w związku z każdym dramatem zosobna wyzyskany przez poetę mit, jego pierwotną formę i znaczenie, jego dalsze metamorfozy i wcześniejsze ujęcia literackie. Niektóre z tych wstępów, drukowanych uprzednio w formie artykułów w miesięcznikach rosyjskich, stanowiły w swym czasie głośne, rewelacyjne wprost wypadki literackie, jak np. wstęp do *Filokteta*, gdzie po raz pierwszy wykryte zostały antyczne źródła słynnej, a długo zagadkowej legendy średniowiecznej o Św. Graalu. Wielkie znaczenie naukowe ma również wyczerpujące omówienie fragmentów Sofoklesa, będące nową po O. Welckerze, a daleko bardziej udaną próbą rekonstrukcji utraconych tragedyj poety. Znacznie prześcignąć swego poprzednika pozwoliła Zielińskiemu wynaleziona przezeń metoda, polegająca na wyzyskaniu t. zw. „motywów rudymentarnych", t. j. resztek i śladów dawniejszych koncepcyj artystycznych, niezupełnie rozpuszczonych w ujęciach poetów późniejszych. Niedawno ogłoszona książka polska: *Sofokles i jego twórczość tragiczna* jest w porównaniu z rosyjską skróceniem, obejmującem jedynie wstępy do siedmiu dochowanych w całości tragedyj, pomijającem zaś, oprócz omówienia fragmentów, także niedawno znaleziony dramat satyrowy *Poszukiwacze śladów*.

Po Sofoklesie zajął się Zieliński Enrypidesem, pierwotnie jako wydawca rękopiśmiennego przekładu rosyjskiego, który wygotował zmarły jego przyjaciel, poeta Innocenty Annienskij. Z dzieła, zakrojonego na sześć tomów, wskutek przewrotu bolszewickiego wyszła zaledwie połowa — i tu Zieliński kilka tragedyj, nie zaopatrzonych przez tłumacza we wstępy, objaśnia wstępami własnemi. Z nich szczególne budzi zainteresowanie wstęp do *Bachantek*, gdzie Zieliński pierwszy wyświetlił autobiograficzny charakter tego przedśmiertnego dzieła tragika.

Dalszym owocem intensywnie prowadzonych studjów nad Eurypidesem są pisane po łacinie, a przez naszą Akademję Umiejętności wydane *Tragodoumena.* Oprócz rekonstrukcji paru utraconych dramatów zapomocą tejże metody „motywów rudymentarnych" i ostatecznego ustalenia i sprecyzowania samej metody, autor daje tu obraz ewolucji wiersza dialogu — trymetru jambicznego — u Eurypidesa, podzielonej na dokładnie ograniczone okresy, i dlatego pozwalający — ze ścisłością do lat pięciu — określić czas powstania każdej tragedji, z której dochowało się choćby kilka wierszy.

Czwartem wreszcie polem ulubionych studjów naszego jubilata jest dziedzina artystycznej prozy starożytności. I tutaj także tłumacz torował drogę samodzielnemu badaczowi, bo T. Zieliński nosił się pierwotnie z zamiarem przełożenia na język rosyjski całego Cycerona i zdążył nawet ten plan częściowo urzeczywistnić (wyszły dwa wielkie tomy). Z prac do tej dziedziny należących wymienię: *Cicero im Wandel der Jahrhunderte, Rzymska proza artystyczna,* wreszcie studja nad rytmiką mów Cycerona p. t. *Das Clauselgesetz in Cicero's Reden* (1904) i *Der constructive Rhytmus in Cicero's Reden* (1913).

Kilkakrotnie wydawany i wciąż rozszerzany *Cicero im Wandel der Jahrhunderte* — to interesujące dzieje kolejnych nawrotów myśli nowo-europejskiej do Cycerona, u którego każda epoka szukała coraz to innych, niezbędnych dla niej pierwiastków, wpływających następnie zapładniająco na jej własną twórczość. Wymieniona dalej rozprawa, pomyślana jako pogłębienie i uzupełnienie cennej, lecz mało przejrzystej pracy Nordena *Antike Kunstprosa,* zawiera istotnie bardzo wiele własnych spostrzeżeń i oryginalnych pomysłów autora i nietylko w jaśniejszych linjach przedstawia ewolucję artystycznej prozy starożytności, lecz wychodzi daleko poza zakreślone przez Nordena granice chronologiczne, przedstawiając na gruncie literatur nowoczesnych ścieranie się dwóch tych samych postaci prozy artystycznej, które niegdyś nazywano „azjanizmem" i „attycyzmem".

W dwóch ostatnich dziełach, opartych na całych latach żmudnej, prawdziwie benedyktyńskiej pracy udało się Zielińskiemu wykryć i dokładnie sformułować ścisłe, choć bezwiednie przez Cycerona przestrzegane prawa, kierujące rytmiką

jego mów zarówno w „zamknięciu“ *(clausula)*, jak i samem „ciele“ okresów — i przez to wynaleźć niezawodne kryterjum przy ocenie wątpliwej autentyczności utworów. Nie władających dostatecznie językiem niemieckim czytelników polskich w metodę i wyniki tych dzieł dobrze wprowadza artykuł jego: *Rytmika prozy pięknej i jej psychologiczne podstawy (Przegląd Human.* 1923). Jeżeli przytem uprzytomnimy sobie, że wkraczał on niekiedy na pole badań nad poezją aleksandryjską, pisząc np. piękny artykuł o znalezionych w Egipcie obrazkach rodzajowych Herondasa, i częściej jeszcze w dziedzinę studjów nad liryką grecką, ogłaszając np. szereg łacińskich, rosyjskich i polskich artykułów o odszukanych tamże pieśniach Bakchylidesa, to będziemy mieli prawo powiedzieć, że granice jego nietylko upodobań i zainteresowań, ale także jego owocnej pracy naukowej obejmują cały niemal obszerny świat literatury pięknej starożytności. Od czasów Wielkiej wojny poczyna się też Zieliński zwracać coraz częściej ku literaturze ojczystej i — nowicjusz na tej niwie — daje szereg prac, zyskujących uznanie fachowców. Należy tutaj subtelna rozprawa o H. Sienkiewiczu, wyrosła z wygłoszonej w r. 1917 w Petersburgu mowy ku czci swego poprzednika na fotelu akademickim, dalej jego *Trzy studja* o Mickiewiczu, poświęcone ujawnieniu elementów klasycznych w *Pieśni filareckiej, Grażynie, Odzie do młodości* i t. d., wreszcie zbiór szkiców p. t. *Z ojczystej niwy* (1923) i wygłoszony we Włoszech odczyt o *Chłopach* Reymonta.

Niemniej trudno jest ująć w formułę przejrzystą i jasną jego oblicze pisarskie. Za mało jest powiedzieć, że w sposób trudno zrozumiały łączy on w doskonałej harmonji dwie sprzeczne z sobą cechy umysłu, z których każda zosobna zdolna jest stworzyć uczonego, a mianowicie skłonność do analizy, t. j. do rozkładania złożonego zjawiska na elementy najprostsze i wykrywanie ich do siebie stosunku, umożliwiającej skuteczne prowadzenie badań drobiazgowych i żmudnych (przypomnę jego prace nad rytmiką prozy i metryką tragików) i skłonność do syntezy, t. j. do scalania mnogości zjawisk w zespoły wyraźnie rozgraniczone i w porządku perspektywicznym ustawione, torującej drogę pracom o śmiałym polocie i szerokich uogólnieniach historjozoficznych. Posiada on ponadto zupełnie wyjątkową wrażliwość estetyczną i subtelne odczucie piękna

w jego wielorakich przejawach, co łącznie z umiejętnością całkowitego wżycia się w indywidualność badanego autora, pozwala w jego duchu i stylu snuć dalej linję kompozycyjną utworów, w urywkach tylko zachowanych, umożliwiając uderzające trafnością rekonstrukcje, nadewszystko zaś posiada on ów boski dar, stanowiący tajemnicę prawdziwego genjusza, wybitne uzdolnienie intuicyjne, jakiś instynkt niemal cudowny, który z wielu dróg możliwych wskazuje mu tę właśnie, która później, przy sprawdzaniu wtórnem, okazuje się jedynie wiodącą do celu.

Zaprawdę, w dziwnym tym człowieku, wydającym się ucieleśnieniem helleńskiej równowagi i umiaru, jest coś natchnionego, coś z nagłych olśnień proroka i jasnowidzącego. Nie napróżno przecie ów malarz polski, zdobiący freskami jeden z kościołów lwowskich, nie znalazł do Św. Piotra godniejszego odeń modelu; nie napróżno także znany pisarz rosyjski Amfiteatrow, informujący czytelników warszawskiej gazety *Za Swobodu* o wrażeniu, jakie wykłady Zielińskiego wywarły we Włoszech, porównuje go do słynnego cudotwórcy, maga i dusz uwodziciela, Apollonjusza z Tyany. Jakoż wyczarowuje on istotnie z mroków oddalenia świetlane wizje ludzi i czasów helleńskich i siłą magiczną talentu trzyma na uwięzi uwagę słuchacza lub czytelnika. Cześć więc tytanowi pracy, olbrzymowi wiedzy, słonecznemu witeziowi, zwycięsko wydzierającemu ciemności prawdę, rycerskiemu Paladynowi nauki, służącemu jej wiernie do końca i nigdy nie uchybiającemu kodeksowi honoru myśliciela, który on sam w tych sformułował słowach: „odrzucić każde twierdzenie, choćby najbardziej umiłowane, jeśli przeciw niemu mówią dowody dostateczne; przyjąć każde twierdzenie, choćby najbardziej nienawistne, jeśli dowody dostateczne za niem przemawiają!“ Oby słoneczny zachód jego życia długo jeszcze nad ziemią polską świecił purpurą iście monarszą! Oby zarazem stał się świtem zarannym, zwiastującym bliskie już nadejście marzonego przezeń renesansu słowiańskiego!

Oby w nieustannym twórczym wysiłku wydobywając z siebie coraz nowe wartości, dożył on szczęśliwie do lat ukochanego swego mistrza, Sofoklesa, któremu tyle lat pracy poświęcił, a którego — na znanym wizerunku statuarnym Muzeum Laterańskiego — swym typem fizycznym tak bardzo przypomina! Ἀλλ'ἐυτυχοίης εἰς Σοφοκλέους ἔτη.

KONSTANTY GRZYBOWSKI

OD DYKTATURY KU KOMPROMISOWI KONSTYTUCYJNEMU

ROLA OKRESU DEMOKRATYCZNEJ DYKTATURY

I

1. Istotę demokracji określa teza, iż o losach państwa rozstrzyga — bezpośrednio lub pośrednio — wola większości jego obywateli. Założeniem tej tezy, o którem zresztą demokraci lubią często zapominać, jest przypuszczenie, iż ta wola większości istnieje. Dokładniej mówiąc — iż można w sprawach państwowych, które wymagają decyzji, uzyskać te objawy, które uważamy za jednoznaczne z wolą większości obywateli.

2. Życie dnia codziennego jest faktem, jest tem, co istnieje. Demokracja jest normą, jest tem, co istnieć powinno. To, co nazywamy potocznie państwem: interesy, potrzeby, konieczności społeczeństwa są również życiem dnia codziennego. Muszą znaleźć rozwiązanie, muszą być w ten czy inny sposób zaspokojone. Nawet wtedy muszą być zaspokojone, gdy zawodzi norma prawna, regulująca sposób ich zaspakajania.

3. Państwo, społeczeństwo, interesy ogółu są abstrakcjami. Interesy i potrzeby jednostek są konkretnością. Tam, gdzie niema większych sprzeczności między interesami jednostek, albo tam, gdzie poczucie wspólności tych interesów jest silniejszem, niż poczucie różnic między jednostkami, zawodami, klasami społecznemi — tam wszędzie łatwo jest uzyskać abstrakcję, którą nazywamy społeczeństwem, którą nazywamy interesem państwowym. Tam, gdzie tę abstrakcję trudno jest uzyskać, albo tam, gdzie jej jeszcze uzyskać nie można — tam zawodzi przejściowo demokracja, tam jest miejsce na dyktaturę.

4. Dyktator nigdy nie jest z woli większości. Nie istnieje większość, któraby powiadała: chcę, by rządził dyktator, albo-

wiem wtedy dyktator byłby zbyteczny, większość mogłaby rządzić sama. Nie istnieje większość, któraby powiadała: chcę, by ten a ten problem w taki to a taki sposób rozwiązano, gdyż wtedy decydowałaby większość, nie byłoby dyktatora. Dyktator jest poto, by decydował w sprawach, w których wola większości się nie ujawniła, a w których decyzja jest konieczna.

5. Dyktator nigdy nie jest wbrew woli większości, w tem znaczeniu, że nie ma przeciw sobie woli jednolitej większości. Niema takiej sytuacji, by decyzji dyktatora przeciwstawiała się pozytywna, jednolita wola większości. Decyzji dyktatora przeciwstawia się conajwyżej negatywna wola większości, odrzucająca z różnych motywów tę decyzję, ale nie zdolna przeciwstawić jej zgodnie innej pozytywnej decyzji.

6. Dyktator przychodzi w chwili, gdy większość nie istnieje.

7. Dyktator spełniać może dwojakiego rodzaju funkcję. Albo przychodzi wtedy, gdy większość przestała się już wypowiadać za dotychczasową decyzją, za dotychczasowym ustrojem, ale nie powstała jeszcze większość, opowiadająca się za za jakimś ustrojem nowym. Dyktator wtedy wyprzedza tę większość, wymusza uznanie dla decyzji swojej, popieranej przez mniejszość silną, zdeterminowaną, rozrastającą się w nowych rządzących. To jest dyktator rewolucyjny. Może on trafnie odczuwać ewolucję, może narzucić ustrój taki, za którym niedługo po jego decyzji wypowie się większość. Wtedy stosuje się do niego piękne i trafnie ujmujące rolę dyktatora jako wyraziciela elity określenie Karola Schmitta[1]: „zawsze istnieć będzie straż przednia ducha dziejów, czoło rozwoju i świadomości, awangarda, która ma prawo do czynu, gdyż posiada trafne poznanie i świadomość — nie jako wybrańcy osobowego Boga, lecz jako moment w ewolucji, z której ram (immanencji) wcale wychodzić nie pragnie, albo — wedle popularnego obrazu — jako pomocnik przy porodzie rzeczy nadchodzących". Ale może również odczuwać ewolucję nietrafnie, może narzucać taki ustrój, za którym większość się nie wypowie, albo może odczuwać ewolucję zbyt pospiesznie, przedwcześnie, może narzucać decyzję, która się nie utrzyma, która

[1] *Die geistesgeschichtliche Lage des heutigen Parlamentarismus* (II. Aufl. 1926, *Duncker Humblot,* München), str. 70.

zostanie obalona, która jednak później przyjmie się, stanie się wolą większości, zostanie przywrócona do życia. I ten ostatni typ dyktatora jest najczęstszy. Dyktator się najczęściej spieszy, chce stworzyć jak najszybciej swoje dzieło i wskutek tego narzuca społeczeństwu rozwiązanie, które on sam przeżył i przemyślał, ale które jest ewentualnością, jakiej społeczeństwo jeszcze nie przeżyło i nie przemyślało. Wtedy dyktator upada. Zamiast przyspieszyć ewolucję, opóźnił ją. Rewolucyjni twórcy nowoczesnych demokracyj byli najczęściej dyktatorami tego typu.

8. Dlatego dyktator może nieraz i powinien być kunktatorem. Czas na dyktatora przychodzi już w chwili, gdy dotychczasowy ustrój przestał już zadowalać i wystarczać państwu. Ale czas jego kończy się dopiero w chwili, gdy treść nowego ustroju stała się własnością, wiarą, programem społeczeństwa. Między jedną a drugą chwilą może być długi okres czasu. W tym okresie dyktator zastępuje częściowo istniejące organy, o ile organy te już się przeżyły i już są niezdolne do decyzji. Ale w tym okresie nie powinien być skrajny. Powinien być umiarkowany. Powinien nie obalać tego co zastał, a jedynie najpierw unieszkodliwiać, potem zmieniać częściowo i stopniowo. W tym okresie nie jest dyktator przedewszystkiem legislatorem, lecz jest głównie wychowawcą.

9. Natomiast, dopiero gdy osiągnie już takie oparcie w społeczeństwie, iż ma za sobą większość, lub gdy nie ma przeciw sobie większości (a pierwsze jest czem innem niż drugie), może się ważyć na ostateczną decyzję. Już Macchiavelli dobrze rozumiał, na czem zagadnienie polega. „Trzeba przytem zauważyć — pisał[1] — że niema rzeczy większemi najeżonej trudnościami, mniej rokującej powodzenia, niebezpieczniejszej w wykonaniu, niż zamiar wprowadzenia do kraju nowych urządzeń... Chcąc słuszny mieć sąd w tych rzeczach, dobrze należy rozeznać, czy owi nowatorzy o własnej stoją sile, czy też zależą od innych: to jest czy dla wykonania swego przedsięwzięcia potrzebują prosić, czy też mogą zmuszać. W pierwszym wypadku zawsze źle kończą i nie dochodzą do niczego; lecz jeśli polegają na własnej sile i działać mogą przymusem, wówczas rzadko spotyka ich

[1] *Książę* (w przekładzie W. Rzymowskiego, Warszawa, Hoesick 1916), rozdz. VI, str. 19.

niepowodzenie". Ale stary Macchiavelli nie znał jeszcze demokracji, dlatego mógł być w powyższym swoim poglądzie za oktrojowaniem nowego ustroju. Dziś diagnoza jego jest nadal dobra, ale terapja musi uledz zmianie.

10. Dyktator współczesny jest ultrademokratyczny, jeśli idzie o jego ideologję, choć formy jego działalności mogą być niezgodne z formami, uważanemi zwykle, w normalnych okresach, za demokratyczne. Dyktator uważa się za immanencję, za wyraz najistotniejszy „prawdziwej", ciągle żywej, ustawicznie się objawiającej, dynamicznej woli ludu, w której imieniu przeciwstawia się zmechanizowanym formom stwierdzania tej woli, twierdząc, że dają one obraz fałszywy, że zawodzą, że muszą być zastąpione innymi — i na tem polega jego rola jako twórcy nowego ustroju. Twierdząc dalej, że te zmechanizowane sposoby stwierdzania woli ludu wymagają żywej, stałej kontroli. To zaś jest rolą elity dyktatorjalnej.

II

Macchiavelli — republikanin, autor „Uwag nad pierwszą dekadą Liwjusza", określał ten stosunek elity i masy „virtù d'un popolo". Jego faszystowscy potomkowie mówią „Sentimento e Azione". W obu określeniach idzie o to samo: o instynktowne resonanse i dysonanse ludu, które wpływają na decyzje rządu i wzajemnie są przez te decyzje wywoływane, o wewnętrzny impuls, wewnętrzną aktywność, o duchowe przepełnienie, opętanie obywateli państwem, jego działalnością, jego wolą, jego losami.[1] Idzie o przeciwstawienie irracjonalnego, instynktownego, namiętnego i z tych wszystkich przyczyn niezorganizowanego współdziałania, „współczucia" ludności z państwem — jej współdziałaniu mechanicznemu, opisanemu przepisami konstytucji, dokonywującemu się w drodze wyborów, głosowań ludowych, pośrednio w drodze działalności parlamentu.

Prawniczo przeciwstawienie to odbije się przedewszystkiem w sposobie selekcji elity państwem rządzącej, najostrzej w sposobie powołania „wodza", przywódcy faktycznego i du-

[1] por. Richard Schmidt, *Volk und Staat* w *Reich und Staat im neuen Deutschland*, Berlin 1929, t. I, str. 14.

chowego ludu i dlatego jego przywódcy prawnego. W powyższem określeniu już wskazałem na różnicę między dotychczasowym, mechanicznie-demokratycznym sposobem tej selekcji, a sposobem typowym dla dyktatury, określić go można jako dynamiczno-demokratyczny. W demokracji parlamentarnej np. „wódz" jest wodzem dlatego, iż w sposób mechaniczny, głosowaniem parlamentu, przez votum zaufania powołano go do kierownictwa państwem. Dlatego, że mechanicznem głosowaniem został do rządów powołany, rości sobie również pretensje do duchowego i faktycznego przewództwa. W demokracji dyktatorjalnej przeciwnie: wódz i elita, czując, że trafnie odzwierciedla obraz duchowy i potrzeby narodu, czując się jego reprezentantem, czując swoją misję, żąda uznania swego prawa do faktycznego i duchowego przewództwa, żąda następnie stwierdzenia tego uznania w sposób mechaniczny, przez parlament naprzykład. Trafnie ujęły ten stosunek nowej elity do parlamentu ostatnie mowy ministrów gabinetu Dra Świtalskiego w Sejmie, najtrafniej może tak atakowany ustęp mowy min. Kwiatkowskiego: „Możecie sobie Panowie głosować nad swemi wnioskami jak chcecie, jak wam wasze sumienie dyktuje. My, jako stosunek do zagadnień państwowych, jako program, jako organizacja, niezależnie od waszych uchwał pozostaniemy i zaważymy na losach państwa tak decydująco, że system przedmajowy darcia sukna państwowego zginie bezpowrotnie i nie ośmieli się powrócić do tej Izby".

Te dwie legitymacje, dwa uzasadnienia swego stanowiska przez elitę nie wykluczają się wzajemnie. Parlament pozostaje nadal jednym ze sposobów stwierdzania, jaki jest stosunek społeczeństwa do rządzącej elity. Sposobem zmechanizowanym, dlatego nieraz wadliwym, nieraz nie oddającym dobrze opinji społeczeństwa, nieraz oddającym tylko jej stronę politycznie obojętną, to znaczy zgodność jedynie w negacji, ale sposobem dającym jaśniejsze decyzje, niż żywiołowe, irracjonalne, mało nieraz wyraźne manifestacje, ponadto sposobem działającym — w przeciwstawieniu do takich manifestacyj — stale. Różnica polega na tem, że parlament przestaje być jedynym i decydującym sposobem selekcji elity, elita znalazła bowiem sposób osiągnięcia władzy ponad głowami parlamentu i demokratycznego uzasadnienia swej władzy niezależnie od parlamentu.

Elita „pozostanie", jak to określono w Polsce niezależnie od wyniku głosowania w parlamencie, jak długo ma w ustroju i życiu państwowem pewne zadanie do spełnienia. Uzasadnienie zaś władzy elity jest nietylko demokratyczne, jest nawet demokratyczniejsze od poprzedniego. Dzięki bezpośredniemu, stałemu, żywiołowemu kontaktowi między elitą a społeczeństwem parlament musi więcej niż dawniej liczyć się z opinją publiczną, z wielogłowego a przez najszkodliwszego z dyktatorów staje się jedynie jednym z organów państwa i narodu.

III

„Wszystko to jest jakaś mistyka..." „Jakie to są sposoby badania woli ludu poza złożeniem kartki wyborczej?" — rzucają przeciwnicy. Mistyka — zapewne. Mistyka w tym stopniu, w jakim tkwiła mistyka u genezy demokracyj współczesnych,[1] w jakim np. jeszcze Tocqueville mówił o amerykańskiej demokracji, że w myśleniu demokratycznem unosi się lud nad całem życiem państwowem, jak Bóg nad światem, jako przyczyna i koniec wszechrzeczy, z której wszystko się wywodzi i do której wszystko wraca. U genezy każdego wielkiego ruchu politycznego tkwi w pewnem znaczeniu mistyka jako wiara w mało początkowo skonkretyzowaną treść pewnych poglądów, dla których dopiero po ich przyjęciu jako „prawdziwych" szuka się racjonalistycznego uzasadnienia ich słuszności. Dla roli politycznej tych poglądów jest zaś w pewnej mierze obojętnem, czy i ile jest w nich z mistyki. Są one rzeczywistością polityczną wtedy, gdy stoi za niemi pewna siła w opinji publicznej i gdy zyskują możność wpływu na losy państwa.

„Jakie to są sposoby badania ludu poza złożeniem kartki wyborczej?" Nie da się zgóry określić tych sposobów. Wszystkie są — skoro się raz przyjmie zasadę suwerenności ludu —

---

[1] Patrz o roli mistycyzmu w doktrynach demokratycznych przedewszystkiem Ernesta Seilliére: *Le peril mystique dans l'inspiration des democraties contemporaines.* Paris 1918, także Augustin Cochin: *La Révolution et la libre pensée,* Paris 1924, Carl Schmitt: *Politische Theologie,* München 1922, o roli mistycyzmu w socjaliźmie: Fritz Gerlich: *Der Kommunismus als Lehre vom tausendjährigen Reich,* München 1920, oraz Hans Kelsen: *Sozialismus und Staat,* II. Aufl, Leipzig 1923.

równie dobre. „W jakikolwiek sposób wyraża naród swą wolę, wystarcza, że ją wyraża; wszystkie formy są dobre, a wola jego jest zawsze prawem najwyższem" — nauczał już ojciec demokracji, Sieyes. Skoro raz deklarowano w konstytucji zasadę suwerenności ludu, opuszczono teren ściśle opisanych kompetencyj i form działalności, wkroczono na teren polityczny. Cechą suwerena jest, że stoi ponad i poza wszelkiem unormowaniem. Dlatego teza sieyésowska, teza, że naród posiada niepozbywalne prawo zmieniania w każdej chwili i w każdej formie swej konstytucji, teza legalności rewolucyjnej — jest oczywistą konsekwencją zasady suwerenności ludu.[1] Z tego punktu widzenia „oddanie kartki wyborczej" jest formą w normalnych okresach wystarczającą, a od innych form bezpieczniejszą, gdyż daje mniejsze prawdopodobieństwo omyłek, a formy ludowej akceptacji woli dyktatora są zawsze ryzykowniejsze, są zawsze dla stałości stosunków niebezpieczniejsze, są „nadzwyczajne", ale — z punktu widzenia doktryny demokratycznej — są równie uprawnione.

POLITYCZNE I TECHNICZNE PRZEPISY KONSTYTUCJI

Zdania jak: „My Naród Polski... tę oto ustawę konstytucyjną uchwalamy"; „Państwo Polskie jest Rzecząpospolitą"; „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu" — te zdania nie są normami, nie są ustawami, a więc również nie są normami konstytucyjnemi. Nie można ich uważać za mające ten sam charakter i znaczenie, co np. postanowienie o *quorum* wymaganem dla obrad i uchwał Sejmu, co postanowienie o stosunku Ministrów do Prezydenta Ministrów, co postanowienie o ilości instancyj administracyjnych etc. „Ale

[1] Jaskrawą ilustracją, jak głęboko w istocie demokracji tkwi ta teza, jest stanowisko nie prawnika, lecz historyka i gorącego przytem demokraty. Alphonse Aulard w studjum: „La violence et la revolution Française" (Etudes et leçons, IX serie, Paris 1924) legalność rewolucji widzi w okoliczności, czy insurekcja (a więc akt gwałtu, dla ścisłego prawnego ujęcia zawsze nielegalny) była podtrzymywana „par la volonté generale" (str. 16). Ale podobnie mówi i demokratyczny prawnik, Richard Thoma *(Das Reich als Democratie* w *Handbuch des deutschen Staatsrechts,* Tübingen 1929, str. 193) stwierdzając, że konstytucja demokratyczna opiera się „auf einer frei (a więc w dowolnej formie) widerruflichen Duldung der Mehrheit der Nation".

nie są dlatego czemś mniejszem i mniej zasługującem na uwagę. Są czemś więcej niż ustawy i normy, są mianowicie konkretnemi politycznemi decyzjami, które określają polityczną formę egzystencji narodu i stanowią podstawowe założenie wszelkich norm, także konstytucyjnych".[1] Są obrazem politycznej ideologji twórców konstytucji, winny się stać powszechną własnością, politycznem wyznaniem wiary całego narodu. Jak długo spełniają tę rolę, tak długo konstytucja jest żywotna — gdy ją spełniać przestają, konstytucja obumiera. I jakkolwiek granice między tego rodzaju politycznemi przepisami konstytucji a jej normami technicznemi są niejednokrotnie trudne do przeprowadzenia, to istnienie i jednych i drugich, to różnica między nimi jest oczywista.

Czy w obecnej kampanji konstytucyjnej, zainicjowanej, czy też podjętej przedewszystkiem przez obóz dyktatury majowej, idzie jedynie o zmianę szeregu technicznych norm konstytucji, czy także o zmianę zasadniczych podstaw ideologji Karty Marcowej? Sądzę, że można potwierdzić tę drugą alternatywę. Sądzę, że z trzech grup, które zgłosiły dotąd projekty rewizji Konstytucji, każda reprezentuje odmienną ideologję. Z innych naczelnych założeń wychodzi projekt Bezp. Bloku, z innych projekt Lewicy Polskiej, z innych wkońcu — najmniej może otwarcie ujawnionych — projekt Stronnictwa Narodowego. Sądzę dalej, że jakkolwiek między temi projektami zachodzą znaczne podobieństwa, skoro idzie o konkretne techniczne przepisy, to niema między nimi możności porozumienia, skoro idzie o naczelne zasady.

I

Poglądy czynników, zbliżonych do Bezp. Bloku, na reformę Konstytucji, zawarte są w szeregu artykułów i rozpraw w dwóch pismach: tygodniku *Przełom* i miesięczniku *Droga*. Z prac osobno ogłoszonych na pierwszem miejscu wymienić trzeba prof. Wł. L. Jaworskiego „Projekt Konstytucji" (Kraków 1928), Jakkolwiek będący jedynie „osobistem zdaniem" autora siłą swej wszechstronności, sumienności, autorytetem wielkiej indywidualności uczonego — wybija się ponad wszelkie podziały polityczne — niemniej ze względu na wpływ, który zdaje się wywarł

[1] Karl Schmitt: *Verfassungslehre*, München 1928, str. 24.

na projekt Bezp. Bloku, może być — z wszelkiemi zastrzeżeniami — tu zaliczony. By uzasadnić to zdanie, wystarczy wskazać, że w sformułowaniu całego szeregu zastrzeżeń przeciw systemowi rządów parlamentarnych, w określeniu urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej, jako stojącego ponad wszystkiemi innemi organami, w konstrukcji szeregu aktów rządowych Prezydenta RzP. nie wymagających kontrasygnaty etc. — projekt ten wyprzedził bardzo podobne sformułowania Bezp. Bloku. Podstawy ideologji obozu Marszałka Piłsudskiego ujęte są interesująco w książkach Józefa Growskiego: „Aforyzmy polityczne nieobowiązujące" (Warszawa 1929), Wojciecha Stpiczyńskiego: „Polska, która idzie" (Warszawa 1929), oraz rozprawce posła Adama Piaseckiego: „Zmiana ustroju a mocarstwowe stanowisko Polski" (Kraków 1929). Projekt Bloku wraz z przemówieniami motywujących go w Sejmie posłów oraz objaśnieniami prof. Wacława Makowskiego opublikowano w broszurze „Na drodze do reformy ustroju" (Warszawa 1929, nakładem *Głosu Prawdy*). W pewnym związku z ideologją Bloku pozostaje praca Mieczysława Szawleskiego: „Na przełomie naszego ustroju państwowego" (Warszawa 1929). Odmienną nieco od projektu Bloku konstrukcję rozwija Stanisław Bukowiecki w wcześniejszej od tego projektu pracy „Przed rewizją Konstytucji" (Warszawa 1928), w której zasługuje na baczną uwagę interesujące i przekonywujące uzasadnienie potrzeby wzmocnienia władzy wykonawczej. W dużej mierze z tej pracy przejmuję silne podkreślenie demokratycznego charakteru ideologji Bloku. Wymienić wkońcu trzeba dwie interesujące prace: posła Dra Teodora Seidlera „Rozważania ustrojowe" (Warszawa 1929), jedną z niewielu rozpraw polskich, nawiązującą do współczesnej europejskiej literatury prawno-konstytucyjnej, oraz Stanisława Cara: „Konstytucja 17 marca a polska rzeczywistość".

Zasadniczy postulat Bezpartyjnego Bloku: wzmocnienie stanowiska Prezydenta RzP. kosztem uprawnień Legislatywy ma swe uzasadnienie ideologiczne oraz swe uzasadnienie utylitarne, powiedziałbym techniczne. To właśnie uzasadnienie ideologiczne jest zmianą podstaw Konstytucji marcowej, wspólnych jej z większością konstytucyj demokratycznych kontynentu. Podstawy te polegają na określeniu historyczno-psychologicznej roli parlamentu jako organu centralnego w państwie, jako przedstawicielstwa narodu.

Konstytucja marcowa — w ślad większości konstytucyj demokratycznych — postanowiła: „Posłowie są przedstawicie-

lami całego narodu". Określenie zaszczytne. Nie spotkał ten zaszczyt żadnego innego czynnika władzy w państwie. Ani Prezydent Rzeczypospolitej, ani ministrowie. Ani Sejm i Senat jako całość. Ani niezawisłe sądy nie zostały w ten sposób określone. Są tylko „organami narodu", nie są jego reprezentantami. Tylko posłowie, każdy poseł zosobna (każdy senator także) reprezentuje naród. „Cały naród".

Jakiż był sens, jakie było znaczenie tej doktryny twórców naszej Konstytucji, która ujawniła się w postanowieniu, iż posłowie reprezentują cały naród?[1] Nie tkwiło ono w genezie przepisu, który przyjęła na kontynencie Wielka Rewolucja Francuska, przeciwstawiając się w ten sposób reprezentacji stanowej i jej podstawowej zasadzie, iż poszczególni delegaci do zgromadzeń stanowych reprezentują swoich mocodawców, swój stan, a więc tylko część narodu. Tę negatywną, rewolucyjną rolę postanowienie nasze dawno odegrało, dawno już znikli z życia politycznego reprezentanci poszczególnych stanów, instrukcjami swych mocodawców związani. Na plan pierwszy oddawna wysunęło się pozytywne znaczenie postanowienia o parlamencie i członkach parlamentu jako reprezentantach narodu.

Naród jest nietylko sumą obywateli głosujących. Tej sumy obywateli nic poza martwym, mechanicznym przepisem nie łączy w całość, a naród nie jest jedynie czemś mechanicznem. Naród jest ideą, polityczno-idealną całością, czemś „żywem", powiada popularne ujęcie. A reprezentacja jest wyrazem tej całości, jest realizacją, jest konkretyzacją narodu. Jest umożliwieniem empirycznego uchwycenia tego, bez istnienia reprezentacji w sferze idei pozostającego pojęcia. Jest jeszcze czemś więcej. Powiada pięknie jeden z francuskich prawników: „przeciwieństwo pomiędzy zbiorowością a jednostką rozwiązywane jest przy pomocy reprezentacji".

By zachodziła taka jedność między narodem a jego reprezentacją, by społeczeństwo uważało kogoś za swego reprezen-

---

[1] O dzisiejszej roli i kryzysie pojęcia reprezentacji patrz przedewszystkiem Dr Gerhard Leibholz: *Das Wesen der Representation unter besonderen Berücksichtigung des Repräsentativsystems.* Berlin und Leipzig 1929.

tanta, nie wystarczy przepis Konstytucji. Potrzeba do tego, by z jednej strony „reprezentant“ uważał się sam za reprezentanta i żądał, by go społeczeństwo za takiego uznało; trzeba z drugiej strony, by społeczeństwo uznało to roszczenie „reprezentanta“, by jego wolę uważało za swoją wolę, jego działalność za swoją działalność. Norma prawna, postanowienie konstytucji może być motywem, dla którego społeczeństwo uznaje kogoś za reprezentanta, ale samo uznanie, sam trudno uchwytny akt, szereg wyraźnych lub milczących manifestacyj, które określamy jako „opinję publiczną“ musi mieć miejsce, by norma prawna nabrała życia.

*

„Nie należę do żadnej frakcji; będę zwalczał wszystkie“. W tym testamencie politycznym jednego z twórców nowoczesnej demokracji, Saint-Justa, mieści się jaskrawe i trafne określenie problemu reprezentacji. Tylko wtedy można mówić o reprezentacji narodu — uczy klasyczna teorja demokratyczna, gdy między narodem a deputowanym, między reprezentowanym a reprezentantem niema żadnych pośrednich organizacyj. Niema pośredniej reprezentacji, reprezentacja jest tylko bezpośrednia. Dlatego to posłowie „nie są krępowani instrukcjami wyborców“. Instrukcyj w praktyce mogłoby udzielać tylko ciało wyborcze, partja polityczna, ale nie „naród“, nie reprezentowany. I oto to właśnie założenie okazuje się szarą teorją. Okazuje się coraz bardziej szarą teorją. Czem bardziej prawo wyborcze jest powszechne, tem bardziej masa wyborcza jest zróżnicowana. Czem bardziej masa wyborcza jest zróżnicowana, tem bardziej i jej reprezentanci różnią się w swych poglądach, tem bardziej reprezentują istniejące w społeczeństwie przeciwieństwa. Czem bardziej przeciwieństwa te uwydatniają się w parlamencie, tem bardziej jest w interesie wyborców, by ich (ich a nie „narodu“) reprezentant był „pewny“, reprezentował te poglądy i interesy, dla obrony których został wybrany, był programowo i partyjnie związany, a więc nie był wolny.

Na tem polega istota przemiany, której uległ dzisiejszy parlamentaryzm. Obok kryzysu technicznego, który wyraża się w mniejszej niż dawniej zdolności parlamentu do pozytywnej pracy, występuje kryzys ideowy, którego wyrazem jest przesilenie opinji publicznej o parlamencie jako reprezentacji narodu.

o członkach parlamentu jako reprezentantach narodu. Kryzys ten zaś jest wyrazem szerszego kryzysu i konfliktu między demokratyczną teorją o jednolitości narodu, o jednolitej „volonté nationale“ — a rozdzielającemi naród, wdzierającemi się w życie polityczne siłami społecznemi.

I oto klasycznie demokratycznym, demokratycznym w myśl tradycyj Wielkiej Rewolucji Francuskiej i zgodnie z temi tradycjami okazuje się nie Lewica Sejmowa, lecz — Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. Namiętne, gwałtowne, nadużywane hasło „walki z partyjnictwem“ ma wtedy swój sens ideowy, gdy jest zwrócone przeciw związaniu posła przez jakiekolwiek instancje, przez jakiekolwiek grupy, korporacje, partje, przez jakiekolwiek partykularne interesy, gdy dąży do przywrócenia bezpośredniego stosunku między posłem a niezróżnicowanym partyjnie wyborcą, do przywrócenia czystości zasadzie reprezentacji. Gdy zaś w projekcie reformy Konstytucji przez Blok zgłoszonym znajdzie się w miejsce słów o posłach jako „przedstawicielach całego narodu“ postanowienie, iż posłowie „pracować muszą dla dobra państwa jako całości“; treść i intencja tego postanowienia nie będzie niczem innem, jak nawiązaniem do pierwotnej treści i intencji idei reprezentacji narodu.

Próżne starania. Dwie fikcje, na których opierała się idea reprezentacji narodu przez każdego posła, stanęły w tak jaskrawym konflikcie z rzeczywistością, że system na nich oparty musiał runąć. Fikcja pierwsza — że poseł potrafi wyzbyć się poczucia różnic dzielących społeczeństwo i reprezentować wspólne wartości tworzące pojęcie narodu. Fikcja druga — że społeczeństwo, wyborcy potrafią przynajmniej w chwili aktu wyborczego zapomnieć o różnicach stale ich dzielących, a w każdym razie usunąć je na drugi plan. Obie te fikcje jednolitości ustąpiły miejsca chaotycznemu zresztą i niesystematycznemu zróżnicowaniu. Prawda — powraca jednolitość w chwilach niebezpieczeństw narodowych lub narodowych entuzjazmów, ale chwile nie mogą decydować o systemie dnia codziennego.

Naród jednak nie może żyć bez reprezentanta, bez kogoś, ktoby mu uzmysławiał jego jedność jako żywej całości, jego wartość jako idei. Państwo jest zbyt wielką abstrakcją, by mogło jako istotna forma tej jedności wystarczyć. Trzeba osoby. Antropomorfizm opinji publicznej jest tak silny, że w miejsce

wielogłowego ciała wielu reprezentantów stawia jednego człowieka. Parlamentaryzm wystarczał nieraz dla celów technicznych, dla funkcjonowania państwa. Przestał wystarczać jako obraz państwa, przestał wystarczać dla celów integracji obywateli w państwo. Był tylko formą bardzo potrzebną, przestawał być treścią życia państwowego.. W to puste miejsce wdzierała się — tam, gdzie parlament nawet jako organ techniczny usunięto — dyktatura. I w to puste miejsce wdziera się — tam, gdzie parlament jako organ techniczny pozostawiono — nowe sformułowanie stanowiska głowy państwa. Sformułowanie, które w formie ograniczonej do konstrukcji prawnej, dał prof. Wł. L. Jaworski[1] w słowach: „Organem, który urzeczywistnia porządek prawny, stanowiący państwo Polskie, jest wyłącznie Prezydent Rzeczypospolitej". Projekt Bezpartyjnego Bloku zaś jasno oświetlił polityczną, ideologiczną istotę zmiany. „Najwyższym przedstawicielem władzy w Państwie Polskiem jest Prezydent Rzeczypospolitej". Tak zostaje wypełniona pustka po reprezentantach, którzy reprezentantami już być przestali.

Tę tendencję projektu Bezp. Bloku, stanowisko jego wobec parlamentu najlepiej może uwydatni również zestawienie tych zasad ogólnych, które dotychczas określały rolę parlamentu w ustroju państwa i zasad, które w miejsce dotychczasowych chce przeprowadzić Blok Bezp. Konstytucja marcowa powiada: „Organami narodu w zakresie ustawodawstwa są Sejm i Senat, w zakresie władzy wykonawczej — Prezydent Rzeczypospolitej" etc. Projekt Bezp. Bloku stawia w to miejsce określenie: „Najwyższym przedstawicielem władzy w Państwie Polskiem jest Prezydent Rzeczypospolitej". Konstytucja marcowa powiada: „Niema ustawy bez zgody Sejmu, wyrażonej w sposób regulaminowo ustalony", projekt Bezp. Bloku powiada: „Stanowienie praw publicznych i prywatnych należy do Prezydenta Rzeczypospolitej, Sejmu i Senatu". To zestawienie wskazuje, że wedle projektu Bezp. Bloku parlament przestaje być jednym z najwyższych organów, skoro istnieje tylko jeden najwyższy organ — Prezydent Rzeczypospolitej, że — powtóre — Sejm przestaje być decydującym organem ustawodawczym, skoro obok niego wymienione są równorzędnie, a w każdym

[1] Jaworski. *j, w.*, str. 27.

razie współdecydująco dwa inne organy. Zmiana stanowiska parlamentu wobec rządu, a w obrębie legislatywy zmiana wzajemnego stanowiska poszczególnych współdziałających organów są zasadniczemi cechami proponowanej przez Blok reformy Konstytucji, a w pierwszej linji reformy parlamentaryzmu.

*

Obok tego uzasadnienia swego projektu teorją o kryzysie reprezentacyjnej roli parlamentu, obok powszechnie powtarzanego argumentu o niezdolności rozbitego na szereg partyj parlamentu do utworzenia rządu — wysuwany jest ze strony Bezpartyjnego Bloku jeszcze dalszy argument, oparty na analizie sytuacji i zadań państwa polskiego. O tem zagadnieniu pisze najjaśniej Stanisław Bukowiecki w powołanej wyżej pracy (str. 22—23). „Stworzenie państwa nowoczesnego — pisze Bukowiecki — w tych warunkach, w jakich znalazła się Polska u schyłku wojny — to olbrzymie zadanie dziejowe... Konstytucja nasza nie zawiera norm, któreby wychodząc z założenia ogromu zadania budowy państwa, szczególnie rozwiązanie tego zadania miały na względzie. Jest ona tak ułożona, jakby miała obowiązywać w państwie, w którem idzie o snucie normalnej działalności ustawodawczej, czy wykonawczej, jak to właśnie ma miejsce w państwach oddawna istniejących. Tymczasem zespolenie narodu i zorganizowanie Rzeczypospolitej w naszych warunkach ogólnych musi być dokonane szybko i stanowić raczej akt rewolucyjny, aniżeli proces ewolucyjny — i konstytucja winna była temu należyty dać wyraz... Stworzenie nowego państwa lub zasadnicze przekształcenie istniejącego wymagało zawsze zdecydowanej władzy naczelnej..." Tem uzasadnieniem potrzeby silnej władzy wykonawczej, zespoleniem uzasadnienia z szczegółowem rozprowadzeniem dalszych demokratycznych szczegółów struktury państwa góruje książka Bukowieckiego nad szeregiem rozpraw o ideologji konstytucyjnej obozu rewolucji majowej.

II

Poza złożonym w Komisji Sejmowej przez posłów Stronnictwa Narodowego projektem poprawek do wniosków rewizyjnych Bezpartyjnego Bloku oraz Lewicy zajmuje się nacjonalistycznym programem ustrojowym program Stronnictwa Narodowego, uchwalony przez Radę Naczelną w dniu 7-go

października 1928 r. Z literatury nacjonalistycznej poświęcone są typowym dla nacjonalizmu założeniom programu: rozprawa Romana Dmowskiego „Zagadnienie Rządu" (Warszawa 1927), Stanisława Grabskiego „Kryzys myśli państwowej" (Lwów 1927), tegoż autora „Państwo Narodowe" (Lwów 1929). Obok tych nacjonalistycznych elementów ustroju propagowali działacze Stronnictwa Narodowego szereg niezwiązanych z nacjonalistycznem założeniem zmian Konstytucji. Pierwszą znaczniejszą pracą z tego zakresu jest Edwarda Dubanowicza „Rewizja Konstytucji" (Poznań 1926), dalej Wacława Komarnickiego „O praworządność i zdrowy ustrój państwowy" (Wilno 1928), Bolesława Koskowskiego „Chcecie rozwoju czy przewrotu?" (Warszawa 1929). Ponadto poglądy Stronnictwa Narodowego reprezentuje tygodnik *Myśl Narodowa* (Warszawa).

Założeniem programu konstytucyjnego nacjonalizmu — jak każde założenie, będącem przedmiotem wiary, a nie dowodu — jest teza, że „suwerenem Rzeczypospolitej jest nie ogół jej ludności, a tem mniej jakaś polityczna koterja jako całość, lecz naród polski".[1] Już słowami „nie ogół ludności" przeciwstawia się jaskrawo obowiązującej konstytucji i doktrynom demokratycznym, będącym w mniejszym lub większym stopniu podstawą działalności innych grup politycznych w państwie. Obok nieuzasadnianej oczywiście wiary w słuszność tego założenia podkreśla się również pożyteczność oparcia na nim państwa w dzisiejszym okresie. „Silne poczucie narodowe, wynikające ze ścisłego głębokiego związku jednostki z własnym narodem, jest w dzisiejszym okresie dziejów najpotężniejszym czynnikiem, zdolnym zapanować nad egoizmem jednostki, nakładającym na nią obowiązki, nie mające częstokroć nic wspólnego z jej osobistemi celami, pociągającym ją do bezinteresownych wysiłków, zmuszającym do poświęceń, do oddania nawet życia".[2]

Pogląd na środki realizacji tej ogólnej zasady przechodził wśród nacjonalistów polskich różne fazy. Początkowo myślano jedynie o pozaprawnej, pozakonstytucyjnej w każdym razie „organizacji narodu, czyniącej z niego ciało, zdolne kierować się jedną myślą i działać według jednego planu".[3] Zadaniem

[1] Grabski, *Państwo Narodowe*, str. 174.
[2] Dmowski, *Zagadnienie rządu*, str. 14.
[3] Dmowski, *op. cit.*, str. 27.

tej organizacji byłoby „przeprowadzenie myśli państwowej większości narodu polskiego przeciwko wszelkiej konspiracji krajowej i międzynarodowej",[1] sądzono nawet, że tę dyktatorską funkcję spełni „Obóz Wielkiej Polski z Romanem Dmowskim na czele".[2] Na terenie zaś ustroju państwa zadawalano się hasłem, iż (niezależnie naturalnie od brzmienia konstytucji) „o losach państwa powinna decydować polska większość Sejmu i rząd parlamentarny powinien się na polskiej większości opierać".[3]

Jak długo działacze Stronnictwa Narodowego pozostawali w tych ramach, tak długo ich nacjonalistyczna doktryna była pewnym programem organizacji społeczeństwa, pewnymi postulatami co do praktyki konstytucyjnej, ale zasadniczej zmiany podstaw ustroju nie propagowała, pozostając w ten sposób w pewnej sprzeczności z założeniem, wedle którego suwerenem, a więc najwyższym w ustroju państwa organem jest naród polski. Dopiero ostatnio prof. Stanisław Grabski w interesującej, żywo i głęboko ujętej książce „Państwo Narodowe" usunął tę pewną sprzeczność, wyciągając ustrojowe konsekwencje z założeń doktryny nacjonalistycznej. Grabski daje określenie suwerena-narodu, do którego „należą ci obywatele Rzeczypospolitej, którzy się sami doń zaliczają przy spisach ludności, bez względu na swe wyznanie i język domowy, oświadczają się (bez względu na język domowy? *przyp. mój*) za polskim językiem w szkołach, biorą udział w polskich stowarzyszeniach, związkach, spółkach".[4] Ci to suwereni-Polacy (nawet nie wszyscy Polacy, gdyż tylko ci, którzy biorą udział w społecznej, w poprzednim ustępie scharakteryzowanej organizacji narodu) wybierają przez Zgromadzenie Narodowe dożywotniego Prezydenta Rzeczypospolitej, nadają państwu konstytucję, wybierają Izbę Wyższą Sejmu, do wyłącznej kompetencji której należą sprawy polityki zagranicznej, siły zbrojnej Rzeczypospolitej, organizacji władz administracyjnych państwa i samorządów lokalnych, wychowania narodowego". Cała ludność Rzeczypospolitej, a więc rów-

---

[1] Grabski, *Kryzys*, str. 171.
[2] Grabski, *op. cit.*, str. 170.
[3] Grabski, *op. cit.*, str. 159.
[4] Grabski, *Państwo Narodowe*, str. 83 n., str. 175.

nież mniejszości narodowe, ma wpływ jedynie na „wszystkie inne sprawy życia społeczno-państwowego", i tu jednak nie uznaje się zasad równości, gdyż w okręgach, w których ludność polska jest w mniejszości, głosują ludność polska i niepolska w dwóch odrębnych kołach, „przyczem niezależnie od stosunku liczebnego ludności polskiej do niepolskiej każde koło wybiera jednego posła".[1]

Krytyka tych poglądów jest zbyteczna w artykule, w którym zajmuję się jedynie programami konstytucyjnymi, podniesionymi przez grupy polityczne w parlamencie. Jeśli zaś pomimo to poświęciłem tyle miejsca poglądom politycznym Romana Dmowskiego i Stanisława Grabskiego, to dlatego, iż to są poglądy najwybitniejszych od lat przywódców Stronnictwa Narodowego, patronów ruchu, w którym Stronnictwo to widzi swoją przyszłość — ruchu nacjonalistycznego wśród młodzieży, że wkońcu obaj ci politycy są bezwątpienia najwybitniejszymi wśród działaczy nacjonalistycznych umysłami, najkonsekwentniej przytem wyciągają wnioski z emocjonalnych, najgłębszych założeń nacjonalizmu. Osobliwem jest tedy zjawiskiem, że w Stronnictwie Narodowem — jedynem z polskich — istnieje tak wielka rozbieżność między tem, co o reformie ustroju piszą jego przywódcy, a co ich Stronnictwo przedkłada jako swój wniosek w Sejmie. Czyżby Stronnictwo Narodowe uważało, że lepiej — choćby ze względu na wyborców — nie występować oficjalnie z takim programem? Czyżby może Stronnictwo Narodowe uważało, że program ten jest tak nierealny, że lepiej — nawet dla manifestacyjnych celów[2] — nie podpisywać takiej doktryny ustrojowej? Pierwsza z tych ewentualności byłaby wystarczającem oświetleniem metody działalności Stronnictwa Narodowego, druga z nich wystarczającem oświetleniem, jak w oczach samych twórców program ich wytrzymuje próbę życia. W każdym zaś razie jedynymi śladami nacjonalizmu wnioskodawców są w ich projekcie konstytucji dwa postanowienia. Przeciwstawiające się tendencjom autonomicznym określenie, iż „Państwo Polskie jest Rzecząpospolitą jedną i niepo-

[1] Grabski, *op. cit.*, zwłaszcza str. 175—6.

[2] Wszakże cały szereg poprawek konstytucyjnych, zgłoszonych przez Stronnictwo Narodowe, jest również czystą manifestacją.

dzielną" oraz propozycja skreślenia postanowienia Konstytucji o autonomji terytorjalnej mniejszości narodowych. Do innych postanowień projektu stosowaćby można trafne jego określenie przez posła Bagińskiego, iż jest on „kwintesencją konserwatyzmu", o ile przez konserwatyzm (niezupełnie ściśle) rozumieć będziemy to, co stanowiło wyznanie wiary liberalno-burżuazyjnej demokracji połowy XIX w. Nawet jedyny nowoczesne pozory mający postulat sądownictwa konstytucyjnego traktowany być może jako środek do ochrony interesów tej burżuazji.[1]

III

Stanowisko P. P. S. C. K. W. oraz Lewicy Polskiej w sprawie rewizji Konstytucji nie było od początku jednolite. Tezie reprezentowanej przez Tadeusza Hołówkę (wówczas jeszcze członka P. P. S.) w rozprawie „O zmianę Konstytucji" (Warszawa bez daty — 1926?), iż w interesie Lewicy jest wybór Prezydenta w powszechnem głosowaniu i zwiększenie atrybucyj tak wybranego Prezydenta, gdyż będzie to przy polskim układzie sił politycznych najczęściej kandydat Lewicy przeciwstawiały się poglądy ujęte najgłębiej (jeszcze przed przewrotem majowym) przez posła Mieczysława Niedziałkowskiego w pracy „Teorja i praktyka socjalizmu wobec nowych zagadnień", Warszawa 1926). Te to poglądy znalazły wyraz w lewicowym projekcie konstytucji, a uzasadniane są w pracach: Stanisława Thugutta „W obronie parlamentaryzmu", Warszawa - Wilno 1928 (jeszcze przed wyborami do Sejmu i Senatu 1928) — Mieczysława Niedziałkowskiego „Demokracja parlamentarna w Polsce" (Warszawa 1930), ponadto znajdują wyraz w piśmie *Tydzień* (Warszawa, od jesieni 1929).

Radykalno-lewicowy, pod wpływem przedewszystkiem socjalistycznym zredagowany, projekt rewizji konstytucji jest przedewszystkiem obroną obecnej formy ustrojowej i jej założeń naczelnych, określanych jako „demokracja parlamentarna", jest powtóre ich dalszem rozwijaniem i umacnianiem w szczegółach, co daje w rezultacie parlament; jako jedyny stały i centralny

[1] Por. ciekawe informacje Charlotty Lüttkens (*Staat und Gesellschaft in Amerika*, Tübingen 1929, str. 52 n.) o takim właśnie ultrazachowawczym, a nawet reakcyjnym charakterze sądownictwa konstytucyjnego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

organ w państwie. Wspólnem dla całego obozu Lewicy uzasadnieniem wydaje się być teza, że „przeżywamy obecnie okres dziejowy niestałej równowagi sił społecznych",[1] z czem łączy się „brak stałej większości w opinji kraju".[2] Tu tkwi przyczyna wad systemu parlamentarnego w praktyce, wady zaś innych systemów są „jeszcze niebezpieczniejsze, jeszcze bardziej nieuleczalne".[3] „Forma prawno-państwowa dzisiejszego społeczeństwa musi być (ze względu właśnie na okres niestałej równowagi) elastyczną, jak najmniej krępującą przebieg walk społecznych, przystosowującą się do układu sił państwowych".[4] Zadość czyni temu jedynie system rządów parlamentarnych. Powiększanie władzy Prezydenta, choćby w głosowaniu powszechnem wybranego, daje tylko pozory demokracji, gdyż „cezaryzm w XX stuleciu oznacza zawsze biurokratyzm", a państwo biurokratyczne jest zawsze państwem o „sztucznej przewadze klas t. zw. posiadających".[5] Obok tego wspólnego dla wszystkich zdaje się stronnictw Lewicy szkieletu ideowego wniosku tych stronnictw, wysuwane są w obronie supremacji parlamentu argumenty już wyłącznie socjalistyczne. Demokracja parlamentarna jest: „1) wypadkową i to elastyczną interesów i dążeń zbiorowych, klasowych, które istnieją rzeczywiście w społeczeństwie; 2) zaporą przeciwko sztucznemu powstrzymywaniu wpływów klasy robotniczej na politykę państwową (faszyzm, cezaryzm, dyktatura itd.; 3) możnością przezwyciężenia kapitalizmu na rzecz socjalizmu bez wojny domowej, bez rozlewu krwi, bez katastrofy gospodarczej".[6] Czyli: parlament jako organ klas społecznych, jako pokojowa forma walki klasowej, jako rejestrator postępów wpływów socjalizmu i wkońcu jako organ wprowadzający ustrój socjalistyczny.

Nie jest to — jeśli idzie o formę — doktryna socjalistyczna, lecz raczej liberalna: wszelkie zasadnicze przemiany społeczne i psychiczne dokonują się „naturalnie" same przez się w społeczeństwie, a parlament jedynie „rejestruje" już dojrzałe do

---

[1] Niedziałkowski, *Demokracja*, str. 116.
[2] Niedziałkowski, *Teorja*, str. 119.
[3] Thugutt, *W obronie*, str. 52.
[4] Niedziałkowski, *Teorja*, str. 136.
[5] Niedziałkowski, *Demokracja*, str. 55 i 82.
[6] Niedziałkowski, *op. cit.*, str. 117.

tego zmiany. Z liberalizmem wspólnie dzieli ona lekceważenie potrzeb państwa, rejestrowanie bowiem wysuwając na plan pierwszy, pomija moment konieczności funkcjonowania maszyny państwowej, która wtedy, gdy zmiany w społeczeństwie nie „dojrzały", gdy parlament nie jest zdolny do decyzji, może być zahamowaną. I tu tkwi pewna sprzeczność tej doktryny z popieraną właśnie przez socjalizm ewolucją państwowości współczesnej, z wzrostem kompetencji państwa, z rosnącą etatyzacją. Państwo liberalne pozwolić sobie mogło na parlament, który jest jedynie rejestratorem niezdecydowania opinji publicznej, gdyż cały szereg agend dziś przez państwo wykonywanych, było wtedy państwu obcych. Dziś sytuacja uległa zasadniczej zmianie.

Nie jest to również doktryna partji rewolucyjnej. Tylko siły społeczne, które mają wszelkie szanse nasycenia się, zaspokojenia swoich dążeń w obecnym ustroju, mogą występować z tak daleko posuniętą jego apologją, z dalszem rozwijaniem jego najistotniejszych założeń. Nie chcę decydować, czy teza, iż radykalizm ma największe szanse rozwoju w ustroju ultraparlamentarnym, jest tezą słuszną. Wydaje mi się jednak sprzecznem z tą tezą obrońców parlamentaryzmu równoczesne ich twierdzenie, iż biurokracja w tej samej epoce, przy tym samym układzie faktycznym sił społecznych będzie — choćby była uzależniona od plebiscytarnego Prezydenta Państwa — narzędziem w ręku burżuazji. Może tak było w demokracjach plebiscytowych XIX w., gdy nowych sił warstwie urzędniczej, gdy kierowników państwa dostarczały po większej części klasy posiadające. Dziś, gdy wszystkie warstwy społeczne wytwarzają z siebie inteligencję, gdy o tyle liczebniejszy zasób funkcjonarjuszy państwowych składa się na wszystkich szczeblach hierarchji z ludzi, pochodzących z wszelkich klas społecznych, — jest przez to tak samo jak parlament odbiciem złożoności dzisiejszego społeczeństwa — dziś teza o reakcyjności biurokracji jest anachronizmem. Przeczą jej zresztą i stosunki polskie, w których biurokracja to właśnie była podporą i motorem większej części poczynań etatystycznych, odegrała pewną rolę w tworzeniu ustawodawstwa socjalnego, stała się tak często przedmiotem ataków ze strony średniej i wielkiej burżuazji. Tkwi w tej tezie socjalistycznej pewne trafne spostrzeżenie: biurokracja okazuje

się nieżyczliwą wobec poglądu, jakoby pewne ugrupowania polityczne były naturalnymi, jeśli nie wyłącznymi przedstawicielami interesów klas pracujących. Ale też tylko tyle jest w niej trafnej obserwacji.

IV

Mówiąc o zasadniczych podstawach tych programów ustrojowych, które się ujawniły w obecnym parlamencie, zająłem się jedynie sprawami, odnoszącymi się do ustroju władz państwowych, pominąłem natomiast te kwestje, również zasadnicze, które nie odnoszą się do ustroju władz, a które ujmuje się zwykle w określeniu „zasadniczych praw i obowiązków obywateli". Nie sądzę, by już obecnie nadszedł czas na przyjmowanie nowej konstrukcji w tej dziedzinie, w niej bowiem najsilniej się ujawnia kryzys współczesnego państwa, a najmniej dotąd skrystalizowały drogi rozwiązania tego kryzysu. Żyjemy właściwie w okresie upadku znaczenia tej kategorji praw, które najbardziej ze wszystkich zasadniczych podstaw konstytucji wymagają jednolitości w stanowisku społeczeństwa wobec nich, gdy dziś tymczasem to stanowisko jest najbardziej rozbieżne. Dlaczego?[1]

Państwo średniowieczne nie znało „praw zasadniczych człowieka i obywatela". Każde prawo subjektywne jednostki było prawem zasadniczem. Żadne z nich nie mogło być przez państwo wbrew woli jednostki ograniczonem ani zmienionem. Jednostka była — w teorji — suwerenną. Państwo było — w teorji — bezsilnem wobec jednostki. Monarchja absolutna nie znała również praw jednostki. Każde prawo jednostki mogło być w każdej chwili swobodnie przez władcę ograniczonem, zmienionem, zniesionem. Jednostka była — w teorji — bezsilna, Państwo było — w teorji — wszechmocne.

Prawa jednostki są wyrazem sukcesu doktryny prawa natury, wyrazem sukcesu rewolucyj demokratycznych. Jednostce,

[1] por. przedewszystkiem najg'ębsze może ze znanych mi ujęcie tego zagadnienia w Jaworskiego *Projekcie Konstytucji*, str. 23 n., 185 n.; por. także Fritz Kern, *Staat und Verfassung im Mittelalter* (*Historische Zeitschrift*, 3. Folge, 23. Band, 1. Heft. 1919, str. 72 n.) Dla zrozumienia stanowiska socjalistycznego w tej materji przynosi bardzo wiele Gustaw Radbruch, *Die Kulturlehre des Socialismus*, 2. Aufl., 1927.

obywatelowi przysługują prawa święte, wrodzone, naturalne, logicznie i historycznie wcześniejsze od konstytucji i państwa. Państwo stwierdza ten charakter praw jednostki przyznając jej prawo oporu przeciw uciskowi, „konsekwencję innych praw człowieka" — nawet obowiązek oporu przeciw uciskowi. Ale ten nadkonstytucyjny charakter praw jednostki jest krótkotrwały. Stają się one jedynie jednym z przepisów prawa pozytywnego, taką samą normą konstytucji, jak i wszelkie inne jej przepisy.

Te przepisy konstytucji o prawach jednostki miały dla jednostki znaczenie tak długo, jak długo przetrwało milczące, echem doktryny prawa natury będące założenie, które przyświecało autorom tych przepisów, — założenie, iż z natury ludzkiej wynika, że nigdy nie znajdzie się w parlamencie czy też w społeczeństwie większość dla zniesienia tych postanowień. Tylko jak długo to założenie było prawdziwe, można było uważać zagwarantowane konstytucją prawa jednostki za „zasadnicze", to jest za różne, za „ważniejsze", „świętsze" od innych praw jednostki. Tylko tak długo istniała różnica między tymi „zasadniczymi" prawami jednostki a innymi jej prawami, np. jej prawem do tego, by państwo nie wymagało od niej więcej, niż 2% podatku od obrotu. Dziś ta różnica nie istnieje lub prawie nie istnieje.

Kryzys „praw jednostki" nie tkwi w przepisach konstytucji. Widnieją w nich one nadal, równie uroczyste jak dawniej, równie ogólnikowe jak dawniej, nawet jeszcze liczniejsze, jeszcze obfitsze, tak obfite, że je nawet Niemcy w swej konstytucji złośliwie jako „salatähnliche Komposition" określają. Kryzys tkwi poza konstytucją, kryzys tkwi w społeczeństwie. Wszystkie kryzysy „konstytucyjne" są właściwie kryzysami doktryn politycznych, utrwalanych w konstytucjach, kryzysami stosunku opinji publicznej do tych doktryn. I tutaj kryzys polega na tem, iż w społeczeństwie przestała istnieć jednolita lub też panująca opinja, przestała istnieć jednolita odpowiedź na pytanie: jakie to prawa jednostki są tak „święte", tak „zasadnicze", że nie mogą być przez państwo naruszane, że muszą być przez państwo uroczyście jednostce zagwarantowane?

Objawami kryzysu są: narastająca ilość tych praw zasadniczych; skoro się nie można pogodzić, które właściwie są za-

sadnicze, to trzeba — kompromisowem wyjściem współczesnego parlamentaryzmu — każdej grupie społecznej jej prawa zasadnicze zagwarantować i w zamian uzyskać zagwarantowanie praw „swoich". Drugim objawem kryzysu jest zapewnianie zwykłej ustawie coraz większej możności ograniczania tych praw: czem są bowiem liczniejsze, tem mniej mogą być nienaruszalne, czem słabsza opinja publiczna za nimi staje, tem łatwiej w nich czynić wyłomy. Trzecim objawem wkońcu są coraz częstsze głosy o łamaniu konstytucji, które głównie widzi się w naruszaniu — przez parlament najczęściej, przez zwykłe ustawy — tych praw zasadniczych. Trybunał konstytucyjny — gwarancja zgodności zwykłych ustaw z konstytucją — ma być środkiem zaradczym na to naruszanie praw obywatelskich.

ROZBIEŻNOŚĆ IDEOWA — KOMPROMIS TECHNICZNY

Przechodzimy w tej chwili okres, w którym, zdaje się, założeniem tak grupy rządzącej jak i grup opozycyjnych jest przeprowadzenie rewizji Konstytucji w sposób przewidziany Konstytucją marcową i w obecnym parlamencie. Przed powzięciem tego założenia musiały być naturalnie wzięte pod uwagę ujawnione już stanowiska stronnictw w parlamencie reprezentowanych i ich poglądy ustrojowe, musiało być wzięte pod uwagę, co z tych projektów ma szanse realizacji, a więc w czem porozumienie mogłoby się okazać możliwe, w czem między poszczególnemi projektami są rozbieżności tak wielkie, że uniemożliwiają przelanie w normy Konstytucji rozbieżnych stanowisk. Rozważenie tej sytuacji byłoby równocześnie rozważeniem, jakie są dotychczasowe rezultaty dyktatorjalnego programu ustrojowego.

I

Dotychczasowy przegląd wykazał, że rozbieżność co do zasad podstawowych, co do politycznych elementów rewizji jest nie do przezwyciężenia. Niema możebności kompromisu między tezą, iż najwyższym organem państwa jest Prezydent Rzeczypospolitej, tezą, iż najwyższym organem państwa jest parlament i tezą, że jedynym politycznie decydującym organem państwa są jego obywatele narodowości polskiej, czy nawet

część jedynie tych obywateli. Obóz rewolucji majowej nie zdołał dotąd na tyle przełamać wpływu swych przeciwników na społeczeństwo, by zrealizować swą naczelną polityczną zasadę ustrojową w całej pełni. Na tem polega jego słabość. Jego sukces zaś na tym terenie w tem leży, iż zasadę tę uczynił wyznaniem wiary najsilniejszej grupy w parlamencie i szerokich mas społeczeństwa, że przez to uniemożliwił sukces jakiejkolwiek innej zasady.

O ile tedy uważa się kompromis w obecnym parlamencie za pożądany (a z całego szeregu przyczyn podzielam opinję, iż kompromis ten jest pożądany), należy zrezygnować z utrwalenia już dziś w konstytucji faktu, iż polityczne wyznanie wiary społeczeństwa uległo zmianie. Należy zachować dążenie w tym kierunku dalej jako hasło naczelne działalności obozu, który je podjął. Należy natomiast zbadać, czy zachodzi możliwość porozumienia co do szeregu szczegółowych norm Konstytucji i czy z tego punktu widzenia zrewidowana Konstytucja da pewną, lepszą od dzisiejszej, harmonijną całość.

Odpowiedzi na to pytanie można dziś udzielić jedynie z szeregiem zastrzeżeń. Nie wszystkie jeszcze grupy w parlamencie ujawniły swe stanowisko w sprawie rewizji Konstytucji — to pierwsza przyczyna, dlaczego można mówić jedynie o możliwości, nawet nie o prawdopodobieństwie porozumienia. Po drugie: nawet tam, gdzie istnieje zbieżność w tendencjach różnych projektów w Sejmie dyskutowanych, istnieją wielkie różnice w szczegółach, w tem, jak daleko idą proponowane przez różne grupy w tym samym kierunku zmiany. To jest druga przyczyna, dla której może być mowa tylko o możliwości kompromisu. Z temi jednak zastrzeżeniami odpowiedź na oba wyżej postawione pytania może być twierdząca: wszystkie zgłoszone w Sejmie projekty rewizji Konstytucji zawierają przepisy, w których mniej lub więcej stanowczo, mniej lub więcej szczerze, ale niemniej w zasadniczej tendencji zgodnie dąży się do wzmocnienia władzy głowy państwa i rządu, do pewnego uniezależnienia głowy państwa i rządu od parlamentu.

II

1. Blok Bezpartyjny, stronnictwa Lewicy, posłowie żydowscy są zgodni w tem, że należy odebrać prawo wyboru Pre-

zydenta parlamentowi. Nie są zgodni co do tego, czy Prezydent ma być wybierany bezpośrednio przez ludność, czy też przez zgromadzenie elektorów. Wykluczonem natomiast się wydaje przeprowadzenie propozycji Bezp. Bloku, by głosowano jedynie na kandydatów, desygnowanych przez ustępującego Prezydenta oraz Zgromadzenie Narodowe.

2. Blok Bezpartyjny, Stronnictwo Narodowe, a ponadto stronnictwa centrowe w dyskusji konstytucyjnej (w deklaracji posła Kiernika) wypowiedziały się za przyznaniem Prezydentowi RzP. prawa veta zawieszającego. Niema natomiast zgodności opinji co do skutków tego veta, a mianowicie okresu czasu, jaki musi upłynąć przed ponownem podjęciem zwróconego przez Prezydenta projektu w Sejmie, oraz co do większości, jak ma być wymagana dla uchwalenia tego projektu.

3. Blok Bezpartyjny i Stronnictwo Narodowe zgodne są co do tego, że należy ograniczyć możność uchylania dekretów Prezydenta RzP. zwykłą uchwałą Sejmu. Natomiast wątpliwem jest, czy zyska odpowiednie poparcie stanowisko Bezp. Bloku, które zupełnie wyklucza możność uchylania dekretów zwykłą uchwałą.

4. Projekty Bloku Bezpartyjnego, Lewicy oraz Stronnictwa Narodowego zgodne są do pewnego utrudnienia możności obalania rządu przez Sejm. Wszystkie trzy projekty żądają, by: *a)* wniosek poselski, wzywający rząd do ustąpienia, posiadał większą ilość podpisów, *b)* między zgłoszeniem takiego wniosku a jego uchwaleniem upłynął dłuższy okres czasu, *c)* na posiedzeniu Sejmu, na którem taki wniosek jest głosowany, wymagane było większe quorum (liczba obecnych posłów). Natomiast już tylko Stronnictwo Narodowe i Bezp. Blok proponują, by wniosek taki musiał uzyskać większość kwalifikowaną, co do szczegółów zaś panują we wszystkich czterech punktach znaczne rozbieżności.

5. Blok Bezpartyjny, zmieniając brzmienie art. 68 Konstytucji, Stron. Narodowe, żądając, by w Senacie zasiadali w znacznej liczbie reprezentanci życia gospodarczego i zawodów, wkońcu Lewica, przewidując prawo inicjatywy ustawodawczej, dla Naczelnej Izby Gospodarczej — zgodne są co do zapewnienia przedstawicielom życia gospodarczego większego wpływu na

kierownictwo życia państwowego. Natomiast co do form tego wpływu panują jak widać znaczne rozbieżności.

6. I Stron. Narodowe i Bezp. Blok zgodne są co do zapewnienia Senatowi większego wpływu, mianowicie pragną utrudnić odrzucanie propozycyj Senatu przez Sejm. Natomiast wydaje się wykluczonem, aby to utrudnienie szło tak daleko, jak tego pragnie Stronnictwo Narodowe, to jest aż do zasadniczego równouprawnienia Sejmu i Senatu.

7. Stronnictwo Narodowe, proponując, by w Senacie zasiadali przedstawiciele życia gospodarczego i zawodów, Bezp. Blok, proponując, by $^1/_3$ Senatu pochodziła z nominacji Prezydenta, zgodne są w tem, że w Senacie powinny znaleźć miejsce czynniki, nie wychodzące z pięcioprzymiotnikowego głosowania. Nie są natomiast zgodne co do tego, jakie to mają być czynniki.

8. Blok Bezpartyjny, Stronnictwo Narodowe, zgodne są co do tego, że należy przyznać jakiemuś organowi sądowemu prawo orzekania o utracie mandatu poselskiego na wypadek złamania ślubowania poselskiego, nie są natomiast zgodne co do tego, na czyj wniosek ma orzekać ten organ i jaki to ma być Sąd; są również zgodne co do tego, że należy ograniczyć nieodpowiedzialność posłów za czynności będące w związku z wykonywaniem mandatu. W ogólnikowej formie wypowiedziały się za pewnem ograniczeniem immunitetów poselskich również stronnictwa centrowe.

9. Blok Bezpartyjny i Stronnictwo Narodowe zgodne są co do potrzeby podniesienia granicy wieku przy prawie wybierania do Sejmu do wieku lat 24. Blok Bezp. i zdaje się Stronnictwa Centrowe (w każdym razie Nar. Partja Robotnicza) zgodne są co do podniesienia granicy prawa wybieralności do Sejmu do lat 30.

III

W tych kilku zasadniczych punktach zachodzi tedy zbieżność tendencyj między projektami poszczególnych grup. Te punkta mogłyby, zdaje się, być podstawą kompromisu w Sejmie. Natomiast zupełnie są dotychczas odosobnione poszczególne grupy przy wysuwaniu następujących postulatów:

1) równouprawnienia Sejmu i Senatu (Stronnictwo Narodowe);

2) zniesienia proporcjonalności (Stron. Narodowe);

3) wprowadzenia Rady Stanu (Stron. Narodowe);

4) permanencji Sejmu, to jest ważności mandatów od chwili wyborów aż do ukonstytuowania się następnego zkolei Sejmu (Lewica);

5) stworzenia licznych aktów Prez. RzP., nie wymagających kontrasygnaty rządu (Bezp. Blok)[1];

6) skrócenia sesji budżetowej (Bezp. Blok);

7) rozszerzenia na okres czasu między sesjami (Bezp. Blok) lub znaczniejszego ograniczenia praw Prezydenta RzP. do wydawania dekretów z mocą ustawy (Lewica);

8) rozszerzenia uprawnień Prezydenta RzP. w zakresie polityki zagranicznej, umów międzynarodowych, kierownictwa armją (Bezp. Blok);

9) przyznania Prezydentowi RzP. prawa inicjatywy ustawodawczej (Bezp. Blok);

10) przyznania Prezydentowi RzP. prawa decyzji o ważności wyborów zaprotestowanych (Bezp. Blok);

11) przyznania Prezydentowi Rzeczypospolitej prawa nominacji $^1/_3$ członków Trybunału Stanu (Bezp. Blok);

12) wprowadzenia Trybunału Konstytucyjnego (Stron. Nar.);

13) dalszych ograniczeń prawa własności (Lewica), a z drugiej strony wprowadzenia do art. 99 Konstytucji postanowienia o pełnem odszkodowaniu (Stron. Nar.);

14) przeprowadzenia rozdziału Kościoła od państwa (Lewica).

---

[1] Projekt Lewicy zna tylko jeden taki akt: zrzeczenie się urzędu przez Prezydenta RzP.

ALEKSANDER BRÜCKNER

OD POGAŃSTWA DO CHRZEŚCIJAŃSTWA

Prof. Aleksander Brückner, najznakomitszy dzisiaj przedstawiciel polskiej lingwistyki i historji literatury, poruszał w swoich pracach od wielu lat mnóstwo kwestyj tak dawnych, ale spornych, jak i nowych z dziejów polskiej kultury. Wyniki swoich badań, zawsze oryginalne i świetne, zebrał obecnie w wielkiem, dwutomowem, syntetycznem dziele, którego druk jest już na ukończeniu (nakład Krak Spółki Wydawniczej). W dziele tem przedstawia on rozwój polskiej kultury od prawieku (wspólność aryjska) aż do ostatnich niemal czasów. Daje obraz rozwoju języka, wiary, prawa, ubiorów, mieszkań — kreśli rozwój szlachty, miast i mieszczan, chłopów, kleru — wykazuje, co w polskiej kulturze jest pozostałością ogólno-słowiańską, co jest zapożyczeniem ze Wschodu, Południa i Zachodu, a wreszcie co jest oryginalnym wytworem polskiego społeczeństwa. Jest to pierwsza na tak wielkie rozmiary zakrojone dzieło o kulturze polskiej — żaden naród słowiański niczego podobnego o swojej kulturze nie posiada. Autor dał syntezę prac, prowadzonych przez pół wieku. Szczęśliwe połączenie w jednej osobie historyka i filologa pozwoliło opracować temat obu metodami, podczas gdy zwykle autorowie prac dotyczących rozwoju kultury panują tylko nad jedną metodą: albo historyczną albo filologiczną. Toteż dzieło obfituje w doniosłe wyniki, a na przyszłość toruje nowe drogi nauce w tej dziedzinie. Podajemy poniżej naszym czytelnikom jeden ustęp z tego dzieła, poświęcony przejściu Polski od pogaństwa do chrześcijaństwa.

Rok 966 usunął na zawsze pogaństwo, którego dalsze trwanie zagrażało niezawisłości; zapewnił więc tę niezawisłość; umożliwił i ułatwił przyjęcie organizacji państwowej na wzór zachodni; nadał całej umysłowości nowe ideały i wskazał nowe do nich drogi; przeszczepił, choćby narazie powierzchownie, kulturę zachodnią i przykuł Polskę do zachodu. Wolna bowiem granica z Rusią, t. j. ze wschodem i z Bizancjum, wskazywała na nie i kto wie, jakby się ułożyły stosunki, gdyby Ruś 966 r.

była już chrześcijańską, ale wobec tej ściany pogańskiej, tylko zachód — Rzym nadawał się dla głębokiej myśli politycznej Mieszki; chrześcijańska, łacińska Praga dała ów wzór, którego pogański Kijów nie dostarczał. Rok 966 ustalił również na zawsze rozłam Słowiańszczyzny; obok katolickiej Polski stanęła w dwadzieścia lat później prawosławna Ruś i wyżłobiła się, zrazu nieznaczna, z każdym wiekiem coraz głębsza przepaść między dwoma światami, zbraconymi do niedawna jednym niemal językiem i jedną niemal kulturą.

Sam przewrót pozostał na razie raczej pozornym; kult pogański zniknął wprawdzie odrazu z powierzchni, ale lud pozostał pogańskim w życiu i duchu. Czeszce jeszcze w XI wieku, nie mówiąc o X-tym, obcem pozostawało chrześcijaństwo średniowieczne. Kwitły po dawnemu krwawa zemsta rodowa, targi niewolników, napędzanie żon-poćpieg, małżeństwa w bliskim stopniu pokrewieństwa, kult bożków domowych i przodków, pogańskie wesela i stypy, nawęzy (amulety) i czary. Chrześcijańskiem było duchowieństwo, w znacznej części na wyższych posadach obce, dwór i możnowładztwo, ale poza tę cieniutką warstwę nie sięgała nowa wiara. Jak było istotnie, świadczą bliskie Czechy; ochrzciły się o wiek wcześniej, ale jeszcze przez wiek X były pogańskie; jeszcze w XI-tym nie uporały się z resztkami dawnej wiary i zwyczaju. Św. Wacław na początku a św. Wojciech na końcu wieku stali równie daleko od własnego społeczeństwa. Św. Wacław unikał pod byle pozorem uczt wielmożów, bo mu pogaństwem śmierdziały; wykupywał na wiosnę młodych niewolników i kazał ich chrzcić (było między nimi chyba dosyć polskich); św. Wojciechowi nie starczyło środków dla podobnego wykupna, a gdy mu cudzołożnicę u stóp ołtarza zabito, rzucił asceta ze zgrozą niewdzięczne pole. W następnym wieku jeszcze obaj Brzetysławi pod wysoką karą pieniężną (300 grzywien!) i wygnaniem tępili wielożeństwo, czary, pogrzeby pozakościelne, pogańskie. Jak Ruś w swojem „chrojewieriju“, uprawiała i Polska pod pozorem chrześcijańskim dalej swe praktyki pogańskie. Więc pogańskiemu witaniu lata dała skromną sobótek nazwę; w zamawianiach zastąpiła Marja, Jan, Jezus Dadźbogów i Swarożyców; do nawęzów dostawały się świętości chrześcijańskie; święta obchodzono, ale nie w kościele, lecz w gajach, śród pląsów i śpiewów „djabelskich“, w maskach

zwierzęcych (kobylnicy i in.); o ślubie kościelnym nikt nie myślał, a rozwodził się każdy na własną rękę (kościelne obowiązywały tylko wielmożów); umierało się bez chrztu i bez księdza, a chowano na żalach pogańskich; iluż było w całym kraju, coby umieli Modlitwę Pańską?

Znienawidzono nową wiarę, bo nakładała ciężkie jarzmo. Nietyle dla dziesięcin, boć tę zastąpiły tylko dawne trzeby-obiaty dla bogów i żerców; nierównie bardziej gorszyło, że nowa władza (bo tylko z tego „policyjnego" punktu na nią patrzono), wdzierała się w życie tak jak tego dawna nie znała. Zakazywała przecież pokarmów, np. koniny i nieczystych zwierząt na zawsze, a na pewne dni, ba, tygodnie, to mięsa, to nabiału, zakazywała pracy w polu i lesie w pewne dnie, a władza świecka czuwała nad tem, zabierała po prostu bydło czy siekierę temu, co w niedzielę orał czy rąbał; nakazywała w pewne pory nawet czystość małżeńską. Lud obchodził te zakazy, więc w niedziele odbywał targi; gdy św. Wojciech po raz wtóry do Czech wracał, dotknął go zaraz u wstępu boleśnie widok targowiska wielkiego w dzień niedzielny; dopiero później przeprowadził Kościół zakaz targów niedzielnych. Cieszył się lud, że duchownych było niewiele a kościołów jeszcze mniej, więc nie było ścisłego nadzoru ani nauki obfitej i długi czas nie wiedział lud, w co też wierzył; jeszcze w XIII wieku po ustroniach nie było inaczej.

Nie mógł też lud niejednego w tej nowej, nakazanej wierze pojąć, np. celu umartwienia ciała, jakiego nowy post wymagał. A było ono bardzo dotkliwe, bo poszczono w środy i piątki powszechnie, a u katolików i w soboty, co cerkiew wschodnia jako kacerstwo piętnowała; dalej posty suchedniowe; ale najbardziej wielki post czterdziestodniowy, zaczynający się w Polsce, wedle dawnego zwyczaju, nie w popielec dopiero, lecz już dwie niedziele przedtem (od niedzieli septuagesimy). W Niemczech ustalił się rychło zwyczaj rzymski zaczynać post od niedzieli pięćdziesiątnej i gdy w pierwszej połowie XIII wieku Niemcy koloniści na Śląsku zachowywali swój zwyczaj postny, popadli w konflikt z duchowieństwem polskiem, które swoim zwyczajem postu od siedemdziesiątnicy przestrzegało; za łamanie postu podpadali Niemcy cenzurom kościelnym. Sprawę rozstrzygnął r, 1248 na synodzie wrocławskim legat papieski, po-

lecając biskupom polskim, aby każdego przy swoim zachowywali zwyczaju i nikt o wcześniejsze czy późniejsze zaczynanie nikogo nie strofował. Skutek był ten, że i polski Kościół stary zwyczaj zarzucił i post od popielca zaczynał. Nie dziw, że wobec tych wymagań, łagodzonych tylko półpostami (do południa) lub dozwalaniem w pewne dnie postu wielkiego potraw mięsnych, przychodziło do przykrych starć nawet i że raz nawet, co kronikarz w regułę obrócił, komuś tam i zęby wybito, że postu nie szanował. Woźni i komornicy książęcy dopuszczali się dalej licznych nadużyć pod płaszczykiem nowej wiary i jej wymagań.

Mimo to wszystko, nie stawiło pogaństwo żadnego czynnego oporu, zadowalało się biernym, nie dawało się wykorzenić, ale nie powtórzyło się u nas nic z tego co nad Łabą i Odrą, na Rugji i Pomorzu brojono; żadnych wstrząśnień religijnych nie było, ani owej zażartej walki pogaństwa, przeciągającej się tam do drugiej połowy XII wieku, gdy Polska od lat dwustu już była chrześcijańska. Czemu to przypisać? U wszystkich Słowian widzimy bowiem to samo; ani na Bałkanie, ani na Rusi, ani na zachodzie alpejskim czy sudeckim nie podniosła się żadna ręka w obronie starej wiary ojczystej, ani jeden męczennik czy ofiara chrześcijańska nie złożyła między Słowianami-poganami głowy za wiarę; popłakali jedni, pośmiali się drudzy, gdy im bogów do wody wrzucano, czy palono, nic więcej. I trudno ujść myśli, że ta wiara i obrządek chyba niezbyt głębokie puściły korzenie, że nie było wpływowych kultów i żerców, coby do buntu podżegali. Temu przeczy na pozór, że dopiero trzecie pokolenie (po przyjęciu chrześcijaństwa) bunt przeciw wierze podniosło w całej Polsce, nie mówiąc o dalekiem Mazowszu. Ale o tej reakcji pogaństwa można, mimo spółczesnego świadectwa niemieckiego i późniejszego Gallowego, nieco i wątpić; źródła ruskie i czeskie o „pogaństwie“ milczą; Nestor prawi tylko, że „(po śmierci Wielkiego Bolesława) był w Polsce bunt (miateż), powstali ludzie (t. j. czerń) i pozabijali biskupów, popów i bojar i był u nich bunt“. Jeśliby to była reakcja pogańska, dlaczegoż ci poganie oszczędzili właśnie skarby i świątynie gnieźnieńskie, które dopiero Czesi doszczętnie złupili? Poganie zwracali się przeciw świątyniom niemniej niż przeciw kapłanom. To był więc bunt raczej socjalny, niż religijny, ależ nic wygodniej, niż zwalać winę na religję. Jeśli obcy

poganie, Lucicy, Pomorzanie, Prusowie, w buncie uczestniczyli, nie dziw. Są też luki znaczące w katalogach biskupich, ale głównie szło może o ucisk fiskalny, nie o wiarę.

Jakkolwiek było, pewna obojętność w rzeczach wiary zdaje się cechować Słowian dawnych i dzisiejszych (przykładem wymownym Ruś sowiecka). Z tego jawnego braku żarliwości [1] wynikła owa dwójwiara w Boga i bożków, nietylko ruska, choć o niej najwięcej świadectw pozostało. Żaden jednak naród słowiański nie pozbył się tak doszczętnie wszelkich wierzeń i praktyk pogańskich, jak właśnie polski; nawet u Czechów więcej tego pozostało niż u nas, i gdy A. Fischer polskie obrzędy pogrzebowe opisywał, ciekawszych i starożytniejszych szczegółów wyłącznie z Rusi dobierał; wystarczy porównać naszych Podhalan z Huculami, aby ocenić, jak nasze duchowieństwo wygładziło ostatatnie ślady pogaństwa, mimo wszelkiej zachowawczości narodowej; łacińskie bierze w tem stale górę nad prawosławnem.

Warstwy wyższe, jak to zwykle bywa, wyprzedziły znacznie niższe; książę, dwór, możnowładztwo nawet, były chrześcijańskie, lud pozostał pogańskim, a ponieważ nazewnątrz pogaństwo nie istniało, utracił lud ster wszelki i równowagę, co się właśnie w owym buncie z r. 1037 objawiło. Tak było wszędzie; w Brandenburgu książę i żona byli chrześcijanami, lud Trzygłowa czcił i książę, aby zapewnić byt chrześcijaństwu, kraj Niemcowi zapisał. Podobnie było na Pomorzu albo u Obotrytów, a nie inaczej i u nas. Należy kłaść na to nacisk, bo nieraz mylnie pojmowano to pozornie nagłe, łatwe zwycięstwo chrześcijaństwa. „Musiał już Kościół chrześcijański posiadać silną podstawę w narodzie — naród polski musiał już wtedy dobrze być przygotowany przez poprzednie prace misyjne... na długo przed Mieszką I Polska pozostawała pod wpływem wsiąkających powoli w jej organizm elementów chrześcijańskich". Mnichom iryjskim przypisano walny udział w tej mnie-

[1] Wyjątek stanowili Słowianie nad Łabą i Odrą, ale broniąc pogaństwa, bronili niezależności i bytu samego przeciw nieludzkiemu wojowaniu książąt świeckich i Kościoła; dopiero w tych walkach zahartowało się ich pogaństwo, napastowane od IX wieku, więc podżegane nienawiścią przeciw ciemięzcom; miecz zawinił, że krzyż nie zapanował rychlej. Tak samo było z Prusami.

manej misji. Że jeden i drugi mnich iryjski między r. 966 a 1066 i do Polski trafił, nie myślimy przeczyć; są po nekrologach najdawniejszych klasztorów dwa, trzy najwyżej nazwiska iryjskie, ależ nic nas nie upoważnia odnachodzić tych misjonarzy i przed r. 966.

Nie było żadnej misji iryjskiej przed r. 966, ależ nie było i żadnej słowiańskiej, cyrylo-metodowej z pobliskich Moraw, mimo ich odwiecznej styczności z Polską. Napastował książę Wiślan chrześcijan morawskich Świętopełkowych, aż go Świętopełk w niewolę wziął i na obcej ziemi ochrzcił — z tego jeszcze bynajmniej nie wynika, że zarazem i Wiślan samych ochrzczono, byłby niechybnie żywociarz cośkolwiek o tem wspomniał.

Pomimo grobowego milczenia źródeł dziejowych twierdzą, że w r. 966 „chrześcijaństwo zostało podniesione do godności religji państwowej", ale nie za Mieszki dopiero zapoznała się Polska z nauką Chrystusową. Wpływy chrześcijańskie (z Moraw i Panonji) szły na Polskę z pewnością już przed wystąpieniem Cyryla i Metodego (!) i oczywiście także po ich wystąpieniu... jeszcze inne wskazówki (oprócz chrztu księcia Wiślan), pouczają o wczesnem ugruntowaniu się chrześcijaństwa nad Górną Wisłą. I tak architektura świątyni na Wawelu śś. Feliksa i Adaukta wskazuje niewątpliwie na pochodzenie jej z wieku X... powstanie jej w Krakowie każe przypuszczać zakorzenienie się tam chrześcijaństwa dawniejsze może od chrztu Mieszkowego... pośrednikami w tym procesie (chrystjanizacji) były plemiona czechosłowackie". Nikt nie zaprzeczy, przy żywych stosunkach handlowych między Pragą a Krakowem, że mógł się dostać i chrześcijanizm na Śląsk i do Wiślan, ależ od takich trafów daleko do szerzenia wiary; kościół św. Feliksa po r. 966 wybudowano, on niczego nie dowodzi. Ale już najmniej wolno myśleć (np. z powodu chrztu księcia Wiślan) o śladach czy wpływach chrześcijaństwa cyrylo-metodyjskiego. Bo w X wieku Praga i Czechy były już łacińskie i obrządek słowiański tlił niepokaźnie w jakiemś zapadłem ustroniu, na jaw się nie wychylał i do Polski nie zaglądał; dowody mniemane, co Polsce a choćby tylko Małopolsce narzucały liturgję słowiańską, krytyki nie wytrzymały i nie myślimy ponownie się z niemi rozprawiać: ani (późne) umieszczenie służby patronom słowiańskim w naszych mszałach i brewjarzach; ani wezwania

kościołów pod imieniem św. Klemensa (którego relikwje Cyryl odnalazł); ani niejasne zwroty w paru dawnych tekstach; ani ślady sztuki bizantyńskiej po najdawniejszych kościołach, nie ocaliły domysłu liturgi słowiańskiej. Więc nie uznajemy chrześcijaństwa innego, niż łacińskie i to dopiero od r. 966; był to czas najżywszego szerzenia chrześcijaństwa za brzegi Łaby do Odry, kiedy to organizował Otto I biskupstwa liczne, a niebawem i arcybiskupstwo (magdeburskie) i zwycięstwo chrześcijaństwa aż po Rugję i Pomorze zdawało się na zawsze zapewnionem, i był najwyższy czas, że Mieszka dobrowolnie przyjął nową wiarę; to w pierwszym rzędzie ocaliło Polskę przed zaborem niemieckim.

Najdonioślejsza to rewolucja w dziejach kultury, chociaż nie odrazu skutki jej się objawiły. Ulżyła przedewszystkiem los niewolnikom, dzieciom i kobietom, Zabijać niewolnika, wysadzać lub sprzedawać dziatwę, napędzać żonę zaprzestawano narazie powoli. Z zakorzenionemi nawyczkami walka była trudna, ale Kościół wkońcu zwyciężył, i dokonał, acz to całe wieki trwało, przemian w stosunkach rodzinnych i majątkowych. W pogaństwie nie było dzieci nieślubnych, skoro je ojciec przyznał; Kościół wprowadzając śluby obostrzył pojęcia tak dalece, że wkońcu odmawiano dzieciom nieślubnym praw dziedziczenia i cześć im wszelką ujmywano (nie mogli piastować urzędów duchownych czy świeckich, nie przyjmowano ich do cechów i t. d.). Natomiast wyrobił Kościół prawa kobiece. Za pogaństwa była zupełnie wykluczona od wszelkich spadków i dziedzictwa; jej własnością były tylko jej szaty, ozdoby, co z domu otrzymała (nazywano to później *szczebrzuchem* domowym); to dziedziczyły po niej jej córki; to zabierała z sobą poćpiega, gdy dom męża opuszczała, może i to, co mąż kiedy podarował. Ten zarodek indywidualnej własności wypielęgnował Kościół, dążąc do jakiegoś równouprawnienia płci, nieznanego wcale pogaństwu. Kobieta posiadła teraz ruchomości, ale obok nich już i nieruchomości, co jej mąż podarował lub jeśli je sam nabył, w testamencie zapisał, albo jakie ona za własne pieniądze nabyła; w XIII wieku już można spotykać dopuszczenie kobiet do dziedziczenia dóbr nadanych i powstaje możność dziedziczenia przez kobiety.

Ale zwycięstwo wpływów kościoła postępowało nader

opornie. I nie dziw, do XIII wieku nie miało duchowieństwo ani tradycji, ani nawet ducha korporacyjnego, bo za mało wyodrębniało się od reszty społeczeństwa. Jeszcze przy końcu XI wieku stwierdzał Koźmá, że kapituła praska przed reformą nie miała ani ludzi uczonych, ani różniła się ubiorem od świeckich i po świecku w kościele służyła; przez cały XII wiek żenili się księża, jeszcze r. 1200 pozostawiał Henryk Brodaty miłosierdziu księdza, czy nie uczyni czego dla kobiety i dzieci, które z nią spłodził. Cóż mówić o rozluźnieniu organizacji kościelnej po r. 1037! Nie dziwi więc ta powolność w oddziaływaniu na społeczeństwo.

W pierwszej chwili, około r. 1000, może były, jeśli wobec milczenia źródeł wnioski wysnuwać wolno, jakieś szersze widoki cesarza Ottona co do Kościoła polskiego. Może jego i Wojciecha uderzył nadzwyczajny rozrost cerkwi greckiej. Już pochłonęła cały Bałkan, stare dziedzictwo Rzymu, co ledwie wąski pas nadmorski ocalił; już pochłonęła olbrzymią Ruś a docierała przez Bułgarję i Siedmiogród do Węgier — Szczepan miał u siebie klasztory greckie i wystawiał dyplomy greckie. Szyzmy wprawdzie otwartej nie było, ale przeciwieństwa wyraźne, ostre współzawodnictwo, co światowładne plany młodego cesarza silnie krzyżowało. Nie będzie więc może zbyt ryzykowna myśl, że Otto z Wojciechem (?) umyślili Europę przed zalewem greckim uchronić, że uplanowali przeciwstawić mu jako tamę Polskę i Węgry, Polskę w imieniu całej zachodniej Słowiańszczyzny; wystawiał więc Otto dokument w Gnieźnie nie *in Polonia*, ale (co prawda i inni tak pisali, np. żywociarze wszelcy), *in Sclavinia*, a na znanej minjaturze hołdują mu Italja, Germanja, Gallia i Sclavinia. Chciał on poznać tę Polonię, przyszłą Sclavinię i pod pozorem pielgrzymki do grobu przyjaciela wyruszył do Poznania i Gniezna. W ostatniej chwil odmienił poniekąd zamysł: metropolję, porękę przyszłego królestwa, wraz z włócznią św. Maurycego, oznaką tegoż, oddał Bolesławowi, ale koronę królewską kazał z Rzymu wysłać Szczepanowi, nie dając Węgrom na razie metropolji, chociaż korona za nią ręczyła. Metropolję ustanowił w Gnieźnie, nie w stolicy, w Poznaniu, bo tam rezydował już biskup, którego ani usunąć ani Gnieznu poddać nie mógł; zresztą i na Węgrzech stolica była w Alba Regia, a metropolja w Ostrzegoniu.

Górnolotne zamysły Wojciecha (?) i Ottona nie ziściły się; ich miejsce zajęła zacięta walka z nowemi Niemcami. Korzystając z niesnasek Przemysłowiców, zajął Chrobry i lenno niemieckie, Czechy, ale nie uznał dla nich zwierzchnictwa niemieckiego, więc połączył natychmiast króla Henryka z Przemysłowicami przeciw sobie i Pragę stracił rychlej, niż ją zdobył, a gdy Czechy utracił, i Moraw nie był pewny i może jeszcze za życia odpadły od niego.

Misję św. Wojciecha wyzyskał znakomicie Chrobry, ale nie on ją wywołał ani nawet nią nie pokierował. Nie miał on w sobie nic z Ottonów i Sylwestrów, Wojciechów i Brunonów, może nawet nie dorównał pod tym względem Szczepanowi; misja wyszła wyłącznie z własnej inicjatywy Wojciechowej. Wyboru nie było; zachodnia Słowiańszczyzna zdawała się już ochrzczoną, niby jak Czechy (najgorliwsi Luciców sprzymierzeńcy!), a tego chrześcijaństwa czeskiego miał Wojciech aż nadto, przed niem uciekał. Zgóry więc o Prusach myślał i Chrobry mu tylko początki ułatwił, jak później, o wiele wydatniej co prawda, Krzywousty Ottonowi; wykupił jego zwłoki i przeniósł do Gniezna, nie do stolicy, Poznania, bo już kiełkowała w nim myśl uniezależnienia przyszłego wielkiego Kościoła polskiego od biskupa poznańskiego, który mu chyba nie szedł na rękę, Natomiast powziął on plan organizacji tego Kościoła, który gotowy przedstawił Ottonowi, co w szczegóły sam wchodzić nie mógł; złożył przez to Chrobry dowód genjalnej przezorności politycznej; Kościół był mu raczej narzędziem, niż celem. A tak zapatrywali się Piastowie i nadal na Kościół, aż do XIII wieku; społeczeństwo im wtórowało.

Urządził więc i wyposażył Chrobry pięć biskupstw polskich, wyłącznie na zachodnim skrawku państwa, od Kołobrzegu do Krakowa i Wrocławia — jakby o wiele większej, wschodniej Polski nie było, jakby osobne ziemie mazowiecka, łęczycka, sieradzka, sandomierska nie istniały. Granice diecezjalne zgadzały się z szczepowemi, jak później jeszcze granice dziekanatów, w Polsce dopiero od XIII wieku ustalone, odpowiadały granicom grodowym, tak że te dawniejsze wedle owych nowszych określać możemy, choćby w przybliżeniu. Rozumiemy biskupstwo pomorskie, śląskie, małopolskie, ale dlaczego wielkopolskich aż dwa? Wszak nie było żadnej różnicy szczepowej

między Polanami gnieźnieńskimi a poznańskimi; oba dzieliła tylko „administracja", że tak powiemy, bo i Gniezno i Poznań były „czołami" ziemi jednej, jak Kołobrzeg i Gdańsk, Kraków i Sandomierz, Krosno i Wrocław. Roku 966 ustanowiono biskupstwo w Poznaniu nie dlatego, aby nie prowokować mniemanego arcypogaństwa gnieźnieńskiego (ono było w Poznaniu takie same), ale ponieważ Poznań był stolicą państwa Mieszki i Chrobrego; Gniezno zaś zostało metropolją, bo posiadało zwłoki św. Wojciecha, a ta świętość rozstrzygnęła — inna rzecz, że już przeniesienie tych zwłok do Gniezna właśnie, było chyba planowe. Dwa biskupstwa wielkopolskie nie dowodzą więc jakichś różnic szczepowych.

Nowa wiara znachodziła jednak i wśród ludu gorących, nietylko obojętnych wyznawców; jakich, opowiada św. Bruno w żywocie „pięciu braci" z r. 1003. Bo oto wysłał cesarz Otto znowu do Sclavonii, nie do Polonii, dwu Włochów-benedyktynów; ci uczyli się w pustelni po polsku, gotując się do misji wśród pogan; przystali do nich dwaj Polacy, bracia rodzeni, Izak i Mateusz, których siostry były zakonnicami; mieli uczniów i świątników (przydanych do ich służby), Krystyna (kucharza) i in.; lud okoliczny już się cisnął około żywopłotu, dziwiąc się, że pustelników długo nie widać; po pogrzebie zabitych bawił ksiądz z chłopcami (do mszy) w pustelni; niebawem zebrał się tu cały konwent (z nowicjuszem Mojżeszem, stareńkim księdzem i z innymi); obcy przychodzili słuchać mszy św.; bratu Jędrzejowi oznajmili we śnie święci, aby (a już rok cały minął), uprosił u Bolesława życie zbójów uwięzionych; Bolesław przeznaczył ich na świątników, a rodziny i majątku grabić nie kazał. Inny Polak, św. Wszerad (albo z ludową polską przestawką: Świerad), zjawił się eremitem i zakonnikiem w kraju rodzinnym małopolskim i na Śląsku a na Węgrzech w klasztorze św. Hipolita i w pustelni żywota świątobliwego dokonał, czczony pod wszelakiemi imionami;[1] dziwy opowiadano o jego

[1] Nie znaleźć łatwo innego świętego o tak odmiennych nazwach i genealogji; zjawia się najczęściej jako Zoerardus, Zuirardus, Seohardus, Sucradus i t. d. Kult jego główny na Węgrzech, w Nitrze, gdzie czczono jego i ucznia jego i ucznia jego Benedykta, również Polaka, co go o trzy lata przeżył; zginął zrzucony przez zbójów z Skałki do Wagu, gdzie orzeł nad nim strzegł. Świerad zwał się w klasztorze Andrzejem; u nas żył w pustelni

ascezie, Polak na Słowaczyźnie osiadł wkońcu, ziomków bliższych rzucił.

Skąd przyszło chrześcijaństwo? Kronikarze, obcy i nasi, wywodzą je od czeskiej Dobrawy, a całe słownictwo kościelne z tem się najzupełniej zgadza. Trzy czwarte jego pochodzą z czeszczyzny: *pop* (zastąpiony przez *księdza*, ale i to zastępstwo jest czeskie, nie polskie, od XV wieku; *cerkiew* (zastąpiona mniejwięcej współcześnie przez *kościół*, co również czeskie); *papież* i *biskup*; *chrzest* i *post* z urobieniami; nazwa *niedzieli* i reszty dni tygodniowych; *krzyż* i *msza*; *komża* i *ołtarz*; *żak klasztor*; *mnich* i *błogosławić* (z *a*, nie *błogosłowić*, jak w cerkiewnem); nazwy świętych Pańskich w czeskiem brzmieniu, np. *Jerzy*; *jałmużna* i *gromnica*; *(kaplica)* i *kapłan*; *kmotr* i *kierlesz* (Kyrie eleison); *żegnać* i *Bogurodzica*; *proboszcz* i *opat*; *kazanie* i *suchedni*; *arcybiskup* i *dziekan*; *kruchta* i *ofiara*; *kacerz* i *nieszpor*; *prałat* i *przeor*; *kielich* i *opłatek*; *małżonek* i *djabeł*; *pielgrzym* i *bierzmowanie* i t. d.

Sami Czesi jednak nie wytworzyli tego słownictwa; wyszło ono od misjonarzy niemieckich, co z Salcburga, Passau i Regensburga między Słowianami alpejskimi i na Morawach w XIII i IX wieku pracowali; nawet grecy soluńscy, Cyryl i Metody, w misji morawskiej, przejęli to gotowe słownictwo do swej liturgji; wkońcu przez Czechów i nas doszło. Temu niezbitemu faktowi językowemu przeciwstawiają wszyscy i zawsze, że Czechów w X wieku samych nie stać było na księży dla Polski przy ich własnem kruchem chrześcijaństwie, ależ znaleźli się w orszaku Dobrawy jeden i drugi w Poznaniu, a niebawem i pierwsi Polacy i tak szerzyły się te czeskie zasoby; stosowali się do nich i księża niemieccy, bo średniowiecze nie kusiło się nigdy o podejmowanie nowej roboty, na miejsce dawnej. Niemcy bowiem, szczególnie w wyższych dostojeństwach przeważali w pierwszych dziesięcioleciach, nazwiska biskupie, oprócz Ra-

---

w Tropiu nad Dunajcem, urodzony pod Opatowcem (Zakliczyn). Na Śląsku żył pod Olawą, gdzie mu poświęcono kaplicę; po jej spaleniu przez Husytów przeniesiono ołtarz do fary olawskiej r. 1468. Na Śląsku uchodził chłopek (tak go węgierskie źródła, np. Macer, biskup, pięciokościelski, co go na własne oczy widział, a od Benedykta wiele o nim słyszał, określają), za syna królewskiego rodu, ależ to wierutna bajka. Węgry Stefanowe miały dziwną siłę przyciągającą.

dzima gnieźnieńskiego, wszystkie niemieckie; znani z nazwiska opaci Chrobrego, Tum i Astryk, to Niemcy. Księgi liturgiczne i tablice paschalne szły z Fuldy, Regensburga, Kolonji; z niemieckich kościołów biskupich i klasztornych szerzyły się wezwania i imiona, np. *Imbram* (Imbramowice) z Regensburgu (Ratyzbony) się wywodzi, gdzie tego świętego szczególnie czczono (klasztor św. Emmerama tamże). Arcybiskup magdeburski, niby metropolita Sklawinji, rościł jeszcze w XII wieku pretensje do Kościoła polskiego jako podległego Magdeburgowi, ale cios zabójczy tej supremacji niemieckiej położył już ów bunt r. 1037, bo na rozerwaniu więzi państwowej najwięcej ucierpiał młody jeszcze kościół; jego byt zdawał się zagrożonym i na razie nic nie nęciło Niemców do Polski.

Odnowiciel państwa i Kościoła przybywał jednak z Kolonji, z pod opieki wuja-arcybiskupa, którego prowincja i Flandrję obejmowała. Kościół wracał w swe prawa powoli, państwo go wyprzedzało. Restauracja szła od Krakowa i Gniezno na czas długi jakby utraciło metropolję (przeniesiona nawet *de facto* do Krakowa?); o biskupstwie pomorskiem, które Chrobry w Kołobrzegu założył, dawno (jeszcze przed r. 1037) i słych zaginął; krakowskie i wrocławskie najmniej chyba ucierpiały; poznańskie po śmierci dwu pierwszych biskupów, co uchodzili jakiś czas nawet za sufraganów magdeburskich, wcielono do prowincji polskiej. Mimo rozchwianej zupełnie organizacji (biskupi wahali się co do konsekracji, szukali jej w kraju i poza krajem), której i Kazimierz nie odnowił zupełnie, zajęty walkami na wsze strony, nawiązał Śmiały bezpośrednie stosunki z Rzymem, z Grzegorzem VII, który w nim witał niby sprzymierzeńca w walce z Henrykiem IV i Kościół polski uniezależniał się od Niemców.

Nie obojętne są wezwania naszych najdawniejszych kościołów. Na Wawelu św. Gerona, śś. Feliksa i Adaukta, sprowadził Kazimierz I wprost z Kolonji, od wuja arcybiskupa; św. Wojciech dla Gniezna był zgóry upatrzony, a od kościołów Wojciechowych roiło się w Polsce (por. kościółek jego na rynku krakowskim i in.). O małopolskich kościołach pod wezwaniem św. Klemensa mniemano niegdyś, że dowodzą obrządku słowiańskiego w Polsce pierwotnej, bo apostołowie słowiańscy szerzyli cześć św. Klemensa, którego zwłoki z morza wydobył Konstanty-

Cyryl i istotnie od Moraw na południe możnaby kościoły Klemensowe uważać za drogowskazy misji morawskiej obu braci, ale małopolskie kościółki Klemensowe pochodzą z czasów późniejszych, zawdzięczając istnienie Klemensom Gryfitom, nie apostołom słowiańskim. Ciekawe, jak się mnożą w XII wieku kościoły pod imieniem św. Gotcharda (Gotarda); niemiecki to święty, biskup saskiego Hildesheima, chociaż bawarczyk rodem, niemal w sto lat po śmierci kanonizowany przez papieża (roku 1131), zażywał właśnie we wschodnich Niemcach, na ziemi słowiańskiej, czci nadzwyczajnej, pielgrzymował do niego sam Krzywousty; przeniesienie tej czci współcześnie niemal do Polski (kościoły w Poznaniu, Kaliszu, Włocławku), dowodzi siły wpływów niemieckich. Liczne są kościoły św. Michała (dwa w Krakowie naprzeciw sobie, na Wawelu i Skałce) i św. Jerzego, jako pogromców djabelstwa-pogaństwa i smoka-pogaństwa; rycerscy to święci; starożytne jest wezwanie św. Wita. Częste imię Lambert i u Piastów (drugie to imię Mieszki II), i między biskupami polskimi, poszło od św. Lamberta, patrona katedry leodyjskiej (Liège); klasztor benedyktynów Lubiński (założony przez Habdanka Michała około r. 1070) zasiedlili mnisi z klasztoru św. Jakóba w Leodjum; nekrolog lubiński wspomina nieraz imiona leodyjskie (opatów i biskupów, np. biskupa Balderika, por. i wieś *Bałdrzechów*).

Klasztorów było za Chrobrego niewiele, w Trzemesznie (za św. Wojciecha), w Międzyrzeczu, w Kazimierzu pod Poznaniem, a były już przy klasztorach męskich i żeńskie; w ciągu XI wieku przybyło ich więcej: Tyniec, co nad innemi benedyktyńskiemi, najsuciej zaopatrzony, objął zwierzchnictwo; dalej Mogilno, Lubiń. Tak wkraczał kościół na tory jakiegoś rozwoju.

Dowodzi tego między innemi i samo słowo *ksiądz*. Opowiada Gall, że Chrobry tak czcił biskupów i swoich kapelanów, że nie ważył się siedzieć, gdy oni stali i inaczej ich nie nazywał, tylko panami *(dominus)*. Mowa tu o honorowej tytulaturze średniowiecznej przez *dominus*, co Czesi i Polacy nie mogli inaczej wyrazić niż przez *ksiądz*, skoro *pana* w X i XI wieku jeszcze nie znano, a *gospodin* 'pater familias' do tytulatury podobnej nie bardzo się nadawał. Ale ta rzecz jest starsza niż Chrobry, bo już w słowiańskiej legendzie o św. Wacławie z X wieku popi otaczający biskupa nazwani „kniazi". Z tej

czeskopolskiej tytulatury średniowiecznej urojono sobie świeżo, że *ksiądz* 'dominus' i 'sacerdos', to połączenie władzy cywilnej i sakralnej, zawdzięczają Słowianie (ależ na wschodzie i południu u nich tego wcale niema i nie było!) Germanom; ich łączeniu obu władz, co jest oczywiście wierutną bajką; rzecz to X wieku, nie wcześniejsza. U nas *ksiądz* zawsze jeszcze w XV wieku *pana* oznaczał albo *księcia*; duchowieństwo czeskie w XIV wieku nie zadowalało się już tym tytułem i domagało się jeszcze *pana*, z czego się Tomasz z Szczytnego śmiał. Dopiero w XVI wieku utraciło *ksiądz* zupełnie znaczenie *książęcia* i *pana* i utrzymało się tylko w urzędowej tytulaturze, Wielki ksiądz litewski.[1] Szczegóły dalsze językowe pomijamy, np. skąd obok *cerkwi* i *cyrkiew*, a nazwa miejscowa *Cerekwica*? jakim sposobem *kmotr* i *kmoszka* nie z łac. *compater*, ale z *commuter* powstały?; jak *Bogurodzica* miejsce *Bogorodzicy* zajęła, a od XVI wieku i przed *Bogarodzicą* ustąpiła[2]

Chrześcijaństwo i autonomja kościelna zabezpieczyły mocarstwo nazewnątrz, ale oddziałały jeszcze nierównie silniej nawewnątrz. Kościół zespolił się z władzą świecką i przyłożył się niebawem najskuteczniej do ocalenia narodu z grożącego mu rozbicia; nic już nie rozerwało duchownej jedności kraju, a zarazem mógł się książę opierać na duchowieństwie; monarchizm z bożej łaski miał w niem wiernego sprzymierzeńca. Cóż dopiero kultura! Dzieło to Kościoła; on stworzył szkołę, naukę i księgi; on postawił zadania sztukom pięknym, od architektury do rzeźby i śpiewu, a niwę duchową przeorał jak nikt i nic przed ani po nim. Historja wczesnej kultury średniowiecznej u nas jest historją kościoła.

Jakiż był ten Kościół w chwili chrztu Mieszkowego i najbliższych pokoleń? Były to czasy jego najgłębszego poniżenia, moralnego i politycznego; zaczęło się to w IX wieku (po

---

[1] *Ziemia księża* znaczy tylko ducatus Masoviae, ziemia księstwa mazowieckiego; albo *pan*: przed Wami... oćcem i księdzem księdzem (domino domino!) Jakubem i t. d.; ksiądz proboszcz z księdzem jarcybiskupem dał, r. 1402; ksiądz opat nie chciał, 1398 i tak zawsze.

[2] Takież to złożenie jak i *Bogumił, Boguchwał, Bogudarka;* raz zapisano *Bogomil* r. 1146, zawsze *Bogusław, Boguchwał* i t. d.; raz *Bogodan* obok *Bogdan* i takie skrócenie częstsze, jest i *Bogmił* i *Bogfał*, por. nawet *Busław* obok *Bogusława* i *Budka*.

Janie VIII), a przeciągnęło do połowy XI-go. Kościół zeświecczał zupełnie, a z nim i jedyny benedyktynów zakon (czarnych mnichów); biskupi walczyli (r. 907 padli w walce pod Presburgiem arcybiskup i dwaj biskupi!), co im prawosławni ostro wytykali, a byli zresztą politykami u dworu, wyjątkowo chyba pasterzami trzody im powierzonej; zakon pływał w dostatkach i latyfundjach, zaniedbywał naukę, zapominał o karności i ślubach. Byli jednak gorętsi po kapitułach i klasztorach, co się wyrywali do pustelni albo na misje wśród pogan, aby uchodzić zgorszeniu; a ich przykład działał i wiek XI wyzwał nakoniec do walki, Klunjak przeciw zakonnemu upadku, Grzegorza VII przeciw władzy świeckiej; oboje zwyciężyli.

Odgłosu tych walk nie zaznała na razie neofitka Polska. Przez dwa pierwsze wieki (966—1170), mimo kilku świetnych manifestacyj, cerkiew polska (bo tak się jeszcze nazywała), nie puściwszy głębokich korzeni w ludzie, nie złączona silnie z Rzymem (nie chciała nic słyszeć o obedjencji rzymskiej i opierała się Rzymowi), zawisła zupełnie od księcia; książę mianował biskupów i sądził ich jak swoich urzędników; stąd ów konflikt Śmiałego z biskupem krakowskim, oskarżonym o zdradę i ukaranym, jak sąd świecki wymagał. Popów i cerkwi było mało; byli po grodach i u możnowładców, ale kapły (kaplice) z kapłanami nie miały mocy udzielania sakramentów ani kazania, zawarowanego dla biskupa i dla tego, któremu on zdał czy polecił ten obowiązek. Cerkwie znachodziły się po grodach i po kastelach możnowładców, nieraz obwarowywano je same dla większej pewności, „inkastelowano" je i stąd poszła nowa ich nazwa, *kościół* z łac. *castellum*, z zachodu, z Łużyc i Czech. Księża nawet ubraniem (oprócz tonsury i w czasie służby kościelnej) nie różnili się od świeckich, nosili broń jak ci, pojmowali żony taksamo i w wyższych święceniach — tylko w klasztorze obowiązywał bezwzględny ślub czystości, nawet t. zw. konwierszów (*fratres conversi*, na poły laicy, co mieli zakonnikom ulżyć pracy ręcznej); synowie księży obierali zawód ojcowski, Obcy przybysze bywali bezżenni, a za ich wzorem szło powoli i duchowieństwo krajowe. Już w ciągu XII wieku panował, a w XIII stał się celibat obowiązującym, chociaż zachodziły i teraz jeszcze wyjątki, jak ów sędziwy kanonik krakowski, ojciec licznej rodziny, ceniony bardzo dla

wszelakich przymiotów. I zasklepiał się powoli stan duchowny, odcinał od świeckich i już przez to wyjątkowe położenie nabierał znaczenia, jakie świeckiemu klerowi wschodniemu, nie znającemu celibatu, nigdy nie przypadło; tem skuteczniej mógł później Kościół tępić wszelkie nadużycia, np. resztki pogaństwa, wobec których pop ruski, żyjący z ludem jak jemu równy, nie mógł radzić, chyba kompromisem, nadając obrzędowi pogańskiemu święcenia chrześcijańskie.

ZYGMUNT ZBORUCKI

EMIGRACJA FRĄNCUSKA W POLSCE W LATACH 1791—1805

Z chwilą, gdy runęła Bastylla, wcielenie feudalizmu w oczach tłumu paryskiego, jako pierwszy emigrant opuszcza Francję, by iść na tułaczkę długoletnią i ciężką, brat królewski hr. d'Artois. Za nim podążają trzej Kondeusze, ojciec, syn i wnuk, później — nieprzerwanym już szeregiem — najwięksi panowie i najznakomitsze damy Francji, dla których niebezpiecznym stał się teraz Paryż. Wszyscy wyjeżdżają w nadziei rychłego powrotu.

Tymczasem wypadki, związane z rewolucją, rozwijają się z nieubłaganą konsekwencją. Dni październikowe 1789 r. wzmacniają falę emigracji, uchwalenie cywilnej konstytucji duchowieństwa wypędza zagranicę licznych księży i zakonników, a gdy nie stało już elity społeczeństwa, przyszła kolej na dostawców przeróżnych, pozbawionych zarobku.

Nadanie konstytucji osłabiło nieco tę masową ucieczkę, ale gdy upadła nadzieja bliskiego końca rewolucji, gdy teror wzmagał się z dniem każdym, nawet ci, którzy postanowili nigdy Francji nie opuszczać, zmuszeni byli szukać ratunku w tułaczce poza granicami ojczyzny. Przy końcu czerwca 1791 r. uchodzi potajemnie z Paryża drugi brat królewski, hrabia Prowancji, i łączy się z hr. d'Artois i ks. Condé w Koblencji, gdzie książęta ci organizują przyszłą zbrojną politykę monarchistów. W roku 1792 emigranci francuscy pojawiają się niemal we wszystkich stolicach europejskich, prócz tego w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, a nawet w Azji.

Od przybyszów nadsekwańskich zaroiło się i w Polsce, od czasów Stanisława Augusta stale przecież wielbiącej wszystko, co francuskie. Pałace i dwory szlacheckie otwarły im swe podwoje; znaleźli tu Francuzi drugą niejako ojczyznę. Nie było też w kraju domu zamożniejszego, któryby ich nie gościł; na-

płynęło do Polski wielu markizów, hrabiów i książąt, którzy prowadzili pasożytnicze przeważnie życie na łasce panów polskich.

Nie brakło wśród emigrantów arystokratów prawdziwych, przywiązanych do Burbonów i „ancien regime'u", a wśród nich ludzi światłych, którzy nowe i pożyteczne rozpowszechniali myśli, nie brakło też i takich, którzy pokochawszy Polskę, na stałe w niej osiadali. Falanga jednak awanturników w cień usuwała jaśniejsze postacie emigracji, smutną jej wyrabiając opinję w tym tak dla przybyszów gościnnym kraju.

Umysły rozważniejsze niechętne też były obcemu napływowi, zdając sobie sprawę z tego, jakie niebezpieczeństwo przedstawiał ujemny wpływ emigrantów na życie społeczeństwa w czasie rozbiorów, a zwłaszcza w pierwszym okresie po upadku Polski. Złagodziło dopiero ich poglądy przybycie do Warszawy Ludwika XVIII, który, chociaż niepopularny przed rewolucją, a słaby i nieudolny władca po restauracji w czasie zawieruchy emigracyjnej godnie stał na czele wygnanej francuskiej dynastji, okazując stałość swych przekonań, któremi nie zdołały zachwiać ani największe nieszczęścia, ani najponętniejsze obietnice.

W naszym szkicu będziemy się starali nakreślić dzieje emigracji francuskiej w Polsce od jej początków aż do czasu wyjazdu Burbonów z Warszawy; t. j. do r. 1805, scharakteryzować jej tryb życia i stosunek do społeczeństwa polskiego. Z wyjazdem Burbonów zanika ona zupełnie, by z chwilą przyjazdu do Warszawy w 1806 r. napoleońskiego ministra spraw wewnętrznych, Łazarza Carnota, zabłysnąć w innej formie, o stokroć donioślejszem znnaczeniu.

EMIGRACJA ZBROJNA I ZAKONNA W ZABORZE ROSYJSKIM

Zostawiając narazie na uboczu emigrację francuską w Warszawie, przyjrzyjmy się tym zastępom emigracji zbrojnej, temu korpusowi czy armji rojalistycznej księcia Kondeusza, która, na żołdzie Anglji i Austrji, walczyła dotąd z niepowodzeniem z republikańskiem wojskiem Francji. Armja ta, składająca się z oficerów o nazwiskach znakomitych, ale ludzi niezdolnych do uciążliwej pracy wojskowej, oraz z szeregowców o ciemnej

nieraz przeszłości, była właściwie w zaniku.[1] Mocarstwa, wspomagające tę dziwną armję, przestały wierzyć po kampanji 1796 r. w możność pokonania przy jej pomocy rewolucyjnych legjonów Bonapartego. Austrjacy, niechętni emigrantom, nie chcieli trzymać jej dalej na swym żołdzie, jeżeli nie zgodzą się na pokój z republikańską Francją,[2] a również i Anglja powiadomiła księcia Kondeusza, że od 1 września 1797 r. cofa swe zobowiązania.[3] Opuszczony przez sprzymierzeńców, wódz francuski zwraca się do cara Pawła z prośbą, by przyjął jego żołnierzy do służby rosyjskiej, ufny w jej spełnienie, gdyż już Katarzyna interesowała się jego armją, a nawet ofiarowywała w 1792 r. wygnańcom francuskim umieszczenie na ziemiach świeżo zdobytych na Tatarach, chcąc je w ten sposób skolonizować.

Nadzieje nie zawiodły ks. Kondeusza. W końcu sierpnia 1797 r. przybywa do obozu emigrantów (w Überlingen nad jeziorem konstantynejskiem) wysłannik carski, poseł w Dreźnie, baron d'Alopem, celem zawarcia umowy,[4] w ślad za nim zaś komisarz wojskowy, podpułkownik Bazyli Gorczakow, z bliższemi już instrukcjami. „Cesarz przyjmował korpus Kondeusza pod opiekę pod warunkiem, że wejdzie on w skład armji rosyjskiej, po przekroczeniu więc granicy winien wykonać przysięgę na wierność, otrzyma wówczas barwy, feldechy i sztandary, równające jego członków z żołnierzem miejscowym, od którego różnić się będzie tylko pobieraną pensją, ta bowiem zachowaną zostanie w takiej wysokości, w jakiej ją dotąd pobierano, mianowicie: oficerowie niższych stopni 1200—1500 fr. rocznie, szeregowcy od 15—20 krajcarów na dobę. Armja francuska w każdej chwili może opuścić granice państwa i wówczas umowa powyższa przestaje strony obowiązywać. Ks. Gorczakow ma spisać wszystkich, wcielonych do korpusu ks. Kondeusza z zastrzeżeniem, że w skład jego mają wejść tylko Francuzi, bo im wyłącznie cesarz gościnny ofiarowuje przytułek".[5]

---

[1] Dr A. J. (Rolle): *Książę Kondeusz (Sylwetki i szkice historyczne i literackie,* serja IX, Kraków 1893, str. 137, 141).

[2] Daudet Ernest: *Histoire de l'emigration,* Paris 1904, t. II, str. 3.

[3] Rolle: *o. c.* str. 137.

[4] *Ibidem*: str. 137—9, 142, Daudet, *o. c.* t. I, str. 400.

[5] Rolle: *o. c.,* str. 142.

Od 1 października 1797 r. armja ta przeszła na żołd cesarski. Spis obejmował pięć tysięcy osób, lecz liczna rodzina oficerów i sług powiększyły ją prawie w dwójnasób, stanowiąc poważną przeszkodę w uciążliwej podróży przez Bawarję, Morawy, Śląsk i Galicję na Wołyń. Instalowano ich bowiem tymczasowo w najbliższym granicy Włodzimierzu.

Ubogie to miasteczko nie zrobiło na emigrantach dobrego wrażenia. Brak mieszkań i wygód, nadto drożyzna, stały się przyczyną licznych rabunków i walk z chłopami wsi okolicznych, czego następstwem był rozkaz dla generał-gubernatora południowych prowincyj, Bekleszowa, stworzenia sądu wojennego, któryby decydował o wykroczeniach żołnierzy według przepisów carskich. Współczesny pamiętnikarz, Ochocki, mówi o jednym wypadku zamordowania żołnierza francuskiego przez towarzysza, którego skazano za to na rozstrzelanie. Jednak „na zasadzie tej, pod jakiemi prawami stał się występek, wedle nich karany być powinien", zmieniono karę śmierci na zesłanie na Syberję, przeprowadzając w ten sposób prawne zrównanie obcego żołnierza z miejscowym.[1]

Gdy wojsko francuskie kwaterowało we Włodzimierzu, wódz jego ze swym orszakiem, od początku zaś lutego 1798 r. i z synem ks. d'Enghien, przebywał w Petersburgu w Taurydzkim Dworcu. Podejmowany początkowo gościnnie na dworze cesarskim, obsypywany dobrodziejstwami, rychło popadł w niełaskę. Już w maju bowiem tego roku wracają obaj książęta na Wołyń. Do dziś nie wiadomo, co stało się powodem nagłej obojętności dworu wobec gości nadsekwańskich. Możliwe, że ich wygórowane wymagania, czy wpływ niechętnego emigracji otoczenia, były jedną z przyczyn, do której dołączały się inne w postaci niekorzystnych dla emigracji raportów Gorczakowa z Wołynia,[2] czy niezadowolenie cesarza z powodu bliższych stosunków książąt z wieloma członkami rodziny carskiej.[3] Dość, że w końcu czerwca 1798 r. wodzowie przybyli do Włodzimierza, a z ich przybyciem zmieniły się zupełnie stosunki. Ks. Kondeusz rozpoczyna pilnie musztrę na wzór rosyjski, zaprowadzając bezwzględny ład i porządek.

[1] Ochocki: *Pamiętniki,* Wilno 1857, t. III, str. 141
[2] Rolle: *o. c.* str. 147.
[3] Daudet: *o. c.* t. II, str. 213.

Nie było to po myśli żołnierza francuskiego. Skarży się na tę rosyjską dyscyplinę w swych pamiętnikach markiz de Bouthillier-Chavigny, że „z szaleństwem wprost zajmował się car najdrobniejszemi szczegółami armji. Nie znał innych manewrów, jak tylko wielkie parady. Byliśmy otoczeni szpiegami rosyjskimi, którzy pod formą uszanowania i udanej subordynacji nie zapominali zdawać sprawy z naszych przekroczeń w służbie".[1]

Mimo niechęci wobec wodzów cesarz nie cofnął swej sympatji dla emigrantów. Poważnie myślał o kolonizacji przybyszami wybrzeży morza Czarnego,[2] w lipcu zaś tegoż roku pozwolił przenieść się głównemu sztabowi emigracji do okazałego w owym czasie Dubna.

Tu rozpoczęło się dopiero prawdziwe dworskie życie. Książę urządził sobie wspaniały dwór, pełeu urzędników koronnych, z kanclerzem, marszałkiem i szambelanami,[3] w którym księżna Monaco, towarzysząca mu wiernie nawet na pole walki, robiła honory domu.[4] Życie dworskie popłynęło szeroką falą, gdyż rodziny wygnańców tłumnie zaczęły przybywać do Dubna. Między innymi przybył na Wołyń książę de Rohan Rochefort, z córką Karoliną, ukochaną księcia d'Enghien. Z ich przybyciem ożywiło się jeszcze bardziej już i tak tętniące życie dworskie, w którem udział biorą przedewszystkiem oficerowie niższych stopni.

Emigranci nawiązują serdeczne nici stosunków wzajemnych ze szlachtą polską. Ks. Kondeusz przyjmuje u siebie polskich panów, czyni to jednak z pewną rezerwą. Wolny dostęp na dwór wodza zbrojnej emigracji mieli bowiem tylko Czaccy, wojewoda Walewski, ks. Sanguszko, ks. Lubomirscy, hr. F. Moszyński, Leduchowscy, Pruszyńcy, Stecki i kasztelanic Bierzyński.[5] Nudno było w tem towarzystwie polsko-francuskiem, którego jednostajność ożywiło dopiero przybycie ks. Karoliny z Godzkich de Nassau Siegen we wrześniu 1798 r. i syna hr. d'Artois, młodziutkiego Karola Ferdynanda ks. de Berry z Mi-

[1] *Ibidem*. str. 279 dopisek.
[2] Rolle: *o. c.* str. 148.
[3] Ochocki, *o. c.* t. III, str. 140.
[4] E. Lamy: *En émigration (Revue d. d. Mondes*, 1900 (lipiec), str. 327).
[5] Rolle: *o. c.* str. 157.

tawy. Rozkwaterowany ze swem otoczeniem w majętności pańności Wilgów, w Łokaczach pod Włodzimierzem, ożywia na nowo życie towarzyskie. Emigranci poczęli bywać w Biskupicach u Krasickich, gdzie ze zdumieniem spotkali się z dziełami Voltaire'a i Rousseau'a,[1] a w zwyczajach arystokracji polskiej i w rozmowach z nią odnajdowali dużo ze swej dalekiej ojczyzny.[2] U Czackich grywał teatr amatorski francuskie sztuki, ks. de Berry stał się ośrodkiem całego towarzyskiego życia. Nie brali w niem udziału tylko książęta Kondeusz i d'Enghien, którzy zadowolili się złożeniem ceremonjalnej wizyty w Sielcu z podzięką za życzliwość, okazywaną wygnańcom przez polską arystokrację.

Nawiązane węzły nie były jednak trwałe. Gdy na początku 1799 r. zaczęto mówić o nowej wojnie i powołaniu korpusu francuskiego, obojętnie opuszczali oni ziemię, na której, jak przyznawali, najweselsze chwile przepędzili;[3] tylko niektórzy mówili o powrocie na Wołyń po ukończonej kampanji.

Dnia 2 lipca 1799 pożegnała wreszcie, ta jedyna w swoim rodzaju armja, miejsce półtorarocznego pobytu, pełna radosnych nadziei na przyszłość. Po wymaszerowaniu jej jednak wielu jeszcze emigrantów pozostało na Wołyniu. Blisko 1000 osób opuściło szeregi armji Kondeusza, rozpływając się szybko po południowych prowincjach państwa rosyjskiego i wprowadzając wszędzie obyczaj francuski. Wycisnęli oni na codziennem życiu społeczeństwa miejscowego charakterystyczne piętno. Uczyli po szkołach i dworach języka francuskiego i gry na gitarze, przyjmowali obowiązki ogrodników, koniuszych, czy kamerdynerów, uzyskując niejednokrotnie poddaństwo rosyjskie. W liczbie pozostałych na Wołyniu znalazły się też czasowo i rodziny oficerów, spodziewające się powrotu krewnych z kampanji. Pozostała piękna księżniczka Karolina de Rohan-Rochefort, obok niej zaś duża liczba pań dalszych, wiodąca częstokroć ubogi żywot.

Dwie zwłaszcza miejscowości skupiły wówczas znaczniejszą liczbę emigrantów. Jedną z nich była Tynna, własność ks. de

[1] *Ibidem*, str. 162.

[2] Daudet: *o. c.* t. II, str. 213; Lamy: *o. c.* str. 326.

[3] Lamy: *o. c.* str. 326. „L'existence d'ailleurs était pour tous un rendez-vous perpétuel, et l'hiver, en suspendant la lutte, activait les plaisirs".

Nassau-Siegen, gdzie księstwo de Nassau założyli jakgdyby szlachecką kolonję, wśród której spotykamy tak znane nazwiska, jak de Bosson, Desyer, Velmon, Montsoreau, Dalavergne, markiz d'Arragon, hr. Esterhazy i cały szereg innych.[1]

Druga podobna kolonja Francuzów mieściła się w Białymstoku, własności siostry króla Stanisława Augusta, pani Krakowskiej.[2] Gościli nadto szereg rodzin francuskich magnaci polscy, jak np. Stanisław Szczęsny Potocki rodzinę Polignaców w Tulczynie na Ukrainie.[3]

Emigracja więc choć w znikomej formie oddziałała na życie ówczesne Wołynia i okolic, zwłaszcza że na wiosnę 1799 r. rozszerzyła ją jeszcze emigracja zakonna. Przeor klasztoru Trapistów, Augustyn de l'Estrange, otrzymawszy od cara Pawła pozwolenie na sprowadzenie do Rosji swych zakonników, osiedlił się z nimi w klasztorach pobazyljańskich w Brześciu, Żydyczynie i Dermaniu na Wołyniu.[4]

Był to już element wykształcony, górujący nawet nad miejscowym klerem. Pozwolono im nauczać dzieci arystokracji francuskiej, wpływ więc ich był już bardzo znaczny na stosunki miejscowe. Rozszerzał się też znacznie dzięki przybyciu mniszek z matką Marją Józefą na czele, którą się okazała Ludwika Adelajda de Bourbon-Condé, córka wodza armji emigracyjnej, „ostatnia z Kondeuszów". Całość pozostawiała w tych okolicach niezatarte już ślady.

EMIGRANCI FRANCUSCY W WARSZAWIE PRZED PRZYBYCIEM LUDWIKA XVIII

Gdy w ten sposób układały się losy zbrojnej emigracji francuskiej, innym torem szło życie drugiego odłamu tej emigracji, przebywającego w Warszawie. Już w r. 1791 sporo gości nadsekwańskich bawiło w stolicy Polski, a wybiła się wówczas wśród nich jakaś markiza Lulli, przyjmowana po najwięk-

[1] Rolle: *Tynna z końcem XVIII wieku,* Lwów 1876, str. 301—307.

[2] A. Potocka: *Pamiętniki,* Warszawa 1898, str. 20—25.

[3] *Pamiętnik anegdotyczny z czasów St. Augusta,* Poznań 1867, t. I, str. 49.

[4] K. Nakwaska: *Pamiętnik o Adamie hr. Potockim* (*Czas* 1862); Kraushar: *Bourboni na wygnaniu w Mitawie i Warszawie,* Warszawa 1899, str. 131.

szych nawet domach. Młodziutka i kokieteryjna ta Francuzka zawojowała serce starego króla i używając bogactw królewskich na wystawne życie, poczęła wprowadzać na bruk warszawski francuską lekkomyślność.

Pamiętnikarz ówczesny Ochocki wspomina, w związku z jej pobytem, że doprowadził on do zawiązania wprost dwu stronnictw, z których jedno było za panią Grabowską, poślubioną królowi „sekretnym ślubem sumienia", a drugie, ze Stanisławem Augustem na czele, trzymało z Francuzką. Mieszała się ona w sprawy polityczne, prowadziła intrygi i, o ile wierzyć mamy pamiętnikarzowi, przyczyniła się nawet do przyjęcia przez króla konfederacji targowickiej.[1]

Możliwe, że ze wspomnianych względów emigracja francuska nie cieszyła się dobrą opinją wśród społeczeństwa polskiego. Niechętne to stanowisko charakteryzuje najlepiej w swych pamiętnikach współczesny Józef Krasiński, pisząc:[2] „Jedni przywiązani do Bourbonów przybyli tu za królem, drudzy uciekali przed okrutnemi rządami Robespierra, różna wreszcie hałastra kupami wywędrowała szukać chleba". Gościnna Polska „przydała im się najlepiej, gdyż łatwiej ich przyjmowała, niż podejrzliwe Hiszpany, hałaśliwe Szwaby i gołe Włochy".

Emigrację francuską w Warszawie dzieli Krasiński na trzy kategorje, do pierwszej zaliczając starą szlachtę francuską, którą lud wygnał jako „szumowiny niepotrzebne dla społeczeństwa"; drugą stanowił stan wolny, artyści, inżynierzy i t. p., trzecią wreszcie księża. Niechętnie odnosząc się do ogółu, przyznaje jednak, że byli, zwłaszcza wśród grupy ostatniej, ludzie godni, jak kanonik Donfour, który potem, wróciwszy do Francji, wykładał matematykę w Sorbonie; albo ksiądz Steinhof, kapłan nadzwyczaj wykształcony, wychowujący dzieci po domach magnackich. Przyznając wartość poszczególnym jednostkom, w szarym ogóle emigracyjnym widzi Krasiński li tylko „zręcznych oszustów, którzy wkradłszy się między niedoświadczoną młodzież, gorszyli ją i psuli obyczaje publiczne".[3] Krasiński wylicza sporo takich ludzi, którzy w imię wzniosłych

[1] Ochocki: *o. c.* t. II, str. 351.
[2] J. Krasiński: *Pamiętniki 1790—1831*, Poznań 1877, str. 34.
[3] Krasiński: *o. c.* str. 34.

haseł prowadziła niskie intrygi. Nie zapomina i o kobietach: „Frenon, siedemdziesięcioletnia bigotka, eks-aktorka, wdowa po żurnaliście francuskim, młoda wietrznica Maller, Griffon, w domach obywatelskich guwernantka“ [1] i inne.

Napływ emigrantów z chwilą przybycia do Warszawy w 1801 r. Ludwika XVIII dosięgnął niebywałych rozmiarów. Warszawa, pod panowaniem pruskiem, przechodzić zaczęła jakiś szał zabawy. Około 50 arystokratycznych domów dawnej stolicy — jak pisze Falkowski [2] siliło się teraz jedynie o to, by wymyślać coraz to nowsze uciechy, nie zważając na ogromne koszta.

Rządy sprawował wówczas prezydent „wojenno-ekonomicznej komory Prus południowych“, Jerzy v. Hoym, dzieląc ją z gubernatorem miasta gen. Köhlerem, człowiekiem łagodnym i przez palce patrzącym na wybryki „złotej młodzieży“. Możliwe, że i to było jednym z systemów, mających na celu germanizację kraju, do czego takie „biesiadowanie na grobie ojczyzny“ miało się przyczyniać. I tutaj właśnie, w tym systemie germanizacyjnym, wpływ emigrantów francuskich, choć przeważnie zgubny i szkodliwy, uwydatnił się przecież sympatyczniejszemi rysami, przeszkadzając zniemczeniu społeczeństwa polskiego. W szalonem, bezmyślnem życiu, gdzie duch germanizacyjny miałby pole do popisu, zajął jego miejsce obyczaj francuski. Krzewił się on przez ks. Józefa Poniatowskiego, rezydującego „Pod Blachą“, który stał się warszawskim Wersalem, i przez jego kochankę, rozgłośną hrabinę de Vauban, rozwijał się przez stałych towarzyszy zabaw ks. Józefa emigrantów francuskich, członków najlepszych rodzin, rósł wreszcie dzięki teatrom amatorskim. Teatr urządzono w jednej ze sal pałacu Radziwiłłowskiego, prezesowały zaś i grały nawet w tym „théâtre de société“ najpierwsze polskie panie, jak Tyszkiewiczowa, Sewerynowa Potocka, później ks. Czartoryska, jej córka ks. Würtemberska, ks. Sułkowska, panny Fabre, Tyszkiewiczówna, Cetnerowa, Dzierzbicka i wiele innych.[3]

---

[1] *Ibidem*, str. 36.

[2] Juljusz Falkowski: *Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce*, Poznań 1877, t. I, str. 88.

[3] Falkowski, *o. c.*, t. I, str. 150.

Zgubny wpływ tego „nowego świata" nie przenikał jeszcze do ognisk domowych, gdzie poważne matrony, jak kasztelanowa Połaniecka, podtrzymywały ducha tradycji polskiej. Tam, jak u podkomorzego Kazimierza Poniatowskiego, marszałka Małachowskiego, Tadeusza Mostowskiego, Aleksandra Chodkiewicza, Stanisława Potockiego, Tadeusza Czackiego, czy Feliksa Łubieńskiego, trwał nadal duch polski.

BOURBONI W STOLICY PRUS POŁUDNIOWYCH

Dnia 6 marca 1801 r. otwarły się podwoje kamienicy Wasilewskiego na Krakowskiem Przedmieściu w Warszawie, by przyjąć gościnnie hr. de Lille i jego bratanicę margrabinę de Milleraye, przybywających z dalekiej, północnej podróży. Tułaczym tym hrabią, który mimo skromnego tytułu, przybywał w otoczeniu dumnych dworzan wspaniałą karetą — był wygnany przez cara Pawła z zamku książąt kurlandzkich w Mitawie, Ludwik Stanisław Ksawery de Bourbon, hrabia Prowancji, od śmierci Delfina Ludwika XVII z Bożej łaski król Francji i Nawarry, Ludwik XVIII.

Cesarz Paweł, wspaniałomyślny wobec wygnańców, stale popierający wobec Europy sprawę pretendenta do tronu francuskiego, zmienił nagle swą politykę, porwany genjuszem Pierwszego Konsula, a zniechęcony do Austrji i do Anglji. W grudniu 1800 r. wyjechał do Paryża hr. Kaliszew, by doprowadzić do skutku rokowania między Francją a Rosją, a dnia 14 stycznia 1801 r. otrzymał już król francuski rozkaz opuszczenia Mitawy. Wobec ciężkiej bardzo zimy nie mógł Ludwik XVIII udać się do Szwecji czy Danji, na które najwięcej liczył. O Anglji nie można było myśleć, bo ściągnęłoby to na siebie gniew cara, Austrja była zamknięta po traktatach w Luneville, Włochy były zbyt niebezpieczne, z powodu przejazdu przez Europę. Pozostawał Fryderyk Wilhelm III, do którego zwrócił się też Ludwik z prośbą o udzielenie mu czasowej gościnności.

Nowem miejscem przytułku dla królewskiego wygnańca stać się miała Warszawa, Biały Domek w Łazienkach jego rezydencją. Przytułku udzielono mu pod warunkiem zachowania ścisłego inkognita.[1] W towarzystwie bratanicy, córki Ludwika XVI

[1] Kraushar: *o. c.*, str. 44—49.

i Marji Antoniny, Marji Teresy Karoliny de Bourbon, i innych członków arystokracji wybrał się ten król bez tronu do Polski. Dnia 25 lutego donosi żonie swej, Marji Józefinie Ludwice Sabaudzkiej, znajdującej się w Pyrmont, o przybyciu swem do Królewca. „Pojutrze wybieramy się w drogę" — pisze — „i przy Boskiej pomocy będziemy już we wtorek w Warszawie. Nie jest to koniec naszej podróży. Wypoczniemy tam czas jakiś, a później pójdziemy szukać dalszego schronienia, aż nie znajdę takiego, gdzie Opatrzność pozwoli mi się osiedlić i połączyć z Wami".[1]

Z listu wspomnianego widać, że Ludwik XVIII nie chciał swą obecnością w Warszawie przysparzać królowi pruskiemu kłopotów. Pragnął zatrzymać się tu przez czas tylko krótki, dla przeprowadzenia układów z królem Obojga Sycylji, ani nie przeczuwając, że zabawi tu tak długo, bo trzy lata z okładem.

Z chwilą przybycia do Warszawy dwór królewski składa się z 40 osób; intendentem jego był podkomorzy jeszcze Ludwika XVI, Franciszek Hue.

Z dworzan królewskich znamy nazwiska takie, jak kawalerów de Peronnes, Destournelle, ks. Monaco, hr. de Damas Crux, de Fleury, Dr Collignon, de Grossourdis; spowiednikiem był ksiądz Henryk Essex Edgeworth de Firmont, spowiednik również Ludwika XVI. Drugi ksiądz na dworze, nazwiskiem de la Rivière, rozmiłowany w kartach, niekorzystnie się odcinał od tej szlachetnej historycznej postaci.[2]

Niedługo po przybyciu króla, zjechali książęta krwi, d'Angoulême, mąż księżny Marji Teresy i de Berry, synowie hr. d'Artois, późniejszego Karola X.

Rodzina Bourbonów została przyjęta przez szlachtę polską jak najgościnniej, wiedziano bowiem kogo skromne inkognito ukrywa, pod nazwiskiem hr. de Lille. Serdecznie okazywano mu spółczucie, Ludwika Zamojska, siostra ostatniego króla polskiego, ofiarowuje mu własny pałac na Krakowskiem Przedmieściu,[3] gdzie król też spędzał większą część roku, na lato przenosząc się dopiero do Łazienek.[4]

---

[1] André de Maricourt: *Louis XVIII en éxil 1801—1800* (*La Revue de Paris,* 1903).

[2] Kraushar: *o. c.,* str. 92.

[3] *Ibidem,* str. 94—97.

[4] Daudet podaje mylnie dom hr. Branickiej i pałac łazienkowski, *o. c.,* t. III, str. 234.

Ludwik XVIII prowadzi życie odosobnione i jednostajne. Wychodząc na miasto, idzie bez liczniejszej asysty, zawsze jak najskromniej, w domu jednak prowadzi życie ściśle dworskie, pełne etykiety. Ma swoją gwardję, swoich ministrów i korespondentów, którzy często podróżowali, jak ksiądz Delamarce i p. de la Valette. Życie wygnańca ukryte było przed oczyma Polaków, którzy lepiej pragnęli poznać życie „małego dworu". I nietylko oni, lecz nawet szpieg francuskiego ministra policji, Fouchégo, Gallon-Boyer,[1] który jako literat i kupiec przybył umyślnie z początkiem 1803 r. do Warszawy,[2] by obserwować tryb życia hr. de Lille, mało o niem wiedział.

Jak bardzo interesował się Bonaparte wygnańcem warszawskim, widać z dalszego faktu wysłania drugiego z kolei szpiega do Warszawy, Anglika Goldsmitha, o którym Kraushar nie wspomina. Z raportów jego, od końca sierpnia 1803 r. do 14 listopada tegoż roku (w tym czasie był w Warszawie), dowiadujemy się, że hr. de Lille żył bardzo odosobniony, nie widując się prawie z nikim. Jedyny Polak, który z nim często jadał obiady, to książę Józef Poniatowski. Król przechadzał się mało, wogóle używał mało ruchu, lecz zdrowie służyło mu nadspodziewanie. Najbliższe jego otoczenie to księstwo d'Angoulême, księżna de Serent, p. de Talleyrand, arcybiskup z Reims, hr. d'Avaray, książęta Fleury, de Grammont, hrabstwo de Damas, ksiądz Edgeworth i lekarz Grille. Dwór wzrósł nieco, bo liczył około 60 osób, etykieta dworska utrzymywana była jak najdokładniej.[3]

Żyjąc w takiem osamotnieniu, śledzi jednak Ludwik z największą uwagą wypadki w Europie. Prowadzi długie rozmowy ze swymi „ministrami". Nie stroni też od towarzystwa polskiego, chętnie rozmawiając ze Stanisławem Potockim i dziwiąc się dokładnej znajomości łaciny ze strony Polaków. Najwięcej czasu

---

[1] Początkowo misją tą chciał obarczyć Bonaparte niejakiego Perreta (list Napoleona do Talleyranda z 30. IX. 1801 w *Correspondance de Napoleon I*, t. IX).

[2] Mylnie u Kraushara (str. 104) z początkiem r. 1802, gdyż instrukcja dla niego zredagowana była w styczniu 1803. Tekst wydrukowany w *Correspondence du duc d'Enghien et documents sur son enlevement et sa mort* Paris 1910, t. I, str. 248.

[3] *Correspondance du duc d'Enghien*, t. II, str. 53.

poświęcał jednak korespondencji z krewnymi i stronnikami, a w listach pisał z tem samem przejęciem o drobnych troskach swego dworu, jak i o sprawach Francji.[1]

Księżna d'Angoulême, lubiana w mieście z powodu licznych czynów miłosiernych, bywała na nabożeństwach w klasztorach, zwiedzała też mniej uczęszczane okolice Warszawy. Dwór jej składał się z pani de Serant i jej córki, pani de Damas, „młodej, wesołej, miłej osoby", jak stwierdza ks. Marja Radziwiłłówna.[2] Książęta d'Angoulême i de Berry bywali po domach polskich i „Pod Blachą". Do wzajemnego współżycia zbliżał wreszcie teatr amatorski, który jednak po pewnym czasie uległ rozwiązaniu,[3] jak również sam fakt przyjazdu księżniczki Ludwiki Adelajdy de Bourbon-Coudé, wspomnianej już poprzednio i jej wstąpienie do arcybractwa Adoracji Najświętszego Sakramentu w Warszawie.[4] Powróciła też we wrześniu 1803 r., dawno już listownie zapowiadana, małżonka króla Ludwika, która roztrwoniwszy całą swą pensję w uzdrowiskach, powrócić musiała do nielubianego męża.

Dwór królewski nie mógł narzekać, by wesoło nie spędzał czasu. Dworzanie króla, przyjmowani w najlepszych polskich domach, brali udział w zabawach i przedstawieniach amatorskich. Zachwycano się nimi jako dobrymi aktorami, ludźmi o wyszukanej elegancji i mającymi powodzenie u kobiet. Szczere i swobodne listy księżniczki Radziwiłłówny do przyjaciółki okazują to najlepiej — pełno w nich właśnie zachwytu z tego powodu.[5]

A jednak świetność tych wielkich panów, wyliczanych przez Radziwiłłównę, była tylko pozorną i udaną. Bieda panowała bowiem w „małym dworku", ukrywana wprawdzie, ale dokuczliwa. Utrzymywanie dwóch domów, w mieście i w Łazienkach, kilkudziesięciu dworzan, koszta poczt, podróży, wydatki na specjalnych gońców, to wszystko przekraczało kwotę 400.000 franków. Tymczasem 20.000 pensja w rublach, którą otrzymywał król ze skarbu rosyjskiego, wstrzymana została

[1] Daudet: *o. c.*, t. III, str. 236.
[2] Falkowski: *o. c.*, t. I, str. 200.
[3] Kraushar: *o. c.*, str. 117—125.
[4] *Ibidem*, str. 134.
[5] Falkowski: *o. c.*, t. I, str. 173 i 199.

z chwilą przyjazdu króla do Warszawy. Ludwik zdany był tylko na 20.000 franków, wysyłanych z Hiszpanji i na 20.000 z Austrji, należących do księżnej d'Angoulême, jako spadkobierczyni Marji Antoniny.

Od samego początku zmuszony był więc król szukać pomocy u bankierów warszawskich i wielkich rodów polskich.[1] Wszystko to jednak było niewystarczające. Ubóstwo króla było tak znaczne, że po raz pierwszy musiał odmówić pomocy swym najwierniejszym rodakom.

Toteż dworzanie, pozostawieni własnemu losowi, poczynają zadłużać się w niebywały sposób, a nawet zdobywać środki na utrzymanie się różnemi, podejrzanemi sposobami, nie cofając się nawet przed fałszowaniem weksli, jak ks. de Fleury, którego ledwo uratowali przed sądem pp. de Grammont i de Pienne.[2]

W tych warunkach nie pozostawało królowi nic innego, jak zwrócić się o pomoc do najbliższych. Hrabia d'Artois, wzruszony opowiadaniem posła Ludwika, p. de la Chapelle, o nędzy królewskiej, przesyła 3.000 szterlingów, uzyskanych drogą pożyczek, wyjednując również, choć z trudem, od rządu angielskiego poparcie dla brata w postaci 6.000 szterlingów rocznie.[3] Zmienił się też stosunek rządu rosyjskiego do królewskiego wygnańca z chwilą śmierci cara Pawła, w marcu 1801 r., i wstąpienia na tron młodego Aleksandra. Nowy cesarz na wniesioną prośbę, przywrócił wstrzymaną pensję, oddając do dyspozycji z powrotem zamek w Mitawie. Zamierzał poczynić też starania u Bonapartego dla wyjednania u rządu francuskiego regularnego wsparcia, tytułem odszkodowania, lecz sprzeciwił się temu sam Ludwik oświadczając, że dobra królewskie nie należały do królów Francji, lecz do korony.

W miejsce więc tych starań poczynił car kroki, by wyjednać pensje roczne dla „hrabiego de Lille" we Wiedniu, Londynie, Berlinie i Neapolu. Odpowiedzi jednak były wymijające. Zrezygnował z nich wreszcie Aleksander, jak również z prób zabezpieczenia utrzymania wygnańcom ze strony francuskiej, zwłaszcza gdy dowiedział się od swego ambasadora

---

[1] *Ibidem*, str. 201.

[2] Kraushar: *o. c.*, str. 139.

[3] Daudet: *o. c.*, t. III, str. 246—247.

w Paryżu, hr. Markowa, że ewentualne udzielenie pensji ze strony Bonapartego byłoby jedynie chęcią poniżenia majestatu królewskiego.[1]

Zerwane rokowania w tej sprawie podejmuje dopiero w końcu 1802 r. król pruski, chcąc prawdopodobnie usprawiedliwić się przed Bonapartem z gościnności, świadczonej Bourbonom. Pragnie tytułem odszkodowania uzyskać od króle zrzeczenie się praw do tronu francuskiego; sprawa ta w polityce francusko-pruskiej 1803 r. odgrywała dość dużą rolę.

Bonaparte drogo chciał kupić od Ludwika zrzeczenie się tych praw. Prusy miały otrzymać od Francji Holandję, w zamian za posiadłości polskie, które miano oddać wygnańcowi wraz z koroną królewską. Początkowo miano mu ofiarować jakieś księstwo włoskie i kilka miljonów renty, dopiero w razie, gdyby Ludwik nie zgodził się na tę propozycję, miano wystąpić z kandydaturą na tron polski.[2]

Prezes regencji warszawskiej, Meyer, przedstawił Ludwikowi, w lutym 1803 r., hojną propozycję Bonapartego co do księstw włoskich, wzamian za zrzeczenie się praw do tronu. Ludwik odrzucił jednak zarówno pierwszą, jak i drugą propozycję, przy drugiej pisząc do kardynała de Maury: „...nawet ofiarowanie mi korony polskiej w dawnym jej blasku, nie mogłoby z mej strony być przyjęte, albowiem dobro moich nowych poddanych wymagałoby ode mnie utrzymywania stosunków z Francją, a na to bez ubliżenia sobie nigdybym przystać nie mógł.[3]

Skutkiem tych intryg dyplomatycznych była uroczysta deklaracja wszystkich członków rodziny królewskiej, solidaryzucych się z postanowieniem naczelnika rodu, rozesłana przez hr. d'Artois na rozkaz Ludwika, w kwietniu 1803, stronnikom Bourbonów.[4]

Ludwik XVIII wiedział dobrze, że przez swój protest narazi się na wygnanie z Warszawy. Zawczasu więc zwrócił się do

---

[1] *Correspondance du duc d'Enghieu*, t. I, str. 233—235 (odpowiedź Talleyranda hr. Markowowi).

[2] *Mémoires tirés des papiers d'un homme d'état 1834*, t VIII, str. 317, 528 i dalsze; Kraushar: *o. c.*, str. 160—168.

[3] Kraushar: *o. c.*, str. 180.

[4] Daudet: *o. c.*, t III, str. 297.

króla szwedzkiego, Gustawa IV, z prośbą o udzielenie mu przytułku, nie chcąc zgodzić się na pobyt w Mitawie, z powodu zbyt wielkiego oddalenia Kurlandji od Francji. Odpowiedziano mu przychylnie, lecz zaszłe wypadki zmieniły chwilowo postanowienie.

Groźba nowej wojny europejskiej, obudziwszy w królu nadzieje odzyskania tronu, skłoniła go do zwołania zjazdu Bourbonów na terytorjum rosyjskiem. W przeddzień jednak zwrócenia się w tej sprawie o pozwolenie do cara Aleksandra nadeszła do Warszawy wieść o wykryciu rojalistycznego spisku generałów Cadoudala, Pichegru i Moreau, oraz o aresztowaniu księcia d'Enghien. Na podstawie wydanej korespondencji księcia d'Enghien stwierdzić dziś można z całą pewnością, że król wiedział o spisku Cadoudala, gdyż dowiedział się o nim przez księdza Delamarre, który był w końcu kwietnia w Londynie i skorzystał z niedyskrecji otoczenia hr. d'Artois.[1]

W ślad za tym ciosem idą dalsze, stracenie księcia d'Enghien w Vincennes i przyjęcie tytułu cesarskiego przez Napoleona. Pod wpływem tych wypadków wysyła Ludwik XVIII protest do państw europejskich przeciwko uzurpatorowi, który po trupie księcia d'Enghien wdarł się na krwią zbroczony tron Bourbonów. „Oświadczam tedy wobec monarchów Europy — brzmią ostatnie słowa protestu[2] — że nie uznaję tytułu cesarskiego, jaki Bonaparte przyjął obecnie z rąk ciała, nie mającego podstawy legalnej, protestuję przeciwko temu tytułowi i przeciw wszystkim aktom, do jakichby w następstwie mógł dać powód".

Stałość charakteru króla wzbudziła wszędzie podziw, zwłaszcza że karjera Napoleona budziła zawiść. Możliwe, że nastąpiłaby reakcja, lecz cesarz Aleksander chcąc odwlec katastrofę, którąby postępowanie Ludwika mogło przyspieszyć, odradził mu urządzenia zamierzonego zjazdu rodzinnego na terytorjum rosyjskiem.

Podczas przygotowań króla do odjazdu, d. 25 lipca 1804 r., rozeszła się wieść w Warszawie o zamachu na króla francu-

---

[1] *Correspondance du duc d' Enghien*, t. III, str. 22. Kraushar i inni uważali, że Ludwik nie wiedział o tych planach.

[2] *Ibidem*, str. 30.

skiego. Szeptano sobie na ucho o jakichś francuskich emigrantach, o zbrodniarzach, którzy dostali się do kuchni królewskiej, by zatruć jedzenie i t. p. Śledztwo, prowadzone przez radcę kryminalnego, Edwarda Hitziga, dały podstawę do pogłosek.

Zamach na życie królewskie był rzeczywiście planowany. Dnia 23 lipca hr. d'Avaray zawiadomił prezesa kamery pruskiej, Hoyma, że jacyś emisarjusze francuscy pragnęli przekupić kawiarza Coulona na Nowem Mieście kwotą 400 luidorów i z jego pomocą otruć króla. Na szczęście Coulon, dawny dworzanin królewski, odkrył te zamiary hrabiemu d'Avaray i biskupowi z Reims, składając równocześnie jako *corpus delicti* tajemniczą paczkę, gdzie znajdowały się jakieś „marchewki", wydrążone w środku i napełnione nieznanym proszkiem.

Śledztwo potoczyło się wolnym krokiem. Król, podejrzliwy od czasu tragicznej śmierci ks. d'Enghien, zaniepokoił się bardzo o los swych najbliższych. Zwrócił się do Hoyma listem z prośbą o przybycie; nie otrzymawszy odpowiedzi, pozostawia hr. de la Chapelle pełnomocnictwo do działania w tej sprawie, sam zaś z księciem d'Angoulême 25 lipca wyjeżdża w kierunku Grodna.

Angielskie dzienniki, zwłaszcza *Courrier de Londres,* przyniosły korespondencje z Warszawy i Berlina o zamachu, sprężyny doszukując w Napoleonie. Mimo tego rozgłosu władze pruskie prowadziły sprawę przewlekle. Śledztwo wzięli więc na siebie dworzanie królewscy. Celem stwierdzenia zawartości proszku zwrócili się do Dra Gagatkiewicza i Dra Bergonzoniego o ekspertyzę; wykryto arszenik. Coulon, badany, powtórzył jeszcze raz to wszystko, co mówił poprzednio, obciążając znanego nam już szpiega, Gallon-Boyera. Coulon później w ogniu krzyżowych pytań zmienił dwukrotnie swe zeznania, raz twierdząc, że sam całą intrygę wymyślił, by otrzymać za doniesienie 100 dukatów, drugi raz, że była to intryga bar. de Milleville, hr. d'Avaray i ks. de Pienne, by podkopać dobrą sławę cesarza Francuzów, został też skazany na 4 lata więzienia w twierdzy Cosel[1]; mimoto cała sprawa wyglądała raczej na

[1] *Mniemany zamach na życie Ludwika XVIII w Warszawie* (*Bibl. pol.* Dmochowskiego, 1826, t. III); Kraushar: *o. c.* str. 194—212; artykuł w *Gazecie lwow*, 1878 („Bourboni w Warszawie").

istotną próbę zamachu. Kamerze pruskiej zależeć musiało na niewykryciu całej prawdy, choćby ze względu na przykre z tego powodu następstwa dla rządu pruskiego. Zagadka tej tajemniczej sprawy wymaga jeszcze rozpatrzenia.

Po wyjeździe Ludwika z Warszawy pozostały w Łazienkach królowa i księżna d'Angoulême, które król w liście do Fryderyka Wilhelma III polecał jego opiece. Ludwik spodziewał się wrócić jeszcze do Warszawy, zaraz po zjeździe z hr. d'Artois w Kalmarze w październiku 1804 r. Ale już 23 października 1804 r. dowiedział się król z listu ministra Hardenberga, że Prusy nie mogą mu udzielić dalszej gościny w Warszawie.[1] Uległy one naciskowi Napoleona, który Talleyrandowi polecił wywarcie nacisku, by Ludwikowi wypowiedziano schronienie.[2]

Król francuski musiał wrócić do dawnego zamku kurlandzkiego. W kwietniu 1805 r. przybyły do Mitawy królowa Marja Józefa i księżna Marja Teresa, w maju zaś opuściła Warszawę księżniczka Ludwika Adelajda de Bourbon-Condé, zakonnica klasztoru Sakramentek, porzucając Polskę z powodu mieszania się zarządu pruskiego w sprawy wewnętrzne klasztoru.[3]

*

Emigracja francuska w Polsce nie miała znaczenia politycznego. W czasie gdy wygnańcy francuscy prowadzili żywą politykę i gdy walczyli w szeregach koalicji z wojskiem „sankiulotów", nie tracąc nadziei na przywrócenie dawnego porządku i dynastji — do Polski przybywali ludzie bez znaczenia, szukając w „barbarzyńskim" dla siebie kraju łatwego zarobku. Wnosili ze sobą zgniliznę obyczajów, demoralizując polskie pokolenie porozbiorowe, któremu inne przecież podniety były potrzebne.

Gdy napłynęła do Polski elita emigracji francuskiej, ci mianowicie, którzy walczyli i cierpieli w imię zasad, o których sprawiedliwości szczerze byli przekonani — wtedy ich polityka nabrała już znamion utopji, a genjusz Bonapartego zjednywał

---

[1] Fürst v. Hardenberg: *Denkwürdigkeiten,* Leipzig 1877, t. II, str. 86.

[2] *Correspondance de Napoléon I,* t. X, str. 5.

[3] Kraushar: *o. c.* str. 219.

sobie coraz liczniejszych zwolenników. Wódz zbrojnej emigracji żadnego nie miał wpływu i znaczenia, ćwicząc na żołdzie carskim swych żołnierzy dla obcej służby. Z braku zajęcia i celów, dla których walczyćby się opłacało, rzucili się francuscy wojownicy w wir zabaw i użycia, pozostawiając po sobie mało co więcej, jak wspomnienia o paru przebulanych miesiącach.

Ludwik XVIII, pozbawiony w całej Europie bezpiecznego schronienia, żył w Warszawie w skromnych warunkach, nieznany szerszemu społeczeństwu polskiemu, krępowany przez rząd pruski, szpiegowany przez rząd francuski. Jego rola w Polsce była nader skromna.

Dodatni wpływ emigracji zaznaczył się w tem przedewszystkiem, że osłabiła ona prądy germanizacyjne rozpowszechniając znajomość kultury francuskiej. Wielką zasługą tej emigracji jest wreszcie i to, że właśnie przez szeregi tych obrońców „ancien régime'u", wtargnęły do Polski wpływy Republiki, Konsulatu i Cesarstwa.

Twór Napoleona, Księstwo Warszawskie, znalazł dzięki emigracji grunt dobrze przygotowany.

MARJAN JEDLICKI

Z ŻYCIA POLITYCZNEGO WSPÓŁCZESNEJ HOLANDJI

Są narody, których życie kształtuje się według pewnych stałych, przez tradycję uświęconych form i zasad. Każde współczesne zjawisko tego życia znajduje tutaj swoje wytłumaczenie w przeszłości i dopiero wówczas ukazuje się we właściwem świetle, kiedy je rozpatrujemy na tle tych zasadniczych tendencyi rozwojowych, które możemy odkryć w życiu każdego narodu, a które składają się na jego tradycję historyczną. Ten punkt widzenia nabiera szczególnej wyrazistości w stosunku do Holendrów. Specyficzne warunki, w jakich żył i rozwijał się ten naród, ustawiczna walka z morzem, które zalewa jego terytorjum, a następnie walka o utrzymanie niezawisłości politycznej, nadały mu odrębną fizjognomję. Od najdawniejszych czasów zmuszały one Holendrów do łączenia się w większe organizacje, skoro tylko w ten sposób można było skutecznie prowadzić walkę z żywiołami natury, z drugiej zaś strony zaprawiły ich wcześnie do życia politycznego. Ponieważ życie to rozwijało się głównie pod znakiem obrony zagrożonego stale bytu, przeto każdy był tu osobiście zainteresowany i tem się właśnie tłumaczy, że już w czasach Republiki Niderlandzkiej szerokie masy ludności tak żywo zajmowały się sprawami państwa i wcześniej niż gdzieindziej nauczyły się rozumować kategorjami, wybiegającemi poza horyzont interesów prywatnych, czy to klasowych, czy też zawodowych. W tych warunkach społeczeństwo holenderskie wyrobiło się ogromnie pod względem politycznym i to wyrobienie stanowi dzisiaj jedną z cech politycznego życia tego kraju.

Polityką interesują się w Holandji wszystkie warstwy ludności. Dla przeciętnego Holendra jest ona równie silną i istotną potrzebą wewnętrzną, jak religja. Zresztą obie leżą tutaj na

jednej płaszczyźnie. Polityka w rozumieniu społeczeństwa holenderskiego jest metodą poszukiwania środków, mających zrealizować ostateczny cel państwa. Ponieważ zaś społeczeństwo to jest w swojej większości głęboko religijne i uważa, że cel powyższy winien znajdować się poza życiem doczesnem, przeto środków do jego przeprowadzenia szuka w zasadach moralności, wysnutych z przepisów religji. W ten sposób polityka, jako pewna formuła moralności, i religja sprzęgły się ze sobą na gruncie holenderskim i jak kółka jednej maszyny poruszają się w ścisłej od siebie zależności. Rozwój historyczny doprowadził nawet tutaj do pewnego przerostu pierwiastków religijnych w życiu politycznem. Chcąc zrozumieć to zjawisko, trzeba się cofnąć do wieku XVI i uprzytomnić sobie okoliczności, w jakich powstawało wówczas niepodległe państwo holenderskie.

Niderlandy, należące w tym okresie do monarchji hiszpańskiej, objęte zostały, podobnie jak inne kraje europejskie, silnym prądem Reformacji. Ponieważ Filip II, ówczesny monarcha hiszpański, zajął od samego początku nieprzychylne stanowisko wobec nowego ruchu, upatrując w nim wielkie niebezpieczeństwo dla panującej w całem imperjum hiszpańskiem religji katolickiej i zaczął stosować represje, przeto protestantyzm nabrał na tym gruncie zabarwienia politycznego i utożsamił się z ruchem oporu przeciw obcemu jarzmu. Powstańcy niderlandzcy z r. 1579 widzieli w osobie Filipa II obrońcę autokratyzmu zarówno w życiu politycznem, jak i religijnem. Walka z monarchją hiszpańską była dla nich zarazem walką z religją katolicką, walką zasady wolnej interpretacji z autorytetem dogmatów. Dlatego młoda Republika Zjednoczonych Prowincyj, odniósłszy zwycięstwo nad jednym przeciwnikiem, monarchją hiszpańską, zwróciła się z taką zaciętością przeciw katolicyzmowi, który w jej oczach był równie niebezpiecznym wrogiem wolności. Tem się tłumaczą prześladowania katolików niderlandzkich w XVI, XVII i XVIII w. Republika niderlandzka stała się państwem o typie wyznaniowym, jednakże realizacja celów państwa przy pomocy religji była tutaj pojęta bardzo ekskluzywnie, bo zwycięski protestantyzm oparł ją wyłącznie na zasadach kalwinizmu. Zarówno *stathouder*, jak Stany Generalne uważały za swój obowiązek i cel stosowanie tych zasad w ży-

ciu politycznem kraju. Walka z Kościołem katolickim była integralną częścią tej koncepcji państwowej.

Jakkolwiek wszystkie ograniczenia i upośledzenia katolików znikły w późniejszem królestwie holenderskiem po ogłoszeniu liberalnej konstytucji w r. 1848, to jednak nie mógł zniknąć zupełnie trwający od kilku wieków antagonizm pomiędzy protestantyzmem a katolicyzmem; również protestanci nie wyrzekli się swojej tradycyjnej koncepcji oparcia ustroju i życia państwowego na zasadach wyznawanej przez nich religji. Koncepcja ta, nie uznająca zupełnie tego przewrotu, jakiego dokonała w umysłowości XIX wieku Wielka Rewolucja francuska, była tak droga protestantom, że kiedy w drugiej połowie ubiegłego stulecia uzyskały w społeczeństwie przewagę inne, przeciwne tendencje, nie zawahali się połączyć dla wspólnej obrony z największym swym wrogiem — katolikami.

Te przeciwne tendencje wyszły ze strony liberalizmu, który w swoim zwycięskim pochodzie po Europie w połowie XIX w. nie ominął Holandji i tu na gruzach dawnego, obalonego przez siebie porządku zainaugurował konstytucją z roku 1848 nowy system rządów parlamentarnych. Liberałowie holenderscy nawiązywali do haseł Wielkiej Rewolucji i dlatego przeciwstawiali się zasadniczo ideologji wyznaniowej. Propagując na jej miejsce zupełny rozdział polityki i religji, zdołali wówczas skupić dokoła koncepcji państwa bez-, a raczej ponadwyznaniowego poważne zastępy mieszczaństwa. Ponieważ zaś dzięki większości, jaką posiadali stale w Stanach Generalnych, utrzymali się przy władzy aż do roku 1888, udało im się zrealizować częściowo swą koncepcję, tam mianowicie, gdzie była ona najważniejsza, a dla przeciwników najniebezpieczniejsza — na terenie szkolnym. Ustawą z roku 1857 wprowadzili oni w państwie, które nie znało dotąd innych szkół, jak wyznaniowe, publiczną szkołę powszechną bezwyznaniową.

Ustawa powyższa, zwrócona swem ostrzem przeciw koncepcji wyznaniowej protestantów, godziła również w żywotne interesy katolików, którzy nie chcieli dopuścić do wychowania dzieci w duchu bezwyznaniowym i którzy, podobnie jak protestanci, stali na stanowisku, że nie można opierać życia państwowego na ideologji świeckiej, że — przeciwnie — trzeba je zbudować na ideałach moralności chrześcijańskiej.

To właśnie pokrewieństwo koncepcyj oraz wspólne niebezpieczeństwo ze strony liberalizmu na terenie szkoły doprowadziło do połączenia się w jednej organizacji politycznej dwóch odwiecznych, nieprzejednanych wrogów: katolików i protestantów. Stało się to w r. 1888. Koalicja wówczas zawarta, dla swojego nienaturalnego charakteru, ochrzczona została przez przeciwników „Koalicją potworną" *(het Monsterverbond)*. Jej głównym celem była walka z liberalizmem i uzyskanie równouprawnienia dla prywatnych szkół wyznaniowych, które pod rządami liberałów cierpiały upośledzenie. Koalicja walczyła zwycięsko o władzę z liberałami i z małemi przerwami utrzymała się przy rządach aż do r. 1925. Swój cel zasadniczy osiągnęła w całej pełni. Doktryna liberalna straciła wpływy i znaczenie w kraju, jej zaś reprezentacja parlamentarna, topniejąc przy każdych wyborach, spadła dzisiaj do znikomej cyfry 8 posłów w drugiej Izbie Stanów Generalnych. Z drugiej strony szkoły wyznaniowe uzyskały jeszcze w r. 1889 prawa publiczności oraz prawo otrzymywania subwencyj ze skarbu państwa. Ostatnia zmiana konstytucji z r. 1917 poszła jeszcze dalej w kierunku równouprawnienia szkół prywatnych i publicznych, wprowadzając t. zw. „równouprawnienie finansowe" *(finanzielle Gelijkstelling)*. Ustawa z r. 1919 określiła bliżej zasady tego równouprawnienia. Odtąd w każdej miejscowości na żądanie najmniej 40 rodziców (w większych miastach najmniej 100) ma być utworzona prywatna szkoła wyznaniowa. Rozdział ciężarów pomiędzy państwo i samorząd jest tak pomyślany, że gmina ma dostarczyć budynku i pomocy szkolnych, państwo zaś ma pokrywać płace nauczycielstwa. Kierownictwo takiej szkoły powszechnej łącznie z mianowaniem nauczycieli należy do komitetu rodzicielskiego, wybranego z łona tych 40 czy więcej osób, ukonstytuowanych w osobę prawną. Państwo rozciąga jedynie kontrolę nad kwalifikacjami naukowemi poszczególnych nauczycieli. Ten typ prywatnej szkoły wyznaniowej, kierowanej przez samych rodziców uczęszczających do niej dzieci, rozwija się dziś w Holandji świetnie i wypiera stopniowo w całym kraju publiczną szkołę powszechną bezwyznaniową. Dla prywatnych szkół średnich i wyższych uzyskała „Koalicja potworna" zasadę subwencjonowania z kas państwowych.

Oceniając te zdobycze partyj wyznaniowych i porównując

je ze stanem rzeczy istniejącym gdzieindziej, musimy stwierdzić, że w żadnym kraju poszczególne wyznania nie mają tyle wpływu na kształcenie dzieci, co tutaj. Jest to dla nich oczywista sprawą pierwszorzędnej wagi, gdyż w ten sposób przygotowują sobie nowe kadry wyznawców.

Koalicja potworna rozpadła się w r. 1925. Już poprzednio zauważyć się dały w jej łonie poważne tarcia między katolikami a konserwatywnym odłamem protestantów, który skupiał się w t. zw. Partji Chrześcijańsko-Historycznej. Grupa ta stała na gruncie dawnej tradycji antykatolickiej protestantyzmu i dlatego niechętnie znosiła przymierze z katolikami, jako z tradycją tą sprzeczne. Dopóki istniał wspólny cel i dopóki groziło wspólne niebezpieczeństwo ze strony liberalizmu, tolerowali Chrześcijańsko-Historyczni ten aljans, kiedy jednak cel koalicji został osiągnięty, skorzystali z pierwszej sposobności, by zerwać jego więzy. Sposobność taka nadarzyła się przy t. zw. kwestji watykańskiej, gdy chodziło o wstawienie odpowiedniej pozycji budżetowej na utrzymanie poselstwa holenderskiego przy Stolicy Apostolskiej. Chrześcijańsko-Historyczni głosowali wówczas przeciw temu wnioskowi i przy pomocy partyj lewicowych przeprowadzili zniesienie poselstwa, następnie zaś wystąpili z koalicji, by na przyszłość zachować wolną rękę wobec katolików.

To wystąpienie poważnej grupy Chrześcijańsko-Historycznych oznaczało koniec dawnej koalicji w znaczeniu parlamentarnem, nie naruszyło jednak w niczem tej części ideologji politycznej, która była wspólna katolikom i protestantom, a która wyrażała się w dążności do oparcia życia politycznego i społecznego krajn na zasadach moralności chrześcijańskiej. Utrzymał się więc nadal w Holandji dawny układ sił politycznych wedle kryterjum religji. Po jednej stronie areny politycznej znajdują się partje wyznaniowe, które wprowadzają do polityki wartości nadprzyrodzone i za ostateczny cel państwa uważają przygotowanie obywateli do życia przyszłego przez praktyczną realizację nakazów religji, po drugiej zaś stronie stoją partje, które ograniczają działalność państwa do celów ściśle materjalnych, głoszą zupełną neutralność państwa w dziedzinie wyznaniowej i rozum ludzki uważają za jedyne i wyłączne kryterjum w życiu państwowem.

To zasadnicze zróżniczkowanie partyj z punktu widzenia ich stosunku do religji uwydatnią jeszcze silniej ich szczegółowe programy.

*

Rozpoczynając przegląd od ugrupowań wyznaniowych, musimy skonstatować znamienny fakt, że protestanci, którzy liczebnie reprezentują $^2/_3$ ludności Holandji i mają za sobą tradycję religji panującej, nie zdobyli na terenie politycznym siły odpowiadającej temu znaczeniu. Nie potrafili bowiem utrzymać jednolitego frontu i, rozbici dzisiaj na szereg sekt, wykazują między sobą rozbieżności także i w dziedzinie polityki. W chwili obecnej posiadają protestanci holenderscy dwa większe ugrupowania: t. zw. Partję Antyrewolucyjną i wspomnianą już Partję Chrześcijańsko-Historyczną.

Partja Antyrewolucyjna, jak sama nazwa wskazuje, wyrosła z reakcji przeciw hasłom Wielkiej Rewolucji, głoszonym przez liberalizm w połowie ubiegłego stulecia. Nawiązuje ona do tradycji historycznej XVI i XVII wieku, kiedy Holandja wykształciła, jej zdaniem, swój odrębny charakter narodowy. Wielka Rewolucja przerwała nić tradycji i charakter ten wypaczyła. Dlatego stronnictwo to przeciwstawia się tak zasadniczo Rewolucji francuskiej i odrzuca jej zdobycze ideowe, jako sprzeczne z duchem narodu.

Program pozytywny Partji Antyrewolucyjnej opiera się na zasadach kalwinizmu. Kiedy zapytałem o ten program jednego z jej przywódców, ten wskazał mi na leżącą na biurku biblję:

— Oto nasz program.

Kiedy pytałem następnie o szczegóły, mój interlokutor zaczął przewracać karty biblji i wyszukiwał odpowiednie wersety Pisma św., z których dzisiejsza Partja Antyrewolucyjna wysnuwa swój program polityczny i społeczny. Problem władzy np. rozwiązuje ona na podstawie Pisma św. w ten sposób, że przyjmuje, iż władza pochodzi od Boga.

— A suwerenność ludu? — zapytałem.

— Jest narzędziem w ręku Boga.

Czyli, że lud wykonuje prawo zwierzchnicze, ale nie czyni tego sam z siebie, podmiotem bowiem tego prawa jest wyłącznie Bóg, lud zaś jest jedynie jego depozytarjuszem. Odrzucają więc Antyrewolucyjni zasadę zwierzchnictwa ludu w tej formie,

w jakiej ją proklamowała Rewolucja francuska, równocześnie jednak, dzięki powyższemu, subtelnemu rozumowaniu, ratują dla siebie praktyczne korzyści tej zasady — cały mianowicie system parlamentarny, który w innych warunkach nie dałby się pogodzić z ich teorją o władzy od Boga.

Polityka socjalna, stosunki pomiędzy pracodawcą a robotnikiem, kierują się tu zasadą miłości bliźniego; na tej samej zasadzie opiera się daleko idący pacyfizm Antyrewolucyjnych; ich polityka kolonjalna streszcza się w formule: „Bóg dał Holandji Indje, aby się niemi opiekowała". Podobnie ma się rzecz z innemi zagadnieniami.

W tem stosowaniu zasad Pisma św są Antyrewolucyjni tak konsekwentni i tak ślepo trzymają się litery tekstu, że nieraz dochodzą do koncepcji wprost absurdalnej. Np. w pewnym momencie przytoczonej powyżej rozmowy mój interlokutor powiada mi:

— Żądamy przywrócenia kary śmierci.

— Dlaczego? — pytam zdumiony. — Wszak wszędzie objawia się dziś tendencja raczej za jej zniesieniem.

— Ponieważ — brzmi spokojna odpowiedź — w rozdziale IX *Genezis* mówi Pan do Noego: „...A który dopuści się krwi przelewu, niechaj jego krew przelaną będzie..."

Tak mówił mi jeden z wodzów stronnictwa i tak myśli conajmniej $^1/_7$ część społeczeństwa holenderskiego, bo taką siłę reprezentuje ta partja. Moralność, wysnuta z przepisów Pisma św., jest dla tych ludzi osią postępowania w życiu nietylko prywatnem, ale i publicznem. Jakaś *civitas Dei*, wyidealizowana przez teoretyków średniowiecza.

Drugi odłam protestantów, Chrześcijańsko-Historyczni, rozumują podobnie, większy tylko kładą nacisk na historyczną rzeczywistość (stąd ich nazwa) i obok Pisma św. z niej także czerpią wskazówki postępowania. Dla charakterystyki tej partji decydującym jest fakt, że wychodzi ona z wielkiego narodowego Kościoła niderlandzkiego,[1] przyjmuje bowiem za podstawę tradycję historyczną tego Kościoła. Odrzuca też wszelkie reformy, które nie znajdują uzasadnienia w tej tradycji i dlatego przeciwstawia się teorjom lewicy, gdyż

[1] *Nederlandsch Hervormde Kerk.*

te, jej zdaniem, nie wypływają z konieczności historycznej, lecz są wypracowane w ciszy gabinetu, zdala od życia narodu. Każda nowa reforma powinna mieć swój punkt zaczepienia w historji. Dlatego też polityka socjalna Chrześcijańsko-Historycznych jest bardzo ostrożna i konserwatywna. Ten konserwatyzm płynie także stąd, że partja ta rekrutuje się przeważnie z wielkich właścicieli ziemskich i arystokracji rodowej, t. zw. *Jonkherren.*[1]

Silniejszy niż u Antyrewolucyjnych tradycjonalizm Chrześcijańsko-Historycznych wyraża się także w odmiennem stanowisku wobec katolików. Chrześcijańsko-Historyczni wysuwają tu mianowicie zasadę, że protestantyzm powstał z reakcji przeciw Rzymowi i dlarego to, jak już wspomniałem, zerwali przymierze z katolikami, które w ich rozumieniu było „policzkiem wymierzonym historji". Jeden jeszcze moment wpływa obecnie na tę antykatolicką taktykę Chrześcijańsko-Historycznych. Oto w łonie tego samego narodowego Kościoła niderlandzkiego powstała drobna grupa pastorów, która, jakkolwiek na terenie Stanów Generalnych rozporządza tylko jednym mandatem, przedstawia jednak poważne niebezpieczeństwo dla Chrześcijańsko-Historycznych, bo szachuje ich groźbą odebrania części klijenteli wyborczej na wypadek, gdyby połączyli się z katolikami. Analogiczna grupka pastorów powstała także w obozie kalwińskim, gdzie, wygrywając umiejętnie zwalczaną przez siebie filokatolicką politykę Antyrewolucyjnych, uzyskała ich kosztem aż trzy mandaty.

Obóz katolicki, do którego należy $^1/_3$ część ludności Holandji, posiada silną i zwartą organizację. Swą siłę zawdzięcza ona przedewszystkiem temu, że jest jedna dla całego kraju, następnie zaś głębokiej solidarności wyznawców, rekrutujących się ze wszystkich warstw ludności. Przynależność do partji katolickiej jest pojmowana jako obowiązek religijny. Dzięki temu *Romsch katolicke Staatspartij* jest dziś najliczniejszem stronnictwem w Holandii i rozporządza w Stanach Generalnych blisko $^1/_3$ mandatów. Ze względu na duży odsetek ludności wiejskiej i robotniczej, która tu należy, w programie partji przeważają

[1] Do partji tej należą członkowie dworu królewskiego, a również i sama królowa skłania się ku niej swojemi sympatjami.

tendencje demokratyczne. Zresztą program ten oparty jest na podstawie wyznaniowej. Na jego czele spotykamy znane nam już zdanie o pochodzeniu władzy od Boga.

W innych punktach partja katolicka trzyma się dyrektyw Stolicy Apostolskiej. Tak np. cała jej polityka społeczna, wraz z bogatą siecią syndykatów wyznaniowych,[1] opiera się na wskazaniach zawartych w Encyklice Leona XIII, *Rerum novarum,* jej pacyfizm na propozycjach pokojowych Benedykta XV. Podobnie w innych sprawach.

W zakresie polityki kolonjalnej partja katolicka, hołdując właściwemu jej kierunkowi demokratycznemu, uznaje konieczność nadania Indjom szerokiej autonomji, przeciwstawia się polityce eksploatacyjnej liberałów i razem z protestantami uprawia t. zw. politykę etyczną.

W polityce szkolnej katolicy wysuwają zasadę, że szkoła na wszystkich stopniach jest „częścią wychowania" i dlatego nie zadawalają się dotychczasowym sukcesem, lecz pragną rozszerzyć przywileje, zdobyte w zakresie szkół powszechnych, na swoje szkoły średnie, a nawet wyższe.[2] Ta tendencja partji katolickiej znajduje echo w stronnictwie Antyrewolucyjnem, które wysuwa analogiczne postulaty dla swoich szkół kalwińskich.[3]

Scharakteryzowane pokrótce stronnictwa wyznaniowe uchodzą w gwarze politycznej za prawicę holenderską. Nazwa ta jednak ze względu na wspomniane tylko co tendencje demokratyczne partji katolickiej nie jest ani ścisła, ani zupełnie słuszna. Jakże się przedstawia lewica holenderska?

Kiedy w r. 1888 powstawała „Koalicja potworna", miała ona tylko jednego przeciwnika — liberałów. W późniejszym rozwoju pojawili się na horyzoncie inni przeciwnicy: radykali i socjaliści. Te dwa ugrupowania wywalczyły sobie miejsce

[1] Syndykaty te ujęte są w ramy trzech odrębnych organizacyj Dla robotników fabrycznych utworzono t. zw. *Vakbonden* (liczba ich członków wynosi około 200 tys.), dla ludności rolniczej t. zw. *Beerenbonden,* wreszcie dla drobnych kupców t. zw. *Hanze.* Dla nadania tym wszystkim organizacjom jednolitego kierunku wyznaniowego utworzono w r. 1903 organizację centralną (ideową, nie techniczną) *De katholicke Actie.*

[2] Uniwersytet prywatny w Nimwegen i politechnika w Delft.

[3] Antyrewolucyjni posiadają swój uniwersytet wyznaniowy w Amsterdamie.

w parlamencie kosztem liberałów, których szeregi od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia przerzedzały się stopniowo przy każdych wyborach.

To znikanie liberałów z horyzontu politycznego tłumaczy się paru przyczynami. Przedewszystkiem bankructwem teoryj liberalnych, które w połowie ubiegłego stulecia święciły swój triumf we wszystkich krajach Europy, które jednak w dalszym swym rozwoju nie potrafiły w żadnym z tych krajów zaspokoić aspiracyj społeczeństwa, co więcej, przez swoją zasadę: *laissez faire* wywołały szereg kryzysów ekonomicznych i społecznych. Nie potrafiły one również rozwiązać ostro zarysowującego się wówczas problemu stosunku pracodawców do robotników, przez swój zaś duch antyklerykalny zraziły masy, które szczególniej w Holandji są szczerze przywiązane do religji.

Drugą przyczyną upadku liberalizmu była stopniowa demokratyzacja systemu głosowania. Liberałowie, jak to już miałem sposobność zauważyć, rekrutowali się z bogatej burżuazji, w okresie więc systemu cenzusowego, który panował w Holandji przez cały wiek XIX, mieli wybitną przewagę wśród ciała wyborczego. Warstwy nieposiadające, jak przedewszystkiem robotnicy, nie miały wówczas prawa głosu. Już pierwsza rewizja konstytucji z r. 1887, obniżając wydatnie cenzus wyborczy, otworzyła tym warstwom furtkę do parlamentu, następna zaś rewizja z r. 1917, wprowadzająca głosowanie powszechne, otwarła im już całą bramę. Klijentela wyborcza liberałów nie powiększyła się wskutek nowego systemu. Liberałowie, którzy w wilję wojny, a więc jeszcze przed systemem głosowania powszechnego, posiadali około 30 mandatów, spadli zaraz przy pierwszych wyborach, przeprowadzonych na podstawie tego systemu, do cyfry 15. Utracone przez nich mandaty dostały się częściowo katolikom, którzy przez głosowanie powszechne pozyskali tysiące wyborców wśród szerokich mas, przedewszystkiem jednak przypadły one socjalistom, którzy zdobyli wówczas aż 22 mandaty.

Trzecią wreszcie przyczyną upadku liberałów były tarcia wewnętrzne, które doprowadziły do rozbicia jednolitej niegdyś partji na szereg grup i do wyodrębnienia się elementów radykalnych w osobne stronnictwo, t. zw. *Vrijzinnige Democraten*.

W chwili obecnej partja liberalna, reprezentując ciężki

przemysł, wielki handel, banki i przedsiębiorstwa kolonjalne odgrywa, jak dawniej, dużą rolę w życiu gospodarczem kraju i kolonij, w życiu politycznem jednak ze względu na znikomą liczbę przedstawicieli w Stanach Generalnych (8 na 100 w drugiej Izbie) jej znaczenie jest słabe. Jakkolwiek zaliczają ją — znowu błędnie — do lewicy, jest to najbardziej konserwatywna grupa w parlamencie. Jej „liberalizm" polega na tem, że żąda ona swobody w urządzaniu stosunków społecznych i gospodarczych w myśl starych zasad konserwatywnych.

W zakresie polityki socjalnej liberałowie holenderscy są na tyle trzeźwi i rozsądni, by iść za ogólnym postępem, nigdy jednak nie występują sami z inicjatywą jakichkolwiek reform. Na powojenne reformy społeczne zgodzili się dopiero pod presją rozruchów. Ten konserwatyzm liberałów objawia się również w dziedzinie kolonjalnej. Nawiązując do polityki eksploatacyjnej, jaką prowadzili w ubiegłem stuleciu, przeciwstawiają się „polityce etycznej" partyj wyznaniowych i żądają cofnięcia już przyznanych swobód, do których Indje — ich zdaniem — jeszcze nie dojrzały. Wreszcie w zakresie szkolnictwa ich koncepcja szkoły świeckiej bezwyznaniowej, triumfująca — jak wspomniałem — aż do r. 1889, poniosła dzisiaj zupełną klęskę na rzecz prywatnej szkoły wyznaniowej.

Ogólna ocena stanowiska liberałów holenderskich w chwili obecnej nie wypada dla nich pocieszająco. Pomimo że partja skupia w swych szeregach kwiat inteligencji. pomimo że reprezentuje poważne interesy gospodarcze, znajduje się dzisiaj w stadjum upadku. Jest to stronnictwo o pięknej przeszłości, ale żadnej przed sobą nie mające przyszłości.

Czyżby więc ta przyszłość miała należeć do radykałów lub socjalistów? O ile chodzi o radykałów, t. j. wspomnianych już wyżej *Vrijzinnige Democraten,* którzy wyszli ze skrajnych żywiołów partji liberalnej, to szeroka podstawa demokratyczna tej grupy i jej entuzjazm dla rządów parlamentarnych zjednały jej dużo sympatji wśród inteligencji i t. zw. *Medelstand* (stan średni). Wątpliwem jest jednak, czy ideologja tego obozu, wybitnie antykapitalistyczna, opowiadająca się za etatyzmem, znajdzie w przyszłości szerszy posłuch w społeczeństwie, które wyrosło na zasadach kapitalizmu i nieinterwencji ze strony państwa. Tę wątpliwość potwierdzałby fakt, że od r. 1905 ilość

posłów radykalnych, osiągnąwszy maksymalną cyfrę 7, żadnych zmian nie doznaje.

Charakterystyczną cechą tej grupy jest jej daleko posunięta tolerancyjność wobec przeciwników i unikanie haseł antyklerykalnych, co upodabnia ją raczej do liberałów angielskich, niż radykałów francuskich.

Socjalizm w Holandji ma także swój odrębny, swoisty charakter. Rewolucyjny w swojem zaraniu, rychło, bo już w r. 1893 wszedł na tory oportunizmu i propagował wyzwolenie proletarjatu na drodze ewolucji, przez stopniowe reformy. Kiedy zaś, korzystając z ogólnego kryzysu społecznego, jaki przeżywała Holandja wraz z innemi krajami europejskiemi nazajutrz po wojnie, zmienił tę taktykę i podjął akcję bezpośrednią, by zmusić ówczesny rząd do oddania władzy w ręce ludu, próba ta okazała się efemerydą i wnet po jej rychłem zlikwidowaniu socjalizm nawrócił do dawnej polityki reformistycznej.[1]

Dzięki umiejętnej taktyce wyborczej, a przedewszystkiem dzięki powszechnemu głosowaniu socjaliści przedstawiają w Holandji wcale poważną siłę i zajmują blisko czwartą część ław poselskich w Stanach Generalnych. Ich syndykaty, gęsto rozsiane po całym kraju (t. zw. *Moderne Vakbonden*) należą do najlepiej zorganizowanych w Holandji. Podobnie jak radykali, socjaliści holenderscy, zdając sobie sprawę z tego, jak silnie religja zakorzeniona jest w umysłach społeczeństwa, nie wywieszali nigdy haseł antyklerykalnych, lecz głosili zasadę wolności religijnej. W imię tej wolności również głosowali za równouprawnieniem szkół prywatnych. Dzięki tej polityce zdołali pozyskać i wcielić do swych szeregów także ludzi wierzących.

Jakkolwiek socjaliści holenderscy nie byli nigdy przy władzy, potrafili jednak zdobyć 80% żądanych przez siebie reform społecznych; zawsze bowiem odgrywali rolę straszaka w stosunku do partyj rządzących, które w obawie ewentualnych rozruchów i utraty wyborców szły im na rękę. Wspomniana wyżej „rewolucja" z r. 1918 jest najlepszym tego dowodem. Społeczeństwo przestraszyło się wówczas rozruchów, a stronnictwa

[1] Patrz bliższe szczegóły o tej „rewolucji" socjalistów w objektywnej książce francuskiej: G. H. Bousquet, *L'évolution sociale aux Pas-Bas (1914—1922)*, Paris 1923.

rządzące w porozumieniu z przemysłowcami, chcąc wytrącić broń z rąk socjalistów, ogłosiły program daleko idących reform, które zrealizowano w najbliższych latach powojennych. Dzięki tej polityce Holandja należy dziś do najbardziej postępowych krajów w zakresie polityki socjalnej.

Biorąc pod uwagę, że robotnik holenderski posiada obecnie w zakresie tej polityki wszystkie możliwe dobrodziejstwa, a następnie, że przy ogólnym dobrobycie kraju typ myślenia robotniczego upodobnił się do typu myślenia burżuazyjnego, wreszcie zaś, że robotnik holenderski odznacza się wielkiem przywiązaniem do religji, które przy całej tolerancji socjalistycznej mogłoby być w tym obozie wystawione na próbę, nie należy rokować socjalizmowi holenderskiemu wielkich nadziei na przyszłość. Znowu możemy się tutaj oprzeć na wskazówce barometru wyborczego, która od r. 1918, t. zn. od pierwszych wyborów przeprowadzonych na podstawie głosowania powszechnego, wykazuje nieznaczne wahania.[1] Przypuszczać więc należy, że w dalszym swoim rozwoju partja socjalistyczna nie osłabnie liczebnie, ale też i nie wzrośnie. Większość postulatów partji została spełniona. Nie można iść w nich dalej, skoro już dzisiaj robotnik holenderski mieszka przeważnie we własnym domku, a w każdym razie w kilkopokojowem mieszkaniu z łazienką i wszelkim komfortem. Jeżeli dodać do tego duże zarobki, to stwierdzić wypadnie, że robotnik ten stał się małym burżujem. W tych warunkach doktryna Marksa słaby znajduje oddźwięk w społeczeństwie. Socjalizm holenderski zdaje się przechodzić ze stanu dynamicznego w stan statyczny. Wszelako i tutaj przyszłość może przynieść niespodzianki. Socjalizm holenderski bowiem, jak to zauważyliśmy, jest mniej podatny, niż inne kierunki dla tego, tak charakterystycznego w tutejszych warunkach, tradycjonalizmu.

Jeszcze mniej szans rozwoju posiadają k o m u n i ś c i. Ruch komunistyczny powstał tu przed wojną. Jego kolebką było rewolucyjne skrzydło partji socjalistycznej, które nie poszło na drogę oportunizmu, jak reszta partji, lecz stało na gruncie doktryny, domagając się realizacji kolektywizmu w drodze rewolucji. Ilość komunistów w chwili obecnej jest znikoma. Robot-

[1] W 1918 r. — 22; w 1925 — 26; w 1929 — 24 mandaty.

nik holenderski przedstawia bardzo oporny materjał dla agitacji. Dlatego też główne siły tej agitacji zostały skierowane do kolonij, gdzie podsycają bardzo niebezpieczny dla Holandji ruch separatystyczny.

*

Ten przegląd partyj holenderskich uwypuklił podkreślone już na początku tego artykułu znaczenie religji w życiu politycznem kraju. Nawet te stronnictwa, które oparte są na podstawie wyłącznie społecznej, jak partja radykalna i socjalistyczna, i które z punktu widzenia ich doktryny powinnyby raczej zwracać się przeciw religji, tutaj, ze względu na odmienne niż gdzieindziej warunki podłoża, tę religję szanują i uznają. Partja liberalna musiała także skapitulować przed religją. Jej polityka antyreligijna okazała się na terenie wierzącej i praktykującej i Holandji niepopularna i zguubna dla niej samej.

Ta religijna formuła życia politycznego, możliwa do pomyślenia tylko w specyficznych, przez historję stworzonych, a tak dla Holandji znamiennych warunkach, ma niewątpliwie swoje dobre strony. Wnosi bowiem w krąg sprzecznych, egoistycznych interesów, jakim jest polityka, wysokie wartości etyczne. Z drugiej jednak strony napotyka ona na poważne trudności w praktyce. Często okazuje się niewystarczającą i ze względu na swój tradycjonalizm nie zawsze da się pogodzić z coraz to bardziej rosnącemi wymogami postępu, jakie wysuwa rozwój życia nowoczesnego. Występuje to przedewszystkiem w dziedzinie gospodarczej. Wielka wojna wysunęła tu cały szereg bardzo skomplikowanych i specjalnych problemów, dla których polityka, operująca przesłankami religijnemi, nie umiała znaleźć szczęśliwego rozwiązania. Dowodem polityka społeczna Holandji, bezpośrednio po wojnie tak szeroko rozbudowana, że wywołała bardzo ostry kryzys w przemyśle, który nie mógł wytrzymać wynikających z niej ciężarów. Z kryzysu tego wybawiły dopiero Holandję redukcje i zmiany, jakie musiano poczynić w zbyt daleko idących i nadto kosztownych reformach.

Polityka w duchu religijnym z natury swej nie zawsze liczy się z praktycznemi możliwościami i konsekwencjami. Widzimy to również na przykładzie Holandji w kwestji kolonjalnej. Stosunek Holandji do jej olbrzymiego, bo pięćdziesięcio-

krotnie ją przerastającego imperjum kolonjalnego oparty został na odmiennych zupełnie podstawach, niż w innych państwach kolonjalnych. Miejsce polityki eksploatacyjnej, którą stosowano pod rządami liberałów około połowy XIX wieku, zajęła t. zw. polityka etyczna, propagowana przez partje wyznaniowe. Biorąc za punkt wyjścia wspomnianą wyżej dewizę: „Bóg dał Holandji Indje", partje „Koalicji potwornej" pojmowały zarząd kolonjami jako rodzaj misji opiekuńczej, mającej na celu podnoszenie poziomu moralnego i kulturalnego ludności tubylczej. W praktyce wyrażała się ta koncepcja silną rozbudową szkolnictwa lokalnego, wprowadzeniem wszystkich europejskich urządzeń technicznych, jak dróg, kolei i t. d., a przedewszystkiem tworzeniem instytucyj samorządowych. Pod wpływem tej ewolucji punkt ciężkości w administrowaniu kolonjami przesunięty został stopniowo do Indyj. Ukoronowaniem tego procesu była ostatnia zmiana konstytucji z r. 1922, która usunęła dawne pojęcie „kolonij i posiadłości" i nadała wszystkim kolonjom charakter części składowych państwa, równouprawnionych z Holandją.[1] Równocześnie postawiono zasadę, że „ustawodawstwo i administracja spraw dotyczących zamorskich części państwa ma być powierzona instytucjom miejscowym" i że „ludności tubylczej należy przyznać wpływ na tworzenie tych instytucyj". Rezultatem tej polityki jest, że Indje posiadają dzisiaj bardzo szeroką autonomję, własne ciało reprezentacyjne, t. zw. *Volksraad*, wyposażony w uprawnienia budżetowe, świetnie wykształcone w wyższych uczelniach holenderskich kadry urzędników-krajowców i wogóle cały na europejską modłę urządzony aparat polityki administracyjnej i gospodarczej.

Ta polityka, niewątpliwie najszczytniejszemi owiana ideałami, okazała się jednak obosieczną, doprowadziła bowiem u ludności tubylczej do rozbudzenia poczucia narodowego. Mieszkańcy kolonij, zdobywszy dzięki Holandji wyższy stopień kultury nietylko materjalnej, ale i umysłowej, nie zadawalają się autonomją i zdradzają tu i ówdzie tendencje do uzyskania

[1] Dawniej odnośny artykuł konstytucji brzmiał: „Królestwo Holandji składa się z terytorjum w Europie, jak również kolonij i posiadłości w innych częściach świata". Obecnie, po zmianie z 1922 r., opiewa: „Królestwo Holandji składa się z terytorjum Holandji, Indyj Holenderskich, Surinam i Curaçao.

zupełnej niepodległości. Dzisiaj jesteśmy w Indjach holenderskich świadkami silnego ruchu separatystycznego. Wprawdzie jedno ognisko tego ruchu — komunizm, po nieudałych rozruchach w 1926 i 1927 r. na Jawie i Sumatrze, zostało czasowo przynajmniej stłumione, tli się jednak i każdej chwili żywym wybuchnąć może płomieniem inne ognisko — nacjonalizm. W końcu 1927 r. wszystkie indyjskie organizacje nacjonalistyczne połączyły się w jednę wielką federację,[1] która wywiesza hasło separatyzmu.

Oceniając ten ruch separatystyczny, znakomity polityk holenderski i b. gubernator Indyj, Colijn,[2] słusznie wyraża opinję, że ma się tu do czynienia nie z jakiemś spontanicznem przebudzeniem życia narodowego, ale z siłami, które sumienna polityka Holandji doprowadziła do uświadomienia, a które teraz przeciw niej samej się zwracają. Obdarzając Indje instytucjami europejskiem, wprowadzono także formy europejskiego życia politycznego: stronnictwa, agitację polityczną i t. p. Temi właśnie formami posługują się dzisiaj tubylcy w walce przeciw Holandji. W obliczu tych konsekwencyj „polityka etyczna" na terenie kolonij okazała się dla Holandji naprawdę samobójczą. I co najgorsze, z tej raz obranej drogi nie można się dzisiaj cofnąć. Nie pozwala na to już nietylko ta bezwzględna logika, jaka cechuje partje wyznaniowe w stosowaniu zasad Pisma św., ale także — i przedewszystkiem — nie pozwalają na to warunki miejscowe i fakty dokonane. Silnie rozagitowani tubylcy nie zgodzą się dzisiaj na cofnięcie jakiejkolwiek z przyznanych koncesyj i, przyzwyczajeni do panującego kursu, będą się domagać coraz to dalszych ustępstw od metropolji.

Wreszcie teokratyzm holenderski z trudem nagina się do dzisiejszych warunków życia parlamentarnego w Holandji i, jak

---

[1] „Permafockatan Perhimpoenan Politik Kebansaän Indonesien". Należą do niej umiarkowana i lojalna do niedawna „Boedi Oetomo"; „Perserikatan National di India", która „łączy się z każdym bez względu na jego przekonania społeczne, kto jej dopomoże do zrzucenia jarzma holenderskiego"; t. zw. „kluby studjów", skupiające inteligencję; wreszcie panislamistyczna organizacja „Sarekat Islam".

[2] W książce *Koloniale Vraagstukken van Hede en Morgen.* Amsterdam 1928. W podobnych rysach kreśli to zagadnienie wielki ekonomista Treub, *Het gest in Indie*, Haarlem 1927.

to zaraz zobaczymy, naraża je na poważny kryzys. Dopóki bowiem trzy stronnictwa wyznaniowe szły ręka w rękę i — skoalizowane — miały w Stanach Generalnych większość, rozwój parlamentaryzmu w Holandji był zupełnie normalny: partje te, rozporządzając większością, brały na siebie odpowiedzialność rządów. W r. 1925 jednak, z chwilą, gdy „Koalicja potworna" przestała istnieć, wraz z nią zniknęła też możność utworzenia rządu, opartego na większości partyj prawicowych. Nie można dziś również myśleć o utworzeniu rządu lewicowego, skoro partje lewicy nie mają, razem wzięte, większości,[1] a zresztą po tej stronie Izb Stanów Generalnych nie może nigdy przyjść do porozumienia pomiędzy liberałami i socjalistami wobec tego, że reprezentują oni dwa przeciwne obozy: pracodawców i robotników. Jakakolwiek koalicja centrowa jest wykluczona, skoro obie strony Izb dzieli idąca przez środek i nie dająca się przekroczyć granica wyznaniowości. W obecnych warunkach Stany Generalne nie są zdolne do wyłonienia z siebie rządu parlamentarnego. Od r. 1925 losami Holandji kieruje też rząd pozaparlamentarny.

Wielu polityków holenderskich jest zdania, że jedynem wyjściem z tej nieprawidłowej sytuacji jest przegrupowanie sił politycznych w płaszczyźnie socjalnej, t. zn. w miejsce dotychczasowego podziału na partje wyznaniowe i niewyznaniowe wprowadzenie podziału na konserwatystów i demokratów. Do obozu konserwatystów weszłyby w takim razie: konserwatywne skrzydło katolików, oba stronnictwa protestanckie i grupa liberalna, w obozie zaś demokratycznym znaleźliby się: demokratyczne skrzydło katolików, radykali i socjaliści.

Podobna kombinacja jest jednak niemożliwa. Po pierwsze warunkiem jej musiałby być rozdział katolików na dwie frakcje, a do takiego partja katolicka nie dopuści, skoro właśnie w jedności i powszechności tkwi cała jej siła. Powtóre, katolicy nie

[1] Układ sił politycznych w Stanach Generalnych po ostatnich wyborach 1929 r. przedstawia się następująco: w 1-szej Izbie: Katolicy — 16; Chrześc.-Historyczni — 7; Antyrewolucyjni — 6; Liberałowie — 6; Radykali — 4; Socjaliści — 11. W 2-giej Izbie: Katolicy — 30; Antyrewolucyjni 12; Chrześc.-Historyczni — 11; Liberałowie — 8; Radykali — 7; Socjaliści 24; Komuniści — 2; Grupa pastorów kalwińskich dyssyd. — 3; Grupa pastorów Kościoła niderl. — 1; Partja chłopska idąca z liberałami — 1.

połączą się z socjalistami, bo wówczas straciliby na ich rzecz część swoich robotników, którzyby woleli należeć do syndykatów socjalistycznych, jako dalej idących w swych rewindykacjach. Po trzecie wreszcie, jeżeli mało prawdopodobny jest aljans socjalistów z katolikami, to zgoła niemożliwem wydaje się połączenie teokratycznie rozumujących protestantów z liberałami. Liberałowie nie mieliby nic przeciwko takiemu sojuszowi, przeszkoda leży tu po stronie protestantów, którzy w jego ramach musieliby wyrzec się tak drogiej im koncepcji, uznającej religję za mistrzynię życia politycznego. I w tem właśnie tkwi sedno zagadnienia. Dopóki lwia część społeczeństwa holenderskiego będzie myśleć w polityce kategorjami religijnemi, dopóki opierać będzie swój system polityczny na wskazaniach Pisma św., nie może być mowy o zmianie w obecnym stanie rzeczy. By do takiej zmiany dojść mogło, musiałby nastąpić zupełny przewrót w umysłowości społeczeństwa, religja musiałaby zupełnie zniknąć z horyzontu politycznego, a na to się nie zanosi, bo związek religji z polityką stanowi najistotniejszą treść życia Holandji i tradycją swą sięga do podstaw narodowego bytu.

Raczej więc — przypuszczać należy — przyjdzie do wskrzeszenia koalicji katolików i protestantów, niż do przegrupowania stronnictw w innej płaszczyźnie, jak religijna. I znowu tedy życie narodu holenderskiego popłynie dawnem, przez tradycję wyżłobionem korytem. Można oczywiście nazwać ten stan rzeczy anachronizmem z punktu widzenia nowożytnych pojęć politycznych, nie trzeba jednak zapominać, że w życiu niektórych narodów tylko tradycja ma siłę drogowskazu. A do takich właśnie narodów — raz jeszcze podkreślmy — należy naród holenderski.

KAROL L. KONIŃSKI

DIALEKTYKA NACJONALIZMU

(UWAGI O KSIĄŻCE RENÉ JOHANNET'A)

Książka Johannet'a p. t. *Le principe des nationalités* nie jest już rzeczą całkiem nową, pierwsze jej wydanie wyszło w r. 1918; mimo to zasługuje i dziś jeszcze na sprawozdanie, gdyż porusza cały szereg zagadnień, których przemyślenie i nam Polakom przydać się może. Pozatem zachodzi pewien wzgląd szczególny, który ją czyni dla nas ciekawą: W naszym obozie nacjonalistycznym powołują się czasami na pokrewieństwo z obozem nacjonalistycznym francuskim; niewątpliwie zachodzi ono, ale zarazem istnieją też różnice bardzo znaczne. Weźmyż tylko taką Dmowskiego *Politykę polską* i porównajmy parę miejsc z rzeczą Johannet'a. Oto co stwierdzimy:

I tak, Dmowskiego myślą zasadniczą — a to zgodnie z całym ruchem narodowościowym — (*nationalitaire* — według Johannet'a) — w. XIX była likwidacja monarchji habsburskiej; na wielu miejscach swego podczas wojny wydanego traktatu w języku angielskim p. t. *Zagadnienia środkowo- i wschodnio-europejskie* (Londyn 1917), jak najdobitniej akcentuje i dowodzi, że „likwidacja tego przeżytku minionego okresu politycznego, pozbawionego wszelkich warunków niezbędnych do nowoczesnego istnienia państwowego, jest konieczną, nietylko w interesie wszelkich narodów zagrożonych przez potęgę niemiecką, ale także w interesie Europy jako całości: bez rozbicia Austro-Węgier zdrowa ewolucja Europy nie może być doprowadzona do końca..." (*Pol.* 471.) Johannet natomiast jest stanowczym zwolennikiem utrzymania monarchji habsburskiej, a to w nadziei, że stanowićby ona mogła ewentualnie przeciwwagę potędze niemieckiej.

Dmowski nie ufa takiej możliwości; zadając sobie pytanie, „czy Austrja może być niezależną od Niemiec", odpowiada, że wszelkie w tym kierunku wysuwane pomysły są całkiem złudne: „Ci, którzy dla podobnych koncepcyj szukają podstawy w rywalizacji ist-

niejącej między Habsburgami a Hohenzollernami, zapominają, że ludy nowoczesnej Europy nie kierują się interesami dynastycznemi i że w przyszłości interesy te stracą nawet ten wpływ, jaki jeszcze mogą posiadać na rozwój wypadków" (468).

Johannet zaś za główny błąd polityki francuskiej w wieku ubiegłym uważa, że kosztem osłabienia Austrji dopuściła do zjednoczenia Niemiec, zdaje się też sądzić, że zjednoczenie Niemiec (i Włoch) było czemś, czemu można było zapobiec, czemś więc do pewnego stopnia sztucznem, zdaje się też żywić nadzieję, że Niemcy dałyby się może jeszcze rozczłonkować.

Dmowski przeciwnie:

> „Cesarstwo Niemieckie nie jest ustrojem sztucznym, a jedność niemiecka, urzeczywistniona przez nie, nie może być zniszczona. Niebezpiecznem złudzeniem byłaby wiara w istnienie w Niemczech sił rozbieżnych, dość znacznych, aby je rozbić na drobniejsze niezależne państwa. Jedność niemiecka jest dziełem samego narodu niemieckiego... Genjusz Bismarka polegał nie na powzięciu idei jedności, ale na urzeczywistnieniu jej".

I Dmowski wyjaśnia, dlaczego tak się ma rzecz:

> „Szlachcic bawarski może z żalem wspominać dni, kiedy dwór Wittelsbachów nie był zaćmiony przez Hohenzollernów, kiedy jego własne stanowisko nie było zepchnięte w cień przez junkra pruskiego; ale bawarski lub saski przemysłowiec, czy kupiec, dobrze wie, że nie mógłby istnieć bez Hamburga i Bremy, bez handlowej, politycznej, militarnej i morskiej organizacji cesarstwa; inteligencja zaś wszystkich krajów niemieckich, będąc wytworem wielkiego zjednoczonego życia umysłowego niemieckiego, wydaje najbardziej zapalonych apostołów jedności niemieckiej i wszechniemieckich ambicyj" (461).

Jeśli Johannet takie „niebezpieczne złudzenia" żywi, jakie Dmowski stara się rozproszyć, to dlatego, że on na ewolucję społeczną w. XIX spogląda jako na sprawę bynajmniej nie konieczną i nie pożądaną, owszem stanowisko jego jest konsekwentnie antydemokratyczne, „reakcyjne". Tymczasem Dmowski wywodzi, że ostatniem wielkiem urządzeniem Europy był kongres wiedeński, który kierował się jeszcze ideą polityczną podstawową dla w. XIX, aczkolwiek tymczasem wraz z Rewolucją francuską i w erze wojen napoleońskich wystąpiły na widownię nowe siły: Gdy mianowicie w w. XVIII „patrzono na państwo, jako na coś istniejącego dla

samego siebie", gdy „ludność była tylko narzędziem państwa", kierującą zasadą polityczną był interes państwa (*raison d'état*), a kierującym żywiołem politycznym skosmopolityzowana arystokracja, — to w ciągu w. XIX do znaczenia politycznego doszły szerokie masy, a zwłaszcza klasa średnia, co miało ten oto skutek:

> „...Rola gospodarcza klasy średniej, reprezentującej przemysł i handel, sprowadziła — w przeciwieństwie do naturalnych skłonności posiadającej ziemię arystokracji — nieuniknione dążenie do ekspansji, która robiąc z klasy średniej energiczną współzawodniczkę odpowiednich żywiołów w innych krajach, wzmocniła antagonizmy narodowe. Jednym tedy z głównych skutków Rewolucji francuskiej był rozwój idei narodowości i interesu narodowego jako zasady kierowniczej w polityce. Nastąpiła w ciągu dziewiętnastego stulecia szybka zamiana ról Państwa i Narodu. Teraz Naród stał się istotą kierującą, Państwo zaś jego narzędziem, służącem do obrony interesów narodu. Tym sposobem, głównym rysem politycznym XIX stulecia stopniowo stała się gra sił narodowych — — — wystąpił (też) nowy wybitny rys tego okresu: odrodzenie narodowości, które były znikły z widowni europejskiej. W życiu politycznem Europy obecnej — — — istotnemi ścierającemi się potęgami nie są Państwa, lecz Narody i mąż stanu ignorujący ten fakt nie byłby zdolny ocenić właściwego stosunku sił walczących". (456).

Argumentacja Johannet'a wywodzi się, jak zobaczymy, z założeń wprost przeciwnych, niż te. I dla sposobu myślenia, jaki właśnie stwierdziliśmy u wodza nacjonalizmu polskiego, Johannet ukuwa neologizm o intencji wzgardliwej: „n a c j o n a l i t a r y z m". Co więcej, okaże się — rzecz paradoksalna! — że ten nacjonalista broni jako idei politycznej normatywnej, idei n i e n a r o d u, l e c z p a ń s t w a, że przeciwko idei narodu gromadzi argumenty czerpane ze wszech stron, nawet od socjalisty Proudhon'a, że, jednem słowem, ten nacjonalista francuski reprezentuje wcale inny ś w i a t o p o g l ą d p o l i t y c z n y, niż ów, którego broni nacjonalizm polski ze swoją zasadą dopieroco w słowach Dmowskiego wyrażoną, że „państwo jest instrumentem narodu".

Zastanowić się nad tem zjawiskiem, a przy sposobności dotknąć niektórych kardynalnych zagadnień polskich, jest zamiarem tych uwag; a raczej, dla oświetlenia naszych spraw, chcę zdać sprawę z książki Johannet'a — i z dzieła tego obfitującego w moc wiadomości wysoce pouczających, wybieram tylko rzeczy dla mojego celu instruktywne.

I

„Nacjonalitaryzm“ wywodzi się od „nationalité“; „nacjonalitarnym“ nazywa autor nasz sposób myślenia zgodny z „zasadą narodowości“ (*principe des nationalités, idée des nationalités*), którą określa w sposób następujący: „Wymaga ona, ażeby pomiędzy państwem a narodowością zachodziła zgodność, jedynem państwem, które ona chce znać, jest państwo narodowe, państwo, którego granice wyznaczone są nie według biegu rzek, kierunku gór, przypadków siły lub układów dyplomacji — lecz według rozsiedlenia ras, a raczej narodowości“ (19).[1]

Autor *Principe* zwalcza tę zasadę; intencją zaś jego istotną jest przeświadczenie, że ojczyzna jego ma ważne powody, aby na tej zasadzie granic swych nie wyznaczać. Francja musi posiadać względnie wpływami swojemi opanować prawy brzeg Renu; Francja powinna być nie państwem „nacjonalitarnem“, lecz imperjum: bez tego nigdy nie będzie bezpieczną. Stąd błędną była polityka Napoleona III, skierowana przeciw innemu imperjum typowemu — przeciwko Austrji, a która dopomogła Niemcom do zjednoczenia się; Francja uległa wtedy sugestjom cudzoziemskim, demokratycznym i nacjonalitarnym, szkodliwym dla niej; powinna była kierować się tym egoizmem narodowym, który orzeka, iż „w sprawach narodowościowych polityk będzie narodowościowcem tylko wobec swojej własnej narodowości“ — *en na-*

---

[1] My w Polsce w innem znaczeniu używamy terminu „państwo narodowe“, niż Johannet (*état national*): Dla nas — i w Niemczech — koncepcja państwa narodowego jest koncepcją nietyle granic, ile celu państwowego. Państwo „wtedy jest narodowe, gdy naprawdę naród dominujący prowadzi państwową politykę, gdy państwowym instytucjom nadaje swój charakter, gdy na jego terytorjum nie może się dziać nic takiego, coby było w sprzeczności z jego narodowem dobrem, coby przeczyło faktowi, że jest u siebie gospodarzem“ (Rybarski, *Naród, jednostka i klasa*, 1926, str. 240. Rozróżniajmy więc: 1) państwo narodowe (*Nationalstaat*), będące instrumentem jednego narodu, przyczem nie zastrzega się, że ma ono zawierać ten jeden tylko naród — ale w każdym razie przypuszcza się, że zawierać ono będzie główny masyw tego narodu; 2) państwo jednonarodowe, zawierające jeden tylko naród (*état national* Johannet'a); 3) państwo narodowościowe (*Nationalitaetenstaat*), t. j. państwo, zawierające kilka narodowości, przyczem żadna z nich nie zajmuje stanowiska oficjalnie i wybitnie dominującego.

tionalité l'homme politique ne sera nationalitaire que pour sa nationalité (424).[1]

Nacjonalizm francuski czyli „patrjotyzm świadomy w kontakcie głębokim z historją, geografją, ekonomją", wskazuje, że Francja dla swego bezpieczeństwa prawdziwego potrzebuje brzegów Renu; ale skoro brzegi Renu zamieszkałe są przez ludność nie-francuską, przeto nacjonalizm francuski domaga się przezwyciężenia zasady narodowościowej, zasady państwa określonego granicami językowemi, jako jedynie uprawnionego. Tu zastanówmy się nad pewnym stąd wnioskiem, głęboko godzącym w istotę współczesnego ustroju politycznego. Zasada państwa jednonarodowego jest następstwem zasady demokratycznej: Skoro suwerenem państwa jest nie monarcha, lecz naród, to oczywiście naród ten ma państwo dla siebie, dla swoich celów; ale za tem idzie, że żaden z narodów nie chce być częścią państwa obconarodowego, chce mieć państwo dla siebie — co sprzeczne jest z zasadą imperjum, czyli państwa wielkiego, o granicach wykreślonych nie na zasadzie etniczno-językowej. Ażeby więc świadomość współczesna przyjęła zasadę imperjum — przełamaną być musi zasada narodu, jako jedynie uprawnionego do suwerenności państwowej; należy dopuścić jako siłę państwotwórczą innego rodzaju czynnik, nie masowy, lecz jednostkowy, czyli poprostu monarchę względnie dynastję. Istnienie imperjum wymaga istnienia dynastji. I teraz zrozumiałem jest, dlaczego w nacjonaliźmie francuskim tak wydatnym jest kierunek monarchistyczny[2] — jest on tam logicznie przywołany; toteż Johannet w zasadę suwerenności ludowej godzi całą swoją argumentacją, swoją ironją, swoją pasją.

Johannet wywody swoje poprzedza wstępem, dotyczącym „roli ideologji w historji", w którym twierdzi, że „są w historji mody, tak samo jak w sztuce". Np. wybuch rewolucji lipcowej przypisuje temu, że „była wtenczas moda na rewolucje" (8).

[1] Zasada, jak przypomina Johannet (str. 30), sformułowana podczas Wielkiej Rewolucji; dantonista Robert mówił przy oklaskach Konwencji: „Je veux que le législateur de la France oublie un instant l'univers pour ne s'occuper que de son pays, je veux cette espèce de l'égoïsme national sans lequel nous trahissons nos devoirs. J'aime tous les hommes, j'aime particulièrement tous les hommes libres, mais j'aime mieux les hommes libres de la France que tous les autres de l'univers"

[2] Nieraz wprost identyfikuje się nacjonalizm francuski z monarchizmem; pamiętać jednak należy, że twórca jego Barrès pozostał republikaninem

„Moda na idee", to, inaczej powiedziawszy, przejawienie się „prawa serji". Idea powstaje kazuistycznie, można o każdej powiedzieć: *is fecit, cui prodest.* Ale także powstaje jako współczynnik historycznego rozumienia: Człowiek, tłumacząc fakty historyczne zapomocą uogólniania ich, tworzy bezwiednie „ideologję", to znaczy, że uogólnienie to, wyjaśniające owe fakty, przenosi na fakty inne, które z tamtemi rzeczywistego związku nie mają. Ideologja, tym sposobem powstała, przenosząc się w szeroką masę, działając na instynkt naśladownictwa, wywołuje cały szereg reakcyj, wytwarzających s e r j ę d z i e j o w ą. Dopiero kiedy się znajdzie silna osobistość, obdarzona zmysłem realizmu, czyli nie ulegająca sugestjom werbalnym, ale przenikająca w świetle faktów aktualnych rzeczywiste znaczenie ideologji — dopiero wtedy serja dziejowa zostaje przerwana, „moda na ideę" — przezwyciężona.

Rozdział ten kończy autor zapowiedzią, iż w świetle tego poglądu pragnie zbadać „pewną ideę o tysiącu odcieni, o stu definicjach, zdolną do wywoływania skutków najbardziej niepożądanych. Że w rozpętaniu tej idei tkwiło niebezpieczeństwo, świadczy wojna współczesna, w której narodowość przyłącza swój głos grzmiący do innych hałasów" — *la nationalité mêle sa voix retentissante à d'autres clameurs.* Autor byłby szczęśliwy, gdyby mógł dziełem swem przyczynić się do nastania pokoju „racjonalnego, rozumnego i wyrozumowanego" (*paix rationnelle, raisonnable et raisonnée*; 13).

Dla poparcia twierdzenia swego o niepokoju, jaki idea narodowości wniosła w świat, cały rozdział poświęca na przedstawienie walk narodowościowych, od których roi się Europa i obraz ten kończy przestrogą:

> Strzeżmy się zasadniczo wyobrażać sobie Europę narodowościową jako raj dla narodów. Gdzież to narodowość nie przyniosła wraz ze swą wolnością — ambicji, niechęci, żądzy panowania i zemsty? Czyżby w Irlandji? — Powstała w imię prawa narodów do stanowienia o sobie Irlandja, żąda poddania się Ulsteru przyszłemu parlamentowi w Dublinie, a to w imię jedności geograficznej, konieczności fiskalnych, potrzeb gospodarczych kraju. Czyżby w Jugosławji?... Czyżby w Polsce, nadzianej Żydami, rozdzieranej przez Litwinów, podkopywanej przez Niemców, zagrożonej przez agitatorów ruskich, w Polsce, tej Macedonji, która jutro użyje żelaznej pięści, aby móc żyć i żyć godziwie? Czyżby w Finlandji, tem tylko zajętej, aby stłumić swoją szwedzką kulturę? Czyżby w Czechach, a raczej w Czechosłowacji, — używając języka dnia —? W Czechosłowacji, gdzie nietylko urabiać trzeba Słowaków na Czechów, ale

przedewszystkiem posiada się i Niemców, cały pas niemiecki, od wieków rozłożony po górzystym obwodzie, leśnym i górniczym, sławnego czworoboku. Czy Niemcom tym przysługuje prawo samostanowienia? Nie — odpowiadają Czesi — a ja uważam za zaletę tę ich szczerość. Nie, bo niemożliwem rozłączyć to, co natura spoiła. Lecz w takim razie bądźcież łaskawi oszczędzić nam ideologji demokratyczno-narodowościowej!... (XLVII).

Pozwólmy hipotetycznie narodowościom urządzić Europę według swego gustu, a jutro, zamiast jednych Austro-Węgier, będziemy ich mieli dwadzieścia, — Europa to Austro-Węgry na wielką, Irlandja, Czechy — Austro-Węgry na małą skalę. Co więcej, natężenie nienawiści wzrośnie, bo powstaną nowe powierzchnie tarcia. Zamiast dziesięciu irredentyzmów będziemy ich mieli trzydzieści. Będziemy mieli wojnę co rok i na każdym rogu (XLVIII).

Sympatje autora wcale więc nie są po stronie narodów małych, walczących o niepodległość. Są po stronie państw, a mianowicie mocarstw będących całościami geograficznemi. I one to, kierując się zasadą równowagi, dają lepszą gwarancję pokoju, niż cały ruch nacjonalitarny, od którego przecież wiek XIX-ty tyle spodziewał się ze względu na międzynarodową zgodę!...

Świadomość narodowa ludności obcojęzykowej przyłączonej do państwa nie jest dla Johannet'a żadną świętością nietykalną; nie bez lekceważenia mówi o płynności poczucia narodowego, przytacza cały szereg wypadków jego zmienności, a jako przykład tu najlepiej pouczający, podaje dzieje narodowościowe krajów nadreńskich, których przegląd zamyka pytaniem: Czem kraje te, tak francuskie w r. 1872, byłyby w r. 1972, pozostawszy pod panowaniem niemieckiem? Byłyby nawskróś niemieckie. [1]

---

[1] „En fait de nationalité la volonté populaire charge avec uue vitesse parfois déconcertaute surtout quand il s'agit de populations — janus, travaillées depuis des millénaires par des cultures diverses. — — — Telles les popopnlations rhénanes"; które w r. 1792 przyjmują wojska francuskie kwiatami. W r. 1793 głosują formalnie za przyłączeniem do Francji, a równocześnie przeciwko niej za przybyciem wojsk cesarskich powstają. Nanowo zdobyci przez Francję w r. 1795, „po piętnastu latach siły i asymilacji", w latach 1812—14, mieszkańcy krajów nadreńskich okazują się lojalniejsi, niż Francuzi rdzenni, wykazują w tych latach katastrofalnych najmniejszy odsetek uchylających się od służby wojskowej. W. Hugo w r. 1838 w Nadrenji znajduje wszędzie pamięć Francji, w r. 1848 rewolucja w Nadrenji wybucha pod hasłem: „Precz z Prusami". Jeszcze za Napoleona III grono obywateli w Moguncji wybija medal z napisem: „Gott schütze Kaiser und Reich" i z głową... Napoleona III. W r. 1870 wzdycha się za klęską Prusa-

Tak więc nacjonalista Johannet godzi w same węzły uczuciowe współcześnie powszechnej postawy polityczno-moralnej, pełnej respektu dla uczuć narodowych.

Jednakże, lekce sobie ważąc świadomość narodowej odrębności, ma on jedno zastrzeżenie — ale zastrzeżenie to ma u niego następstwa zasadnicze: Ludność przyłączoną należy traktować uprzejmie, bez wynaradawiania jej na gwałt, zostawić rzeczy czasowi. Jako przykład w tej mierze wysławia *la liberalité bourbonienne*: „Patrzcie — powiada — co się dzieje od czasu, jak państwa znacjonalizowały się. Dalekie od respektowania narodowości, usiłują ją pogwałcić. Alzacja, anektowana przez Ludwika XIV, zachowała swój język i obyczaj; anektowaną przez Bismarcka zmuszają do wyzbycia się swej duszy" (423).

Ale też — i w tem jego intencja naczelna — tylko czynnik jednostkowy, jako zwornik suwerenny państwa, tylko więc dynastja, a nie naród — potrafi w stosunku do ludności obconarodowej zachować umiar, nie rozdrażniać jej, nie prowokować nacjonalizmu z jej strony; naród bowiem, jako suweren, stara się zniszczyć inne narodowości, conajmniej zasymilować je, wytępić ich świadomość odrębną.

Łatwo dostrzec żal, z jakim Johannet wspomina czasy *ancien régime*'u: Ów zbiór imperjów, kierujących się nazewnątrz zasadą równowagi, nawewnątrz zasadą regjonalistycznej autonomji; wewnątrz takiego imperjum mniejsze państwa i państewka, prowincje autonomiczne, wszystko o bogato zróżnicowanym ustroju, przystosowanym do potrzeb miejscowych; w tych prowincjach, w tych miastach, obywatele spokojni, wolni od powszechnej służby wojskowej, pilnujący swych interesów, nieskłóceni zatargami narodowemi, związani z państwem przysięgą lojalności względem monarchy; w takim świecie zacisznym, konserwatywnym, prowincjonal-

---

ków. Sadowa i Sedan ostatecznie zadecydowały o narodowości Nadreńczyków: „la nationalité des Rhénans s'est débattue eu réalite non pas dans leur conscience mais sur le champs de bataille de Sadova" itd. (245—7, 8). Podobnież z Alzacją i Lotaryngją Rok 1887 po raz ostatni wykazuje jednomyślność antyniemiecką wyborców. Tymczasem wielu wyemigrowało stamtąd, imigrowało wielu Niemców – (i Johannet pyta wobec tego: „Nos nationalitaires qui invoquent toujours le droit de l'Alsace et de Lorraine à disposer de soi, donnèront un vote aux intrus et efuseront-ils aux absents? A l'heure qu'il est en Alsace et Lorraine, aucun referendum n'aurait de sens") (249).

nym, czas robił swoje: regjony obcojęzykowe asymilowały się, ulegając faktowi siły, same nie podniecane ambicją świadomości narodowej, ale zarazem w pierwotnem poczuciu swej odrębności nie rozdrażniane przez rządy dynastji, która, dbając o swe własne zachowanie, reprezentowała nie interesy narodu, ale interesy swego dźwigara faktycznego — państwa. W ten sposób rozwijał się powoli patrjotyzm państwowy części przyłączonych, rozwijał się tem prędzej i tem pewniej, im realniejsze węzły łączyły prowincje przyłączone z państwem: węzły interesu gospodarczego, na które, pomiędzy czynnikami kształtowania się patrjotyzmu, autor kładzie nacisk, bodajże najsilniejszy. [1]

Ten, tak, według Johannet'a, pacyfistyczny, w porównaniu z naszym demokratycznym, świat *ancien régime*'u, świat, który znał patrjotyzm lokalny, a ponad nim, jako nadbudowę, patrjotyzm państwowy, ale nie narodowy, zburzony został przez Wielką Rewolucję, z jej zasadą, że władza leży w narodzie, zasadą, której następstwem była idea narodowości.

Godząc w posady jej, autor nasz rozróżnia dwa kierunki, niemiecki i francuski. Odrzuca oba.

Kierunek niemiecki to kierunek rasowy (*théorie racique*): Naród jest tworem przyrodzonym, rasą czystą; dochodzi się aż do pojęcia „narodowości nieświadomej" (*nationalité inconsciente*), jak u Jahn'a, Görres'a i innych; taką ideą posługiwano się przeciw Danji, żądając wcielenia jej do Rzeszy Niemieckiej, podobnież o Alzatczykach powiedział Treitschke: „Chcemy oddać im ich własne jestestwo, choćby nawet wbrew ich woli".

Nacjonalista nasz sprzeciwia się rasowej koncepcji narodu. Stwierdza, wraz z Renouvièrem, Renan'em, Fouillé'm, Ferdynandem Loť'em, że to, o czem można mówić jako o rasie narodowej, „jest raczej skutkiem niż przyczyną dziejów". Co więcej, Johannet nalega na to, że idea czystości rasowej narodu jest nie-

[1] Powiada nawet w jednem miejscu, że naród to zbiorowość, która żyje nietylko piękną mową, lecz i dobrą zupą — *association qui ne vit pas seulement de beau langage, mais de bonne soupe* (372). Język jego przybiera nieraz akcenty zupełnie zdecydowanego materjalizmu, np. powiada gdzieś (293), że o sprawach narodowych nie powinien mówić nikt, kto nie uprawiał handlu zagranicznego... lub przynajmniej nie czytał dobrego traktatu ekonomji. Coprawda, to ostatnie przyzwolenie znacznie łagodzi jego warunki...

bezpieczną dla pokoju; idee takie, jak u Gobineau (*cet absurde Gobineau*), odrzuca stanowczo, gdyż gdziekolwiek one „przewagę zyskają w opinji publicznej, gdzie zapomocą nauczania, zapomocą prasy, owładną mechanizmem państwowym, tam pycha narodowa (*l'orgueil national*), podżegana przez nie, grozi nieobliczalnemi katastrofami“ (222).

Łatwo pojąć, dlaczego nacjonalista francuski takim przeciwnikiem jest rasowej teorji narodu: Wszak naród francuski typem jest narodu mieszanego, utworzył się z elementów celtyckiego, germańskiego, latyńskiego, a nawet greckiego (na południu) i każdy z nich pozostawił niezatarte ślady. I Johannet w rozdziałach niezmiernie ciekawych przedstawia historję „francuskiej świadomości narodowej w poszukiwaniu swej tożsamości“; był czas (w. XVIII—XIX), kiedy świadomość ta uległa nadwątleniu przez poczucie głębokiego rozszczepienia rasowego — i myśl ta o heterogenicznych pierwocinach narodu, ta *méditation des origines*, wzmogła wydatnie antagonizmy klasowe: Frankowie — najezdnicy, szlachta, Gallowie — naród ujarzmiony, ich potomkowie — lud. Próby, wciąż jeszcze się we Francji pojawiające, oparcia jej świadomości narodowej na poczuciu rasowem (np. „celtyzm“ Schuré'go), Johannet traktuje jako brednie (*délirantes cacologies*, 192). Dziś, w świadomości kulturalnego Francuza, takiej, jaką ukształtować pragnie nacjonalizm, cenionem jest naród taki, jakim go wieki urobiły — (*la nation telle que les siècles l'ont faite*, 192), ze szczególnem jednak uwzględnieniem momentu romańskiego i celtyckiego.

Z tem wszystkiem Johannet w praktyce nie zwalcza pojęcia rasy bezwarunkowo: Owszem, ostrzega, że jeśli ktoś w polityce obojętnym jest na głos krwi, to niewątpliwie jest to oznaką słabości ducha. Naród jest rasą historyczną, to znaczy, że bądź co bądź zachowuje się jako pewien typ psychofizyczny; ale typ ten stałym jest tylko do pewnych granic, tak iż zbytni napływ krwi obcej może go zwichnąć — a zatem bronić tego typu, w którym naród poprzez wieki odnajduje identyczność swoją, jest nietylko prawem jego, lecz i obowiązkiem (367).

Przejawia się w tem obawa o Francję zagrożoną napływem cudzoziemców, którzy nie znajdując należytej tamy w ustawodawstwie o nabywaniu obywatelstwa, asymilują się tylko pozornie, pozostając w gruncie rzeczy „metekami“ (238).

Wracając do niemieckiej teorji narodu, to niebezpieczeństwo

jej, jako rasowej, jest tem większe, iż równocześnie demokracja powołuje do głosu „siłę ślepą mas“ (222).

W teorji niemieckiej — wywodzącej się zresztą, według autora naszego, od Rousseau'a — podstawą logiczną jest zasada nieograniczonej wolności, która jednak tutaj przeniesiona została z jednostki na grupę czystorasową, narzędziem której jest państwo; państwo więc posiada suwerenność absolutną. Ta zasada, w związku z przeświadczeniem o wyższości rasowej, daje państwu „wolę mocy“; teorja niemiecka jest typem ideologji „dynamicznej“, — „agresywnej, niezdolnej do umiaru, służącej podbojowi“ (212).

Tymczasem na nieszczęście Francji, wprost przeciwnym jest typ ideologji narodowościowej francuskiej: „Defensywny, werbalny, pseudojurydyczny“ (212). Perypetje tej idei, która w pierwszej połowie wieku ubiegłego była tylko elementem ruchu demokratycznego, — aż do Napoleona III-go, przedstawia autor w rozdziałach w treść obfitych, których tu streszczać nie mogę. Dość, że teorja ta — to teorja „elektywna“, która właściwe swe znaczenie narodowo ważne uzyskała po bolesnej klęsce w r. 1870. Wtedy to takie umysły, jak Fustel de Coulanges'a, Renan'a, Michelet'a, biorą się do uzasadniania, zapomocą koncepcji narodu, protestu przeciwko zaborowi Alzacji i Lotaryngji, krajów, aczkolwiek gwary niemieckiej, które już od czasów Napoleońskich ożywione były patrjotyzmem francuskim. Podczas gdy Niemcy (Mommsen) zabór ten usprawiedliwiają niemiecką (rasową) koncepcją narodu, to Francuzi (229—231) stwierdzają, że

> „zasada narodowości nie oznacza nic innego tylko to, że upoważnia ona prowincję lub ludność zajętą wbrew swej woli do nieposłuszeństwa obcemu panu... Naszą zasadą jest ta, że pewna ludność rządzona być może tylko zapomocą instytucyj, na które ona dobrowolnie się godzi, że ludność ta może być częścią państwa tylko na podstawie swej dobrowolnej zgody... Alzatczycy kochają Francję od czasów Rewolucji, ojczyzną zaś jest to, co się kocha. (La patrie c'est ce qu'on aime)“.
>
> (Fustel de Coulanges w liście otwartym do Straussa).

Język nie stanowi narodowości, nie stanowi jej też rasa. „Francja nie jest rasą, tylko narodem, początek jej jest mieszaniną“; we Francji jednostka tem się chlubi, że dobrowolnie przynależy do całości, jednostka może powiedzieć o sobie: „Nazywam się legjon“. (Michelet, *La France devant l'Europe*). Francja w geografji poli-

tycznej „znać może jedną tylko zasadę rozgraniczenia, t. j. zasadę narodowości, czyli zasadę wolnej woli ludów do życia wspólnego, woli stwierdzanej faktami poważnemi i skutecznemi". (Renan w publikacji p. t. *La guerre entre la France et l'Allemagne*).

Później, w r. 1882, Renan w wykładzie sorbońskim na temat „Co to jest naród", pogłębia tę definicję i daje znaną piękną koncepcję narodu: „Być narodem, to jest czynić wspólnie wielkie rzeczy w przeszłości i chcieć je czynić w przyszłości". Nie znaczy tu ani język, ani rasa. Johannet tę definicję Renana nazywa „wyższą od niego samego" i przyznaje, że Barrès i nacjonaliści mają coś jej do zawdzięczenia (232).

W tym sensie, sensie samostanowienia narodowego, rozwija się późniejsza myśl francuskiego obozu demokratycznego nad zagadnieniem narodu aż do Wielkiej Wojny — i podczas niej ta właśnie myśl była francuską ideologją oficjalną.

W nauczaniu szkolnem we Francji określa się ojczyznę: *C'est qui fait la patrie, c'est avant tout la volonté de vivre ensemble... Là où n'existe plus cet accord... il n'y a plus de patrie.* Johannet wskazuje na możliwości destrukcyjne takiej definicji:

> Jeśli naród gruntujecie na udziale dobrowolnym, to jakiemże prawem zakazujecie odstępstw? W imię czego, wy, *nationalitaires,* odpierać będziecie żądanie rewizji swej narodowości przez jakąś część narodu, — choćby to było za poduszczeniem wroga? Nie będziecie odpierać? Zgoda, ale w takim razie, jeżeli takie prawo secesjonistom przyznacie, to czy *a fortiori* nie przyznacie im i wielu innych praw mniej ważnych, np. do zmiany w każdej chwili ustroju politycznego? Ale w takim razie jak się utrzyma jedność administracyjna państwa, jak uniknąć anarchji? I jakimże wykrętem zakażecie każdemu z uczestników gry przerwać partję, gdy przestanie być dlań korzystną? Wolność jako jedyna podstawa ustroju społecznego, pozwala wszak i zerwać go. A w takim razie w systemie waszym jest miejsce dla dezertera, pacyfisty, włóczęgi bez ojczyzny, miejsce, które im w państwie nie jest przyznane... Idźcież przynajmniej do końca waszej idei układu i przewidujcie postanowienia oszustwa, kradzieży, gwałtu. Ileż ciemności, ileż niezgodności, ileż niepewności w waszej zasadzie! (263).

Z innej też strony atakuje zasadę narodowości: Zawiera ona logicznie „arbitralny zakaz dysponowania narodowego krajem, bez pozwolenia jego gospodarza" (264). Ale w takim razie — powiada — jakim sposobem wyrwać z rąk narodowi łupieżczemu terytorjum, będące dlań narzędziem, którego on nadużywał na szkodę innych

ludów — a którego pozbawiony stanie się nienapastny? „Respektowanie pretensyj nacjonalitarnych to premja bezkarności". *„Sic volo sic iubeo* — powie zbrodniarz do przybywającej Sprawiedliwości i na podstawie swej woli, której nie wolno łamać, zakaże jej wstępu do swojej jaskini" (264). Wraz z zasadą samostanowienia narodowego „jakiś naród może bez ryzyka przemienić swoją domenę w kazamatę, każdego zbocza swoich gór i każdego ujścia swoich dolin może użyć do przygotowania napadu". Ale z chwilą, gdy mieszkańcy kraju nie zgodzą się na jego wydanie, to oczywiście nie wolno będzie tej pozycji wypadowej im odbierać (265).

Ogromnie przejrzysty jest sens tych wywodów: Johannet pisze swą książkę w r. 1918, pragnie zapomocą wywodów tych stłumić w opinji swych rodaków przekonanie o nienaruszalności — poza Alzacją i Lotaryngją — terytorjum Niemiec; pragnąłby zwycięstwo doprowadzić aż do końca, chce zdławienia Niemiec i aneksji, a w każdym razie okupacji wojskowej krajów nadreńskich. Na innem miejscu książki wskazuje, że historyk Aulard, liberał, rozumiejąc wprawdzie, że dla bezpieczeństwa Francji potrzebna jest okupacja Renu, waha się jednak na tym punkcie, skrępowany wewnętrznie zasadą narodowości.

Znany socjolog francuski, Emil Durkheim, zasadę tę ujmuje w słowach: „Jest to dzisiaj pomiędzy narodami cywilizowanemi zasadą, że wola wspólna życia pod temi samemi prawami, o ile przejawiła się z wytrwałością, ma prawo do szacunku, a nawet wola ta jest jedynem trwałem ugruntowaniem państw".

Na te słowa tak zrozumiałe, Johannet wybucha obelgą: „O głupoto, o abstrakcjo, o bezmyślności doktorów!..." (256).

O cóż mu idzie? Wyjaśnienie mamy odrazu: „Jakto? Jedność niemiecka, ufundowana dla naszej zguby i przez naszą zgubę, ma prawo do naszego zachwytu? Jeśli państwo narodowe niemieckie lepiej się opiera, niż gdyby było pozostało nienarodowem, to jest to przecież niebezpieczeństwo, co nas gubi, a wy na nie godzicie się?!..." I szyderczo uzupełnia słowa Durkheima o wytrwałości świadomości narodowej: „Przypomnijcie sobie wytrwałość nadreńską w latach 1815—66, wytrwałość Alzacji i Lotaryngji... i t. d.!" (256).

Wobec incydentu tego musimy zająć stanowisko; ktoś tu musi mieć rację, jeden z dwóch: jeśli ma ją Durkheim, to Johannet jest cynikiem nieznośnym; jeśli słuszność po stronie autora *Principe,*

to faktycznie Durkheim jest naiwny lub nieopatrzny. W poszukiwaniu odpowiedzi na tę kwestję znajdziemy może światło padające w ciemny nurt zagadnień, które są i naszemi, polskiemi, zagadnieniami.

II

Zwróciło pewnie uwagę czytelnika, że autor nasz użył raz słowa „Sprawiedliwość", które rozumiał jako prawo jednego narodu do zabezpieczenia się przed innym, chociażby kosztem zabrania mu pewnego terytorjum. Przypominam tu, że autorowi *Principe* bynajmniej się nie podoba niemiecka teorja bezwzględnej wolności, w stosunku do reszty świata, tej zbiorowości, jaką jest państwo narodowe (*Nationalstaat*). Czy więc Johannet jest narodowym indywidualistą, czy też uniwersalistą? To znaczy, czy przytakuje moralnie bezwzględnej wolności narodu w dochodzeniu swych zamiarów, czy też polityka narodowa powinna mieć wzgląd na jakieś wyższe wartości, wzgląd ograniczający w jakiś sposób jej dobór środków?

Niełatwo będzie ustalić tu poglądy Johanneta. Bywa on niekonsekwentny wprost nieprzyzwoicie. To jest prawda, że chcąc zrozumieć ideę, stosować należy zasadę śledczą *is fecit cui prodest*, jak Johannet wskazuje; ale jeśli Johannet raz, nie bez pewnego zadowolenia cierpkiego, akcentuje, że Ludwik XIV, żadnych nie mając podstaw prawnych, zajął Strassburg, a drugi raz patosem oburzenia wybucha na Niemców, co zabrali Alzację i Lotaryngję, i nazywa ich „poprostu złodziejami, których zmusić trzeba do restytucji" — to to nie jest żaden p r a g m a t y z m, tylko „hotentotyzm" — (jak się o takiej logice wyraża Tadeusz Zieliński, mając widocznie na myśli znaną anegdotę Sienkiewicza o murzynie: „Co jest złe? Kiedy mnie kto zabierze żonę. A co jest dobre? Kiedy ja komu zabiorę żonę"). [1] *Ubicumque factum, improbe factum* — „Ktokolwiek postąpił niegodziwie, postąpił niegodziwie": stara Cyceronowska zasada, obowiązująca cywilizowanego Europejczyka. Albo więc użycie siły naprzekór prawu jest niegodziwem, a wtedy niema co chwalić Ludwika, albo też uzurpacje takie są godziwe, ale w takim razie nie są „złodziejami" Niemcy! Jakże inaczej jest

[1] Johannet przytacza ze wzruszeniem i zadowoleniem fakty ze średniowiecza francuskiego, świadczące, że wtedy już rodziła się zasada samostanowienia narodowego, ale ironizuje tam, gdzie idzie o samostanowienie narodowe nie-Francuzów.

u nacjonalisty polskiego, u Dmowskiego, który o dążeniach narodów wrogich Polsce opowiada z chłodem i spokojem, ściśle rzeczowo, jakby przyrodnik opisujący walkę gatunków. Ale też Dmowski jest nacjonalistą objektywnym: on rozumie nacjonalizm jako taki, jako powszechne w dobie współczesnej zjawisko, polityka u Dmowskiego opiera się na tem intelektualnem rozumieniu, a nie zgóry przesądza o niem afektywnie, jak to jest u Johannet'a — (i dlatego chroni się od takich złudzeń jak np. o możliwości rozpadu narodowego Niemiec). Czyż więc ostatecznie, według autora naszego, opinja narodowa powinna się liczyć z innemi, uznanemi za wyższe, niż interes narodowy, wartościami, czy też nie?

W swym przeglądzie polityki Rewolucji, Johannet z zadowoleniem stwierdza rozwój tej polityki w kierunku ściśle realnym, w kiernnku „egoizmu narodowego" (którego to słowa po raz pierwszy wtedy właśnie użyto; por. przy 2). I surowo potępia cały „ruch nacjonalitarny" francuski ubiegłego wieku, który sprawę francuską łączy ze sprawą narodów, jak Polski, Węgier i t. d., polityka Lamartine'a w r. 1848 — (tego, jak wiadomo, obłudnego przyjaciela, ale w istocie zawziętego przeciwnika Polski) — znajduje u niego pełną zrozumienia ocenę.

Ale gdzieindziej znów stwierdza, że „najlepszem wyrażeniem zasady równowagi jest to, iż Europa ma prawa wyższe od państw" — *l'Europe a des droits supérieurs à ceux des Etats, ce qui est peut-être la meilleure traduction du principe de l'équilibre* (297). Gdy zaś równocześnie zwalcza zasadę narodowości, jako tę, która najbardziej zagraża za adzie równowagi politycznej (296), — to należałoby stąd wnioskować, że jest on przeciwnikiem „prawa siły", prawa, które wszak ze swej strony wyraża zasadę absolutnej suwerenności państw, względnie narodów.

Ale oto znowu o Lidze Narodów powiada, że ma ona na celu ubezpieczyć państwa przed „ryzykiem eliminacji przez siłę" — i widzi w tem pragnienie „monotonji historycznej, która niegdyś już zaciężyła nad posępnym obszarem państwa rzymskiego" (350). Jakże można chcieć „położyć kres temu tajemniczemu wędrowaniu siły po społeczeństwach ludzkich, które zwie się historją, a to przez petryfikację sił istniejących lub automatyczne ich zniwelowanie?" (348).

Ostatecznie, z wywodów jego o Lidze Narodów i pokoju międzynarodowym, ta się da wydobyć intencja główna: Siła nie da

się usunąć z dziejów, ale należy mieć umiarkowanie w użyciu jej.

Wzorem służy mu tu „imperjalizm burboński, tak nowożytny, tak zrównoważony, tak przyjazny pokojowi, tak pomysłowy w podtrzymywaniu pokoju..." (329.) Czemu zawdzięczać to umiarkowanie, ten, że tak powiem, względny pacyfizm, jaki autor nasz przypisuje imperium burbońskiemu?

Tu dotykamy istotnej intencji naszego przeciwnika zasady narodowości: Tylko państwo dynastyczne zdolne jest, według niego, granice swe kształtować na realnych posadach geografji i ekonomji politycznej; a skoro rozsianie narodów z wymogami z tego zakresu nic wspólnego niema — przeto wniosek jasny: Ideę narodowości przezwyciężyć w opinji cywilizowanej, odesłać do składu „ideologij przestarzałych": *Et peut-être le temps s'approche-t-il où le principe nationalitaire occupera une place d'honneur dans le Muséum des idéologies périmées?...* (LVI).

Przełamać więc wolą świadomą serję ruchów narodowościowych, na miejsce idei narodowościowej w opinji narodów przyjść powinna idea inna, mianowicie państwowa:

> Jest bardzo możliwe, że ludzkość, odwróciwszy się od nauczania powszechnego (*universel*) religji, od klasycznego pojęcia państwa, od tradycyjnego narzędzia dynastji, od procederu doświadczalnego równowagi, i rzuciwszy się w namiętności narodowościowe, których zasadą jest poddawać w wątpliwość wszystko, wszędzie i zawsze — wejdzie za dni naszych w sferę kataklizmów, z których po kilku wiekach wyjdzie wyczerpana (407).

Zapobiedz temu może tylko przeciwstawienie się tej dziwnej uzurpacji, jak powiada, jaką jest przyznanie narodowości roli kierowniczej w państwie. Państwo ma swój własny sens, jakim jest bytowanie pomyślne terytorjum, wyznaczonego na zasadach gospodarczych i geograficznych: „Jedność państwowa okazuje się wyznaczoną przez zjawiska, coraz bardziej świadomie uzgadniane, produkcji i konsumcji, obojętne na melodję nacjonalitarną!" (408.)

Postępująca coraz bardziej personalizacja państwa, jego coraz intymniejsza zwartość do zawdzięczenia jest nie narodowości, „zaprawdę zbędnej tu" — ale konkretnym procesom obiegu i wyżywienia. „Narodowość nie jest nam kluczem do niczego, to ona właśnie wyżebrać musi u ziemi objawienia swego ja. Zarówno z punktu widzenia ekonomji politycznej, jak i geografji, narodo-

wość jest zjawiskiem następczem.[1] W każdem społeczeństwie cywilizowanem jest część „jasna, którą jest państwo, i część ciemna, którą jest narodowość...“ (400). Celem polityki, jak już z samego źródłosłowu wynika, może być tylko interes państwa (423).

Zdanie w ustach „nacjonalisty“, trzeba przyznać, zastanawiające dla każdego nacjonalisty, który zwykł za podstawę swego światopoglądu politycznego uważać, jako wartość normatywną, nie klasę, nie wyznanie, nie państwo — tylko naród!...

Ale dalej: Narodowość, według Johannet'a, zrozumiana być może tylko przez jakiś stosunek do państwa: „... jako odpowiednik państwa, czy to dlatego, że przedstawia państwo, co znikło, lub państwo istniejące, lub wreszcie dąży do stworzenia państwa w przyszłości...“ (405).

Państwo zaś musi mieć swoje geograficzne i gospodarcze warunki bytu i powodzenia, bez których traci rację bytu.

I daje za przykład Polskę: Niemcy „rozpętawszy u Ukraińców i Litwinów błędną medytację nad swem pochodzeniem (*fallacieuse méditation des origines*), dobrze wiedzieli co robią: Polska etnograficzna byłaby tylko kontynuacją rozbiorów...“ (402).

Co do własnej swej ojczyzny, autor nasz stwierdza, i tem kończy książkę, że gdyby nawet Francja zaginęła, tak jak zaginęła ongiś Gallja, to nowe jakieś społeczeństwo, na gruncie jej wytworzone, prędzej czy później „ufundowałoby swoje ja narodowe, na tych samych podstawach przyrodzonych, które potrzymywały Galljȩ gallicką, rzymską, frankońską i francuską. Społeczeństwo to wsparłoby się na tych granicach, do których sama natura je zaprasza: Morze Północne, La Manche, Atlantyk, Pireneje Morze Śródziemne, Alpy; nad Renem szukałoby pozycji obronnej; prędzej czy później nawiązałoby do tradycyj Cezarów, Ludwików, Bonapartych, na prawym tej rzeki brzegu tworząc przedpole polityczne i militarne, aby w tem miejscu zastąpić niedostatek naturalny“.

Jest coś pożywnego, coś po męsku pożywnego, w takiej wyraźnie skonkretyzowanej wyobraźni geograficzno-dziejowej.

[1] „La nationalité ne nous donne plus la clef du rien et c'est elle qui mendie au sol l'apocalypse de son moi. Pour l'économie politique comme pour la géographie, la nationalité accompagne ou suit, ne précède jamais“ (409)

Dodajmy, że posiadanie takiej wyraźnej granicy geograficznej ma znaczenie bodajże przedewszystkiem jakby logiczne: Gdy granica taka raz zostanie we własnej narodu i jego sąsiadów wyobraźni przełamana, to już nie wiadomo, gdzie właściwie zatrzyma się zaborcze pożądanie sąsiada, czy nie sięgnie w samą caliznę kraju? „Francja nad Renem lub stolica w Bordeaux" — zwięźle formułuje (cyt. przez Johannęta) Edward Driault.

Słowem: Co do treści, całe myślenie nacjonalisty francuskiego, Johannet'a, zdeterminowane jest postulatem Renu; co do metody jest ono w zasadzie pragmatyczne.

III

Cóż sądzić o tem wszystkiem? Zagadnienie streszcza się w tem: Dla pewnych narodów potrzebnem lub zgoła niezbędnem jest rozpostarcie się państwowe poza najściślejszą sferę swego rozsiedlenia; dla podtrzymywania się zaś państw tego rodzaju potrzebnem jest przezwyciężenie zasady państwa jednonarodowego — przezwyciężenie więc w opinji powszechnej cywilizowanego świata, zasady narodowości górującej, zastąpienia jej zasadą górującego państwa. Ale cóż wobec tego mają czynić nacjonalizmy narodów upaństwowionych, zawierających w obrębie państwa mniejszości narodowe? Czyżby wyrzec się siebie, swych podstaw myślenia, — czyli też nie wyrzekając się ich, dawać swą myślą broń do ręki nacjonalizmom mniejszościowym, wzmacniać ich świadomość?...

Wszak nacjonalizm jest, jeśli nie z etycznego, to z socjologicznego punktu widzenia, jakimś kształtem indywidualizmu i jako taki dzieli los wszelkiego indywidualizmu. Zapładnia swoich wrogów, wychowuje swoich wrogów.

Czyż np. Rusini w Polsce nie są wychowani przez nas samych, na naszym patrjotyźmie rewolucyjnym, czyż zawziętość ich przeciw nam nie krzepi się przykładem naszej własnej zaciętości wobec naszych zaborców? Nasze szkolnictwo nie może nie dać dziecku ruskiemu tego, co daje polskiemu: przykładów historycznych charakteru w walce narodowej. Ale skoro ta szkoła natrafi na ustalone już skądinąd poczucie odrębności, to tylko do tego ona służy, aby poczucie owo wzmocnić jeszcze, rozgrzać aż do fanatyzmu. Bo w świadomości narodowej kardynalną rolę gra poczucie godności. Skoro naszą cnotą, naszą dzielnością było dą-

żenie do państwa, to i ci uczniowie nasi czuliby się w swem własnem poczuciu czemś od nas marniejszem, gdyby nam w naszej cnocie nie chcieli dorównać — i tak, przez nas szczepiona cnota faktycznie przeciw nam się zwraca. I tu oto przykra dialektyka nacjonalizmu: Z chwilą, gdy państwo narodowe, dążąc do tego, by stać się jednonarodowem, usiłuje swych obywateli obconarodowych zasymilować, dając im własną kulturę — to kultura ta, przesiąknięta ideą narodową, wytwarza temu państwu przeciwników, (nb. o tyle tylko, o ile już skądinąd poczucie odrębności u obconarodowców, względnie jego zasadnicza możliwość, były już dane).

W naszym przykładzie, tak, niestety, już jest; Johannet, który dobrze wiedział, że Polska będzie miała kłopot ze swymi „Ukrainiens et Lithuaniens", przypuszczał jednak, że ich poczucie odrębności jest czemś sztucznem, wywołanem tylko przez berlińską lub wiedeńską intrygę.[1] Że intryga rolę swą tu odegrała, to pewna; ale nprzytomnijmy sobie tę sprawę psychologicznie i ściśle objektywnie: Wyobraźmy sobie np. stan duszy takiego młodego Rusina, kiedy czyta — (a niezawodnie każdy czyta) — *Ogniem i mieczem* — o tej walce krwawej między polską szlachtą a ruskimi chłopami; Lachy, „panowie", zwyciężają. Po czyjej stronie współczuciem swem czytelnik ten stanie? Niejeden Polak, choćby nawet pochodzenia szlacheckiego, ale o silnem napięciu demokratycznem, wobec walk tych zajmował stanowisko przychylne raczej tamtej stronie, żeby tylko Goszczyńskiego wymienić.[2] Ale w człowieku pochodzenia polskiego, a tembardziej szlacheckiego, konsekwencją takiego stanowiska nader rzadko chyba mogłaby być zmiana narodowości! Natomiast u człowieka, który wie o sobie, że jest potomkiem nie „Lachów", nie „panów", ale potomkiem tego ludu zbuntowanego i zwyciężonego, wspomnienie owych walk, — podane zwłaszcza piórem tak mistrzowskiem jak Sienkiewicza — wywoła głęboką

[1] „Concurrenznationalitäten", jak mówią Niemcy. Johannet wogóle stara się udowodnić, że „tout se passe, comme si le croisement en une region déterminée de plusieurs influences impérialistes s'annulait en nations indépendantes dont la grandeur et les vicissitudes mésurent la force respective des foyers émetteurs qui les provoquent" (322). Belgja, nawet Grecja, służą mu przykładem.

[2] Albo np. Świętochowski, (*Historja chłopów polskich*, 1925): „Straszną bronią w rękach możnowładztwa polskiego na Rusi był despotyzm połączony z sądownictwem patrymonjalnem" (I, 333—342).

niechęć do „Lachów": poczucie odrębności narodowej gotowe; a gdy do tego jeszcze przyjdzie wychowanie na Mickiewiczu, na *Konradzie Wallenrodzie*, wychowanie do niezłomnej woli, ażeby „dźwignąć ten naród, uszczęśliwić i nim cały świat zadziwić" — to już ta forma entuzjazmu narodowego, wypracowana przez ducha polskiego, wypełniona zostanie treścią polskości wrogą. I byłoby z naszej strony zbytnią prostodusznością mniemać, iż fakt zawdzięczania przez Rusinów naszych jakiejś znacznej części świadomości swej nam, — wpłynie na ich uspokojenie; wprost przeciwnie, mniej lub więcej uświadomione poczucie zależności duchowej od Polaków wywoływać będzie tem żywszą chęć wyswobodzenia się od tego wpływu, wyprowadzenia z własnej gleby rasowo-dziejowej własnych walorów kultury duchowej; to jest potrzeba dobrego samopoczucia, potrzeba zadowolenia „instynktu wewnętrznego wzmożenia życiowego" (*Trieb der inneren Lebenssteigerung*, jakby powiedział Niemiec, Müller Freienfels). (Z czego, oczywiście, nie wynika, ażeby takie wyprowadzanie kultury duchowej z własnego jestestwa rasowo-dziejowego, koniecznie, w każdym wypadku, musiało mieć następstwa objektywnie cenne).

I zdaje się, że rady na takie przykre i groźne procesy zapalne w naszej przynajmniej epoce cywilizacyjnej niema: Są one rewersem sprawy niewątpliwie cennej, jaką jest wzmożenie się poczucia godności u szerokich mas, które epokę naszą cechuje, a wyraża się w idei demokratyczno-narodowej, „nacjonalitarnej", jak ją z przekąsem nazywa René Johannet.

Johannet, jak widzieliśmy, szukając lekarstwa na współczesne, że tak powiem, „narodowościowe zapalenie", godzi w samą istotę współczesnego procesu narodowościowego. Jest to jednak, przy pozorach zawziętego realizmu, przy nawskróś „antymitologicznem" nastawieniu, w gruncie rzeczy głęboki irrealizm, głębokie naderwanie kontaktu ze współczesną rzeczywistością dziejową.

Intencje autora *Principe* spodobać się muszą wszystkim tym, coby „programem gospodarczym" zaspokoić chcieli wszystkie aspiracje polityczne społeczeństwa; „patrz szewcze swego kopyta" — a już kto inny będzie politykował. Ale kto? *Beatus qui tenet*... Podczas absolutyzmu oświeconego nietylko szewcy, ale i książęta — w samej książce Johannet'a przykład na to — czuli się w godności swej obrażeni, żadnego nie mając wpływu na losy ojczyzny. Idzie o sprawę zasadniczą, sprawę duchowego typu: Jeśli polityka, to

znaczy współudział w kształtowaniu losów ojczyzny jest rzeczą piękną, jest najgodniejszą zabawą męża, jeśli usposobienie polityczne jest cnotą męża, to pytanie, czy można pozbawić masy sposobności i prawa do rozwijania tej cnoty, do udziału w życiu politycznem? Poczucie godności w szerokich masach domaga się prawa do cnót obywatelskich; polityka jest trudnym kunsztem, którego masy same przez się sprawować nie mogą — ale nie można im odbierać popędu i sposobności do politycznego wychowania. To nie z palca wyssana doktryna; kto się stykał z ludźmi, ten wie, że odebrać im zainteresowania polityczne, to cofnąć ich w rozwoju umysłu i charakteru.

Proces rozwojowy poczucia godności w szerokich masach w ścisłym jest związku z rozwojem świadomości narodowej. Ogółem, ów mistyczny patos idei narodowej w pierwszej połowie w. XIX przypisać należy dwom przyczynom zasadniczym: jednej pośredniej, drugiej bezpośredniej.

Pośrednio, „naród" działał na uczucia, jako zastępcza forma suwerenności w zamian za dynastów. W państwach posiadających suwerena jednostkowego, suweren jest z punktu widzenia przestrzeniowego czemś zupełnie abstrakcyjnem; w państwach natomiast suwerena jednostkowego pozbawionych, nowy suweren, naród, jest zjawiskiem dającem się, przynajmniej w zasadzie, przestrzennie wyznaczyć, terytorjalnie umiejscowić: suweren państwa i terytorjum państwa są przestrzennemi odpowiednikami. Rozpad, na skutek ruchu rewolucyjnego, państw dynastycznych, miał odrazu — jakby automatycznie — obrócić się w krystalizację nowych państw, o granicach bezspornych - jak mniemano — granicach rozsiedlenia narodowego. Stąd nadzieje pacyficzne, wiązane ze zwycięstwem idei narodowości. Tem łatwiej zaś było łudzić się w tym kierunku, że ruch demokratyczny łączył narodowości we wspólnym entuzjaźmie; a także i dlatego, że wyobraźnia polityczna demokracji owoczesnej posługiwała się mimo wszystko przeważnie schematami z epoki ubiegłej: myślano przedewszystkiem o narodach „politycznych", tych, które się ukształciły w ubiegłej epoce dynastycznej, nie przypuszczano rozkładu narodowości politycznych na etniczno-językowe. Któryż z naszych demokratycznych sympatyków francuskich, nie wyobrażał sobie Polski inaczej, jak w jej jagiellońskich granicach, któryż przypuszczał, aby w granicach tych lęgnąć się mogły inne narodowości — te same

narodowości, które później przeciw Polsce wywoływać będą „idée des nationalités“ !...

Bezpośrednio zaś, ten był związek — psychologiczny — idei demokratycznej z narodową: Idea narodu walory swe uczuciowe przez to mianowicie uzyskała, iż była poniekąd nobilitacją szerokich mas. Edgar Quinet w usta Napoleona, jako budziciela narodów, wkłada takie słowa:

> J'ai couronné le Peuple en France, en Allemagne, je l'ai fait gentilhomme, autant que Charlemagne, j'ai donné des aïeux à la foule sans nom, des nations partout j'ai gravé le blason.

Przynależność do narodu — tak rozumiano — to przynależność do pewnej rasy, a rasa ta — to dobra rasa. Już nie będzie podziału na ludzi „rasowych“ i „nierasowych“, wszyscy jako uczestnicy narodu, to znaczy jako członkowie danej rasy, walory swe czerpiącej, jak drzewo soki, gdzieś z tajemniczych głębin żywiołu, który czysty i niepokalany wyszedł z rąk Stwórcy — wszyscy jako tacy jesteśmy „rasowi“, jesteśmy „szlachtą“: demokratyzm i apologja rasowości wiążą się organicznie w ideę narodową — żeby tylko przypomnieć jako przykład klasyczny J. B. Fichte'go z jego niemieckim *Urvolk* — (u nas mówiło się o narodzie „rodzimym“, „pierwotwornym“) — z jednej, a apologją mieszczaństwa niemieckiego, z drugiej strony. Ta ideowa synteza daje bardzo licznym jednostkom radosny przypływ poczucia swej godności — i to właśnie było jej urokiem niezastąpionym, to ją czyniło dla szerokich mas wprost rewelacją. My dziś jesteśmy mniej romantyczni, więc mniej dowierzamy mądrości i dobroci żywiołu — mamy też inne mniemanie o stałości rasy — ale coś, i to niemało, z tych momentów w naszej koncepcji narodu pozostało jako istotny jej składnik. Wszak nic tak nie zasila naszego patrjotyzmu, jak widok genjalnych i niezwykłych ludzi z ludu — Kasprowicze, Reymontowie, Orkanowie, Szukalscy i inni — to dokumenty radosne żywotności rasy polskiej, w jej złożach rdzennych, bliższych „żywiołu“, bliższych *naturae naturantis*..

Chcieć zawrócić z miejsca ruch „nacjonalitarny“, to chcieć zniwelować całą historję od r. 1789, zatamować w psychice społecznej procesy, które już uzyskały wartość zgoła niewymierną.

*

Z naszego specjalnie, polskiego, stanowiska, na to godzi się zwrócić uwagę, że stanąć przy Johannecie, to byłoby wyprzeć się Mickiewicza (k.órego zresztą on wymienia między osobistościami sobie niesympatycznemi) — ale w takim razie w jakimże stopniu nadwątlamy naszą tradycję, jakichżeż wspomnień pożywnych wyzbywamy się w naszem wychowaniu narodowem?! Potępić wraz z neolegitymistą Johannet'em „nacjonalitaryzm" w. XIX, to znaczy poczuć się całkowicie osamotnionym w historji tego wieku — to odstąpić od swoich, a zsolidaryzować się retrospektywnie — z kim? Czyż z legitymistami? Ale z kim współczuć ma pamięć nasza historyczna? Z temi dziennikami karlistowskiemi w Lyonie, które po upadku powstania listopadowego pisały z uciechą o „ucieczce buntowników", czy z tym „nacjonalitarnym" tłumem robotniczym, który redakcje pism tych, oburzony, zdemolował?... Legitymizm nie był zaprawdę dla Polaka dobrym sposobem na zachowanie patrjotyzmu! Konserwatyzm antyrewolucyjny był wszak najczęstszym motywem odstępstwa. Co więcej, czyliż sama idea legitymistyczna, idea państwa polskiego, byłaby z Polaków uczyniła ten element, któryby Europę niepokoił dopóty, pókiby im państwa nie przywróciła? Wprawdzie patrjotyzm porozbiorowy Polaków wywodzi się z państwowości polskiej, jest dalszym ciągiem jej bytowania, jest, żeby z niemiecka powiedzieć, „larvierte Form" polskiego życia państwowego — i dlatego to z koniecznością immanentną z powrotem dążył do odbudowy państwa — i dlatego też mógł przekonywać i legitymistów i mógł się czasami obchodzić w argumentacji swej bez armatury demokratycznej, „nacjonalitarnej". Ale gdyby „ideosiłą" jego było wyobrażenie nie „narodu", ale „państwa", gdyby „państwo" było w nim wartością naczelną, to czyż wkońcu realnie istniejące państwa nie byłyby wzięły góry w wyobraźni pokoleń, zwłaszcza następnych, które państwa własnego nie pamiętały, nad państwem-widmem, już nie istniejącem, państwem-majakiem, mającem dopiero, wbrew całej rzeczywistości aktualnej, zaistnieć?...

To był właśnie legitymistyczny typ, taki c. k. galicyjski człowiek, którego serce kłoniło się nie ku miastu nad szarą Wisłą, ku miastu za kordonem, ale ku centrum imperjum, ku łatwo dostępnej stolicy „an der schönen blauen Donau"...

Patrjotyzm Polski porozbiorowej wyszedł z polskiej państwowości; ale tem, co go najdzielniej podtrzymywało, była nie sama naga idea państwa, ale rodzaj państwa,

jaki utraciliśmy, a raczej rodzaj psychiczny człowieka, jaki się w Rzeczypospolitej ukształcił. Co nas podczas niewoli wiązało w naród, to przedewszystkiem ten ideał wolnego człowieka, jaki, bądź co bądź, mimo wszystkie zboczenia i błędy, polska demokracja szlachecka zdołała dziejami swemi przed wyobraźnią swoją ustawić. Kto nie miał w sobie tego właśnie ducha, ten łatwo od Polski poszarpanej i poniżonej odpadał, godził się na fakt rozbiorów. Ale kto miał w sobie rozpęd życia politycznego, obywatelskiego dawnej Rzeczypospolitej, kto polityczny typ człowieka nosił w sobie jako znamię historyczno-rasowe, jako temperament i jako wzorzec charakteru — ten czuł się suwerenem państwa nieistniejącego, państwa, które dopiero trzeba było zrobić.

I z kimże miał się jednoczyć i przyjaźnić ten polski szlachcic, zdeklasowany politycznie, a często gęsto i społecznie, wysadzony z siodła, rozbrojony i zbiedniały, ale w tej swojej idealnej suwerenności widmowej Rzeczypospolitej czerpiący całą swą godność, całą swoją moc oporu przeciw światu wrogiemu lub, co gorzej, obojętnemu — z kimże się on miał łączyć, jeśli nie z ruchem, który w nim, w nim właśnie bardziej niż kimkolwiek innym, widział szacowne ucieleśnienie typu wolnego człowieka? I dalej, w jakichże, jeśli nie demokratycznych, formach miało się odrabiać państwo polskie, skoro to państwo minione rozpędu swego życia na masę ludową nie przelało? Tu, w tem zagadnieniu, idea narodowa polska, aczkolwiek z legitymistycznego wyrosła korzenia, identyfikowała się jednak z ruchem rewolucyjno-demokratycznym, „nacjonalitarnym". I dlatego, nawet legitymizm polski, legitymizm insurekcyjny obozu „arystokratów", miał fizjognomję wcale odmienną niż legimityzmy inne.

Także później, w dobę Wielkiej Wojny, nie innemi, jeno „nacjonalitarnemi" argumentami, nacjonalizm polski, — jak właśnie na początku widzieliśmy — dobijał się o jeden z zasadniczych postulatów swych, o likwidację imperjum Habsburgów, imperjum tak przecież miłego wszystkim legitymistom, a nawet, pomimo swego posługiwania się Niemcom, sympatycznego neolegitymistom francuskim.

Wydzielić ideę demokratyczno-narodową ze swego zasobu ideowego, to dla nas, Polaków w wolnem państwie, których stan posiadania i charakter polityczny przygotował i urabiał patrjotyzm

porozbiorowy, w tak ścisłym pozostający powinowactwie z ideą ową — byłoby to zaprzeczyć własnym dziejom — t. j. temu, co sprawiło w nas rzeczy, których się wyrzec nie możemy, bo cenne. A wszakże — czyliż można żyć z poczuciem godności — żyjąc wbrew własnej historji?

Zostańmy więc zasadniczo przy idei demokratyczno-narodowej, wzgardliwie przez nacjonalistę francuskiego ochrzczonej „nacjonalitaryzm“.[1]

---

[1] Zadecydujmy ostatecznie, jak się ma rzecz z tym „nacjonalizmem“ autora *Principe*. Ale przedtem w paru słowach — co jest nacjonalizm?... „Nacjonalizm“ dlatego się przeciwstawia „patrjotyzmowi“, że przyznaje, iż można być patrjotą, nie będąc jednocześnie dostatecznie dbałym o dobro narodu, patrjotą ogólnikowym, od święta, od ostatecznej obieży; nacjonalizm zaś to patrjotyzm metodyczny, którego motywem jest szczególna czujność na dobro narodowe: „le nationalisme c'est de résoudre chaque question par le rapport à la France“. (Barrès, *Scènes et doctrines*, Ed. def. I, 86). Ten aspekt nacjonalizmu, a mianowicie nacjonalizm, będący wyrazem reakcji narodowej na niebezpieczeństwa grożące ze strony innych narodów, nazwijmy n a c j o n a l i z m e m p o l i t y c z n y m. Mogą jednak narodowi grozić niebezpieczeństwa rozkładu ze strony zbiorowości innego rodzaju, idei narodowej nieprzychylnych, ze strony idej podtrzymujących grupy innego rodzaju: wtedy myśl narodowa podejmuje obronę narodu na terenie socjologicznym, dowodząc, że zbiorowość „naród“ ma najwyższą wartość s o c j o l o g i c z n ą i to będzie, nazwijmy go tak, n a c j o n a l i z m s o c j o l o g i c z n y. Ten aspekt nacjonalizmu można określić jako n a c j o n a l i z m o b j e k t y w n y: opernje on a b s t r a k c y j n e m pojęciem narodu, poszukuje argumentów możliwie r z e c z o w y c h, p o w s z e c h n i e ważnych. Nacjonalizm objektywny w znaczeniu intelektualnem, usposabia do objektywizmu uczuciowego, do respektu, sprawiedliwości, wobec aspiracji innych narodów. Tej formy nacjonalizmu, Johannet, nacjonalista polityczny, wyrzeka się, chrzcąc ją „nacjonalitaryzmem“. Jabym tę denominację wzgardliwą radził przyswoić polszczyźnie na oznaczenie owego nacjonalizmu objektywnego, ale n a i w n e g o, który w swem — zasadniczo słusznem — respektowaniu narodowości, dochodzi jednak dialektycznie aż do zatraty czujności na interesy narodowe własne. Taki nacjonalizm ultra- a raczej psendo-objektywny, wyrzeka się zazwyczaj miana „nacjonalizmu“ — i słusznie, gdyż nacjonalizm z samego założenia, w jakiejkolwiek formie, w każdym razie, nie może być czem innem, tylko wyrazem k o n k r e t n e j c z u j n o ś c i narodowej. Z drugiej strony nacjonaliści polityczni wyrzekają się nieraz „nacjonalizmu objektywnego“ w obawie, żeby nie prowadził do owego „nacjonalitaryzmu“, odmawiają temu kierunkowi myślenia prawa do miana „nacjonalizm“. Niesłusznie! Jakże np. nazwie przyszły historyk epokę, która piętno swe wzięła od rozkwitu narodowości i myśl swą wytężyła w kierunku uzasadnienia idei narodu? „Epoką nacjo-

IV

Ale przecież „nacjonalitaryzm" dziś, gdy mamy już państwo, gdy pragniemy być mocarstwem, zwraca się przeciwko nam!... Sam Johannet na to zwraca uwagę; widzieliśmy to już w jednem napomknieniu, dodajmy nowe szczegóły: Autor *Principe* dobrze rozumie, że Polska jeśli ma istnieć, to nie może ograniczoną zostać do terytorjum etnograficznego:

> Pour nous occidentaux et pour la nationalité polonaise, ce qu'on veut restituer sous le nom de Pologne ethnographique, aboutirait à continuer le démembrement et à léser l'équilibre de l'Europe. Ce serait en réalité un État nouveau, sans garantie, sans orientation, sans passé, sans l'avenir. La Pologne est un empire ou rien (402)

Istotnie, jest to już dogmatem wprost, przez nacjonalizm polski ogółowi wpojonym, że Polska nie może żadnym sposobem być małą Polską, że Polska bez ujścia Wisły, bez dopływów jej prawobrzeżnych, bez zlewiska górnej i średniej Prypeci, bez brzegu Odry i Dźwiny — to orzech bez skorupy, zapraszający wprost do rozgryzienia; a wtedy ta część ludzkości, która nazywa się „Polacy", pójdzie na pognój społeczny u zwycięzców. Polska więc będzie mocarstwem, albo jej nie będzie.

Stąd cała nasza myśl polityczna organizować się musi według tego pytania: Jak uczynić Polskę mocarstwem? Wszystko, co ku temu zmierza, jest pożądane, co od tego odwodzi — szkodliwe.

I tu chcę wydobyć właściwy sens formuły Johannet'a: *La Pologne est un empire ou rien. Empire* — powiada, nie *puissance*;

---

nalizmu". Do Johannet'a wracając, jest on — (jakkolwiek przeciwnik zawzięty nacjonalizmu objektywnego, co się zresztą mści na nim takiemi złudzeniami, jakie inny nacjonalista, polityczny ale objektywny, Dmowski, uznaje za „niebezpieczne") — nacjonalistą „politycznym" i jego teorja antynacjonalna jest mu tylko sposobem do potęgi jego narodu. I tu też mamy inny znów aspekt dialektyki nacjonalizmu: Nacjonalizm narodu państwowego, nie chcąc stać się czynnikiem zapładniającym mimowoli kontr-nacjonalizmy, załamuje całą swą objektywną stronę... w czem styka się z żywiołami narodowo obojętnemi. Nacjonalizm polityczny polski, np. Z Wasilewskiego, Rybarskiego i innych, jest zarazem socjologicznym. Natomiast autorowie pouczających książek o zagadnieniu narodowem, Snitko, Szerer, uzasadniając nacjonalizm objektywny, sprzeciwiają się politycznemu, nie chcą odróżnić go od szowinizmu, który wszak jest już chorobliwym niedorostem objektywizmu narodowego, jak „nacjonalitaryzm" — przerostem!

puissance to „mocarstwo“ w znaczeniu dynamicznem, w znaczeniu siły, potęgi; *empire* zawiera moment strukturalny: będzie to organizacja narodowości, a raczej krajów, związanych węzłami rozmaitemi, od sojuszu militarno-gospodarczego począwszy, aż do autonomji terytorjalnej wewnątrz państwa, a skupionych dookoła jednego dominującego wybitnie ośrodka, „imperjum“. „Empire“ Johannet'a oznacza „potęgę“, ale też, i to przedewszystkiem, jako warunek potęgi, „imperjum“; odnośnie do Polski oznacza imperjum w kształcie państwa federalistycznego. Że tak jest faktycznie, niechaj świadczy ustęp ten:

> Czyż od szeregu lat nie poszukuje się w federaliźmie formuły kompromisowej dla rozbieżnych potrzeb nacjonalizmów, tam gdzie kompromis jest możliwy i do pomyślenja? W jednem z najbardziej znaczących dzieł o filozofji dziejów polskich p. t.: *Europa i Polska* p. Eug. Starczewski mówił w r. 1913: »Austrja jest państwem przyszłości«, rozumiejąc przez te słowa, że ustrój austro-węgierski jest próbą, nieraz szczęśliwą, autonomji federalistycznej, ku której dąży państwo współczesne (LV).[1]

I dalej, już wyraźnie: „Oto Polska marzy o uzyskaniu swych granic historycznych przez federację z Ukrainą i Litwą“ (*ibid.*).

Johannet ufa — skoro idzie o Francję, — że koncepcja federalistyczna, górę wziąwszy w umysłowości współczesnej, pozwoliłaby jej „osiągnąć w Belgji, a przedewszystkiem w krajach nadreńskich, pewne korzyści ekonomiczne czy wojskowe, niezgodne (dziś) z praktyką zbyt ścisłą unitaryzmu demokratycznego“ (LVI).

Sytuacja Polski podobna jest do sytuacji Francji. Wprawdzie, idąc po tej linji, której punktem finalnym jest państwo jednonarodowe, nacjonalizm polski zrzeka się dla Polski pełnych granic historycznych na wschodzie, — niemniej jednak zmuszony jest włączyć w granice polskie część obszarów, na których ludność ruska stanowi liczebną większość, zmuszony ze względu na konieczność dochodzenia innego postulatu — mocarstwowego.

---

[1] Starczewski w swej *Sprawie polskiej* (1912) powiada: „Odosobnienie się każdej narodowości w oddzielny organizm nie może pozostać ideałem przyszłości. Pojęcie państwa staje się obszerniejszem od pojęcia narodowości. Małe państwa staną się wkrótce anachronizmem, a z idei narodowościowej pozostanie tylko postulat, by jedna i ta sama narodowość nie podlegała kilku państwowościom“. (122). W polityce polskiej był zwolennikiem programu nie niepodległości, lecz zjednoczenia — a to w imperjum niemieckiem...

Ten fakt każe poniekąd zrozumieć — aczkolwiek nie godzić się nań — program federalistów polskich: Oni wychodzą z założenia, że obecne granice Polski są nieodpowiednie, gdyż, rozcinając kraje ruskie, po obu stronach swoich wywołują dążenie do zrostu; skoro zaś zrost ten nie powinien do skutku przyjść kosztem Polski, to już niech Polska stanie się kadrą dla niego, opiekując się ruską tendencją do zjednoczenia, przyrzekając najszerszą autonomję wewnątrz polskiego imperjum. I przyznać należy, że ta koncepcja mocarstwowa nie jest pozbawiona pewnej wielkości.

Niestety, trzeba sobie zdać sprawę, iż koncepcja ta, teoretycznie logiczna, w praktycznych swoich konsekwencjach jest dla Polski conajmniej wysoce niebezpieczna: Wstępem do państwa federacyjnego musiałaby być autonomja terytorjalna ziem wschodnich, której niewątpliwie użytoby do wyrzucania nas z za Sanu, Buga i Niemna. A następnie: Program zbierania Rusi wplątałby nas w wiekowy konflikt z Moskwą, odpychaną tym sposobem od morza, przyczem mocno problematyczną byłaby wartość przedmiotu gry naszej. A mianowicie, więcej niż wątpliwem jest, czy „oswabadzane" przez nas i federalizowane szczepy ruskie do tyla zdołałyby i pragnęły z kultury rosyjskiej wyodrębnić się, aby móc i chcieć dać nam w tym wielkim i żmudnym konflikcie należyte poparcie? Na to trzebaby móc dać niewątpliwą zgoła odpowiedź afirmatywną, aby uzyskać prawo oblewania polską krwią dostępu do kijowskich cerkwi!... Po trzecie wreszcie, wzgląd na bezpieczeństwo granic zachodnich, które są granicami Polski rdzennej, na konieczność mocnej postawy wobec tego z przeciwników naszych, który jest przeciwnikiem iście fatalnym — bo krzyżują się fatalnie kierunki ekspansji, nasz ku morzu na północ i ich na wschód — zakazuje nam ryzykownych eksperymentów na wschodzie. Tak więc koncepcja federalistyczna i równoważnik jej, koncepcja państwa narodowościowego, są całkiem nie do przyjęcia.

Gdy zaś nie do pomyślenia jest koncepcja Polski etnograficznej, to pozostaje kłopot z tym poniekąd „dwulicowym" charakterem granic polskich na wschodzie.

Polska musi byc mocarstwem — ale żeby być niem, trzeba mieć nietylko ludność obfitą i granice obszerne — trzeba być mocno skonsolidowanym: trzeba więc dążyć do zmniejszenia „dwulicowego" charakteru granic naszych, do tego, ażeby one coraz bardziej stawały się granicami zgody na Polskę.

Wzorem normalnym państwa narodowego jest państwo jednonarodowe. Państwo narodowe, posiadające w łonie swem jakąś znaczną ilość obywateli narodowości obcej, zdąża w kierunku swej jednonarodowości przez asymilację narodową owej mniejszości. Ale tu właśnie występuje owa nieznośna „dialektyka nacjonalizmu", którą podniosłem.

V

Ostatecznie więc, dla narodowca polskiego, rozmyślającego nad książką Johannet'a, kwestja przedstawia się tak:

Z jednej strony przyznać mu trzeba rację, kiedy mówi o niepokoju, wniesionym w Europę przez ideę narodowości, o groźbach z jej powodu dla międzynarodowego pokoju; a przedewszystkiem zgodzić się trzeba na to, że idea państwa jako całości geograficzno-gospodarczej, państwa obszernego i w imię owej całości przekraczającego granice rozsiedlenia etniczno-językowego — że idea ta jest dla Polski pożyteczną, rzec można, konstytutywną. I byłoby dla nas pożądanem, aby ona górę wzięła w opinji europejskiej i w opinji tych, z którymi na współżycie skazani jesteśmy; czyż np. nie byłoby dla nas wygodnem, jeśliby np. w takim Gdańsku górę wzięła nad nacjonalistyczną idea gospodarcza, prowadząca do zgodliwego z Polską pożycia, wcielenia się w nią? Ale znów zgodzić się nie można na te przesłanki, które autora naszego przywiodły do wywyższenia idei państwa ponad ideę narodu — bo to nas Polaków, doprowadziłoby do konfliktu z naszą własną świadomością dziejową; a przedewszystkiem, na wywyższenie to, z tego się względu nie można zgodzić, iż ono w praktycznych swych konsekwencjach jest groźnem: Wprowadza koncepcję Polski jako państwa narodowościowego, czyli państwa mającego być organem kilku naraz narodowości, nietylko naszej — co znów pociąga za sobą autonomizm, federalizm i t. p. eksperymenty zgoła nieobliczalne. Jak dotąd, nam tylko Polakom na Polsce zależy i dopóki z całą oczywistością to się nie zmieni, nie możemy, bez narażania się na rozdarcie, sterem państwa polskiego dzielić się z kimkolwiek.

W ten sposób koncepcja wyższości państwa nad narodem jest dla nas zarazem pożądaną i niepożądaną: pożądaną, o ile wyraża rację posiadania terytorjalnego Polski, która, jeśli ma żyć, to musi być mocną, obszerną, zasobną w bogactwa, w możność szerokiego

oddechu, dobrze zagospodarowaną; niepożądaną zaś jest koncepcja ta, o ile wzywa nas do ryzykownego w danych okolicznościach dzielenia się sterem państwa z mniejszościami narodowemi.

Musimy jednak w swej własnej świadomości ułożyć te sprawy tak, aby móc żyć z prostem sumieniem: wewnętrzna wygoda i swoboda potrzebna jest do śmiałego rozpędu życia. Co więcej, mamy na wychowaniu ludność niepolską i musimy stworzyć koncepcję niekłamliwą pożycia wspólnego. Musimy za nich przemyślać ich problemat życia w naszem państwie, naszą myślą im umożliwić pokojowe współżycie z nami. Do nas to należy — bo jesteśmy władcami państwa. To obowiązuje.

Oczywiście, przesłanki naszej myśli muszą być odsłonione uczciwie. Zgóry nam samym musi być wiadomo, że nasza myśl będzie „tendencyjna": że nie wymyślimy niczego, coby mogło doprowadzić do osłabienia Polski; przecież żaden człowiek na serjo nie myśli i nie mówi co innego, niż tylko to, co uczynić musi. Dlaczegóżby inaczej miało być akurat w sprawach narodowych — jak chcieliby humanitaryści przesądni?... Ale, w ramach tej naszej nieodwołalnej konieczności, nie zrzekajmy się możliwości znalezienia objektywnej — nb. w tej mierze! — koncepcji pokojowego ułożenia stosunków międzynarodowych wogóle, i w Polsce w szczególności. I zdaje mi się, że, ogólnie rzecz biorąc, drogi wyjścia ze sprzeczności między ideę narodowościową a ideą państwa — państwa zdolnego do prawdziwego życia, swobodnego, bezpiecznego, zagospodarowanego dobrze — szukać należy zapomocą tego oto rozróżnienia: Rozróżnienia między masywem narodu a ukrainnymi jego fragmentami. Nikt dziś, żadna antynacjonalitarna argumentacja nie sprawi, ażeby główne masywy narodów w opinji polityczno-moralnej świata współczesnego nie miały prawa do samostanowienia. Zasada ta należy już do integralnych składników świadomości cywilizowanego człowieka: kosztowała zbyt drogo.[1] W tem sens jej: skoro cennym typ polityczny —

[1] I tu wróćmy do incydentu Johannet-Durkheim, który nas powyżej zastanowił: Durkheim wyraził pewien oczywisty zgoła, nieodrzucalny, co więcej, cenny z rozmaitych względów postulat współczesności, ale zarazem Durkheim powinien był mieć na uwadze bezpieczeństwo Francji; do tego była potrzebna opinja zjednoczona narodu francuskiego, opinja, któraby była domagała się, ażeby zwycięstwo doprowadzić aż do końca, wroga powalić i z bagnetem na gardle dyktować mu pokój: pokój, któryby nie powoływał

typ człowieka roszczącego sobie prawo do twórczości politycznej — a z drugiej strony, skoro cenną jest świadomość godności „rasowo"-kulturalnej — to kombinacja przeświadczeń tych wytwarza postulat moralnie ważny państwa narodowego.

Nie ma natomiast uzasadnienia dążenie fanatyczne do tego, aby każdy fragment, każdy okrawek narodowy, bez względu na geograficzne i gospodarcze potrzeby większości, wśród której znalazł się, uzyskał niepodległość. Ten fanatyzm faktycznie, jak to akcentuje dobitnie Johannet, podaje w wątpliwość wszystko wszędzie, grozi wojną o każdej porze i na każdym rogu.[1]

Jest coprawda ten kłopot z zalecaną dystynkcją, że naród jest właściwie całością jednorodną, to znaczy, że każda cząstka narodu z osobna biorąc, uważa się za naród jako taki, bez względu na to, czy jest elementem narodowego masywu, czy też ukrainnym fragmentem.

Nie pozostaje chyba nic innego masywowi narodowemu, jak prowadzić własną politykę — i w razie, jeśli w zakres jego celów państwowych przyłączenie oderwanych fragmentów wchodzić nie może, z jej irredentyzmem politycznym wobec jej państwa — (roztaczając zresztą nad nią opiekę kulturalną) — nie solidaryzować się. Ten postulat ma w tem miejscu znaczenie propozycji polityczno-moralnej.

W ogólności o to idzie, ażeby w każdym poszczególnym wypadku z osobna rozważyć, czy pomiędzy interesami naszemi a interesami sąsiedniego państwa względnie narodu, istnieje sprzeczność tragiczna, t. j. nie dająca się usunąć przy najlepszej obustronnej woli do kompromisu — czy też akcydentalna, dająca się przy stłumieniu obustronnych szowinizmów rozwiązać pokojowo. Że poszukiwanie rozwiązań pokojowych jest obowiązkiem sumiennego męża stanu, to nie ulega chyba wątpliwości. A grzechem —

---

się na żadne zasady, prócz tej jednej, w podobnym wypadku najwyższej: kto jest zagrożony w samym bycie, temu do obrony przysługują wszelkie środki. I jeśliby Durkheim tej intencji przeciwdziałał, to zrozumiałym byłby motyw oburzenia nań realnie myślącego patrjoty.

[1] W rosyjskich dyskusjach emigracyjnych, odbytych w Pradze w latach 1921 i 1924, już nietylko Ukraińcy, Białorusini, Gruzini, Górale kaukascy i inni, ale nawet Kubańcy żądali dla siebie niepodległości! (Por. Wasilewski L. *Samookreślenie narodów dawnej Rosji, Przegląd Współczesny* nr. 64, 1927). Zupełny rozkład geograficznej całości!

w naszych polskich zwłaszcza warunkach — jest pacyfizm instynktu — nie pacyfizm myśli!

Tam natomiast, gdzie zachodzi sytuacja tragiczna, tam nie pozostaje nic innego, jak gotowym być, w oparciu o sprzymierzeńców, mających te same lub podobne co my, zadania Tu zgodzimy się z realistą politycznym, R. Johannet'em, z jego starą, ale niezastąpioną receptą równowagi!

Nie dociągając więc, ani z jednej strony, do ostatnich konsekwencyj zasady państwa jednonarodowego, ani, z drugiej strony, nie godząc w same istotne założenia tej zasady, znajdujemy, zdaje się, możliwie objektywną i przybliżoną wytyczną współżycia narodów. W takim eklektyźmie niema wstydu. Niema bowiem żadnego powodu do żądania, ażeby pomiędzy wszystkiemi wartościowemi postulatami człowieka — w danym wypadku pomiędzy postulatami udatnego życia całości gospodarczo-geograficznych, a postulatami narodowego zjednoczenia — zachodziła koniecznie doskonała zgodność!...

Wracając do naszych polskich zagadnień, jedynie dającą — ze względów limitarnych — do myślenia, wydaje mi się kwestrja ruska (małoruska). Otóż zdaje się. że sytuacja polsko-ruska tragiczną nie jest. Główny masyw narodowości ruskiej jest poza granicami Polski. Jeśli Rusini zdolni są do wytworzenia własnego życia narodowego, to Kijów nie Lwów powinien być ogniskiem — i nad Dniestrem, nie nad Sanem, jego główne złoża. Dla nas niema najmniejszego powodu, abyśmy nasze posiadanie tej od wieków wspólnej ziemi i tego polskiego miasta, tem droższego, że krwią dobrą świeżo oblane i odbite bronią — abyśmy posiadanie to mieli w najmniejszym choćby stopniu w sumieniu naszem podważać.

Co do nas, to nacjonalizm objektywny każe nam wyznać, że skoro raz już świadomość narodowa ruska została puszczona w ruch, to już tylko żywioły ruskie patrjotyczne są temi, z któremi polityka nasza powinna się liczyć, a to z tego prostego powodu, że to są żywioły najżywotniejsze, więc najwpływowsze w swem społeczeństwie; ale też nasz uczuciowy objektywizm, poprostu sprawiedliwość, musi przed sobą postawić zadanie, ażeby obmyśleć zasadę, na podstawie której żywioły ruskie patrjotyczne, bez utraty patrjotyzmu, bez utraty poczucia etniczno-kulturalnej godności, znaleźć mogą szczery i rzetelny

modus vivendi z Polską. Idzie o zasadę wychowawczą, która i nas zobowiąże.

Musimy więc wyjaśnić dokładnie i ustalić, na użytek nasz własny i naszych obywateli mniejszościowych, stosunek wzajemny patrjotyzmu państwowego i narodowego; pojąć musimy, że pojęcie patrjotyzmu państwowego, jest logicznie niezbędnym warunkiem wychowania, którem i nie-Polaków w Polsce obejmujemy. To wymaga przyznania że państwo, będąc w zasadzie funkcją narodu państwotwórczego, nie jest przecież do tyla pozbawione własnej substancji, własnych autonomicznych wymogów i celów, aby pojęcie patrjotyzmu państwowego miało być fikcją.

To stwierdzenie byłoby dla nacjonalisty korzyścią odniesioną z przeczytania książki autora, który wprawdzie nacjonalistą *sensu stricto*, w sensie światopoglądu politycznego, nie jest — ale jest gorącym a twardym patrjotą narodu, będącego w położeniu nieco podobnem do naszego.

*

Ponadto, ta jest jeszcze racja, która powinna ludziom z pośród narodów słowiańskich w Polsce dać nieco do myślenia: „Polski inaczej uważać nie można, jak za dobrowolne zespolenie się ludów słowiańskich, przeczuwających, że tym tylko sposobem obcego jarzma uchronić się zdołają“ — powiada jeden z wybitnych naszych publicy tów ubiegłego wieku (J. Alcyato). Nie przypuszczajmy, — my sami nie przypuszczajmy — że ta „misja“ Polski już się wyczerpała: Z najwyższym, na jaki nas stać, nakładem wyobraźni historycznej wniknijmy w „ducha epoki“ oraz polską sytuację dziejową: Polska raz powalona odsłania nietylko własne łono rasie germańskiej na łup, lecz i inne narodowości słowiańskie. I pamiętajmy, że epoka nasza to epoka rady alnego przewartościowania etyki chrześcijańskiej i wogóle humanitaryzmu. Czytajcie współczesnych, czytajcie Niemców! Zaczęłoby się od bezwstydnego wyzysku gospodarczego — ale niema powodu wątpić, że skończyłoby się na zepchnięciu ras podbitych na poziom zbliżony do antycznego niewolnictwa. Uśmiech powątpiewania? Ależ wszystko i zawsze może się jeszcze powtórzyć. Tylko „mitologizm po-

stępu" — (działający nieświadomie u wielu nawet, co się postępowości na gwałt wypierają!) — może o tem wątpić. Niewola polityczna w. XIX, to sielanka wobec niewoli wieków przyszłych! I pamiętajmy, że epoka nasza, rzeczowa nawskróś, a błyskawicznie pospieszna, załatwi się w ciągu jednego lub dwu pokoleń z tem, na co dawniej potrzeba było wieków.

Ludzie niedojrzali mogą zaślepiać się w nienawiści do Polski, spiskować z jej wrogami, liczyć na Niemca, nie bać się jego darów; ale nie traćmy nadziei, że żywioły z pośród naszej mniejszości ruskiej rozważne, obznajomione z intencjami epoki, a niemieckiemi w szczególności, obdarzone wyobraźnią historyczną, zrozumieją w pewnej chwili, że potrzebną jest Polska — Polska mocna, więc wielka — nietylko nam, lecz i im także: dla ochrony naszych i ich pokoleń przed rzeczą najstraszniejszą — przed poczuciem rasowego poniżenia. Czyż może być zadanie straszliwiej konkretne?...

(Że, niezależnie od tych bądź co bądź dalszych perspektyw, Polska aktualnie spełnia zadanie bastjonu cywilizacji chrześcijańskiej od Bolszewji, i że ten wzgląd powinien ważyć wiele u tych wszystkich nie-Polaków w Polsce, którym naprawdę na cywilizacji tej zależy — to chyba nie potrzebuje dowodzenia).

*

Autor *Principe* bywa trzeźwym.. aż do utraty zdrowego sądu: nie dostrzega realnego znaczenia podniet „idealnych" [1]; ale jednak, pożytecznem jest dla czytelnika, temu jego duchowi trzeźwości poddać się — oczywiście w dozie należytej: Usposabia do oceny zagadnień tak skomplikowanych, jak narodowe, spokojnej i rzeczowej, według skali nie zewnętrznego efektu, lecz rzeczywistej ważności. W takiej atmosferze dialektyka nacjonalizmu może się łagodzić: mogą odnajdywać się zadania dziejowe wspólne i w ten sposób zmniejszać się powierzchnie narodowego *ressentiment* — tak żywego zwłaszcza u narodów dorastających.

---

[1] Już Gumplowicz mówił z niechęcią o pretensjach małych narodków, co, nie przeszedłszy trudu historycznego, żądają dla siebie tych samych wszystkich praw, co wielkie historyczne narody. Ale cóż? Powiedzą na to, że samo wyegzekwowanie tych pretensyj będzie właśnie historją i przeto — ich sankcją!

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Genewa, Haga, Londyn

1

Przeglądając dzienniki, mimowoli nasuwa się refleksja, że program polityczny zeszłego miesiąca był nieco zbyt przeciążony: ledwie zdążono w Hadze podpisać dokumenty, ustalające ostatecznie stosunek między wierzycielami a dłużnikiem, już mikrofony rozgłosiły na cały świat mowę króla Jerzego, inaugurującą obrady nad ograniczeniem zbrojeń morskich; niemal równocześnie Rada Ligi Narodów kończyła swą sesję w Genewie.

Wtłoczone między dwie konferencje, z których jedna zlikwidowała wojnę, a druga ma jej na przyszłość zapobiec, narady genewskie nie mogły zająć opinji świata do tego stopnia, co zwykle. Przytem skąpo wymierzony czas zmusił Radę do wyczerpania w ciągu czterech dni porządku dziennego, który nie zawierał zresztą żadnych sensacyj.

Najważniejszą dla przyszłości sprawę uzgodnienia statutu Ligi z paktem Kelloga poruczono Komisji, w której skład wszedł między innymi min. Sokal, jako przedstawiciel Polski. Jej zadaniem będzie usunąć ze statutu postanowienia, umożliwiające pod pewnymi warunkami wojnę, którą podpisany przez wszystkich członków Ligi pakt Kelloga uznał za niedopuszczalny środek polityki państw.

Wielkie znaczenie dla ugruntowania ekonomicznej współpracy między narodami możnaby przypisać uchwale, która zwołuje na 17-go lutego konferencję, poświęconą t. zw. rozejmowi celnemu. Udział w niej zgłosiło dotąd 30 państw — gdyby się wszystkie zobowiązały w ciągu 2 do 3 lat nie wprowadzać nowych ceł i nie podnosić obecnych — postęp byłby niewątpliwy. Ale ostatnie miesiące dostarczyły licznych dowodów na to, jak niechętnie państwa rezygnują ze swobody w dziedzinie ekonomicznej na rzecz ogólnie obowiązujących norm międzynarodowych. W zeszłym miesiącu rozbiły się rokowania o ustalenie powszechnej normy czasu pracy w górnictwie węglowem; listopadowa konferencja w Paryżu nie potrafiła wprowadzić liberalnego ducha do przepisów, regulujących w poszczególnych państwach stanowisko obcych obywateli; nawet podpisana już konwencja o zniesieniu zakazów wywozu i przywozu nie weszła w życie dlatego, że jej Polska i Czechosłowacja nie ratyfikowały. W tych warunkach do poczynań konferencji celnej wypadnie się odnieść równie życzliwie jak sceptycznie.

Skargi mniejszości niemieckiej w Polsce i polskiej w Niemczech, które od jakiegoś czasu stanowią niezmienną część repertuaru Ligi, zostały oddalone po wyjaśnieniach obu zainteresowanych rządów. Jakiż sens ma pieniactwo Volksbundu wobec tych stale powtarzających się orzeczeń? Napewne mniej mu chodzi o przeprowadzenie swych postulatów, jak o to, aby opinia światowa o granicy polsko-niemieckiej nie zapomniała. Nic dziwnego, że w trosce o utrzymanie pewnej równowagi Związek Polaków w Niemczech nie chce pozostać w tyle ze swemi skargami, które, bez względu na swą merytoryczną słuszność, wydają się mało celowe.

Ważniejsze w każdym razie od tego mniejszościowego kontredansu były poufne rokowania, które w Genewie przeprowadzili przedstawiciele Polski i Niemiec. P. Zaleski, który jako prezydent Rady, otwierając jej sesję, poświęcił piękne słowa pamięci Stresemanna, a na zakończenie ocenił dziesięcioletnią działalność Ligi dla pacyfikacji świata, przez samo nawiązanie rokowań z p. Schubertem dał dowód, że pojednawcze nastroje reprezentowanej przezeń Polski nie wyczerpują się w samych słowach, lecz znajdują wyraz w daleko posuniętej ustępliwości. Oto bowiem w dwa miesiące po zawarciu układu z 31-go października Niemcy spostrzegły się, że niektórych z jego postanowień przyjąć nie mogą i zażądały przeprowadzenia pewnych zmian. Na taką procedurę, w stosunkach międzynarodowych dość niezwykłą, nie mógł się oczywiście p. Zaleski zgodzić. Idąc jednak możliwie daleko na rękę swym partnerom, przystał — wedle informacyj prasy niemieckiej — na uzgodnienie wykładni wspomnianych postanowień. Chodziło o ściślejsze niż w traktacie określenie, w jakich wypadkach będzie rząd polski w y j ą t k o w o korzystał z prawa pierwokupu osiedli kolonistów niemieckich, którego się zasadniczo zrzeka.

Nie mogły się za to Niemcy spodziewać uzyskania jakichkolwiek zmian w pierwszej, najważniejszej dla Polski części układu, anulującej obustronne pretensje pieniężne. Co więcej, rząd polski, zawiadamiając konferencję haską o treści odnośnych postanowień, podkreślił ich ścisły związek z planem Younga. W tych warunkach trudno będzie Reichstagowi odmówić likwidacji swego zatwierdzenia mimo niechęci, którą w Niemczech budzi.

Jak wiadomo, i w Polsce ma układ wielu przeciwników, których stanowiskiem mieliśmy sposobność jeszcze w grudniu się zająć. Słusznie też p. Zaleski w wywiadzie, udzielonym przed wyjazdem z Genewy, wskazał na szkodliwą działalność kół, które krzywem okiem patrzą na każdą próbę normalizacji polsko-niemieckich stosunków. Dotyczy to również sprawy traktatu handlowego, który jeszcze niedawno jedno z pism polskich przedstawiało jako prawdziwą klęskę. Nie chcemy badać, czy korzyści, któreśmy dotąd z wojny celnej wyciągnęli, były rzeczywiście tak wielkie. Ale przecież najprostszy rozsądek wskazuje, że na dłuższą metę trudno za zdrowe i pożyteczne uznać warunki, sztucznie hamujące wymianę

handlową z krajem, który z natury rzeczy powinien być naszym głównym dostawcą i odbiorcą. Ufamy więc, że rokowania handlowe, których wznowienie ułożyli w Genewie pp. Knoll i Rauscher, nie zawiodą tym razem pokładanych w nich od tak dawna nadziei.

2

Pomyślne zakończenie Konferencji Haskiej nie było dla nikogo niespodzianką. Pamiętając jednak wszystkie przeszkody, które począwszy od deklaracji genewskiej zainteresowanych mocarstw z 16 go września 1928 r., trzeba było przezwyciężyć, niesposób odmówić i zręczności i dobrej woli tym, którzy dzieło ostatecznego uregulowania reparacyj doprowadzili do szczęśliwego końca. Zresztą i ostatni jego etap był żmudny, choć nie obfitował w tak dramatyczne momenty, jak pierwsza, sierpniowa, część konferencji, na której Snowden przyjął rolę głównego aktora. Tym razem uzyskawszy wszystko, co zamierzał, występował zawsze solidarnie z innymi wierzycielami Niemiec.

Na tę zmianę stanowiska wpłynął — napewne mimowoli — prezydent Banku Rzeszy, Schacht, który w swym słynnym memorjale do rządu niemieckiego najostrzej wystąpił przeciwko korzyściom, które kosztem Niemiec Snowden umiał Anglji zapewnić. Równie wątpliwą usługę oddał Schacht swemu krajowi, oświadczając, że Bank Rzeszy tylko wówczas przystąpi do Banku reparacyjnego, jeżeli wykonanie planu Younga przez Niemcy nie będzie obwarowane żadnemi sankcjami karnemi. Stawiając te czysto polityczne warunki, Schacht, jako prosty ekspert delegacji niemieckiej, przekroczył znacznie swój zakres działania. Toteż wszyscy delegaci postanowili przejść nad jego oświadczeniem do porządku dziennego. Ministrowie niemieccy postarali się nawet zapewnić wbrew jego woli. udział Niemiec w Banku reparacyjnym, bez czego plan Younga nie mógłby wejść w życie.

Mimo wszelkich usiłowań nie udało się Niemcom zepchnąć z porządku dziennego niemiłej dla nich sprawy sankcyj. Ale odnośne noty, które mocarstwa między sobą wymieniły, regulują ją w sposób mocno rozwodniony. Przedewszystkiem znika komisja reparacyjna, złożona z przedstawicieli państw wierzycielskich, która dotąd wyłącznie decydowała, czy zawieszenie wypłat jest wynikiem złej woli Niemiec, czy rzeczywistej niemożności. W przyszłości ma to rozstrzygać Trybunał Międzynarodowej Sprawiedliwości w Hadze, na wezwanie któregokolwiek z wierzycieli. Jeśli orzeczenie będzie dla Niemiec niekorzystne, pokrzywdzone mocarstwo odzyskuje zupełną swobodę działania. Ostatnie zastrzeżenie wydaje się conajmniej zbyteczne. Boć swoboda działania, w granicach prawa oczywiście, przysługuje zawsze temu, któremu kontrahent umowy nie dotrzymał. Inna rzecz, jak daleko będzie ona w praktyce sięgać. Trudno przypuszczać, aby Francja, o którą tu głównie chodzi, chciała i mogła

skorzystać z prawa reokupacji Nadrenji, przyznanego przez traktat wersalski wierzycielom na wypadek, gdyby Niemcy odmówiły spełnienia swych zobowiązań. Wobec wyraźnej niechęci jej byłych aljantów, zwłaszcza Anglji, do chwytania się takich środków, samodzielne wystąpienie Francji zostałoby raczej uznane za krok wojenny, niż za wykonanie traktatowych uprawnień. Jak widzimy, fundamentem nowej konstrukcji reparacyjnej jest przedewszystkiem dobra wola Niemiec, wzmocniona koniecznością gospodarczej współpracy, którą wszyscy sygnatarjusze planu Younga muszą podjąć.

Znamiennym jej przejawem jest wspólna operacja kredytowa, którą Francja i Niemcy zamierzają w Ameryce przeprowadzić. Kredyt w wysokości 300 miljonów dolarów będzie uruchomiony zapomocą obligacyj, przedstawiających pierwszą transzę skomercjalizowanej części długu niemieckiego. Jednakże Francja otrzyma stąd tylko około 200 miljonów tytułem reparacyj, reszta zaś przypadnie kolei i poczcie niemieckiej. Pośrednikiem w tej całej operacji będzie, zgodnie ze swem przeznaczeniem, Bank reparacyjny, który z wiosną swą działalność w Bazylei podejmie. Nie chcemy wyolbrzymiać roli, którą w przyszłości odegra. Ale samo jego powstanie najlepiej uwydatnia niespotykaną dotąd współzależność interesów gospodarczych, a przedewszystkiem finansowych poszczególnych państw. Trudno nie widzieć w tem rękojmi pokojowego rozwoju ich wzajemnych stosunków.

Sprawą drugorzędnej wagi, ale nastręczającą w Hadze największe trudności, były t. zw. reparacje wschodnie czyli długi wojenne Austrji, Bułgarji i Węgier wobec państw Małej Ententy. Austrja ze względu na swe trudne położenie finansowe oraz bezpieczeństwo międzynarodowych pożyczek, które zaciągnęła, została ze swych zobowiązań wojennych niemal zupełnie zwolniona. Bułgarja będzie po kilkoletniem moratorjum płacić po 11 miljonów frs. zł. rocznie. Układ z Węgrami natomiast komplikowała przedewszystkiem obustronna nieufność, która ich stosunki z Małą Ententą cechuje. Pozatem nadzieja na poparcie Włoch utwierdzała ich w oporze. Ale i pod względem czysto rachunkowym przedstawiała się rzecz niezwykle zawile. Cały szereg obywateli (t. zw. optantów) węgierskich zgłosił bowiem do państw Małej Ententy roszczenia z tytułu swych posiadłości, które te państwa w dawniejszych węgierskich prowincjach zlikwidowały. Ostatecznie państwa Małej Ententy pretensje te uznały i wyrównają, ustępując naciskowi Wielkich Mocarstw. Sprawa optantów węgierskich zniknie więc wreszcie z porządku dziennego Ligi, która od szeregu lat bezskutecznie się z nią borykała. Węgry ze swej strony mają tytułem reparacyj i innych zobowiązań zapłacić do r. 1966 koło 450 milj. kor. zł.

Wraz z zamknięciem konferencji haskiej problem reparacyj, który zaciążył nad całem ubiegłem dziesięcioleciem, został ujęty w formy, które wszyscy zainteresowani uznali za definitywne. Ale któż może przewidzieć, jak się ułożą polityczne i społeczne wa-

runki w ciągu tych 60 blisko lat, na które plan Younga płatności Niemiec rozkłada? Ich rozwój będzie w pierwszym rzędzie zależał od stanowiska, które Ameryka zajmie wobec naszego kontynentu. Wszak równolegle do rocznych rat niemieckich biegną spłaty należne jej od byłych sprzymierzeńców. W ciągu tych 60-ciu lat musiałby więc przez Atlantyk płynąć nieprzerwany strumień złota ze wschodu na zachód, aby stąd znowu powracać w postaci towarów i kredytów, których wreszcie nikt spłacić nie potrafi. Sądzimy, że wcześniej czy później będzie musiała Ameryka w tych warunkach zrewidować swoje stanowisko wobec długów wojennych. Inaczej grozi Europie ruina, zdolna zachwiać także podstawami owej „prosperity", z której Amerykanie są tak dumni.

3

Konferencja londyńska, otwarta 21-go stycznia z ceremonjałem charakteryzującym stosunki angielskie, przyniosła zaraz na wstępie szereg niespodzianek. Jedynie król Jerzy i MacDonald utrzymali swe mowy w granicach ogólników, zwykłych przy tego rodzaju okazjach. Inni delegaci natomiast z punktu sprecyzowali stanowisko, które w ciągu obrad zajmą Gdy jednak chciano do nich przystąpić, okazało się, że program konferencji nie jest wcale przygotowany, tak że trzeba go było dopiero we wstępnych rokowaniach opracować.

Już ten brak rzucił znamienne światło na porozumienie mocarstw anglo-saskich, po których pierwotnie się spodziewano, że zdołają swój program, zgóry ułożony, pozostałym uczestnikom narzucić. Obecnie widać, że anglo-amerykańska jedność wykazuje jeszcze poważne rysy. Niewątpliwie i w Londynie i w Waszyngtonie pragną szczerze zapobiec dalszemu wyścigowi zbrojeń. Ale gdy Anglja dąży do ograniczeń, uświęcających jej obecny stan posiadania, Stany Zjednoczone wysuwają projekt wydatnego zmniejszenia sił morskich. W ten sposób będą mogły zaoszczędzić sumy, któreby należało wydać, chcąc osiągnąć poziom marynarki angielskiej. Z drugiej strony Anglicy chętnieby widzieli stopniowe wycofanie wielkich okrętów linjowych — broni wyraźnie ofenzywnej — do których znowu Amerykanie przywiązują wielką wagę. Także i co do innych problemów technicznych, a przedewszystkiem w kwestji prawa morskiego, panuje jeszcze znaczna rozbieżność zdań.

Nie mając przed sobą jednolitego frontu Anglosasów, czują się delegaci francuscy znacznie swobodniej, niż przewidywano. Nieugiętość premjera Tardieu, poparta zręcznością Brianda, potrafi tę korzystną sytuację napewno w pełni wyzyskać. Już przy otwarciu konferencji nie wahał się Tardieu z całym naciskiem przedstawić zasadnicze tezy francuskie: 1) konferencja może powziąć tylko nieobowiązujące uchwały, które przedstawi komisji Ligi Narodów, przygotowującej ogólną konferencję rozbrojeniową; 2) każde ogra-

niczenie zbrojeń francuskich musi być zrównoważone odpowiedniem wzmocnieniem gwarancyj bezpieczeństwa.

Pierwszy sukces odniosła dyplomacja francuska w tem, że istotnie pozostawiono chwilowo na boku sprawy techniczne, gdzie do zgody jeszcze tak daleko, a w poufnych rozmowach poświęcono uwagę przedewszystkiem sprawie bezpieczeństwa. W strefie europejskiej pomyślny wynik tych rokowań będzie tylko wtedy możliwy, jeżeli Anglja, Francja i Włochy porozumieją się nietylko co do tonażu swych flot, ale równocześnie załatwią wszelkie wiszące pomiędzy niemi spory. Ze strony angielskiej słusznie podkreślają, że bez tego każdy pakt gwarancyjny byłby świstkiem papieru, niczem więcej. Zważywszy niejasność stosunków francusko-włoskich, potrójny pakt gwarancyjny powinien więc być poprzedzony generalną ugodą między temi dwoma państwami.

W świetle daleko idących roszczeń włoskich nie wydaje się ona zbyt prawdopodobną. Pomijamy już kwestje czysto politycznej natury — przypomnijmy tylko, że naczelnym postulatem Włoch, na który Francja żadną miarą zgodzić się nie może, jest absolutna równość floty francuskiej i włoskiej. Pod tym warunkiem przystałyby zresztą chętnie na jak najdalej idące ograniczenie swych sił, nie mając oczywiście ani środków, ani ochoty doganiać tonaż floty francuskiej, przewyższający w te chwili o dwieście tysięcy ich własny. Zarysowuje się tutaj podobieństwo stanowiska włoskiego z amerykańskiem, które w późniejszych fazach konferencji może doprowadzić do wspólnego frontu.

Tymczasem jednak delegacja amerykańska trzyma się na boku. Jest to zupełnie zrozumiałe ze względu na jej obawę mieszania się w sprawy europejskie, które są obecnie głównym przedmiotem rokowań. W wyższej jeszcze mierze dotyczy to Japończyków, którzy jak dotąd zachowują postawę godną sfinksa.

Jak widzimy, pierwszy tydzień konferencji nie posunął jej prac ani o krok naprzód. Nikomu jednak bardzo się nie spieszy, skoro według ogólnych przewidywań konferencja potrwa przynajmniej kilka miesięcy.

H. Dembiński

Kraków, 27 stycznia 1930

KRONIKA EKONOMICZNA

1) Konjunktura rynków zagranicznych. 2) Kryzys polski na tle konjunktury światowej — układ likwidacyjny z Niemcami i układ węglowy z Anglją.

I

Wielokrotnie omawiano już przyczynę przewlekłego kryzysu gospodarczego, który daje się po wojnie odczuć wszystkim prawie państwom europejskim. Nadprodukcja przemysłowa, walka o rynki zbytu, chroniczne bezrobocie, wszystkie te problemy wystąpiły

w ostatnich latach po dokonanej stabilizacji walutowej we wszystkich krajach ze zdwojoną siłą. W związku z kryzysem coraz większą wagę przywiązuje się do badań konjunktury, których celem jest przynajmniej częściowe łagodzenie kryzysu przez ułatwienie produkcji odpowiedniego nastawienia.

Z końcem r. 1929 zestawił *Berliner Tageblatt* krótki przegląd wyników gospodarczych w roku 1929 i horoskopy konjunkturalne najważniejszych państw na przyszłość. Przytaczamy z tego zestawienia niektóre ciekawsze uwagi:

Dla Anglji rok 1929 nie był rokiem poprawy konjunktury. Producenci angielscy coraz ciężej walczą z konkurencją na rynkach światowych. Modernizacja i racjonalizacja przedsiębiorstw angielskich postępuje bardzo powoli; węgiel angielski dotąd nie odzyskał utraconych przez strajk w r. 1926 rynków, przemysł bawełniany i wełniany walczy z trudnościami wskutek ciągłych zatargów o płacę. Lekką poprawę sytuacji wykazał przemysł żelazny i maszynowy, co jednak poważniejszego wpływu na bilans handlowy nie wywarło. Spodziewana jest jednak ogólna poprawa konjunktury w związku z krachem nowojorskim i obniżką stopy procentowej.

Francja miała nadal w r. 1929 doskonałą konjunkturę, przemysł miał doskonałe zarobki, które pozwoliły na silne rozszerzenie i modernizację przedsiębiorstw. Kapitałowy rynek francuski wykazuje obecnie największą płynność ze wszystkich rynków wskutek powrotu pieniędzy spekulacyjnych z Nowego Yorku i nadwyżki bilansu płatniczego. „Pieniądz dzienny“ można uzyskać w Paryżu poniżej 3%. Francja zaczyna poszukiwać lokaty dla swoich pieniędzy na rynkach zagranicznych, w szczególności na rynku angielskim, a nawet niemieckim. Natomiast wciąż jeszcze daje się odczuć brak sił roboczych. Bilans handlowy francuski pogorszył się w r. 1929 zarówno wskutek spadku eksportu jak i zwiększonego importu, ale wobec dobrej konjunktury wewnętrznej nie wywiera to na razie żadnych złych skutków i sfery gospodarcze liczą się jeszcze z dłuższem trwaniem pomyślnej konjunktury.

We Włoszech od r. 1927, t. j. od czasu stabilizacji lira trwa okres depresji gospodarczej, który się zaznacza wysoką liczbą bankructw i protestów wekslowych, a niskim kursem nawet najpoważniejszych papierów przemysłowych (akcje „Fiat“ straciły w ciągu r. 1929 około 50% wartości). Są jednak oznaki poprawy, które pozwalają na przyszłość nieźle wróżyć. Bezrobocie nie powiększa się, a bilans handlowy wykazał znaczną poprawę, bo blisko miljard lirów, głównie wskutek zmniejszonego importu zboża; w roku bieżącym oczekuje się ogólnej poprawy.

W gospodarce Niemiec najcharakterystyczniejszą rzeczą jest poprawa bilansu handlowego postępująca stale z roku na rok. Eksport niemiecki od r. 1925 stale wzrasta, osiągając w r. 1929 kwotę 13.6 miljarda marek, wobec 9.5 w r. 1925, a 12.4 w roku ubiegłym; równocześnie import do Niemiec pozostał w stosunku do roku

ubiegłego prawie niezmieniony, wyrażając się nadal cyfrą 13.6 miljarda. Gorzej przedstawiają się stosunki kredytowe, a cyfra bezrobotnych wynosi miljon siedmset siedmdziesiąt tysięcy, t. j. przeszło o pół miljona więcej niż z końcem r. 1927, a o siedmdziesiąt tysięcy więcej niż z końcem r. 1928; w najbliższym okresie nie oczekuje się poprawy konjunktury, przeciwnie wielu przedsiębiorstwom grozi zamknięcie.

W Stanach Zjednoczonych katastrofa giełdowa pogorszyła sytuację, ale nie można mówić o kryzysie. Wprawdzie konsumcja spadła silnie, ale rozsądna polityka interwencyjna rządu i wielkich banków z jednej strony, a ogromne rezerwy kapitałowe, nagromadzone przez szereg lat z drugiej strony, osłabiają stagnację i udało się uniknąć ostrego spadku konjunktury. Zmniejszenie obrotów postępuje stopniowo i potrwa prawdopodobnie jeszcze kilka miesięcy, aż do ostatecznego rozwikłania skutków krachu giełdowego. Ale po tym okresie jeszcze w ciągu r. 1930 oczekuje się poprawy sytuacji.

II

Jakże się na tle tej ogólnej sytuacji światowej przedstawia sytuacja Polski? Nie ulega wątpliwości, że gospodarstwo polskie przechodzi obecnie kryzys Kryzys zaznacza się przedewszystkiem pod względem kredytowym. Liczba protestów wekslowych wynosiła we wrześniu 453.000, w październiku 503.000, w listopadzie 477.000; przyjmuje się dziś na 10% prawdopodobieństwo niewykupienia weksla w terminie. Ciągłe odnawianie kredytów wekslowych doprowadziło do tego, że w branży tekstylnej udziela się kredytów na 10 i 12 miesięcy. Objawy tego rodzaju, jak płacenie w handlu detalicznym wekslami rachunków na kwoty niewiększe niż 20 zł., są bardzo niebezpieczne. Brak kapitału ciągle jeszcze daje się tak odczuwać i stopa procentowa w wolnym obrocie wciąż jeszcze stoi bardzo wysoko ponad stopą oficjalną.

Pesymiści twierdzą, że kryzys leży w podstawach życia gospodarczego Polski i że poprawy można oczekiwać tylko w razie silnego zniżenia wydatków państwowych i gruntownej reformy całej polityki gospodarczej, przedewszystkiem zarzucenia celnej ochrony przemysłu, a silniejszego poparcia rolnictwa; takie głosy słyszy się przedewszystkiem z kół przemysłowych niemieckich, które chętnieby widziały zawarcie traktatu handlowego z Polską na tych warunkach, żeby pozwolić na nieograniczony import surowców i środków żywnościowych z Polski do Niemiec, za cenę zupełnego poświęcenia przemysłu polskiego, który pozbawiony ochrony celnej, niedługoby wytrzymał konkurencję z przemysłem niemieckim, pracującym w o wiele lepszych warunkach technicznych i kredytowych.

W sferach gospodarczych polskich, zwłaszcza zbliżonych do rządu, ocenia się sytuację znacznie korzystniej a pogorszenie konjunktury tłumaczy się przedewszystkiem ogólno-światowem pogor-

szeniem konjunktury, które musiało się odbić na rynku polskim tem silniej, że od czasu stabilizacji Polska weszła o wiele ściślej w obręb gospodarki światowej i jest coraz bardziej zależna od konjunktury ogólno-europejskiej, przedewszystkiem niemieckiej.

Poza trudnościami na rynku zbytu inne objawy kryzysu nie wystąpiły w groźniej formie. Wprawdzie liczba bezrobotnych była z końcem r. 1929 o jakie 25% wyższa niż z końcem r. 1928, ale jest to wzrost bezrobocia nieprzekraczający tempa wzrostu w innych krajach. Stan zamówień przemysłu żelaznego pogorszył się ogromnie, spadając w listopadzie na 27.000 tonn, a więc poniżej połowy stanu zamówień z lipca. Pogorszenie dało się odczuć również w przemyśle drzewnym, tekstylnym i budowlanym. Poprawę wykazuje tylko górnictwo węglowe, którego produkcja w r. 1929 przekroczyła w wielu wypadkach stan przedwojenny. Również wyniki zbiorów o wiele pomyślniejsze niż w r. 1928 zaznaczyły się już poważnem zmniejszeniem deficytu bilansu handlowego.

Nie ulega wątpliwości, że odprężenie na światowych rynkach kredytowych i ogólna obniżka stopy procentowej powinnaby wpłynąć dodatnio na stosunki gospodarcze Polski; dotychczas nie potrafiliśmy zyskać sobie zaufania finansowego rynku francuskiego, który rozporządza znacznemi wolnemi kapitałami. Równocześnie zaś zapotrzebowanie robotników na rynku francuskim jest nadal silne i przedstawia dla emigracji polskiej nadal znaczne możliwości. Wobec przyjaznych stosunków politycznych, słabość węzłów gospodarczych łączących Francję z Polską jest czemś zupełnie nienormalnem.

Również uregulowanie stosunków politycznych i gospodarczych z Niemcami wpłynęłoby bardzo dodatnio na poprawę stosunków w obu krajach. Wskutek wojny celnej spadł udział Niemiec w polskim imporcie z 34.5% w r. 1924 na 22.8% w r. 1926 — i odtąd nie zdołał już przekroczyć 26.8%. Równocześnie polski eksport do Niemiec, który przed wojną celną wynosił 43.2% całego polskiego eksportu, spadł w r. 1926 na 25.4%, a nawet w r. 1928 wynosił jeszcze tylko 34.3%. Zawarcie traktatu handlowego ożywiłoby niewątpliwie stosunki gospodarcze polsko-niemieckie, gdyż Niemcy są z natury rzeczy najpoważniejszym dostawcą jak i odbiorcą Polski. Narazie na drodze do porozumienia zrobiono pierwszy krok: a mianowicie 31 października 1929 r. zawarto układ likwidacyjny, w którym oba państwa imieniem swojem i swoich obywateli zrzekły się wzajemnie pretensyj z tytułu rozrachunków przedwojennych i wojennych. Najpoważniejszym argumentem, który przemawiał za podpisaniem umowy przez Polskę był fakt, że Niemcy przed zupełnem spłaceniem reparacyj przewidzianych planem Younga, nie mogłyby Polsce nic zapłacić, że zatem zaspokojenia swoich pretensyj mogłaby Polska oczekiwać dopiero za kilkadziesiąt lat; niemniej umowa likwidacyjna jest w obu państwach silnie atakowana przez obozy nacjonalistyczne. Niemieccy nacjonaliści posuwają się

nawet tak daleko, że wysuwają rewizję umowy likwidacyjnej jako jeden z warunków zawarcia traktatu handlowego. Rokowania nad tym traktatem, które w listopadzie 1929 r. zdawały się już bardzo bliskie pozytywnego wyniku, obecnie znowu utknęły.

Natomiast doszedł do skutku w początkach stycznia 1930 r. w Londynie układ między polskimi a angielskimi producentami węgla co do minimalnych cen eksportowanego węgla. Od zakończenia strajku angielskiego zaczęła się na rynkach obcych, przedewszystkiem skandynawskich, walka między producentami angielskimi dążącymi do odzyskania tych rynków, a polskimi pragnącymi utrzymać te rynki opanowane w czasie strajku. W tej walce konkurencyjnej obniżano z obu stron ceny nieraz poza granice możliwości, co narażało oba kraje na silne straty, zmuszając je do podwyższania cen węgla na rynku wewnętrznym, aby pokryć straty poniesione przy eksporcie. Obecny układ co do cen kładzie kres tym niezdrowym stosunkom dumpingowym i ułatwi znacznie sytuację przemysłu węglowego w obu krajach. Prasa niemiecka podkreśla doniosłość tego porozumienia jako pierwszego kroku na drodze do międzynarodowego porozumienia węglowego; dotychczas bowiem walka konkurencyjna krajów produkujących węgiel doprowadzała do tak paradoksalnych rezultatów, że w krajach importujących węgiel, ceny węgla były niższe niż w krajach, które go produkowały i eksportowały. Konsument krajowy płacił koszta walki konkurencyjnej, a zyskiwał konsument krajów importujących. — Dla Polski układ ma doniosłość i z tego powodu, że wzmacnia pozycję Polski na rynku międzynarodowym, jako poważnego producenta i konkurenta, z którym inni producenci muszą się poważnie liczyć.

Leon Oberlender

OBCY O POLSCE

POLONIKA WŁOSKIE

I

Zacząwszy poprzednie sprawozdanie od pośmiertnego wspomnienia, dziś znów, niestety, tem samem wypada mi zacząć. Każda strata oddanej nam szczerze jednostki z pośród cudzoziemców jest zawsze bardzo ciężką i niełatwo ją powetować.

Z grona ludzi szczególnie dla sprawy polskiej we Włoszech zasłużonych ubył w lipcu 1929 r. jeden z najgorliwszych, ś. p. Sigismondo Kulczycki, profesor w rzymskiem liceum Tassa. Urodzony z polskiego emigranta, Władysława, poety i gorącego patrjoty — i z matki Włoszki, wychował się — podobnie jak jego brat zmarły przed paru laty — pod silnym wpływem ojca, ale w otoczeniu włoskiem. Uważał się za Włocha polskiego pochodzenia. Przez całe swoje życie sprawie polskiej służył według najlep-

szych sił jako literat, dziennikarz, prelegent, jako sekretarz rzymskiego Towarzystwa „Italia e Polonia". Wszystko, co się dla Polski robiło w dostępnym Mu zakresie, znajdowało w ś. p. Kulczyckim serdeczne, z głębi przeświadczenia płynące orędownictwo. Kultem Polski nietylko sam był przejęty, ale zaszczepiał go również w swojej rodzinie, podtrzymując w niej żywe tradycje polskiego pochodzenia. Odziedziczywszy po ojcu pociąg do twórczości literackiej, wyrobił sobie wielką łatwość pióra i żywego słowa. Z pomocą ojca przełożył w młodości wierszem *Pierwiosnek* Mickiewicza i ogłosił go w perjodyku *Ireos* z 1892 r. Natomiast dokonana w tymże okresie parafraza kilku *Sonetów krymskich* pozostała w rękopisie, ofiarowanym mi przez Zmarłego. Długą jest litanja Jego artykułów dziennikarskich o Polsce, ogłaszanych w różnych pismach, a zwłaszcza w *Corriere d'Italia*, pokaźną liczba poświęconych jej odczytów, których się zawsze z całą gotowością podejmował. Odwiedził nasz kraj kilkakrotnie, nawiązywał skwapliwie stosunki z Polakami, służył im zawsze chętnie radą i pomocą. Korzystałem z niej wiele w pierwszych tygodniach mej pracy w Rzymie i poznawszy go dobrze, tem lepiej oceniam stratę, jaką przez Jego śmierć ponieśliśmy na terenie rzymskim. W dziejach propagandy polskiej we Włoszech ma ś. p. Kulczycki osobną, pięknie zapisaną kartę. Cześć Jego pamięci!

*

Od ostatniego sprawozdania o polonikach włoskich (lipiec 1929) aż po koniec ubiegłego roku tyle się uzbierało nowego materjału, a prócz tego tyle jeszcze zostało do omówienia dawniejszych zaległości, że chcąc nie chcąc trzeba mi się ograniczyć do bardzo sumarycznego zestawienia i dla lepszego przeglądu podzielić materjał według pewnych grup.

Zacznę od publikacyj oryginalnych jako najcenniejszych. Najokazalszem wydawnictwem, dotąd nie omówionem na tem miejscu, jest książka, poświęcona sztuce w Polsce przez Uberto Franchino (*L'arte in Polonia*, Cenobio, Milano 1928, str. 200, 128 fotograficznych reprodukcyj). Autor, generał-medyk armji włoskiej, przebywał przez pewien czas w Polsce, a podróżował po niej wiele i zbierał notatki, odnoszące się do zabytków naszej sztuki. W przedmowie zaznacza wyraźnie, że celem jego jest wzbudzić zainteresowanie tą sztuką wśród swoich rodaków tem bardziej, że tyle jest w niej refleksów sztuki włoskiej. Dotkliwe braki w materjale ikonograficznym pomogło autorowi uzupełnić nasze M. S. Z., dostarczając mu wielu fotografij.

Obszerny, 50-ciostronicowy wstęp daje najpierw krótki pogląd na naszą historję, wychodząc ze słusznego założenia, że bez jej, choćby pobieżnej, znajomości nie można zrozumieć atmosfery, w jakiej rozwijała się sztuka polska. Szkoda, że polscy opiekunowie tej pracy nie dostrzegli tu, w rękopisie jeszcze, paru przykrych omy-

łek, jakie się wkradły (na Uniw. Jag. zbiegają się studenci wszystkich narodowości, przynęceni rozgłosem takich nauczycieli, jak św. Jan Kanty i Kopernik [!], który miał wraz z Długoszem pisać jakieś dzieła po polsku).

Uważając historję Warszawy i rozwój sztuki w tem mieście niejako za syntezę historji Polski i jej sztuki — poświęca autor „Sztuce w Warszawie" osobny rozdział. Jest to bardzo wersalski ukłon w stronę stolicy, ale naprawdę trudno się na taką syntezę zgodzić, zwłaszcza o ile chodzi o średniowiecze i renesans. Naszkicowany w sześciu rozdziałach rozwój sztuki w Polsce informuje zadowalająco i zapoznaje z najwybitniejszemi indywidualnościami artystycznemi. Oczywiście, że Włocha zajmuje przedewszystkiem działalność włoskich artystów.[1] Naogół informacje są trafne, choć pobieżne, przypominające katalog wystawowy.

Książkę tę zdobi 128 reprodukcyj zabytków architektury, rzeźby i malarstwa. Wykonanie ich (z wyjątkiem kilku) mogłoby być lepsze. Wiele na ekspresji tracą reprodukcje dzieł malarskich wskutek całkowitego braku podobizn w kolorach. Należało koniecznie uwzględnić Bułhakowe fotografje Wilna.

Naogół publikacja ta wykonana jest ze sporym nakładem zamiłowania, pracy i kosztów. Może ona oddać pewne usługi w propagandzie naszej sztuki na terenie włoskim.

Do wydawnictw traktujących o sztuce polskiej, a ogłoszonych w języku włoskim, należy też rozprawa znanego historyka, Dr. Macieja Loreta, wydana również w postaci książki albumowej p. t. *Gli artisti polacchi a Roma nel Settecento* (Bestetti e Tumminelli, Milano—Roma 1929, 4-o, str. 101, z 60 fotograficznemi odbitkami). Jest to fragment rozległych i źródłowych studjów autora nad życiem Polaków w Rzymie w epoce przedrozbiorowej, ogłaszanych fragmentarycznie w ostatnich latach w różnych perjodykach (*Przegląd Współczesny, Przegląd Powszechny, Nauka polska* itd.).

Polskimi uczniami Akademji św. Łukasza w Rzymie zajął się już dawniej M. Gębarowicz (*Przegląd Warszawski* 1925), opierając się na nowych materjałach archiwalnych. Loret, przebywający oddawna w Rzymie, rozporządzał znacznie obfitszym materjałem i nie ograniczył się do samego tylko archiwum Akademji św. Łukasza, sięgnął też poza Rzym, zdobył z niemałym trudem poważną liczbę starannych reprodukcyj i dał publikację i cenną ze względu na zawartość i typograficznie piękną.

Przedmowę napisał nie bylekto, bo sam Corrado Ricci, jeden z pierwszych dziś historyków sztuki we Włoszech. Pisał w niej przedewszystkiem o autorze książki, szkoda, że pozatem był tak

---

[1] Na wpływy romańskie i włoskie w architekturze polskiej zwraca uwagę artykuł L. K. (Kociemskiego) w *Messagero* p. t. *Gli architetti italiani a Gniezno ed a Poznań* (10 kwietnia 1929) i E. De Andreisa *Trazze d'italianità a Wilno* (*La Tribuna*) 19 września 1929).

skąpy. Powtórzył parę ogólników o stosunkach polsko-włoskich, przytoczył za autorem parę szczegółów i zakończył życzeniem, żeby się nareszcie jakiś włoski uczony zajął artystami włoskimi w Polsce. Zaprawdę, to zaniedbanie zaszczytu nauce włoskiej nie przynosi. Wielokrotne zachęty i zapewnienia obfitych i cennych wyników pozostały dotąd bez skutku.

Loret rozpoczyna swą rozprawę od krótkiego poglądu na dzieje malarstwa w Polsce od w. XIV do początków XVIII; opiera się przytem głównie na dziele Kopery, jak podaje w przypisie. Następnie omawia 30-letni pobyt Czechowicza w Rzymie i jego prace tam wykonane, obszerniej zajmuje się osobistością T. Kuntzego, rejestrując starannie jego prace w Rzymie, freski z Frascati i Ariccia, jego cykl rzymskich scen rodzajowych. Kończą rzecz uwagi o malarzach Stroińskim i Smuglewiczu oraz architektach (Bazzanca[?], Renard i najbardziej utalentowany Hempel).

Wśród 60 fotograficznych reprodukcyj, wykonanych o wiele staranniej, aniżeli w książce Franchiniego, aż 31 pozycyj zajmuje Kuntze. Szkoda, że odbitek projektów architektonicznych nie podano więcej, bo są dla nas szczególnie cenne. Hempla projekt budynku teatralnego, odznaczony w r. 1789 pierwszą nagrodą w Akademji św. Łukasza i obejmujący aż 11 wielkich i do dziś zachowanych rysunków, zasługuje w pełni na to, aby jakiś specjalista zajął się corychlej tą pracą, przynoszącą niemały zaszczyt polskiej architekturze.

W zakresie ostatnich „poloników włoskich" tegoż M. Loreta, napisanych w języku polskim, wyróżnia się praca *Polskie pielgrzymstwo naukowe w Rzymie od XIV—XVIII w. (Nauka polska,* t. XI, 1929, str. 131—173). Autor stara się tu dowieść, że Rzym wywierał większy wpływ na naukę polską, aniżeli Padwa, że pod koniec XVI w. liczniej przyciągał Polaków, tak duchownych jak i świeckich. Omówiwszy organizację studjów w Sapienzy, zajmuje się autor szeregiem promowanych w niej polskich studentów (w XVI w. naliczył ich w ciągu półwiecza 20, podczas gdy w Padwie w całem tem stuleciu tylko 12). Liczbę studjujących w Rzymie w ciągu XVI w. określa na 500. W XVII w. do r. 1690 promowało się tu z prawa 181 Polaków. Ogółem od r. 1557 do końca XVIII w. doktoryzowało się w Rzymie z. prawa 259 Polaków. Pozatem mówi o polskich fundacjach w Rzymie, wymienia szereg wybitnych polskich osobistości, przebywających przez czas dłuższy w wiecznem mieście, uczniów kolegjum nazareńskiego itd. Słowem zbiera bardzo cenny materjał, obejmujący około 1000 nazwisk. [1]

---

[1] Dodam tu, że mimo, iż źródła archiwalne informujące o tych, którzy studjowali w Collegium Romanum, podobno zaginęły (Loret, *l. cit.,* str. 162), to jednak sporo nazwisk dałoby się odnaleźć. Jeden z rękopisów Bibljoteki Vittorio Emanuele wymienia następujących polskich studentów: And. Gomoła (1582), Mik. Łęczyckiego (Lancitius) z 1597, J. Seciemskiego z 1598, St. Domaniewskiego z 1601, Jak. Golemowskiego z 1608.

Charakter pobieżnego opisu geograficznego posiada szkic p. Riccardo Riccardi, docenta geografji uniwersytetu rzymskiego, ogłoszony w *L'Universo* (1928, str. 148—172) p. t. *Un viaggio in Polonia coi geografi ed etnografi slavi* Autor uczestniczył swego czasu w zjeździe geografów i etnografów słowiańskich i całą Polskę z nimi objechał. Ze spostrzeżeń swoich zdał sprawę w odczycie, wygłoszonym w rzymskiem Tow. Geograficznem, a potem ogłosił go drukiem, dołączając 23 dobrych zdjęć fotograficznych i jedną mapkę. Oczywiście, że jako specjalista geograf zwraca głównie uwagę na szczegóły związane z geografją opisową, a po części także ze statystyką i etnografją. Podaje krótkie opisy niektórych miejscowości, pookreśla naturalne bogactwa Polski i jej rozwojowe możliwości. Zważywszy jednak, że zjazd był świetnie zorganizowany, że uczestnicy otrzymali wiele informujących publikacyj, przyznać trzeba, że jest to raczej dziennik z podróży po Polsce pobieżny i dorywczy, sucho napisany, aniżeli praca o istotnej naukowej wartości.

Nierównie cenniejszy jest ten opis podróży po Polsce, który w osobnej książce p. t. *La Polonia vista in automobile* (Ferrara 1928, str. 104, 14 ilustracyj) wydał p. Ferruccio De Lupis, zebrawszy swoje kartki z podróży, ogłaszane w *Corriere Padano*. Autor, przed paru laty honorowy konsul polski w Wenecji, obecnie zaś konsul włoski w Katowicach, związany z Polską przez żonę Polkę, to jeden z najbardziej nam oddanych polonofilów. Wysoka kultura, pełna wykwintu i prostoty, zamiłowania artystyczne i literackie czynią z niego wyjątkowo sympatyczną osobistość. Ma on za sobą szereg publikacyj z zakresu literatury i sztuk pięknych, a między niemi książkę *La Polonia attraverso impressioni e ricordi*. Jeszcze przed swojem osiedleniem się w Katowicach poznał Polskę z wielokrotnych podróży, zainteresował się żywo naszą kulturą artystycznu, a zwłaszcza sztuką ludową i zdobnictwem. Słowem, idealny konsul włoski w Polsce! Jesienią roku 1927 odbył z żoną i córką podróż automobilem z rodzinnej Ferrary do Polski, którą zna dziś tak dobrze jak bodaj żaden z Włochów i przejechał ją od Krakowa aż po Huculszczyznę, stąd przez Lwów, Warszawę, Poznań, Łódź, Częstochowę wrócił do Włoch, Odnowił swoje dawne znajomości, zapolował na jelenie we wschodnich Karpatach, z ludem się wciąż stykał, nawiązał wiele stosunków i w czasie całej tej podróży rzucał na papier migawkowe impresje z wielką dla nas sympatją i wielkim literackim talentem. Oczu wcale nie zamykał na nasze rażące braki i niedostatki, łatkę dotkliwą tu i owdzie przypiął, gdzie należało, z radością wciąż stwierdzał częste dowody sympatji do Włoch. Żywą tę książkę czyta się z dużą przyjemnością.

Charakter wyraźnie propagandowy ma spora broszura, napisana przez p. Ofelję Colautti Nowak *Il creatore della nuova Polonia Giuseppe Pilsudski* (Roma 1928, str. 75, z 22 ilustracjami),

dlatego wymieniam ją z obowiązku sprawozdawcy, nie wnikając w szczegóły.[1]

Rivista di letterature slave w ostatnim tomie z r. 1928 (III, zesz. 4—6) przynosi w zakresie poloników krótki (8 stron) artykuł W. Giustiego z zakresu folkloru polsko-czeskiego pod niezbyt szczęśliwym i zbyt wiele zapowiadającym tytułem *Relazioni tra la poesia polacca e quella cecoslovacca*. Autor zestawia tu poprostu niektóre pieśni ludowe śląskie ze zbioru Rogera (Wrocław 1863) i czeskie ze zbioru Esbena (Praha 1864), stwierdzając ich wielkie podobieństwo. Najcenniejszą jest końcowa uwaga, którąby należało nieraz na Zachodzie akcentować, że nie można mówić o jakiejś słowiańskiej sztuce, filozofji, natomiast istnieje folklor słowiański, istnieją bardzo bliskie związki między ludami słowiańskiemi w zakresie folkloru. Znaczną część tego tomu (70 stron) zajmuje antologja współczesnej prozy polskiej E. Damianiego, o której jeszcze niżej. W notatkach pisze tenże E. Damiani o kursie dla polonistów włoskich w Zakopanem i o *Laurze Olimpijskim* Wierzyńskiego. W zeszytach tejże Rivisty, wydanych w ciągu r. 1929 (zesz. 1—5), ogłosił prof Maver rozprawkę *Alle fonti del romanticismo polacco*) już omówioną tu w zeszycie z lipca 1929), p. Agosti rzecz o Konopnickiej (o czem niżej), prof. Lo Gatto krótki artykuł o Sieroszewskim i jego *Zamorskim djable (Sieroszewski e „Il diavolo straniero")*, który jest w pewnej mierze recenzją przekładu tego dzieła. Autor podkreśla ogólno-ludzkie pierwiastki w twórczości Sieroszewskiego, jego artystyczny realizm opromieniony zawsze idealizmem. Pozatem w dziale sprawozdawczym E. Damiani daje bardzo pobieżny przegląd naszych ostatnich nowości literackich. Stosunkowo wiele miejsca w dziale poloników *Rivisty* zajmują przekłady *Italji* Konopnickiej i fragmenty prozy współczesnej, o czem w dalszam ciągu, pozalem kilku utworów Tuwima w dosłownym, bezrymowym, nierytmicznym przekładzie W. Giustiego.

Przekładów w osobnych książkowych wydaniach ukazało się sporo w r. 1929. Wśród nich dwie książki mają zakrój antologji współczesnej prozy polskiej. Pierwsza — to pokaźny tom wydany pod redakcją p. Stelli Olgierd (nazwisko jej zupełnie niewłaściwie widnieje u góry na wewnętrznej karcie tytułowej, jakby ona była autorką całego tomu p. t. *Novellieri Polacchi* (Prefazione di Giovanni Papini, Alpes, Milano 1929, str. 370).

Wybór ten obejmuje 21 nowel, napisanych przez tyluż współczesnych autorów. Niewiadomo, na jakich właściwie zasadach opiera się ich wybór. Przeważnie są to pisarze, mieszkający obecnie w Warszawie lub w pobliżu, choć i z pomiędzy nich pominięto niejeden wybitny talent. Trzeba było jednak uwidocznić to jakoś w tytule czy we wstępnych uwagach, bo bez tego narzuca się przekonanie,

[1] Rejestruję tu również przekład polskiego prawa prasowego w *Bollettino Parlamentare* z grudnia 1928 p. t *Legge sulla stampa della Republica Polacca* i odb. Roma 1918, VII, str. 22.

że poza Warszawą nie istnieją dziś w Warszawie wybitni pisarze. A przecież chodziło tu zapewne przedewszystkiem o wybitne, reprezentatywne talenty, świadczące o bogactwie i szerokiej skali współczesnej prozy polskiej. A gdzież się zapodział K. Tetmajer, Berent, Orkan, Weyssenhoff, Wiktor, Kossak-Szczucka? Wybór p. Olgier obejmuje obok nazwisk poważnych kilka naprawdę niewiele mających do powiedzenia. Oto ich poczet: Reymont (*Echo*), Żeromski (*Tabu*), St. Baliński. Bartkiewicz, Choynowski, Daniłowski, M. Dąbrowska, F. Goetel (*Kos na Pamirze*), Grubiński, Stefanja Jerwicz, J. K. Bandrowlki (*Cyrk*), A. Lange, Makuszyński, Małaczewski (*Wielka bitwa narodów*), Z. Nałkowska, Ossendowski, Perzyński, Rogowicz, Sieroszewski, Strug, Szaniawski. Każdą nowelę poprzedza krótka informacja o pisarzu. A. Beniamino przełożyła 8 nowel, St. Olgierd 5, Chludzińska-Paulucci 5, G. Clarotti 3.

Interesującą oczywiście jest przedmowa Papiniego. Przytoczę z niej szczegóły co ciekawsze. Zaczyna od wyznania, że po polsku nie umie, że Polski nigdy nie widział. Odruchową swoją zgodę na napisanie przedmowy dopiero pod przymusem umiałby wytłumaczyć. Od lat chłopięcych kochał Polskę i Hiszpanję, między któremi dostrzega szereg analogij. Miłość, jaką je otaczał, była raczej platoniczna i literacka. Czytał w przekładach niektórych naszych pisarzów z pierwszej połowy XIX w., z nowszych zaś tylko kilka dzieł. Do nazwisk przyczepia tu Papini dorywczo skomponowane (jak sam przyznaje), ale bądź co bądź ciekawe etykiety. I tak Sienkiewicz, sądząc z *Quo vadis*, wydaje mu się „un affreschista felice più che un poeta"; Przybyszewski „un sessualista torbido e metafisico"; Reymont „un paziente folkorista non sfornito d'anima"(!?); Wyspiański „un Eschilo rustico e tenebroso"; Ossendowski „un giornalista immaginoso e fortunato". Miłość swoją do Polski wiąże zawsze Papini z prorokami mesjanicznego liryzmu. Wiele z niego może się dziś wydawać emfatycznem i nudnem, a jednak zawsze zdaje się nam, że mamy tu przed sobą Tytanów, obejmujących Krzyż.

Ryzykownym wydaje się Papiniemu sąd o tym zbiorze nowel, bo poza nim aż nadto mało zna ze współczesnej prozy polskiej. Wydaje mu się, że rzadko widać w tych nowelach znamiona oryginalnej sztuki, i mimo, że prawie wszystkie mają wiele zalet, nie odnosi się wrażenia, że odkrywa się w tym zbiorze jakiś nieznany, dziewiczy świat piękna. Nie jest on taką rewelacją, jaką była w XVII w. hiszpańska powieść łotrowska, a w XIX w. romans rosyjski. [1]

---

[1] Papini wspomina też Conrada, którego uważa za „jeden z największych darów Polski na rzecz światowej literatury". Znamienne jest to, co Papini pisze o jego psychice: „Sotto la sua cultura francese e l'espressione anglo-sassone ci ritrovo l'umanità violenta, nostalgica e amorosa che è propria degli slavi, e specie dei polacchi. Il mare fu, per lui, quel che la steppa per Gogol: l'immensità poetica dove è possibile incontrare anime non tutte deformate e assottigliate dalle mediocrità cittadinesche".

Przedmowa Papiniego spotkała się we Włoszech z replikami, a zwłaszcza te jego zbyt dorywcze etykiety, przylepiane najtęższym pisarzom. Skrytykował ją krótko jakiś recenzent w *Gazzetta del Popolo* (z 18 stycznia 1929), dłuższy i dosadny artykuł poświęcił jej E. Damiani w *Leonardo*. Rzuca ona światło przedewszystkiem na samego Papiniego, na jego stosunek do Polski i jej literatury, pozatem jest typową dla niejednego z wybitnych przedstawicieli kultury literackiej na Zachodzie.

Od wyżej omówionej znacznie skromniejszą rozmiarami i szatą typograficzną jest książka E. Damianiego, która również jest czemś w rodzaju antologji współczesnej prozy polskiej (E. Damiani, *I narratori della Polonia d'oggi*, Roma, Istituto per l'Europa Orientale, b. r., str. 87, wydane jako tem 3-ci w *Piccola biblioteca slava*). Całość wraz z krótkim wstępem i końcową ogólną charakterystyką ujęta jakby w szereg pogadanek, daje kilka cech znamiennych każdego pisarza, określa pole jego zainteresowań i przytacza dłuższe wyjątki z dzieł, umiejętnie wybrane a zawsze bardzo starannie przełożone. I ta książeczka nie daje pełnego obrazu współczesnej prozy polskiej, co zresztą sam autor zaznacza. Ogranicza się ona do pisarzy żyjących i to przeważnie do młodszego pokolenia, choć z drugiej strony uwzględnia na równi z innymi zarówno Berenta, czy Orkana, których umieszcza na czele, jak i K. Tetmajera. W końcowym rozdziale poświęca krótkie wzmianki starszym pisarzom (Sieroszewskiemu, Weyssenhoffowi, Strugowi), odwołując się do antologji poezji i prozy polskiej w *I nostri quaderni*, zredagowanej przez J. Dickstein-Wieleżyńską (por. *Przegląd Współczesny* 1928, IV, str. 525—6), gdzie, wyjąwszy Weyssenhoffa, poświęcono tym pisarzom sporo miejsca. W publikacji Damianiego znajdujemy więc fragmenty z *Żywych kamieni* Berenta, z *Drzewiej* Orkana, z *Miasta mojej matki* K. Bandrowskiego, Makuszyńskiego (*Prawo pocałunku*), ustęp z *Kosa na Pamirze* Goetla, z *Zielonej Kadry* Kossowskiego (w przekładzie E. De Andreisa), Wiktora (*Wieniórka, Sąsiedzi*), Grabińskiego (z *Demona ruchu*), a wreszcie *Gazdę halnego* K. Tetmajera. W końcowych uwagach podkreśla autor wielką rozmaitość tematów w naszej współczesnej prozie, wyraźną tendencję w kierunku realizmu, moralną tężyznę, bogactwo języka.

Kombinacja antologij J. Wieleżyńskiej, St. Olgierd i E. Damianiego daje dość dobry obraz współczesnej literatury polskiej, oczywiście bez ostatnich nowości. Po tych trzykrotnych doświadczeniach spodziewać się można, że następna antologja przewyższy wszystkie swoje poprzedniczki.

II

Zapowiedziana w r. 1928 serja polska w turyńskiem wyda„Slavia", prowadzonem przez p. A. Polledro, zaczęła się ukazywać pod sam koniec r. 1928. Na pierwszy ogień poszedł tom nowel

Żeromskiego. Tytuł całej książce nadało przepiękne *Wszystko i nic*, umieszczone na czele (S. Żeromski *Tutto e nulla e altre novelle*, Prima versione italiana con introduzione e nota di Cristina Agosti Garosci, Slavia, Torino 1928, 8-o, str. 320. Na zewnętrznej okładce do nazwiska tłumaczki dodano też nazwisko jej siostry p. Clotilde Garosi, pominięte na zewnętrznej karcie tytułowej) Okładka ze sylwetą Kremlinu, przeniesiona żywcem z rosyjskiej serji, zapewne zniknie z tomów późniejszych. Strona typograficzna zresztą jest staranna. Skoro wydawca powierzył przygotowanie tego tomu doskonale dobranej, wypróbowanej spółce siostrzanej t. j. paniom Agosti i Garoci, to można było zgóry oczekiwać, że z ich wielce już zasłużonej pracowni wyjdzie i tym razem rzecz wartościowa, że dobór utworów będzie umiejętny, przekład jaknajstaranniejszy i że p. Agosti napisze wstęp głęboko przemyślany i doskonale ujęty.

Rozpoczyna tom *Wszystko i nic*, chronologicznie najpóźniejsze, największe rozmiarami i artystyczną wartością, ale też i do przekładu najtrudniejsze. Bo i w opisie owej śnieżnej zadymki na wstępie i w tych niewysłowionej piękności epizodach, kiedy to Hub karmi ptaszęcą gromadę albo z posągowym Machnickim nad stawem wędruje — wszędzie tam i w całem zresztą tem arcydziele polszczyzna Żeromskiego staje się tak misterną, w takie subtelne koronki i arabeski się układa, jak leciuchne, zwiewne kryształki śnieżnego puchu, co przez atmosferę tego arcytworu zdają się przelatywać srebrzystą, diamentową mgłą. A jednak przekład podążał i tu za oryginałem w chwalebnym i zaprawdę bohaterskim trudzie, aby jego czar jaknajwierniej odtworzyć Usterki są minimalne, ograniczają się do nieznacznych drobiazgów.[1]

Następuje *Doktor Piotr*, *O żołnierzu tułaczu*, *Tabu*, *Cienie*, *Rozdziobią nas kruki*, *wrony*, *Ananke*, *Zmierzch* — a więc nowele z pierwszego okresu twórczości, mroczne, ponure, czasem rozpaczliwe albo też przeniknięte tragicznem bohaterstwem i stąd harmonizujące z późniejszym znacznie tytułowym utworem.

Poprzedzila przekłady p. Dr. Agosti 12-stronicowym wstępem. Jak jej wstęp do *Pana Tadeusza* a potem do *Irydjona*, tak i ten jest przykładem, jak pisać tego rodzaju wstępy wprowadzające w lekturę cudzoziemskiego utworu, jak w sposób jasny nakreślić jego podłoże historyczne, literackie, ideowe, jak wydobyć na jaw jego istotne wartości artystyczne. Wstęp p. Agosti cechuje iście romańska jasność, bogactwo treści, a przytem godna podziwu zwartość.

Kreśli więc tutaj autorka w syntetycznym skrócie stan umy-

---

[1] Str. 30 „Pan Raffaele“ — dlaczego nie: il signor Raffaele — jak to zresztą przypis wyjaśnia? Pisownia imion i nazwisk czasem zdeformowana w dalszych nowelach (str. 104: la montagna „Swinska Krzydwa“, Rudi, Mlynski Smugi.

słów w okresie pozytywizmu, przodownictwo Sienkiewicza, zwrot do przeszłości, pierwsze kroki Żeromskiego-literata, zbiera charakterystyczne rysy jego sztuki i umysłowości nie zamykając oczu na strony ujemne. Ten ostatni ustęp świadczy o tak głębokiem wniknięciu w twórczość Żeromskiego, jakiego bodaj gdzieindziej na Zachodzie nie spotykamy. Kończy ten wstęp krótka charakterystyka całego zbioru, przyczem oczywiście najwięcej miejsca zajmuje jego najcenniejsza perła *Wszystko i nic*.[1]

Po tak chlubnym początku „Serji polskiej" wydawca p. Polledro rzucił wkrótce w świat jej drugi tom t. j. *Zamorskiego Djabła* Sieroszewskiego (*Il diavolo straniero*, prima versione dal polacco con note di Janina Gromska, Slavia, Torino 1929 str. 308). Tłumaczka p. Gromska ma za sobą już takie prace jak przekład *Wiernej rzeki*; do przekładu tej powieści Sieroszewskiego była tem lepiej przygotowaną, że prócz doskonałego opanowania włoszczyzny, dzięki zapoznaniu się z bliska z Syberją, wnikała tem łatwiej we wszelkie tajniki treściowe i językowe oryginału. Widać to nietylko z bardzo precyzyjnego odtworzenia tekstu, ale również z rozsianych tu i ówdzie przypisów objaśniających niektóre terminy. Wybór tej egzotycznej powieści jest bardzo trafny, dowodzi on, że powieść współczesna polska sięga po tematy do najdalszych krain, że wnika głęboko w psychikę ludzi innych kultur i ras, wiedziona tam ideą prawdziwego humanitaryzmu a nie instynktem bezwzględnej, wyrachowanej zaborczości. Przekład poprzedza krótki szkic o twórczości Sieroszewskiego, o jego powieściach egzotycznych i podkreśla ich głęboko sięgający humanitaryzm i bezstronny surowy sąd o wielu białych przybyszach. Naogół drugi tom „serji polskiej" pierwszemu wstydu nie przyniósł.[2] Według prospektu w przygotowaniu znajduje się tom nowel Reymonta, jego *Ziemia obiecana*, a nawet całkowity przekład *Popiołów*, podobno już ukończony.

---

[1] Z recenzyj wymieniam tę, którą prof. Lo Gatto ogłosił w *La Stampa* z 9 marca 1929 — a z polskich artykuł Z. Dębickiego *Żeromski po włosku* w *Kurjerze Warszawskim* z 31. XII. 19 8. Przy okazji parę notatek bibljograficznych odnoszących się do Żeromskianów włoskich: W *Emporium* wyszła *La sementa del sangue*, w 1915 u Treves *Il fiume fedele* przekład J. Gromskiej, *La bellezza della vita* t. I. przekł. Dąbskiej, w 1923 *Gli echi del bosco* przekł. L. Kociemskiego, w *La Tribuna* dwie nowele przekł. M. A. Kulczyckiej. W rękopisie znajduje się Grąbczewskiej przekład *Przepióreczki* i *Ponad śnieg*. Szkice informacyjne o Żeromskim w *La Fiera letteraria* ze stycznia 1926 (E. Damiani) W osobnej broszurze pisał o Ż. prof. Lo Gatto (A. E. R. 1926, str. 62). Dodam też artykuł O. Pinto o *Wszystko i nic* w *Riv. di lett. slave* i tamże przekład fragmentu z *Popiołów* J. Gromskiej, dalej karty poświęcone Żeromskiemu w *I nostri quaderni* (Antologja J. Wieleżyńskiej).

[2] Nie pierwszy to występ Sieroszewskiego na włoskim gruncie. Przed paru laty Giovanni De Nava sparafrazował *Dno nędzy* p. t. *I lebbrosi*. Potem w *I nostri quaderni* z 1927 i 1928 znajdujemy również mały fragment z Sieroszewskiego i jego artykuł o Żeromskim (str. 111—119) O artykule prof. do Gatto o Sieroszewskim i *Zamorskim djable* już wspominałem.

Zanosi się więc na to, że koło turyńskiej „Slavii" grupować się będzie w znacznej mierze praca nad popularyzacją polskiej twórczości literackiej we Włoszech. Podobne aspiracje, jednak z przewagą publikacyj oryginalnych o charakterze naukowym okazuje wychodząca od niedawna pod redakcją prof. Lo Gatto *Piccola biblioteca slava*, związana osobą redaktora z *Rivista di letterature slave*. W postaci osobnych tomików ukazują się tu niektóre prace ogłaszane równocześnie w tem piśmie. Znajdujemy więc tu antologję E. Damianiego, prof. Mavera pracę o źródłach polskiego romantyzmu, tomik poświęcony „Italji" Konopnickiej.

Ten ostatni to znów wspólna praca p. Agosti i p. Garosci. Myśl przyswojenia Włochom tego właśnie zbiorku była bardzo trafna. Zainteresowano się nim zresztą już dawniej (por. *Przegląd Współczesny* 1926, II, str. 473—474). O Konopnickiej pisała już p. Agosti w *La vita italiana* z 1926 r. obszerniejszy artykuł, teraz zaś z pewnemi zmianami umieściła go jako wstęp do przekładu *Italji* (M. Konopnicka, *Italia*, Liriche, Versione in prosa e introduzione di Cristina Agosti Garosci e di Clotilde Garosci, Roma, Istituto per l'Europa Orientale, 1929, str. 188). Przekład jest bardzo staranny niestety dokonany prozą. Zdawały sobie dobrze sprawę z tego niedostatku tłumaczki i starały się ten brak wynagrodzić wiernością nie niewolniczą, ale tą, która odtwarza podobne obrazy własnej mowie właściwe. Zwięzły wstęp (stron 20) daje włoskiemu czytelnikowi jasny pogląd na elementy poezji Konopnickiej i zwraca oczywiście uwagę przedewszystkiem na *Italję*. Podkreśla subjektywizm w opisach włoskiego pejzażu i w interpretacji dzieł sztuki, zaznacza stosunkowo słabe zainteresowanie przeszłością rzymską. Za jedną z głównych zalet zbiorku uważa subtelne odczucie piękna przyrody włoskiej, a zwłaszcza morza. Szczególny czar nadają — według autorki — tym poezjom ciągłe wspomnienia dalekiej ojczyzny.[1]

Z turyńską siostrzaną parą rywalizuje w pracowitości niestrudzony E. Damiani, który w r. 1929 wydał aż trzy tomiki przekładów: omówioną wyżej antologję, parafrazę *Miasta mojej matki* i *Lauru Olimpijskiego*. Oba te przekłady wyszły w Wenecji wydane przez „La Nuova Italia". Strona typograficzna tych przekładów nie jest nadzwyczajna, widocznie Wenecja zatraciła już dziś dawne tradycje Manucjuszów. Rzecz Bandrowskiego (na zewnętrznej karcie tytułowej nazwisko brzmi: Bandrowsky, na wewnętrznej zaś poprawnie) poprzedza tłumacz krótką charakterystyką jego twórczości. Sam przekład jest bardzo wierny i bardzo pracowity (Juljusz Kaden-Bandrowski, *La città di mia madre*, Versione e prefazione di E. Damiani, Venezia 1929, str. X + 148). I tomik Wierzyńskiego poprzedził również tłumacz krótką przedmową,

[1] We wrześniu 1928 pisał o Konopnickiej prof. Lo Gatto w *La Stampa*, recenzując monografję J. Wieleżyńskiej.

gdzie przy końcu podkreśla trzy wielkie trudności, z jakiemi się borykał, przelewając te właśnie wiersze polskie we włoskie formy wierszowe (przekład jest wierszowany): ujęcie zawartości wierszy oryginału w równą ilość wierszy włoskich (polski wiersz jest zazwyczaj bardziej skondonsowany, zwięźlejszy), wplecenie w wiersz angielskiej terminologji sportowej (godzi się ona jakoś łatwiej z wierszem polskim, a razi bardzo w wierszu włoskim), brak sportowego doświadczenia. Tłumacz dwoił się i troił i wiem dobrze sam, jak się biedził, aby zbytnio poziomu oryginału nie obniżyć. Dziś, kiedy sportowe ambicje Włochów gwałtownie rosną, zbiorek Wierzyńskiego powinien zdobyć popularność a wtedy niemały trud tłumacza zostanie w pełni wynagrodzony.[1] W nagłówku tej książeczki czytamy napis *Scrittori slavi*. Widać, że i wenecka „La Nuova Italia" zamierza popularyzować literatury słowiańskie. Tomik Wierzyńskiego wydany został p. t. *Lauro Olimpico* (czy nie *Olimpionico* raczej?) tradotto dal testo polacco da Enrico Damiani, La Nuova Italia Editrice, Venezia 1929, str. 36.

Z innych przekładów z r. 1929 wydanych w osobnych książkach trzeba wymienić J. Żuławskiego *Erosa i Psyche* wydanego w zbiorze *Scritiori italiani e stranieri* Carabby (*Eros e Psiche*, romanzo scenico di Jerzy Żuławski. Traduzione di S. Kalinowska. G. Carabba, Lanciano, 1929, str. 208). Krótki wstęp o tym dramacie napisał Damiani. Przekład wykonany w całości prozą przez p. Stef. Kalinowską, która już dała się poznać nieco z artykułów w *I libri del giorno*. Po dwuletniej głuszy ukazał się wreszcie także drugi tom *Chłopów* Reymonta (Aquila 1929, str. 452) w przekładzie p. Beniamino. Ocenę przekładu trzeba odłożyć do czasu ukazania się całości. Jeśliby jednak na dwa następne tomy równie długo przyszło czekać jak na drugi, to zdaje się o pierwszym wszyscyby całkowicie zapomnieli. Na okładce czytamy, że oba dalsze tomy są *in corso di stampa*. Oby to było prawdą! Rzuciwszy dorywczo okiem na tekst, dostrzegam na str. 434 i 435 jakąś dziwaczną transkrypcję imion: Goleb, Pryczki, Paczez. Oby tylko usterki do niej się ograniczały! W każdym razie fatalnie się stało, że przekład *Chłopów* nie ukazał się w „Slavii" turyńskiej, którąby go umiała doskonale reklamować, ale w oddzielonych murem od świata Abruzzach u bardzo nieruchawego wydawcy...

Prócz przekładów wydanych w osobnych książkach, do których trzeba też zaliczyć parafrazy Ossendowskiego,[2] jest spory poczet drobniejszych utworów ogłaszanych po różnych dziennikach i perjodykach. I tak w *Nuova Antologia* z lutego 1929 czytamy Prusa *Katarynkę* (przekł. E. Damiani); tenże tłumacz w *La Stampa*

[1] O Wierzyńskim pisał też Damiani w perjodyku *Le Vie dell' Oriente* z maja 1929 i po bułgarsku w tygodniku *Literaturni Noviny* z 10 maja 1929.

[2] *L'aquilessa, L'ombra dell' Oriente tenebroso*. Milano, Morreale 1928. Przekładał A. Kołtoński.

z lipca 1928 wydał Wiktora *Sąsiedzi*, a 30 września *Kamizelkę* Piusa. W *Nuova Antologia* z maja 1929 wyszła przepiękna *Legenda* Reymonta (przekł. M. A. Ricard) a we wrześniu *Caccia al cinghiale in Polonia* Zaborowskiego (przekł. G. Gasparini). W czerwcu 1929 ogłasza Damiani w *Giornale di Sicilia* jedną nowelę Sieroszewskiego i Wiktora; St. Kalinowska w *Tutto* z października nowelę St. Grabińskiego *Wezwanie*.

Żywe echo wzbudziły we Włoszech uroczystości Mickiewiczowskie w Paryżu. Posypały się artykuły, wspomnienia, rozważania. Bardzo charakterystycznym jest dłuższy artykuł w *Il Messaggero* z 23 maja pióra Danta Manelti p. t. *Adamo Mickiewicz*. W szczegółach sporo jest pomyłek i niedokładności, zwłaszcza w życiorysie i wiadomościach o twórczości, ale to, co Włochów do Mickiewicza szczególnie pociąga t. j. jego ewangelja pielgrzymstwa polskiego, jego religja narodowości, podniosłe piękno *Ksiąg*, tak entuzjastycznie przyjętych przez włoskich irredentystów, — zajmuje najobszerniejszą część tego artykułu. Autor cytuje *Litanję pielgrzymów lombardzkich* utworzoną na wzór polskiej. Z innych artykułów o Mickiewiczu wymienię: A. De Andreisa *Mickiewicz e l'Italia* w tygodniku *Tutto* z 2 czerwca i *Corriere Adriatico* z 17 maja (mowa tu przedewszystkiem o legjonie z 1848 r.), p. Remo Renato Petitto *La gioventù italiana e A. Mickiewicz* (*Tutto* 12 maja) cytuje przemowę poety wygłoszoną do młodzieży włoskiej we Florencji w 1848 r. Wybitny krytyk Emilio Cecchi pisze o Mickiewiczu w *Corriere della Sera* 29 maja) dłuższy artykuł p. t. *Adamo Mickiewicz* opierając się na sądach romantyka Carlo Cattaneo, obszerniej zajmuje się *Panem Tadeuszem* czytanym w prozaicznym przekładzie włoskim, prostując nieco sąd Cattanea. Podkreśla wysokie wartości tego poematu, jego pogodę, wdzięk obrazów, szczęśliwy zespół realizmu w opisowości z poczuciem komizmu. Z uwag krytyka włoskiego wynika, że czar *Tadeusza* wciąż podbija cudzoziemców, nawet gdy go czytają w bladej prozaicznej parafrazie. Tutaj należy również artykuł prof. Mavera w *Pologne littéraire* z 15 kwietnia p. t. *Mickiewicz in Italia* o dziejach kultu Mickiewicza wśród Włochów. Są to jakby ramy obszernego studjum, do którego już się zebrało wiele materjałów, a mimo to wciąż przybywają nowe nieznane szczegóły. Prof. Maver cytuje np. nieznany u nas fragment z listu N. Tommaseo z r. 1835, gdzie mowa o wrażeniach doznanych przy czytaniu *Ksiąg pielgrzymstwa*. Wkońcu stwierdza potrzebę „di uno studio veramente italiano su Mickiewicz". Nad studjum takiem pracuje p. Agosti.

W dziale recenzyj prócz podanych już wyżej należy zarejestrować następujące: prof. Maver o Janika *Dziejach Polaków na Syberji* (*I libri del giorno* z lutego) i o paru włoskich polonikach (tamże, zeszyt z maja), obszerne sprawozdanie Damianiego z wydania *Dworzanina* w Bibl. Narodowej, w *Giornale storico di letteratura italiana* (vol. XCIII, str. 155—164) i tegoż recenzję o anto-

logji p. Olgierd w *Leonardo* z ciętą odpowiedzią na przedmowę Papiniego.

W osobną grupę trzeba ująć wykłady uniwersyteckie i odczyty w ciągu r. 1929. Wykłady polonistyki w uniwersytecie rzymskim rozpoczęły się 17 stycznia prelekcją poświęconą życiu i działalności polonofilskiej A. Begeya — i trwały do końca kwietnia. Na letnich kursach uniwersyteckich w Perugji wykładał prof. Lo Gatto o wpływach włoskich w literaturach słowiańskich, poświęcając i naszej sporo miejsca (skrót tych odczytów ukazał się w październikowych zeszytach *Nuova Antologia*). Z początkiem stycznia rozpoczął się w Turynie pod opieką naszego Min. W. R. i O. P. i „Società pro Cultura" drugi już z rzędu kurs języka polskiego. W r. 1928 prowadziła trzymiesięczny kurs p. Dr Z. Szmytowa i osiągnęła bardzo piękne rezultaty. Wobec tego nie można było na tem poprzestać i w tejże misji wysłano do Turynu p. Zofję Gawrońską-Kozarynową, siostrę znanego lingwisty ś. p. Gawrońskiego i wybitną literatkę. Od stycznia do końca czerwca prowadziła ona z niezwykłą ofiarnością i zrozumieniem sprawy dwa kursy języka i pomnożyła znacznie dawniejsze wyniki. Kursy te przemieniły się obecnie w stałą instytucję, stanowiąc poważną placówkę propagandową. Niemało było odczytów publicznych poświęconych Polsce w ciągu r. 1929. L. Kociemski objechał z wykładem o ekonomicznej odbudowie Polski Medjolan, Trjest, Turyn i Genuę w ciągu lutego i marca, reklamując zarazem P. W. K. Dnia 4 lutego w „Società pro cultura femminile" w Turynie mówiła p. Dr Agosti z niemałym sukcesem o swoich wrażeniach z kursu dla polonistów włoskich w Zakopanem i z podróży do Polski; 21 marca M. Pollak miał w trjesteńskiem Towarzystwie Literackiem odczyt o kulturze naszych kresów wschodnich; 27 maja w rzymskiem „Lyceum" mówiła J. Gromska o Sieroszewskim. Osobno wymienić trzeba odczyty dla kolonji polskiej. I tak z ramienia Tow. im. A. Mickiewicza miał w Rzymie w sali św. Stanisława R. Pollak w lutym i marcu 6 odczytów poświęconych naszej współczesnej literaturze, 21 marca mówił tamże prof. Antoni Madeyski o artystach polskich w Rzymie, a 4 kwietnia radca Dr Komarnicki o Lidze Narodów. Odczyty u św. Stanisława gromadziły w tym roku stale około 100 osób z kolonji polskiej. 23 marca w Kole polskiem w Medjolanie mówił R. Pollak o *Złotej wolności* Szczuckiej. Tamże w kwietniu wygłosił po włosku bardzo ciekawy odczyt (o Mieczysławie Kamieńskim, synu pułkownika Mikołaja z r. 1848, ochotniku armji francuskiej ciężko rannym pod Magentą i zmarłym w Medjolanie w 1859 r.) nasz serdeczny przyjaciel p. Maffezzoli. Nie mogę tu również pominąć niezwykłych o literaturze polskiej odczytów, bo wygłoszonych przez Włocha w języku bułgarskim w Sofji. Bawiąc tam przez szereg miesięcy jako wykładający literaturę włoską w uniwersytecie sofijskim, wygłosił wobec niezwykle licznego audytorjum dwa odczyty Dr Damiani na zaproszenie Towarzystwa polsko-

bułgarskiego: jeden był poświęcony współczesnej prasie polskiej, a drugi wpływom włoskim w naszej literaturze.

W kwietniu 1929 r. wyprawił się z koncertami do Włoch Krakowski Chór Akademicki, objeżdżając kilka większych miast (Trjest, Rzym, Turyn, Medjolan). Zespół ten, złożony z 40 śpiewaków pod batutą Dra Życzkowskiego, doskonale ześpiewany, przygotował się bardzo starannie i przedstawiał się bardzo sympatycznie i poważnie. Zrobił też wszędzie wrażenie jak najlepsze i naszej młodzieży akademickiej wystawił przed Włochami chlubne świadectwo. Programy opracowane po włosku informowały starannie o tekstach śpiewanych i kompozytorach, obmyślane umiejętnie, uwzględniały dawniejszą muzykę polską obok nowszej oraz pieśni ludowe. Wykonanie było bez zarzutu. Niestety szwankowała organizacja tego objazdu i dlatego audytorjum nie wszędzie dopisało. Pełnym sukcesem uwieńczone były koncerty w Trjeście i Medjolanie, które się przemieniły w żywiołowe manifestacje ze strony audytorjum. Entuzjastyczną przemową zagaił występ Chóru w Medjolanie p. Maffezzoli. Chór krakowski zasłużył się dobrze około propagandy polskiej kultury muzycznej we Włoszech.

Nie mogę tu pominąć skromnej ale podniosłej uroczystości, jaka się odbyła na florenckiem Campo santo dnia 3 grudnia 1928. Na grobie Stanisława Brzozowskiego umieszczono pomnik wykonany przez bardzo utalentowanego a oddanego nam p. Roberta Passaglia. Parę serdecznych słów powiedział do garstki zebranych prof. P. E. Pavolini.

Na kilkomiesięcznych studjach w Krakowie bawiła p. Gelletich, studentka uniwersytetu padewskiego i uczenica prof. Mavera, stypendystka naszego Min. W. R. i O. P., która w połowie listopada doktoryzowała się w Padwie na podstawie pracy p. t. „Egzotyzm w powieści polskiej". Obecnie przebywa na studjach w Krakowie jako nasza stypendystka wnuczka A. Begeya, studentka humanistyki w uniwersytecie turyńskim, p. Marina Bersano Begey. Pozatem na studjach kilkotygodniowych bawili w tym roku w Polsce: prof. Maver, Dr Damiani, p. Maffezzoli, prof. Lo Gatto. Dłuższy czas spędził też w Polsce Remo Pelitto, no i oczywiście E. De Andreis. Pomijam tu wycieczkę dziennikarzy włoskich i jej rezultaty, jako że miała ona charakter ściśle propagandowy i polityczny.

Przez cały ciąg r. 1929 toczyły się żywe pertraktacje w sprawie objęcia katedry polonistyki w Rzymie przez prof. Mavera oraz w sprawie utworzenia „Istituto di cultura polacca Attilio Begey" w Turynie. Pertraktacje te doprowadzono z końcem roku do szczęśliwego wyniku. Wskutek tego należy się spodziewać, że dział poloników włoskich będzie w r. 1930 znacznie bogatszym pod każdym względem.

Roman Pollak

NOWE WYDAWNICTWA

NOWE POEZJE POLSKIE

Roman Brandstaetter: *Jarzma*. Gebethner & Wolff (b. r., druk. w Krakowie), str. 37

Książka p. Romana Brandstaettera daje nam nowy przykład owej stylizacji pseudo-klasycznej, której genezę i właściwości mieliśmy okazję rozważać przy ocenie utworów p. M. Brauna. Przykład nawet jeszcze bardziej charakterystyczny, gdyż cały, wprawdzie niewielki zbiorek jest utrzymany w tej manjerze, która nie obejmuje całości książek jego poetyckiego współwyznawcy. Sam już tytuł *Jarzma* wydaje się znaczący, nietylko dla strony tematycznej książki, opiewającej dostojność twardej codziennej pracy, odwiecznym przymusem ujarzmiającej człowieka, ale również i dla poddania twórczości rygorom tradycji. Pod pewnemi względami zależność ta jest nawet przesadna. Tak np. w kwestji epitetu. P. Brandstaetter, podpatrzywszy właściwości jego i rozpowszechnienie w poezji opisowo-dydaktycznej pseudoklasyków, stosuje go w stopniu znacznie wyższym, a czasami zupełnie nieudatnie. Częste są u niego strofy i całe utwory, gdzie każdemu rzeczownikowi towarzyszy przymiotnik. Tymczasem nawet taki Koźmian — niewątpliwy mistrz naszych neo-pseudo-klasyków — jest znacznie oszczędniejszy: oto dla przykładu najbardziej bogaty w epitety urywek z dostępnych mi w tej chwili tekstów *Ziemiaństwa*:

> Ale już lato, upał wzmagając skwarliwy,
> Ognistem złoci tchnieniem popłowiałe niwy,
> Szepcą w krzakach koniki, przepiórka chrapliwa
> Pod ważącym się kłosem daje hasło żniwa.
> Dopiastowała ziemia czekanej nagrody,
> Pospieszaj za nią w pola, korzystaj z pogody,
> Zbieraj hoże dziewice i krzepkich młodzieńców,
> Gromadź orszak ochoczy z ranną zorzą żeńców!

Ale, jak zaznaczyłem, podany urywek jest zupełnie wyjątkowy pod względem zagęszczenia epitetów; przytem wszystkie one, choć różnej wartości jako oryginalność i obrazowość, są zharmonizowane z treścią rzeczowników i między sobą. Tymczasem, u p. Brandstaettera, spoczywające po udoju „krowy czcigodne“ zaraz w następnej strofie występują jako „pracownice s k o r e“, wspominające „trud ciężki“ (jaki?),

> Wciągnąwszy w szorstkie nozdrza roli zapach żywy,
> Co wniknął *nieopatrznie* w *przestrzenną* oborę.

Gdzieindziej znajdujemy „czerwony gont“ (szary zwykle, chyba że jest pomalowany, jak śledź w dykteryjce na zielono), „żyzne żyto“, „dzwoniące dzwona“ kół — ten ostatni epitet chyba w poszukiwaniu efektu dźwiękowego, „żłoby rodliwe“. Przykładów można zacytować więcej; wszystkie one podrywają wiarę w rzetelność sto-

sunku poety do tworzywa i mimowoli czynią podejrzaną samą podstawę uczuciową tej poezji: zbożny zachwyt nad światem — czy nie wymuszony? Rzeczy najzwyczajniejsze, opiane w patetycznych, ciężkich aleksandrynach i wydwarzanie prostych, „tasiemcach" z krótkowierszowych strofek — czy nie z kalkulacji chłodnej dobrane? Doskonałość stylizacji, chłodny choćby przepych cyzelatorstwa mogłyby zrównoważyć tamte braki, przerzucić punkt ciężkości na inne wartości, zmusić do oceny tej poezji z innego punktu widzenia. Niestety, niedociągnięcia „rzemiosła" — którego równouprawnienie z „natchnieniem romantyków" wydaje się być wewnętrzną racją pseudoklasycznej reakcji — mszczą się na każdym kroku. Inne prócz epitetu środki stylistyczne, charakterystyczne dla mistrzów z przed stu lat: peryfrazy, metonimje, rozwinięte postaci krasomówcze są reprezentowane nielicznie i blado. Kompozycja, zdolność skondensowania efektu w sentencji czy pointe niewielka. Najcięższe zaś zarzuty wywołuje strona wersyfikacyjna. Regularność zasadnicza gładkiego wiersza, nakazanego tradycją, jest często naruszana w sposób, na który nasze poczucie rytmiczne, przyzwyczajone do największych nawet w tym zakresie swobód, zgodzić się nie może: pomiędzy 13-zgłoskowce np. ni stąd ni zowąd wstawiony jest 12-zgłoskowiec typu 6+6 (str. 17, str. 18, piękny wiersz i łatwy do naprawienia, str. 22); w dwóch utworach autor próbuje zupełnie niepraktykowanego, dysharmonicznego połączenia wierszy heterometrycznych:

Słoneczny żar smaży żyzne żyto,
błyszczy pszenica pszczołami ziarn,
płodzenia męką niespożytą
łagodnie się skarży skibny łan
(str. 24)

Tak samo co do rymów: nowoczesna ich swoboda, zwłaszcza jeśli kompensowana niezwykłością i pomysłowością zestawienia końcowego, odpowiada stylowi współczesnej poezji, ale nie stylizacji podjętej przez p. Brandstaettera: a rymy takie jak „kopacze : rzeczy", „nieba : drzewa", „zboża : burza", „w lecie : człowieczy", nietylko się kłócą z zamierzoną monumentalnością stylu, ale są wprost marne.

Stefan Godlewski, *Grabinka*. Warszawa 1927. Nakładem księgarni F. Hoesicka, str. 147+nl. 5

Nie od dzisiaj datuje notoryczna niepoczytność zbiorków poezji: z małemi wyjątkami (a raczej z wyjątkiem wielkich lub bardzo szczęśliwych poetów, którzy potrafili się narzucić uwadze czytającej publiczności, zaczarować „nigdy przedtem nie słyszanemi pieśniami"), poeta wydaje swe wiersze dla zaspokojenia swej ambicji (lub raczej wewnętrznej potrzeby, wynikającej ze społecznego charakteru wszelkiej sztuki, zawsze dążącej do uzyskania objektywnego znaczenia), oraz aby posłać egzemplarze znajomym i krytyce. Czytelnikiem jego

jest recenzent, jeśli sumienny. Jak tu zrobić zbiorek poezji „książką do czytania"? W drodze do tego celu książki poetów, tytułowane dawniej wprost „Poezje" lub „Wiersze" takiego-to, tom taki-to (co było najwłaściwsze, bo przecież w liryce każdy pojedynczy utwór stanowi samociążąca całość, a książka jest tylko praktyczną formą jego publikacji wraz z innemi) zdobyły wymyślny tytuł, określający ogólny charakter zawartości; sama zawartość odpowiednio do tego przybrała charakter cykliczny, przez sztuczne czasami dopasowywanie i spajanie niezależnych jej cząstek. Liryka, która dotąd, według słów Goethego, była o tyle prawdziwą, o ile okolicznościową, wyzbyła się przywileju. przypadkowości. Nie na wiele zdała się ta ofiara: pięknie zatytułowane i przemyślnie skomponowane książki zdobywały poczytność tylko gdy były dziełem wybitnych poetów — drugorzędni, a nawet zdolni, nie zyskiwali na upowszechnieniu tego zwyczaju.

P. Stefan Godlewski inaczej osiągnął cel — stworzyć ze swych wierszy „książkę do czytania": ujął ją w ramy prozy nowelistycznej. Nie chcę doszukiwać się bliższych jego pomysłu wzorów: te, które mi przychodzą do głowy, średniowieczne książki Wschodu i Europy, *Tysiąc i jedna noc* i *Vita Nuova*, i przeplatane wierszami nowele XVIII w. i listy, jakich próbki znajdujemy u Krasickiego, zdaleka tylko przypominają rodzaj kompozycji, zastosowany w *Grabince*. Nowela tytułowa, figlarna i melancholijna w swej specyficznej fantastyce, rzuconej na tło Łazienek współczesnych, ale zaludnionych przez nimfy i satyrów z czasów króla Stasia, pozwala uzasadnić, skomentować, a nadewszystko „wyobczyć" dalej podane wiersze jako utwory swego bohatera. Ten rys zasadniczy — uczuciowości szczelnie przykrytej maską ironji — odnajdujemy w całej książce dyskretnej i powściągliwej. Jakby szybką oddzieleni od poety, inaczej patrzymy na „ułańskie" z przed Niepodległości marzenia, zamknięte w cykl sonetów, powołujących się na batalistyczną stronę *Popiołów*. Rama powieściowa motywuje udział bohatera-poety w świetnych pod względem odczucia epoki skrótach naszego rokoka i empire'u, zbliżając jednocześnie wizje przez ustalenie ich podmiotu (I cykl sonetów, specjalnie *Te Deum*, oraz sonet o obiądach czwartkowych z nadzwyczajnem ujęciem stanisławowskich poetów: „kurtyzowanym ale skrzydlatym ich koniom"). Wysoka kultura literacka, we wszystkich konceptach sypiąca aluzjami historyczno-kulturalnemi i mitologicznemi, nieomylna w stylizacji, nigdzie jednak na dłuższą metę nie stosowanej, znajduje wyraz w doskonałej formie zewnętrznej, wyszukującej zwycięsko pokonywanych trudności metrycznych i stroficznych (zwłaszcza w pisanej to wierszem to prozą — zależnie od zabarwienia patetycznego lub ironicznego — balladzie o jednorożcu), w obrazowaniu zwartem, bogatem i jaskrawem — choć zupełnie nie dzisiejszej mody. Mamy tu do czynienia z zupełnie oryginalną recepcją na polskim gruncie pewnej odmiany symbolizmu francuskiego,

najbliższej Parnasu. P. Godlewski nie skrywa swych upodobań literackich, dając kilka świetnych tłumaczeń z Heredii i Laforgue'a. Fauny i boginki zabłąkane w nowoczesność — też stamtąd rodem, choć jego fantazyjnemu parnasizmowi podoba się nawiązywać do *Nocy listopadowej* Wyspiańskiego.

Wielkiego trzeba zaiste talentu, żeby stworzyć tak piękną i ciekawą „książkę do czytania" w stylu epoki literackiej, zda się, już zamkniętej, manifestując pańską pogardę dla popularnych „ostatnich nowości" w poezji": równoległą pogardę dla zaznaczających się tendencyj politycznych i kulturalno-społecznych współczesnego świata ujmuje autor w gorzko-ironiczną nowelę końcową.

Mieczysław Rytard: *Noże wiosny.* Warszawa 1929. Nakładem księgarni Hoesicka.

Życie płynie wartkim potokiem, dominujący styl poezji przechodzi wciąż nowe etapy ewolucji, a na uboczu, na prowincji, w zaciszných miejscach kuracyjnych siedzą ludzie, tworzą po swojemu, przeżywają własne ewolucje, zwykle bardziej zapóźnione niż oryginalne. St. Ign. Witkiewicz obrał ich za bohaterów powieści: nie wymyślił. „Dekadent" stał się „futurystą" i pisze:

Gdy woltomierze zawarczą nad uchem,
I wielkich maszyn zabrzmi wkoło stuk
Światopoglądów pstrość i linje kruche
Spluwam przez zęby na kamienny bruk.

Jestem nabrzmiałą reakcją chemiczną
Zastosowaną do półkuli nieba,
Odblasków świata stacją decentryczną
I już mi żadnych „marzeń" nie potrzeba!

Jest i „słowo krwią ociekające". Jest i „panna Demeter na słowiańskiej ziemi". Jest i „książe Kalenizari", jak masełko z gruczołów nosorożca. Poeta jest „optymistą, szybkobiegaczem, zwiastunem nowin radosnych", „pomysłem Niagary od bieguna do bieguna" i pisze aforyzmy jak z *Cieniów na wietrze* Napierskiego. Z tem wszystkiem pozostaje poetą i z kulturą i z talentem (prócz wielu oryginalnych wierszy świadczy o tem przekład z Piotra Orieszina), tylko jakimś zdezorjentowanym, nieskondensowanym, rozwichrzonym.

Witold Hulewicz: *Sonety instrumentalne.* Warszawa 1928. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. 76 i nl. 6.

Cykl sonetów (jeśli te czternastowierszowe utwory nie zachowujące tradycyjnych prawideł rymowania i kompozycji można nazwać sonetami), poświęconych instrumentom muzycznym, sprawom zespołów muzycznych, teorji muzyki, sylwetkom muzyków a nawet sprzętom życia praktycznego wydającym charakterystyczne głosy, w samym zamyśle, w rozumowem wyeliminowaniu tematu ze świata rzeczy, w chęci naukowej zupełności traktowania przedmiotu i kwe-

styl „z nim związanych", krył niebezpieczeństwo prozaizmu nawet dla prawdziwego poety. Wprawdzie niezbyt dawno na tem miejscu podziwiałem książkę p. M. Czerkawskiej, o założeniu wąskocyklicznem i opisowem. Ale przedewszystkiem p. M. Czerkawska jest poetką, a powtóre nie wiem, jakby dał sobie radę nawet jej wielki talent, funkcjonujący mimo samoograniczenia (może nawet jeszcze świetniej jak źródło tryskające w górę przez wąską szczelinę), gdyby za temat sobie obrała nietylko „drzewa", lecz „drzewa, drewno, wyroby z niego, rzemiosła wytwarzające z drewna łącznie z estetyką fornierowania"? To też u p. W. Hulewicza czytamy następujące początki sonetów:

> Klarnet ma w drzewie rolę prawie wiolonczeli,
> trudny, bogaty, piękny i skomplikowany,
> z greckiego nam aulosa żywcem przekazany (str. 19).

> Potrzeba chóralności jest zaklęta wszędzie
> w stworzeniu i w powietrzu, w żywiole i w ciele:
> czy to w żabim rechocie, czy w kaskadzie będzie
> lub w słupie telegrafu zajęczy nieśmiele (str. 45).

Zakończenia są w tym samym stylu, słowem, po utwory kongenjalne sięgnąć trzeba do „Sonetów" niezapomnianego Dra Stanisława Salkowskiego, który już drugie pięciolecie piastuje, nieprześcigniony, berło „króla grafomanów".

Niema ustawy zakazującej pisania podobnych wierszy, ale od ich wydawania powinien powstrzymywać obowiązek dobrego smaku, gdy się jest opiekunem literatury i sztuki na terenach, gdzie urodził się Mickiewicz i wychował Słowacki.

Józef Streicher: *Panorama. Poezje.* „Dom książki polskiej". Warszawa 1928. Str. 37 i nl. 3.

Niewątpliwie pocieszającem zjawiskiem jest taka książka, drukowana w Białymstoku, podpisana zupełnie nieznanem nazwiskiem a przecież nosząca znamiona talentu i nowoczesnej kultury artystycznej. *Signum* to wysokiego, mimo wszelkie narzekania, które się czasem wyrwą zniecierpliwionemu nawałą grafomanji (gdzież jej niema?) krytykowi, poziomu współczesnej liryki polskiej.

Głośna afirmacja życia, słoneczne obrazy przyrody, poezja urbanistyczna, poezja pracy, bardzo wnikliwy i skondensowany wiersz o J. Conradzie — oto tematy. Bujny metaforyzm, nieco zabarwiony „futurystycznie" (umyślnie używam zdemodowanego słowa), zlekka dążący do repasowania czytelnika. Rymowanie swobodne ale dostateczne jako punkty oporu w przyjętym systemacie metrycznym, dobre asonanse (okrzyk : zorzy) lub rymoidy (kłosom : osnuł) Żeby pokazać jak to brzmi, zacytuję zwrotkę z ładnego „Lata":

> Jedna chwila jest smukła i złota jak Paktol.
> Zamyślenie jest głuche, jak stojąca woda.
> O! Gdyby móc tak umrzeć i wrócić jak lato
> I mienić się: to deszczem to złotą pogodą.

Kwadryga

Formatem, papierem, drukiem, stylem ozdób do złudzenia przypomina oddawna nieukazujący się *Skamander* (zwłaszcza jego dawniejsze zeszyty) — miesięcznik literacki *Kwadryga*, którego 1 nr. roku III (datowany w Warszawie bez podania miesiąca) mam przed sobą. Wiersze stanowią najważniejszą jego materję, niestety, przeciętne lub zgoła marne, nawet gdy figurują pod niemi podpisy, skądinąd znanych jako rzeczywiste talenty, poetów, Wł. Sebyły i Wł. Słobodnika (skrzywdzonego nieco niedawno w *Echu tygodnia* z 1 listopada 1929 r. złośliwą recenzją p. Artura Prędskiego). Ale wszystkie one razem nie posiadają wartości jednego w zeszycie bezpretensjonalnego specimenu prozy nowelistycznej: p. Stanisław Turowski potrafił zainteresować przynajmniej autentycznością egzotyki ponurego tematu.

Prawdziwe jednak curiosa mieszczą się w dziale krytyki. Nie mam na myśli ani artykułu o teatrze estońskim (choć dziwne się wydają nazwy geodraficzne: Tallin, a zwłaszcza Tartu. Polakowi, który pamięta że grody te znamy nie od dzisiaj i miewaliśmy wojewodów dorpackich), ani myśli o nauczaniu w szkołach literatury. Rozczulające są dopiero zabawy panów Mieczysława Bobrowskiego i Władysława Sebyły *W balwierni poetyckiej 1929*: zwłaszcza ten ton, poufały, pretensjonalny, którym się mówi np. o Marji Pawlikowskiej (pochwalonej mniej gorąco, niż wiersze Józefa Czechowicza) lub o Halinie Konopackiej, tak jakby *Kwadryga* mogła się kiedy pochwalić choćby takiemi, jak jej, „rekordami" poetyckiemi. Ale najlepiej o Tuwimie: „biedny Tuwim", „należący do czołowych producentów literatury w Polsce", nie trafił do przekonania krytyków *Kwadrygi* swoją *Rzeczą Czarnoleską*! Krytyków, ale nie poetów — bo oto w tym samym zeszycie znajdujemy *Balladę o poecie i o pegazie* — p. Wł. Słobodnika, napisaną strofą identycznie tą samą, co wiersz o *Koniu z Apollinowej stajni*, znajdujący się właśnie we wspomnianej książce Tuwima, wydanej przed 10 miesiącami, z licznemi innemi z niej zapożyczeniami w obrazowaniu i nastroju. Nic nie wskazuje, żeby to była zamierzona parodja; raczej wyśpiewało się „pod melodję Tuwima", jak to w innych okazjach powykrywał u tegoż poety p. Prędski. To nic nie szkodzi: bluszczowość talentu charakteryzowała czasem największych, ale czemu krytyka grupy mającej takiego czołowego poetę, nie umie uszanować jego wzorów? Niech *Kwadryga* i pod względem poszanowania własnych mistrzów bierze przykład ze *Skamandra*, z jego stosunku do Żeromskiego i Staffa.

K. W. Zawodziński

Z LITERATURY O STOSUNKACH MIĘDZYNARODOWYCH

A. H. PHILIPSE: *LES FONCTIONS CONSULTATIVES DE LA COUR PERMANENTE DE JUSTICE INTERNATIONALE* (LAUSANNE-GENÈVE 1923, STRON 71)

Utworzenie Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze, zgodnie z art. 14 Paktu Ligi Narodów, należy uznać za niezwykle doniosły sukces czynników, przodujących w dobie powojennej, w polityce i prawie międzynarodowem. Przedwojenne usiłowania, zwłaszcza I i II Haskich Konferencyj Pokojowych (1899 i 1907 r.) w kierunku utworzenia tego rodzaju Sądu, któryby był najskuteczniejszym środkiem pokojowego załatwiania sporów międzynarodowych, nie osiągnęły należytego rezultatu. Teren nie był jeszcze odpowiednio przygotowany. Państwa widziały się zagrożonemi w swej suwerenności przez zaakceptowanie jurysdykcji takiego trybunału; z drugiej zaś strony sprawa technicznej organizacji trybunału nasuwała niemałe trudności do przezwyciężenia. Te właśnie trudności spowodowały przedewszystkiem rozbicie się m. i. negocjacyj (1908/09 r.) w sprawie utworzenia międzynarodowego trybunału morskiego.

Twórcy statutu St. T. S. M. w Hadze, swą konstrukcją formowania ciała sędziowskiego, rozwiązali znakomicie tę zawiłą i nader drażliwą kwestję. Nie do przezwyciężenia jednak okazała się sprawa obligatoryjności orzecznictwa Stałego Trybunału. Protokuł, dołączony do statutu, którym strony zobowiązują się obligatoryjność tę uznać, podpisany został przez niewielką liczbę państw. Sytuacja Stałego Trybunału S. M. upodobniła się do sytuacji istniejącego od r. 1899 w Hadze Trybunału arbitrażowego.

Pakt Ligi Narodow, przepisując we wspomnianym art. 14, że Trybunał będzie wydawał opinje doradcze w sporach i wogóle w sprawach, co do których o opinję tego rodzaju (*avis consultatif*) zwróci się do niego Rada lub Zgromadzenie Ligi, stworzył nowość niespotykaną dotychczas w statutach jakiegokolwiek Trybunału Międzynarodowego. Jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt, iż w związku z funkcjonowaniem Trybunału istnieje bardzo silna tendencja, aby opinjom doradczym nadać pośrednio znaczenie wyroków, to stwierdzić musimy, iż instytucja *avis consultatif* oddaje sprawie obligatoryności orzecznictwa Trybunału niezwykle ważny instrument do dyspozycji W myśl bowiem postanowień art. 12 i 13 statutu Ligi Narodów, członkowie Ligi zobowiązują się oddawać swe spory pod rozstrzygnięcie utworzonego przez nie trybunału arbitrażowego, St. T. S. M. lub też (chodzi tu o spory natury politycznej) Radzie Ligi. W wypadku, gdy w sprawie przedstawionego sobie sporu Rada zasięgnie opinji Trybunału, którą się następnie, w decyzji swej, zwiąże, mamy do czynienia z *avis*, które przybrało charakter wyroku.

Autor, omawiając fakty powyższe, przedstawia w sposób bardzo jasny i zwięzły genezę przepisów regulaminu Trybunału, stara się scharakteryzować rolę, jaką, w świetle dotychczasowej

praktyki, odgrywa Rada Ligi w stosunku do instytucji opinij doradczych. Kreśli autor bardzo trafnie stosunek Trybunału do Ligi Narodów. Charakteryzuje różnice zachodzące pomiędzy wyrokami Trybunału a opinjami, przyczem zwraca uwagę na coraz wzrastającą tendencję stawiania ich w jednej płaszczyźnie. Wywody swe ilustruje, czerpiąc przykłady z dotychczas wydanych przez Trybunał opinij [1] (jest ich 15), przyczem podkreśla, że ustalenie się obecnej procedury w sprawie *avis consultatif* może we współczesnem prawie międzynarodowem wywołać przewrót niemały.

Praca źródłowa, zawierająca szereg ciekawych szczegółów i bardzo interesujące wywody autora, zasługuje na uwagę.

M. St. Korowicz

Sprawy obce. Pismo kwartalne. Październik 1929. Zeszyt 1. str. 1—240 i 8 nlb. Styczeń 1930. Zeszyt 2. str. 241—480 i 6 nlb.

Tytuł pisma jest nieco nieścisły. W zeszycie pierwszym obok artykułów omawiających stosunki obce znajdują się dwa artykuły poświęcone stosunkom Polski z innemi państwami, w zeszycie drugim jest takich artykułów cztery obok trzech poświęconych stosunkom obcym. I w kronice i w przeglądzie czasopism oraz recenzjach poświęcono również dużo (czy nie za dużo) miejsca stosunkom międzynarodowym Polski oraz obcym głosom o Polsce. Pismo poświęcone jest tedy sprawom obcym i stosunkom Polski z zagranicą.

W ten sposób nowy kwartalnik uzupełnia znakomicie od kilku lat już wychodzący *Przegląd Polityczny*. Gdy drugie z tych pism o wiele szczuplejsze co do objętości zawiera przedewszystkiem krótkie artykuły informacyjne, oraz w załącznikach teksty najważniejszych dokumentów dyplomatycznych — nowy kwartalnik może, dzięki swej imponującej objętości, dawać obszerne i źródłowe monografje poszczególnych problemów, wnikać głębiej, bardziej krytycznie w zagadnienia międzynarodowe. Taki charakter dokładnych źródłowych monografij noszą prawie wszystkie artykuły, gdy obszerne również notaty „kroniki" omawiają zagadnienia najbardziej aktualne. Wśród pierwszej grupy wymienić należy: studja Stanisława Gorzuchowskiego o obszarach spornych w dorzeczu Niemna, Stanisława Damskiego o Rusi Podkarpackiej, Andrzeja Januszowskiego „Wielka Brytanja po wyborach", obszerna, daleko poza tytuł swą treścią wychodząca w omawianiu przyczyn i znaczenia zwycięstwa wyborczego Labour Party. W zeszycie drugim omawia znaczenie Powszechnej Wystawy Krajowej Stanisław Wachowiak.

---

[1] Analogiczne zagadnienia są przedmiotem nader wartościowego dzieła Bernarda de Franqueville'a: *L'Oeuvre de la Cour Permanente de Justice Internationale* (Paris 1928); t. I zatytułowany „Organisation et compétence", t. II „Avis et arrêts", gdzie znajdujemy szczegółowe przedstawienie stanu faktycznego, prawnego, sporów, treści wyroków i opinij.

Jan Ochota, pisząc o unieważnieniu aktów rozbiorowych przez Rosję, zwraca przedewszystkiem uwagę na wpływ tego unieważnienia na stanowisko i prawa Rosji w konflikcie polsko-litewskim. Dalej piszą: Leopold Caro o wielkim przemyśle polskim i kapitale zagranicznym, Ludwik Ehrlich o sądownictwie międzynarodowem i prawie narodów, analizując możliwości i kierunek dalszej w tym kierunku ewolucji. Mieczysław Szawleski omawia i porównuje stanowisko dyplomacji francuskiej, niemieckiej i polskiej wobec zagadnienia Stanów Zjednoczonych Europy, Dymitr Proskura omawia upadek cerkwi prawosławnej w Rosji i obecny podział na poszczególne grupy prawosławne. Dopełniają treści artykuły teoretyczne, jak studjum Michała Sokolnickiego o zawodzie dyplomaty, oraz historyczne, jak Rajnolda Przeździeckiego o ceremonjale dyplomatycznym w dawnej Polsce. Historję z aktualnością łączy artykuł o wzroście siły i znaczenia Polski, omawiając w części I sprawę ambasad w Polsce przed- i porozbiorowej.

Pismo takie, łączące w swych artykułach i kronikach opis stanu faktycznego i sytuacji prawnej, opis warunków geograficznych, socjologicznych, politycznych, w jakich rozwijają się stosunki międzynarodowe, dające w ten sposób syntetyczne ujęcie zagadnień, wypełnia pożądaną lukę w Polsce. Odda z pewnością znaczne usługi naszej dyplomacji. Może w miarę jego rozwoju zniknie fakt, określony na jego własnych kartach dość kurtuazyjnie w słowach, iż dziennikarze polscy nie rozporządzają dostatecznym faktycznym materjałem i nie doceniają potrzeby oparcia się o fakty. Może przyczyni się do tego, że omawianemu tak świetnie na kartach pisma wzrostowi siły i znaczenia Polski odpowie u ogółu społeczeństwa wzrost znajomości tej siły i znaczenia, wzrost znajomości warunków, wśród których zdobywamy siłę i znaczenie.

K. Grz.

Stanisław Ciszewski, *Prace etnologiczne. Tom II.* Warszawa 1929, 8-o, str. 166.

Do pewnego stopnia nawiązaniem do ostatniej rozprawy tomu I *Prac etnologicznych* (Warszawa 1925) tegoż autora, poświęconej niektórym powinnościom chłopskim w średniowiecznej Polsce, jest artykuł pierwszy tomu II o surogatach pieniądza. Pod terminem tym, który Ciszewski zastępuje nowoukutym wyrazem polskim p ł a c i d ł o lub p o d p i e n i ą d z, rozumieć należy rzeczy, któremi Słowianie, przed wejściem w obieg wybijanych z szlachetnych metali monet, regulowali wszelakie należności, a więc zarówno należności handlowe, jak następnie daniny, kary, kontrybucje wojenne i t. p. Posługując się obszernym materjałem porównawczym omawia autor takie pierwotne środki płatnicze, jak sól, len, konopie, płótno

i sukno, bydło (krowy, woły, owce), kury i jaja kurze, skórki rozmaitych dzikich zwierząt, zboże, miód, a wreszcie srebro idące na na wagę. Łącznie z tym ostatnim środkiem płatniczym próbuje Ciszewski wyjaśnić kwestję, skąd się do Słowian dostała ta miara płatnicza, oraz wytłumaczyć niektóre późniejsze jej formy. Artykuł następny uzasadnia łączenie czasownika płacić (wzgl. platiti) = zahlen z rzeczownikiem płat, znanym powszechnie obyczajem obdarowywania wynagradzanej osoby płatem materjału, co nazywało się płacić. Kiedy następnie przedmiotem, którym obdarowywano względnie wyrównywano należytości, przestały być płaty materji, a stały się niem kawałki srebra, czy też bita moneta, wtenczas rozszerzyło się znaczenie wyrazu płacić, pojmowanego odtąd jako regulowanie takiej czy innej należności bez względu na to, czem się należność tę reguluje. Nieobojętna także zarówno dla etnologa, jak i językoznawcy jest rozprawa zatytułowana: „Bydło i zboże a majątek". Daje w niej autor przegląd nazw słowiańskich, oznaczających bydło, a później wykazuje, w jaki sposób doszło do tego, że nazwy te stały się w wielu wypadkach synonimem majątku wogóle. Podobne rozszerzenie znaczenia obserwujemy również przy wyrazie „zboże". Zamyka książkę krótki artykuł przedstawiający losy wprowadzonych do Polski przez Wacława czeskiego groszy czeskich, których nazwa — pomimo zmiany treści — przetrwała do naszych czasów. Zajmująca ze wszech miar najnowsza praca Ciszewskiego stanowi cenny nabytek naukowy. Stara się oświetlić należycie niejedną stronę życia dawnych Słowian.

W. T.

PAWEŁ DE REUL
Profesor Uniwersytu w Brukseli

ROBERT BROWNING[1]

Od jednolitego tła literatury wiktorjańskiej odcina się, około połowy XIX wieku, osobistość niezwykła. Silny i barczysty, o spojrzeniu przenikliwem, trochę o wyglądzie południowca, mówi bezustannie, przeżuwając, niby kamienie, swoje wiersze zawiłe i twarde: „Nikt z ludzi" — powie Landor — „nie przebiegł naszych dróg krokiem tak chybkim, okiem tak ciekawem, posługując się językiem o takiej samej potędze".

Browning podobny jest do owego poety, któremu on sam każe błąkać się po ulicach Valladolidu: ludzie biorą go za inkwizytora: „Węszy ustawicznie i śmiało, wodzi okiem, nie spojrzy na nikogo, ale gdy wy nań popatrzycie, stwierdzicie z mniejszą przyjemnością a ze zdumieniem, że wygląda, jak gdyby was znał i wcale tem nie był zdziwiony":

„Scenting the world, looking it full in face...
Yet stared at nobody, — you stared at him
And found, less to your pleasure than surprise,
He seemed to know you and expect as much".

Wróży bez pychy, z dobrodusznością, lecz się go unika, jak żebraka, który mówi sam do siebie na skraju wielkich gościńców.

Niekiedy zwraca się do przechodniów:

„Ye British public that like me not!"

Ma gesty dziwaczne i, jak gdyby dla wymuszenia uwagi, udaje, że podrzuca do góry, trzymając ją wszakże za brzeżek, książeczkę żółtą i wymiętą, która służy mu jako źródło do jego wielkiego poematu: *The Ring and the Book*. Ciekawi przystają, obojętne masy płyną dalej...

---

[1] Jeden z rozdziałów drukującej się w języku francuskim książki: *L'Art et la Pensée de Robert Browning.*

Tak wyobraża sobie historyk symbolicznie poetę Roberta Browninga. Za panowania Wiktorji, w obrębie którego mieści się całkowicie jego karjera od r. 1833—1889, podobnie jak karjera Tennysona, znalazł posłuch dopiero w długi czas po Tennysonie, kiedy jego *The Ring and the Book* narzucił się ciężarem swoich dwudziestu i jednego tysiąca wierszy. Aż do tego czasu Robert był dla wielu tylko „mężem Elżbiety Browning".

Kiedy zdobył powodzenie, był już człowiekiem o siwych włosach, uprzejmym światowcem „przypominającym bankiera, któremu się szczęści", jak go określiła Mme Duclaux. Doskonale zrównoważony, pod żadnym względem nie anormalny, nie mający w sobie nic z cyganerji, jako człowiek prywatny niczem nie zdradza prawdziwego genjusza jednej z najpotężniejszych wyobraźni, najsilniejszych i najżywszych umysłowości, jakie wydała poezja Anglji.

Oryginalność nie mająca poprzedników, bezwzględna nowość tonu, akcentu, formy — oto pierwsze wrażenie, jakie wywołuje poeta, i którego trzy czwarte wieku nie zdołały osłabić. Browning wydaje nam się bardziej nowoczesnym od wszystkich swych współczesnych. Jego zalety, jego wady, jego sławna zawiłość, odradzają się pod rozmaitemi formami w rozmaitych krajach i zachowały się, aby tak rzec, na porządku dziennym.

Subtelność analizy, skłonność do zaskaczania pomysłami, koncentracja obrazowania — cechy wymagające wielkiego wysiłku ze strony czytelnika — wszystko to przejawia się naprzykład u niektórych dzisiejszych poetów i powieściopisarzy francuskich. Zainaugurował to Browning. Jego oryginalność wiąże się nietylko z jego temperamentem, lecz z jego epoką, której przyszłe rysy odgadł był zgóry: całą stopą wkroczył do stulecia, zanim stulecie to doszło do samodzielności i rozpoznało się w nim.

Początkowo rozszerza dziedzinę poezji, pozwala jej na owo rozleglejsze i przenikliwsze ogarnienie życia, do czego upoważniał rozpęd nauk ścisłych. Metodą swą i przedmiotem zbliża poezję do wiedzy do tego stopnia, że niekiedy wykracza poza obręb poezji, aby popaść w prozę.

Historja sztuki i religji, psychologja, biologja, geologja, różne nauki nowoczesne opanowują poezję Browninga, tem łatwiej może, że nie uczęszczał do kolegjów i uniwersytetów,

gdzie młodzi ludzie, jego współrodacy uczą się poznawać i ignorować zarazem te same rzeczy, myśleć zbiorowo, gromadnie, urzeczywistniać kulturę w kolektywnym wysiłku.

Autodydakta, Browning obok greki i łaciny, których nauczano jego współrodaków, umiał już wcześnie wiele rzeczy, których ich jeszcze nie nauczano.

Kształcił się sam i nigdy nie przestał się kształcić. Niekiedy wiersze jego uginają się od erudycji, ale często on panuje nad erudycją i igra nią, jak później Anatole France. Rozumie ideał uczonego, jego poszukiwanie namiętne, zbliżające go do artysty, ale dostrzega jego maniactwo, jego drobiazgowość i jego pedanterję.

Z przedmiotem naukowym przyswaja sobie także ducha naukowości. Niewyczerpana cierpliwość, zmysł dokumentowania, potrzeba dotykania i widzenia, podporządkowanie się naturalisty przedmiotowi obserwowanemu — cechy te odbijają się w jego stylu, a ponieważ te wielorakie i dokładne wiadomości wymagają określeń odpowiednich i nowych, Browning nieskończenie rozszerza słownictwo. Ustanawia realizm poetycki, obok którego realizm Wordsworth'a wydaje się martwym i trwożliwym. Nigdy wprawdzie nie urąga moralności, ani też nie opiewa, jak to uczynią Walt Whitman i Verhaeren, zastosowań naukowych, fabryki i lokomotywy: wiek XIX jest dla Browninga przedewszystkiem wiekiem historji, a materjalny postęp cywilizacji mniej go obchodzi niż psychologja.

Dar uniwersalnej sympatji historycznej ustrzega go od przesądów wyspiarzy. Nie spotyka się u niego ani szowinizmu Tennysona, ani imperjalizmu Kiplinga. Wydarzenia wojenne, które sławi, to czyn szeregowca z Gandawy lub bohaterstwo Francuza Hervé Riel'a, kosztem Anglików.

Miłość ojczyzny występuje u niego jedynie w dwóch czy trzech drobnych utworach, stale podawanych w antologjach, ponieważ one tylko reprezentują ten rodzaj twórczości.

Browning stwarza sobie naprzemian duszę grecką, rzymską, żydowską, wschodnią. Kocha i rozumie Francję, subtelną i szlachetną, płomienną Hiszpanję i myślące Niemcy, jak je wówczas określano. Przedewszystkiem jednak Włochy będą jego ojczyzną przybraną, jego rozkoszą i jego „uniwersytetem".

Bada przeszłość z szczególnem zamiłowaniem erudyty dla wieków o charakterze skomplikowanym, dla epok schyłkowych i przejściowych, upadek pogaństwa lub przedłużenie odrodzenia włoskiego.

Wszystkie te środowiska odmalował z dokładnością i niezawodnością wskrzeszania, wobec których blednie koloryt lokalny takiego Waltera Scottą; zapowiedź to naszych powieści archeologicznych, rodzących się w muzeach.

A jednak środowisko jest dla niego jedynie przydatkiem i,— jak powiedział Stendhal, że suknię i łańcuch niewolnika średniowiecza łatwiej jest opisać niż drgnienia serca ludzkiego, — Browning oświadcza, że jedyną rzeczą godną badania jest rozwój duszy: *The incidents in the development of a soul, little else is worth study.* [1]

Z obrazowaniem zewnętrznem łączy analizę wewnętrzną. Lepiej, niż duszę ludu lub epoki, rozumie duszę indywidualną, wciska się w mroczne skrytki sumienia, odsłania skrupuły i sofizmy, wydobywa na światło pół-szczerość sceptycznego biskupa, zręcznego szarlatana; odgaduje umysłowości najrozmaitsze, czy to wiążąc z sobą szereg stanów, czy oświetlając duszę w momencie przełomowym, w jednym z owych monologów dramatycznych, których jest twórcą. W badaniach tych zatrzymuje się dopiero u granic wyznaczonych mu przez osobistość zdrową; bada złożoność, ale nie na tle chorobowości.

Ta subtelność analizy stanowi o stylu swoistym. Trzeba języka giętkiego, by podążał za myślą, której błyski wymagają zarówno lekkości jak przenikliwości. Jeśli jest prawdą, że złożoność życia nowoczesnego pociąga za sobą wzmagającą się szybkość w przypływie naszych wyobrażeń umysłowych, to Browning był jednym z pierwszych, który w piśmie odzwierciedlił ten rytm przyspieszony.

„On myśli tylko w rytmie najszybszym“ (powiedzenie Swinburne'a). Można też zrozumieć, że pokolenie, któremu trudnem wydawało się *In Memoriam* Tennysona, odrazu się zniechęciło do *Sordella*.

„Jego analizy nazbyt subtelne, jego sposób wypowiadania się szybki i zwiewny“, powiada Sir Edmund Gosse, „zbiły

[1] Dedykacje *Sordella*, 1863.

z tropu prostą umysłowość wiktorjańską": *the simple Victorian mind.*

Swinburne radził czytać Browninga tylko „w najrzeźwiejszych godzinach porannych". Ci, co spróbują i wytrwają, doznają przy tem ćwiczeniu przyjemności, która podnieca i wzmacnia, niby górskie powietrze. Tylko jeden jeszcze twórca, powieściopisarz Meredith, dostarcza trochę później, obok podobnej nieprzystępności, podobnej siły pobudzającej. Obaj reprezentują ów pierwiastek nowy i rewelacyjny, znamionujący genjusza. Są to umysły tego samego pokroju, a przeprowadzenie paraleli jest najbardziej pouczające. Inteligencją panują nad swoją epoką, przygotowują przyszłość. U obu to samo połączenie rozległości, głębi i szybkości, którą niektórzy w odniesieniu do Mereditha uważali za cechę „celtycką". Obaj zawili, równocześnie nazbyt rozlewni i nazbyt zwięźli, poślubiają liryzm i analizę. Meredith ma czasem więcej wdzięku, giętkości, finezji. Urodzony w środowisku skromniejszem niż Browning, lepiej jednak, niż on, nakreślił typy arystokratyczne i atmosferę wielkoświatową. Obaj kosmopolici, wrogowie sentymentalnego kłamstwa — Meredith w sposób bardziej jawny i stanowczy; obaj urzeczywistniają nowy typ pisarza-intelektualisty, lecz Browning mniej, niż Meredith, ceni inteleligencję i rozum krytyczny; więcej się zbliża do swych czytelników przez swą etykę i wierzenia.

Moralność Browninga dotyczy osoby. Podobnie jak Carlyle, zaleca wysiłek i nie zna gorszego grzechu niż „nie przepasać lędźwi i nie dobyć szpady". Wysiłek ten zmierza jedynie do ukształtowania własnej jaźni. Browning nie troszczy się o społeczeństwo; nie stara się, jak Meredith, o oświecenie narodu przez porwanie go do rewizji wartości, do krytyki nawyknień samolubnych. Browning budzi raczej, dodaje ducha, niż wyzwala. Ostrzy broń, którą się wcale nie posługuje. Przygotowuje czytelników do zrozumienia myślicieli śmielszych niż on. Jeśli nie schlebia, jak Tennyson, przesądom narodowym, to również ich nie atakuje, jak to czyni Meredith. Ten ostatni jest „wybitnym twórcą wiktorjańskim" jedynie przez opozycję lub reakcję; odkrywa się w nim ojca owego ruchu emancypacji etycznej, kontynuowanej przez Shawów i Wells'ów. Browning pogrąża się w otaczającym go żywiole swemi korzeniami reli-

gijnemi. Istnieje głęboki związek między jego publicznością a nim: instynkt chrześcijański.

Meredith urodzony w trzynaście lat później niż Browning, w silniejszym stopniu przepojony jest naturalizmem, darwinizmem. Mało mówi o niebie i wykłada „lekcję o ziemi", uczy posłuszeństwa dla praw kosmicznych, monizmu dziwnie panteistycznego, stoicyzmu, przyjmującego śmierć z refleksją: „Na łono wydające różę, czemu upadać z drżeniem?"

Browning natomiast jest „bardzo pewny istnienia duszy i Boga". Spirytualista, chrześcijanin w szerokiem znaczeniu tego określenia, swemi wierzeniami związany jest ze swym czasem. Jego religja liberalna jest „kompromisem wiktorjańskim". Nie przynależy do żadnego kościoła, nie przyjmuje dogmatów ani ich nie odrzuca, lecz interpretuje je w duchu, który później nazwą modernizmem lub pragmatyzmem. Wcale nie zapewnia o boskości Chrystusa, gotów przyznać, że inkarnacja jest tylko symbolem, ale jedna z ulubionych osób powie, że uczłowieczenie boskości narzuca się człowiekowi jako warunek nieunikniony, zatem słuszny.

A już nie głos imaginacyjny, lecz Browning we własnem swem imieniu, zapewnia w *Saisiaz* o nieśmiertelności duszy, bez której życie stałoby się czemś niepojętem. Nadzieja ta ma wszelkie znamiona wiary. Poeta nie kłoni głowy przed nieznanem: w zaświatach chce nie mniej nie więcej jak dalszego bytu indywidualnego. Niejeden z nas uzna go nawet za zbyt wymagającego, zbyt dobitnego, i woli ostrożność Hamleta: „Reszta jest milczeniem". Inaczej wszakże odnosili się do tego jego czytelnicy. Czytając krytyki Browninga, przekonujemy się, że jego przekonania religijne były jego najlepszym paszportem do publiczności, powodem, dla którego pewnego dnia zgodzono się iść za nim, nic sobie nie robić z jego cierni i zarośli, okazując cierpliwość i przychylność, z jaką odniósł się czytelnik jeszcze także do Meredith'a.

W rzeczy samej Browning pod koniec życia zaznał popularności.

Mąż Elżbiety Browning, początkowo uznawany przez znikomą tylko elitę, który nawet po wydaniu *Men and Women*, podług twierdzenia Sir Edmunda Gosse, wzbudzał jedynie „zainteresowanie dyktowane przez ciekawość", jako siedmdziesięcio-

letni starzec był sławiony, pomszczony, broniony. Odkryto, że był chrześcijaninem na sposób solidniejszy, głębszy jeszcze niż Tennyson. Wpływ jego mógł wreszcie działać, ponieważ nie było w nim nic wywrotowego. Tolerowano chropowatość jego formy, gdy się przekonano, że pod szorstkiemi pozorami wnosi jedynie prawdy umiłowane. Czczono jego zawiłość niby dymy wyroczni. Jeśli Browning nie miał pomnika za życia, to miał swój kościół — *Browning Society*.

Nie bądźmy niewdzięczni wobec tej instytucji, która założona w 1881 r., przetrwała do 1893 r. i obdarzyła nas analizami, zapiskami i objaśnieniami bardzo cennemi. Żadne stowarzyszenie, skupiające się koło jakiegoś autora, nie było pożyteczniejsze, gdyż żaden poeta nie wymaga tak jak Browning tych prac uprzystępniających, do których trzeba licznych współpracowników. Oto, jak towarzystwo to określiło swój cel: „Zjednoczyć kilku z licznych wielbicieli Browninga w celu studjowania i dyskutowania nad jego poematami, ogłaszanie rozpraw o jego dziełach, a także wyjątków prac, mogących je rozświetlić". Towarzystwu temu zawdzięczamy, przynajmniej pośrednio, podręczniki lub komentarze badaczy takich, jak Mrs Orr, F. Mary Wilson, oraz *Browning Cyclopaedia* E. Berdoe'a. Gdy w 1893 r. towarzystwo się rozwiązało, mogło powiedzieć, że „cele jego zostały osiągnięte"; brakło chyba tylko wydania konkordancji lub słowniczka z odnośnikami, jakie istnieją dla Biblji, Szekspira i innych twórców.[1] Działalność naukowa towarzystwa szła w parze z propagandą. Ona to ugruntowała sławę poety, rozprószyła obojętność tłumów, a nawet uczonych, pobudziła do stworzenia czytelń *(Browning Clubs)*, które się mnożyły w Anglji i Ameryce.[2]

W zasadzie cała ta gorliwość miała tylko charakter literacki. Towarzystwo zaliczało do swych członków umysły wybitne

---

[1] *Browning Concordance* ukazała się nakoniec w 1925 r. w dwóch grubych tomach, sporządzona przez Broughtona i Steltera, u Stechert'a w Nowym Jorku. Praca trochę nazbyt mechaniczna, czysto statystyczna, gdzie nie zadano sobie elementarnego trudu rozróżnienia w odnośnikach wyrazów jednobrzmiących jak np. *sound* — „zdrowy" i *sound* „dźwięk".

[2] W samem tylko Chicago liczono w 1885—1886 r. tuzin takich klubów. *Browning Society* w Bostonie, istniejąca dotychczas, wydała dzieła poety, podobnie jak towarzystwo w Londynie.

i prawdziwie oświecone, jak jego założyciel Dr Furnivall, jak krytyk Artur Symons, poeta James Thomson i Bernard Shaw. Przerzucając atoli trzynaście fascykułów lub cztery tomy *Browning Society Papers*, od pierwszej chwili odkrywa się u wielu pracowników pewne odchylenie, utajoną myśl religijną. Kaznodzieja Kirkman, w przemowie inauguracyjnej, po stwierdzeniu, że w zebraniu przeważają kobiety i duchowni, określa Browninga jako największego poetę chrześcijańskiego, jakiego kiedykolwiek posiadała Anglja *(the greatest christian poet we have ever had)*. — W rozprawie o „Nauczaniu religijnem" poety, nazywa się Browninga „prorokiem, jakim Bóg obdarza nasze stulecie, miotane przez burze".[1] Istnieje protokół z posiedzenia czerwcowego 1888 r., kiedy niezadowolony p. Gonner i dwóch innych członków proponują rozwiązanie towarzystwa z tego powodu, że zajmuje się raczej teologją niż poezją. Propozycja zostaje odrzucona, jednakowoż obrońcy towarzystwa, pośród nich Berdoe, uznają, że w odniesieniu do ostatnich dwóch lat zarzut Gonnera nie jest bezpodstawny. Ten sam Berdoe wydaje w 1895 r. tom. *Browning Studies*, obejmujący najlepsze rozprawy zgasłego towarzystwa; podkreśla szerokość ducha, który pozwolił zbierać się tam prawowiernym wierzącym z „ateuszami" w rodzaju Francis Thomson'a. Jednakowoż Bernoe sam, by sławić Browninga, powiada, „że nalewa nam wina krepiącego w te dni zwyrodnienia, kiedy opuszcza się Boga dla Niepoznawalnego". Zdaniem Miss Wilson było jego dzieło dla wielu ludzi ostatnią ewangelją chrześcijaństwa rozumującego. „Wielu jego zwolenników czyta je widocznie dla utwierdzenia się w wierze w życie przyszłe, i to uważają za najcenniejsze jego posłannictwo". Nawet tam, gdzie nie przejawia się owo pragnienie moralnej podniety, stwierdza się z żalem w „Rocznikach" Towarzystwa i gdzieindziej w różnych dziełach krytycznych, nadmierną skłonność zajmowania się raczej doktryną poety niż jego sztuką. Zniekształca się jego twórczość i studjuje ją fałszywie, akcentując zawiłość, by się w niej dodopatrywać znaczenia alegorycznego. Corson cytuje bez ironji, we wstępie do swego *Primer of Browning*,[2] artykuł intere-

[1] Dorothy Beale, w *Browning Studies*, str. 79.
[2] str. 92.

sujący, wcześniejszy przytem niż *Browning Society*, który nazywa dzieła poety „nie pustym dźwiękiem słów, lecz boską trygonometrją, odkryciem triangulacji niebieskiej". Gadanina tego rodzaju może tylko szkodzić twórcy i odwrócić od niego tych, którzy u poety szukają przedewszystkiem poezji. Pozwala się wierzyć, że w pierwszym rzędzie chce on prowadzić, nauczać, tak, że jego humor, jego werwa, jego dziwactwa wydają się jedynie maską mistrza moralności. Otóż przyjemność widzenia, czucia, rozumienia i tworzenia przeważa u niego nad pragnieniem nauczania. Browning ma mniej intencyj, niż mu przypisują. „Jest najpierw artystą", jak powiedział Chesterton[1]; jest to jeden z najlepszych paradoksów Chestertona i dobrze będzie go podkreślić. W stosunku do „Towarzystwa", odnoszącego się do niego z kultem, Browning zajmował zawsze stanowisko pełne wdzięczności, życzliwości, lecz równocześnie pełne rezerwy. Gdy go pytano o jakiś trudny ustęp, odpowiadał złośliwie: „Zapytajcie o to Towarzystwo. ono rozumie mnie lepiej, niż ja sam!" Listami zniechęcał interpretacje nazbyt przemądrzałe pewnych jego poematów, jak *Childe Roland* lub *Numpholeptos*.

Nie przeczymy, że jest u Browninga pewne piękno moralne. że twórczość jego może wywierać wpływ dobroczynny, może nam pomóc w burzach życia; spodziewamy się wszakże wykazać, że intencja moralna zaciera się wobec instynktu twórczego poety i artysty. Prawdziwą ambicją Browninga, ujawniającą się w jego rozprawie prozą o Shelley'u, nie jest wcale reformatorstwo; chce być poetą, ale możliwie najpełniejszym, to znaczy równocześnie „objektywnym i subjektywnym". To podwójne dążenie może posłużyć za wskazówkę tym, którzy usiłują zaliczyć Browninga do klasyków lub do romantyków. Jak inni wielcy poeci, Browning jest jednocześnie jednym i drugim; przekracza różnice szkół. W historji poezji angielskiej XIX w. oznacza on reakcję przeciw romantyzmowi Byrona. Nienawidzi popisywania się swem *ja*, roztaczania namiętności, egoistycznego indywidualizmu; rozczarowaniu Harolda przeciwstawia optymizm i tezę wychowywania siebie samego, wydrwiwa tego smutnego bohatera i wróciłby chętnie do powiedzenia Carlyle'a: „Zamknij swego Byrona, otwórz swego Goethego!"

[1] G. K. Chesterton, *R. Browning*, 1903.

Ze stanowiska literackiego, Browning przeciwstawia się także romantycznemu sentymentalizmowi swem obrazowaniem zawsze dramatycznem lub objektywnem, stałem dążeniem ukrycia siebie poza osobami utworu, a także realizmem i swobodą tonu.

Pozostaje atoli romantykiem przez intuicyjny idealizm, przez egzaltację miłości, przez skłonność przenoszenia w sztuce wzruszenia nad formę, wreszcie przez bezkompromisowy indywidualizm, odrzucający zwykłe reguły „dobrego smaku", — indywidualizm, do którego trzeba powracać zawsze w ostatecznej analizie, dla wyjaśnienia religji i etyki Browninga, podobnie jak zalet i błędów jego twórczości.

STEFAN SCHMIDT

KRYZYS ROLNY

I

Hipotezy, wypowiedziane odnośnie do powojennego kryzysu rolnego, można sklasyfikować jako idące w trzech kierunkach. Dopatrują się one przyczyn zjawisk kryzysowych bądź po stronie podaży, bądź po stronie popytu, lub wreszcie w warunkach, w jakich dochodzi do *equilibrium*.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie kryzys rolny najwcześniej się ujawnił, gdzie przybrał najostrzejsze formy i miał za skutek żywiołowy odpływ ludności do miast w latach 1920—1924, poglądy o nadprodukcji były zrazu jedynie panującemi. Było to naturalną reakcją masowej psychiki na pewne zbyt wyraźnie rzucające się w oczy fakty. Wiadomem było powszechnie, że na skutek gwarancji cen minimalnych w czasie wojny światowej całe przestrzenie ziemi w szybkiem tempie podniesione zostały do rzędu ziemi uprawnej. Ziemia, która w zwyczajnych warunkach byłaby przez szereg pokoleń czekała na wzięcie jej pod pług, nagle znalazła się powyżej krańcowej linji użyteczności. Ustanie wyjątkowych warunków musiało mieć odwrotny skutek; wraz z niem także gwałtowna intensyfikacja znalazła swój koniec.

Skoro jednak równolegle ze spadkiem sztucznie wypędzonej produkcji siła kupna artykułów rolniczych nie objawiała tendencji powrotu do przedwojennego poziomu, zaczęto się głębiej zastanawiać nad przyczynami tego zjawiska. I znowu nadmierną podaż przyjęto za punkt wyjścia. Problem tego nadmiaru motywowano teraz w szczególności postępami technicznemi. Postępy te i zastąpienie pracy ludzkiej maszynami spowodowały, sądzono, obniżenie kosztów produkcji. Jak długo postępy te były tylko bronią w walce konkurencyjnej pewnych jednostek i obszarów i im wyłącznie dawały możność wyprzedzania drugich, mogły doprowadzić tylko do względnej nad-

produkcji. Uogólnienie tych zdobyczy, do czego przyczyniła się wojna, sprawiło jednak, że obniżenie się kosztów produkcji przybrało formy zjawiska ogólno-społecznego, prowadzącego do przełamania zasady zmniejszającego się przychodu od strony podaży.

Krytyka tego stanowiska z miejsca wysunąć może, że przesunięcia między poszczególnemi nakładami fizycznemi, a w szczególności obniżenie się fizycznego nakładu pracy dzięki upowszechnieniu techniki maszynowej w rolnictwie, nie przesądza jeszcze o obniżeniu się łącznych kosztów pieniężnych. Wojna wywołała także inne następstwa, jak upowszechnienie postępu na polu rolnictwa. Przedewszystkiem w Ameryce spowodowała ona ogólne podniesienie się stopy życiowej i wraz z napływającym strumieniem złota wzrost kosztów pieniężnych, a w pierwszej linji ogromny wzrost kosztów nakładu pracy. Jeśli dochody, uzyskiwane przez samodzielnych rolników, t. zw. *labor income*, spadły poniżej wynagrodzenia robotników rolnych (znajdując wyraz w znanem *they do not make farm wages*), to fakt ten odzwierciedla w dużej mierze podrożenie pracy w stosunku do warunków przedwojennych. Dalej samej zmianie kierunku zadłużenia mogło towarzyszyć przesunięcie się stosunku kosztów pieniężnych między krajami starej kultury a tak zwanemi pospolicie obszarami ekstensywnemi.

Mimo że argumenty na dowód przełamania zasady zmniejszającego się przychodu od strony podaży nie były bezwzględnie przekonywującemi, znalazły gorliwego obrońcę w osobie znanego profesora E. G. Nourse. Na dorocznym zjeździe towarzystw ekonomicznych w Waszyngtonie w roku 1926, Nourse w związku z powyższą hipotezą rozwinął wobec uczestników tak daleko idące horoskopy na przyszłość, że jeden dowcipniś oświadczył: Nourse zagajał dyskusję na temat „wzrastający nacisk środków żywności na ludność".

Z wręcz przeciwnego stanowiska wyszedł Max Sering. Także wedle niego zasada zmniejszającego się przychodu doznała w następstwie wojny przełamania. Ale dla przełamania tego miarodajnym jest popyt, a nie podaż. Siła kupna najsłabszego konsumenta określa cenę dóbr, stojących do dyspozycji dla bieżącej konsumcji. Zadłużenie reparacyjne i ciężary nałożone na społeczeństwo niemieckie są dla Seringa argumentem

decydującym dla przyjęcia, że przemysłowa ludność Niemiec jest granicznym konsumentem licytującym *in minus* ceny produktów rolnych.

Omawiając hipotezę Seringa w wykładzie habilitacyjnym przed czterema laty, pozwoliłem sobie zauważyć, że przyjęcie w zgodzie z Seringiem Niemiec, lub, co może byłoby słuszniejszem, Europy środkowej za najsłabszego konsumenta, nie przesądza jeszcze kwestji granicznego sprzedawcy, za którego pospolicie uważa się kraje zaatlantyckie. Wyraziłem przypuszczenie, że jeśli nie doraźnie, to w najbliższej przyszłości Europa wschodnia, a z nią Polska może stanąć w roli tego granicznego sprzedawcy drogą obniżenia oceny nakładów pracy angażowanych w rolnictwie. Jeżeli należycie rozumiem termin zubożenia, o jakiem mówi rektor Władysław Grabski w swym znanym memorjale o kryzysie rolnym, to sądzę, że w tym zasadniczym punkcie poglądy rektora Grabskiego szłyby po jednej linji z wyrażonemi wówczas przeze mnie przypuszczeniami.

Trzeci kierunek obejmuje hipotezy ześrodkowujące się dokoła warunków, w jakich dochodzi do *equilibrium*. Wolna konkurencja istnieje tylko w granicach przez te warunki określonych. Ograniczenia wolnej konkurencji wychodzić mogą z różnych stron, prowadząc do stosunków mniej lub więcej monopoloidowych. Pierwsze zasadnicze ograniczenie wychodzi ze strony podaży złota i polityki banków emisyjnych. Drugie ograniczenie może wychodzić ze strony polityki kartelizacyjnej; jej następstwem jest zwężanie siły kupna, jaka przeciwstawia się podaży produktów rolnych. Profesor John D. Black Harvard przypisuje temu momentowi wielką rolę w powojennym kryzysie rolnym. Ta hipoteza zrodziła ideę *Poolu* kanadyjskiego i była matką osławionego Mac Nary Haugen Bill.

Dalsze ograniczenia wychodzić mogą ze strony różnorodnych pociągnięć polityki gospodarczej, a przedewszystkiem ze strony polityki celnej. Że ta ostatnia może odegrać poważną rolę w rozwarciu t. zw. nożyc cen, o tem, zdaje się, nikt nie wątpi.

Wśród szeregu hipotez, jakie podporządkować by należało temu kierunkowi, na szczególną uwagę zasługuje hipoteza Warrena. G. F. Warren i F. A. Pearson posługują się metodą indukcyjną: Na skutek badań statystycznych nad problemem cen

dochodzą do konkluzji, którą ująć można w następujący sposób: Istnieją różne rynki kupujących i sprzedających *(buyers' market and sellers' market)*. Ceny uzyskiwane przez rolników mogą być niskie, ponieważ stosunek podaży do popytu wpłynął na obniżenie ceny płaconej przez konsumentów. Ale mogą być one niskie także niezależnie od ceny płaconej przez konsumenta na skutek zwiększenia się kosztów dystrybucji. Gdy ceny wzrastają, co szczególnie uwydatnia się w okresie inflacyjnym, koszty dystrybucji wzrastają wolniej niż ceny detaliczne. Różnica wychodzi wówczas na korzyść rolników. Gdy ceny spadają, co znowu szczególnie ujawnia się w okresie deflacyjnym, koszty dystrybucji pozostają wysokie; rolnicy tracą wówczas na różnicy. Przyczyną kryzysu rolnego jest deflacja, w czasie której płace spadają wolniej niż inne pozycje. Stąd koszty dystrybucji dostosowują się wolniej do nowego poziomu cen. Ceny uzyskiwane przez rolników spadają szczególnie nieproporcjonalnie w stosunku do cen detalicznych. Produkcja o powolnym bardzo obrocie nie może bowiem zepchnąć na konsumenta części kosztów dystrybucji. Przeciwnie, koszty te ponosi wówczas wyłącznie producent rolny.

Porównując przebieg kryzysów po wojnach napoleońskich i po wojnie secesyjnej z przebiegiem ostatniego kryzysu, Warren i Pearson wypowiadają zdanie, że rozpiętość (nożyce) zniknąć powinna w ciągu około 9 lat, skąd mniej więcej na rok 1930 należałoby się spodziewać zakończenia kryzysu.

Prace Warrena i Pearsona przyczyniły się ogromnie do uświadomienia całego szeregu faktów z zakresu kształtowania się cen produktów rolnych i ugruntowały znajomość poszczególnych faz przebiegu kryzysu rolnego. Badania te są o znaczeniu nietylko ograniczającem się do Ameryki. Hipoteza Warrena opiera się w gruncie rzeczy o monetarną teorję ceny; możnaby określić, że obarczona jest słabemi stronami tej teorji. Pewną logiczną konsekwencją, wysuwającą się w następstwie przyjęcia tego poglądu za jedynie słuszny, byłoby prawdopodobieństwo sukcesywnego pogarszania się położenia rolnictwa w Europie przy równoczesnej poprawie warunków w Ameryce. Do tej konsekwencji powinnoby się dojść, przyjmując, że ustosunkowanie rozdziału złota i kierunku zadłużenia będzie w Ameryce do pewnego stopnia akcentowało inflację, w Europie zaś

rozstrzygać będzie raczej o deflacjonistycznym kierunku polityki emisyjnej.

Z nazwiskami Nourse'a, Seringa i Warrena wiążą się najwięcej znane hipotezy odnośnie do powojennego kryzysu rolnego. Ponadto wypowiedziano cały szereg poglądów w mniej lub więcej niejasnej formie. Naogół podpadają one albo pod jeden z powyższych trzech kierunków, albo starają się pomiędzy niemi pośredniczyć. Charakterystycznem jest, że autorzy, stawiający diagnozę przyczyn, przeważnie nie zdają sobie dość jasno sprawy z tego, co właściwie uważają za kryzys rolny. Ta różnorodność w ujmowaniu istoty kryzysu prowadzi do licznych nieporozumień. Niektórzy utożsamiają każde niepomyślne położenie rolnictwa z kryzysem. Gdybyśmy stanowisko ich mieli przyjąć za własne, to moglibyśmy np. łatwo dojść do konsekwencji, że skutecznym środkiem przeciwdziałającym kryzysowi byłaby *birth control.* Niewątpliwie przecież silne rozmnażanie się naszej ludności wiejskiej i zwyczaj naturalnego podziału dziedzictwa prowadzą wieś do zubożenia. Rezultującej stąd wiejskiej biedoty nie będziemy jednak identyfikowali z kryzysem rolnym. Podobnie nie zgodzimy się, aby każdą depresję cen w rolnictwie uważać za kryzys. Fakt rozwarcia się t. zw. nożyc, czyli spadek siły kupna produktów rolnych w stosunku do ogólnego poziomu cen, obserwować możemy sezonowo (w pewnych miesiącach lub w niektórych latach). Zjawisko to samo przez się nie jest dostatecznym dowodem na wystąpienie kryzysu. O ile ma ono miejsce na tle naogół zwyżkowej tendencji, może mu nawet towarzyszyć dobra konjunktura.

Max Sering określa kryzys rolny jako zjawisko kulminujące w kompensacji i hiperkompensacji działania zasady zmniejszającego się przychodu. Działanie tej zasady argumentuje socjologicznie. Nacisk wzrostu ludności na środki żywności prowadzi z reguły do potęgującego się napięcia między produktami rolnemi a artykułami przemysłowemi. Stąd siła kupna produktów rolnych musi objawiać tendencję do wzrostu. Tendencja ta jest wyrazem działania zasady zmniejszającego się przychodu w dynamice gospodarstwa społecznego. Przełamanie działania zasady prowadzi do kryzysu rolnego.

Dlaczego potrzebne jest przełamanie tendencji wzrastającej siły kupna dla wystąpienia kryzysu rolnego i dlaczego wyłącznie nacisk wzrostu ludności ma być za tę tendencję odpowiedzialny — tego Sering bliżej nie wyjaśnia. Spróbujemy w dalszym ciągu zastanowić się nad tym problemem.

II

W współczesnem gospodarstwie społecznem nie jest do pomyślenia gospodarstwo rolne o skrajnym typie symbiozy człowieka z ziemią. Nie spotykamy w niem również gospodarstwa rolnego, będącego wyrazem gospodarki kapitalistyczno-wymiennej w czystej formie. W pewnym sensie możemy jednak mówić o przewadze bądź form naturalno-gospodarczych (symbiozy), bądź typu nastawionych rynkowo warsztatów. W Ameryce, w Anglji, w Danji, a po wojnie światowej coraz częściej w zachodniej części naszego kontynentu typ pierwszy ustępuje miejsca drugiemu.[1]

Zależnie od mniej lub więcej rynkowego nastawienia rolnictwa wzrost i spadek fizycznej objętości produkcji, jaki wywołany być może lepszym lub gorszym zbiorem, wyraża się niejednakowym wzrostem lub spadkiem podaży. Zwyżka zbiorów podnosi, a zniżka zbiorów obniża naturalno-gospodarczą konsumcję. Zwyżka zbiorów produkcji, nastawionej rynkowo, wywołuje daleko silniejsze zwiększenie się podaży, a zniżka odbija się w tym wypadku daleko więcej na zmniejszeniu się podaży. Analogicznie jedna i druga produkcja, t. j. naturalno-gospodarcza i nastawiona rynkowo, nie mogą reagować jednakowo na zmiany cen i kosztów.

Im więcej rynkowo nastawioną jest produkcja rolna, tem mniej różni sie ona od produkcji przemysłowej w swej wrażliwości na wahania kosztów i cen gotowego wytworu. Koszty produkcji i ceny wytworów w dłuższych odcinkach czasu decydują bądź o ekspansji, bądź o zwężaniu się objętości nastawionej rynkowo produkcji rolnej.

Jednakowoż między kosztami a ceną produktu nie zachodzi stosunek równoczesności. Wobec ceny uzyskiwanej za pro-

[1] Por. art. *Tendencje ewolucji agrarnej zachodniej i wschodniej Europy*

dukt koszty jego wytworzenia są zawsze kosztami przeszłemi a nie bieżącemi, współczesnemi. Koszty bieżące wpływają na podaż przyszłą dzięki temu, że przedsiębiorcy biorą je za podstawę kalkulacji w stosunku do preliminowanej, a więc przyszłej ceny. Niema i nie może być gwarancji, że ta cena preliminowana ziści się w chwili, kiedy towar ukaże się na rynku; ale prawdopodobieństwo w tej mierze jest tem większe, im krótszym jest odcinek czasu, dzielący moment rozpoczęcia produkcji od chwili ukazania się towaru na rynku. To też w gałęziach przetwórczych, które na zwyżkę lub zniżkę ceny mogą reagować natychmiastowem rozszerzeniem lub zwężeniem wytwórczości, istnieje w pewnym sensie równoległość między wzrostem cen i ekspansją produkcji. Szczególnie uwydatnia się ta równoległość w falach konjunkturalnych. Dobra konjunktura znaczy tu z reguły wzrost produkcji.

Im dłuższym jest jednak odcinek czasu potrzebny dla uzyskania rynkowego towaru, tem większe muszą być czasowe przesunięcia między wahaniami cen z jednej strony a wahaniami produkcji, występującemi w reakcji na zmiany tychże cen. Już sama ta okoliczność zmniejsza szanse prawdopodobieństwa, że cena, będąca punktem równowagi płynnej między ustawicznie zmieniającemi się popytem i podażą, pokryje koszty produkcji. Czasowa rozpiętość rozszerza możliwość działania masowej sugestji, jakiej podlegać mogą producenci. W żadnym wypadku też wahania produkcji nie mogą być wówczas miarą dobrej lub złej konjunktury.

Uwaga ta dotyczy w pierwszej linji rolnictwa. Do wahań, mogących występować na skutek czasowej rozpiętości między momentem rozpoczęcia produkcji a chwilą ukazania się towaru na rynku, dochodzą tu nadto wahania mające swe źródło w zjawiskach atmosferycznych. Możemy powiedzieć, że w normalnem falowaniu produkcji rolnej nie uwydatnia się konjunktura. Falowanie produkcji rolnej jest z jednej strony wyrazem wpływu warunków atmosferycznych, ujawniających się przedewszystkiem w lepszych lub gorszych zbiorach roślinnych, lecz mogących wpłynąć doraźnie także na produkcję animalną. Z drugiej strony znajduje we wzroście produkcji rolnej swój wyraz masowa sugestywna reakcja rolników na zaszłe zmiany cen, objawiająca się silniej w produkcji animalnej.

W obu wypadkach czasowa rozbieżność między wzrostem lub spadkiem objętości produkcji a wzrostem lub spadkiem cen jest zjawiskiem o doniosłem znaczeniu.

Brak równoległości między wahaniami objętości a wahaniami cen produktów nie upoważnia jeszcze sam przez się do bezpośrednich wniosków o konjunkturze rolnej. O tem decyduje kwestja pokrycia kosztów i osiągnięcia zysków. Ostatnie nie zależą od ceny jednostkowej produktu, ani od kosztów na jednostkę tegoż produktu, lecz od sumarycznej wartości zbioru i sumarycznej pozycji kosztów. Obniżanie się kosztów jednostkowych wraz z wahaniami zbiorów *in plus* (które to założenie nie zawsze się sprawdza) nie przesądza jeszcze o pokryciu sumy kosztów przez ogólną wartość zbioru w sensie dla zysku dodatnim. I naodwrót zwyżka kosztów jednostkowych wraz z wahaniami zbiorów *in minus* nie musi być połączona ze stratą rolnika; porównanie sumy kosztów z wartością zbioru (objętość razy cena jednostkowa) może bowiem wyrażać sie w zysku.

Objętość zbioru gra niejednakową rolę po stronie kosztów i po stronie wartości zbioru. Wahania zbiorów *in plus* lub *in minus* mogą prowadzić do spadku lub wzrostu kosztów jednostkowych, nie wpływając na sumę kosztów. Na sumę tę wahania zbiorów mogą wprawdzie mniej lub więcej wpływać zależnie od ustosunkowania pozycyj stałych i zmiennych (przykład: różnica zachodząca między wpływem 50% zwyżki zbioru ziemniaków a takąż procentową zwyżką zbioru pszenicy). Ale suma kosztów objawia raczej tą drogą tendencję do wzrostu wraz z wahaniami zbiorów *in plus* niezależnie od tendencji kosztów jednostkowych; w żadnym razie wahania te nie obniżają sumy kosztów, t. j. czynnika dla kwestji zysku miarodajnego.

Inaczej przedstawia się rola objętości po stronie wartości zbioru. Wartość ta oczywiście nie ulegałaby zmianie tylko wówczas, gdyby ceny jednostkowe zmieniały się w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do objętości. Doświadczenie uczy, że zależnie od mniejszej lub większej elastyczności popytu spadek lub wzrost ceny może być — oczywiście w różnym stopniu — więcej niż odwrotnie proporcjonalnym lub mniej niż odwrotnie proporcjonalnym w stosunku do wzrostu objętości. Zależnie od tego zachodzić mogą dwie alternatywy:

I. Spadek ceny może być w sumie wartości hiperkompensowany (czyli wyrównany z czubem) przez wzrost objętości, a naodwrót zwyżka ceny może być hiperkompensowana przez spadek objętości i prowadzić do zmniejszenia wartości zbioru.

II. Spadek objętości może być w sumie wartości hiperkompensowany przez zwyżkę ceny, dając jako wynik wzrost wartości, i naodwrót wzrost objętości może być hiperkompensowany przez spadek ceny i prowadzić do zmniejszenia wartości zbioru.

Zależnie od tych alternatyw wzrostowi objętości produkcji towarzyszyć może dobra lub zła konjunktura rolna. Która zaś z tych alternatyw występuje, zależy od tendencji dla siły kupna produktów rolnych, objawiającej się w pewnych dłuższych odcinkach czasu.

W warunkach i w odcinkach czasu, w których ujawnia się tendencja do wzrostu siły kupna produktów rolnych, istnieje większe prawdopodobieństwo pierwszej alternatywy. Wzrost objętości ma wówczas szanse zwiększenia wartości zbioru, ponieważ cena spadać będzie wraz z nim raczej mniej niż odwrotnie proporcjonalnie. Natomiast w odcinkach czasu i w warunkach, w których tendencja wzrostu siły kupna produktów rolnych doznaje przełamania, istnieje większe prawdopodobieństwo alternatywy drugiej. Spadek objętości będzie wówczas raczej decydował o dobrej konjunkturze.

Powyższe określenie zależności wpływu fluktuacji produkcji na konjunkturę rolną od działania tendencji do wzrostu siły kupna wymaga oczywiście zkolei zastanowienia się, od czego właściwie zależy ta tendencja, którą zwykło się przyjmować za wyraz działania zasady zmniejszającej się wydajności w dynamice gospodarstwa społecznego.

Pogląd, że zasada zmniejszającego się przychodu stale działa i zachowuje swą moc obowiązującą w stosunku do czynnika ziemi, ugruntował się na skutek obserwacji zjawisk przyrodniczych. Fakt, że potęgując nakłady fizyczne na jednostce powierzchni dochodzimy zawsze do punktu, od którego począwszy zwiększanie nakładów nie daje dalszej zwyżki wydajności, ma istotnie do pewnego stopnia charakter bezwzględnej prawdy. Ale ta bezwzględność nie obowiązuje już w stosunku do socjologicznej nadbudowy tego prawa, która za nieuniknioną kon-

sekwencję wzrostu ludności chce uważać wzmaganie się nacisku na środki żywności. Wiemy, że udoskonalenia techniczne mogą przełamać nacisk ludności od strony podaży, a momenty psychiczne mogą podobnie oddziałać na stronę popytu.

Nadbudowa ekonomiczna przyrodniczego prawa, której wyrazem jest zasada zmniejszającego się przychodu, stwierdzająca w swej statycznej formie, że zwyżka kosztów nie prowadzi do proporcjonalnej zwyżki plonu, ma w daleko większej mierze cechy względności. Względność zasady ekonomicznej jest uwarunkowana tem, że w miejsce kryterjów fizycznego nakładu i fizycznej wydajności, któremi operujemy w naukach przyrodniczych, a które mają usprawiedliwienie również w socjologji, jako jedyne kryterjum wchodzi tu fakt ceny, czyli kosztów, i wydajności, podlegającej temu samemu kryterjum ceny.

Tylko wówczas, gdyby czynniki socjologiczne wyłącznie określały ustosunkowanie cen i występowanie ekonomicznej tendencji, bylibyśmy uprawnieni we wzrastającej sile kupna produktów rolnych dopatrywać się działania zasady socjologicznej, a więc uzasadniać tę tendencję li tylko wzrastającym naciskiem ludności na środki żywności. I tylko wówczas moglibyśmy stawiać pytanie tak, jak je się stawia normalnie w praktyce, t. j. czy zmniejszenie konsumcji czy fizyczna nadprodukcja stanowią przyczynę kryzysu.

Eakt, że o sile władczej popytu decyduje nie objętość zapotrzebowania, lecz zapotrzebowanie uzbrojone w siłę kupna, a o sile władczej podaży nie objętość uzależniona nakładami fizycznemi, lecz kosztami, każe wnioskować, że występowanie działania zasady socjologicznej w dynamice gospodarstwa społecznego nie może być niezależne od warunków, w jakich dochodzi do *equilibrium*. Sądzę, że gdybyśmy wykluczyli działanie zasady socjologicznej i abstrahowali od możności ujawniania się innych wpływów, to tem samem jeszcze nie usunęlibyśmy ewentualności występowania tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych. Wówczas jednak podaż złota i polityka walutowa, akcentowana w sensie inflacji lub deflacji, powinnyby mieć decydujący wpływ na występowanie lub załamywanie się tej tendencji. Faktem jest, że z mnożeniem środków wymiany lub przyspieszaniem cyrkulacji pieniężnej zasadniczo nie może iść w parze równie szybki wzrost podaży pro-

duktów rolnych, jak wzrost ogólnej podaży dóbr. Ograniczaniu środków wymiany nie może towarzyszyć równie szybkie kurczenie się podaży produktów rolnych jak ogólnej podaży dóbr. Polityka inflacyjna w równych zresztą warunkach nie wywołuje równomiernej zwyżki poziomu cen, lecz względny stosunek cen przesuwa na korzyść artykułów rolnych. Polityka deflacyjna stosunek ten odwraca. A więc sam wzrost lub spadek podaży dobra wymiennego może, niezależnie od innych czynników, powodować taką lub inną tendencję.

Potwierdzenie daje w tej mierze szereg faktów historycznych, a w szczególności przytoczone już dane odnoszące się do kryzysu rolnego po wojnach napoleońskich, po wojnie secesyjnej i po ostatniej wojnie światowej, na co w szczególności zwrócili uwagę G. F. Warren i F. A. Pearson w swoich cennych a przytoczonych wyżej badaniach nad kryzysem rolnym w Ameryce. Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że za tendencję do wzrostu siły kupna produktów rolnych, w okresie bezpośrednio przed wielką wojną, odpowiedzialną była także w dużej mierze polityka głównych banków emisyjnych. Działanie to uwydatniałoby się prawdopodobnie znacznie silniej, gdyby popyt i podaż na dobra stały pod wpływem polityki jednego centralnego banku i gdyby warunki wolnej konkurencji nie doznawały pozatem żadnych ograniczeń.

Sądzę też, że w sensie czysto ekonomicznym uważanie przesuwania się stosunku cen na korzyść produktów rolnych wraz ze wzrostem podaży dobra wymienionego — za istotny wyraz działania zasady zmniejszającego się przychodu w dynamice gospodarstwa społecznego, byłoby daleko więcej usprawiedliwione, niż przydawanie tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych argumentacji czysto socjologicznej. Nie da się zaprzeczyć, że tendencja ta może występować dzięki zjawiskom monetarnym niezależnie od nacisku wzrostu ludności na środki żywności w sensie czysto socjologicznym i że może doznać załamania niezależnie od momentów socjologicznych.

Dynamicznie ze wzrostem nakładów fizycznych, a w szczególności ze wzrostem nakładu pracy ludzkiej, który poniekąd przesądza o działaniu zasady zmniejszającej się wydajności jako zasady socjologicznej w sensie twierdzącym, nie zawsze musi iść w parze tendencja do wzrostu siły kupna produktów rol-

nych. Przełamanie tej tendencji nie oznacza jeszcze, aby nacisk ludności na środki żywności w sensie socjologicznym miał się istotnie zmniejszyć, a wystąpienie tendencji nie jest dostatecznym dowodem na fakt działania zasady w sensie socjologicznym. Oczywiście nie mąm tem samem zamiaru stawać na stanowisku odwrotnem do argumentacji socjologicznej, i tendencję do wzrostu siły kupna produktów rolnych wykładać czysto monetarnie. Byłoby to równie wielkim błędem. Sądzę, że czynniki socjogiczne są tylko jednym w szeregu momentów decydujących o tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych, na równi z czynnikami monetarnemi. Działanie tych czynników może wzajemnie się znosić lub przybierać charakter współdziałania, a to bądź w kierunku potęgującym występowanie tendencji, bądź akcentującym jej załamywanie się.

W gruncie rzeczy tendencja do wzrostu siły kupna produktów nie jest wyrazem działania jednolitej zasady. Jest ona wypadkową czynników socjologicznych, monetarnych i gospodarczo-politycznych.[1] Wpływ tych ostatnich na działanie dwóch pierwszych nie da się zaprzeczyć. Na drodze pociągnięć polityki gospodarczej rozmyślnie lub nierozmyślnie akcentuje się bądź popyt bądź podaż prodnktów rolnych. Pociągnięcia poszczególnych państw krzyżują się między sobą. Zaakcentowanemu zniżkowo popytowi z jednej strony przeciwstawia się zaakcentowana zwyżkowo podaż z drugiej strony. Im więcej drogą pociągnięć gospodarczo-politycznych, doznają ograniczenia warunki wolnej konkurencji, tem prawdopodobniejszem jest, że mogą one oddziałać na kształtowanie się tendencji siły kupna produktów rolnych. Jeżeli więc przyjmując tę tendencję za wyraz dynamicznego działania zasady zmniejszającego się przychodu na skutek założeń socjologicznych, uważa się ją za normalną, a przełamanie jej, prowadzące do kryzysu rolnego, za zjawisko anormalne, to generalizacji tej musimy odmówić uzasadnienia. Bo skoro czysto socjologiczna argumentacja nie wytrzymuje krytyki, to wraz z nią upada także pojęcie normalności tendencji.

---

[1] Teoretycznie możliwem jest także współdziałanie czynników przyrodniczych (wystąpienie 7 lat tłustych lub 7 lat chudych).

Z drugiej strony wydaje się niewątpliwem, że ujawnianie się tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych jest koniecznym warunkiem, uzależniającym wzrost objętości produkcji drogą postępowego potęgowania kosztów na jednostkę powierzchni, czyli intensyfikacji w rozumieniu ekonomicznem. Tylko jak długo tendencja powyższa działa, ryzyko zwiększania kosztów znajduje usprawiedliwienie w prawdopodobieństwie, że wzrost objętości produkcji w rezultacie zwiększenia kosztów wywoła mniej niż proporcjonalny spadek ceny i że rezultat produkcji z zyskiem pokryje koszty.

Okres ujawniania się tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych będzie z reguły pomyślnym dla rolnictwa, nastawiającego się intensywnie. Wzrost objętości, stojący w związku z omówionemi wyżej normalnemi wahaniami zbiorów, będzie pomyślną sytuację nastawionego intensywnie rolnictwa dodatnio akcentował. Rolnictwo nastawione ekstensywnie nie odczuje pomyślnej konjunktury w tym samym stopniu, ale za to rok zmniejszonej objętości produkcji wyrazi się dla niego mniej niepomyślnemi rezultatami, niż dla gospodarki intensywnej.

O ile ujawnianie się tendencji wzrostu siły kupna produktów rolnych w dynamice życia gospodarczego rozszerza granice dopuszczalnej intensyfikacji, o tyle załamanie się tej tendencji granice intensyfikacji zacieśnia. Z chwilą, gdy tendencja ta przestaje się ujawniać, każdy sztuczny impuls intensyfikacyjny (np. ze strony polityki kredytowej) wyrazi się podobnie, jak każdy obfitszy urodzaj, złą konjunkturą rolną. Wzrost objętości produkcji, wywołany zwiększeniem kosztów, spowoduje wówczas więcej niż proporcjonalny spadek ceny i będzie w tym kierunku potęgował działanie normalnych wahań zbiorów. Dla rolnictwa, nastawionego w kierunku intensyfikacji, każdy rok lepszego urodzaju lub zwiększonej fali produkcji animalnej będzie w tym okresie szczególnie dotkliwym. Rolnictwo nastawione ekstensywnie nie odczuje wzrostu objętości produkcji w tym samym stopniu. Rok nieurodzaju lub obniżenia się fali produkcji animalnej będzie w tym okresie raczej rokiem pomyślnym; będzie nierównie pomyślniejszym dla rolnictwa nastawionego ekstensywnie, niż przy przewadze kierunku intensywnego.

Walor, jaki w przedwojennej Europie kontynentalnej przypisywano działaniu wzrastającego nacisku ludności na środki żywności, przyczynił się wielce do uznania intensyfikacji za społeczny ideał. Drogą pomieszania pojęć socjologicznych i ekonomicznych uczyniono z niej pewnego rodzaju rolniczo-ekonomiczny dogmat. Ekstensywna gospodarka rolna stała się dla wielu synonimem złej gospodarki. W warunkach przedwojennych była ona istotnie, w myśl naszych założeń, mniej racjonalną. Conajmniej bowiem w ostatniem dziesięcioleciu tendencja do wzrostu siły kupna produktów rolnych występowała dość powszechnie, choć może nie wszędzie była ona równie wyraźną, jak. np. w Niemczech, gdzie doznawała szczególnie silnego zaakcentowania ze strony polityki gospodarczej i gdzie wydała namacalne rezultaty w imponującym wzroście produkcji.

Jedynie słuszne stanowisko, uznane ogólnie w Ameryce, że intensyfikacja może być w pewnych warunkach koniecznością, ale nigdy społecznym ideałem, ustąpiło w przedwojennej Europie miejsca dogmatycznemu traktowaniu problemu intensyfikacji. Sugestja ujawniającej się przez dłuższy czas tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych była tak silną, że praktycznie przestano się liczyć z możnością przełamania jej. Tem samem nie brano w rachubę ewentualności ekstensyfikacji, wysuwającej się logicznie jako następstwo załamania, a tem mniej liczono się z temi konsekwencjami załamania, w których kulminuje zjawisko kryzysu rolnego. O tym momencie kulminacyjnym nie decyduje konieczność ekstensyfikacji, którą też niesłusznem byłoby uważać za równoznaczną z zażegnaniem kryzysu.

Zjawisko kryzysu rolnego kulminuje w dekapitalizacji, występującej w następstwie załamania tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych. Wiadomo, że w parze z tą tendencją idzie wzrost kapitalizacji w rolnictwie, obejmujący normalnie warsztaty rolne tem więcej, im silniejsze jest tempo intensyfikacji. Załamanie się tendencji przynosi w następstwie dekapitalizację, dla której przewaga kapitału stałego nad zmiennym i połączona z tem niemożność szybkiego upłynnienia stwarza szczególnie podatne warunki. W dekapitalizacji, występującej w rolnictwie na skutek załamania się tendencji, tkwi właściwa istota kryzysu rolnego.

Im dalej postąpiła intensyfikacja, tem więcej zmiana tendencji odbić się może zkolei na rozmiarach dekapitalizacji; ta zaś znowu tem silniej godzi w indywidualnych rolników, im większą była rozpiętość kredytów, jakiemi posługiwali się dla celów intensyfikacyjnych. Ofiarą kryzysu rolnego padają w pierwszej linji rolnicy, którzy przeciągnęli strunę intensyfikacji. W dalszym ciągu kryzys dotyka nietylko rolnika gospodarującego intensywnie silniej, w porównaniu z gospodarującym ekstensywnie, ale naogół godzi w stan majątkowy rolników, a to tem więcej, im dalej postąpiło nastawienie rynkowe gospodarstw rolnych. Kryzys nie mógłby zebrać tego pokłosia zbankrutowanych rolników w Niemczech, jakie zgarnął w Ameryce. Jego żniwo musi być stosunkowo słabsze w Polsce niż w Niemczech, a w naszych dzielnicach zachodnich obfitsze niż w pozostałych częściach kraju.

Natomiast trudno byłoby ogólnie określić, które warsztaty są odporniejsze na kryzys: większe czy mniejsze. Jeśli w praktyce w naszych warunkach częściej spotykamy się z odpornością drobnych gospodarstw, to może ona być li tylko pozorną i występować jako symptom naturalno-gospodarczego nastawienia wytwórczości. W innych wypadkach mamy do czynienia z odpornością, której źródłem może być szybsze dostosowanie kosztów pracy na skutek oparcia gospodarki o siły własnej rodziny (brak pracowników najemnych). Wreszcie odporność może być uwarunkowana tem, że pewien kierunek produkcji, akcentujący mniejsze typy gospodarstw, nie jest objęty kryzysem. Zasadniczo absolutnie większa odporność pewnych typów nad drugiemi nie da się ani umotywować ani stwierdzić na skutek obserwacji zjawisk kryzysowych w różnych warunkach.

III

Powróćmy teraz do bezpośrednio nas interesującego zagadnienia kryzysu powojennego. Musimy tu przedewszystkiem przeprowadzić analizę zjawiska w tym kierunku, aby zdać sobie sprawę, z jakim właściwie kryzysem mamy do czynienia: światowym, europejskim, czy li tylko polskim, a może dzielnicowym. Równocześnie należy sobie zdać sprawę, czy stoimy

wobec faktu kryzysu ogólno-rolniczego, czy też dotykającego tylko specyficznych gałęzi produkcji rolnej.

Jeżelibyśmy mieli do czynienia z kryzysem o charakterze zjawiska światowego, to powinniśmy skonstatować pewną współbieżność objawów. Współbieżność ta, jakkolwiek ograniczona czasowo, da się istotnie stwierdzić. W czasokresie 1920—1924 (z różnem nasileniem w odniesieniu do poszczególnych produktów i z nierówną intensywnością dla poszczególnych krajów) występuje zasadniczo ogólne załamanie się siły kupna produktów rolnych.

Dla współbieżności powyższej szczególnie charakterystyczne są dwa momenty:

1) Wystąpienie rozpiętości między cenami uzyskanemi przez rolników a cenami produktów rolnych (wzgl. ich przetworów: chleb) w handlu detalicznym.

2) Spadek siły kupna produktów rolnych, mierzony ogólnym wskaźnikiem cen, który osiąga punkt kulminacyjny w roku gospodarczym 1923/24.

W tymże okresie nie było współbieżności odnośnie do momentów, w jakich w poszczególnych krajach przyszło do załamania. Momenty te naogół pokrywały się z przejściem banków emisyjnych do polityki deflacyjnej, względnie ze stabilizacją walut. W ostatnim względzie zachodzą jednak wyjątki. W niektórych krajach doszło bowiem już w czasie inflacji do załamania się siły kupna, a do tych krajów bezsprzecznie musimy zaliczyć Polskę.

Położenie w Polsce charakteryzuje w tym czasokresie (1920—1924): 1) powolniejsze dostosowywanie się cen produktów rolnych do zmieniającej się wartości pieniądza, niż cen artykułów przemysłowych, 2) przesunięcie się stosunku cen między poszczególnemi dzielnicami i 3) nierównomierne przesunięcie się siły kupna produktów rolnych dla poszczególnych dzielnic. Załamanie się siły kupna dotyka w tym czasie przedewszystkiem województwa zachodnie, t. zn. kryzys ma głównie charakter kryzysu dzielnicowego.

Wraz z rokiem 1924 światowa współbieżność przebiegu objawów kryzysowych urywa się. Miejsce jej zajmuje daleko idąca rozbieżność. Charakterystyczne momenty wskazujące na tę rozbieżność można ująć w następujący sposób:

Cena jednych produktów wykazuje światowo raczej skłonność do poprawy po dokonaniu załamania, cena zaś innych produktów wykazuje skłonność do dalszego spadku lub do stagnacji. Za przykład moglibyśmy wziąć z jednej strony pszenicę i kukurudzę, z drugiej żyto, owies i jęczmień. Jeżeli abstrahujemy od indywidualnych rysów rozwojowych w poszczególnych krajach, stojących pod wpływem warunków lokalnych, i nie ulegniemy suggestji dorocznych i sezonowych wahań cen, to dojdziemy do wniosku, że pszenica i kukurudza wykazują światowo ponownie tendencję do poprawy. Na kierunek tego rozwoju odnośnie do głównych zbóż wskazuje przedewszystkiem tendencja panująca na rynkach amerykańskich. Możnaby wprawdzie kwestjonować, czy tendencja ta może być uważana światowo za miarodajny wskaźnik. Jeśli się jednak uwzględni, że Stany Zjednoczone są dotąd krajem eksportowym i że na giełdach amerykańskich *(Chicago Board of Trade)* dokonują się na wielką skalę ubezpieczenia eksportów ze strony innych głównych krajów eksportowych w drodze t. zw. *futures* w handlu terminowym, to musi się przyjść do przekonania, że kształtowanie się cen zbóż w Ameryce ma jednak światowo decydujące znaczenie.

Warren i Pearson podają następujące zestawienie porównawcze cen uzyskiwanych przez rolników *(farm prices)* za główne gatunki zbóż na dowód zmian w poziomie cen w Ameryce, które to zmiany uważają za „fundamentalne". Ceny te (por. Tab. I) są różne od cen giełdowych. Odpowiadają one cenom wypłacanym przez elewatory lokalne, a więc cenom faktycznie uzyskiwanym przez rolników.

Porównawcze zestawienie cen przez Warrena i Pearsona obejmuje średnie ceny z 1 grudnia (okres spieniężenia przez rolników największej części zbiorów). Obok średnich dla Stanów Zjednoczonych przyjęte zostały ceny stanu Iowa, jako typowo reprezentujące obszar nadwyżkowy kukurudzy i pszenicy, oraz stanu Nowy Yórk, jako skrajnego obszaru deficytowego. Warren i Pearson stwierdzając stale przesuwanie się stosunku cen między pszenicą i kukurudzą a żytem, jęczmieniem i owsem na korzyść pierwszych dwu produktów, sądzą, że z tendencją tą należy się w dalszym ciągu liczyć na najbliższą przyszłość

TABLICA I[1]

		Średnia cena za buszel w ctn. amer. z okresu 1895—1914	1924—1928	procentowy wzrost ceny
pszenica[2]:	Stan Nowy York	89 7	138 0	54
	Stan Iowa	71.8	120.0	67
	Stany Zjednocz.	75.9	120.1	58
żyto:	Stany Zjednocz.	60.2	88.0	46
kukurudza:	Stan Nowy York	62.0	99.0	60
	Stan Iowa	36.4	68.2	87
	Stany Zjednocz.	44.7	75.4	69
owies:	Stan Nowy York	40.6	54.6	34
	Stan Iowa	27.8	38.0	37
	Stany Zjednocz.	32.8	42.3	29
Jęczmień:	Stan Nowy York	61.9	80.2	30
	Stan Iowa	42.9	60.6	41
	Stany Zjednocz.	46 1	62.7	36

Drugi moment charakteryzujący rozbieżność, to fakt, że cena jednych i tych samych produktów równocześnie w jednych krajach maleje, w drugich rośnie. Może cokolwiek ekstremistyczny przykład stanowi w tej mierze ziemniak, którego cena w Polsce, a przedewszystkiem w dzielnicy zachodniej, niezmiernie spadła. Tymczasem w Ameryce, mimo daleko już dziś posuniętej mechanizacji uprawy ziemniaka, widzimy wręcz przeciwną tendencję. Cena 4 dolary za 100 kg. *loco* folwark uważaną jest dziś w Stanach za zupełnie normalną; cena ta wyjątkowo tylko spada niżej 2 dolarów, a w latach nieurodzaju dosięga lokalnie poziomu 8 dol. Podobnie rzecz przedstawia się z jarzynami. Tutaj najsilniej wyraża się wzrost wyceny fizycznego nakładu pracy, jaki po tamtej stronie oceanu dokonał się w czasie wojny, a któremu u nas przeciwstawia się wręcz odwrotna tendencja.

Bardziej charakterystycznego przykładu dostarcza rozwój cen produktów animalnych. Wiadomo, że dla produktów tych panowała przed wojną na terenie Europy tendencja naogół zwyżkowa. Danja i Szwajcarja temu głównie zawdzięczają imponujący rozwój swego rolnictwa. Dziś wysokonakładowa

[1] Przytoczone za *Farm Economics* Nr 58, str. 1075.

[2] Waga standardowa buszla pszenicy = 27 kg.

produkcja animalna stoi raczej na terenie europejskim pod znakiem osłabienia, co znowu w pierwszej linji odczuły Szwajcarja i Danja (musimy tu oczywiście wyróżnić między falami cyklicznemi a zasadniczym kierunkiem rozwojowym). Natomiast kierunek rozwoju, charakterystyczny dla przedwojennych stosunków w Europie, bardzo wyraźnie występuje dziś w Stanach Zjednoczonych. Szereg produktów animalnych po załamaniu się cen nietylko wykazuje wyraźny kierunek do ponownego wzrostu, ale naogół ceny powróciły tam do wysokiego poziomu z okresu bezpośredniego przed załamaniem. (Oczywiście i tutaj na tle zasadniczego kierunku występują wahania cykliczne i sezonowe, wymagające, zwłaszcza przy trzodzie, uwzględnienia). Pewien wyjątek od ogólnej tendencji stanowi może tylko wełna.

Poniżej podaję, jako niezmiernie instruktywne, wskaźniki produktów animalnych dla lat 1920—1928, mające za podstawę średnie 1910—1914 r. Średni poziom cen roku 1920, w którym dokonały się załamania, był naogół najwyższy z szeregu lat (Por. Tab. II).

TABLICA II[1]

Rok	Jaja		Kurczęta		Masło		Mleko	Krowy mleczne		Bydło opasy	Cielęta		Trzoda		Wełna
	St. Zj.	N. Y.	St. Zj.	N. Y.	St. Zj.	N. Y.	N. Y.	St. Zj.	N. Y.	St. Zj.	St. Zj.	N. Y.	St. Zj.	N. Y.	St. Zj.
1920	222	218	222	225	215	206	220	182	189	160	172	188	180	183	214
1921	157	168	182	199	151	152	155	120	127	104	115	127	108	116	95
1922	132	144	166	186	139	135	133	109	120	102	112	122	116	119	163
1923	140	146	164	174	160	158	150	113	130	105	117	128	98	109	212
1924	141	139	167	160	156	148	128	113	121	105	119	130	103	110	210
1925	156	154	177	170	161	155	153	118	137	118	130	136	152	154	221
1926	146	143	190	180	163	155	156	133	162	122	140	142	163	161	186
1927	131	136	177	173	167	161	166	151	196	136	148	145	134	140	174
1928	140	143	184	178	172	161	167	183	227	172	172	161	121	127	203

Trzeci moment rozbieżności to kształtowanie się ogólnej siły kupna produktów rolnych wobec ogólnego wskaźnika cen. Wielu uważa tu siłę kupna z okresu bezpośrednio poprzedza-

[1] Przytoczone za *Farm Economics* Nr 61, str. 1156 i n. St. Zj. = Stany Zjednoczone, N. Y. = Stan Nowy York.

jącego wybuch wojny za pewnego rodzaju kryterjum. Wobec tego jednak, że siła kupna także przed wojną ulegała stopniowym zmianom, niema objektywnego usprawiedliwienia dla przyjmowania takiego kryterjum. Zagadnienie, które ma dla rolnictwa przedewszystkiem doniosłość, to pytanie: czy w dynamice gospodarstwa społecznego siła kupna produktów rolnych objawia ponownie tendencję do wzrostu, czy też jej nie objawia. I tu występuje rozbieżność pomiędzy poszczególnemi krajami. Dla jednych ponowne ujawnianie się tendencji przedwojennej nie zdaje się ulegać wątpliwości, dla drugich conajmniej musi być kwestjonowane. Do pierwszych krajów musimy znowu zaliczyć Stany Zjednoczone.

Tablica III podaje ogólny wskaźnik cen hurtownych i ogólny wskaźnik cen rolnika.

TABLICA III[1]

Rok	Ogólny wskaźnik cen hurtowych	Wskaźnik cen uzyskanych przez rolnika	Wskaźnik cen żywności: ceny uzysk. przez rolnika	Wskaźnik cen żywności: ceny detaliczne	Ogólny wskaźnik kosztów utrzymania	Wskaźnik kosztów dystrybucji
1920	230	214	207	207	212	202
1921	150	119	130	163	180	190
1922	152	124	121	150	168	175
1923	157	137	124	154	172	177
1924	152	140	126	153	170	180
1925	162	154	152	169	175	185
1926	154	142	154	174	176	192
1927	149	137	145	169	173	190
1928	151	145	149	170	171	190

Wielu autorów komentuje jednak załamanie się cen szeregu produktów rolnych i ponowne bardzo znaczne osłabienie ich siły kupna, jakie nastąpiło w znacznej części Europy w ciągu roku 1929, jako objawy o charakterze światowym. Wobec tego zasługuje na szczególną uwagę, że rok 1929 nie zaznaczył się w tej mierze zmianami, którym możnaby przypisywać charakter światowości. Krajom, w światowej produkcji rolnej najbardziej miarodajnym, rok 1929 nie przyniósł

[1] Przytoczone za *Farm Economics* Nr 62, str. 1177.

ogólnej zmiany poziomu cen w sensie dla rolnictwa ujemnym; nie stanowił on wyjątku od tendencyj ujawniających się od roku 1924. Mimo, że osłabienie się ceny niektórych produktów przybrało rozmiary lokalnie katastrofalnych depresyj, światowo zjawisko to nie wychodzi poza ramy stale ujawniających się wahań cen.

W szczególności w Stanach Zjednoczonych (które jednak bynajmniej nie stanowią wyjątku), nie obserwujemy w ciągu roku 1929 ponownego rozwarcia się nożyc. Także ceny uzyskiwane przez rolnika za pszenicę i żyto po sezonowej zniżce (maj, czerwiec), wracają do poziomu z roku 1928. Ilustruje to przebieg wskaźników miesięcznych (Tab. IV).

TABLICA IV[1]

	Wskaźnik cen żywności						Wskaźnik cen uzyskanych przez rolnika	
	Ogólny wskaźnik cen hurtowych	Wskaźnik cen uzyskanych przez rolnika	ceny uzyskane przez rolnika	ceny detaliczne	Ogólny wskaźnik kosztów utrzymania	Wskaźnik kosztów dystrybucji	za żyto	za pszenicę
Rok 1928	151	145	149	170	171	190	129	129
Rok 1929:								
Styczeń	151	139	141	169	172	202	123	113
Luty	150	142	146	173	171	199	128	116
Marzec	151	146	150	175	171	201	128	118
Kwiecień	150	144	149	175	171	202	118	112
Maj	148	142	152	177	170	199	110	100
Czerwiec	149	141	154	176	170	196	103	96
Lipiec	152	148	158	178	171	195	118	116
Sierpień	151	150	159	178	173	194	131	130
Wrzesień	151	148	156	177	172	201	124	128
Październik	149	147	153	175	172	196	?	?

Przy poprawie cen produktów rolnych ostatni kryzys przemysłowy przynosi w Stanach Zjednoczonych zniżkę cen szeregu artykułów nierolniczych. Z tej strony oczekiwaną jest tam dalsza poprawa sytuacji w rolnictwie. Oto co w tej sprawie pisze prof. G. F. Warren, rozpatrując wpływ kryzysu przemysłowego na produkcję rolną Stanów Zjednoczonych:

[1] Przytoczone za *Farm Economics* Nr 61 i 62. Danemi z tego samego źródła dla pozostałych miesięcy dotąd nie rozporządzam.

„Jeśli nie nastąpią obfite odkrycie złota, lub zmiany w systemach monetarnych, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że ogólny poziom cen dozna dalszego obniżenia. Nie znaczy to, aby wszystkie artykuły spadły; w odniesieniu do produktów rolnych już to pierwej nastąpiło, a w związku z tem dokonane zostały ograniczenia produkcji dla przyszłego zaopatrzenia. Teraz prawdopodobnem jest, że z kolei ceny artykułów przemysłowych doznają silniejszego obniżenia niż produkty rolne". (*Farm Economics*, str. 1179).

„Wiele artykułów przemysłowych można już kupić po niższych cenach. Bawełna, wełna i niektóre specjalne produkty rolne mogą ucierpieć przez kryzys przemysłowy, lecz według wszelkiego prawdopodobieństwa rolnictwo zyska przez potanienie produktów miasta, podobnie jak przedtem miasta zyskiwały, otrzymując tanie produkty rolne". (*Farm Economics*, str. 1191).

Wobec rozbieżności w objawach od r. 1924, które starałem się ująć w kilku najbardziej charakterystycznych punktach, nie sądzę abyśmy byli uprawnieni do wniosków o kontynuacji światowego kryzysu rolnego. Fakty, że siła kupna dotąd nie osiągnęła poziomu, jaki był bezpośrednio przed wielką wojną lub że położenie rolnictwa na skutek przebytego okresu kryzysu i zaciągniętych w tym czasie długów jest w dalszym ciągu ciężkie, nie uprawniają jeszcze do tego twierdzenia.

Im mniej mamy powodów do przyjmowania ciągłości kryzysu jako światowego i ogólno-rolniczego, tem większej uwagi wymagają objawy kryzysowe występujące lokalnie. I tutaj znowu pozwoliłbym sobie scharakteryzować sytuację kilku rzucającemi się w oczy faktami.

Po pierwsze, w porównaniu ze stanem przedwojennym kształtowanie się cen produktów rolnych w eksportujących krajach pozaeuropejskich jest obecnie znacznie równomierniejsze; na terenie kontynentalnej Europy jest ono natomiast dzisiaj znacznie mniej równomierne. Wbrew temu założeniu, że ceny powinny podlegać tem mniejszym skokom, im więcej zbliżamy się ku konsumentowi, względnie ku obszarom deficytowym, stoimy wobec faktu spotęgowanych skoków cen europejskich.

Po drugie, objaw powyższy nie da się bezwzględnie stwierdzić dla całej Europy, lecz dotyczy przedewszystkiem Europy środkowo-wschodniej. Anarchja w kształtowaniu się cen produktów rolnych występuje tem silniej, im dalej idziemy na wschód, a w szczególności ogarnia wschodnio-europejskie państwa agrarne, a w ich liczbie Polskę.

Po trzecie, sezonowe depresje i zwyżki cen w Europie wychodzą przedewszystkiem od Europy wschodniej. Doroczny urodzaj lub nieurodzaj na obszarze wschodnio-europejskim odbija się dziś silniej na poziomie cen europejskich rynków niż pojemność zbiorów światowych, przez co nie zamierzam bynajmniej negować doniosłego wpływu tych ostatnich na kształtowanie się cen. [1]

Ten właśnie objaw uderza w odniesieniu do położenia, jakie się wytworzyło w roku 1929, w którym mimo słabego wyniku zbiorów światowych nagromadzenie zapasów z dwóch względnie pomyślnych lat wywołało lokalne załamanie się cen (w tym rzędzie w Polsce). Do sytuacji przyczyniła się tu ciasnota na rynku kredytowo-pieniężnym wschodnio-europejskich państw agrarnych. Konsekwencje tej ciasnoty ponosi w latach lokalnego urodzaju producent; w razie lokalnego nieurodzaju analogiczne konsekwencje spadłyby na konsumenta.

Po czwarte, lokalna anarchja cen dotyczy przedewszystkiem tych produktów, których główny obszar wytwórczości pokrywa się z Europą środkowo-wschodnią. Anarchją tą w pierwszej linji dotknięte są żyto i ziemniak, typowe produkty tego obszaru. W drugiej linji zjawisko anarchji odnosi się do cen tych produktów, któremi wschód uczestniczy silniej w międzynarodowych obrotach na rynkach europejskich (np. trzoda, jaja); natomiast produkty, w których nadwyżki eksportowe wschodu odgrywają małą rolę, mniej podlegają tej anarchji. Faktyczne ceny, uzyskiwane przez producenta za produkty należące do pierwszej grupy, objawiają tendencję kształtowania się poniżej poziomu rezultującego z różnicy między cenami głów-

[1] W związku z tem interesującemi są wyniki pracy Timoszenki *(Wheat prices and the world wheat market)*, który wykazuje, że przed wojną zbiory rosyjskie miały decydujący wpływ na wahania cen w Liverpoolu, Berlinie i Paryżu w okresie od wiosny do jesieni, a zbiory południowo-amerykańskie na analogiczne wahania cen od jesieni do wiosny.

nych rynków i kosztów handlowych. Ognisko aktualnej depresji rolnej stanowi w każdym razie agrarny wschód Europy. Przebieg i okoliczności towarzyszące tej depresji każą przypuszczać, że w r. 1929 mamy do czynienia z typowo złą konjunkturą w produkcji roślinnej na tle kryzysowem, podczas gdy np. rok 1927 był rokiem dobrej konjunktury na zasadniczo równie kryzysowem podłożu. Podobnie rok 1929 zaznaczył się w produkcji animalnej dobrą konjunkturą na tle kryzysowem, po po której spodziewane jest powtórzenie się zjawiska złej konjunktury na podłożu kryzysowem.

Ujawnianie się chwilowo dobrej konjunktury, która (choć inaczej uzależniona) wystąpić może również w okresie kryzysowym (por. rozdział II), dezorjentuje rolników. Dla Europy wschodniej, łącznie z Polską, nie zaszły z rokiem 1924 zmiany istotne w kierunku przełamania kryzysu. Wzrost siły kupna produktów rolnych nie objawia się dotąd jako tendencja. W związku z tem, lepszym zbiorom towarzyszy występowanie złej konjunktury, a każda ofensywa intensyfikacyjna szanse występowania tej konjunktury potęguje. Stoimy wobec objawów kryzysowych, którym nie towarzyszą analogiczne objawy ogólnoświatowe, i stoimy specjalnie w Polsce wobec faktu rozszerzenia się kryzysu jako zjawiska pierwotnie głównie dzielnicowego (1920—1924) na kryzys ogólno-polski.

IV

Po przeprowadzeniu analizy faktów, zastanówmy się z kolei nad zachodzącemi związkami przyczynowemi.

O tyle, o ile kryzys rolny jest zjawiskiem o charakterze światowym i kryzysem ogólno-rolniczym, uważam kontrowersję na punkcie zagadnienia jego przyczynowości za bezpłodną szermierkę słów. Stawiać tego rodzaju pytanie znaczy pośrednio zaprzeczać charakter światowości kryzysu; w samem pytaniu mieści się bowiem pewnego rodzaju *contradictio in adiecto*. Ogólno-rolniczy kryzys światowy nie jest mojem zdaniem do pomyślenia jako zjawisko niezależne od zjawisk monetarnych. Musi on też być równocześnie dla jednych kryzysem popytu, dla drugich kryzysem podaży; może występować jedynie jako lokalnie zaakcentowany kryzys popytu i lokalnie zaakcentowany kryzys podaży. To lokalne zaakcentowanie znalazło swój wyraz

z jednej strony w hipotezie Nourse'a, a z drugiej strony w hipotezie Seringa.

Ale współbieżność objawów kryzysowych, a zatem i światowość ogólno-rolniczego kryzysu ograniczają się, w myśl naszej analizy, do okresu 1920—1924. Równolegle z ograniczeniem kryzysu do zjawisk lokalnych lub występujących światowo, lecz w ograniczeniu do specyficznych produktów (np. cukier), zagadnienie przyczynowości nabiera dopiero uprawnienia i występuje w całej doniosłości jako problem o znaczeniu praktycznem. Lokalnie lub specyficznie, działanie momentów socjologicznych i gospodarczo-politycznych oraz momentów przyrodniczych (lokalne urodzaje lub nieurodzaje, wyjątkowo obfity w kilku kolejnych latach wynik zbiorów światowych jednego produktu, lub analogiczny wyjątkowy nieurodzaj) występować może tak silnie, że nie jest wykluczone określenie tendencji w pewnym kierunku lub decydowanie o jej załamaniu w niezależności od polityki monetarnej. W szczególności decydować tu mogą także zjawiska krzyżowania się polityki banków emisyjnych i krzyżowania się poszczególnych pociągnięć polityki gospodarczej, mające niekiedy nawet zgoła niegospodarczy podkład (własne racje stanu nowopowstałych państw).

Hipotetyczna ocena naszej sytuacji kryzysowej przedstawia mi się w związku z tem w następnjący sposób:

Jeśli w analizie faktów, jaką rozwinąłem, nie mieści się jakiś zasadniczy błąd, to wydaje mi się wykluczonem, aby depresje cen w Europie środkowo-wschodniej, jak ostatnia w roku 1929, mogły wychodzić ze strony eksportujących krajów zaatlantyckich. Depresje te mogą mieć miejsce i mają miejsce tylko wówczas, jeśli wchodzi w grę kwestja lokalnych nieurodzajów, w którym to wypadku lokalnie zwiększony popyt może działać na podniesienie się cen; wówczas równoczesny obfity urodzaj światowy działa deprymująco na ceny lokalne.

Jeżeli wypadek ten nie zachodzi, to musimy powiedzieć, że ze strony t. zw. zdolności konkurencyjnej krajów zaatlantyckich nie grozi Europie wschodniej w dzisiejszym układzie stosunków produkcji bezpośrednie niebezpieczeństwo. Ta zdolność konkurencyjna występuje dziś tylko w stosunku do rolnictwa krajów Europy przemysłowej, gdzie koszty pieniężne nakładu pracy w porównaniu z krajami zaatlantyckiemi są dotąd

wysokie. Rolnictwo Europy wschodniej (ten moment uważam za zasadniczy) a nie zaatlantyckie jest dziś granicznym producentem, który ceny podaży licytuje *in minus* conajmniej w równej mierze, jak ceny popytu licytowane są *in minus* przez konsumenta środkowo-europejskiego.

Na rozmiary tej licytacji nie pozostaje bez wpływu szereg momentów, między któremi czynniki gospodarczo-polityczne wysuwają się na pierwszy plan. Działanie ich występuje równorzędnie w międzynarodowej wymianie świadczeń i w warunkach wymiany wewnętrznej.

Warunki wymiany międzynarodowej, dotykające bezpośrednio agrarnego wschodu znajdują się pod znakiem walki dwu protekcjonizmów: protekcjonizmu przemysłowego państw agrarnych i protekcjonizmu agrarnego państw przemysłowych.[1]

Protekcjonizm przemysłowy państw agrarnych w dzisiejszym układzie stosunków prowadzi do wytworzenia w Europie agrarnej warunków monopoloidowych. Siła kupna rolnika doznaje zwężenia przez niemal że waloryzację cen artykułów przemysłowych. Jak długo stan ten trwa, musimy się liczyć ze zwiększonem parciem wschodnio-europejskiego zboża na rynki.

Błędnem jest sądzić, że wzrost cen artykułów przemysłowych godzi w rolnictwo tylko drogą podniesienia jego środków produkcji. Rozchodzi się tu o sztuczne zwężenie siły kupna, przeciwstawiającej się w swym całokształcie całokształtowi rynkowej produkcji rolnej. Stosowanie wyjątków w ochronie celnej przez zwalnianie od niej środków produkcji, jakiem pospolicie sypie się w oczy rolnikom, może nawet doraźnie wywołać fatalne następstwa. Dając bowiem sztucznego bodźca intensyfikacji, zwiększyć można tą drogą ilość produkcji, a przez to samo doprowadzić do tem większego spadku cen. Gdyby o tem zechciano pamiętać, depresja cen w r. 1929 nie byłaby w Polsce osiągnęła tak katastrofalnych rozmiarów.

Z drugiej strony protekcjonizm agrarny państw przemysłowych, zacieśniając siłę kupna konsumenta, nie przynosi

[1] Nie jestem i nigdy nie byłem dogmatycznym zwolennikiem jednego lub drugiego kierunku, t. j. ani wyznawcą bezwzględnego liberalizmu celnego, ani naodwrót. Uważam ten problem za czysto praktyczny, który musi być rozstrzygany od wypadku do wypadku, a nie czysto dogmatycznie.

równocześnie rolnictwu środkowo-europejskiemu (głównie niemieckiemu) tych korzyści, jakich to rolnictwo oczekiwać mogło w warunkach przedwojennych. Przyczyna leży w problemie przerzucenia ceł. Cła nie mogą być skuteczne *ad infinitum* nawet pod warunkiem ich ciągłego podwyższania. Protekcja może działać pełnoprocentowo tylko wówczas, jeśli w całości ponosi ją rynek wewnętrzny. Historja zna dosyć przykładów na dowód, że cła agrarne kraju importującego doznają w obrotach lokalnych przełamania na skutek dobrych urodzajów krajów eksportujących. Dziś warunki kredytowe szczególnie akcentują możliwość przerzucenia ceł w analogicznych wypadkach. Objawia się to w obniżaniu się o znaczną część stawek celnych zboża wschodnio-europejskiego, prowadzącem do paraliżowania ochrony i przerzucania się depresji na rynki korzystające z ochrony celnej.[1] Polityka zaświadczeń wywozowych staje się w tych warunkach dalszem konsekwentnem ogniwem dla ochrony zagrożonego depresją rynku wewnętrznego. Ale skuteczność tego działania znajduje też swoją granicę w pojemności rynków na forsowany sztucznie eksport. Po przekroczeniu tej granicy efekt dodatni zaświadczeń zmienia się raczej w ujemny, i wówczas zachodzi to, co zaszło świeżo w polityce zbożowej Niemiec, że mianowicie zdecydowano się ponowną depresję cen udaremnić drogą interwencyjnego kupna i porozumienia z Polską.

Anormalne stosunki w dziedzinie obrotów międzynarodowych między Europą środkową i wschodnią akcentują obustronnie możność licytowania *in minus* cen produktów rolnych. Niemniej ważną rolę w tej licytacji odgrywają jednak czynniki decydujące o warunkach, w jakich dokonuje się wewnętrzna wymiana świadczeń. W tej mierze dotkniemy wyłącznie stosunków panujących w Polsce.

W roku 1926 broniłem tezy, że odbudowa życia gospodarczego powinna iść po linji likwidacji warunków monopoloidowych, jakie wytworzyły się w następstwie wojny i inflacji, t. zn. po linji przywrócenia warunków wolnej konkurencji.

---

[1] Rzecz naturalna, że w miarę jak nadmiar produkcji szuka ujścia na nowych rynkach zbytu, depresja musi się w pewnym stopniu rozszerzać i zataczać coraz większy krąg.

W skierowaniu polityki kredytowej na drogę odbudowy handlu widziałem naczelny postulat aktywnej polityki gospodarczej. W szczególności w stosunkn do programu rolnego uzasadniałem stanowisko, że punktem wyjścia dla ekspansji rolniczej winna być odbudowa handlu produktami rolnemi, a nie finansowanie produkcji. Chociaż wysuwany przeze mnie program agrarny spotykał się z pewnym sceptycyzmem, to jednak postulat, że wszelka sanacja gospodarcza winna się rozpocząć od odbudowy normalnych warunków handlowych, nie był wyłącznie przeze mnie reprezentowany. Przedewszystkiem prof. Adam Krzyżanowski z szczególnym naciskiem postulat ten przy różnych sposobnościach podnosił. Zdaje mi się, że bieg wypadków oddał w pełni słuszność jego poglądom.

W warunkach, w jakich dokonują się obroty międzynarodowe na terenie Europy środkowo-wschodniej, i równorzędnie w warunkach, w jakich dokonuje się po wojnie wymiana wewnętrzna, widzę w pierwszej linji czynniki osłabiające pozycję polskiego producenta rolnego. Niezależnie od tych czynników występuje równocześnie szereg innych wpływów. Tutaj zachodzi przedewszystkiem współdziałanie pociągnięć czysto politycznych, a dalej wpływ wielkiego kataklizmu dziejowego na psychikę szerokich mas, wyrażający się w zmianach kierunku konsumcji. I tak konsument miejski coraz częściej chwyta za chleb pszenny, gardząc żytnim. Wszystkie te momenty nietylko wzajemnie się nie wykluczają, lecz potęgują tylko rozmiary licytacji, jaka odbywa się między granicznym producentem a granicznym konsumentem.

V

Wiele mówi się i pisze w tej chwili o środkach zaradczych przeciw kryzysowi rolnemu. Pojawiają się projekty, obejmujące nawet równocześnie całkowicie sprzeczne i nie dające się uzgodnić koncepcje. W pierwszej linji zachodzi wielkie nieporozumienie między tymi, którzy mówiąc o środkach zaradczych, myślą li tylko o doraźnych pociągnięciach łagodzących, a tymi, którzy nie zdając sobie jasno sprawy z istoty naszego kryzysu, wyobrażają sobie, że złagodzenie doraźnie złej konjunktury będzie równoznaczne z zażegnaniem położenia kryzysowego. Dla tych ostatnich nie istnieją drogi, które mogłyby dawać rezul-

tat niewspółmierny z nakładem i o które nie należałoby apelować do omnipotentnej władzy państwowej.

Doraźne pociągnięcia polityki gospodarczej (między niemi także racjonalne pociągnięcia polityki kredytowej) mogą niewątpliwie oddziałać doraźnie na złagodzenie złej konjunktury, a nawet łagodzić do pewnego stopnia ponowne jej wystąpienie. „Walka z kryzysem rolnym“ na tej drodze nie może jednak oznaczać nic innego, jak osłabianie działania ostrza szczególnie dotkliwych lub z szczególną lokalną intensywnością występujących objawów kryzysowych. Ogłoszony w swoim czasie memorjał Krakowskiego Towarzystwa Ekonomicznego w sprawie doraźnej pomocy dla rolnictwa, zajmował się właśnie pociągnięciami idącemi w tym kierunku. W kilku artykułach w prasie codziennej poruszałem możliwości innych środków i mam zamiar ponownie poruszyć je na innem miejscu. Niewątpliwie przedewszystkiem dokonywujące się w tej chwili samorzutne wstrzymanie ofensywy intensyfikacyjnej przyczyni się dużym stopniu do złagodzenia sytuacji.

Trzeba sobie jednak jasno zdać sprawę, że wszystkie te środki zaradcze, nawet gdyby zostały najbardziej racjonalnie zastosowane, nie wiodą jeszcze do zażegnania kryzysu. Wystąpienia stałej tendencji do wzrostu siły kupna produktów rolnych na drodze tych doraźnych pociągnięć nie zdołamy zabezpieczyć. W tym sensie „walka z kryzysem rolnym“ przedstawia się jako utopja.

Kryzys jako zjawisko strukturalne z konieczności prowadzi do zagadnień programowych. W tej mierze wysuwają się dwie teoretycznie równorzędne ewentualności.

Pierwsza ewentualność to wyrzeczenie się programu agrarnego i przesunięcie w jak najszybszem tempie struktury zawodowej naszego społeczeństwa w kierunku przewagi ludności nierolniczej. Tylko ta droga pozwoliłaby nam na dostosowanie się — z nieuniknioną chwilowo ekstensyfikacją — bez perspektywy sukcesywnego zacieśniania się możliwości rozwojowych dla drobnego rolnictwa, do czego zasadniczo prowadzi fakt zwężania się granic intensyfikacji. Brak dostatecznej energji w realizacji tego programu stawiałby nas jednak, z uwagi na niezmiernie silny wzrost ludności, w sytuacji, w której trudno

byłoby spoglądać w przyszłość bez obawy o nastąpić mogące wstrząsy socjalne.

W stosunku do położenia rolników, bezpośrednio dotkniętych kryzysem, program powyższy oznacza rezygnację z udaremnienia grożącej doraźnie dekapitalizacji.

Druga ewentualność, program ekspansji produkcji rolnej, uzależniona jest usunięciem czynników, akcentujących licytację cen między środkowo-europejskim konsumentem a wschodnio-europejskim producentem rolnym, i wprowadzeniem w to miejsce czynników akcentujących wzajemną wymianę artykułów rolnych i produktów przemysłowych. To ewentualność szerokiego porozumienia celem obustronnej likwidacji ochrony celnej, względnie ograniczenia jej do pewnych specyficznych produktów, równolegle z wprowadzeniem zasady solidarności celnej względem krajów porozumieniem tem nie objętych. Rozszerzenie granic intensyfikacji dla dzisiejszego granicznego producenta rolnego drogą bezpośrednią stanowi o istocie tego programu. Możliwości polityczne decydują o warunkach jego realizacji.

ROMAN DYBOSKI

O DEMOKRACJI AMERYKAŃSKIEJ [1]

Wjeżdżającemu do portu nowoyorskiego Europejczykowi olbrzymi posąg Wolności z podniesioną pochodnią w dłoni zwiastuje, że wjechał do kraju idealnej demokracji i najdoskonalszych swobód obywatelskich. O tem zapewniają go też wciąż na nowo sami Amerykanie, od dzieciństwa karmieni i pojeni bałwochwalstwem swej konstytucji (której się uczą w szkole na pamięć), i niezachwianie także w późniejszym wieku naogół przekonani o znakomitości swych urządzeń państwowych. Nigdzie może na świecie patrjotyzm państwowy nie jest tak ostentacyjny w swych objawach, jak w Stanach Zjednoczonych. Rzecby można, że udzieliło mu się coś z ducha reklamy amerykańskiej. Nigdzie flaga państwowa nie jest symbolem tak wszechobecnym, jak w Ameryce. Od wejścia do szkoły czy urzędu aż do biurka już nietylko sędziego czy burmistrza, ale każdego mizernego szefa jakiegoś wydziału, a nawet aż do stołu biesiadnego mnogich perjodycznych bankietów przeróżnych organizacyj, bandera gwiaździsta powiewa powszechnie. Nigdy ona przytem obywatelowi amerykańskiemu nie powszednieje: zagranicą lubi ją nosić w emaljowanej postaci w butonierce, a w kraju każde jej pojawienie się wprawia go w taki zachwyt, jak Anglika wizerunek króla lub księcia Walji. Stojąc i z twarzą ku chorągwi obróconą śpiewa się na tygodniowem śniadaniu klubowem *America* (jeden z trzech czy czterech hymnów państwowych używanych w Stanach Zjednoczonych), a w kinematografie każde pojawienie się flagi na ekranie, w jakimkolwiek związku i w jakiejkolwiek funkcji, niechybnie wita żywiołowa burza oklasków. Patrjotyzm ogólno-związkowy, przejawiający się w tem nabożeństwie dla wspólnej flagi, da-

---

[1] Rozdział z drukującej się książki p. t. *Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Wrażenia i refleksje* (Lwów i Warszawa, „Książnica-Atlas").

leko jest silniejszy od patrjotyzmu regjonalno-stanowego, który naogół bezskutecznie usiłuje się przez tworzenie różnych symbolów podniecać.[1] Z manifestacjami patrjotyzmu ogólno-związkowego jedynie chyba objawy patrjotyzmu gminnego po miastach mogą iść w porównanie co do siły uczuciowej. Przywiązanie do miasta, w którem się mieszka, i ambicja co do jego rozwoju i wspaniałości są bardzo silnemi czynnikami twórczemi w rozbudowie nowoczesnej Ameryki. Ale nad wszystkiem góruje patrjotyzm ogólno-związkowy czyli „federalny". *The Land of Liberty* (kraina wolności") jest utartą formułą poetycką, a *God's own Countrg* („kraj samego Pana Boga") mimo swej śmieszności często powtarzanem określeniem. Nie bez wzruszenia czytamy końcowe słowa autobiografji Henryka Morgenthau'a, w których ten żyd niemiecki z pochodzenia — pierwszy amerykański żyd-ambasador — z uniesieniem oświadcza, że gdyby się go spytano, czem jest, zawsze przedewszystkiem odpowie: „Jestem Amerykaninem".

Ten patrjotyzm państwowy u jednostek pochodzenia obcego niewątpliwie często wykwitał na gruncie kontrastu między upośledzeniem politycznem i społecznem w dawnej ojczyźnie a pełnią możliwości osobistych i swobód obywatelskich, jakiej zaznały dopiero w Ameryce. U rodowitych zaś Amerykanów równie niewątpliwie raptowne postępy powszechnego dobrobytu materjalnego do spotęgowania tych uczuć się przyczyniły. Ale przybywający dziś do Ameryki Europejczyk, znękany zarówno ogólno-europejską biedą powojenną, jak i powszechnem już i niezaprzeczonem w całym Starym Świecie przesileniem państwowości demokratycznej, pragnąłby gorąco naprawdę widzieć w Ameryce ten idealny stan rzeczy, którego mu w domu brak; pragnąłby uwierzyć, że zachwytom patrjotów amerykańskich ściśle odpowiadają objektywne fakty; pragnąłby powrócić z przekonaniem, że do zbawienia Europy wiedzie prosta droga naśladowania instytucyj amerykańskich, jak się to dziś często w Europie głosi. Z myślą o przedstawieniu Europie wzorów politycznych do naśladowania pisał wszakże jeszcze

[1] Nigdy nie zapomnę, jak słuchając w Baltimore przez radjo hymnu stanu Maryland (każdy stan Unji ma swój hymn), przekonałem się, że śpiewa się na nutę znanej niemieckiej piosenki dziecięcej: *O Tannenbaum, o Tannenbaum, wie treu sind deine Blätter!*

w XIX wieku Francuz de Tocqueville swe pomnikowe dzieło o demokracji amerykańskiej, a nawet późniejszy od niego Anglik James Bryce mimo różnych krytycznych zastrzeżeń widział w wielu punktach wyższość tej demokracji nad europejskiemi.

Otóż czy ta demokracja, tak jak się dziś przedstawia, istotnie różni się zasadniczo, i różni się na korzyść, od schorzałych demokracyj europejskich, i czy urządzenia państwowe, w jakie się w Ameryce zasada demokratyczna przyoblekła, nadają się do naśladowania z pożytkiem w warunkach europejskich?

Że się w Ameryce znajduje w kraju demokratyzmu bardziej gruntownego i bardziej powszechnego niż gdziekolwiek w Europie, to każdy Europejczyk instynktownie wyczuwa od pierwszego zetknięcia ze społeczeństwem amerykańskiem. Ale starając się zdefinjować sobie zasadniczo ten demokratyzm życia amerykańskiego, wikłamy się w sprzeczności, a raczej przechodzimy przez sprzeczne między sobą fazy. Chodzi o dwa biegunowo między sobą przeciwne postulaty myśli demokratycznej, stanowiące wieczną w jej łonie antynomję, mianowicie o wolność jednostki z jednej, a władzę ogółu z drugiej strony. Przyjeżdżamy z Europy, przesyconej objawami etatyzmu, czyli, powiedzmy bez ogródek, socjalizmu państwowego. Trwają one tam we wszystkich państwach już od lat kilkudziesięciu, przyspieszyła je raptownie wojna i okazują się coraz wyraźniej — by się łagodnie wyrazić — rzeczą ekonomicznie nader kosztowną. Pod tem wrażeniem wiele wybranych umysłów dzisiejszej inteligencji europejskiej wzdycha do nawrotu ku stłumionym i jakoby zupełnie zamierającym hasłom klasycznego liberalizmu ekonomicznego i politycznego z pierwszej połowy XIX wieku. I wydaje się w pierwszej chwili takiemu Europejczykowi, gdy stanął na ziemi amerykańskiej, że oto znalazł kraj, w którym dawny program *laissez faire, laissez aller* ma jeszcze pełną żywotność. Gdy przemysł i wogóle kapitał europejski jęczą w pętach ciężkich ustawowych świadczeń społecznych, krępujących wszelką przedsiębiorczość, w Ameryce panuje niepojęta wprost dla nas swoboda od wszelkich takich świadczeń: kapitał może być zużywany w całej pełni na cele produkcyjne, a robotnikowi dobrowolne inwestycje filantropijne fabrykanta niejednokrotnie daleko więcej korzyści przynoszą, niżby mu dawały różne państwowe formy opieki

społecznej na sposób europejski. Niemały też moralny pożytek wynika dla amerykańskiego robotnika z faktu, że sprawa zabezpieczenia przyszłości własnej i rodziny pozostawiona jest jego własnemu przemysłowi: płatny dobrze, swobodnie rozporządzający swym zarobkiem i wolny od kontroli organów społeczeństwa, ma z pewnością naogół więcej w sobie poczucia godności i odpowiedzialności, niż przeciętny proletarjusz europejski. Przy zupełnej swobodzie stanowiska społecznego i nieograniczonym zakresie możliwości, otwierających się przed każdą bez wyjątku jednostką, niema też miejsca na pretensje czy do państwa, czy do pracodawcy, niema ani zasadniczej opozycji politycznej, ani zasadniczego antagonizmu klasowego. W fabrykach i wszelkich innych instytucjach zbiorowej pracy w Ameryce panuje przy bezwzględnej dyscyplinie zarazem zdumiewający dla Europejczyka ton poufałości i kamaraderji między podwładnymi a zwierzchnikami.[1] Ta poufałość i kamaraderja przenika całe życie tego demokratycznego społeczeństwa, i o ile stanowiła wielki urok tego życia dla emigrantów z warstw społecznie upośledzonych w Europie, o tyle dla inteligenta europejskiego, przyzwyczajonego do hierarchicznych form etykietalnych, często staje się przykrą i wydaje mu się jakimś bolszewizmem towarzyskim.

W każdym razie jednak pierwsze wrażenie zgadza się bezwarunkowo z definicją Ameryki jako „kraju wolności". Zdaje się nam, że oto tam za oceanem przynajmniej idea demokracji liberalnej, wyhodowana w Europie od rewolucji francuskiej, a dziś tutaj ostatecznie zdetronizowana, znalazła przytułek i doczekała się wprost idealnego urzeczywistnienia. I skłonni jesteśmy snuć smętne porównania między niewolą i ciasnotą zbiurokratyzowanego życia europejskiego w naszej etatystycznej erze, a swobodnym i potężnym rozwojem tego młodego społeczeństwa zamorskiego. Uświadamiamy sobie z melancholją, że ta niewola narodów europejskich w pętach etatyzmu jest czemś nieodwracalnem, że wskutek naszej biedy swoboda gospodarcza i społeczna życia amerykańskiego jest u nas nie do zrealizowania.

[1] H. Dubreuil: *Standards. Le travail américain vu par un ouvrier français.* Paryż, B. Grasset, „Les Ecrits", 1929. (W tej znakomitej książce inteligentny robotnik francuski przedstawił swe wrażenia z dłuższego okresu pracy po fabrykach amerykańskich).

Ale to wrażenie, nawskróś korzystne dla Ameryki, a nawskróś niekorzystne dla Europy, ulega przy bliższej znajomości ze stosunkami amerykańskiemi znacznej modyfikacji. Wszedłszy nieco w życie amerykańskie, przekonywujemy się rychło, jak silnie ono na każdym kroku jest związane przez ujednostajnienie i zniwelowanie warunków bytu w uprzemysłowionem społeczeństwie, a co za tem idzie, ujednostajnienie obowiązujących poglądów. Postępująca standardyzacja życia materjalnego pociągnęła za sobą także standardyzację typu człowieka i typu myśli. Ogromne masy, wyniesione szybko ze stanu nędzy na jednakowy poziom względnego dostatku, musiały otrzymać w stanie gotowym nietylko pewien kodeks prostych i przystępnych dla nich form życia, ale także analogiczny kodeks prostych i niezmiennych zasad i zapatrywań do stałego użytku. Podstawą tej ideologji, obliczonej na masową konsumpcję, stał się oczywiście sam fakt ogólnego dobrobytu. I stąd okoliczność, że przeciętny Amerykanin po pierwsze wyznaje żywiołowy i niesubtelny optymizm w odniesieniu do wszelkich zagadnień, a powtóre skłonny jest o wszystkiem myśleć w kategorjach raczej ilościowych niż jakościowych. Gdy poznamy to stałe i codzienne oblicze duchowe życia amerykańskiego, wtedy dopiero w całej pełni zdajemy sobie sprawę z tego, że Europa, mimo wielkiej szablonowości rozpanoszonego w niej etatyzmu, jednak wskutek nierównego stopnia uprzemysłowienia i wynikającej stąd nierówności materjalnych warunków życia, dalej wskutek swej różnorodności państwowo-politycznej i językowo-kulturalnej, wreszcie — co może najważniejsza — wskutek tkwiącego nawet w dzisiejszej demokracji dziedzictwa bogatej i wyrafinowanej arystokratycznej kultury, pozostaje i dziś jeszcze ostoją indywidualizmu zarówno plemiennego jak osobistego, i w porównaniu z Ameryką jest właściwą ojczyzną rozmaitości i barwy, a więc swobody i pełni w objawach życia. Z postępami demokratyzacji, w szczególności z raptownem od czasu wojny wszędzie w Europie podniesieniem przeciętnego poziomu oświaty i materjalnego dobrobytu szerokich mas niewątpliwie nadchodzi i dla naszego kontynentu era standardyzacji zarówno form życia jak i psychiki, i będzie to ponoś standardyzacja w znacznej mierze według wzorów amerykańskich. Narazie jednak jeszcze stan rzeczy jest ten, że Europa

pozostaje kontynentem bardziej bujnego i zróżnicowanego, a więc w najistotniejszem znaczeniu słowa bardziej wolnego życia niż Ameryka. Europejczyk jeszcze zdolny jest myśleć na zasadzie naturalnych i pożądanych indywidualnych różnic w zdaniach i poglądach; Amerykanin, sam czujący się stale jednakową w swej istocie z innemi cząstką wielkiej, jednolitej, demokratycznej masy, myśli przedewszystkiem w kategorjach zbiorowości i zbiorowego wysiłku; on, co nie zna socjalizmu państwowego, jest więcej kolektywistą niż Europejczyk. Ma ta umysłowość swe wielkie zalety; panuje w niej nastawienie na kooperację i zdrowy solidaryzm społeczny; niema jadu zawiści grupowych; ale człowieka o przyzwyczajeniach europejskich musi w niej razić brak tego indywidualnego instynktu wolnościowego, który nauczyliśmy się przez dziejowe doświadczenie uważać za czynnik najbardziej twórczy wśród ludzkości.

Porzućmy jednak te socjologiczne rozmyślania, których konkluzje przecież zawsze muszą być subjektywne i sporne. Mógłby mi wszakże snadnie ktoś zarzucić, że w Ameryce przy ekstrawagancjach jej miljonerów, przy dziwactwach jej sekt, przy fantastycznych pomysłach jej reklamy, przy obfitości coraz nowych wynalazków mechanicznych dość chyba jest rozmaitości i swobody ekspresji nawet dla najbardziej nienasyconego miłośnika barw i bogactw życia. Zwróćmy się więc raczej ku konkretnym problemom urządzeń państwowych i zapytajmy, jaki w tej dziedzinie jest stosunek panujących pojęć do rzeczywistości.

W Europie, stęsknionej za idealnemi wzorami naprawy dla swych konstytucyj, przyjętą dziś jest rzeczą uważać za taki wzór przedewszystkiem Amerykę. Utarło się przekonanie, że Stany Zjednoczone są krajem tak bezwzględnego i ugruntowanego panowania opinji publicznej, jak żaden inny na świecie, że przewyższają w tym względzie nawet starą Anglję, ojczyznę parlamentaryzmu. Do utrwalenia tego poglądu w umysłach europejskich niewątpliwie przyczynił się wpływ emigracji. Emigrant z Europy w drugiej połowie XIX wieku, przeważnie pochodzący z warstw jeszcze wówczas nie posiadających pełni praw politycznych, w Ameryce uszczęśliwiony był prawem głosowania do przedstawicielstw ustawodawczych gminnych, stanowych, związkowych, i z entuzjazmem głosił, że Ameryka

jest idealną demokracją. Dziś, gdy zakres uprawnień politycznych ogółu już i w Europie wszędzie (poza Rosją) stał się równie szerokim, łatwiej możemy dostrzec pewne specyficzne właściwości, które rozwinęły się w amerykańskim ustroju politycznym głównie pod wpływem raptownego postępu gospodarczego. Otóż Amerykanin rzeczywiście dawniej od wielu narodów europejskich posiada mnóstwo różnych praw obywatelskich; ale jest od kilkudziesięciu lat tak pochłonięty sprawami gospodarczemi, że nie ma przeważnie czasu ani swobody myśli na korzystanie z tych praw. Gdy w Europie rozpowszechniona we wszystkich krajach obojętność żywiołów najinteligentniejszych wobec polityki jest wynikiem rozczarowania i odrazy wobec demagogji i korupcji politycznej, to w Ameryce poprostu przeciętny *business man* jest całkowicie zajęty czem innem. W obu wypadkach skutek jest ten sam: otwiera się szerokie pole do działania temu niesympatycznemu naogół typowi, jakim jest zawodowy działacz polityczny. Tylko, że w Ameryce przy skomercjalizowaniu całego myślenia narodowego przez rozwój przemysłowy także działalność polityczna stała się w ściślejszem słowa znaczeniu „businessem", niż w Europie. Nie mówiąc już o niezmiernie rozpowszechnionych praktykach prowizyjnych, łapowniczych lub zgoła defraudacyjnych (co wszystko razem pokrywa magiczne słowo *graft*) przy wszelkich kontraktach i robotach publicznych rządowych i samorządowych, trzeba wspomnieć także i o tem, że „całkiem uczciwe" wzbogacanie się w swoim zawodzie przez wyzyskiwanie wpływów i koneksyj politycznych jest na porządku dziennym. Rozciągnięcie ultra-demokratycznej zasady wybieralności na wszystkie odpowiedzialne stanowiska urzędowe, od administracyjnych do sądowych, w praktyce przerodziło się w osławiony „system łupów" *(spoils system)*: posady rządowe są systematycznie na nowo obsadzane przy zmianie partji rządzącej i stają się tłustemi nagrodami dla gorliwych agitatorów partyjnych bez względu na ich sprawność administracyjną, a nawet na elementarne kwalifikacje do danego rodzaju służby. Niestałość w obsadzie wyższych urzędów jest złem przyjętem, a urzędnik staranniej dba o reklamowe efekty swej roboty i popularność u partji, niż o ciągłość i skuteczność w działaniu maszynerji państwowej. Jeżeli to nie odbija się tak bardzo niekorzystnie

na funkcjonowaniu amerykańskiego aparatu administracyjnego, jakby można przypuszczać, to dlatego, że Stany Zjednoczone są społeczeństwem o tyle mniej zbiurokratyzowanem od organizmów państwowych europejskich, i zakres działania wszelkich władz administracyjnych jest tam znacznie węższy; powtóre, że urzędnik, choć często nie przynosi na stanowisko wykształcenia fachowego, przynosi jednak wrodzoną amerykańską obrotność, tradycyjne przyzwyczajenie do zmiany zawodów, a niejednokrotnie ponadto jeszcze spory zasób rutyny administracyjnej lub nawet doświadczenia organizatorskiego z jakiegoś „businessu", i stąd łatwo się orjentuje na nowem polu pracy, a nieraz wprowadza nawet pożądane i ożywcze innowacje.

Ale — powie ktoś — jakżeż mogą nie działać rujnująco na bieg spraw państwowych te liczne i ogromne nadużycia pieniężne, o których się tyle słyszy i które pod utartą nazwą *graft* uchodzą w oczach Amerykanina samego za nieodzowny niemal akompanjament wszelkiej pracy publicznej? Muszę uczynić zastrzeżenie, że w specjalne dochodzenia nad przekupstwem i złodziejstwem urzędowem w Ameryce nie wchodziłem, a zatem i stwierdzić nie zdołałem, czy Ameryka jest rzeczywiście drugim na świecie klasycznym krajem tego rodzaju objawów obok Rosji, jakby to z informacyj, udzielanych mi przez samych Amerykanów, zdawało się wynikać. Jestem raczej skłonny przypuszczać, że głośne skandale tego typu, wciąż wypełniające kolumny gazet, przy zwykłym sensacyjnym sposobie pisania dziennikarzy amerykańskich nabierają dla obserwatora proporcyj nadmiernych, i w rzeczywistości tak wielkiego znaczenia w całokształcie życia amerykańskiego nie mają. W każdym razie rozmiary ich są pokaźne, i rozmach, jak we wszystkiem w Ameryce, wielki, więc względną ich nieszkodliwość można uważać za chlubne świadectwo dla bogactwa i żywotności organizmu gospodarczego, co takie upusty krwi spokojnie znieść potrafi.

Mówiłem o zaabsorbowaniu ogółu społeczeństwa przez interesy gospodarcze, jako o przyczynie politycznej bezczynności i obojętności szeregowego obywatela amerykańskiego. Teraz pora wspomnieć jeszcze o innym fakcie, który nadał demokracji amerykańskiej pewne szczególne piętno. Szybkie uzyskanie praw politycznych przez szerokie masy miało osobliwie

daleko idące następstwa wobec tego, że chodziło w znacznej mierze o masy emigranckie z Europy, nietylko pozbawione ogólnej kultury politycznej, ale także zupełnie nieobznajomione ze stosunkami amerykańskiemi, a nawet z językiem krajowym. Te masy musiały się oczywiście stać szczególnie podatnym materjałem dla wszelkiej demagogji, a także dla ryczałtowego przekupstwa, które i dziś wśród nich grasuje. Osobliwie umiejętnie wyzyskali tę sytuację przedsiębiorczy awanturnicy polityczni z pośród ruchliwego i pełnego temperamentu żywiołu irlandzkiego, i od Irlandczyków też dziś wśród zawodowych polityków amerykańskich najgęściej się roi. Najcharakterystyczniejszym zaś przykładem mas, któremi politycy się w ten sposób posługują, są może dziś murzyni. Nie korzystają oni ze swych praw politycznych zupełnie na Południu, w dawnej ojczyźnie plantatorstwa, gdzie i teraz mowy być nie może o dopuszczeniu wolnego obywatela murzyńskiego do urny wyborczej. Natomiast głosują murzyni w tych miastach północnych, gdzie w nowszych czasach masowo wtargnęli do pewnych dzielnic: ale tu są biernym materjałem wyborczym dla politycznych zawodowców i najpowszechniej ulegają przekupstwu.

Patrząc na te stosunki wśród szerokiej masy politycznie uprawnionych obywateli Stanów Zjednoczonych, można zrozumieć żartobliwe słowa, które raz do mnie wyrzekł pewien poważny Amerykanin: „Nasza pomyślność gospodarcza jest tak wielka, że dzieje się nam dobrze i idziemy ciągle naprzód — mimo naszych demokratycznych instytucyj!“

Drogę do naprawy moralności politycznej widzę w Ameryce, jak w Europie, przedewszystkiem w stałych postępach oświaty wśród szerokich warstw narodu. Ponadto zaś specjalnie w Ameryce widzę ją jeszcze w jednym czynniku, mianowicie w udziale kobiet w życiu politycznem. Może to twierdzenie wyda się paradoksalnem (nawet samym kobietom), i może istotnie się mylę; ale sytuacja przedstawia mi się tak. Jak już zaznaczyłem, przeciętny obywatel amerykański, obdarzony prawem głosowania do całego mnóstwa ciał, w gorączce życia zawodowego nie ma czasu ani głowy na wykonywanie swych praw. Otóż czasu na rozmyślania, dyskusje i funkcje obywatelskie ma coraz więcej kobieta amerykańska, w miarę

jak wzrastający dobrobyt uwalnia żony i matki od konieczności pracy zarobkowej poza domem, a w domu maszyny sprawiają jej ulgę w prowadzeniu gospodarstwa. Gdy mężowie siedzą przez cały dzień po biurach i kantorach śródmieścia i jedzą w południe dorywczę śniadania po klubach i restauracjach, panie gromadzą się często w porze południowej za stołem w klubach kobiecych, by słuchać odczytów i prowadzić dyskusje. To też spotyka się u nich nieraz więcej zrozumienia dla zagadnień ogólnych i zastanowienia nad niemi niż u mężczyzn. Mogę to stwierdzić, bo sam niejednokrotnie w amerykańskich klubach kobiecych na takich południowych zebraniach przemawiałem. Dodajmy jeszcze, że dzięki wzrostowi dobrobytu czynnik interesu materjalnego w działalności politycznej dla kobiet przeważnie w rachubę wchodzić nie potrzebuje; że dalej dziś w Ameryce w bardzo wielu szkołach średnich dorastającą młodzież męską kształcą kobiety: a zdamy sobie chyba należycie sprawę z tego, jak doniosłą rolę w życiu publicznem Stanów Zjednoczonych w najbliższym czasie kobiety odegrać mogą. Wbrew przewidywaniom wielu innych sądzę, że ta rola w porównaniu z dotychczasowym stanem rzeczy będzie prawdopodobnie raczej dodatnią.

Przyznając niedomagania demokratycznego organizmu społecznego amerykańskiego, bezsprzecznie pokrewne europejskim, Europejczyk jednak zazwyczaj trwa w przekonaniu o doskonałości ustroju politycznego Stanów Zjednoczonych i opiera to przekonanie na istnieniu pewnych potężnych czynników, które zabezpieczają ten ustrój przeciwko błędom ustawodawstwa demokratycznego i wnoszą stałą możność poprawek w system parlamentarny. Temi czynnikami są: Najwyższy Trybunał Stanów Zjednoczonych i Prezydent. Trybunał posiada prerogatywę orzekania o konstytucyjności lub niekonstytucyjności każdej ustawy parlamentarnej i przez to stanowi istotnie bardzo silną przegrodę przeciwko wprowadzaniu w życie ustaw gospodarczo lekkomyślnych, społecznie przewrotowych, prawniczo niedorzecznych lub moralnie szkodliwych. Istnienie tej barjery jest rzeczywiście równie zbawienne dla życia politycznego, jak działanie *Federal Reserve Board* w życiu gospodarczem. To też trybunał konstytucyjny amerykański chyba każdy bezstronny obserwator musi uznać za instytucję

godną uwagi i naśladowania. W tym względzie zresztą różnicy zdań ponoć niema, i prawdziwie silne i poważne trybunały konstytucyjne wszędzie dziś w opinji publicznej europejskiej uchodzą za pierwszorzędny postulat w dziele naprawy ustrojów politycznych.

Ale *de facto* o tym postulacie w rozlegających się dziś po każdem prawie państwie europejskiem dyskusjach nad reformą konstytucji stosunkowo mało się słyszy poza kołami prawniczemi. Natomiast więcej jest mowy o innym wzorze amerykańskim, mianowicie o władzy prezydenckiej. Wszystkim nowym powojennym republikom europejskim ich publicyści bezustannie jako przykład do naśladowania zalecają tego prezydenta amerykańskiego, przed którym wyłącznie odpowiedzialni są ministrowie, i który ma bardzo realne prawo zakładania *veto* przeciwko każdej ustawie uchwalonej przez Parlament. Tu rzeczywiście mamy do czynienia z drugim obok Trybunału i również bardzo ważnym czynnikiem bezpieczeństwa i stateczności w demokratycznym organizmie państwowym. W tym wypadku jednak wartość wzoru dla ustrojów europejskich ograniczona jest przez trzy zastrzeżenia, które musi uczynić każdy, kto nieco poznał stosunki amerykańskie.

Przedewszystkiem gorliwi wielbiciele europejscy nie powinni zapominać o tem, że wielkie uprawnienia Prezydenta Stanów Zjednoczonych leżą całkowicie w dziedzinie rządów nad całą Unją, a poza tą dziedziną znajduje się rozległa dziedzina samorządu każdego zosobna Stanu; na tę dziedzinę Prezydent żadnego prawnego wpływu nie ma, a samorząd stanowy jest daleko szerszy w swym zakresie, niż samorząd prowincjonalny gdziekolwiek w Europie. Sam europejski termin „samorząd Stanów" jest tu właściwie nie na miejscu: Stany Zjednoczone mimo silnego w ostatnich dziesięcioleciach zespolenia i ujednostajnienia państwowego pozostają konstytucyjnie i prawnie federacją czterdziestu ośmiu samodzielnych jednostek państwowych. W umyśle twórców ich ustroju pierwotną i podstawową rzeczą była — i w teorji prawno-państwowej pozostaje — suwerenna władza państwowa każdego Stanu na swojem terytorjum, a wszelka władza federalna — a więc i władza prezydencka — jest tylko częścią władzy stanowej, dobrowolnie przez Stany oddaną centralnym czynnikom państwowym. A więc sto-

sunek władzy centralnej do lokalnej jest zasadniczo wręcz przeciwny jak w Europie. Każdy Stan ma swoje dwuizbowe ciało ustawodawcze, i jego kompetencji na terenie Stanu władza prezydencka bynajmniej na przegrodzie nie stoi. Dopiero w niedawnych stosunkowo czasach zespół gubernatorów wszystkich Stanów — zwany „Izbą Gubernatorów" *(House of Governors)* — wyrobił sobie drogą praktyki pewną siłę prawną, ograniczającą nieco samodzielność polityki stanowej.

Drugie ważne zastrzeżenie, które co do władzy prezydenckiej uczynić trzeba, dotyczy stosunku prezydenta do centralnych ciał ustawodawczych. Przedewszystkiem samo prawo zakładania *veto* przeciwko uchwalonym ustawom — prawo wykonywane zresztą przez prezydentów amerykańskich dość często, nawet w naszych czasach! — ma moc jedynie dylatoryczną: ustawa wniesiona ponownie, o ile uzyska w Kongresie większość $^2/_3$ głosów, staje się prawomocną wbrew oporowi prezydenta. W konfliktach moralnych z Kongresem prezydenci niejednokrotnie ulegali: tak uległ po wojnie domowej Andrew Johnson, który wbrew panującym w opinji prądom usiłował prowadzić politykę pojednawczą wobec pobitych Stanów Południowych i za to był nawet postawiony w stan oskarżenia; tak uległ w okresie wojny światowej Wilson, którego idealistyczny aktywizm w sprawach europejskich nie spotkał się z uznaniem w ojczyźnie. Senat odmówił ratyfikacji zawartych przez niego traktatów pokojowych.

Tu dochodzimy do innego, niezmiernie doniosłego szczegółu prawno-konstytucyjnego, podpadającego pod ten sam punkt, właśnie omawiany. Oto twórcy konstytucji Stanów Zjednoczonych opanowani byli w zupełności przez górującą nad całem myśleniem politycznem XVIII wieku ideę podziału władzy państwowej na trzy całkowicie niezależne od siebie dziedziny: sądową, wykonawczą i ustawodawczą. Stąd owa wielka powaga, którą, jak już wspomniałem, nadali trybunałowi konstytucyjnemu; stąd także fakt, że choć prezydentowi jako szefowi władzy wykonawczej zupełnie podporządkowali ministrów jako nieparlamentarnych naczelnych urzędników administracyjnych, to z drugiej strony równie starannie odgrodzili prezydenta od wszelkiej bezpośredniej inicjatywy ustawodawczej. Prezydent nie ma prawa wnoszenia do Izb żadnych wniosków ustawodaw-

czych.[1] Prezydent wystosowuje wprawdzie do Kongresu swoje „posłania" na sposób mów tronowych monarchy konstytucyjnego; ale sam się przed Kongresem nie jawi. Zasadę tę naruszyli i do Kongresu osobiście przemówili tylko dwaj prezydenci w przełomowych dla Ameryki chwilach: pierwszym z nich był Washington, a drugim Wilson.

Ale pod jednym i bardzo istotnym względem już sami twórcy konstytucji wykroczyli świadomie przeciw zasadzie ścisłego rozdziału władzy wykonawczej od ustawodawczej. Oto dla stworzenia przeciwwagi demokratycznej przeciw ewentualnej samowoli Prezydenta wyposażyli Izbę wyższą parlamentu czyli Kongresu — mianowicie Senat Stanów Zjednoczonych — w kompetencje wychodzące daleko poza funkcję ustawodawczą. Senat a nie prezydent ma ostateczne prawo decyzji co do wojny i pokoju, ratyfikacji Senatu podlegają wszelkie traktaty, Senat ma conajmniej równy z Prezydentem wpływ na mianowanie ministrów, Senat wreszcie może pociągnąć do odpowiedzialności konstytucyjnej samego Prezydenta. Na podstawie tak szerokich uprawnień Senat istotnie zyskał wielki autorytet nietylko w życiu państwowem Ameryki samej, ale także w oczach Europy. Jeżeli — w przeciwieństwie do stosunków europejskich — rzadko kiedy słyszy się coś poza Ameryką o poczynaniach tego lub owego członka gabinetu Stanów Zjednoczonych, to głośne za to w opinji europejskiej bywają echa wystąpień różnych wybitniejszych senatorów: znane nam z prasy europejskiej nazwiska, jak La Follette, Lodge lub Borah, starczą za przykłady z lat ostatnich.

Strzeżmy się jednak i tutaj znowu pewnych tęsknych złudzeń powojennej Europy. Zniechęcona do swych notorycznie nieudolnych parlamentów, przeświadczona o niedorzeczności tych swoich ultra-demokratycznych ustrojów, w których Izba wyższa jest tylko powtórzeniem — właściwie bezcelowem! — Izby niższej, Europa dziś spragniona jest jeżeli nie przebudowy całego parlamentu na innej podstawie niż dotychczasowa demo-

[1] Prawda, że przez wyrobiony w ciągu XIX wieku drogą prawa zwyczajowego przywilej mianowania przewodniczących głównych komisyj parlamentarnych Prezydent ma wpływ bardzo doniosły na samą genezę ustaw; ale jest to wpływ pośredni, a nie uprawnienie ustawodawcze.

kratyczna — a więc np. na podstawie syndykalistycznej, jak we Włoszech, — to w każdym razie przebudowy przynajmniej samej Izby wyższej w taki sposób, by w niej przewagę miało rozumowanie w innych kategorjach niż kategorje partyjno-polityczne. Oparcie przynajmniej Izby wyższej o reprezentację zrzeszeń zawodowych, a nie o głosowanie powszechne, wydaje się wielu poważnym myślicielom politycznym gwarancją, że ta Izba będzie miało na oku interesy ekonomiczne, lekceważone przez niższą w jej demokratycznym ferworze. Otóż trzeba stwierdzić, że jakąkolwiek się okaże wartość praktyczna tych rojeń, wzoru dla nich w ustroju parlamentarnym amerykańskim nie znajdziemy. Senat istotnie jest skonstruowany na innej podstawie, niż Izba Reprezentantów: gdy ta reprezentuje ogół ludności na demokratycznej zasadzie liczby głosów wyborczych, to w Senacie zasiada jednakowa liczba przedstawicieli — po dwóch — z każdego Stanu bez względu na jego wielkość i zaludnienie. Jako zaletę tego ustroju podnoszą Amerykanie słusznie, że w ten sposób Izba Wyższa daje gwarancję należytego przedstawicielstwa Stanom zachodnim z ich stosunkowo rzadkiem zaludnieniem i wytwarza przeciwwagę przeciw jednostronnemu naciskowi mas ludnościowych i wielkiego kapitału przemysłowego Stanów wschodnich na politykę ogólno-państwową. Ponadto jeszcze jedna trzecia senatorów co dwa lata podlega nowemu wyborowi, dzięki czemu skład Senatu jest bardziej płynny, a zatem zabezpieczony przeciwko skostnieniu partyjnemu i tyranji panującego stronnictwa. Zapewniony jest żywy i stały kontakt ze zmianami opinji w kraju.

Wszystko to jednak nie ma nic wspólnego z europejskiemi projektami przebudowy Izb Wyższych na zasadzie reprezentacji syndykalistycznej według grup zawodowych. Co więcej, w Ameryce samej jeszcze od czasów przedwojennych wciąż na nowo rozlegają się natarczywe nawoływania o rekonstrukcję prawa wyborczego do Senatu w tym sensie, żeby i w nim, jak w Izbie Reprezentantów, panowała czysto demokratyczna zasada reprezentacji w stosunku do liczby ludności. A więc Ameryka domaga się właśnie tego, z czego Europa dziś jest niezadowolona. I zrobiono nawet już jedno ustępstwo na rzecz tych wymagań, przez 17-stą poprawkę do konstytucji w r. 1913, mocą której senatorowie są odtąd wybierani bezpośrednio przez

ludność Stanu, a nie, jak dotychczas, przez jego ciała ustawodawcze. Tylko liczba senatorów — po dwóch od Stanu — pozostaje dotąd ta sama.

A teraz jeszcze trzecie i ostatnie zastrzeżenie przeciwko europejskim pojęciom o wzorowej wszechwładzy Prezydenta amerykańskiego. Oto Prezydent wychodzi z łona partji, która stawia jego kandydaturę i jest po to wybrany, by urzeczywistnić jej program. Kandydat na Prezydenta przez nominację i wybór staje się tylko *primus inter pares* wśród grona elity, rządzącej partją. Wybraniec ten często nie jest wcale przodującą w partji osobistością, tylko jednostką, która przez pewne przymioty osobiste zaleca się także członkom partji przeciwnej i ma widoki pewną ilość ich głosów na siebie skupić. To też Prezydent i po wyborze bynajmniej swoją partją nie dowodzi w tym stopniu, co np. premjer angielski stronnictwem, które go wyniosło. Maszyna partyjna w czasie kampanji wyborczej jest na usługi kandydata na Prezydenta, ale trzyma go silnie w swoim uścisku także wtedy, gdy go wyniosła na wierzch. Prezydent pozostaje otoczony tymi wybitnymi członkami swej partji, którym oczywiście musiał powierzyć najwyższe stanowiska państwowe, i sam w każdej sprawie znajduje się pod naciskiem opinji partyjnej. Z pod tego nacisku potrafi się wyzwolić tylko osobistość niezwykle silna, gdy sobie postawi za cel prowadzić rządy ponad-partyjne. Taką osobistością był Teodor Roosevelt, który podczas swej prezydentury prawie że stworzył własne, osobne stronnictwo. Warunki na to, by się stać Prezydentem ponadpartyjnym, posiada niewątpliwie także Herbert Hoover, mąż o światowych widnokręgach i uznanym talencie organizacyjnym. Czy jednak wyjdzie zwycięsko ze starć z maszynerją partyjną i z kołtuństwem parlamentarnem, pokaże dopiero przyszłość. Narazie tylko stwierdzić można, że takie starcia wciąż się toczą — *tout comme chez nous.*

Obok ustroju parlamentarnego i władzy prezydenckiej uwagę obserwatorów europejskich na siebie zwraca i zachwyt w niektórych z nich budzi amerykański układ partyjny. W Anglji dawny układ dwupartyjny, tak idealną zapewniający równowagę między rządem a opozycją, dawno jest naruszony: trzecią partję obok konserwatystów i liberałów dawniej tworzyli Irlandczycy, dziś tworzą socjaliści, i przy tym systemie

trzech partyj rządzić Anglją w normalny, tradycyjny sposób okazuje się rzeczą trudną, prawie że niemożliwą. W Ameryce dwupartyjność panuje dotąd naogół niewzruszenie, i wszelkie próby stworzenia trzeciej grupy partyjnej wydały dotąd rezultaty nieznaczne. Cóż dziwnego, że z krajów kontynentu europejskiego, targanych kokoszą wojną mnóstwa małych partyjek i chronicznie trawionych niezdolnością stworzenia zwartych większości koalicyjnych, lecą ku tak skonsolidowanemu systemowi te same tęskne westchnienia, co dawniej się kierowały w stronę Anglji, jako niedościgłego wzoru? Ale stanąwszy oko w oko z tym wzorem, Europejczyk staje zarazem wobec zagadki. Oto nie może się doszukać zasadniczych ideologicznych różnic między obu partjami, i przeważnie po różnych usiłowaniach musi sobie na końcu powiedzieć, że w amerykańskim systemie politycznym chodzi nie o partje w europejskiem znaczeniu słowa, lecz o dwie grupy ludzi walczące wyłącznie o władzę. Taki stan rzeczy oczywiście nie ma niczego w sobie, coby się do naśladowania w Europie zalecało, bo wprawdzie i u nas władza jest bezpośrednim przedmiotem wszelkich zmagań partyjnych, ale jako cel właściwy bądź co bądź zawsze figuruje pewien program ideowy i ten program zawsze się opiera na jakiejś — takiej czy owakiej — filozoficznej koncepcji życia społecznego.

Dopiero gdy się partjom amerykańskim przyjrzymy nietylko w ich dzisiejszem działaniu, ale w ich historycznym rozwoju, dostrzegamy i między niemi pewien zasadniczy kontrast ideologiczny, aczkolwiek mocno dzisiaj przyćmiony.

Przy powstaniu takiego państwa federacyjnego jak Stany Zjednoczone musiały w umysłach jego twórców stanąć naprzeciwko siebie dwie możliwe zasady: centralistyczna i decentralistyczna. Można było dążyć albo do stworzenia silnie zwartej, jednolitej całości państwowej, ograniczając we wspólnym interesie do *minimum* odrębne prawa pojedynczych kolonij, które się w oporze przeciwko władzy angielskiej łączyły, albo też przeciwnie można było zachować *maximum* samorządu stanowego, jednocząc się dla wspólnego celu pod hasłem ścisłego równouprawnienia wszystkich jednostek kolonjalnych jako „wolni z wolnymi i równi z równymi". Te dwie biegunowo przeciwne siły — dośrodkowa i odśrodkowa — muszą z ko-

nieczności zawsze działać w łonie każdej federacji, i one działały i działają także w ustroju Stanów Zjednoczonych. Zasadę silnego zespolenia w jedną całość dyktował w chwilach walki z Anglją realizm polityczny; zasada decentralizacji i maksymalnego samorządu stanowego była programem idealistycznym na dalszą metę. Z centralizmem musiało się łączyć dążenie do oligarchji arystokratycznej, do skupienia władzy w rękach pewnej wybranej grupy ludzi, głównie starej kolonjalnej szlachty ziemskiej tego typu co Washington: ideologja decentralizacji natomiast miała w sobie pierwiastek demokratyczny i zalecała się ludziom przejętym doktrynami filozofji wieku oświecenia i nadchodzącej rewolucji francuskiej, ludziom tego typu co Benjamin Franklin, pierwszy poseł amerykański w Paryżu. W wewnętrznej polityce pierwszego okresu historji Stanów Zjednoczonych tę bardziej filozoficzną ideę decentralizacji i równouprawnienia stanów reprezentuje Tomasz Jefferson, właściwy autor konstytucji Stanów Zjednoczonych i stanowczy wyznawca doktryny demokratycznego liberalizmu w jej najczystszej abstrakcyjnej formie. Natomiast praktycznym wyrazicielem realizmu politycznego, dążenia do zespolenia i do silnej władzy centralnej jest mało znany światowi europejskiemu Aleksander Hamilton, coraz wyżej dziś przez historyków amerykańskich ceniony jako genjalny i przewidujący mąż stanu. Dwie te wybitne postaci dziejowe w perspektywie dnia dzisiejszego stoją naprzeciwko siebie podobnie jak Gladstone i Disraeli w historji angielskiej XIX wieku, i tak samo jak gwiazda wielkiego ideologa liberalizmu Gladstone'a dziś przybladła, a gwiazda genjalnego realisty politycznego Disraelego coraz potężniejszym jaśnieje blaskiem, tak w ocenie amerykańskiej wielki praktyk Hamilton stale zyskuje a doktryner Jefferson nieco stracił.

Ten sam też jest stosunek zysków i strat między dwiema przewodniemi zasadami polityki amerykańskiej w nowszych czasach. Nie mogę tu szczegółowo śledzić, jak się dalej rozwijał kontrast między ideą centralistyczną i decentralistyczną, i jak się ostatecznie skrystalizował jako przeciwieństwo między partją republikańską a partją demokratyczną. W każdym razie trudno pominąć przynajmniej jedno jeszcze nazwisko: Daniel Webster w pierwszej połowie XIX wieku, choć jako naiwny ideolog polityczny nigdy do najwyższego stanowiska w państwie nie

doszedł, jednak przez swą potężną, gorąco patrjotyczną wymowę niepomiernie się przyczynił do skonsolidowania jednolitego poczucia narodowego ogólno-amerykańskiego i przez to przysłużył się sprawie centralizmu. Rzec można, że dla centralistycznego programu partji republikańskiej on uczynił od strony ideowej tyleż co Jefferson dla sformułowania w szczytnej i ogólnikowej formie decentralistycznych i liberalnych zasad partji demokratycznej.

Największy wypadek w dziejach wewnętrznych Stanów Zjednoczonych, wojna domowa między stanami północnemi a południowemi w latach sześćdziesiątych XIX wieku, ma epokowe znaczenie dla rozwoju układu partyjnego. W tej wojnie o sprawę niewolnictwa murzyńskiego przecież Południe wraz ze swym przywilejem utrzymania niewolnictwa broni zasady decentralizacji, zasady pełnego samorządu i odrębnych praw stanów południowych. Przegrana Południa jest przegraną tej zasady. Zwycięstwo Północy znamionuje początek nowej ery, w której górę bierze idea centralistyczna, czyli mówiąc dzisiejszą terminologją, idea republikańska. W okresie gwałtownego rozwoju przemysłowego i otwierania dla przedsiębiorczości amerykańskiej coraz nowych terytorjów na zachodzie kontynentu, zespolenie w jedną potężną całość już nietylko polityczną, ale i gospodarczą, staje się rzeczą ważną. Trzeba dla nowego przemysłu amerykańskiego tworzyć wielki, jednolity rynek wewnętrzny, i dlatego partja republikańska wypisuje na swym sztandarze hasło ochrony tego rynku domowego przez wał wysokich ceł ochronnych. Jest symptomem jej wzrastającej przewagi, że w nowszych czasach także partja demokratyczna rezygnuje z doktryny wolnego handlu, przy której dawniej obstawała, i dziś zniesienia ceł ochronnych nie żąda, jedynie chyba pewnego ich obniżenia. Drugim znamiennym symptomem jest, że ustała w ostatnich czasach walka państwa przeciwko trustom, a więc potęgom handlowo-przemysłowym, obejmującym swym rozrostem Stany Zjednoczone jako całość i ignorującym granice, a często i prawa stanowe. Dziś Państwo daje trustom (obecnie zwanym *mergers*) pełną swobodę rozwoju, bo ich istnienie jest w zgodzie z ideologją republikańską.

Jako trzeci wreszcie objaw wzrastającej przewagi programu republikańskiego przytoczyć można, że stanowczą popularnością

cieszy się dziś w całej Ameryce stare republikańskie hasło, rzucone niegdyś jeszcze przez Washingtona w jego testamencie politycznym, — mianowicie hasło trzymania się zdala od zawikłań europejskich. Najznakomitszy przecież z nowszych przywódców stronnictwa demokratycznego, Prezydent Wilson, który chciał wciągnąć Amerykę do Ligi Narodów, spotkał się z oporem całego społeczeństwa i stał się prawdziwie tragicznym przykładem prawdy słów Pisma Świętego, że „nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie". Był też ostatnim za naszych czasów Prezydentem z obozu demokratycznego.

Wybory roku 1928, — ta najgwałtowniejsza od wielu lat walka o prezydenturę Stanów Zjednoczonych, — przyniosły jeszcze jeden dowód rozrostu partji republikańskiej. Ostoją terytorjalną tej partji zawsza była uprzemysłowiona Północ, a ostoją partji demokratycznej Południe ze swą separatystyczną tradycją i plantacyjnem gospodarstwem. W miarę jednak, jak fala uprzemysłowienia poczyna i Południe obejmować i pozbawiać charakteru rolniczego, partja republikańska zyskuje tam na gruncie, i właśnie te wybory prezydenckie przyniosły potężny wyłom w demokratycznej jednolitości Południa: nie mogą już demokraci używać tradycyjnego zwrotu *the solid South* („niezłomne Południe").

Wybory te zarazem doskonale zobrazowały dzisiejsze faktyczne różnice między stronnictwami co do ich składu społecznego i psychiki. A więc stronnictwo republikańskie okazało się w całej pełni tem, za co w nowszych czasach uchodzi, t. j. obozem wielkiego i średniego kapitału handlowo-przemysłowego. W przeciwnym obozie natomiast stanęła inteligencja zawodowa, pociągnięta jego staremi liberalnemi hasłami. Liberalizm partji demokratycznej zaznaczył się już przez to, że jej kandydatem był po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych katolik a nie protestant. W walce wyborczej stało się wyraźnem, że stronnictwo republikańskie jest bardziej zdecydowanie imperjalistycznem z obu obozów, i że twardo stoi na gruncie nieinterwencji Państwa w sprawach gospodarczych, gdy tymczasem demokraci więcej objawiają zainteresowania dla polityki socjalnej, a nawet pewne — choć zawsze jeszcze bardzo nieznaczne — skłonności w kierunku etatyzmu. Wobec ciągłych dalszych postępów dobrobytu i wobec stanowczej solidarności

przeważnej części klasy robotniczej z obecnym prywatno-kapitalistycznym ustrojem gospodarczym, nie można chyba wątpić, że choćby świat uniwersytecki jeszcze usilniej niż przy ostatnich wyborach popierał stronnictwo demokratyczne, większość w kraju jeszcze na długi czas będzie należała do republikanów.

Zmianę mogą spowodować chyba wielkie wypadki dziejowe. Ze wspomnianej już zasady republikańskiej niemieszania się do spraw europejskich wyrosła przez jej odwrócenie doktryna Monroe'go t. j. zasada, że ze swej strony Europa nie powinna się mieszać do spraw amerykańskich. Pierwotnie sformułowana w obronie wyzwalających się od Hiszpanji kolonij południowo-amerykańskich, doktryna Monroe'go w nowszych, bardzo szerokich swych zastosowaniach stała się, jak wiemy, groźną dla tych samych właśnie, dawno już wolnych krajów, — stała się wyrazem ogólno-kontynentalnych, imperjalistycznych ambicyj Stanów Zjednoczonych. Zwolennikiem bliższych stosunków między Ameryką północną a południową okazał się prezydent Hoover przez swą wizytę w stolicach południowo-amerykańskich zaraz po wyborach. Otóż gdyby te bliższe stosunki z czasem przy pomocy ciągłej penetracji południowej Ameryki przez kapitał Stanów Zjednoczonych miały przybrać postać federacji, i Ameryka północna miała się zróść z południową w jeden organizm polityczny, wówczas przy głębokich różnicach historycznych, rasowych, wyznaniowych, językowych, społecznych i gospodarczych, może w ramach takiej Unji ożyłaby i doszła na nowo do honoru stara demokratyczna ideologja decentralizacji i liberalizmu, jako jedynie celowa w takich warunkach. Wówczas też może Ameryka uznałaby za właściwe wejść w bliższy kontakt ze sprawami międzynarodowemi naszego kontynentu. Ale perspektywy to odległe: narazie Europa musi się liczyć z Ameryką republikańską, trwającą w dumnej izolacji i kroczącą ku coraz większej potędze gospodarczej drogą kapitalizmu prywatnego.

Że antyteza kapitalizmu, t. j. socjalizm, ciągle jeszcze prawie żadnego gruntu w Ameryce nie ma, to również wyraźnie okazały wybory r. 1928, przy których kandydat socjalistyczny, wystawiony dla zasady, jak zawsze, uzyskał znowu bardzo nieznaczną stosunkowo liczbę głosów.

Inny natomiast czynnik w ostatnich latach w Ameryce zaczyna się w życiu partyjnem coraz silniej zaznaczać, jeżeli nie jako poważne trzecie stronnictwo, to jako stały ferment krytyczno-opozycyjny. Tym czynnikiem jest rozwijający się na podłożu opłakanej sytuacji rolnictwa radykalizm agrarny, któremu z brawurą i temperamentem przewodził znany i w Europie ze swych wystąpień senator La Folette († 1925) ze stanu Wisconsin.[1] Jednakowoż i z tej strony nie możemy się spodziewać w niedalekiej przyszłości jakiejś większej zmiany w stosunkach partyjno-politycznych Ameryki. Radykalizm agrarny konsoliduje się w coś w rodzaju trzeciej partji od czasu do czasu, w okresach ostrego przesilenia w rolnictwie, a gdy tylko stosunki agrarne nieco się poprawią, automatycznie przycicha. Ponadto zaś, gdy chce wyjść poza granice terytorjalne okręgów rolniczych, równie niezawodnie rozbija się zawsze o nieubłagany fakt, że postulaty ekonomiczne warstw robotniczych w miastach przemysłowych nie dadzą się żadną miarą pogodzić w ramach jednego radykalnego programu z postulatami stanu rolniczego. Niema więc żadnych widoków na to, by z tej strony pojawiło się na horyzoncie trzecie stronnictwo podobne do *Labour Party* w Anglji.

Ameryka pozostaje tedy narazie krajem o ustalonym niezachwianie układzie dwupartyjnym. Ale jak już chyba jasno wynika z nakreślonego powyżej pobieżnie obrazu życia partyjnego, partje amerykańskie nie pełnią w tamtejszem życiu politycznem bynajmniej tych funkcyj, jakie w życiu organizmów politycznych Europy spełniają rozliczne nasze stronnictwa. W Ameryce ideowa inicjatywa do wielkich reform ustawodawczych nie wychodzi z obozów partyjnych. Skądże się więc bierze? Otóż źródłem takiej inicjatywy są rozliczne — idące w setki — ugrupowania zawodowe, wyznaniowe, plemienne, doktrynowo-propagandystyczne, z których każde nakrywa siecią swych komórek cały kraj, każde ma swoją centralę w Waszyngtonie i każde posiada swą „ajenturę kuluarową“ *(lobby)* dla oddziaływania na Kongres. Skomplikowana gra agitacyjna tych rozmaitych *lobbies* za kulisami Kongresu, to właściwe życie

[1] Doskonały rozdział o tym ruchu zawiera francuska książka Andrzeja Siegfried'a: *Les États-Unis d'aujourd'hui* (Paryż, Colin 1927).

polityczne stolicy Stanów Zjednoczonych. Wielkie organizacje partyjne zaś — to jedna, to druga, a czasem do pewnego stopnia obie — oddają swój aparat od czasu do czasu na usługi jakiegoś prądu ideowego, który z jednej lub kilku z pośród różnych *lobbies* z dostateczną siłą w nie uderzy. Ostatnim wielkim przykładem takiej akcji była prohibicja, której motorami przez swoje *lobbies* w Waszyngtonie stały się z jednej strony pewne silne związki pracodawców przemysłowych, z drugiej strony skrajne sekty protestanckie.

W ten sposób Ameryka, choć swego ustroju parlamentarnego ani układu partyjnego na modłę syndykalistyczną nie przekształciła, jednak nieoficjalnemi metodami urzeczywistnia — choć może nie w idealnie doskonałej formie — marzenia europejskich reformatorów konstytucyjnych o tem, by nerwem przemian ustawodawczych w Państwie były ugrupowania reprezentujące inne interesy społeczne aniżeli programy partyj politycznych.

MIECZYSŁAW KAHANY
Sekretarz Przedstawicielstwa „Agencji Żydowskiej dla Palestyny“ przy Lidze Narodów

SYJONIZM, JEGO CELE I JEGO TRUDNOŚCI

Autor niniejszego artykułu prosi nas o umieszczenie następującej uwagi:

„Dla uniknięcia możliwych nieporozumień chciałbym zaznaczyć, że wyrażam tutaj tylko moje własne, czysto osobiste poglądy, za które nikt, prócz mnie samego, odpowiedzialności ponosić nie może“.

(Przyp. Red.)

W grudniowym numerze *Przeglądu Współczesnego* wielce szanowny pan profesor Hersch — po raz nie wiem już który — „zlikwidował“ syjonizm. Praca jego jest bardzo poważna i — nie należy o tem wątpić — kierowana szczeremi intencjami. W piersiach profesora Herscha bije bowiem serce gorące, pełne współczucia dla niedoli żydowskiej, w mózgu jego stacza jednak walkę — ilekroć pisze lub mówi o syjonizmie — jego erudycja w zakresie statystyki i demografji z ideologją (i niestety bardzo demagogicznemi) nakazami partji politycznej, do której przynależy. (Jest to żydowska radykalnie-socjalistyczna partja „Bund“, zwalczająca syjonizm z niesłabnącem zacietrzewieniem już od lat przeszło trzydziestu). Jakżeż tedy się dziwić, że przy tak złożonym podkładzie psychologicznym szczere intencje profesora Herscha nie potrafią sobie utorować właściwej drogi wśród sprzecznych, wzajemnie się zwalczających tez i teoryj? Miejscami, zapominając o swojej przynależności do „Bundu“, mówi on ze szczerem zatroskaniem o trudnościach syjonizmu, tak jak mówią o nich sami syjoniści. Odzywa się w nim wówczas jego serce, jego n a r o d o w e serce żydowskie. Za chwilę serce umilkło, a mówi roztropnie uczony-statystyk, ale już nieco dalej przytoczone cyfry i dane statystyczne przestają być objek-

tywnemi i stają — z wielką szkodą dla wiedzy — na usługach antysyjonistycznej ideologji „Bundu“... A w końcu, jako konkluzja, znane hasło „Bundu“: *Caeterum censeo, sionismum esse delendum.*

Przez lat trzydzieści syjonizm zdobywał naprzód serca, a potem zaczął budować i kroczyć naprzód mimo i poprzez piętrzące się na jego drodze trudności. Przechodził kryzysy i przechodził ewolucje, ale przytem rozrastał się potężnie, odnawiając się ciągle, hartując w twardej, heroicznej walce wiekową niedolą znękaną duszę żydowską, i nie dając się odstraszyć niczyim pesymizmem i żadnem zwątpieniem. Wbrew groźnemu „Mane, Tekel, Fares“, wypisanemu ręką prof. Herscha na tablicach przeznaczenia wyzwoleńczego ruchu narodu żydowskiego, syjonizm kroczyć będzie dalej naprzód aż do osiągnięcia swojego celu.

CZEM BYŁ I CZEM JEST OBECNIE SYJONIZM?

Prof. Hersch mówi z uśmiechem politowania o „marzeniach młodości“ syjonizmu, o zmianach zaszłych potem w jego łonie i rzekomo przezeń przemilczanych, o krainie „wierzeń i snów“ Herzla, do której porwał on wielomiljonowe tłumy żydowskie i t. d.

Ideja syjonistyczna — jest to jej chlubą i w tem właśnie tkwi jej niezniszczalna siła — przyszła istotnie z krainy snów i wierzeń. Ta kraina jest bowiem ojczyzną wszystkich idej i ruchów, które dążyły do wyzwolenia duszy ludzkiej z mroków zwątpienia i ospałości, z nizin miernoty i obskurantyzmu, z bagna nędzy moralnej i materjalnej, do wzniesienia jej ku światłu wiary i postępu, ku szczytom wiedzy i sztuki, ku bogactwu ducha i mienia. Wiara w wyzwolenie i sen o odzyskaniu straconej ojczyzny przez dwa tysiące lat podtrzymywały w narodzie żydowskim niezłomną wolę do utrzymania odrębnych właściwości religijnych i narodowych, własnych zasad etycznych, głębokiego ukochania sprawiedliwości społecznej, pogardy dla brutalnej siły fizycznej, a religijnego korzenia się przed prawdziwą siłą duchową. Na tle tego dwa tysiące lat trwającego syjonizmu duchowego odrodził się syjonizm polityczny, nie w izdebce uczonego socjologa i ekonomisty, lecz

w głowie Wodza-Genjusza, poety i marzyciela, który drżącą i błogosławioną ręką sięgnął po uśpione w duszy żydowskiej skarby i nakreślił w kilku natchnionych, ale też kryształową logiką i bystrem zrozumieniem dla rzeczywistości przepojonych słowach — plan działania. Z tym planem stanął przed narodem, rozwinął biało-niebieski sztandar ze złotozgłoskowym napisem: „Państwo żydowskie", i skupił dokoła siebie najpierw szczupłą garstkę elity duchowej, a potem najuboższe, lecz etycznie najbardziej wartościowe i z biegiem lat coraz liczniej do syjonizmu lgnące masy żydowskie.

„W swojem stadjum początkowem" — powiada prof. Hersch — „syjonizm był dążeniem ku temu, aby rzesze żydowskie, nie mogące lub nie chcące się zasymilować, wyprowadzić z krajów, w których zostały one od wieków rozproszone, skupić je w Palestynie i w ten sposób z tej ostatniej stworzyć Ziemię Izraela, Państwo żydowskie. Syjonizm sprowadzał się więc do dwóch dążeń: do wyprowadzenia z diaspory jeżeli nie całej, to w każdym razie znakomitej większości ludności żydowskiej, i do stworzenia za pomocą tak masowej imigracji olbrzymiej większości żydowskiej wśród ludności Palestyny, która *ipso facto* stałaby się Ziemią żydowską". Jest to, zdaniem naszem, zbyt uproszczony i powierzchowny sposób tłumaczenia celów syjonizmu politycznego, nawet w jego początkowem stadjum. Nie można także gigantycznego, w gorączce twórczej fantazji zrodzonego planu działania Herzla ośmieszać, cytując w oderwaniu jedną jego, może nieco nieroztropną uwagę... Cel politycznego syjonizmu został jasno i definitywnie sformułowany przez zwołany przez Herzla pierwszy wszechświatowy Kongres syjonistyczny w Bazylei, w roku 1897, w następującem, lapidarnem zdaniu: „Der Zionismus erstrebt für das jüdische Volk die Schaffung einer öffentlich-rechtlich gesicherten Heimstätte in Palästina". Skoro abstrahuje się od kilku prób Herzla w kierunku zrealizowania idei sjonistycznej na innem, niż palestyńskie, terytorjum (El-Arish, Uganda), to można powiedzieć, że sformułowany w programie bazylejskim cel syjonizmu politycznego pozostał niezmieniony, aż do chwili, kiedy drogą Deklaracji Balfoura i późniejszych gwarancyj międzynarodowych, zawartych w mandacie palestyńskim, cała t e o r e t y c z n a zawartość programu bazylejskiego doczekała się pełnego urze-

czywistnienia. Co oznaczał program bazylejski? Czego chciał i czego dalej chce syjonizm? Chciał on — i dążenie to dziś urzeczywistnia — zdobyć dla narodu żydowskiego to, bez czego żaden naród nie może istnieć, względnie nie może odzyskać swojej wolności politycznej: kawałek własnej ziemi, na której choćby nawet mała, ale za to kwalitatywnie wartościowa część narodu mogła, jako odrębna, suwerenna osobowość prawa międzynarodowego, rozwijać się swobodnie, żyć kulturalnie, religijnie i politycznie swojem własnem życiem, przyczyniać się, w atmosferze niezamąconej obcym wpływem lub uciskiem, pracą i oryginalnym tworem genjusza swojej rasy do ogólnego dorobku cywilizacyjnego świata, odbudować, jednem słowem, dla rozproszonego, od dwóch tysięcy lat bezdomnego narodu żydowskiego na świętej ziemi jego praojców, gdzie niegdyś już genjusz żydowski wytworzył po dziś dzień trwające wartości kulturalne, jego własny dom, jego — Siedzibę Narodową. Tego chciał syjonizm w swojem pierwszem stadjum, tego chce dziś, i to dziś — urzeczywistnia. Niema mowy o tem, jakoby syjonizm dzisiejszy odstąpił, pod wpływem „otrzeźwienia", od swoich pierwotnych dążeń. Wręcz przeciwnie: Postulat zawarty w programie bazylejskim, który wówczas nawet niektórzy syjoniści uważali za trudno ziszczalne marzenie, wszedł po wojnie w decydującą fazę swojego urzeczywistnienia.

Ideowa podstawa syjonizmu pozostała również bez zmiany: Przez odbudowanie Żydowskiej Siedziby Narodowej dążył i dąży syjonizm do rozwiązania kwestji żydowskiej. Nigdy nie dopatrywał się możliwości rozwiązania tej kwestji w mechanicznem „wyprowadzeniu znakomitej większości ludności żydowskiej z diaspory", jak to twierdzi prof. Hersch. Wykonanie takiego planu byłoby nietylko niemożliwe i niepotrzebne — (wszakże wiadomo, że w i ę k s z a c z ę ś ć 16-miljonowego dziś narodu żydowskiego żyje w różnych krajach świata w takich warunkach politycznych i ekonomicznych, że nie odczuwa potrzeby emigracji), ale koncepcja syjonizmu, na nim oparta, byłaby także *de facto* niczem innem, jak dążeniem do urzeczywistnienia marzeń najskrajniejszych antysemitów, dla których, jak wiadomo, jedynem możliwem rozwiązaniem kwestji żydowskiej jest — exodus Żydów. Syjoniści nie wmawiali nigdy nikomu, jakoby Palestyna mogła w krótkim czasie zaabsorbować c a ł ą

imigrację żydowską, t. j. wszystkich tych Żydów, którzy chcieliby, względnie nawet tych, którzy są zmuszeni opuścić kraje ich zamieszkania, lecz przeciwnie, podkreślali zawsze, że byłoby wielkim błędem ze strony państw, posiadających w łonie swojem liczebnie poważne mniejszości żydowskie, przypuszczać, że będą mogły rozwiązać u siebie kwestję żydowską li tylko przez — popieranie emigracji Żydów do Palestyny. Wszak właśnie syjoniści walczyli i walczą we wszystkich krajach o wielkich skupieniach ludności żydowskiej o wyjednanie dla niej warunków politycznych, ekonomicznych, społecznych i kulturalnych, które umożliwiłyby jej normalne bytowanie wśród narodów większościowych i zagwarantowałyby jej zupełną równość i swobodę obywatelską, tak pod względem obowiązków, jak i pod względem praw. Dokumenty i źródła historyczne świadczą dobitnie o roli Organizacji Syjonistycznej i o działalności przywódców narodowego żydostwa podczas konferencji pokojowej, kiedy chodziło o wprowadzenie w życie, drogą traktatów pokojowych, koncepcji międzynarodowej ochrony praw mniejszości narodowych. Ta koncepcja — o której urzeczywistnieniu syjonizm herzlowski trzydzieści lat temu oczywiście myśleć jeszcze nie mógł — stała się po wojnie jednym z filarów nowoczesnego prawa międzynarodowego, i praktyczne jej wyniki, t. j. sprawiedliwe uregulowanie kwestji narodowościowej w łonie każdego z poszczególnych państw albo — w pewnych państwach — są już widoczne, albo — w innych — nie będą mogły dać długo na siebie czekać. Jeżeli chodzi w szczególności o Żydów, to koncepcja ochrony praw mniejszości narodowych ułatwi oczywiście w wielkiej mierze zainteresowanym państwom obranie jedynie możliwej drogi do rozwiązania kwestji żydowskiej, t. j. tej, która nie opiera się na rugowaniu Żydów, lecz na dążeniu do ich państwowej asymilacji, pozwalającej im zachować zarazem zupełną swobodę w dziedzinie kulturalnej. Odbudowa w Palestynie Żydowskiej Siedziby Narodowej ma w tym związku, t. zn. jeżeli chodzi o rozwiązanie kwestji żydowskiej w krajach „diaspory", kapitalne znaczenie, a to nietyle w dziedzinie ekonomicznej i, powiedzmy, migracyjnej, ile w dziedzinie politycznej, psychologicznej i społecznej. W tych dziedzinach wiele silniej, niż w dziedzinie ekonomicznej, tkwią bowiem, zdaniem syjonistów, najgłębsze przy-

czyny antysemityzmu. Dzieło syjonistyczne w Palestynie, przy współudziale w niem całego narodu żydowskiego, ma głęboką wartość wychowawczą tak dla Żydów, jak i dla społeczeństwa nie-żydowskiego. U Żydów — tych, którzy pracują w Palestynie, ale i tych, którzy w „diasporze" dzieło to popierają — wzmacnia ono ich godność ludzką, uszlachetnia ich umysł, uzdrawia ich psychicznie, przywraca im ich samopoczucie narodowe, czyni z nich, jednem słowem, naród równy innym wolnym narodom. U nie-żydów wzbudza ono szacunek dla Żydów, przeciwstawia się mocno i od wieków u nich zakorzenionym pogardliwym pojęciom o pasożytnictwie Żydów, ich rzekomo niskim materjalizmie, ich przewrotnej i destruktywnej psychice, ich braku odwagi i t. p. Dla tych właśnie przyczyn sympatyzuje najlepsza część nie-żydowskiej elity duchowej ze syjonizmem, a nie dlatego że — jak powiada prof. Hersch — spodziewa się dzięki syjonizmowi pozbyć się Żydów. W tych momentach psychologicznych tkwi, zdaniem naszem, klucz do rozwiązania kwestji żydowskiej, a ich *spiritus movens* był, jest i pozostanie ideał syjonistyczny i praca dokoła odbudowy Żydowskiej Siedziby Narodowej. W drugim dopiero rzędzie stoi niepoślednia — szczególnie przy uwzględnieniu dzisiejszego praktycznego zamknięcia wszystkich bram imigracyjnych — wartość Palestyny, jako kraju imigracyjnego. Do tego tematu, t. j. do możliwości kolonizacyjnych w Palestynie i do związanego z niemi całokształtu zagadnienia odbudowy Narodowej Siedziby Żydowskiej powrócimy jeszcze w dalszych ustępach naszych rozważań.

Chcąc teraz zreasumować dążenia i cele syjonizmu politycznego, powiadamy: Syjonizm dąży w pierwszym rzędzie do odbudowy w Palestynie — w ramach nakreślonych niegdyś przez program bazylejski, dziś przez deklarację Balfoura i mandat palestyński — Narodowej Siedziby Żydowskiej, t. j. terytorjalnego, liczebnie możliwie silnego i na solidnych podstawach ekonomicznych opartego skupienia żydowskiego, dzięki międzynarodowym gwarancjom, jakiemi zostało otoczone, przedstawiającego politycznie i prawnie odrębną i suwerenną osobowość. Ta Siedziba Narodowa pozwoli pewnej części narodu, która się w niej osiedli, na zupełne porzucenie życia „golusowego", stanie się równocześnie dla pozostałego w krajach dia-

spory i jako mniejszość tamże żyjącego narodu żydowskiego jego duchowym ośrodkiem, jego — sercem narodowem. Stamtąd i tylko stamtąd wychodzić mogą promienie nowego, odrodzonego życia żydowskiego, wzmacniające polityczną, kulturalną, a pośrednio także może i ekonomiczną sytuację całej ogromnej większości żydostwa pozostałego w „diasporze" i przyczyniające się z drugiej strony w niemałej mierze do usunięcia politycznych i psychologicznych podłoży antysemityzmu. Równolegle z tem dążeniem idzie praca syjonistów każdego poszczególnego krajn — (jest to praca lokalna i dostosowana w każdym kraju do panujących w nim warunków) — dookoła osiągnięcia sprawiedliwego uregulowania kwestji żydowskiej w ramach przewidzianej traktatami autonomji kulturalnej, oraz faktycznego, zupełnego i szczerego, politycznego i obywatelskiego równouprawnienia.

Jakiż miałby być zatem rezultat tych dążeń i celów syjonizmu? Będzie nim zorganizowanie i spojenie Żydów jako kulturalnie jednolitej i politycznie z innemi narodami równouprawnionej społeczności. Niemniej jednak pozostanie położenie polityczne narodu żydowskiego pod wieloma względami — w porównaniu z położeniem innych narodów — całkiem odmienne i jedyne w swoim rodzaju. Byt polityczny Żydów rozwijać się będzie mógł jeno w ramach dwóch całkiem nowych konstrukcyj prawa międzynarodowego, t. j. Żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie — zdołającej z czasem skupić może 2 do 3 miljonów Żydów — oraz praw o ochronie mniejszości narodowych dla pozostałej w krajach „diaspory" ogromnej większości narodu. Takie położenie jest konieczną i nieuchronną konsekwencją zupełnie specyficznego rozwoju i losu historycznego narodu żydowskiego. Był i jest on bowiem, jak to powiedział niedawno generał Smuts, jednym z najbardziej „narodowych", a zarazem najbardziej „międzynarodowym" narodem. Jego niezdolność do zupełnego zasymilowania się z innemi narodami jest równie silną, jak jego niechęć, a raczej pogarda dla wszelkiego rodzaju agresywnego i szowinistycznego nacjonalizmu. Nacjonalizm żydowski, manifestujący się w syjonizmie, jest jeno nacjonalizmem „defensywnym". Wyraził to już Herzl: „Naród — powiedział — jest to historyczna grupa ludzi o wyraźnie jednolitych właściwościach, której solidarność utrzymują

otaczający ją wspólni wrogowie. Narody istnieć będą tak długo, jak długo będą sobie wzajemnie wrogie. Droga do wyżyn ponadnarodowego ogólnego człowieczeństwa jest jeszcze długa, ale nie beznadziejna. My chcemy również po niej kroczyć, lecz już nie, jak tego chciał szlachetny Mendelsohn, przez wyzbycie się naszej narodowości, ale przeciwnie, przez jej pielęgnowanie. Chcemy ją pielęgnować tylko w duchu obronnym, a nigdy w duchu agresywnym. Chcemy przytem sprzyjać wszystkim innym narodom i przyczynić się w ten sposób do załagodzenia istniejących między niemi antagonizmów. Rozczłonkowany i od wieków wśród wszystkich narodów świata rozproszony naród żydowski jest może szczególnie uzdolniony do spełnienia tej misji".[1] Te słowa Herzla pozostały aksjomatem syjonizmu. Tylko taki nacjonalizm, który, wytwarzając nowe wartości kulturalne, etyczne i materjalne dla siebie i dla innych, nie przynosi nikomu szkody, może znaleźć miejsce w ramach syjonizmu. Owoce pracy tego *sui generis* nacjonalizmu będą może mogły posłużyć innym narodom za naukę i za przykład.

PAŃSTWO ŻYDOWSKIE CZY ŻYDOWSKA SIEDZIBA NARODOWA?

Uwadze czytelnika nie uszło zapewne, że mówiąc powyżej o celach syjonizmu nie posługiwałem się tem pojęciem, które jest niejako głównym argumentem prof. Herscha w jego dowodach o likwidacji syjonizmu politycznego: Państwo żydowskie. Gdyby celem syjonizmu było stworzenie czysto narodowego państwa żydowskiego, mającego w krótkim czasie skupić w swojem łonie większość narodu, to nie wahałbym się uznać wskazujących na niemożliwość osiągnięcia tego celu konkluzyj prof. Herscha za słuszne. Wykazałem jednak już powyżej, że nie było to nigdy celem syjonizmu. W żadnem oficjalnem, programatycznem ujęciu celów syjonizmu — począwszy od pierwszego Kongresu syjonistycznego w Bazylei, aż do dnia dzisiejszego — nie było mowy o „państwie żydowskiem", lecz zawsze tylko o „Siedzibie Narodowej". Jest natomiast bezprzecznem, że pojęcie państwa żydowskiego służyło syjonistom — począwszy od samego Herzla, który zatytułował w ten sposób pierwszą

[1] Theodor Herzl: *Zionistische Schriften*, str. 256.

swoją broszurę[1] — za pewnego rodzaju skrót myślowy, używany jednak zawsze w innem, niż potoczne, tego słowa znaczeniu. Było to hasło wyrażające, w sposób lapidarny i łatwo pojętny, to, co wyraża wytworzone przez Deklarację Balfoura i mandatem palestyńskim usankcjonowane, może nieco trudniej zrozumiałe, ale właściwym celom syjonizmu i wyż zdefinjowanemu specyficznemu charakterowi nacjonalizmu żydowskiego lepiej odpowiadające pojęcie: Siedziby Narodowej Żydowskiej w Palestynie. Jest nader trudnem i w każdym razie przedwczesnem zadaniem chcieć dziś, z góry już, ustalić w jakie formy ustrojowe przyoblecze się Żydowska Siedziba Narodowa. Formy te wytworzy samo życie, a mandat palestyński i zawarte w nim postanowienia dla ułatwienia rozwoju Siedziby Narodowej są — przy należytem ich wykonaniu — zupełnie wystarczającą gwarancją międzynarodową dla pracy syjonizmu w kierunku osiągnięcia celu, który sobie wytknął. Napróżno szukałoby się, czyto w historji, czyto w współczesnem prawie międzynarodowem analogji do historycznie i prawnie całkiem nowej koncepcji „Siedziby Narodowej". Pojęcie państwa stoi jej oczywiście najbliżej, i dlatego posługiwano się niem najczęściej. W istocie Żydowska Siedziba Narodowa uzyskała już, zgodnie z postanowieniami mandatu, pewne atrybucje państwowe, które w miarę jej rozwoju staną się coraz wyraźniejsze: Własny obszar terytorjalny (choć z ważnemi zastrzeżeniami na rzecz ludności tubylczej), język narodowy, t. j. hebrajski, jako język urzędowy na równi z językiem arabskim i (na czas trwania mandatu) angielskim, możność rozwoju szerokiej autonomji terytorjalnej, a w dalszej perspektywie, ewentualnie, własne zastępstwo dyplomatyczne na terenie międzynarodowym, jako emanacja obecnej „Agencji Żydowskiej dla Palestyny" i t. p. Niemniej jednak nie przeistoczy się Palestyna jako całość — w bardzo dalekiej jeszcze przyszłości, kiedy skończy się powierzony Wielkiej Brytanji mandat nad tym krajem — w żydowskie państwo narodowe, lecz będzie — bez względu

[1] Zważyć należy, że Herzl w swojej broszurze *Der Judenstaat*, napisanej w roku 1894, wahał się jeszcze, co do wyboru kraju — Palestyna, Argentyna albo jakiś inny wielki obszar — w którym plan jego dałby się urzeczywistnić.

na liczebny stosunek Żydów do Arabów — państwem dwunarodowem, t. zn. państwem, w którem narodowości żydowska i arabska będą równouprawnione jako naród państwowy, jako *Staatsnation*. Nie dziś oczywiście pora myśleć o nadaniu konstytucji Palestynie; co do przyszłości, to trudno bardzo przewidzieć, na jakich formach będzie się mogła oprzeć konstytucja tego w tak wyjątkowych warunkach powstałego państwa. O ileby np. współżycie żydowsko-arabskie (do omówienia kwestji żydowsko-arabskiej powrócimy w odrębnym ustępie) stworzyło nietylko naturalną i silną solidarność ekonomiczną, ale też dostatecznie dojrzałą wspólnotę interesów kulturalnych i narodowo-państwowych, to mogłoby to być państwo o ustroju podobnym do ustroju Kanady; jeżeli natomiast solidarność objawiać się będzie tylko w dziedzinie ekonomicznej, to państwo to będzie musiało zapewne wybrać swój ustrój wśród jednej z form federacji. Wkońcu zaznaczyć należy, że Żydowska Siedziba Narodowa różni się i zawsze różnić się będzie od zwyczajnej koncepcji państwowej tem, że podmiotem prawa w niej nie jest tylko ludność żydowska tamże osiadła, ale cały naród żydowski. Ta osobliwość nie oznacza oczywiście, jakoby statut polityczny Żydów pozapalestyńskich, w ich krajach przynależności, miał doznać jakiejś zmiany, ale uwydatnia się, z jednej strony, w międzynarodowem uznaniu łączności historycznej narodu żydowskiego z Palestyną, a, z drugiej strony, w wynikającem stąd prawie swobodnej, li tylko możliwościami absorbcji ekonomicznej ograniczonej imigracji do Palestyny każdego Żyda bez względu na jego przynależność państwową. Odbudowa Żydowskiej Siedziby Narodowej po wyż wyłuszczonych linjach dokonać się może tylko pod osłoną władzy mandatowej, której Liga Narodów powierzyła czuwanie nad wykonaniem wszystkich w mandacie palestyńskim zawartych zobowiązań międzynarodowych. System mandatowy i wcielona weń koncepcja „Siedziby Narodowej“ są, jak to już zaznaczyliśmy, zupełnie nową konstrukcją prawa międzynarodowego, która zrodzić może nowe, dawniejszemu prawu międzynarodowemu nieznane formy państwowe.

CZY URZECZYWISTNIENIE CELÓW SYJONIZMU W PALESTYNIE JEST MOŻLIWE?

Ilu Żydów będzie mogło się osiedlić w Palestynie i w jakim okresie czasu? Z częścią odpowiedzi prof. Herscha na to pytanie możemy się zgodzić: Palestyna, t. j. obszar będący obecnie pod tą nazwą mandatem brytyjskim, nie zdoła prawdopodobnie zaabsorbować więcej, jak $2^1/_2$ do 3 miljonów imigrantów. Prawdą również jest, że osiedlenie takiej ilości Żydów w Palestynie musi być dziełem nie jednej, ale dwóch a może nawet trzech generacyj. Są to stwierdzenia faktyczne, co do których nikt wśród syjonistów złudzeń nie posiada ani też nikogo łudzić nie próbował. Fakty te nie stoją bynajmniej na przeszkodzie urzeczywistnieniu celów syjonizmu, które wymieniliśmy powyżej. Trzeba dopiero cele te przedstawić w tak fałszywem świetle, jak to uczynił prof. Hersch, by dojść do konkluzji, że stworzenie Żydowskiej Siedziby Narodowej jest mrzonką. W swoich rozważaniach statystyczno-ekonomicznych co do możliwości imigracyjnych i absorbcyjnych Palestyny popełnia prof. Hersch, z naukowego punktu widzenia, dwa kapitalne błędy, których nie popełniłby napewno w innej pracy naukowej, nie dotyczącej syjonizmu: 1) Biorąc za podstawę cyfry statystyczne imigracji palestyńskiej podczas krótkiego, siedmioletniego okresu — okresu pod wieloma względami nienormalnego, w którym syjoniści rozpoczęli, ze słabem przygotowaniem, pracę bez precedensu w historji narodów —, usiłuje autor ustalić definitywnie dane statystyczne imigracji żydowskiej na przyszłość. Tak śmiałej metody, w tak wyjątkowym wypadku nie powinien obierać żaden poważny statystyk. 2) Mówiąc o możliwościach absorbcji ekonomicznej Palestyny traktuje je autor jako faktor stały, mając przytem na oku Palestynę w tym stanie zaniedbania, w jakim pozostała ona po siedmiu wiekach „gospodarki" muzułmańskiej — i zapomina, że możliwości te są faktorem nader zmiennym, którego granice trudno bardzo jest z góry określić.

Istotnie w ciągu dziewięciu lat powojennych (styczeń 1919 do grudnia 1928) — z których do tego pierwsze trzy lata były dla pracy syjonistycznej z powodu zwłoki w zatwierdzeniu mandatu przez Ligę Narodów tak dobrze jak stracone — przywędrowało do Palestyny 101.400 imigrantów żydowskich, z których 26.000 (jest to zupełnie normalny procent) reemigrowało.

Ludność żydowska Palestyny wynosiła z początkiem 1919 r. (według oficjalnych danych zawartych w raporcie Wysokiego Komisarza dla Palestyny za r. 1920—1925) 55.000 dusz, czyli, w ówczesnym okresie, 9% całej ludności Palestyny. Według spisu ludności z r. 1922 było w Palestynie 83.794 Żydów, t. j. 11% ogółu ludności (757.000). W lipcu 1928 r. wynosiła ludność żydowska Palestyny, według oficjalnych danych statystycznych publikowanych perjodycznie przez Departament Higjeny rządu palestyńskiego, 150.000 dusz (według obliczeń Egzekutywy Organizacji Syjonistycznej 162.000), t. j. około 18% ogółu ludności (812.000). Jak więc widzimy wzrosła ludność żydowska Palestyny w tym okresie powojennym w cyfrach absolutnych o okrągło 100.000 dusz, a w cyfrach relatywnych t. zn. w stosunku do ludności nieżydowskiej, przechodząc od 9% do 18%, podwoiła się. Trzeba przytem zważyć, że w przeciągu dwóch ostatnich lat wspomnianego okresu imigracja z powodu kryzysu ekonomicznego była bardzo nikłą i że w r. 1927 była nawet, jak o tem wspomina prof. Hersch, nadwyżka emigracji nad imigracją, wynosząca 2.358 osób. Od drugiej połowy 1928 r. poczęła imigracja powoli, ale stale wzrastać, a r. 1929 zapisuje się cyfrą 5.249 imigrantów przeciwko 1736 emigrantom, przyczem jest objawem nader charakterystycznym, że najsilniejsze cyfry imigracyjne tego roku wykazują miesiące wrzesień, październik, listopad i grudzień, t. zn. okres następujący bezpośrednio po ostatnich krwawych wypadkach palestyńskich (w tych czterech miesiącach przybyło 2.823 imigrantów żydowskich).

Na podstawie tych danych statystycznych, które — w okresie jak najmniej korzystnym dla masowej imigracji, gdyż przygotowującym dopiero podstawy ekonomiczne dla jej umożliwienia — wykazują silny wzrost ludności żydowskiej tak w cyfrach absolutnych, jak i w cyfrach relatywnych, możnaby łatwo dojść do konkluzji statystyczno-demograficznych równie przesadnie optymistycznych, jak przesadnie pesymistycznemi są konkluzje prof. Herscha. Nie posłużymy się jednak tą metodą o bardzo wątpliwej wartości, gdyż używanie jej zarzucamy właśnie prof. Herschowi.

Jeżeli chodzi o ekonomiczne możliwości absorbcyjne Palestyny, to są one bez wątpienia ograniczone i stosunkowo

skromne. Nie należy jednak zapominać, że możliwości te wzrastają, odkąd rozpoczęła się powojenna praca syjonizmu w Palestynie, że zależne one są nietylko od naturalnych warunków kraju, ale także od ilości inwestowanych weń kapitałów i że istnieją dziś w całej pełni uzasadnione nadzieje o wiele szybszego wzrostu możliwości absorbcyjnych Palestyny, niż to miało miejsce w przeszłości. Ograniczymy się, dla uzasadnienia tej tezy, do wskazania kilku ważniejszych czynników, które wpłynęły względnie wpłyną na wzrost możliwości absorbcyjnych Palestyny:

1) W dziesięcioletnim okresie powojennym zainwestowali Żydzi w Palestynie 10—12 miljonów funtów szterlingów. Te inwestycje wzmocniły potężnie gospodarczy organizm Palestyny i zaczynają teraz dopiero wydawać swoje owoce.

2) Wielkie dzieło elektryfikacji Palestyny, rozpoczęte przez koncern stojący pod kierownictwem inż. Ruthenberga, obdarzy kraj cały „białym węglem" i wpłynie decydująco na zmianę warunków gospodarczych rolnictwa (projekt Ruthenberga rozwiązuje zarazem pierwszorzędną kwestję irygacji) i przemysłu palestyńskiego, który, nawiasem powiedziawszy, w kraju tym przed przybyciem Żydów wogóle nie istniał.

3) Kilka miesięcy temu rozpoczęły się już prace dookoła budowy portu w Haifie, który, w myśl planów angielskich, będzie jednym z największych i we wszystkie nowoczesne ulepszenia zaopatrzonych portów Morza Śródziemnego. Jest oprócz tego prawie pewnem, że do Haify dociągnięte zostaną rurociągi naftowe z Mossulu i że wybudowana zostanie linja kolejowa łącząca Bagdad z Haifą. Dzięki temu portowi Palestyna — której samo położenie geograficzne ją już do tego przeznacza — stanie się krajem handlu i transytu *par excellence* dla całego olbrzymiego i ekonomicznie coraz hardziej się rozwijającego *hinterlandu* Bliskiego Wschodu.

4) W bieżącym roku rozpocznie również pierwsze swoje prace wielki koncern kierowany przez inż. Nowomiejskiego, który otrzymał koncesję dla eksploatacji skarbów mineralnych, a w szczególności ekstrakcja niezwykle bogatych pokładów soli potasowej, według opinji bardzo kwalifikowanych ekspertów, może mieć wprost rewolucyjne znaczenie nietylko dla gospodarki samej Palestyny, ale nawet dla gospodarki światowej.

5) Obok tych naturalnych czynników, możliwości absorbcyjne Palestyny zależą i długo jeszcze zależeć muszą od dopływu kapitałów żydowskich. Pod tym względem stworzenie w Zurychu rozszerzonej Agencji Żydowskiej, zapewniające współudział t. zw. „niesyjonistów" w pracy dookoła odbudowy Żydowskiej Siedziby Narodowej, stanowi oczywiście wielki postęp, przyciągając do pracy palestyńskiej dotychczas jeszcze bierne, a finansowo silne ugrupowania amerykańskiego i zachodnioeuropejskiego żydostwa. („Ślub" między syjonistami a niesyjonistami nie został zawarty, jak twierdzi prof. Hersch, pod wpływem obawy przed bankructwem i nie był bynajmniej kapitulacją ze strony Organizacji Syjonistycznej, spowodowaną palestyńskim kryzysem ekonomicznym w latach 1926—1927. Pertraktacje między Organizacją Syjonistyczną a niesyjonistycznemi ugrupowaniami żydowskiemi o przystąpienie do Agencji Żydowskiej dla Palestyny rozpoczęły się już w r. 1925, a więc przed kryzysem i doszły do zakończenia w r. 1929, na warunkach w niczem nie naruszających ideowej podstawy syjonizmu).

Czy można w takich warunkach uważać za słuszne wnioski prof. Herscha, wychodzącego z założenia, że możliwości absorbcyjne Palestyny się nie zmienią, a raczej tylko zmniejszą, i że kraj ten nie będzie w przyszłości mógł wchłaniać więcej, jak 5.000 do 6.000 imigrantów rocznie? Napewno nie. Kryzys lat 1926—1927, po masowej imigracji 34.000 Żydów w r. 1925, jest już dawno zlikwidowany. Wykazał on, że w owej chwili tak wysoka cyfra imigrantów, nie poparta odpowiednio wysokim dopływem kapitałów, przekraczała istotnie ówczesne możliwości absorbcyjne Palestyny, ale nie był bynajmniej dowodem, że możliwości te nie dadzą się w przyszłości, przez odpowiednią pracę przygotowawczą, w ten sposób rozszerzyć, by roczny kontyngent imigrantów mógł znowu osiągnąć tę albo nieco mniejszą wysokość, nie wywołując więcej żadnego przesilenia gospodarczego. Kryzys lat 1926—1927 wzbogacił doświadczenie kolonizacyjne syjonistów, którzy, jak wszyscy kolonizatorzy, popełnili kilka błędów. Rok 1929 zainaugurował tak pod względem możliwości gospodarczych w Palestynie, jak i pod względem nowych sukursów finansowych nową, bardzo obiecującą erę dla imigracji palestyńskiej. Odpowiedniemu natych-

miastowemu wykorzystaniu tych możliwości stanął przejściowo na przeszkodzie wybuch antyżydowskich rozruchów arabskich.

KWESTJA ARABSKA

Prof. Hersch, który w narodowych dążeniach żydowskich dopatruje się tylko utopijności i gonitwy za mrzonkami, ma — jak na radykalnego socjalistę — aż zadziwiający zasób zrozumienia nietylko dla prawdziwych, narodowych aspiracyj Arabów, ale nawet dla bardzo podejrzanych, zbrodniczą i oszczerczą agitacją się posługujących ambicyj kliki reakcyjnych i wybitnie antydemokratycznych notablów arabskich. Wychodząc z założenia, że syjoniści nad zagadnieniem współżycia żydowsko-arabskiego nigdy poważnie się nie zastanawiali, że traktowali Arabów jako „ośli" naród, z którym nie trzeba się liczyć i t. p., prof. Hersch spieszy z naukami i — z udzieleniem rady. Nie brak mu przytem ciekawych pomysłów na temat ewentualnego porozumienia żydowsko-arabskiego. Kto jednak sprawami temi się zajmuje, może łatwo poznać, że pomysły i informacje swoje czerpie prof. Hersch bądźto z wywiadów udzielonych prasie przez Wielkiego Muftiego Jerozolimy, bądź też z „enuncjacyj„ różnych także w Genewie, miejscu zamieszkania prof. Herscha, uwijających się emirów i effendich arabskich — w każdym razie ze źródeł mało oryginalnych. Spotykamy dlatego w rozważaniach prof. Herscha, jota w jotę, wszystkie zarzuty przeciwko syjonizmowi, wytaczane przeciwko niemu przez wyż. wspomnianych arystokratów arabskich, których łączy z partją socjalistów żydowskich „Bund" jedno wspólne dążenie: „zlikwidowanie" syjonizmu. Skoro argumenty statystyczne, ekonomiczne i demograficzne nie wystarczały na udowodnienie utopijności syjonizmu, to może urządzony przez efendich i otoczony potem aureolą powstania narodowego pogrom antyżydowski będzie mógł posłużyć za argument ostateczny. Nie dziwi nas, że w ten sposób rozumują arabscy, feudalni panowie Palestyny, ale dziwi i zasmuca nas fakt, że prof. Hersch przywłaszcza sobie bez skrupułów ich tezę i idzie łatwowiernie na lep ich pseudodemokratycznych haseł, domagających się parlamentu w Palestynie i t. p.

Syjoniści popełnili istotnie pewne błędy w swej zbyt biernej polityce w stosunku do Arabów, ale nie byli bynajmniej tak

bezmyślni, jak opisuje to prof. Hersch. Przedewszystkiem nie uważali i nie traktowali Arabów nigdy jako „ośli" naród, lecz przeciwnie, od pierwszej chwili, zastanawiali się nad możliwemi formami współżycia żydowsko-arabskiego w Palestynie. Już przedtem, ale szczególnie podczas Konferencji Pokojowej pertraktował na ten temat z przedstawicielami Arabów prezydent Organizacji Syjonistycznej prof. Weizmann. Możne rodziny Arabów palestyńskich, szczególnie rodzina Husseinitów, do której należą przewodniczący i generalny sekretarz obecnej palestyńskiej egzekutywy arabskiej oraz obecny Wielki Mufti Jerozolimy, były już wówczas absolutnie wrogo dla syjonizmu usposobione i protestowały przeciwko Deklaracji Balfoura. Emir Fajsal, obecny król Iraku, który był przewodniczącym Wszecharabskiej Delegacji na Konferencję Pokojową i z którym Delegacja Syjonistyczna utrzymywała ciągły kontakt, wyraził natomiast w imieniu swojej delegacji zgodę na przedstawione Konferencji Pokojowej przez Organizację Syjonistyczną propozycje co do stworzenia Żydowskiej Siedziby Narodowej w Palestynie, i zgodę tę podał do wiadomości publicznej drogą bardzo serdecznego listu wystosowanego do prof. Frankfurtera, przywódcy syjonistów amerykańskich w łonie Delegacji Syjonistycznej. Syjoniści nie mogli wówczas ani też później pertraktować bezpośrednio z Arabami palestyńskimi z tej prostej przyczyny, że Arabowie ci nie posiadali żadnych do przemawiania w ich imieniu formalnie upoważnionych przedstawicieli. Członkowie kilku arystokratycznych rodzin Arabów palestyńskich — wzajemnie zresztą się zwalczających i nienawidzących — nie mogli uchodzić za istotne przedstawicielstwo ludu arabskiego i jego interesów. Z rodzinami temi była zresztą wszelka dyskusja niemożliwa i bezcelowa, gdyż sprzeciwiały się one bezwzględnie uznaniu wszystkich praw przyznanych w Palestynie Żydom. Powtarzały one mniej więcej to, co powtarza teraz za niemi prof. Hersch, że mogą Żydów w pewnych bardzo ograniczonych i według ich uznania ustalonych ilościach „wpuszczać" do Palestyny i tolerować ich „na swojej ziemi" jako mniejszość religijną. Nie było więc z kim i nie było o czem mówić. Nacjonaliści arabscy zorganizowali już w r. 1920, a później w większych jeszcze rozmiarach w r. 1921, rozruchy antyżydowskie, które — należy to przyznać — miały wtedy istotnie pewien

charakter polityczny. Ludność arabska uwierzyła w podszepty notablów, twierdzących, że Żydzi przychodzą do Palestyny z zamiarem zupełnego wyparcia z niej Arabów. Po stłumieniu tych rozruchów zainaugurował ówczesny Wysoki Komisarz dla Palestyny, sir Herbert Samuel, przywódca angielskiej partji liberalnej, Żyd i syjonista, najbardziej zgubną, najbardziej z mandatem palestyńskim sprzeczną i najmniej do orjentalnej psychologji i średniowiecznych, feudalnych wśród Arabów palestyńskich jeszcze panujących stosunków, dostosowaną politykę ustępstw i kompromisów. O polityce władzy mandatowej w Palestynie pomówimy jednak odrębnie. Wszechświatowy Kongres Syjonistyczny, który kilka miesięcy po tych rozruchach zebrał się w Karlsbadzie z początkiem września 1921 r., zajmował się bardzo poważnie zagadnieniem współżycia żydowsko-arabskiego. Zacytujemy tu uchwaloną przez Kongres Syjonistyczny z r. 1921 rezolucję „w sprawie współżycia z narodem arabskim", gdyż była ona i pozostaje podstawą programu syjonistycznego w kwestji arabskiej. Rezolucja ta ma następujące brzmienie:

„Naród żydowski przeżył chwile smutku i oburzenia z powodu ostatnich wypadków w Palestynie. Wroga postawa podburzonej przez niesumienne żywioły części arabskiej ludności Palestyny nie zdoła bynajmniej osłabić naszego dążenia do odbudowania Żydowskiej Siedziby Narodowej, ani też odwieść nas od naszej woli zgodnego i na wzajemnem poszanowaniu opartego współżycia z narodem arabskim, z którym pracując ramię przy ramieniu chcemy przeistoczyć wspólną naszą ojczyznę w kwitnące państwo, zapewniające przez swoją rozbudowę obu narodom niczem niezamącony swobodny rozwój narodowy. Nasze dwa wielkie semickie narody, połączone niegdyś już więzami wspólnej twórczości kulturalnej, zdobędą się także na zrozumienie ich istotnych potrzeb życiowych w dziejowej chwili ich obopólnego odrodzenia narodowego.

XII Kongres Syjonistyczny wzywa Egzekutywę do podjęcia dalszych, energicznych starań, celem osiągnięcia szczerego porozumienia z narodem arabskim na podstawie niniejszej rezolucji i przy zupełnem zachowaniu postanowień Deklaracji Balfoura. Kongres podkreśla z naciskiem, że żydowska praca kolonizacyjna nie naruszy nigdy w żadnej mierze praw i interesów pracującego ludu arabskiego".

Tych słów zgody nie chcieli i nie chcą słyszeć efendiowie arabscy, a do uszu ludu arabskiego nigdy one niestety nie dotarły. Błędem syjonistów, którego nie myślimy bynajmniej

zatajać, była ich zbyt idealistyczna wiara, że własne przekonanie o czystych zamiarach wystarczy do przekonania o nich także strony przeciwnej. Zajęci swoją gorączkową pracą w dziedzinie odbudowy kraju, zaniedbali syjoniści równie ważnej pracy uświadamiania mas arabskich i całego wielkiego świata muzułmańskiego o właściwych celach syjonizmu. Przeoczyli, że z niedbałości tej w niecny sposób skorzystać mogą ich naturalni wrogowie: feudalni panowie arabscy, Husseinici i inni. Ta niedbałość była w swych skutkach tem fatalniejsza, że władza mandatowa, która powinna byłaby właściwie spełniać tę rolę uświadamiającą i pacyfikatorską, siedziała w Palestynie od samego początku z zakasanemi rękawami, jako niemy i bierny obserwator. Syjonistom zdawało się, że ludność arabska przekona się zczasem o korzyściach, jakie przynosi jej imigracja żydowska, że przestanie wierzyć w rozsiewane przez efendich kłamliwe i oszczercze historje o Żydach i że życie samo stworzy wkońcu podstawy do porozumienia. Wiarę tę uzasadniać mógł po części fakt, że po rozruchach r. 1921 nastąpił długi okres spokoju i choć nieznacznego, to jednak stopniowego polepszania się stosunków żydowsko-arabskich. Rodzina Husseinitów i opanowana przez nią t. zw. Egzekutywa Arabska poczęły tracić na znaczeniu. Okazało się to szczególnie w pierwszych palestyńskich wyborach do rad gminnych w r. 1927, w których Husseinici ponieśli dotkliwą porażkę, a zwalczająca ich wówczas rodzina Naszaszibich uzyskała szereg mandatów dzięki poparciu wyborców żydowskich. Nagonka Egzekutywy Arabskiej przeciwko syjonizmowi i jej twierdzenia, jakoby Żydzi dążyli do wyparcia Arabów z kraju, nie znajdywały już wielkiego posłuchu w masach arabskich. Husseinici, a szczególnie Wielki Mufti jerozolimski — którego dziewięcioletni mandat dobiegał końca i którego ambicją było uzyskać mandat dożywotni — musieli się oglądać za innemi hasłami agitacyjnemi i znaleźli je w tej dziedzinie, w której najłatwiej jest rozniecić fanatyzm mas muzułmańskich — w dziedzinie religijnej. Rozwścieczony tłum arabski rzucił się na bezbronnych, starozakonnych Żydów Jerozolimy, Hebronu i Safedu tylko pod wpływem agitacji kleru muzułmańskiego, rozgłaszającego, że Żydzi chcą zawładnąć meczetem Omara i t. p. Walka bratobójcza trwająca potem dziesięć dni między Żydami a Arabami, interwencja wojska

brytyjskiego, straty materjalne i bojkot ekonomiczny przyczyniły się w najwyższym stopniu do rozpalenia namiętności. Arystokracja arabska z Husseinitami na czele wzmocniła w sposób nieoczekiwany swoje pozycje, pozując w oczach ludu arabskiego na obrońców wiary i ojczyzny.

Nie chcemy jednak bynajmniej twierdzić, że konflikt żydowsko-arabski nie ma głębszych i tylko bardzo trudno usunąć się dających przyczyn. Przedewszystkiem jest to konflikt polityczny: Kraj zamieszkały przez kilkaset tysięcy Arabów — t. j. drobną cząstkę wielkiego, bo 30-miljonowego narodu — osiadłych w nim od kilkunastu stuleci, kraj, który nigdy w historji nie był państwem arabskiem (a tylko, choć już dwa tysiące lat temu, państwem żydowskiem), który przez siedem ostatnich wieków był autokratycznie rządzoną prowincją cesarstwa otomańskiego i który na skutek zwycięskiej wojny z Turcją przeszedł w ręce aljantów, oddany został przez tychże aljantów i przez Ligę Narodów Wielkiej Brytanji z tem wyraźnem poleceniem, że stworzone mają w nim być warunki polityczne, ekonomiczne, administracyjne i inne, zapewniające odbudowę Siedziby Narodowej Żydowskiej w tym kraju, ale tylko tak, aby nie przyniosło to żadnego uszczerbku prawom cywilnym i religijnym ludności tubylczej. O prawach politycznych ludności tubylczej niema mowy ani w Deklaracji Balfoura ani w mandacie palestyńskim. Czyż państwa chrześcijańskie, chcąc naprawić dziejową krzywdę wyrządzoną narodowi żydowskiemu, nie spostrzegły, że czynią to kosztem pokrzywdzenia innego narodu? Czyż Arabowie stali się rzeczywiście kozłem ofiarnym rzekomo wspaniałomyślnego gestu wielkich mocarstw? Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, trzeba przypatrzeć się bliżej sytuacji narodu arabskiego przed wojną i po wojnie. Przed wojną naród arabski żył w niewoli i nie posiadał nigdzie niepodległego państwa. Podczas wojny powstali Arabowie przeciwko Turkom i — podobnie jak Żydzi! — stanęli po stronie aljantów. Jest szczegółem nieważnym, ale charakterystycznym, że w tem powstaniu Arabowie palestyńscy prawie żadnego udziału nie brali. Po wojnie dano aspiracjom narodowym Arabów wprost bezprzykładne, bo stuprocentowe zadośćuczynienie: Mają dziś niezawisłe albo na drodze do niezawisłości będące państwa narodowe w Hedżasie, w Nejdżu,

w Jemenie, w Iraku, w Transjordanji, w Syrji, i praktycznie biorąc należy do nich cały olbrzymi półwysep arabski. Jedynie Palestyna, która historycznie nie była nigdy częścią ojczyzny nacji arabskiej, pozostała poza obrębem jej suwerenności. W tym biednym, zniszczonym i miniaturowym kraiku, który jest jakby kroplą w morzu krajów arabskich, pozwolono „wspaniałomyślnie" szesnastomiljonowemu narodowi żydowskiemu — temu, którego Jaurès słusznie nazwał: *le grand spolié de l'histoire* — odbudować swoją Siedzibę Narodową, nie krzywiąc przytem ani jednego włoska arabskiego. Dla Arabów palestyńskich nie oznacza to bynajmniej utraty ich praw politycznych (których n. b. w Palestynie nigdy nie posiadali), lecz jeno p o d z i e l e n i e s i ę niemi z Żydami. Muszą się jednem słowem na to zgodzić, że Palestyna nie będzie państwem narodowem arabskiem, lecz będzie dwunarodowem państwem, żydowsko-arabskiem, jak o tem pisałem powyżej. Przy takiem rozwiązaniu konfliktu żydowsko-arabskiego — a jest to jedynie możliwe sprawiedliwe rozwiązanie — ponoszą obie strony, Żydzi i Arabowie, równie wielką ofiarę. Żydzi przyznają Arabom część tych praw politycznych, które Deklaracja Balfoura i mandat palestyński zarezerwowały wyłącznie dla nich samych. Arabowie zrezygnować muszą z marzeń — nie opartych na przyznanych im prawach, lecz czerpiących swoje uzasadnienie w fakcie, że są obecnie większością w uczuciach prymitywnego jeszcze i egoistycznego nacjonalizmu — tworzenia w Palestynie niezawisłego państwa arabskiego. Jednak nawet na tej podstawie nie może być obecnie mowy o bezpośredniem porozumieniu między Żydami a Arabami palestyńskimi, gdyż ci ostatni, jak długo Żydzi stanowią słabą jeszcze mniejszość w kraju, nie zechcą oczywiście przyznać im choćby równych praw do Palestyny i uznać w całej rozciągłości mandatu palestyńskiego. Mandat ten musi więc być wykonywany narazie wbrew ich woli, pod kontrolą międzynarodową, przez świadomego swoich obowiązków mandatarjusza. Na tem właśnie polega cały sens mandatu palestyńskiego, i dlatego rola mandatarjusza w doprowadzeniu do porozumienia żydowsko-arabskiego — jest kapitalna, o wiele ważniejsza, niż rola samych Żydów.

Konflikt żydowsko-arabski uwydatnia się również w życiu ekonomicznem, ale nieco inaczej, niż to przedstawił prof. Hersch.

Nie jest to konflikt między potrzebami kolonizacji żydowskiej z jednej strony a interesami chłopa i robotnika arabskiego z drugiej, lecz raczej konflikt między statycznym ustrojem feudalnym a dynamicznym, niszczącym go ruchem kapitalistyczno-socjalistycznym. Jedynie zagrożoną klasą społeczną w tym konflikcie są po stronie arabskiej bogaci panowie feudalni Palestyny i tem też tłumaczy się ich nieubłagana opozycja przeciwko syjonizmowi. Nie tracą oni wprawdzie swojego majątku — sprzedając Żydom dobrowolnie ziemie, wzbogacają się w niebywałej dotąd dla nich mierze — ale tracą przez nowe metody pracy, przez rewolucję socjalną i ekonomiczną, jaką wywołuje z natury rzeczy praca syjonistyczna w Palestynie, swoją dawną władzę feudalną nad arabskim ludem pracującym. Położenie felacha palestyńskiego nie da się porównać z położeniem chłopa żadnego kraju cywilizowanego: jest on niewolnikiem, *glebae adscriptus,* składającym lichwiarską pańszczyznę bogatemu efendiemu i żyjącym w niedającej się opisać nędzy materjalnej i poniżeniu moralnem. Rzadko tylko posiada ziemię na własność. Czy syjonizm może pogorszyć położenie tego felacha? Prof. Hersch nie zadał sobie trudu zbadać dokładnie, w jakich warunkach zakupywał Żydowski Fundusz Narodowy ziemie w Palestynie, lecz powtarza łatwowiernie kłamstwa notablów o „wywłaszczaniu“ felacha przez syjonistów i t. p. Prawie wszystkie obszary, zakupione w Palestynie przez syjonistów, były własnością najwyżej kilkunastu bogatych arabskich właścicieli ziemskich. I tak np. zakupili Żydzi około 280.000 dunamów ziemi, t. j. blisko $^1/_4$ część całej obecnej żydowskiej posiadłości w Palestynie, od rodziny miljonerów arabskich Sursuk. Ziemie, nabyte przez Żydów, przedstawiały się jako leżące od wieków odłogiem ugory, albo jako szerzące malarję bagna i trzęsawiska. Na wszystkich przez Żydów po wojnie zakupionych ziemiach żyło razem najwyżej 150—200 rodzin felachów-czynszowników. Jakkolwiek instytucje żydowskie, zakupujące ziemie, nie były prawnie do tego zobowiązane, wypłacały one zawsze odpowiednie odszkodowanie zmuszonym do opuszczania uprawianej przez nich ziemi felachom, pozwalając im w ten sposób na zakupienie ziemi gdzieindziej, a więc w regule na poprawienie warunków bytu. Mało ziemi zakupiono u felachów-właścicieli. Ci ostatni, sprzedając część swojej własności, uzy-

skiwali w ten sposób odpowiednie środki na lepsze eksploatowanie pozostałego im obszaru.

Tak więc wygląda „wywłaszczanie i wypieranie" chłopa arabskiego przez syjonistów. Według ostatnich obliczeń, oprócz ziem nabytych przez Żydów (około 1,300.000 dunamów), znajduje się jeszcze około 3,000.000 dunamów — t. j. przeszło $^1/_7$ część całego obszaru Palestyny — przeważnie odłogiem leżących, a pod uprawę się nadających ziem w rękach 144 bogatych rodzin arabskich! Polityka Żydowskiego Funduszu Narodowego, zakupującego ziemię jako kolektywną własność narodu żydowskiego i zabraniającego używania pracy najemnej, jest *de facto* wewnętrzno-żydowską, na obszarze Palestyny się dokonującą reformą agrarną. Dla sprowadzenia równowagi po stronie arabskiej i dla ułatwienia dalszej kolonizacji rolnej Żydów potrzebneby było przeprowadzenie ogólnej reformy agrarnej. Wielkie nieuprawiane obszary arabskich efendich trzebaby rozparcelować w ten sposób, aby część ich otrzymał tamże osiadły albo wogóle bezrolny felach, a resztę zatrzymał rząd jako rezerwę dla kolonizacji żydowskiej. Ziemie te sprzedawałby następnie rząd kolonizacyjnym instytucjom żydowskim, obracając część uzyskanych pieniędzy na indemnizację wielkich właścicieli, a część na kredyty rolne dla felacha i dla kolonisty żydowskiego. Przeprowadzenie takiej lub innej reformy agrarnej jest podstawowym warunkiem dla rozwinięcia dalszej pracy kolonizacyjnej Żydów w Palestynie, leży zarazem w interesie felacha, a jest tylko sprzeczne z interesami arabskich wielkich właścicieli ziemskich. Zdają oni sobie sprawę z grożącego im „niebezpieczeństwa", i teraz, kiedy po lichwiarskich cenach sprzedali część swoich ziem Żydom i na tem się wzbogacili, chcieliby najchętniej wyrzucić Żydów z kraju lub przynajmniej już więcej ich nie wpuszczać, a odgrywać zarazem w stosunku do mas arabskich rolę patrjotów i demokratów, wysuwając żądanie stworzenia parlamentu, t. zn. praktycznie biorąc — a nie teoretycznie, jak rozumuje prof. Hersch — ciała ustawodawczego, złożonego z szeików, efendich i muftich, które mogłoby przedewszystkiem zahamować albo unieszkodliwić pracę syjonizmu, a potem rządzić krajem, w sposób odpowiadający ich ultrareakcyjnym i antydemokratycznym upodobaniom.

Prof. Hersch wspomina także o antagonizmie robotnika żydowskiego i arabskiego. Istotnie różnica między poziomem życia i potrzebami robotnika żydowskiego i arabskiego jest bardzo znaczna i stanowi jedną z wielu trudności, jakie pokonywać musi syjonizm w Palestynie. Cierpiącą stroną wskutek tego stanu rzeczy są jednak tylko robotnicy żydowscy. Dlatego też robotnik żydowski — abstrahując już od pobudek idealistycznych i podyktowanych głęboko u niego zakorzenioną solidarnością klasową — dąży do podniesienia poziomu życiowego robotnika arabskiego, do rozbudzenia w nim jego świadomości klasowej i do usunięcia w ten sposób groźnej dla niego konkurencji taniej siły roboczej arabskiej. Robotnik żydowski nie chce wykluczać pracy arabskiej z przedsiębiorstw żydowskich, lecz chce tylko, by praca ta nie była eksploatowana i by robotnik arabski przyzwyczaił się do żądania płacy utrzymującej się na poziomie płac robotnika europejskiego. Chodzi tu więc, jak widzimy, o wyemancypowanie robotnika arabskiego i o podniesienie jego poziomu życia, będącego warunkiem *sine qua non* koegzystencji z nim robotnika żydowskiego. Nieuświadomiony i dziś niezorganizowany robotnik arabski nie widzi może jeszcze więzów solidarności, jakie w przyszłości, siłą faktu, będą go musiały połączyć z robotnikiem żydowskim. Nietylko więc, że nie można mówić o sprzeczności interesów między robotnikiem żydowsklm a arabskim, ale przeciwnie, konieczność wyparcia tańszej siły roboczej doprowadzić musi do podniesienia poziomu życia robotnika arabskiego i do uczynienia z niego naturalnego sprzymierzeńca i towarzysza robotnika żydowskiego. Jest aż zbyt naturalnem, że efendiowie arabscy patrzą nienawistnem okiem na te początki emancypacji robotnika arabskiego.

Antagonizm żydowsko-arabski przedstawia się więc, tak w dziedzinie politycznej, jak i w dziedzinie ekonomicznej i społecznej, jako konflikt narodowego ruchu wolnościowego, przynoszącego postęp i radykalne reformy socjalne, z uporem prymitywnie-nacjonalistycznych arabskich panów feudalnych, chcących wszelkiemi środkami utrzymać ich średniowieczny *status quo*. Jest zarazem jednym z objawów walki cywilizacji zachodniej z broniącym się przed jej inwazją kwietyzmem orjentalnym. Ta walka nie skończy się ani dziś ani jutro, a pracujący

nad urzeczywistnieniem ideału syjonistycznego w Palestynie Żydzi budują może równocześnie most, który kiedyś w przyszłości połączy Zachód z wrogim mu dziś jeszcze Wschodem.

ROLA WŁADZY MANDATOWEJ

Urzeczywistnienie dzieła syjonistycznego w Palestynie, utrzymanie spokoju i normalnych warunków bezpieczeństwa, ułatwienie imigracji żydowskiej, stworzenie odpowiednich podstaw dla przyszłego porozumienia żydowsko-arabskiego, torowanie syjonizmowi drogi wśród licznych politycznych, ekonomicznych i socjalnych przeszkód, które stają na jego drodze — wszystko to zależy w pierwszej linji od polityki Wielkiej Brytanji, dzierżącej w Palestynie pełnię władzy i odpowiedzialnej przed Ligą Narodów za wykonanie powierzonego jej mandatu. Ten fakt stanowi — przyznajemy to — istotnie słabą stronę syjonizmu i uprawnia każdego, kto badał rządy — a raczej zupełny brak rządów — Wielkiej Brytanji w Palestynie w dziesięcioletnim okresie powojennym, do pesymistycznych konkluzyj na temat przyszłości syjonizmu. Gdyby rząd Wielkiej Brytanji zechciał, po wszystkiem, co zaszło, kontynuować w Palestynie swoją dotychczasową politykę *laisser faire, laisser passer*, to perspektywy na przyszłość wydawałyby się i nam dosyć ponure. Nie przypuszczamy jednak, żeby się tak stało. Rząd brytyjski, będący obecnie rządem Labour Party, poprzestał narazie na kilkakrotnych uroczystych oświadczeniach, że nie myśli wyzbyć się mandatu palestyńskiego lub zmienić w jakikolwiek sposób swoje stanowisko w sprawie Deklaracji Balfoura i wykonania mandatu palestyńskiego. Z tych oświadczeń nie można jeszcze niczego wywnioskować i trzeba czekać, aż rząd brytyjski wystąpi z zapowiedzianą przez niego obszerną deklaracją co do jego przyszłej, w ramach mandatu dokonać się mającej polityki w Palestynie. Jedno tylko wydaje nam się dosyć pewne: Rząd brytyjski nie powróci już w swojej polityce palestyńskiej do tych samych metod, jakiemi posługiwał się przez dziesięć lat powojennych. W okresie tych dziesięciu lat, prócz kilku urzędników w ministerstwie kolonij oraz przeważnie z nieudolnych elementów złożonej administracji Palestyny, nikt w Anglji mandatem palestyńskim na serjo się

nie zajmował. Była to poprostu jedna z tysiąca „drobnych spraw“ olbrzymiego Imperjum Brytyjskiego, której z natury rzeczy każdy rząd brytyjski poświęcał tylko tysięczną część swojej uwagi. To się teraz zmieniło. Sprawa Palestyny stała się obecnie jednem z najważniejszych zagadnień politycznych dla rządu brytyjskiego, dla parlamentu angielskiego i dla angielskiej opinji publicznej. Przez ostatnie kilka miesięcy pisano i mówiono w Anglji o syjonizmie więcej, niż przez całych ubiegłych dziesięć lat. Co ważniejsze, zagranicą, na całym świecie zagadnienie palestyńskie było i jest przedmiotem żywych dyskusyj i nigdy może jeszcze nie nasłuchali się Anglicy od obcych tylu ostrych krytyk i tylu tak dla nich upokarzających opinij o sposobie, w jaki prowadzili swoją politykę palestyńską. Należy się zatem spodziewać, że przejdą teraz od metod biernej polityki do metod polityki czynnej, że jednem słowem zaczną w Palestynie rządzić. Anglicy mają obok licznych wad dwie wielkie zalety: nie łamią nigdy raz danego słowa i umieją, skoro tylko chcą, rządzić energicznie i sprawiedliwie. Nie łudzimy się co do tego, że „faktor“ arabski, względnie mużułmański, oddziałuje i oddziaływać musi na politykę angielską w Palestynie silniej, niż „faktor“ żydowski albo nawet „faktor“ moralnej odpowiedzialności w stosunku do Ligi Narodów. Wiemy jednak, że istnieje dla Anglji możliwość dania sprawiedliwego zadośćuczynienia zarówno aspiracjom żydowskim, jak i aspiracjom arabskim. Obranie tej drogi jest trudniejsze dla Anglji, niż jej dotychczasowa polityka i mniej lub bardziej otwarte pozostawianie Żydów ich własnemu losowi. Czy Anglja drogę tę obierze? Nietylko Żydzi, ale cały świat cywilizowany czeka na jej odpowiedź. Tym razem nie może ona już być mglistą i wymijającą — musi być otwartą i szczerą. Po słowach muszą nastąpić czyny.

*

Syjonizm jest czemś nieskończenie więcej niż — jak to pisze prof. Hersch — „jednym z licznych ruchów mesjanistycznych, spotykanych nieraz w historji żydowskiej“, ruchów, które rychło znikają, pozostawiając za sobą conajwyżej dawną, niezniszczalną „tęsknotę“ Żydów za Palestyną. Jest to żywiołowy, żadną przeszkodą powstrzymać się już nie dający narodowy ruch odrodzeńczy. Jest heroiczną, bezprzykładną w historji

walką prześladowanego, bez miary pokrzywdzonego i bez miary idealistycznego narodu o odzyskanie swojej dwa tysiące lat temu straconej wolności politycznej. Tkwi swojemi korzeniami tak głęboko w duszy żydowskiej, tak bardzo odpowiada wszystkim kulturalnym, religijnym i ekonomicznym potrzebom narodu żydowskiego, tak silnie zrósł się z jego życiem, że żaden kataklizm, żadne rozczarowanie nie potrafią go zeń więcej wydrzeć. Młode i słabe jeszcze jego dziecię — zarodek Siedziby Narodowej w Palestynie — żyje, rośnie i rozwija się. Mimo jego wątłości, mimo jego kryzysów, jest już dostatecznie silne, by stawić opór i nie dać się zmieść przez wrogie, niszczycielskie podmuchy pustyni.

Los syjonizmu i los Siedziby Narodowej Żydowskiej jest i pozostanie sprawą życia i śmierci narodu żydowskiego. Deklaracja Balfoura i mandat palestyński — *charta libertatis* narodu żydowskiego — nie zostały podpisane przez warchołów, lecz przez rządy wszystkich cywilizowanych państw świata. Nikt nie ośmieli się sponiewierać tych dokumentów, nikt nie potrafi wydrzeć narodowi żydowskiemu jego świętego prawa do własnego bytu narodowego. A czy jest do pomyślenia, że naród żydowski usłucha rady prof. Herscha i z praw tych dobrowolnie zrezygnuje dla miłej zgody z Wielkim Muftim jerozolimskim i kilkoma innymi arabskimi nacjonalistami? Chyba nie. Byłoby to wszak samobójstwem narodowem. Naród żydowski — teraz mniej niż kiedykolwiek w przeszłości — nie nosi się z zamiarami samobójczemi, ale chce dalej budować i spogląda z otuchą w przyszłość, ufny w swoją własną siłę i w swoje dobre prawo. Nie tęskni za latami dziecięcemi, które na zawsze minęły, lecz zajęty jest urzeczywistnieniem tych swoich marzeń dziecięcych, które pozostaną w nim żywe, jak długo on sam żyć będzie.

Genewa, w lutym 1930 r.

STANISŁAW OSSOWSKI

Z PÓŁNOCNEJ AFRYKI

KSZTAŁTY LĄDÓW

W zapadającym zmierzchu zacierają się linje wybrzeża. Barwy zgasły. Kołysząc się miarowo po ciemnych falach, okręt szybko zwiększa swą odległość od brzegów Francji. Światła Marsylji, zrazu szeroko rozrzucone, skupiają się coraz bardziej — i nikną za skałami wysepek. Tylko latarnia morska zapala się i gaśnie rytmem jednostajnym.

Długie, ruchliwe cielska fal biją o boki okrętu. Niebo pochmurne, bez gwiazd, jednako mroczne na wschodzie i na zachodzie. Wąski pas ziemi roztopił się w ciemności. Już tylko dalekie światełka znaczą linję brzegową. To Europa niknie w naszych oczach.

Od chwili, gdy okręt w silniejszem żachnięciu strząsnął linę, trzymającą go u doku, i donośnym świstem ogłosił swą wolność, już tylko wzrok łączy nas z Europą, a i ta ostatnia nić — optyczna — wątleje z każdą chwilą. Pilno ją zerwać. Sięgamy niecierpliwie w ciemną dal ku południowi. Niebo stopiło się w morze. Za tem ciemnem niebem i za tem ciemnem morzem o setki kilometrów Afryka. Nie do niej nawet tak pilno. Pilno oderwać się od Europy.

Tysiącem drobnych niteczek jesteś przywiązany do pewnego skrawka ziemi, do tysiąca drobnych spraw lokalnych. Stamtąd przywykłeś na świat patrzeć. Ze swego stałego punktu przedstawiasz go sobie w rzucie na jakąś odległą płaszczyznę — niby olbrzymi ekran kinematograficzny, gdzie ludzie, rzeczy i sprawy mają wyznaczone miejsca i wyznaczone proporcje. Z chwilą, gdy ruszasz w świat, płaszczyzna ekranu pryska; składniki obrazu wysuwają się naprzód lub cofają wtył, ginie stałość proporcyj i miejsc. Twój dotychczasowy punkt oparcia pogrąża się w obrazie świata jako jeden z ruchomych elementów.

Dla podróżnika śródgwiezdnego prysnęłoby sklepienie niebieskie i rozleciałyby się konstelacje gwiezdne. Coś podobnego zachodzi,

gdy po raz pierwszy opuszczasz rodzinne miasto, rodzinny kraj. Coś podobnego zachodzi także, gdy po raz pierwszy opuszczasz rodzinną część świata. Odkąd opuściłeś kraj rodzinny, czułeś się wciąż jeszcze mieszkańcem Europy. Z chwilą, gdy wyjeżdżasz poza jej granice, czujesz się już tylko mieszkańcem kuli ziemskiej. Coś się wtedy w obrazie świata zmienia. Miejsce, w którem się znajdujesz, określasz sobie stosunkiem do biegunów i południków, a drogę mierzysz stosunkiem jej długości do równika, czy do promienia ziemi.

*

Wolno kołyszą się godziny pierwszej nocy na pełnem morzu. Rośnie poczucie izolacji od świata. Ogarnia stan biernego poddania się ruchowi okrętu. Obrazy z przeszłości dalekiej i bliskiej, nawet obrazy z ostatnich dni — niesłychanie już odległe — snują się zaledwie na peryferjach świadomości.

Okrągłe okienko zaczyna szarzeć. Świta. Wkrótce — niewiadomo kiedy — kajuta jest już wypełniona światłem dziennem. Zbliża się wschód słońca. Przy wejściu na pokład ostry, chłodny wiatr uderza w twarz, przez chwilę tamuje oddech i oszałamia. Do płuc wpada jędrny, odurzający, do niczego niepodobny zapach morza. Przed oczami morze i niebo. Powierzchnia wód mieni się mnóstwem kontrastów barwnych. Ciemne, stalowe kontury fal łamią powierzchnię morza w tysiące ruchliwych zwierciadeł wklęsłych srebrno-seledynowych, a przez te srebrno-seledynowe zwierciadła przepływają wszystkie tony ognistego nieba. Światła przybywa. Barwy nieba zmieniają się, jednostajnieją. Za chwilę purpura i seledyny, rdza i tony liljowe roztopią się w złocistym blasku.

Lecz pełne morze sprawia teraz pewien zawód. Oczekiwało się bezkresnego ogromu, oczekiwało się przestrzeni rozległych, jak nigdzie na ziemi; oko miało się gubić w dalekościach, nie napotykając żadnych przeszkód na drodze! A oto jesteś niby w pośrodku rozfalowanej misy, o niezbyt odległych krawędziach. Czujesz się pośród fal, a nie ponad falami. Pokład okrętu nie jest dość wzniesiony nad powierzchnię morza. W chwilach, gdy żaden bliski ciemnozielony grzbiet widoku nie zasłania, ogarniasz wzrokiem linję horyzontu, lecz horyzont ten, wbrew oczekiwaniom, wydaje się o wiele ciaśniejszy, niż na równinach mazowieckich. Zupełna jednostajność morza, brak jakichkolwiek odrębnych przedmiotów w polu widzenia wypacza intuicyjną ocenę odległości. Próżno szu-

kać z pokładu tych dalekich perspektyw, któremi morze przykuwa do siebie, gdy na nie patrzeć z wysokiego brzegu. Miast gubić się w dalekościach, wzrok uderza o sztywną krawędź horyzontu. Ta krawędź zdaje się stanowić zaporę nieprzebytą. Nietylko dla wzroku. Wydaje się kresem wszystkiego — jak pierścień oceanu, opasujący ziemię w mitach greckich. Krąg ten nie posuwa się z nami w miarę ruchu okrętu. Jest wciąż nieruchomy. Jeżeli pełne morze nie imponuje rozległością widoku, budzi zato grozę niezmiennością perspektywy. Zmienia swe barwy, huczy i faluje, ale żadne kierunkowe zmiany przestrzenne nie zachodzą przed naszemi oczami. Pozostajemy ciągle w środku tego samego kręgu.

Zjawia się niepokojący konflikt pomiędzy tem, c o w i e m y, a tem, co się nam bezpośrednio narzuca. Potrzeba niemałego wysiłku, aby zharmonizować wiedzę z nowym repertuarem wrażeń: W i e m, że okręt mknie z szybkością więcej, niż dwudziestu kilometrów na godzinę, ale perspektywiczna nieruchomość tła staje w ostrej z tem przeświadczeniem opozycji. Co pewien czas trzeba spojrzeć wtył na dwie smugi piany, rozbiegające się za nami pod ostrym kątem; trzeba spojrzeć na ten widomy szlak przejścia okrętu, aby przekonać się, że płyniemy, że nie utknęliśmy w tej jakiejś nierozciągłej przestrzeni. Wiem, że mamy pod sobą przeszło 3000 metrów wody; dno jest od nas tak odległe, że mogłoby służyć za cel dłuższej popołudniowej przechadzki. Wyobraźnia jednak niełatwo uzmysławia sobie tę odległość. Nie bez trudu zmuszasz się patrzeć na potężne fale, zasłaniające nam widnokrąg, jako na drobne, nic nie znaczące zmarszczki tych głębin, które nas unoszą.

Wiem, że płyniemy po morzu Śródziemnem, że przesuwamy się poprzez miejsca, na których rozgrywały się doniosłe wydarzenia historyczne; wiem, że okręt nasz przecina stare szlaki Fenicjan, Greków, Rzymian.

Czyż to są jednak dla nas t e s a m e miejsca? Cóż mówi mi ich wyznaczenie geograficzne, gdy nie posiadam żadnych stałych punktów odniesienia, i przestrzeń, która nas otacza, jest jakaś całkiem niezindywidualizowana? Właśnie tu, na pełnem morzu, odczuwa się bardzo silnie relatywizm wyznaczeń przestrzennych. Nie mamy zresztą prawa powiedzieć sobie: wśród t y c h fal rozlegał się niegdyś głos Hannibala; tak jak mówimy: „z tej skały Napoleon wydawał rozkazy". Parcelki wody, które zatopiły okręty Odysa, rozbiegły się po całym świecie, a powierzchnia morza zmienia się

z każdą sekundą. Ani materja, ani forma nie pozostaje tu jako świadek dawnych wydarzeń. Ziemia zachowuje pamiątki. Morze nie zachowało żadnych śladów po śmiałych wyprawach i walkach zwycięskich i statkach rozbitych. Z mieniącej się, wiecznie żywej powierzchni nie wyczytasz niczego. Chyba zapuściłbyś się o trzy tysiące metrów wgłąb, sięgnął do dna, do ziemi. Tam znajdziesz zapewne historję. Powierzchnia morza jest ahistoryczna.

Przesuwają się godziny. Czas płynie jakoś inaczej, niż na lądzie. Brak orjentacji w przestrzeni podrywa naszą orjentację w czasie. Spoglądamy ku słońcu, które obecnie opuszcza się zwolna i w nowe co chwila refleksy ubiera powierzchnię wód. Zanim jednak zdążyło bogactwem barw o zachodzie rozpłomienić morze i niebo, znika nagle za chmurą, złocąc bogato jej brzegi na pożegnanie. W pewnym momencie — niewiadomo dlaczego właśnie w tym — zapada wieczór. Noc usuwa z przed oczu naszych horyzont, a wraz z nim — poczucie zamknięcia w ciasnym kręgu.

W ciemnościach przed nami, tam, gdzie możnaby oczekiwać linji horyzontu, zjawia się nagle światełko — niby gwiazda drugiej wielkości. To nie gwiazda. Zjawiło się zbyt nisko. Przytem rośnie najwyraźniej: blaskiem przewyższa już Węgę. Nietylko rośnie: powoli przesuwa się na lewo. W pobliżu zjawia się drugie światło, słabsze. Po raz pierwszy od wczoraj czujemy ruch okrętu. Światła przesuwają się względem nas i przesuwają się względem siebie. To latarnie Sardynji. Mijamy południowo-zachodni kraniec wyspy.

Sardynja! Cóż za nieoczekiwane spotkanie w ciemnościach nocnych! Budzi się żywe wspomnienie żółtego kanciastego tułowia, zasianego maczkiem liter i kresek, pod różową, szpiczastą główką Korsyki — na wielkiej mapie ściennej. Tu, przed nami, zjawiła się niespodziewanie Sardynja prawdziwa. Tajemnicza istota bez fizjognomji. Cóż o niej wiemy? To ta wyspa, gdzie niema Etny i Syrakuz i gdzie nie panował król Roger; to ta wyspa, na której nie urodził się Napoleon. Wytężam wzrok w ciemność — może dojrzę linję brzegów. Nigdy nie myślałem o Sardynji. Sama przyszła. Przesunęła się tak blisko, że w dzień przez lunetę możnaby zapewne dojrzeć ludzi na wybrzeżu, — i znika, może nazawsze; nie odsłoniwszy z siebie nic, prócz tych paru świateł.

Latarnie zatonęły w mroku poza nami. Widnokrąg wszędzie jednakowo ciemny. Nad głowami zato znajdujemy znaki świetlne

bardziej niezawodne, niż światło latarni morskich: świadectwo gwiazd.

Niebo wyiskrzyło się. Wega i Altair zniżają się już ku zachodowi, nie tracąc jeszcze brylantowych blasków. Nad nami świetny zygzak Kasjopei, a nieco niżej nieregularny pięciokąt Woźnicy. Wokół nich takie mnóstwo gwiazd, że trudno tam odnaleźć załamaną w ostry kąt linję Perseusza. Bez wysiłku dostrzegam każdą z 6-ciu gwiazdek Plejady. Wydaje się, że wytężywszy wzrok, rozróżniłbyś każdą z miljona gwiazd Drogi Mlecznej, rzuconej poprzez środek czarnego nieba. Szukam północy, aby określić kierunek okrętu. I nagle okazuje się, że Gwiazdy Polarnej niema na właściwem miejscu. Jest niżej; o tyle niżej, że zmiana położenia nie może budzić wątpliwości. Wielka Niedźwiedzica tuż nad samym widnokręgiem. Na południu widać jakieś nieznane gwiazdy.

Nasza podróż tedy zaważyła już dostrzegalnie na położeniu gwiazd. To nie jest bylejaka rewelacja. Stosunek przebytej drogi do promienia ziemi nie może być bardzo mały, skoro nastąpiło przesunięcie nieba o kąt całkiem wyraźny. Promień ziemi przestaje być abstrakcyjną liczbą; stał się nagle wielkością realną, wielkością, na którą rzutuję świeży fragment życia mojego, moją podróż od Sekwany.

Po raz pierwszy rozmiary kuli ziemskiej weszły w sferę moich doznań bezpośrednich. Wydaje mi się, że uchwyciłem właściwy stosunek między globusem z lat dziecinnych a ziemską kulą. To bardzo zabawne śledzić u siebie narodziny takiej nowej intuicji. Nie bez wzruszenia jednak wchodzi się w kontakt z rozmiarami ziemi. Zdaje się, że podobne wrażenie odniosłem przed wielu laty, gdym na wystawie fizycznej oglądał odchylenie wielkiego wahadła od pierwotnej płaszczyzny wskutek obrotu ziemi.

*

W chmurnem świetle poranka przed nami pomiędzy niebem i morzem zarysował się niewyraźnie wąski pas ziemi. Afryka! Sahara i wielbłądy, Nil i piramidy, Beduini i oazy, Kongo z czarnemi puszczami, do których promień światła nie dochodzi, Kilimandżaro, lwy, krokodyle, Buszmeni i Hotentoci, Hannibal i Książę Niezłomny:

Pierwszy, o piękna Afryko, wyskoczę
Na twoje brzegi... —

Rozpływająca się na wschodzie i na zachodzie wstęga powoli rozszerza się i ciemnieje, Można już rozróżnić falisty kontur wzgórz. Wpatrzeni w zbliżający się ląd, niecierpliwie śledzimy jego zmiany. Wzgórza rosną; nabierają powoli cieplejszych tonów; poprzez mgłę granatową przeziera już brunatność. Pędzimy ku nim.

W pewnej chwili słońce przedarło się przez chmury. Szeroki migotliwy most świetlisty rzuciło na morze, rozzłociło wybrzeża Afryki. Takiej właśnie Afryki oczekiwałem. Nagie żółte zbocza zsuwają się prosto w ciemnozielone morze. Skały to, czy olbrzymi wał złocistego piasku? Pędzimy ku niemu coraz szybciej. Lecz jeszcze nie pora na lądowanie: szerokiem półkolem zwraca się okręt na wschód. Musimy wciąż jeszcze patrzeć zdaleka. Okręt sunie teraz równolegle do wybrzeża. Panoramicznie przesuwa się linja brzegowa z pasmem łagodnych wzgórz. To zbliża się, to oddala. Pustka. Ni ludzi, ni zwierząt, ni roślin. Tak się przynajmniej zdaleka wydaje. Gdzieś w zatoczce leży podobno Bizerta, ale ukryła się dyskretnie za Białym Przylądkiem. Po ckliwych willach Riviery, przeglądających się w błękitnem morzu, a wymyślną architekturą maskujących nudę próżniaków i kapitalistów, wita nas zbocze pustynne i nieurozmaicone. Nie zamienimy go na malowniczą, barwną i kwietną Côte d'Azur.

Trudno byłoby powiedzieć, jak długo trwa ta jazda wzdłuż brzegu. Nagle Afryka kończy się: minęliśmy jakiś ostry przylądek i ziemia cofnęła się wgłąb. Wypływamy na pełne morze. Ale za chwilę przed nami znowu zaczyna majaczyć linja brzegowa. Okręt zakręca na południe. Mrużą się oczy od blasku. To już zatoka Tunisu. Zatoka znajoma: tyle razy wpatrywałem się w jej kształt na mapie. Oto te same linje: na prawo — łuk regularny, na lewo wybrzeże załamuje się i biegnie linją prostą ku przylądkowi Cap Bon, rozpływając się we mgle dalekiej. Pomiędzy obu ramionami zatoki ziemia znika: ujęta ścianami wzgórz, otwiera się tam absyda zatoki; szeroką podkową biegnie wgłąb lądu poza Kartaginę, poza Tunis.

Kształty lądów! Jednym z większych uroków podróży morskich jest możność oglądania lądów i wysp od zewnątrz. Sprawdzamy wtedy naocznie — a przecież nie z lotu ptaka, skąd ziemia traci swą realność — linje naszych map; sprawdzamy, jak wyglądają naprawdę te drobne łuki i zygzaki, dzielące niebieskie plamy mórz od różnobarwnych plam lądu.

Gdy okręt zbliża się do wybrzeży, jednostka geograficzna, z którą oddawna obcowałeś na mapie, a której ten sam objektywny kształt dojrzałeś przed chwilą na horyzoncie, — w oczach twoich przeobraża się w twój świat prywatny, wśród którego będziesz się obracać, i który możesz przemierzać własnemi stopami. Ten twój świat prywatny nie ma już odpowiednika na mapie Oficjalna linja brzegowa zatraci się wśród skał i zatoczek, wśród wydm i kamieni; jej kontur „prawdziwy“ zniknie bez śladu. Skały i zatoczki, wygięcia i załamania, w które rozsypała się linja brzegów, nie będą już miały stałej, geograficznej formy: ich wielkość, ich kształt, ich ważność zmienia się ciągle, zależnie od tego, skąd na nie patrzymy, dokąd kierujemy swoje kroki. W prywatnym świecie niema stałych, objektywnych proporcyj.

Tymczasem okręt przecina błękitną zatokę, dążąc ku prawemu przylądkowi u wejścia do owej morskiej absydy. Po prawej stronie wybrzeże rozrasla się, bieleją ludzkie osiedla. Białe domki o płaskich dachach gromadami przysiadły na zboczach i w zagłębieniach wybrzeża. Mijamy Marsę, letnią rezydencję beja, z okazałemi willami, które nazbyt przypominają Rivierę. Zbliżamy się ku przylądkowi Kartaginy tak blisko, że czuje się już miękkość nadbrzeżnego piasku. Pomiędzy domkami kręcą się postaci ludzkie. To już ludzie Afryki. Można rozróżnić turbany i fezy; nad brzegiem morza bawi się gromadka dzieci. Okrążywszy przylądek, wpływamy w tylną część zatoki.

Słońce ukryło się za pagórkami Kartaginy. Morze zmieniło barwę. Ciemnobłękitna, równa powierzchnia biegnie aż po zębate wzgórza Dżebel bu Korneïn, które w świetle zachodzącego słońca nabrały tonów kontrastowych. Szybko przesuwamy się obok pagórków Kartaginy, z brzydką a natrętnie rzucającą się w oczy katedrą St. Louis de Carthage. Wreszcie, zatoczywszy wydłużony łuk, okręt zmierza wprost do brzegu pod morską latarnię. W niskiem wybrzeżu otwiera się wtedy szeroka szczerba. Przez sztuczną bramę pomiędzy tamami, których twarde ściany wynurzają się z morza niemal prostopadle, wpływamy na jezioro El Bahira. To już trzecia sfera lokalnych wód Tunisu. Środkiem szerokiej, smutnej tafli jeziora, sennie rozlanego pomiędzy płaskiemi brzegami, biegnie kanał, ujęty w dwie wysokie, mocne groble. Wjeżdżamy w kanał, niby w okazałą, prostą aleję, długą na dziesięć kilometrów. Aleja nie jest bezludna: mijamy łodzie rybackie o różnokolorowych żaglach

i płaskie barki; przemknęły szybko zgrabne motorówki, za niemi człapie się ciężko brudny, zakopcony parostatek, wydychając z siebie kłęby dymu.

Pełne morze okolone niebem, zielone zastępy grzywiastych fal, dzikie kontury wzgórz dalekich, pustynne zbocza, — spokój, izolacja, zatracenie się w przestrzeni i czasie — wszystko to pozostało za bramą. Wydaje się nawet — gdyśmy się nareszcie znalezli w granicach prawdziwej Afryki, — że i Afryka pozostała za bramą, przesunąwszy się tylko zdaleka przed naszemi oczami. Pomimo czerwonych fezów i brunatnych twarzy w łodziach i barkach, ten prosty, szeroki kanał nie usposabia afrykańsko. Po prawej grobli sunie oto całkiem europejski tramwaj elektryczny: linja Tunis-Kartagina-Marsa. Nadmorską dzielnicę Tunisu widać coraz wyraźniej.

Pasażerowie gromadzą się na pokładzie, z oczyma lub lornetkami utkwionemi w zbliżające się miasto; inni wynoszą rzeczy na pokład, wciągają płaszcze, biegają po schodach tam i z powrotem, szukają zaginionych drobiazgów. W rękach pojawiają się Baedekery i *Guides Bleux*. Nastrój oczekiwania. U jednych niecierpliwość, u innych charakterystyczne zadowolenie z odrobiną rozczarowania: zadowolenie z osiągnięcia celu; jeszcze inni okazują wyraźną radość, że za chwilę znajdą dla swych stóp niewzruszone oparcie, którego im brakło od dwóch dni; tu i owdzie doskonały spokój wytrawnego turysty, spoglądającego z łagodną pobłażliwością na zdenerwowanie mniej doświadczonych towarzyszy. Ci ludzie przywieźli tu ze sobą całą Europę.

Za kilkanaście minut staniemy w porcie.

ZWALISKA SUFETULI

Sto kilkanaście kilometrów na południo-zachód od Keruanu znajduje się dość rozległa wioska arabska, Sbeïtla. Płaskie kwadratowe domki jak pudełka — niższe nawet od naszych chat mazowieckich, bo bez dachu.

Mieszkańcy zajmują się produkcją alfy; na niewielkich półkach uprawiają, zdaje się, kukurydzę i pszenicę, czy jakieś inne zboża, hodują owce. Teraz w listopadzie półka nagie. Arab w białym burnusie orze w wielbłąda, który stąpa długim miarowym krokiem tak uroczyście, jakby spełniał obrządek religijny. Na niewielkim placyku rośnie kilka drzewek. Za niemi dom — również płaski, ale

znacznie większy i okazalszy od innych; większe okna, z boku przybudówki, z tyłu zabudowania gospodarskie. To oberża. Utrzymuje ją jedyny bodaj w Sbeïtli Europejczyk, który zresztą w ciągu 25-ciu lat miał czas się zafrykanizować.

Sbeïtlę otacza step pagórkowaty, porosły wysoką, twardą trawą. Miejscami nagi zupełnie, zamienia się w piaszczystą pustynię. Przecięty jest linją kolejową, która jednak ginie za najbliższą wyniosłością. Tą linją raz na dobę idzie przez Sbeïtlę pociąg do Tozeuru, oazy bogatej w 200.000 palm daktylowych. W stepie głucha pustka. Godzinami iść będziesz przed siebie, naprzód ścieżkami, wydeptanemi przez owce, później brodząc przez trawy i chwasty kolące, które niekiedy sięgają do pasa, — step ciągle tak samo milczący i bezludny. Docierasz wreszcie do wzgórza, które panuje nad okolicą. Z podrapanemi rękami wdzierasz się na wierzchołek, który tak długo przed tobą zdawał się umykać. W stepie, jak na morzu, nie docenia się odległości.

Z wierzchołka roztacza się szeroki widok: ten sam bezludny pagórkowaty step bez końca. Aż do odległych wzgórz oko nie ma się na czem oprzeć. Nigdzie śladów ludzkiej ręki. Zapewne tak samo wyglądał ten kraj w czasach, kiedy królowa Dydona wylądowała na libijskich wybrzeżach. Pusto i głucho. Nawet ptak nie zamąci ciszy. Samotność jest tak zupełna, że przestajesz ją odczuwać. Czujesz obecność świata.

Na przestrzeniach pomiędzy wzgórzami można jednak spotkać rzadkich mieszkańców stepu. Nad łożyskiem nawpół wyschłego strumyka dym zdradza obecność obozu nomadów. Opodal niskich namiotów kręcą się przy ognisku dwie młode jeszcze kobiety i kilkoro dzieci. Kobiety z odkrytą głową i twarzą. Po raz pierwszy widzę twarz Arabki. Ciemny, kształtny owal szpecą wytatuowane krzyżyki błękitne: na czole, na policzkach, na brodzie.

W krajach północnej Afryki podróżnik może szukać albo Afryki albo Wschodu. To, co rzuca mu się w oczy w Tunisie, w Keruanie — to Wschód. W stepie niema Wschodu, niema wschodniej kultury, tak samo jak niema kultury zachodniej. Jest Afryka. Ta sama Afryka, której żółte zbocza ukazały nam się ostatniego dnia podróży okrętem.

Wśród tych wzgórz i stepów afrykańskich, o których sądziłbyś, że ich ręka ludzka nie tknęła, — wśród tych stepów i wzgórz i wydm piaszczystych rozsiane są umarłe miasta. Niektóre z nich sięgają zamierzchłych czasów, gdy Berberowie byli jedynymi pa-

nami tych krajów. Inne wzniosła Kartagina. Większość — to miasta, wzniesione lub rozbudowane przez Rzymian. Jest ich wiele. Poza sławnym Timgadem i Tebessą, w głębi Tunetanji i wschodniej części Algerji kryją się dziesiątki miast umarłych, których nazwy znane są już tylko archeologom. Historja często nawet nic o nich nie mówi; ale ich kolumny i łuki triumfalne świadczą o wspaniałej przeszłości. I nieraz musisz tu stanąć w podziwie nad bujną ekspansją starożytnego Rzymu, nad tym rozmachem potęgi cywilizacyjnej. Dziś nikt nie zaczyna kolonizacji od wznoszenia teatrów, wspaniałych term i świątyń marmurowych.

Jednem z takich umarłych miast Afryki jest dawna Sufetula, od której arabska Sbeïtla wzięła zapewne nazwisko.

Zbliżał się wieczór, gdym pierwszego dnia po przyjeździe szedł w kierunku umarłego miasta. Długa, zasłana pyłem ulica Sbeïtli prowadzi ku północo-wschodowi. Tuż za ostatnim domkiem wsi zaczyna się pustynia. Z tej strony niema ani traw, ani chaszczów. Naga, żółtawa opoka i wielkie wydmy piasczyste. Na lewo sine wzgórza, na prawo żółtawe fałdy zasłaniają widnokrąg. Niebo zbladło. Cienki błękit rozpływa się na zachodzie w neutralną jasność. Przecinają go złociste strzały pierzastych obłoków.

Już białe domki Sbeïtli pozostały w oddali. Przedemną wyrasta samotny łuk triumfalny Dioklecjana. Czas stępił ostrość konturów, uszkodził kolumny, stopy ich przysypał piaskiem. Łuk wyrasta z piasku, od którego nie różni się barwą. To brama, wiodąca w przeszłość. Mijam ją. Od łuku triumfalnego wiedzie już dalej droga z płaskich głazów. Wspaniała, równa droga. Wielkie tafle kamienne ułożono starannie w tem dzikiem pustkowiu. Od kilkunastu setek lat nikt po nich nie chodzi. Wiatr tylko piasek przegania.

Droga wiedzie prosto w zwaliska Sufetuli. Po obu stronach pojawiają się ogromne bloki kamienne, porozrzucane bezładnie. Drogę zamyka potężny mur, z takich samych bloków kamiennych wzniesiony. Pod wysokim łukiem bramy o podwójnem przejściu wchodzi się do środka. Wszedłszy tam, stajesz, uderzony niespodziewanym widokiem: przed tobą o dwieście kroków trzy starożytne świątynie. Oddziela nas od nich długi, prostokątny dziedziniec, otoczony murem, który tu i owdzie już się rozwalił. Zapewne dawne forum. Ale mur ma charakter obronny. Jeden mniejszy bok dziedzińca tworzą właśnie fasady świątyń, stojących rzędem jedna obok dru-

giej. Każda z nich inna. Napoły greckie, napoły barbarzyńskie. Niewielkie rozmiary wnętrz podnoszą wrażenie wysokości. Dachów ani powały niema; w ścianach szczerby, kolumny także nie wszystkie zachowały się cało Środkowa świątynia zapewne uległa przeróbkom podczas rządów bizantyńskich w VI-em i VII-em stuleciu: ściany ma wzmocnione, fronton zgoła nie grecki, kolumny o nieokreślonych kapitelach. Zato świątynia na lewem skrzydle ma formy prawie klasyczne: kolumny korynckie dźwigają prawidłowy trójkąt frontonu. Za niemi niewielka, prawie kwadratowa nawa; wysokie ściany, wnętrze częściowo zasypane gruzem.

Przy pomocy długiej, opartej o ścianę belki — zapewne zostawionej przez Komisję do badania starożytności — można się wdrapać na górny gzyms świątyni. Stamtąd dopiero można docenić rozległość dawnej Sufetuli. Zwaliska rozciągają się na szerokiej przestrzeni. Od północo-wschodu granicą umarłemu miastu jest wąwóz, którym sączy się ued Sbeïtla. Ued wypływa z gór; na wiosnę podobno staje się prawdziwą rzeką; obecnie jeszcze to tylko nędzny strumyczek, leniwie sączący się po piasku. Tam niżej, opodal strumyka, gdzie wąwóz rozszerza się łagodnie, wznoszą się resztki antycznego teatru i kilka kolumn złamanych. W dali, na drodze ku Sbeïtli, samotny łuk Dioklecjana. U stóp naszych prostokątny dziedziniec z wysoką bramą. Naokoło zwaliska umarłego miasta. Wszędzie bloki kamienne, porozrzucane bezładnie; tam sterczy jeszcze ściana jakiegoś potężnego gmachu, z tej strony rozległe, prostokątne fundamenty, za niemi jakieś fantastyczne kontury, to znów coś jak półkole amfiteatru.

To nie są gruzy: to są zwaliska o potężnych kształtach; z tych wielkich bloków kamiennych możnaby z powrotem dźwignąć pałace i świątynie. Zaległy szeroką przestrzeń. To nie są tylko ruiny dawnych budowli. To miasto umarłe. Umarłe miasto w szczerej, pagórkowatej pustyni. Jak okiem sięgnąć, nic nie mąci spokoju śmierci. Takiej powagi nie znajdziesz na Forum rzymskiem z tłumem turystów, z emfazą włoskich ciceronów: tuż obok świątyni Romulusa wre dzisiejsze życie; ryk samochodów i dzwonki tramwajów elektrycznych. Pustynia lepsze daje schronisko umarłej przeszłości, niż wszystkie komisje konserwatorów.

Kwitnącym i niemałym grodem musiała być niegdyś Sufetula. Budowali ją artyści. W bezładzie zwalisk można się doszukać artystycznych zamierzeń budowniczego. Nie było tu wtedy tej wydmy

piaszczystej. Drzewa i kwiaty rosły może tam, gdzie dzisiaj tylko piasek i głazy.

Co pozostało z tych dziejów zamierzchłych? Pozostały zwaliska, nie pozostało wspomnienia. Historyk z trudem wyszukał zapiskę o jakimś rządcy bizantyńskim, Grzegorzu, który w VII-ym wieku chciał uczynić z Sufetuli stolicę udzielnego państwa — i który zginął w walce z najazdem Arabów. O długich wiekach, które poprzedziły ostateczną zagładę Sufetuli, nie wiemy nic. Nie przechowała wspomnień ani pamięć ludów, ani pismo. Głazy ciosane, łuki i kolumny są bodaj jedynem świadectwem życia, które tu kwitło.

Słońce dawno już zaszło. Z ruin nie dźwignęły się widma. Nic się już tutaj nie dzieje. Pustka i cisza. Czujesz się jedyną istotą żyjącą. Ale to inna samotność, niż w stepie lub nad morzem. Pomiędzy tobą i światem stanęła dawno umarła przeszłość nieznanych ludzi. Przeszłość, obecna w głazach ciosanych, w arkadach bram, w spękanych murach świątyń. Pomiędzy tobą i światem stanęły dzieje dawno minione.

Noc zapada. Kontury zwalisk zacierają się i olbrzymieją. Ciemność wypełza ze wszystkich załomów. Zniknął w mroku daleki łuk Dioklecjana, zapadły w ciemność ruiny teatru. Zmierzch kurczy dostępną oczom przestrzeń; zasłania ziemię; — zmierzch otwiera nad głową wszechświat. Poprzez kolumny, poprzez szczerby ścian i zawalony dach świątyni przegląda ciemne, gwiaździste niebo. Nad horyzontem gaśnie księżyc młodziutki. Z tyłu, ku wąwozowi, czernieją resztki murów bazyliki starochrześcijańskiej. Umarłe miasto, w którem się nic już nie dzieje, odbywa swą wieczystą pielgrzymkę w przestrzeni śródgwiezdnej.

Na niebo wystąpiła wstęga Drogi Mlecznej. Wielka Niedźwiedzica sunie po ziemi; nawet jedno koło się schowało. Na południu widać jakieś nowe gwiazdy.

ALEKSANDER BREGMAN

WIELKIE MOCARSTWA A LIGA NARODÓW

Liga Narodów w dzisiejszej swej postaci jest instrumentem polityki międzynarodowej. Problem więc znaczenia Ligi, problem jej wartości dla zabezpieczenia pokoju i zorganizowania go na trwałych podstawach jest dwojakiego rodzaju. Z jednej strony jest to problem wartości samego mechanizmu Paktu Ligi w formie dziś obowiązującej. Z drugiej, stoimy wobec zagadnienia, jaki użytek z tego instrumentu jest robiony i, przedewszystkiem, jaki użytek ci, którzy mają go w ręku, będą chcieli zeń zrobić. Z jednej strony jest to więc problem prawniczy, z drugiej — czysto polityczny.

Oba są doniosłe. Ale nie będzie niedocenianiem pierwszego, jeżeli powiem, że dla przyszłości Ligi drugi jest decydujący. Jakiekolwiek walory kryją w sobie artykuły Paktu, jakiekolwiek możliwości można zeń wydobyć, zagadnieniem podstawowem jest właśnie, co się zeń wydobyć pragnie.

Od tej strony chciałbym podejść do zagadnienia Ligi Narodów. Zanalizować koncepcje Ligi Narodów, wyznawane przez główne mocarstwa, przestudjować, jaką rolę odgrywa ten instrument wśród kolekcji instrumentów polityki narodowej — by użyć wyrażenia paktu Kelloga — jakiemi rozporządza każdy minister spraw zagranicznych, jaki użytek chcą wielkie mocarstwa z niego zrobić, jakie nadzieje, a czasem i troski, wiążą się dla nich z ideą Ligi.

Dlaczego ograniczam się do wielkich mocarstw, dlaczego nawet wśród nich zajmę się przedewszystkiem Francją, Wielką Brytanją i Niemcami? Omawiając na tem miejscu [1] ewolucję Ligi w ciągu pierwszych lat dziesięciu jej istnienia, wskazałem na wzrastający wpływ wielkich mocarstw w Genewie i ujęcie przez nie, począwszy od r. 1924, kierownictwa Ligi. One regulują dowolnie kompetencję Ligi, one decydują, czy i w jaki sposób instrument ten ma być

[1] Por. *Przegląd Współczesny* nr. 89 (wrzesień 1929 r.): „Dziesięć lat Ligi Narodów".

użyty. Co więcej, te właśnie trzy mocarstwa reprezentują najcharakterystyczniejsze, najbardziej wyraziste koncepcje Ligi Narodów. Inne państwa, wyznając, z małemi odchyleniami, podobne koncepcje, grupują się z małemi wyjątkami dokoła nich. Między temi trzema koncepcjami leży przyszłość Ligi.

W ciągu dziesięcioletniej ewolucji Ligi te trzy koncepcje wykrystalizowały się dostatecznie; można ująć je w formie jak najzwięźlejszej: a więc przedewszystkiem francuska koncepcja Ligi jako instrumentu utrzymania dzisiejszego *status quo* europejskiego, dalej diametralnie przeciwna koncepcja niemiecka Ligi jako instrumentu obalenia tegoż *status quo*, wreszcie jakby w pół drogi pomiędzy francuskim a niemieckim biegunem, angielska koncepcja Ligi jako *clearing-house*'u polityki międzynarodowej.

*

Francja jest wśród wielkich mocarstw tem, które najgoręcej walczy dziś o rozbudowę Ligi i jej umocnienie, najszczerzej ją popiera i największe bodaj pokłada w niej nadzieje.

Zanim jednak się Francja w ten sposób do Ligi ustosunkowała, jej polityka przez różne przechodziła fazy. W pierwszych szczególnie latach istnienia Ligi Francja zapatrywała się na wartość nowej instytucji bardzo sceptycznie.

Francja oceniała zawsze Ligę z punktu widzenia swego bezpieczeństwa, tego najwyższego kryterjum polityki francuskiej. W chwili wypracowywania Paktu, t. j. w okresie rokowań pokojowych, wszystko obracało się dla Francji dokoła pytania: jak zabezpieczyć się przed ponowną napaścią ze strony Niemiec, jak zapewnić sobie pomoc dotychczasowych sojuszników na wypadek tej napaści? Uzyskawszy *maximum* tego, czego mogła się spodziewać, znajdując się w stanie najzupełniejszej saturacji terytorjalnej i kolonjalnej, Francja jednego tylko mogła pragnąć: pokoju i bezpieczeństwa, gwarancyj jej obecnego stanu posiadania.

Najważniejszą gwarancję widziała w sojuszu z Anglją i Stanami Zjednoczonemi. Ale gdy w r. 1918 wyłaniać się zaczął projekt Ligi, ujrzała w nim odrazu możność pomnożenia na tej drodze gwarancyj bezpieczeństwa. Pod tym kątem widzenia ustosunkowując się do problemu, pragnęła Ligi silnej, pragnęła instytucji, której głównem zadaniem byłaby obrona *status quo*, którąby gromadziła wszystkich zwycięzców w syndykat wzajemnie gwarantujący sobie

swój stan posiadania. Dopuszczeniu Niemiec sprzeciwiała się kategorycznie.

Projekt francuski, opracowany przez Leona Bourgeois, wyposażał więc ją w sztab i armję, był jasny, logiczny, daleko idący. Szedł po linji od wieków wyznaczonej przez francuskich polityków i myślicieli wszelkiej organizacji pokoju światowego. Jak *Grand Dessein* Henryka IV, jak projekty Saint-Pierre'a, pragnął dać nowej organizacji siłę własną, któraby zabezpieczyła respekt decyzyj.

Taką Ligę Francja powitałaby z entuzjazmem. Ta natomiast, która, naskutek zwycięstwa tez i koncepcyj anglosaskich i odrzucenia poprawek francuskich, została stworzona, mogła wywołać we Francji tylko rozczarowanie. W Izbie — stwierdza historyk Aulard — nastroje były następujące: na prawicy obojętność lub niechęć, na lewicy — sceptycyzm, rozczarowanie, niepokój.

Zainteresowanie Ligą zmalało we Francji. Zniechęcona do niej, lekceważąca ją, jako gwarancję bezpieczeństwa, Francja szukała tej gwarancji gdzieindziej. Znalazła szereg gwarancyj w swych sojuszach z Polską i Czechosłowacją, ale gwarancja najważniejsza: anglo-amerykańska, ta, dla której Clemenceau wyrzekł się granicy Renu, rozwiała się zupełnie. Co więcej, nietylko próby sojuszu franko-brytyjskiego (podczas konferencji w Cannes) spaliły na panewce, ale w r. 1923, z okazji okupacji Ruhry, stosunki między niedawnymi sojusznikami stały się zdecydowanie wrogie i Anglja nie kryła się ze swemi sympatjami *pro*-niemieckiemi.

W tych warunkach, wobec fiaska prób oparcia bezpieczeństwa Francji na sojuszach z mocarstwami anglo-saskiemi, Francji nie pozostawało nic innego, jak szukać tych gwarancyj w rozwinięciu tej formuły organizacji pokoju europejskiego — przedewszystkiem europejskiego — jaką jest Liga. Trzeba — zdecydował rząd lewicowy Herriota (który swój sukces podczas wyborów 11 maja 1924 przedewszystkiem hasłom nowego kursu polityki zagranicznej zawdzięczał) — starać się powoli zrealizować to, czego się nie dało osiągnąć w roku 1919, t. j. uzyskać pewne gwarancje pomocy od innych członków Ligi w razie napaści. Dlatego stała się Francja główną orędowniczką idej Protokołu genewskiego.

Jednakże jeżeli co do idei przewodniej niema wątpliwości i panuje, może poza skrajną prawicą we Francji, tak jak gdzieindziej zwalczającej ideę Ligi, całkowita jednomyślność, to niemniej można rozróżnić stopień entuzjazmu i gorliwości w realizowaniu

tej idei, jak również metody obrane. Jedna tendencja, uosabiana przez Brianda, zmierza do oparcia Ligi na współpracy francusko-niemieckiej, w zbliżeniu z Niemcami widząc najlepszy sposób zabezpieczenia pokoju. Druga tendencja głosi: wszystko dla Ligi, wszystko przez Ligę. Reprezentują tę ideologję w pierwszym rzędzie Paul-Boncour i Jouvenel, którzy domagają się jeszcze energiczniejszej walki o wzmocnienie Ligi i którzy niezupełnie solidaryzują się z wszystkiemi posunięciami Brianda. Tak np. Jouvenel, przez szereg lat delegat francuski na Zgromadzenie wrześniowe Ligi, dymisjonował w r. 1927, uważając, że polityka Quai d'Orsay niedostatecznie wykorzystuje instrument genewski.[1] O ile chodzi o Locarno, politycy typu Jouvenela nie odrzucali go, ale od pierwszej chwili postawili pytanie: a dalszy ciąg? Nie uważali, w przeciwieństwie do Brianda, że Locarno jest arcydziełem samem w sobie, lecz że wymaga dalszych ciągów w postaci Locarna wschodniego, bałkańskiego, czyli bardzo słusznie widzieli w niem tylko pierwszy krok do regjonalnego zrealizowania zasad Protokołu, pierwszy krok, za którym muszą pójść dalsze.[2]

Nie ulega wątpliwości, że tylko ta druga koncepcja idzie zdecydowanie po linji realizacji zasad Protokołu. Toteż po wahaniach okresu po-locarneńskiego polityka francuska coraz zdecydowaniej skłania się ku tej właśnie koncepcji. Na dziesiątem Zgromadzeniu Briand w swej wielkiej mowie po raz pierwszy dotknął problemu siły zbrojnej, którąby stała na usługach Ligi. Podkreślił, że brak takiej zorganizowanej siły dla wykonania sankcyj przeciw państwu, któreby złamało zobowiązania z paktu Ligi i z paktu Kelloga wynikające, jest poważną luką w dziele Ligi i że nie jest dopuszczalnem, aby prędzej czy później Liga nie starała się zapełnić tej luki. Jest niemożliwem, by w przyszłości nie zechciała zwrócić się do ludów i powiedzieć: „zaufaliście mi i sądzę, że odtąd zasłużyłam na to zaufanie w zupełności, gdyż obecnie Liga Narodów nie zadowolni się przeklinaniem i potępianiem wojny, ale posiada ramię świeckie („un bras séculier") dla ukarania tego, któryby ją wywołał".

---

[1] M. in. chodziło o nieinterwencję Ligi w sprawie albańskiej, naskutek sprzeciwu wielkich mocarstw, które wolały załatwić kwestję między sobą.

[2] W mowie, wygłoszonej 1 marca 1929 w Izbie, Paul-Boncour, zastanawiając się, dlaczego prace nad rozbrojeniem nie posuwają się naprzód, odpowiedział: „Ponieważ było tylko Locarno".

Francja więc, która przed dziesięciu laty nie dbała o Ligę i lekceważyła ją, dziś wierzy w nią i zdecydowana jest walczyć o jej rozbudowę. W systemie francuskiej polityki zagranicznej Liga zajmuje stanowisko coraz donioślejsze, coraz bardziej wysuwa się na czoło. W szerokich kołach społeczeństwa francuskiego umacnia się przekonanie, że praca dla Ligi (i dla ściśle z nią — zdaniem Francji — związanych przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy) jest czemś w rodzaju misji dziejowej Francji. Toteż wybitny polityk, jakim jest Jouvenel, mógł posunąć się do oświadczenia, że „nasza (t. j. Francji) przyszłość jest uwarunkowana przyszłością Ligi: niebezpieczeństwa, które grożą Lidze, są naszemi niebezpieczeństwami" — oświadczenie, które wydaje nam się niemożliwe w jakimkolwiek innym kraju.

Linja polityki francuskiej w Genewie jest więc wyraźnie wytyczona. Czyniąc ideał z tego, co uznała za konieczność, szukać będzie gwarancyj swego bezpieczeństwa we wzmocnieniu Ligi, w uczynieniu z niej instrumentu konsolidacji europejskiej. Czy to w skali globalnej — Lidze uniwersalnej, czy też w skali europejskiej — Lidze narodów europejskich, federacji europejskiej starać się będzie zapewnić siłę, bez której jej decyzjom groziłoby zawsze pozostanie platonicznemi życzeniami.

*

Cała powojenna polityka niemiecka zmierzała i w dalszym ciągu zmierza do usunięcia konsekwencyj przegranej wojny, do obalenia traktatu wersalskiego. Czy w przyszłości straci ten charakter bojowy w stosunku do stworzonego w Wersalu stanu rzeczy i szukać będzie rozwiązania problemów swej ekspansji w ramach traktatów r. 1919 — przewidzieć trudno i chwilowo spodziewać się nie można. O ile więc wyżej analizowaliśmy metody, zapomocą których polityka francuska szuka umocnienia *status quo*, oraz rolę w tym systemie Ligi Narodów — to teraz musimy zastanowić się, jakiemi metodami zmierzają Niemcy do wykorzystania Ligi dla celów wręcz przeciwnych.

Przy całej rozbieżności celów polityki francuskiej i niemieckiej jest pomiędzy niemi jedna formalna analogja: obie są wynikiem konieczności, obie są prowadzone, ponieważ innych prowadzić nie można, poprostu „faute de mieux". Francja wzamian za gwarancję anglo-amerykańską, pewną i niedwuznaczną, chętnieby się

wyrzekła gwarancyj ligowych. Tak samo Niemcy podkreślają, że pragną „pokojowej" rewizji granic zapomocą Ligi, gdyż żadna inna polityka nie jest dla Niemiec dziś, i jeszcze na długi czas, możliwa.

Zrozumiał to Stresemann, którego polityczny talent pozwolił to, co było koniecznością, przedstawić jako dobrowolnie obraną politykę pokojową. Także nacjonaliści, mimo iż wzywają do oparcia się o państwa wrogie obecnemu stanowi rzeczy w Europie i do polityki antypokojowej i antyligowej, zdają sobie sprawę, że sytuacja międzynarodowa i rozbrojenie Niemiec nie pozwalają na prowadzenie żadnej innej polityki, niż ta, znana pod nazwą „orjentacji zachodniej".

Nie jest więc ta chęć Niemiec wykorzystania Ligi dla obalenia traktatów tylko jakiemś maskowaniem planów militarnych, obłudnem oszukiwaniem świata. Jest próbą. A może się uda? Skoro nic innego nie pozostaje, skoro żadna inna metoda nie jest przez długi jeszcze czas możliwa, dlaczegoż nie spróbować?

Uczynić więc wszystko, aby z Ligi zrobić instrument presji na przeciwnika, a jednocześnie na wypadek, gdy się to nie uda, na wypadek także, gdy doszłoby w bliższej czy dalszej przyszłości do nowej wojny — osłabić Ligę jako gwarantkę bezpieczeństwa, unieszkodliwić system sakcyj; w każdym zaś razie usunąć zapomocą Ligi przykrą konsekwencję traktatu wersalskiego — nierówność zbrojeń przez powszechne rozbrojenie — oto genewski program Niemiec.

Od pierwszej chwili Niemcy w ten sposób ustosunkowały się do Ligi. „Już niemiecka delegacja w Wersalu" — pisze b. podsekretarz stanu i bliski współpracownik i powiernik Stresemanna, baron von Rheinbaben — „zdawała sobie sprawę z realności Ligi Narodów. Niemcy były zbyt słabe, by samotnie lub tylko z jednym czy drugim dawnym sojusznikiem czy innem jakiemś państwem, które pozostało im życzliwie usposobione, dążyć do zmiany stworzonego w Wersalu systemu. Czego im przedewszystkiem było potrzeba, to platformy, z której skutecznie możnaby było przedstawiać niemiecką opinję o traktacie wersalskim".[1]

Była też w tym czasie druga, wówczas niemniej ważna przyczyna, dla której zależało Niemcom na tem, by zostali przyjęci do

[1] Werner von Rheinbaben, *Von Versailles zur Freiheit*. Hamburg 1928, str. 147.

Ligi. Chodziło o „prestige" narodu, o powrót do praw mocarstwa, o ponowne przyjęcie do rodziny narodów cywilizowanych. Niedopuszczenie do Ligi było czemś, jak pozbawienie jednostki praw obywatelskich, przeniesione na skalę globalną. Dopóki Niemcy znajdowali się poza Ligą, jako niegodni należenia do niej, honor narodowy był ciężko dotknięty.

Stąd wielokrotne i bardzo usilne próby dostania się do Ligi, które jednak przez szereg lat spełzły na niczem. Jak zaś bardzo zależało Niemcom na przyjęciu do Ligi, świadczy fakt następujący, a mało znany: W r. 1919 na konferencji pokojowej reprezentant Niemiec, hr. Brockdorff-Rantzau, oświadczył, że w zamian za przyjęcie do Ligi Niemcy zrezygnowałyby całkowicie z przyznanego im tonnażu floty wojennej.[1] Oczywiście wogóle nie zwrócono na to uwagi. I dzisiaj Niemcy mają i stałe miejsce w Radzie, czego wówczas Brockdorff-Rantzau nie śmiał żądać, i pancerniki Groenera...

Nie jest mojem zadaniem omawiać historję tych różnych prób dostania się do Ligi, ani analizować, jak się to stało, że wejście Niemiec do Ligi nastąpiło już nie na prośby niemieckie, ale na kategoryczne żądania Aljantów i że w r. 1926 Niemcy mogli już uzależniać to wstąpienie od różnych warunków. Byłaby to cała historja powojennej Europy. Dziś Niemcy są pełnoprawnym członkiem Ligi i te czasy są zapomniane. Z przyczyn, dla których Niemcy starały się o przyjęcie do Ligi, jedna więc już nie istnieje: poniżenie lat 1919—1924 należy do przeszłości, o której z zadziwiającą łatwością zapomniano, prestiż lat przedwojennych jest przywrócony. Niewątpliwie natrafia się jeszcze w genewskiej polityce Niemiec na różne ślady psychiczne tego okresu: przebłyski manji prześladowczej, echa haseł biernego oporu i sabotażu, powątpiewania, czy aby napewno ten okres minął, i w rezultacie nietaktowne „próby sił". Ale w całokształcie polityki niemieckiej w Genewie te rzeczy stanowią już tylko szczegół. Obecnie także kwestja Nadrenji schodzi z pierwszego planu polityki niemieckiej, który dotąd niemal wyłącznie zajmowała. Znaczy to, że Niemcy w Genewie mogą cały swój wysiłek skierować ku temu, cośmy wyżej jako cel naczelny ich polityki sformułowali.

Jak trudne to zadanie — z tego sobie Niemcy zdają sprawę. Istnieje wprawdzie ów słynny artykuł 19 paktu, ale jego interpre-

[1] Nowak, *Versailles*, str. 301.

tacja prawnicza, taka jaka dziś jest powszechnie uznana, czyni go z punktu widzenia niemieckiej polityki rewizjonistycznej niemal bezwartościowym. Debata nad art. 19 na dziesiątem Zgromadzeniu raz jeszcze musiała przekonać Niemców, że nie mogą liczyć na ten artykuł. Toteż jeżeli stale wspominają o nim, to tylko dlatego, aby i tą drogą przypomnieć o swych postulatach rewizjonistycznych. Wysuwać opartych na nim żądań nie zamierzają, zdając sobie sprawę z beznadziejności tego rodzaju przedsięwzięcia. Tymczasem rozpoczynają pracę od podstaw, która przez zmiany w charakterze Ligi ma uczynić możliwości rewizjonistyczne bardziej realnemi.

O co chodzi? Nie o zmianę Paktu, o jakieś przeobrażenia widoczne, formalnie przyjęte — te bowiem w sensie przez Niemców pożądanym są niemożliwe. Wprost przeciwnie, Niemcy dążą do niewidocznej, powolnej rewizji pojęć w Lidze i na Ligę, do przesunięcia punktu ciężkości systemu ligowego przez długą, nieuchwytną ewolucję.

Dziś punktem ciężkości tego systemu są artykuły 10 i 16, gwarantujące stowarzyszonym w Lidze narodom pomoc na wypadek napaści z zewnątrz. One nadają dotąd Lidze charakter stowarzyszenia wzajemnej pomocy dla zachowania pokoju dzisiejszego, na obecnym stanie rzeczy opartego. Postawienie artykułu, głoszącego, że „wszelka wojna, czy groźba wojny... interesuje całą Ligę", zaraz za art. 10 podkreśla jeszcze tę intencję autorów Paktu.

Otóż te dwa artykuły pragną Niemcy jak najbardziej osłabić, a na plan pierwszy wysunąć art. 11 już nie w związku z art. 10, ale zupełnie samodzielnie. Artykuł 11, który głosi jeszcze, że „cała Liga obowiązana jest użyć właściwych środków dla skutecznego zabezpieczenia pokoju", jest nawskróś polityczny, a przytem bardzo ogólnikowy. Chodzi więc Niemcom o to, by przez uczynienie zeń punktu centralnego systemu ligowego osłabić Ligę jako gwarantkę bezpieczeństwa, a wzmocnić ją jako gwarantkę pokoju, którego powinna bronić za wszelką cenę, nawet kosztem sprawiedliwości i słusznych praw. Skoro ktoś jest niezadowolony ze *status quo*, to istnieje groźba wojny, ta zaś interesuje całą Ligę, która powinna użyć środków skutecznych i t. d. — to sposób myślenia, któryby Niemcy chcieli zaszczepić Lidze. Przytem należałoby wyposażyć Radę w coraz większe uprawnienia, dać jej prawo wydawania — dla utrzymania pokoju — wszelkich zarządzeń, jakie uzna za stosowne. Niektórzy Niemcy posuwają się aż do żądania, aby tylko

Rada mogła pozwolić na prowadzenie wojny obronnej. „Słuszna obrona" powinna, ich zdaniem, być potępiona na równi z wojną zaczepną. Napadnięty powinien cierpliwie czekać na decyzję Rady i nie wszczynać żadnych kroków obronnych.

Fantastyczne utopje? Tak. Ale podczas gdy sztab uczonych, falanga co najwybitniejszych niemieckich prawników pracuje nad propagandą niemieckich idej, gdy najlepsze książki o Lidze pisane są przez Niemców, gdy niemieccy profesorowie starają się zaszczepić wszędzie niemiecką koncepcję Ligi, to politycy już obecnie próbują zrealizować te pomysły choćby w drobnej mierze. Za przykład może służyć wypracowany przez Niemców i przedstawiony przez nich komitetowi arbitrażu i bezpieczeństwa, a następnie przyjęty i zalecony przez Zgromadzenie model konwencji „dla wzmocnienia środków zapobiegania wojnie" („modèle de traité en vue de renforcer les moyens de prévenir la guerre"). Projekt ten stypuluje, że strony zobowiązują się wykonać zalecenia Rady, powstrzymać się w razie konfliktu od poczynań mogących go pogłębić, a w razie, gdyby kroki wojenne już się rozpoczęły, zastosować się do rekomendacyj Rady, a w szczególności odnośnie do wycofania wojsk itd. Ale jakże przypuścić, że państwo, które napadnie na sąsiada wbrew Paktowi Ligi i paktowi Kelloga i innym zobowiązaniom, które złamie tyle traktatów, zatrzyma się przed pogwałceniem akurat tego? Co więcej, żadna kontrola nie jest przewidziana, tak iż traktat żąda np. od państwa napadniętego, aby nie transportowało wojsk dla wzmocnienia swej sytuacji obronnej („mesures susceptibles d'aggraver le conflit") nie dając mu w zamian żadnej gwarancji, że Rada dopilnuje, aby napastnik, do którego dobrej woli trudno mieć zaufanie, nie przygotował potajemnie dalszej agresji. Żadne sankcje za złamanie tego traktatu nie są przewidziane. Można więc powiedzieć, że traktat taki w 99 wypadkach na 100 działałby na korzyść państwa działającego w złej woli.

Proponując ten model traktatu, jaką „arrière-pensée" żywili autorzy? Z jednej strony tę, że w chwili krytycznej Rada dla uratowania pokoju starałaby się zadowolnić życzenia napastnika, z drugiej zaś, że w każdym razie nie zastosowanoby do napastnika międzynarodowych sankcyj, lecz weszłoby się z nim w układy i starałoby się zlokalizować konflikt.

Więcej jeszcze. Traktat ten, mający za zadanie odsunąć chwilę zastosowania sankcyj, ma jeszcze służyć za atut w walce przeciw

sankcjom wogóle. Jeszcze przed zgłoszeniem projektu rząd niemiecki w obserwacjach, dotyczących prac komitetu arbitrażu i bezpieczeństwa, obwieszczał, że: „Im więcej rozwinięte będą środki, mające na celu zapobiegnięcie wojnom, tem mniej odczuwać się będzie potrzebę zarządzeń, które trzeba będzie powziąć w wypadku, gdy zerwanie pokoju będzie już faktem dokonanym". Nieco dalej dodawał: „Brać jako punkt wyjścia (problemu bezpieczeństwa) wojnę i sankcje wojskowe równałoby się chęci budowania domu, zaczynając od dachu. Nie przez przygotowywanie wojny przeciw wojnie będzie można jej uniknąć, lecz jedynie usuwając jej przyczyny. To zaś zdaniem rządu niemieckiego jest możliwe tylko przez stworzenie procedury („règlement"), gwarantującej stały pokój i usuwającej wszelkie sytuacje, mogące stać się niebezpiecznemi dla pokoju świata". [1]

Stresemann w swej mowie na X Zgromadzeniu Ligi, ostatniej mowie, jaką wygłosił, czyniąc z niej w ten sposób swój jakby polityczny testament, raz jeszcze przypomniał pogląd Niemiec na organizację pokoju: „Rząd niemiecki zawsze był zdania, że punktem wyjścia wszystkich wysiłków dla zabezpieczenia pokoju musi być udoskonalenie metod, przewidujących pokojowe załatwienie wszystkich konfliktów między państwami. Nie można bynajmniej zapobiec wojnie, przygotowując wojnę przeciw wojnie, lecz jedynie usuwając przyczyny wojny. Im bardziej uda nam się znaleźć praktyczną drogę koncyljacji konfliktów zarówno obecnie istniejących, jak i przyszłych, im bardziej zrealizujemy myśl przewodnią modelu traktatu dla zapobieżenia wojnie, wypracowanego na podstawie suggestyj niemieckich... tem mniej odczuwać będziemy konieczność zabezpieczenia się na wypadek rzeczywistego złamania pokoju".

Innemi słowy dopóki „istniejące konflikty" nie będą rozstrzygnięte, czyli dopóki nie nastąpi rewizja granic, dopóty pokoju stałego nie będzie, wojna jest możliwa. Co ma zrobić Liga, gdy ta wojna wybuchnie? Na to Niemcy nie dają odpowiedzi, albo ściślej, dają odpowiedź negatywną: Nic nie ma robić! Precz z sankcjami!

Sankcje mają przeciwników. Ale motywy są rozbieżne. Anglicy np. też są przeciw sankcjom. Lecz są przeciw nim, ponieważ obawiają się, że byliby głównymi ich wykonawcami, co byłoby kosztowne, nieprzyjemne i nawet niebezpieczne (ze względu

[1] Publikacje Ligi Narodów, dokument C. A. S. 10, Genewa, 6 lutego 1928.

na możliwość konfliktu z Ameryką). Niemcy natomiast zwalczają ideę sankcyj, ponieważ obawiają się, że sankcje mogłyby być skierowane przeciw nim.

Walka przeciw gwarancjom bezpieczeństwa nie ogranicza się do sankcyj. Sankcje stanowią wszak tylko jedną formę, najbardziej międzynarodową, pomocy państwom napadniętym. W ciaśniejszych ramach pomoc ta może być zapewniona także zapomocą umów regjonalnych. I tym więc umowom sprzeciwiają się Niemcy. Cytuję raz jeszcze „Obserwacje rządu niemieckiego dotyczące prac arbitrażu i bezpieczeństwa", w których autor takie oto czyni zastrzeżenia odnośnie do umów regjonalnych: „W każdym razie należy mieć na widoku takie tylko rozwiązania, które regulują w określonej grupie państw sytuację tych państw, jednych w stosunku do drugich, unikając, aby znalazły się one na skutek tego w opozycji do państw nienależących do tej grupy. Zwiększyć na szkodę („au préjudice") innych państw bezpieczeństwo określonych państw nie stanowi bynajmniej postępu na drodze do pokoju.. Formowanie się, w łonie Ligi Narodów, pomiędzy grupami państw sojuszów, któreby miały na celu chronić państwa biorące w nich udział przeciw członkom Ligi pozostałym poza niemi, doprowadziłoby łatwo do scysji w Lidze i sparaliżowałoby szczególnie w okresie kryzysu wszelką akcję wspólną".

Zdaniem więc rządu niemieckiego zwiększenie bezpieczeństwa jakiegoś państwa połączone jest ze szkodą dla jakiegoś innego państwa! Ta cyniczna deklaracja charakteryzuje cały stosunek Niemiec do Ligi.

Odwracając powyższą zasadę i sądząc, że zmniejszenie bezpieczeństwa pewnych państw może być połączone z korzyścią dla innych, walczą Niemcy bardzo energicznie o rozbrojenie. Nie wnikając w szczegóły — skomplikowany problem rozbrojenia wymaga specjalnego omówienia — ograniczmy się do stwierdzenia, że Niemcy w dziedzinie rozbrojenia nie mają nic do stracenia, a wszystko do wygrania. Im bardziej posunęłoby się naprzód rozbrojenie powszechne, tem bardziej osłabieniby zostali przeciwnicy Niemiec, podczas gdy do sytuacji militarnej Rzeszy nie wniosłoby to żadnych zmian. Gdyby natomiast, naskutek niedostateczności gwarancyj bezpieczeństwa i nadmiernego pośpiechu, prace rozbrojeniowe Ligi znalazły się na martwym punkcie, to być może ułatwiłoby to Niemcom odzyskanie swobody zbrojeń, co jest życzeniem całej niemieckiej pra-

wicy.[1] Co się zaś tyczy techniki rozbrojenia, to zwalczają Niemcy wszystko to, co jest warunkiem rzeczywistego jego przeprowadzenia: sprzeciwiają się kontroli, ograniczeniu różnych związków o charakterze wojskowym, ograniczeniu budżetów wojskowych. Dlaczego — domyśleć się nie trudno. Wystarczy przejrzeć listę niemieckich związków wojskowych[2] i porównać niemiecki kolosalny budżet wojskowy z budżetami innych państw.[3] Jednem słowem niemiecka akcja rozbrojeniowa nie jest powodowana pobudkami idealistycznemi, lecz stanowi ogniwo w całości walki ze *status quo* i opartem na niem bezpieczeństwem.

Analizując niemiecką politykę w stosunku do Ligi, nie można nie wspomnieć o urzędnikach niemieckich w Sekretarjacie i roli im wyznaczonej. Jak już to, omawiając ewolucję Sekretarjatu,[4] podkreśliliśmy, Niemcy stanęli na stanowisku, że niemieccy urzędnicy Sekretarjatu są reprezentantami Niemiec i niemal podporządkowani Aussenamt'owi, co jest zupełnie sprzeczne z zasadami powszechnie (z wyjątkiem Włoch) uznanemi i sformułowanemi w memorandum Balfoura o organizacji Sekretarjatu. Jednakże wpływów niemieckich to nie pomnożyło. Raczej przeciwnie, gdyż urzędnicy innych narodowości odnoszą się do tych, którzy nważają się za reprezentantów swych państw, z dużą nieufnością. Nawiasem można też dodać, że wogóle głębsze tendencje polityki niemieckiej nie natrafiają na życzliwe przyjęcie w Sekretarjacie. Czy to w kwestji artykułu 19, czy w kwestji procedury mniejszościowej, cały niemal Sekretarjat jest przeciw tezom niemieckim.

W tych warunkach pragną Niemcy swój wpływ na Sekretarjat rozszerzyć przez zwiększenie ilości funkcjonarjuszy Niemców. „Nie może być mowy" — pisze Rheinbaben w cytowanej już książce o polityce niemieckiej — „o tem, by Niemcy zadowolniły się przyznaną im dotąd kwotą własnej reprezentacji „narodowej" w orga-

---

[1] „Niewątpliwie nie jest rzeczą łatwą prowadzić niemiecką politykę zagraniczną. Ale nie ulega żadnej wątpliwości, że jej celem jest odnowienie Niemiec jako wielkiej potęgi militarnej" — generał v. Seeckt (*Die Zukunft des deutschen Reiches*).

[2] Por. Emil Ruecker: *Niemcy, Prusy a Polska*. Kraków 1928.

[3] Interesujące porównanie budżetów wojskowych Niemiec i Polski podaje kwartalnik *Sprawy obce*, zeszyt I, październik 1929.

[4] Por. *Przegląd Współczesny* nr. 89 (wrzesień 1929): „Dziesięć lat Ligi Narodów".

nach Ligi. Nawet jeśli przyznamy, iż obecny Sekretarz Generalny w chwili przyjęcia Niemiec i potem uwzględnił już w miarę możności niektóre żądania niemieckie, to niemniej nasze żądanie zwiększenia ilości niemieckich stanowisk musi być utrzymane". [1]

Zestawmy teraz te różne fragmenty polityki genewskiej Niemiec, a otrzymamy obraz jej celów i metod. A więc starania o wpływy w Sekretarjacie, organie, przygotowującym całokształt prac Ligi. Olbrzymi wysiłek propagandowy, zmierzający do odpowiedniego przeobrażenia idei Ligi, wysiłek, poparty mrówczą pracą uczonych. Psychologiczno-polityczne przygotowywanie momentu kryzysu przez stwarzanie procedury, któraby przy w ten czy inny sposób wywołanym kryzysie miała ułatwić wywarcie presji na przeciwników dla osiągnięcia rewizji traktatów. A na wypadek, gdyby to wszystko pozostało bez rezultatu i gdyby z tych czy innych powodów wybuchła wojna — równoległy wysiłek, zmierzający do zmniejszenia gwarancyj bezpieczeństwa, czy to wojskowych — przez rozbrojenie, czy też międzynarodowych — przez sparaliżowanie systemu sankcyj i osłabienie umów regjonalnych.

Analiza stosunku Niemiec do Ligi czyni zbyteczną jego ocenę. Nie może być wątpliwości, że organizmu genewskiego polityka ta nie wzmocni. Wprost przeciwnie — jeśliby kiedykolwiek miała zatriumfować, dzień jej triumfu byłby ostatnim dniem żywota Ligi.

*

Koncepcja angielska Ligi Narodów znajduje się jakby w pół drogi między francuską a niemiecką, różniąc się od obu pod bardzo wieloma względami. Tem przedewszystkiem, że wyznacza Lidze w polityce zagranicznej Imperjum rolę raczej drugorzędną, podczas gdy we Francji, jak widzieliśmy, jest to rola pierwszoplanowa, a przy obecnej, na t. zw. „zachodniej orjentacji" opartej polityce niemieckiej jest nią także i w Niemczech. Również podczas gdy Francja świadomie dąży do pewnego rodzaju nadpaństwowej Ligi, względnie pozostającej w jej ramach federacji europejskiej, podczas gdy i Niemcy dążą do rozszerzenia w pewnym kierunku kompetencji Ligi, to Wielka Brytanja do wszelkich pomysłów Ligi jako superpaństwa i do haseł jej rozbudowy w jakimkolwiek kierunku usto-

[1] Rheinbaben: *Von Versailles zur Freiheit*, str. 153.

sunkowuje się wyraźnie negatywnie, co zresztą bynajmniej nie zmienia faktu, że ogół opinji brytyjskiej odnosi się do Ligi z wielką życzliwością, często nawet z entuzjazmem.

Dlaczego Liga Narodów odgrywa w polityce brytyjskiej rolę drugorzędną? Przyczyn jest kilka. Przedewszystkiem odpada czynnik wielkiej doniosłości — kwestja bezpieczeństwa. Problem ten wprawdzie istnieje i dla Wielkiej Brytanji, ale przedstawia się zgoła inaczej, niż dla państw kontynentalnych. Dla tych sprowadza się do zagadnienia szybkiej pomocy ze strony innych państw. Dla wyspiarskiej Anglji jest to natomiast problem wyłącznie morski. Jego punkt ciężkości a i punkt ciężkości całej polityki brytyjskiej leży dziś w stosunkach anglo-amerykańskich. Liga ma tu mało do powiedzenia.

Imperjum stanowi już samo swego rodzaju Ligę Narodów. Dominja zaś mało się interesują Ligą, mało się od niej domagają i mało po niej spodziewają. Ich sfera zainteresowań leży gdzieindziej. Zdają sobie sprawę, iż Liga nie ma sił, by rozwiązać problemy, które je interesują. Zdają sobie także sprawę z wybitnie europejskiego charakteru Ligi i z tego, że nie może być inaczej. W rezultacie pragną przedewszystkiem uniknąć zaciągania jakichkolwiek nowych zobowiązań. Z tem stanowiskiem Dominjów Londyn musi się zawsze liczyć.

Nie dotyka więc Liga najistotniejszych problemów polityki brytyjskiej. Nie żąda się od niej, by gwarantowała bezpieczeństwo Anglji. Żąda się od niej czegoś innego: aby utrzymała pookój w Europie.

Interesy ekonomiczne Wielkiej Brytanji wymagają pacyfikacji Europy. Wymagają bowiem obniżenia barjer celnych, bez tej pacyfikacji niemożliwego, wymagają zmniejszenia wydatków na wojsko dla podniesienia siły konsumcyjnej, co także z umocnieniem pokoju ściśle jest związane. Z drugiej strony w interesie Wielkiej Brytanji leży, aby warunki tego pokoju były przez politykę angielską kontrolowane, konflikty między państwami europejskiemi rozstrzygane zgodnie z jej interesami.

Stąd koncepcja Ligi jako wielkiego clearing-house'u polityki międzynarodowej, w którym nieporozumienia państw europejskich wyrównują się nie bez pośrednictwa angielskiego maklera. Któż bowiem byłby do tej roli bardziej powołany, aniżeli bezpośrednio niezainteresowany brytyjski out-sider?

Innemi słowy Liga jest dla angielskich polityków instrumentem wywierania wpływu na politykę europejską, regulowania stanu rzeczy w Europie. I nie powinna być niczem wiecej. Dla tego zaś celu wystarcza całkowicie Liga dzisiejsza, jej rozbudowa jest więc całkowicie niepotrzebna, mogłaby natomiast stać się niebezpieczną, dla względów, o których zaraz będzie mowa.

W jakim sensie Anglja ten swój wpływ na Europę zapomocą Ligi będzie wywierała, to już jest kwestją konjunktury politycznej, którą przewidywać nie jest mojem zadaniem. Trzeba natomiast wskazać na jedno wielkie niebezpieczeństwo, jakie w sobie ta koncepcja kryje, mianowicie niebezpieczeństwo osłabienia podstaw prawnych Ligi na rzecz czynników czysto politycznych. W interesie utrzymania pokoju, polityka, mająca dążyć doń za wszelką cenę, gdyż nie ona tę cenę zapłaci, mogłaby się skłaniać do politycznych kompromisów tam, gdzie sytuacja prawna wszelkie kompromisy i polityczne targi wyklucza. Za przykład może służyć opinja radykalnego czasopisma angielskiego *Round Table*, gdzie wskazuje się na konieczność stosowania „rozumu" i „sprawiedliwości" — pojęć subjektywnych, mogących być stosowanemi tylko arbitralnie — z pominięciem strony prawnej, którą się zupełnie przemilcza. Czytamy tam: „Główna linja polityki Wielkiej Brytanji i Brytyjskiego Imperjum... to pracować sercem całem z obydwoma mocarstwami — Francją i Niemcami — zapomocą Ligi Narodów dla udaremnienia wojny i załatwienia sporów międzynarodowych środkami pokojowemi.. Problemy wyrażone przez granice bałkańskie, przez Anschluss, przez granice Rosji, a nawet Korytarz Polski oraz dzisiejszą nierównomierność w uzbrojeniu, mogą być rozstrzygnięte na drodze pokojowej, j e ż e l i Francja, Niemcy i Wielka Brytanja będą zdecydowane nie dopuścić do ich załatwienia przez wojnę i wymóc we właściwym czasie, aby zwyciężył rozum i sprawiedliwość, zastosowane przy pomocy Ligi..."[1]

Jeżeli Anglja uważa Ligę za instrument regulowania sytuacji w Europie, to nasuwa się z kolei pytanie, jaką formę ma Liga mieć, aby temu zadaniu najlepiej służyć. Otóż, zdaniem Anglji, forma obecna jest zupełnie zadawalająca. Liga dzisiejsza to właśnie ten clearing-house, którego pragną Anglicy. To perjodyczny kongres mężów stanu, miejsce stałych spotkań kierowników polityki zagra-

[1] *Round Table*, grudzień 1928, cyt. przez *Sprawy obce*, z. 1.

nicznej poszczególnych państw, umożliwiające nietylko poznanie się, ale ciągły kontakt, stałą orjentację w nastrojach opinji publicznej świata. Do tej zaś opinji publicznej umysł angielski ma ogromne zaufanie i wierzy, że stanowi ona najlepszą barjerę przeciw wojnom. Myśl, że jeśli konflikt jest najpierw obszernie przedyskutowany przez opinję publiczną, to wybuch wojny staje się niemal niemożliwy, była jeszcze przed Ligą Narodów punktem wyjścia anglosaskich koncepcyj organizacji pokoju (np. w przedwojennych amerykańskich traktatach arbitrażowo-koncyljacyjnych). W pakcie Ligi myśl ta wyraża się w owym napozór dość dziwacznym nakazie czekania 3 miesięcy z wypowiedzeniem wojny: „...Członkowie Ligi postanawiają... iż w żadnym wypadku nie uciekną się do wojny przed upływem trzechmiesięcznego terminu po wydaniu wyroku rozjemczego, bądź sądowego, bądź też po raporcie Rady“ (art. 12).

Rozumowanie to niewątpliwie ma w sobie dużo słuszności i oparte jest na przesłankach realnych. Posiada jednak jedną poważną lukę: zapomina o możliwości znalezienia się opinji publicznej wobec faktu dokonanego — wybuchu wojny. Co wówczas? Znajdujemy się znowu wobec problemu sankcyj.

Walka z sankcjami była cechą charakterystyczną całej dotychczasowej polityki angielskiej w Genewie. Różne rządy zwalczały je pod różnemi pretekstami i udaremniły wszelką ich rozbudowę. Labouryści obalili traktat wzajemnej pomocy z r. 1923, godząc się wzamian na Protokuł. Konserwatyści obalili Protokuł, dając w zamian Locarno, czyli ograniczając obietnicę pomocy tylko do Renu, co stanowiło moralne osłabienie Paktu. W r. 1929, Labouryści, powracając do władzy, zapomnieli o Protokole i głoszą, że Pakt Kelloga jest wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa. O ile więc chodzi o sankcje, wszyscy Anglicy godzą się na punkt widzenia Chamberlaina, który w mowie, wygłoszonej w r. 1925, a krytykującej Protokuł, oświadczył: „Tak samo, jak nie jest wskazanem dla zwykłego człowieka myśleć wciąż o możliwości jakiejś ciężkiej operacji chirurgicznej, tak samo nie jest mądrem dla społeczności ludzkiej zająć stanowisko analogiczne“. I nieco dalej: „Rząd Jego Królewskiej Mości nie podziela opinji, jakoby Liga bez sankcyj była bezsilna“.

Samą wiarą w to, że Liga zapobiegnie wojnom, wytłumaczyć tej niechęci nie można. Także niechęć zbyt daleko idącego wiązania

się i, w następstwie, walczenia o obcą sprawę, być może bez przekonania o jej słuszności, do wyrzeczenia się swobody decyzji — czynnik niewątpliwie dużą w tem nastawieniu polityki brytyjskiej odgrywający rolę, — nie jest wyjaśnieniem całkowitem. Dość bowiem sięgnąć do historji rokowań pokojowych i prac nad Paktem, by stwierdzić, że Anglja uważała wówczas skuteczne sankcje za rzecz konieczną. Projekt Paktu, opracowany w r. 1918 przez lorda Philimore na zlecenie rządu angielskiego, przewidywał sankcje automatyczne, przyczem każde państwo miało mieć obowiązek dostarczania sił zbrojnych. Później, gdy Pakt kompromisowy nie wyposażył Ligi w siłę zbrojną, p. Barnes imieniem Labour Party wyraził na trzeciem posiedzeniu plenarnem konferencji pokojowej żal z tego powodu i podkreślił konieczność zorganizowania policji międzynarodowej dla walki z gwałcicielami Paktu. Czyli niezawsze byli Anglicy przeciwnikami sankcyj.

Przyczyną dzisiejszej niechęci jest nieobecność w Lidze Stanów Zjednoczonych. Obawa, by z powodu sankcyj nie popaść w konflikt z Ameryką, była u podstaw całej walki przeciw sankcjom. Ta możliwość konfliktu wynika zaś ze znanej rozbieżności poglądów angielskich i amerykańskich na wolność mórz i prawa neutralnych. Doniosłe to zagadnienie przerasta znacznie ramy tego artykułu, tak iż niepodobna tu niem się zajmować. Wystarczy stwierdzić, że Stany Zjednoczone, nie należąc do Ligi dotąd, nie są skore uznać jej wyroków w kwestji, kto jest napastnikiem, i zerwać z państwem, uznanem za napastnika, stosunki handlowe. Wielka Brytanja, przeprowadzając w wykonaniu jakiejś decyzji Ligi blokadę takiego państwa, mogłaby więc natrafić na opór Stanów i narazić się na otwarty z niemi konflikt. Jest rzeczą zrozumiałą, że tego pragnie uniknąć.

Dziś zarysowuje się na horyzoncie, w związku z paktem Kelloga, możliwość porozumienia; złamanie paktu tego mogłoby dostarczyć wspólnych dla państw ligowych i dla Stanów Zjednoczonych kryterjów dla ustalenia napastnika: możliwość konfliktu byłaby usunięta. Czy wtedy stosunek Anglji do idei sankcyj się zmieni, przewidzieć trudno. Raczej jednakże należy przewidywać, że będzie zawsze się starała zachować pełną swobodę decyzji.

Która partja jest w Anglji u władzy — jest to mimo pewne pozory rzeczą dość drugorzędną. W stosunku do Ligi Narodów są wprawdzie pomiędzy partjami angielskiemi różnice sentymentalne, różnice

w natężeniu sympatji dla instytucji genewskiej, które w praktycznej polityce znajdują oddźwięk w postaci mniej lub więcej szczodrobliwego stanowiska w stosunku do budżetu Ligi itp. Największe odchylenia można zaobserwować w stosunku do idei arbitrażu obowiązkowego, tak np. Macdonald zdecydował się zaakceptować klauzulę fakultatywną Trybunału haskiego, na co się jego poprzednik nie mógł zdobyć. Zasadniczy stosunek do Ligi pozostaje jednak niezmieniony, gdyż takie czynniki, jak stanowisko Dominjów, jak imperatywny nakaz utrzymania dobrych stosunków ze Stanami Zjednoczonemi, jak tradycyjna niechęć społeczeństwa angielskiego wiązania się zgóry formalnemi obietnicami stanowią stałe wytyczne, z któremi każdy rząd brytyjski musi się liczyć. Dzisiejsza koncepcja angielska Ligi oparta jest na zręcznem połączeniu interesów brytyjskich z wymaganiami sytuacji międzynarodowej i jest własnością wszystkich partyj politycznych.

*

Politykę włoską w stosunku do Ligi Narodów charakteryzuje doskonale osoba przedstawiciela Włoch w Radzie Ligi. Podczas gdy inne mocarstwa i wogóle niemal wszystkie państwa europejskie reprezentowane są przez ministrów spraw zagranicznych, Włochy delegują do Rady prawnika, wprawdzie bardzo wybitnego i świetnie z mechanizmem Ligi obeznanego, jednakże stojącego zdala od codziennej polityki swego rządu. Dają w ten sposób do zrozumienia, że w całokształcie swej polityki zagranicznej wyznaczają Lidze rolę jak najmniejszą, że odmawiają jej większego politycznego znaczenia, że debaty genewskie uważają za mające charakter akademicki. Ironja i sceptycyzm delegata włoskiego, p. Scialoji, odbijają się też jaskrawo od ogólnego tonu, w jakim utrzymane są genewskie przemówienia.

Stosunek więc Włoch do Ligi, nie będąc wrogim, jest nacechowany obojętnością. Włochy mało się po Lidze spodziewają, mało też od niej wymagają — conajwyżej zajęcia się kwestją surowców oraz problemami demograficznemi, t. j. w pierwszym rzędzie ograniczeniami imigracji, nie czyniąc sobie jednak żadnych iluzyj, by to do czegoś doprowadziło. Także o ile chodzi o realizację włoskich postulatów kolonjalnych, to nadzieje na uzyskanie dzięki Lidze jakiegoś mandatu kolonjalnego są raczej nikłe.

Jedną z głównych przyczyn obojętności Włoch w stosunku do Ligi jest odmienne ujmowanie problemu pokoju. Wprawdzie polityka włoska jest pokojowa i pomimo pewnych, na użytek wewnętrzny przeznaczonych, egzaltacyj do wojny nie dąży, to jednak sama możliwość wojny jej nie przeraża. W przeciwieństwie do Francji nie obawia się napaści — bezpieczeństwu Włoch nic istotnie nie grozi. W przeciwieństwie do Wielkiej Brytanji nie boją się także Włochy, że będą mimowoli wciągnięte do wojny. Wszak podczas gdy Anglja w r. 1914 musiała odrazu wziąć udział w wojnie, to Włochy uczyniły to dobrowolnie, po długim namyśle, po dokładnem rozważeniu, która strona ma większe szanse. Z doświadczeń Wielkiej Wojny wiedzą więc, że moment konfliktu jest dla „tego trzeciego" najkorzystniejszym dla przeprowadzenia swych postulatów, często nawet tylko przez zachowanie neutralności. Nie mają więc powodu nadmiernie się kłopotać o pokój w Europie, a w rezultacie i o instytucję, stojącą na straży tego pokoju.

Nawet jako teren spotkań z politykami innych krajów Liga wyjątkowo tylko brana jest w rachubę. Wówczas wysyła się dla prowadzenia specjalnych jakichś rozmów kogoś z członków rządu dla podkreślenia różnicy między temi pobocznemi negocjacjami a zwykłemi pracami Ligi.

Wreszcie urzędnicy włoscy Sekretarjatu bardziej jeszcze manifestacyjnie podporządkowani są rozkazom swego rządu, aniżeli urzędnicy niemieccy, i w zasadzie muszą na jego zlecenie opuścić zajmowane stanowisko międzynarodowe.

Skoro mowa jest o polityce wielkich mocarstw, słówko wspomnieć należy o Japonji, mimo iż nie wnosi ona do dyskusji nad koncepcją Ligi nic nowego. Straciwszy w r. 1919 nadzieję, by Liga rozwiązała problem równości ras, opinja publiczna Japonji przestała się interesować Ligą. Ewolucja Ligi wzmocniła jeszcze przekonanie Japończyków, że Liga jest instytucją nawskróś europejską, która w sprawach Japonję bezpośrednio obchodzących nikłą tylko odegrać może rolę. Ogranicza się więc Japonja do polityki obecności, z zadowoleniem stwierdzając, że jej przedstawiciel w Radzie bardzo często występuje w charakterze arbitra czy też pośrednika pomiędzy zwaśnionemi narodami Europy.

*

Trzy więc tylko zasadnicze koncepcje Ligi walczą ze sobą o lepsze. Z pośród tych trzech koncepcyj, ku której idą wśród państw Ligi największe, ku której najmniejsze sympatje? I jakie perspektywy wynikają stąd dla Ligi?

Byłoby dla przyszłości Ligi w najwyższym stopniu niebezpiecznem, gdyby polityka niemiecka i jej głębsze cele mogły liczyć na poparcie większej ilości państw. Na szczęście tak nie jest. Są wprawdzie problemy, odnośnie do których niektórzy z pośród dawnych „neutralnych" wyznają ideje analogiczne do niemieckich, np. w dziedzinie rozbrojenia, czasem, jak Holandja i Szwajcarja, w dziedzinie ochrony mniejszości. Jak niewielką jest ta pomoc, świadczy fakt, że w komisji rozbrojeniowej (przygotowawczej) na 27 państw najwyżej pięć popierało wnioski niemieckie, a wśród tych pięciu był głos sowiecki i chiński. Ci dawni neutralni bynajmniej nie akceptują całości programu niemieckiego, gdyż pragną rzetelnie pokoju, a zdają sobie sprawę, że nie ten program pokój utwierdzi. Jedne Węgry czynią z polityki niemieckiej swą własną. Ostatnio nawet jeden z delegatów węgierskich na zgromadzeniu Ligi oświadczył, że tylko istnienie art. 19 skłoniło Węgry do wstąpienia do Ligi Narodów.

Pewne niebezpieczeństwo dla przyszłości Ligi stanowiłoby także utrwalenie się koncepcji brytyjskiej, którą w Lidze popiera spora ilość państw, te mianowicie, które nie są bezpośrednio zainteresowane w problemie bezpieczeństwa, a więc w Europie dawni neutralni, a pozatem większość państw pozaeuropejskich. Nie chcąc brać na siebie nowych zobowiązań, sprzeciwiają się wszelkiej rozbudowie systemu sankcyj. Ponieważ zaś dziś systemowi temu daleko do doskonałości, zatrzymanie się na dzisiejszym stanie rzeczy byłoby krokiem wstecz, Pozatem, jak już podkreślaliśmy, koncepcja ta osłabia fundamenty prawne Ligi, przez co także pomniejsza wartość Ligi jako gwarantki bezpieczeństwa

O rozbudowę Ligi walczą, obok Francji, te wszystkie państwa, które zdają sobie sprawę z konsekwencyj, jakie musiałoby pociągnąć za sobą podważenie traktatów pokojowych, na których opiera się dzisiejszy statut Europy. Między Polską, Belgją, krajami bałtyckiemi, Małą Entente'ą, Grecją mogą być różnice w stopniu zainteresowania Ligą, wiary w jej przyszłość itd., ale istnieje duża zgodność co do konieczności jej wzmocnienia. Toteż wszystkie nad tem wzmocnieniem pracują. Każde niemal dorzuciło tu swą cegiełkę,

a fakt, że wysiłki te niezawsze ukoronowane zostały pomyślnym wynikiem, nie pomniejsza ich zasług. Wszystkie te państwa podpisały Protokuł genewski, którego autorstwem mogą się szczycić reprezentanci dwu z pośród tych państw, Benesz i Politis. Polska w r. 1927 zgłosiła znaną rezolucję anty-wojenną, która utorowała drogę paktowi Kelloga. Finlandja była inicjatorką „assistance financière" i t. d.

Walka o charakter Ligi trwa. Wszystkie wysiłki w kierunku wzmocnienia Ligi muszą, jak dotąd, liczyć się z jednej strony z oporem Niemiec, z drugiej z niechęcią państw obojętnych, i nie można się spodziewać, by te przeszkody znikły same przez się. Czy wysnuć z tego wniosek, że wysiłki te skazane są na niepowodzenie, a Liga na załamanie się pod ciężarem sprzeczności celów i metod polityki poszczególnych państw? Wszelkie takie wnioski byłyby conajmniej przedwczesne. Bez nadmiernego optymizmu, ale i bez nieuzasadnionego pesymizmu, walczyć należy o Ligę, bronić jej przeciw tendencjom, które działają na jej szkodę i zgubę. Walka o Ligę jest dziś bowiem jednym z głównych momentów walki o pokój.

Genewa, w grudniu 1929 r.

ADAM ŁYSAKOWSKI

PRZYKŁAD NOWOCZESNEJ ORGANIZACJI BIBLJOTECZNEJ

Żyjemy w dobie organizacji. Taki jest ogólny prąd czasu, takie są w szczególności współczesne potrzeby polskie. Nie pomijamy organizacji pracy naukowej, zwracając uwagę w pierwszym rzędzie na jej techniczne pomoce. Najważniejszą z nich stanowi — bibljoteka. Zagadnieniom ustroju bibljotek poświęcono już niejeden artykuł w *Nauce Polskiej* i *Przeglądzie Bibljotecznym*, a na ostatnim Zjeździe bibljotekarzy polskich w Poznaniu zajmował się tą kwestją osobny referat. Problemy organizacyjne niepokoją wielu bibljotekarzy w ich codziennej pracy zawodowej. Interesują też — z drugiej strony — tych, którzy z bibljotek korzystają. Dla ich wiadomości zademonstruję tu na przykładzie, do czegośmy w Polsce doszli w dziedzinie organizacji bibljotekarstwa. Jako przykład obieram — polskie bibljotekarstwo wojskowe, które się świeżo objawiło szerokim kołom publikacją, stanowiącą kodeks jego pracy. Publikacją tą jest wydane w lipcu 1929 r. dzieło dyr. Dra M. Łodyńskiego p. t. *Podręcznik bibljotekarski dla kierowników bibljotek wojskowych.*[1]

Niejednokrotnie podkreślano już w literaturze odrębny charakter pracy bibljotekarskiej w wojsku. W referacie z przed trzech lat[2] wyróżniłem także pod względem metody pracy katalogowej grupę bibljotek wojskowych od innych polskich bibljotek naukowych, które w swym rozwoju skrępowane były metodologiczną puścizną rządów zaborczych, podczas gdy tamte — od nowa powsta-

---

[1] Opracował ppłk. Dr Marjan Łodyński, dyrektor Centr. Bibj. Wojsk. przy współudziale kust. Dra Jana Niezgody, mjra oraz bibljotekarza Wiktora Kochanowskiego. Warszawa 1929. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. 8⁰ Str. X, 321, XX, nlb. 2, tablic 6 pod opaską = Wydawnictwa Centralnej Bibljoteki Wojsk. Nr 19.

[2] *Prace katalogowe w bibljotekach polskich.* W książce: *Congrès International des Bibliothécaires tenu à Prague 1926.* Prague 1928. T. II. Str. 326—334.

jące — mogły odrazu przybrać najkorzystniejsze formy, będące ostatnim wyrazem techniki bibljotekarskiej, i dzięki temu miały dane, aby wytworzyć swoje odrębne oblicze.[1] Tego, kto jeszcze powątpiewał, czy wyróżnianie polskich bibljotek wojskowych pod względem organizacji i metody pracy jest dość usprawiedliwione, przekonać ostatecznie powinien wydany teraz *Podręcznik*.

Jest on przedewszystkiem wyrazem dotychczasowej dziesięcioletniej przeszłości bibljotek wojskowych. Opiera swe wywody na tem, co w instytucjach tych już zdziałano, poucza o organizacji, faktycznie już zastosowanej Przedstawiając wewnętrzny mechanizm rzeczywistej pracy, stanowi uzupełnienie pojawiających się od r. 1925 *Sprawozdań z działalności Centralnej Bibljoteki Wojskowej* oraz zamieszczanych w *Komunikacie Bibljograficznym* kronik z życia innych bibljotek wojskowych. Wszystkie te dane tworzą razem plastyczny obraz organizacji polskiego bibljotekarstwa wojskowego.

Nazwałem ją — nowoczesną. Przedewszystkiem dlatego, że mamy tu do czynienia z bibljotekarstwem specjalnem. Wiek XVIII stworzył wielkie, ogólne bibljoteki naukowe, a wiek XIX wypełnił je po brzegi niespodziewaną masą druków. To też dzisiaj przechodzą one przesilenie, jako warsztaty żywej pracy naukowej. Książka nie znajduje w nich doskonałej opieki naukowej, bo niema „ogólnego“ bibjotekarza, któryby wszystkie działy nauki głębiej opanowywał. Z tego też powodu czytelnik niezawsze otrzymuje tam zadowalające porady bibljograficzne. Do książek ma nadto utrudniony dostęp ze względu na rozległość ich magazynów. Nad skompletowaniem piśmiennictwa oznaczonej dziedziny także pilniej czuwa bibljoteka specjalna. Unikając trudności książnicy ogólnej — lepiej potrafi zatem odpowiedzieć potrzebom czytelnictwa naukowego. Dlatego stanowi ona ten rodzaj bibljotek, do którego przyszłość należy.

Obok specjalizacji spostrzegamy w bibljotekarstwie wojskowem drugie zjawisko postępowe: współdziałanie bibljotek w osiąganiu postawionych sobie zadań. Widzimy przed sobą cały zespół bibljotek, całą ich złożoną sieć. Zespół — to nie znaczy: pewna suma, ale — jednolity układ planetarny, ściśle w sobie powiązany.

---

[1] Por. Marjan Łodyński: *Polskie bibljotekarstwo wojskowe jako odrębna gałąź ogólnego bibljotekarstwa*. Warszawa 1926. Str. 15, nlb. 2.

Jego centrum stanowi Centralna Bibljoteka Wojskowa w Warszawie, gromadząca ok. 200.000 tomów. Najbliższemi jej odgałęzieniami są t. zw. Bibljoteki Podręczne ok. 30 instytutów i urzędów wojskowych w stolicy. Dalej odbiegły oddzielne bibljoteki poszczególnych korpusów armji (D. O. K.) oraz wyższych szkół wojskowych w ilości 12 z 115.000 tomów. Dookoła bibljotek korpuśnych rozwija się 260 oficerskich bibljotek pułkowych (i równorzędnych), które w sumie dają ok. 300.000 tomów. Nie bierzmy w rachubę bibljotek Towarzystwa Wiedzy Wojskowej i szkolnych, ani szarej masy książnic żołnierskich. Wszystkie tamte, państwowe bibljoteki naukowe i ogólno-kształcące, spaja ścisła organizacja. Nie jest ona dziełem przypadku, lecz wynika z życiowych potrzeb wojska. Różne doktryny i różne przyzwyczajenia wojskowe, płynące z dawniejszych odmiennych środowisk, należało stopić w jednolitem fachowem wykształceniu. Ponieważ tego całego zadania nie mogły spełnić kursy, ćwiczenia i regulaminy, przypadła bibljotekom ważna rola „współtwórczego i współwychowawczego czynnika przy budowie naszego wojska". Wobec tego zaś niepodobna było pozostawić kwestji istnienia i urządzenia bibljotek wojskowych dowolności czy samowoli poszczególnych oddziałów. Musiały wszystkie wejść do wyraźnie centralistycznego ustroju, zapewniającego właściwy zakup literatury fachowej i jednakie formy użytkowania zbiorów przez oficerów. A przeto dyrektor Centralnej Bibljoteki, jako fachowy referent Ministerstwa Spraw Wojskowych w sprawach bibljotekarstwa, opracowuje preliminarze budżetowe wszystkich bibljotek, czuwa nad doborem ich pomieszczeń i wewnętrznych urządzeń, wpływa na kierunek pomnażania księgozbioru, przeprowadza wizytacje bibljotek. Kierownik bibljoteki korpuśnej spełnia podobne funkcje nadzorcze nad książnicami pułkowemi swego okręgu i wspiera je materjalnie, zaopatrując w gotowe (zbiorowo wykonane) pudła, karty katalogowe i t. p. Z góry idą zarządzenia, z dołu sprawozdania pracy. Wreszcie w każdym oddziale opiera się bibljoteka na t. zw. Radzie bibljotecznej, złożonej z kilku oficerów, którzy wspomagają bibljotekarza w jego pracy i, będąc łącznikiem między instytucją a zainteresowanym korpusem oficerskim, wyrażają opinje i życzenia tegoż. W takiej hierarchji wszystkie bibljoteki wojskowe wzajemnie o sobie wiedzą i świadomie współdziałają Jest to kooperacja, zawsze pożądana, a jednak w innych grupach polskiego bibljotekarstwa naukowego nie występująca, mimo, że brak jej daje

się szkodliwie odczuwać, np. w obrębie uniwersytetów odnośnie do bibljotek seminaryjnych i zakładowych.

Konsekwencją zespołowej organizacji bibljotek jest postulat jednolitości wewnętrznej ich pracy. Czyli, — obok normalizacji ustrojowej — n o r m a l i z a c j a f u n k c y j n a. Instrukcje wychodzą od dyrektora Centralnej Bibljoteki. Pod jego kierunkiem odbywa się kształcenie bibljotekarzy wojskowych z całej Polski na specjalnych kursach o ustalonym naukowym programie (tylko bibljotekom pułkowym wolno mieć dział beletrystyki). Dalszemi środkami uzgadniania poszczególnych działań stają się wewnętrzne zebrania pracowników bibljotecznych, których tematem są bieżące sprawy organizacyjne, jakoteż ogólniejsze zagadnienia fachowe. Kierownicy bibljotek D. O. K. ze swej strony udzielają bibljotekarzom pułkowym instrukcyj ustnych i pisemnych (jest kilka takich litografowanych publikacyj). W jednym z korpusów już w r. 1923 odbył się „zjazd bibljotekarski" kierowników bibljotek pułkowych, mający w programie wyraźne zadanie ujednostajniania pracy.[1] Świeżym i pełnym wyrazem dążności do znormalizowania pracy bibljotek wojskowych okazuje się wreszcie wymieniony *Podręcznik bibljotekarski*. W przejrzystej kompozycji, w zwięzłym i przystępnym wykładzie przedstawia on całokształt zajęć w bibljotece. Przytem „stara się przystosować ogólnie obowiązujące zasady naukowego bibljotekarstwa do warunków bibljotek wojskowych", ale „opiera się... głównie na doświadczeniu zdobytem wśród specyficznych, organizacyjnych, materjalnych i personalnych warunków, w których powstały i rozwijają się bibljoteki wojskowe". Wskazałem już, do jakiego stopnia wpłynęły te specyficzne czynniki na osiągnięcie nowej formy ustrojowej. To samo da się powiedzieć o metodach pracy. Nietylko w normalizacji tkwi ich nowoczesność, ale także w tendencji do u p r a s z c z a n i a t e c h n i k i bibljotekarskiej. Autor *Podręcznika* zajął takie stanowisko zapewne nie bez wpływu zetknięcia się z rzeszą niestałych i skutkiem tego niewysoko kwalifikowanych bibljotekarzy wojskowych, jakoteż w harmonji z tłem właściwej duchowi wojskowemu zwięzłości.[2] Skądkolwiek to poszło, —

---

[1] Zob. *Polska Zbrojna* Nr 181 z 1923.

[2] Roztrząsania na temat *Obliczanie czasu pracy bibljotekarskiej* (*Przegląd Bibljoteczny* II, 1928. Str. 36—48) wyszły także z doświadczeń jednej z bibljotek wojskowych.

upraszczanie nadmiaru pracy do dozwolonego, przydatnego poziomu wychodzi jej na dobre i zasługuje na naśladownictwo i zgeneralizowanie. Jedną z nowości instrukcyjnych *Podręcznika* jest np. przepis o używaniu przez bibljoteki — centralnie drukowanych kartek katalogowych, które wystarczy nakleić na kartonach i zaopatrzyć sygnaturą, aby mieć gotowy katalog. Osiągnięta w ten sposób znaczna oszczędność czasu pozwala na włączanie do katalogu tytułów wszystkich artykułów prenumerowanych czasopism. A to oznacza postęp w pracy. Jest on istotnie wytyczną *Podręcznika*, który w całym szeregu szczegółów z powodzeniem zwalcza różne bibljotekarskie przesądy formalnej drobiazgowości.

Wyzwalając się od zbędnej formalistyki położyły bibjoteki wojskowe silniejszy nacisk na pogłębienie pracy w kierunku rzeczowego udostępniania zbiorów. Spełnia się w tem kiełkujący w bibljotekarstwie naukowem postulat metodycznego pośrednictwa między światem ksiąg a czytelnikiem. Specyficzne warunki wojskowe znowu wpłynęły na piękny rozwój tej funkcji. Albowiem oficerowie, ludzie czynu, mniej bywają obeznani z bibljografją i urządzeniami bibljotecznemi. Mało też istniało pomocy naukowych w zaniedbanej dziedzinie wiedzy wojskowej. Trzeba było zatem dostosować się do potrzeb oficerów, dopomagać im w wyborze lektury, niejako współdziałać w ich pracy intelektualnej. Dla udogodnienia w użytkowaniu zbiorów wojskowych prowadzi Centralna Bibljoteka alfabetyczny katalog centralny bibljotek korpuśnych, złożony z ok. 20.000 tytułów. Analogicznie każda bibljoteka D. O. K. posiada katalog centralny książnic pułkowych danego okręgu. Dla ułatwienia orjentacji katalog działowy bibljotek wojskowych przystosował się w swym układzie do organizacyjnego schematu armji, którego pojęciami oficer nawyknął myśleć. Poza mury bibljoteki roznoszą o niej informacje specjalne biuletyny oraz drukowane katalogi. Centralna Bibljoteka zamieszcza w *Polsce Zbrojnej* tytuły nowych nabytków i powtarza je (od r. 1929) w osobnym miesięczniku *Nowości Bibljoteczne*. Dbałość o kulturę książki idzie aż tak daleko, że Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy zaopatruje publikowane dzieła w gotowe, drukowane kartki katalogowe, z których nabywca może bez żadnego trudu tworzyć katalożek swego prywatnego księgozbioru.

Osobną pozycję zajmuje Oddział Bibljograficzny Centr.

Bibljoteki Wojskowej.[1] Najłatwiejszem jego zadaniem jest zaspokajanie ustnych kwerend i wykonywanie pisemnych zestawień bibljograficznych literatury wojskowej dla cywilnych i wojskowych badaczy Polski i zagranicy (w ciągu roku zestawia i omawia około 5.000 dzieł). Głównym efektem pracy Oddziału są drukowane bibljografje bieżące: *Komunikat Bibljograficzny* (od r. 1921), który podaje wojskową literaturę polską i wybór obcej (wraz z artykułami czasopism), *Wojskowe Wiadomości Bibljograficzne* (od r. 1923) z treścią i oceną ciekawszych dzieł, wreszcie (od r. 1929) *Przegląd Literatury Historyczno-Wojskowej* (dodatek do *Przeglądu Historyczno-Wojskowego*). Obok tych publikacyj okresowych stają jednorazowe wydawnictwa Centr. Bibljoteki Wojsk.: *Polska bibljografja wojskowa* (do r. 1920) i *Bibljografja powstania styczniowego*. W dalszej kolei wymienić należy odręczne kartoteki, służące do użytku na miejscu w Centr. Bibljotece, a to: materjały dla polskiej bibljografji wojskowej od r. 1921 (ok. 9.000 tytułów w alfabetycznym katalogu, zwyż 4.000 w działowym), druki z zakresu wojskowości, znajdujące się w bibljotekach polskich (zwyż 3.000 tytułów), takie same materjały rękopiśmienne (ok. 10.000 pozycyj), streszczenia artykułów czasopism wojskowych (ok. 4.000 tytułów), streszczenia dzieł o wojnie światowej (w układzie alfabetycznym i działowym więcej niż po 2.000 tytułów), bibljografja wojny polsko-rosyjskiej 1919—1920 (361 tytułów), oraz naukowe czasopisma bibljotek warszawskich (ok. 10.000 tytułów).

Nie koniec na tem. Centralna Bibljoteka Wojskowa myśli także o przeszłości, o historji księgozbiorów wojskowych, rozumiejąc ważność tego źródła dla poznania rozwoju kultury narodowej. Coraz usilniej skierowują się u nas badania ku prowenjencji ksiąg, zebranych w bibljotece,[2] ku wyśledzeniu ich dawnych właścicieli, ku rekonstrukcji inwentarzy dawnych księgozbiorów polskich. Oddawna pracuje na tem polu wojsko. Gromadzi i rewindykuje z Rosji książki z polskich bibljotek wojskowych z przed r. 1831. Odtwarza ich katalogi w osobnej kartotece (liczącej obecnie zwyż 2.500 tytułów). Opisuje poszczególne zbiory w pracach dru-

[1] Zob. Ł[odyński Marjan]: *Oddział Bibljograficzny Centralnej Bibljoteki Wojskowej*. (*Przegląd Bibljoteczny* II, 1928. Str. 238—241).

[2] Zob. Kotula Rudolf: *Właściciele rękopisów i starodruków zbiorów wielkopolskich Z. Czarneckiego, mieszczących się obecnie w „Baworovianum" we Lwowie*. Lwów 1929. Str. XV, 139.

kowanych (np. *Bibljoteka Kwatermistrzowstwa Generalnego Wojska z r. 1831*). Wreszcie rekonstruuje także same księgozbiory w oddzielnych szafach pokazowych. Stają się one potem najcenniejszą częścią wystaw z dziedziny historji książki wojskowej polskiej, jakie Centralna Bibljoteka co pewien czas urządza, aby szerokie sfery zaznajomić z tym specjalnym działem kultury (do którego należy także *Polskie Archiwum Wojenne* z lat 1914—1918, złożone w Centr. Bibljotece Wojskowej).

Taki jest obraz organizacji i pracy polskiego bibljotekarstwa wojskowego. Ma ono, jak starałem się wykazać, wyraźne znamiona nowoczesności: specjalizacja, współdziałanie w zespole, normalizacja działań i ich upraszczanie, naukowe udostępnianie zbiorów na tle samoistnych prac bibljograficznych i wreszcie badania historyczno-bibljologiczne świadczą o tem dobitnie. Na wiele poczynań wpłynęły swoiste warunki życia wojskowego. I tu „potrzeba była matką wynalazków". Ale wiemy, jak często zjawia się potrzeba i — nie natrafia na wynalazcę. Wojsko może być szczęśliwe, że Dr Łodyński, dyrektor Centralnej Bibljoteki, nietylko wyczuł, podchwycił i zaspokoił wszystkie jego wymagania odnośnie do książki i czytelnictwa, ale co więcej — niejednokrotnie twórczemi pomysłami wyprzedza nawet potrzeby dzisiejszej chwili, idąc na spotkanie przyszłości. To się oczywiście nie podoba teraźniejszości, która złośliwie dokucza — niedostatecznem wyzyskiwaniem zgromadzonego kapitału intelektualnego. Pomimo specjalnej propagandy i dogodnego udostępnienia zbiorów publicznych bibljotek wojskowych osobom cywilnym, pomimo nawiązania współpracy bibljotek wojskowych z ogólno-naukowemi,[1] — zainteresowanie się zbiorami wojskowemi nie wzrosło do takiego stopnia, któryby świadczył o pełnej wydajności włożonego w instytucję wysiłku pracy. Centralna Bibljoteka Wojskowa, administrująca — jak wiadomo — czasowo także zbiorami Bibljoteki Rapperswilskiej, wydała w ciągu ostatniego roku około 20.000 tomów. „Poważniejszym ilościowo i treściowo czytelnikiem pozostał element wojskowy" — to są słowa *Sprawozdania Centralnej Bibljoteki Wojskowej za rok 1928/29.*[2] Czy fakt ten miałby świadczyć o amilitarnym duchu naszego społeczeństwa?

[1] Por. *Przegląd Współczesny*, XIX, 1926. Str. 291—296.

[2] *5. Sprawozdnaie z działalności Centralnej Bibljoteki Wojskowej za czas od 1 kwietnia 1928 r. do 31 marca 1929 r.* Warszawa 1929. Na str. 17.

Przy tylu światłach — ta sprawa jest cieniem bibljotekarstwa wojskowego, niezależnym zapewne od organizacji. Jest jeszcze drugi cień — organizacyjny. Bibljotekarstwo wojskowe jest mocne *in capite*, słabe jednak *in membris*. Siła Centralnej Bibljoteki, jako organu nadzorczego, lub, mówiąc ściślej, osobista praca i energja jej Dyrektora, utrzymują na poziomie wszystkie inne bibljoteki, które niezawsze posiadają fachowe kierownictwo. Niewątpliwie, nie można domagać się fachowców dla małych książnic pułkowych. Kierownik takiej bibljoteczki jest z powołania oficerem i traktuje pracę bibljotekarską jako dodatkowe, uboczne zajęcie, nie podpadając skutkiem tego pod pojęcie „bibljotekarza“ *sensu stricto*. Ale dlaczego zasobne bibljoteki korpuśne (D. O. K.) i wyższych szkół wojskowych, wymagające — również bez wątpienia — oddanych jej całkowicie i trwale pracowników, ciągle jeszcze nie posiadają etatowych stanowisk kierowniczych z zastrzeżonemi warunkami specjalnego wykształcenia uniwersyteckiego? Niezrozumienie tej potrzeby przez wyższe władze wojskowe jest niezrozumiałe. W dolnych sferach bibljotekarstwa wojskowego panuje ciągle jeszcze niepewność, chwiejność, obawa zmarnowania włożonych wysiłków. To jest istotnie słaba strona w ustroju bibljotek wojskowych. A gdyby organizacji tej nie zaciemniały wskazane stosunki czytelnictwa i bibljotekarzy, trudnoby jej odmówić miana — doskonałej.

Warszawa, październik 1929 r.

JAN JAKUBOWSKI

JĘZYK POLSKI W KOWIEŃSZCZYŹNIE

Zagadnienie ekspansji języka i narodowości polskiej na wschodnich rubieżach dawnej Rzeczypospolitej nie przestaje zajmować uczonych i publicystów naszych. Zestawienia danych statystycznych oraz naoczna obserwacja wykazały istnienie dużej wyspy językowej polskiej w samym środku Wileńszczyzny. Nad pochodzeniem tej wyspy, jej rozległością, właściwością gwary polskiej tam używanej ciekawe i cenne obserwacje zawiera artykuł prof. K. Nitscha w *Przeglądzie Współczesnym* ze stycznia 1925 r. Obecnie zwrócono uwagę na istnienie drugiej podobnej wyspy, położonej na północ od Kowna, w trójkącie pomiędzy Niemnem, Wilją a Niewiażą. Mówi o niej W. Wielhorski w ostatniej swej pracy *Litwa Etnograficzna* (Wilno 1928), mówi również niepodpisany autor objaśnienia do świeżo wydanych przez Instytut Spraw Narodowościowych *Map rozsiedlenia ludności polskiej i litewskiej na terenie Republiki Litewskiej i na obszarach północno-wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej.* Wymowniej jeszcze, niż tekst, mówią same mapy, które wykazują istnienie w najbliższem sąsiedztwie Kowna szeregu gmin, mających wyraźną przewagę ludności polskiej nad litewską. Należy przytem pamiętać, że gmina na Litwie obejmuje obszar dość duży, ogarniający około trzydziestu wsi.

Zdaniem obu wymienionych autorów istnienie polskiej wyspy językowej na północ od Kowna nie ulega wątpliwości. Dane statystyczne, na jakich się opierają, wydają się zupełnie wiarygodnemi. Są to obliczenia, oparte na statystyce wyborów do sejmu litewskiego. Przy ucisku narodowościowym, stosowanym względem Polaków na Litwie, ilość głosów składanych na kandydatów polskich nie daje wprawdzie dokładnego pojęcia o ilości Polaków, cyfry odnośne winny być uważane raczej za minimalne, ze względu jednak na to, że wszelka inna statystyka narodowościowa, zarówno dawna rosyjska, jak obecna litewska, jest bardzo daleka od objektywności, nie pozostaje nic innego, jak zatrzymać się na powyż-

szej statystyce, opartej na wynikach wyborów sejmowych, jako na względnie najwiarygodniejszej. Otóż na podstawie tej statystyki okazuje się, że cztery gminy, położone na północ od Kowna, mają absolutną większość polską, a mianowicie: Bobty 60%, Turzany 63,59%, Wędziagoła 72,50% i Łopie 90%. W tychże gminach ludność litewska stanowi kolejno 30%, 9,50%, 8,50%, 3%. Następnie idzie sąsiadująca z poprzedniemi gmina Janów, gdzie Polacy stanowią względną większość (45%), gdy Litwinów mamy tam 38,04%. Na północ i zachód od tych pięciu gmin z polską większością mamy jeszcze sześć gmin, gdzie Polacy, nie mając większości, stanowią jednak bardzo silną mniejszość. Są to gminy: Datnów (44,12%), Zejmy (44%), Kaplica (44%), Czerwony Dwór (39,30%), Kiejdany m. (37%), Kiejdany gm. (35,75%). Dalsze sąsiednie gminy wykazują już mniejszy odsetek Polaków i wyraźniejszą przewagę Litwinów.

Obszar zajmowany przez wymienione 11 gmin wynosi około 2000 km.^{2} i ma około 60.000 mieszkańców, z których mniejwięcej połowę stanowią Polacy. Obszar ten z zupełną słusznością może być uważany za wyspę językową polską, która w środku (gminy: Łopie, Wędziagoła) ma prawie czystą ludność polską, na peryferjach zaś ludność ta staje się mieszaną, przyczem w miarę oddalania się od centrum odsetek ludności litewskiej wzrasta. Co się tyczy miasta Kowna, to leży ono na skraju tego obszaru, i jakkolwiek wykazuje mniejszy odsetek Polaków, niż gminy powyższe, może jednak być także zaliczone do polskiej wyspy językowej, ponieważ procent Polaków jest tam większy (31,49%), niż procent Litwinów (29,92%). Większość względną mają tam Żydzi.

Ustaliwszy w ten sposób istnienie polskiej wyspy językowej pod Kownem i jej przybliżone granice, należy zastanowić się teraz nad przyczynami, które złożyły się na jej powstanie. Najprostszem wyjaśnieniem byłoby powołanie się na oddziaływanie miasta Kowna, drugiego po Wilnie ośrodka życia gospodarczego i kulturalnego na Litwie, które już w końcu XVI w., za przykładem Wilna, stało się z języka i kultury polskiem.

Lecz przypuszczeniu temu przeczy fakt, że Kowno nie znajduje się w centrum wyspy językowej polskiej, lecz na jej peryferji. To, co powiedział prof. K. Nitsch o wyspie językowej polskiej na Wileńszczyźnie, że „nie rozłożona dokoła Wilna, nie jest wyłącznym wynikiem tego kulturalnego polskiego ośrodka“, stosuje się

w zupełności i do wyspy polskiej w Kowieńszczyźnie. W Wileńszczyźnie wyspa ta powstała jako zjawisko wtórne w trwającym stulecia całe procesie stopniowego wypierania języka litewskiego przez białoruski. Litwini, porzucający język ojczysty dla białoruszczyzny, zczasem porzucają gwarę białoruską dla polszczyzny, jako języka warstw kulturalnych i kościoła. Dokonana bowiem raz zmiana języka czyni człowieka bardziej pochopnym do zmian dalszych. Tem się tłumaczy wydłużony kształt wyspy polskiej w Wileńszczyźnie, ciągnącej się wzdłuż dawnej granicy etnograficznej litewsko-białoruskiej. Wilno nie leży też w środku, lecz na południowej peryferji tej wyspy.

Niczego podobnego nie można zaobserwować w Kowieńszczyźnie. Tu nie było wypierania języka litewskiego przez białoruski, po którym dopiero miał przyjść polski. Jeżeli język polski odnosił tu zwycięstwa nad litewskim, to czynił to odrazu, bez pośrednictwa białoruszczyzny.

Lecz dlaczego właśnie terytorjum, leżące w samym środku Litwy etnograficznej, na północ od Kowna, wzdłuż rzek Niemna, Wilji i Niewiaży, stało się głównym terenem ekspansji językowej polskiej? Aby to zrozumieć, należy uprzytomnić sobie fakt następujący. Polonizacja Litwy odbywała się nie drogą kolonizacji (wbrew często powtarzanemu w literaturze polskiej twierdzeniu), lecz wyłącznie prawie drogą oddziaływania kulturalnego, którego głównymi przewodnikami byli kościół i dwór królewski.[1] Proces polonizacji ogarnął najpierw duchowieństwo i sfery dworskie, następnie objął całą magnaterję litewską. Proces ten dokonywał się już w XV w., a na początku XVI był na ukończeniu. Wiek XVI rozpoczął polonizację warstw średnich, tak szlacheckich, jak mieszczańskich. W końcu tego wieku warstwy te już były językowo spolszczone. Wiek XVII rozpoczął polszczenie warstw niższych, a więc przedewszystkiem szlachty szaraczkowej, drobnego mieszczaństwa i duchowieństwa ruskiego, zwłaszcza unickiego. Na tem, zdawało się, proces ten się zatrzyma. Ogromny przedział, jaki istniał pomiędzy poddaństwem chłopskiem a resztą społeczeństwa, utrudniał wpływ kulturalny warstw średnich i wyższych na masy ludowe. Tam tylko

[1] Słusznie odrzuca prof. K. Nitsch jako fantastyczną teorję o pochodzeniu Polaków litewskich od jeńców polskich z czasów przed połączeniem się Litwy z Polską.

wpływ ten mógł silniej oddziaływać, gdzie klasa średnia występowała silniej liczebnie, gdzie człowiek z ludu spotykał się nie z pojedynczym „panem", lecz z całem społeczeństwem „pańskiem". To miało miejsce przedewszystkiem po miastach. Z chwilą, gdy całe zamożniejsze mieszczaństwo przyjęło język polski, musiał i proletarjat miejski pójść za jego przykładem. Drugiem takiem skupieniem „panów" były zaścianki czyli t. zw. „okolice" szlacheckie. Rzecz jasna, że w miejscowościach, gdzie takich zaścianków było dużo, znajomość języka polskiego, przyjętego już przez szlachtę, musiała powoli szerzyć się i wśród ludu, na skutek ciągłych stosunków sąsiedzkich pomiędzy zaściankiem a wsią. Zapoznanie się zaś przez lud z językiem polskim mogło zczasem doprowadzić do całkowitego przyjęcia przezeń polszczyzny jako języka potocznego.

Po tych uwagach ogólnych łatwiej już nam będzie zrozumieć lokalizację wpływów kulturalnych i językowych polskich w samym środku Litwy etnograficznej Nasuwa się mimowoli przypuszczenie, że na tym właśnie terenie musiały się znajdować większe skupienia szlachty, która, wcześniej uległszy polonizacji, stała się sama źródłem promieniowania języka polskiego na otoczenie. Rozejrzenie się w dostępnych nam źródłach historycznych całkowicie potwierdza to przypuszczenie. Mamy takie źródła z wieku XVI w postaci popisów rycerstwa litewskiego z lat 1528, 1565, 1567, wydanych w r. 1915 przez prof. St. Ptaszyckiego w tomie 33-im *Rusk. Istor. Bibl.* Szczególnie cenny jest zwłaszcza popis z r. 1567, jako najbardziej dokładny i szczegółowy. Otóż z popisu tego dowiadujemy się, że ówczesny powiat Kowieński, którego północna część całkowicie prawie zbiegała się z nakreślonym powyżej obszarem wyspy językowej polskiej,[1] był istotnie najgęściej osadzonem przez szlachtę terytorjum Litwy ówczesnej. Tylko w tej północnej części powiatu Kowieńskiego szlachta zachowała jeszcze wówczas organizację rodową, stając do popisu wojskowego rodami. Popis 1567 r. przytacza 78 rodów szlacheckich tu osiadłych. Na pierwszem miejscu wymieniony jest szeroko rozrodzony ród Kulwieciów, osiadły w okolicy Kulwy Z tejże Kulwy pochodzą i Giełgudowie. Położone nad Wilją Skorule są gniazdem Skorulców czy też Skorulskich. W okolicy Zejm spotykamy aż 8 rodów szlacheckich,

[1] Ob. moją *Mapę W. Ks. Litewskiego w połowie XVI w.* nakł. Pol. Ak. Um. Kraków 1928.

wśród których widzimy Dowiatów, Strebejków, Swolkienów i in. W sąsiedztwie Kowna spotykamy ród Wijuków, do którego należał znany historyk Litwy X. Wojciech Wijuk Kojałowicz. Dalej spotykamy takie znane nazwiska szlacheckie, jak Montwiłłów, Witortów, Rymwidów, Domejków, Daukszów, Bujwidów i t. d., pomijając już mniej znane lub obecnie zaginione.

Skąd pochodzi tak wyjątkowo zagęszczona w pow. Kowieńskim osiadłość szlachecka? Na to odpowiedź dają nam dzieje polityczne Litwy. Wiemy z nich, że głównym kluczem strategicznym w stuletniej przeszło walce Zakonu Niemieckiego z Litwą pogańską było właśnie Kowno. Jako położone na zbiegu głównych rzek litewskich, Niemna, Wilji i Niewiaży, było ono tym kluczem, który otwierał Niemcom drogę do stolicy kraju — Wilna. O Kowno więc toczyły się krwawe walki przez cały wiek XIV. Cóż więc dziwnego, że, aby bronić tej najważniejszej swej twierdzy, osadzali książęta litewscy liczne gromady wojowników w najbliższem sąsiedztwie Kowna, a zwłaszcza wzdłuż Niewiaży i Wilji, które stanowiły naturalną przeszkodę strategiczną dla wkraczającego wzdłuż Niemna wroga. Trójkąt ten, zawarty pomiędzy górną Wiliją a Niewiażą, opierający się pod Kownem o Niemen, będąc kluczem strategicznym Litwy, stał się głównem gniazdem bojarstwa litewskiego, które na przełomie XVI i XVII w. spolszczyło się językowo i, stawszy się z języka polskiem, zaczęło szerzyć znajomość języka polskiego wśród otaczającego go ludu. Oddziaływanie to doprowadziło wreszcie do tego, że i lud tameczny przyjął język polski i powstała z biegiem czasu omawiana powyżej wyspa językowa polska.

Kiedy powstała ta wyspa? Prof. K. Nitsch w cytowanej powyżej pracy swej utrzymuje, że wyspa polska w Wileńszczyźnie jest pochodzenia względnie świeżego, że powstała nie wcześniej, niż w wieku XIX. To samo da się powiedzieć i o wyspie polskiej w Kowieńszczyźnie. Doskonały znawca stosunków litewskich w pierwszej połowie XIX w., Michał Baliński, mówi o pow. Kowieńskim, że „lud wszędzie mówi (tam) czystym językiem litewskim, umiejąc także po polsku“.[1] Mamy tu więc do czynienia z tą fazą polonizacji, gdy język polski już stał się dostępny ludowi, nie stał się jednak jeszcze jego językiem potocznym. Musiało to nastąpić dopiero w drugiej połowie XIX w., t. j. w epoce, gdy polskość

[1] *Star. Pol.* III, 396.

na Litwie podlegała największym prześladowaniom ze strony władz rosyjskich. Spotykamy się i tu ze zjawiskiem, zaobserwowanem już w Wileńszczyźnie, zjawiskiem, które nie może nie wzbudzić zdumienia w każdym bezstronnym obserwatorze. Oto w czasach, gdy rząd rosyjski największe czynił wysiłki, by pozbawić Litwę charakteru polskiego, odbywała się dobrowolna polonizacja mas ludowych, które stawały się polskiemi naprzód z języka tylko, a następnie i z uświadomienia narodowego.

Dla uzupełnienia obrazu wyspy językowej polskiej w Kowieńszczyźnie należy dodać, że wyspa ta, jakkolwiek zasadniczo odpowiada granicom dawnego powiatu Kowieńskiego, jednak na północnym zachodzie przekracza cokolwiek graniczną Niewiażę i wkracza już na terytorjum dawnego Księstwa Żmudzkiego. Ta ekspansja polszczyzny na terenie żmudzkim ma toż samo pochodzenie, co i na terenie pow. Kowieńskiego. Po żmudzkiej stronie Niewiaży spotykamy także większe skupienia szlachty, spowodowane temiż samemi względami strategicznemi, co i po stronie litewskiej. Szlachta tam osiadła, spolszczywszy się sama, spolszczyła i okoliczne wsie litewskie. Osiedla szlacheckie skupiają się tam wzdłuż rzeczek Datnówki i Laudy, wpadających do Niewiaży. Okolice te znane były niegdyś pod nazwą „traktów“ Datnowskiego i Laudańskiego. Licznie osiadła tam szlachta podlegała w w. XVI pod względem administracyjno-wojskowym włości Wielońskiej, położonej dość daleko nad Niemnem. [1] Przypomnijmy sobie, że Wielona była w wieku XIV drugą po Kownie twierdzą litewską nad Niemnem, broniącą dostępu do Kowna od zachodu. Zrozumiałem wtedy stanie się to oddanie szlachty pogranicznej żmudzkiej pod zwierzchnictwo komendanta ważnej twierdzy nadniemeńskiej. Przynależność traktów Datnowskiego i Laudańskiego do Wielony przetrwała do końca istnienia dawnej Rzpltej jako przynależność do powiatu Wielońskiego, który składał się w ten sposób z dwóch niepołączonych ze sobą części.

Silny element polski w dawnym trakcie Datnowskim znalazł swój wyraz we współczesnej statystyce narodowościowej (opartej na wynikach wyborów do sejmu). Statystyka ta wykazuje w obecnej gminie Datnowskiej 44,12% ludności polskiej. Natomiast polskość w trakcie Laudańskim nie występuje tak wyraźnie. Obszar

[1] Ob. cytowaną powyżej moją mapę.

ten jest bowiem rozbity obecnie pomiędzy cztery gminy. W dwóch tylko gminach mamy tam cokolwiek większy odsetek ludności polskiej (Gudziuny 22,25% i Krakinów 22,10%), co wskazywałoby, że do tych właśnie gmin przydzielono większą część polskiego obszaru językowego na Laudzie.

Rozważania powyższe stwierdzają, że w Kowieńszczyźnie, tak jak w Wileńszczyźnie, w najnowszych czasach, bo w drugiej połowie XIX w., powstała wyspa językowa polska. Powstała ona jako wynik przez wieki całe trwającego wpływu polskiego na Litwie, powstała zupełnie samorzutnie, bez żadnego udziału władz rządowych (które wówczas wrogie były polskości) i nawet bez udziału społeczeństwa polskiego, które o całym tym procesie nie miało naogół pojęcia. Zjawisko ciekawe dla badacza, a chlubne dla kultury polskiej, która wykazała tak znaczną siłę atrakcyjną.

Jakie będą dalsze losy tej polskiej wyspy językowej? Wybory do sejmu litewskiego wykazały, że ludność ta w większości swojej jest polską nietylko z języka, lecz i z poczucia narodowego. Czy jednak potrafi i nadal skutecznie bronić swej polskości wobec bezwzględnej presji rządu litewskiego, który używa wszelkich możliwych środków, aby ją „odpolszczyć"? Czy ludność ta, naogół uboga i mało oświecona, potrafi oprzeć się systematycznemu naciskowi szkoły, kościoła i urzędu, które zgodnie zmierzają do jej wynarodowienia? Na te pytania odpowie nam najbliższa przyszłość.

KRONIKI

KRONIKA ZAGRANICZNA

Kryzysy francuskie. — Konferencja morska. — Plan Younga i likwidacja w Reichstagu. — Podróże Schobera. — Città del Vaticano

1

W prawach, rządzących dynamiką parlamentaryzmu francuskiego, trudno dopatrzeć się zasad logiki, których zrozumieniem, skądinąd tak słusznie, Francuzi się szczycą. Boć nie sposób logicznie uzasadnić, dlaczego gabinet Tardieu, przebywszy zwycięsko czterdzieści głosowań w Izbie, najniespodziewaniej potknął się na sprawie opodatkowania płac kobiet, pracujących w przedsiębiorstwach handlowych swych małżonków. Mieszkańcy Palais Bourbon wraz z ministrem finansów Chéron'em, który postawił przed głosowaniem kwestję zaufania, uznali widać, że jest to sprawa bez porównania większej wagi, niż zagadnienia polityki zagranicznej, które rząd i parlament muszą w najbliższych czasach załatwić. W żadnym innym kraju podobne niespodzianki nie są możliwe poprostu dlatego, że nigdzie ambicje osobiste nie rozsadzają tak łatwo dyscypliny partyjnej. Ale Trzecia Republika, bogata w rewolucyjne doświadczenia 18-go i 19-go wieku, uzbrojona w stary, lecz niezużyty aparat administracyjny, zapewniwszy ubytkiem ludzi a przybytkiem złota równowagę stosunków społecznych, może sobie pozwolić na podobny system rządów. Przedstawia on zresztą jedną wielką korzyść: tak znakomicie ułatwia wyładowanie temperamentu politycznego w intrygach kuluarowych, że nie starczy go już na walki uliczne.

Dzięki takim intrygom, które spowodowały upadek poprzedniego gabinetu, udało się p. Chautemps, przewodniczącemu partji radykalnej, w ciągu dwu dni rozwiązać zadanie, nad którem trzy miesiące temu w identycznych warunkach Daladier daremnie sobie łamał głowę. Inna rzecz, że Chautemps, gwoli pośpiechu, pominął oba najważniejsze elementy algebry parlamentarnej, t. j. zwartość wewnętrzną rządu i większość, na którąby mógł liczyć. Obok gorących zwolenników ustaw laickich (Daladier i Queuille) zasiadali w nim zdecydowani ich przeciwnicy (Daniélou i Chappedelaine); obok budowniczego ubezpieczeń społecznych, Loucheur'a, zacięty ich krytyk, Dumont. Gorzej było jeszcze z większością, skoro do gabinetu weszli przedstawiciele dwóch tylko stronnictw - radykalnych socjalistów i radykalnej lewicy — które we wszystkich ważniejszych rozstrzygnięciach musiałyby się starać o kosztowne poparcie socjalistów. Mimo, że w głosowaniu nad swą programową

deklaracją rząd poparcie to uzyskał, Izba 20-ma głosami większości odmówiła mu zaufania.

Wobec prac rozpoczętych przezeń w dziedzinie polityki zagranicznej powrót Tardieu do steru stał się nieodzowny. Ale mimo upodobania do władzy i niezwykłej energji, które go cechują, droga powrotna jeżyła się od trudności. Głównem ich źródłem było rozdrażnienie radykałów na prawicę i środek, które pod przywództwem samego Tardieu tak niesławny koniec zgotowały ich gabinetowi. Toteż żadne oferty z jego strony nie zdołały ich skłonić do poparcia nowego rządu, który musiał się zadowolnić udziałem kilku wyklętych zbiegów z radykalnego obozu. A oferty te szły bardzo daleko, skoro nawet ministerstwo spraw wewnętrznych, tak ważne ze względu na zbliżające się wybory, miało radykałom przypaść w udziale. Wobec tej rekuzy poprzestał Tardieu na tej samej wąskiej i niepewnej podstawie, która nie zdołała wytrzymać ciężaru fiskalnej polityki Chérona. Podobno jego następca, Paul Reynaud, znany ze swych konszachtów z prawicą niemiecką, daje pod tym względem gwarancje ostrożności, która potrafi rząd ustrzec przed niemiłemi niespodziankami.

Trwałość swego gabinetu pragnie zresztą Tardieu zabezpieczyć środkiem, który już poprzednio wypróbował. Skoro ustrój francuski nie wymaga dla tworzenia nowych ministerstw czy podsekretarjatów stanu specjalnej ustawy, rozszerzył on skład swego gabinetu do tego stopnia, że wystarczy, gdy każdy z jego 34 członków zjednał mu tylko 8 pewnych stronników, aby mu w każdem głosowaniu większość zapewnić. System ten daje oczywiście wdzięczne pole do złośliwych uwag opozycji, która ich też nie szczędziła, gdy w czasie odczytywania deklaracji programowej ława, przeznaczona dla członków gabinetu, nie była w stanie ich pomieścić.

Choć sama deklaracja niewiele różniła się od tej, którą z tak fatalnym dla siebie wynikiem kilka dni przedtem był Chautemps przedstawił, Izba uchwaliła porządek dzienny, zgodny z życzeniami rządu. Najlepszy to dowód, jak małą w tej chwili odgrywają w polityce francuskiej rolę kwestje programowe a jak wielką osobiste. Pozatem przebieg ostatniego przesilenia odstraszy zapewne każdego polityka od prób tworzenia lewicowego rządu w Izbie, wybranej pod znakiem polityki Poincarégo. Fatalne doświadczenia p. Daladier w listopadzie a p. Chautemps w lutym zwiększają niewątpliwie szanse trwałości obecnego rządu, którego słabość znajduje w jeszcze większej słabości przeciwników dostateczną przeciwwagę.

Najbardziej znamiennym skutkiem ostatniego przesilenia jest powrót Brianda do wyłącznego kierownictwa polityki zagranicznej. Podobno Tardieu, chcąc sobie zjednać współpracownika, którego mir u lewicy francuskiej i w całym świecie jest tak wielki, musiał przyrzec, że sam wycofa się z dominującego stanowiska, które w ciągu ostatnich kilku miesięcy także w resorcie Brianda zajmował. Zresztą upadek jego pierwszego gabinetu, poprzedzony tak

długą nieobecnością w Paryżu, pozwolił mu stwierdzić głęboką prawdę, którą zawiera przysłowie: *les absents ont toujours tort.* Wszystkie te względy skłoniły Tardieu do ustąpienia Briandowi przewodnictwa delegacji francuskiej w Londynie.

2

Trudno jednak przypuszczać, aby zmiana ta mogła jakkolwiek wpłynąć na losy samej konferencji londyńskiej. Memorjał, który jej 13 lutego Tardieu przedstawił, tak jasno określa minimalne potrzeby bezpieczeństwa Francji, że i Briand, zmuszony mimo wszystko liczyć się ze zdaniem premjera, nie będzie mógł odstąpić od wyrażonych w nim żądań. Tymczasem na nich to właśnie utknęła cała konferencja, tak że przesilenie w Paryżu było pożądanym pretekstem, aby na jakiś czas obrady zawiesić.

Francja oświadcza bowiem, że przy obecnych stosunkach międzynarodowych musi do r. 1936 posiąść flotę o pojemności 724.000 tonn. Zastępując zdeklasowane jednostki nowemi, musiałaby na to w ciągu sześciu lat puścić na morze nowych 240.000 tonn. Określone w ten sposób potrzeby bezpieczeństwa francuskiego znajdują przedewszystkiem w Anglji mało zrozumienia. Raz dlatego, że zapowiadana tak szumnie konferencja „rozbrojeniowa" zakrawałaby na prawdziwą ironję, gdyby rozległy program francuski aprobowała. Powtóre zaś, — i oto wzgląd najważniejszy — ofiary, które Anglja poniosła, przystając na t. zw. parytet z Ameryką, mogą mieć dla niej sens tylko w tym wypadku, jeżeli im odpowie proporcjonalna redukcja floty francuskiej. Dla dobra konferencji wydaje się ona tembardziej pożądaną, że tylko w ten sposób da się uzyskać parytet włosko-francuski, którego tak gwałtownie Mussolini się domaga.

Memorjał włoski, świeżo przedstawiony przez Grandi'ego, nic innego nie zawiera, jak tylko żądanie parytetu z flotą „najsilniejszego mocarstwa kontynentalnego", odmieniane we wszystkich przypadkach. Jako podstawa do dyskusji jest to zaiste niewiele, tem mniej, że ten parytet jest dla Włoch, podług wyraźnych oświadczeń Grandi'ego, przedewszystkiem sprawą prestige'u. O ile jeszcze bezpieczeństwo danego państwa da się określić miarą objektywną, o tyle wymagania prestige'u są rzeczą czysto subjektywnych jego zapatrywań. Rząd faszystowski ocenia je oczywiście szczególnie wysoko, skoro od zewnętrznej powagi Włoch, której jaskrawe obrazy ciągle oczom społeczeństwa przedstawia, zależy jego popularność i trwałość.

Ponieważ jednak w dzisiejszych warunkach ani na redukcję swego programu, ani na żądania Włoch Francuzi, ze zrozumiałych powodów, napewno się nie zgodzą, należałoby rozpatrzeć ich dalszą propozycję, zmierzającą do zawarcia t. zw. paktu Atlantyckiego, którego prawne gwarancje mają im starczyć za kilkadziesiąt paszcz

armatnich. W ten sposób dałoby się znowu silniej związać z Francją politykę angielską, skierować ją znowu w to koryto, którem za czasów Chambelain'a płynęła. Ale bez udziału Ameryki w takim pakcie Anglja z pewnością nie przyjmie na swoje barki dodatkowych zobowiązań gwarancyjnych, za które, wobec naprężonych francusko-włoskich stosunków, mogłaby kiedyś drogo zapłacić. O angażowaniu zaś potęgi Stanów Zjednoczonych w sprawy europejskie senat amerykański podobno słyszeć nie chce.

Wobec tych piętrzących się trudności w sprawach zasadniczych postanowiono przynajmniej, *ut aliquid fecisse videatur*, opracować kodeks „humanitarnej" walki łodziami podwodnemi, na których utrzymanie, wobec kategorycznych żądań Francji i Japonji, mocarstwa anglosaskie się zgodziły.

Obrady obracają się, jak widać, w prawdziwie błędnem kole: gdy w zagadnieniach technicznych do zgody dojść nie można, szuka się ratunku w porozumieniu politycznem, aby powrócić znowu do sporów o armaty i tonny, gdy ono zawiedzie. Jedynym czynnikiem, który żywot konferencji jeszcze przedłuża, jest silna wola MacDonalda, aby ją zakończyć choćby pozorem jakiegoś sukcesu, od którego w dużej mierze zawisł żywot jego rządu. Jednakże wobec nieugiętego stanowiska Francji trudno będzie ewentualny sukces konferencji pogodzić z wymaganiami interesów angielskich. Zdaje się, że MacDonald obrał fałszywą metodę, chcąc popisami na śliskim terenie dyplomatycznym ratować niepewną sytuację swego gabinetu, który nie rozporządzając w Izbie Gmin większością, jest powołany do rozwikłania najzawilszych problemów gospodarczych i społecznych.

3

Zapewne i w Niemczech groźna aktualność tych problemów rozsadzi ramy obecnej koalicji, gdy tylko rząd uzyska od parlamentu zatwierdzenie planu Younga i związanych z nim układów. Losy nowego planu reparacyjnego nie budzą zresztą żadnych wątpliwości, korzyści bowiem, które Niemcom przynosi, są aż nadto oczywiste. Nieco inaczej przedstawia się sprawa układu likwidacyjnego z Polską, którego załatwienie nawet niektóre stronnictwa rządowe chciałyby odwlec „ad calendas graecas". Argument, jakoby układ ten zawierał ze strony Niemiec ciche uznanie granicy polsko-niemieckiej, może być dla nas dosyć obojętny, skoro traktat wersalski, opatrzony podpisami przedstawicieli Niemiec, sprawę tę ostatecznie przesądził. W każdym razie dochodzące tutaj do głosu nastroje są znamiennym objawem, jak dalece nawet umiarkowani ludzie i stronnictwa w Niemczech są podatni mentalności i demagogji nacjonalistycznej.

Mimo to wątpimy, aby nastroje te mogły wpłynąć na odrzucenie lub tylko opóźnienie ratyfikacji układu likwidacyjnego. Prze-

dewszystkiem korzyści, które obywatele niemieccy i mniejszość niemiecka w Polsce z niego ciągną, są zbyt wielkie, aby którekolwiek ze stronnictw mogło wziąć na się odpowiedzialność za jego pogrzebanie. Pozatem układ stwierdza sam bezspornie swój związek z planem Younga, a zgodnie z zapatrywaniem, podszepniętem rządowi Rzeszy z Paryża, bez niego cały plan Youuga nie mógłby wejść w życie. Toteż po obowiązkowem rozdarciu szat na plenum Reichstagu przedstawiciele centrum i stronnictwa ludowego napewno się o to postarają, aby ich głosy nie mogły losów układu przesądzić w sensie negatywnym.

4

Prasa niemiecka była widocznie tak zajęta ważnemi rozstrzygnięciami, które w Reichstagu zapadały, że nie zdołała zbyt wiele miejsca i uwagi poświęcić równoczesnej wizycie kanclerza austrjackiego, Schobera. Czy może na takie stanowisko wpłynęła podyktowana zgóry chęć odwrócenia zagranicą uwagi od rozmów, po których spodziewano się więcej, niż wypadało przyznać. Wszak wobec niedalekiego opróżnienia Nadrenji wybiła dla Niemiec zapowiadana już przez Stresemanna godzina rozpoczęcia stanowczych starań o Anschluss. Istotnie trudno uwierzyć, aby rokowania handlowe, które od lat już między dwoma państwami się toczą, wymagały właśnie teraz obecności samego Schobera w Berlinie. Raczej ufano znaleźć u niego posłuch dla wszechniemieckich podszeptów.

Nie wdając się w analizę osobistych sentymentów Schobera, można śmiało przypuszczać, że obecny kierownik polityki austrjackiej, który dał tyle dowodów realizmu i zręczności, nie może uważać Anschlussu za cel polityki austrjackiej w najbliższych latach. Pomijamy wynikające z tej koncepcji polityczne trudności, których rozwiązanie napewno dużoby kosztowało poczucie odrębności szczepowej Austrjaków. Lecz czyż mozolne i długotrwałe rokowania handlowe nie dowodzą, jak wielkie niebezpieczeństwa austrjackiemu gospodarstwu grożą w razie połączenia z potężnie uprzemysłowionemi Niemcami? Wreszcie trudno sobie wystawić, żeby Austrja, uzyskawszy dzięki zręczności Schobera i poparciu Włoch, zwolnienie swej hipoteki z wszelkich ciężarów reparacyjnych, miała ochotę uczestniczyć, choćby pośrednio, w miljardowych spłatach niemieckich.

Z przemówienia, które Schober do berlińskiego radja wygłosił, wyraźnie wynika, że w jego rozumieniu, wizyta berlińska miała uspokoić opinję i oficjalne sfery Rzeszy co do celów podróży, odbytej kilka tygodni przedtem do Rzymu. Niewątpliwie i w tym wypadku zamiary Schobera nie szły tak daleko, jak mu przypisywano. Do podróży tej zobowiązał się był jeszcze w r. 1928 ks. Seipel, w zamian za co Mussolini zgodził się nawiązać stosunki dyplomatyczne, czasowo zerwane po gwałtownem wystąpieniu ówczesnego kanclerza przeciwko prześladowaniu Niemców w południowym Ty-

rolu. Można szczerze pogratulować Schoberowi, że dla spełnienia tej obietnicy wybrał chwilę, która jego wizycie odbiera wszelkie pozory jakiejś ekspiacji. Boć tak skuteczne poparcie, udzielone przez Włochy w Hadze dezyderatom Austrji, uzasadnia w całkiem naturalny sposób zarówno wyraźny objaw wdzięczności z jej strony, jak i naprawę stosunków, tak bardzo zaognionych wspomnianemi wypadkami. Przytem konsolidacja wewnętrznych stosunków Austrji mogła łatwo natchnąć Mussoliniego chęcią, aby ją wyzyskać na swej bałkańskiej szachownicy. Umowa arbitrażowa i traktat przyjaźni, podpisane w Rzymie, miały być zapewne wstępem do dalszych posunięć, acz same przez się w niczem nie odbiegają od formuł, przyjętych w tego rodzaju układach.

Ale geograficzne, polityczne i gospodarcze położenie Austrji nie pozwala jej angażować się w żadnym z obozów, które antagonizm francusko-włoski tworzy w środkowej i południowo-wschodniej Europie. Toteż cała dotychczasowa dyplomatyczna działalność Schobera, pogłoski o zamierzonych z kolei wizytach w Paryżu i Londynie wskazują, że pragnąłby on swej ojczyźnie zapewnić podobne stanowisko, jakiem z korzyścią dla Europy i jej własnych obywateli od długich lat cieszy się Szwajcarja. Oto niewątpliwie najtrafniejszy pogląd na rolę, która przypada Austrji w układzie sił politycznych naszego kontynentu.

5

Rozgłos, który w całym świecie zyskały najnowsze wystąpienia Stolicy Apostolskiej, najlepiej uwydatnia wpływy, któremi dzięki swej powszechności i niewzruszalnym zasadom Kościół rozporządza. Wzrost jego autorytetu, który w świecie nawet niekatolickim od czasu wojny stwierdzamy, wynika niewątpliwie z widocznej dla wszystkich różnicy między niezmienną wartością ideałów, do których on drogę wskazuje, a szybką dewaluacją, której w ciągu ostatnich lat uległy różne bożyszcza współczesnej ludzkości. Choć w ten sposób zbierał Kościół całkiem naturalny owoc swego szczególnego posłannictwa, nie da się zaprzeczyć, że działalność obu ostatnich Papieży znacznie się do obfitości zbioru przyczyniła.

Niedawne ustąpienie Kardynała Sekretarza Stanu Gasparri'ego, może tylko podkreślić zasługi, które ten ich długoletni najbliższy doradca zyskał sobie w tak burzliwym i trudnym okresie historji Kościoła. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Francją, liczne konkordaty, z pośród których polski i pruski zajmują pierwsze miejsce, wreszcie pojednanie z Włochami i przywrócenie świeckiej niezależności Stolicy Apostolskiej — oto kilka najważniejszych przykładów tych zasług.

Toteż trudno przypuszczać, aby zmianie na stanowisku kierownika zewnętrznej działalności Watykanu miała także towarzyszyć radykalna zmiana polityki, która do tak dodatnich doprowadziła

wyników. Zresztą temperament, poglądy, sympatje i niechęci kierującej jednostki ustępują tutaj w o wiele wyższym niż gdzieindziej stopniu przed jasnością celów i niezmiennością zasad, na których cały ustrój Kościoła się opiera. Przedwczesne są więc przedewszystkiem wnioski o przyszłej działalności nowego Sekretarza Stanu, kardynała Pacelli, oparte na związkach, które go wskutek długoletniej działalności wśród nich łączą z Niemcami. Zbyt łatwo byłoby bowiem nadwerężyć autorytet Kościoła, dostarczając choćby pozorów, że się przedewszystkiem na katolikach jednego kraju opiera. Przytem wszechstronne zadania, przed któremi katolicyzm dzisiaj stoi, bardziej może, niż kiedykolwiek, wymagają jedności wysiłków, którym kardynał Pacelli ma poświęcić swoje zdolności, tak znakomicie wypróbowane.

Na jedno z tych zadań wskazuje Pius XI w Encyklice o wychowaniu, która niedwuznacznie określa rolę, przypadającą w tym względzie Kościołowi, rodzinie i państwu. Encyklika ta, jak to zresztą wyraźnie *Osservatore Romano* zaznaczył, nie jest skierowana pod niczyim specjalnie adresem, lecz ma całkiem powszechne znaczenie wobec tego, że wszystkie państwa zdradzają wyraźne tendencje do wyłącznego zawładnięcia dziedziną szkoły i wychowania. Dla nikogo jednak nie jest tajemnicą, że ze szczególną wyrazistością występują one we Włoszech wraz z właściwym dla faszyzmu kultem państwa. Toteż wychowanie i szkoła były właśnie temi objektami, o które między faszyzmem a Kościołem toczyła się najostrzejsza walka. Mimo to ostatnie wystąpienie Stolicy Apostolskiej zamiast konflikt zaognić, raczej go złagodziło. Jest to zrozumiałe, gdy się zważy, jak silnie pragnie Mussolini faszyzm z katolicyzmem związać, przyczem chodzi mu nietylko o katolickie doktryny, które jego poglądom państwowym i społecznym najzupełniej odpowiadają, ale także o blask, który z Rzymu Papieskiego na Królewski spływa. W żadnym razie nie może więc dopuścić do rozłamu, któryby promienie tego blasku odwrócił.

Otóż w ostatnich czasach nietylko wspomniana Encyklika musiała u przywódców faszyzmu wzbudzić wrażenie, że dalsze przeciąganie struny do tego rozłamu doprowadzić musi. Niemal równocześnie zostały bowiem potępione dwie książki, powitane entuzjastycznie przez prasę włoską. Jedna z nich omawia stosunek między państwem, faszyzmem a Kościołem w duchu od wskazań Encykliki zupełnie różnym; druga zaś p. t. „Date a Cesare“ zwraca uwagę na wszystkie ustępstwa, na które Watykan musiał przystać, zawierając układy Lateraneńskie. Wszystkie te wypadki wpłynęły bardziej pojednawczo na przywódców faszyzmu. Objawem tej zmiany nastroju jest reforma niektórych punktów ich programu wychowawczego, a przedewszystkiem wizyta, którą generalny sekretarz partji, Turati, w Watykanie złożył. Niewątpliwie doprowadziła ona do ustalenia zasad wzajemnego „modus vivendi“. Zresztą w ślad za Turatim ma się wkrótce i sam Mussolini do Papieża udać.

Szczególną uwagę należy poświęcić niedawnemu listowi, w którym Papież niezwykle ostro potępia prześladowania religijne w Rosji. Znaczenie swoje akt ten zawdzięcza nietylko powadze autora, ale także niezwykłej ostrożności, która Watykan w tego rodzaju wystąpieniach cechuje. Zresztą Papież wyraźnie zaznacza, że wypróbował wszystkie środki, aby drogą ugody wpłynąć na losy wszystkich religij w Rosji. Niestety, ani jego zabiegi przed konferencją Genueńską o zjednanie dla swej akcji wszystkich rządów, ani jego pomoc materjalna dla dotkniętej głodem rosyjskiej ludności, ani też wreszcie misja ks. d'Herbigny żadnych skutków pod tym względem nie odniosły. Toteż nawet watykańska dyplomacja, której cierpliwość jest tak długa, a wytrwałość prawie niewyczerpana, musiała wreszcie wszystkie swoje starania uznać za bezcelowe, a walkę za nieuniknioną. Że nie będzie jej Watykan prowadzić z pomocą gazów i armat, ani bronią ekonomicznego bojkotu — nie umniejsza to w niczem niebezpieczeństwa, które dla obecnych władców Rosji przedstawia.

Zaledwie w kilka dni po ogłoszeniu wspomnianego listu odpowiedzieli oni przez usta obecnych przedstawicieli hierarchji cerkiewnej, że żadnych prześladowań religijnych w Rosji niema, lecz ludność samorzutnie od niej się odwraca. Nie chcemy się tutaj zastanawiać nad niesłychanemi sposobami, jakiemi powyższe oświadczenie zostało prawdopodobnie od nieszczęsnych duchownych wyłudzone, ani nad jego kłamliwą i cyniczną treścią. Ale pośpiech, z którym bolszewicy na zarzuty papieskie odpowiadają, starając się — bardzo zresztą nieudolnie — wykazać ich bezpodstawność, jest najlepszym dowodem, że walkę z Papieżem uważają za równie groźną dla siebie, jak wszystkie ataki burżuazyjnego świata.

Henryk Dembiński

Dnia 7 marca 1930 r.

NOWE WYDAWNICTWA

WSPÓŁCZESNA LIRYKA ANGIELSKA W SZACIE POLSKIEJ

Stanisław Helsztyński: *Liryka angielska XX wieku.* Hoesick, Warszawa, 1929. Str. 288 małej 8-ki.

Anglja lirycznie rozśpiewana — to pojęcie zgoła obce myśleniu przeciętnego Europejczyka o rzeczach i ludziach angielskich. Wszakże ton temu myśleniu nadała mieszczańska, kupiecko-przemysłowa Anglja XIX wieku ze swą prozaiczną trzeźwością i staranną rezerwą, posuniętą nieraz do tępoty intelektualnej i uczuciowej. Ale na wyżynach rdzennie arystokratycznej kultury angielskiej nigdy nie przestało kwitnąć klasyczne rozmiłowanie w pięknej formie, taksamo jak znowuż u podstaw życia narodowego, wśród mas półwykształconych, purytańska przyzwoitość nowoczesnego mieszczaństwa nigdy całkiem stłumić nie zdołała żywiołowej bujności krewkiego

starego temperamentu angielskiego, z jego nawskróś irracjonalnemi pierwiastkami humoru i marzycielstwa. Z tych to dwóch źródeł — wielowiekowego wyszkolenia formalnego z jednej, bogactwa duszy ludowej z drugiej — płynie ta osobliwość, że Anglik, ten Anglik pozornie tak chłodny, w wolnych od zajęć chwilach często będzie samorzutnie pisał wiersze liryczne, szczególnie gdy gdzieś na wypoczynku, zdala od gwaru miasta i zgiełku interesów lub spraw publicznych, w ekstazę go wprawi umiłowana gorąco sielska przyroda ocalałych jeszcze wiejskich zakątków Anglji, lub gdy z jaklejś dobrej książki owionie go aromat wspaniałej tradycji starego angielskiego słowa poetyckiego. Dziwne zaiste widowisko! „W tym kraju" — w kraju mistrzów polityki, organizatorów handlu i przemysłu, wielkorządców kolonjalnych! — „dyplomaci studjują biblję, ministrowie cytują poetów, lordowie w wykwintnych przemówieniach wplatają z pamięci całe urywki Wordsworth'a, — komandorzy floty, w czasie manewrów wojny, piszą nabożne liryki".[1]

Szczególnie w naszych czasach mimo ciężkich przesileń społeczno-gospodarczych i straszliwego wstrząśnienia wojennego — a może właśnie z powodu tak silnych i głębokich przeżyć narodowych — przebudziła się żywiej niż kiedykolwiek śpiewająca dusza starej Anglji i odezwała się tysiącem głosów poetyckich. Obfitość i różnorodność współczesnej produkcji lirycznej angielskiej jest jednem z najcharakterystyczniejszych zjawisk wśród ogólnego dziś w Europie — także u nas — odrodzenia poezji. To też dobrze się stało, że wśród wzrastającej na oczach gromadki naszych młodych badaczy literatury i życia angielskiego znalazł się jeden, który poczuł w sobie powołanie śmiało dosiąść Pegaza i wyruszyć na odkrycie dla nas skarbów piękna w krainie dzisiejszej pieśni angielskiej.

Pan Dr Stanisław Helsztyński znany był dotąd głównie fachowcom — i to zarówno w Polsce jak w Anglji, Francji, Niemczech i Ameryce — przez swe uczone poszukiwania nad tłumaczeniami i naśladowaniami Miltona i Pope'a w Polsce XVIII w. Badania jego w tej dziedzinie wydały sporo ciekawych i zupełnie nowych rezultatów naukowych, które niebawem będą uprzystępnione szerszej publiczności u nas w przygotowanych przez p. Helsztyńskiego dla krakowskiej *Bibljoteki Narodowej* wydaniach wybranych dzieł Miltona i Pope'a w przekładach polskich. Poza tą dziedziną, w której wydatnie pomnożył naszą wiedzę, dał się p. Helsztyński poznać jako gruntowny znawca zarówno literackiej jak teatralnej twórczości Szekspira przez wydanie niektórych jego dzieł w war-

[1] Helsztyński, str. 19. Ostatnie dwie aluzje odnoszą się: pierwsza do do lorda Grey of Fallodon (którego pięknego odczytu o *Prelude* Wordsworth'a słuchałem w londyńskiem *Bedford College* w r. 1923) i do komandora floty Sir E. Hilton Young'a (naszego doradcy skarbowego z lat 1924—1925), którego kolenda, pisana w r. 1914 na pokładzie okrętu wojennego *Iron Duke*, znalazła się w zbiorku p Helsztyńskiego.

szawskiej *Wielkiej Bibljotece*: narazie ukazały się bardzo dobre opracowania „Makbeta“ i „Juljusza Cezara“.

Na szerszej arenie publicystycznej p. Helsztyński stał się znany przez szereg artykułów w *Wiadomościach Literackich* o znakomitszych autorach angielskich ostatnich czasów. Obecnie zdobył się w tej roli na wysiłek większego kalibru, stając się naszym *Cicerone* wśród liryki angielskiej naszych dni.

Tomik p. Helsztyńskiego jest antologją tłumaczeń wierszem z sześćdziesięciu czterech — przeważnie żyjących — angielskich poetów lirycznych, poprzedzoną obszernym wstępem od tłumacza. Właściwie już i ten wstęp jednak staje obok samych tłumaczeń jako próba przeniesienia w słowa czegoś z ducha omawianych osobistości i z istoty ich natchnień. Rezygnując (i słusznie!) z traktowania czytelnika encyklopedycznym kompletem informacyj bio- i bibljograficznych o wybranych poetach, autor ogranicza się do lakonicznych wzmianek o pewnych tylko, decydujących dla karjery czy stylu poetyckiego danej jednostki, faktach życiowych, a poza tem usiłuje głównie scharakteryzować a raczej parafrazować postawę tej jednostki wobec życia i świata. Udało mu się to szczególnie, gdzie mówi o ultra-demokratycznem bogactwie doświadczeń i bujnej rozległości sympatyj ludzkich takiej odysejskiej natury jak bywalec wszystkich mórz i wszystkich dzielnic portowych i przedmiejskich, John Masefield; lub znowu o takim nadczłowieczym typie włóczęgi, jak W. H. Davies, co ze swą czysto przygodną literacką kulturą i naiwnym stosunkiem do przyrody umie w swym śpiewie znaleść tak ujmująco proste i czarująco melodyjne tony, jak chyba żaden inny pieśniarz naszej przerafinowanej intelektualnej ery. Trudniejszem może zadaniem od charakterystyki takich serdecznych a żywiołowych śpiewaków było uchwycić w słowa coś z metafizycznej ekstazy wzniosłej pieśniarki katolickiego renesansu nowej Anglji, — zmarłej kilka lat temu pani Alicji Meynell, której garść wierszy pozostanie między najcenniejszemi klejnotami liryki angielskiej. I tej wielkiej poetce umiał nasz tłumacz w swym wstępie oddać należny hołd. Należąc do generacji, co sama przeżywała wojnę, nie mógł nie zatrzymać się dłużej przy tych, co o niej samej śpiewali: uczcił ten szczytny i prawdziwie męski patrjotyzm, na jaki w przededniu śmierci żołnierskiej zdobył się w swych ostatnich słowach poetyckich Rupert Brooke; ale zrozumiał także tę ludzkość, co natchnęła Siegfrieda Sassoon'a do jego gwałtownych wybuchów oburzenia przeciw ślepemu okrucieństwu wielkiej rzezi narodów. Wytrawnie wreszcie osądził pokłady kultury literackiej, spoczywające w klarownej i nawskróś harmonijnej poezji sędziwego poety-laureata Anglji, Roberta Bridges'a, w wirtuozji rymotwórczej wybitnego krytyka J. C. Squire'a, wreszcie w rokokowych fantazjach i groteskowych dziwactwach królującej nad najmłodszą poezją angielską trójcy Sitwell'ów: Edyty i jej braci Osberta i Sacheverell'a.

Same przekłady ułożone są nie systematycznie ani też chronologicznie, lecz — za wzorem niektórych antologij angielskich [1] — w alfabetycznym porządku nazwisk autorów, co potęguje wrażenie bogatej rozmaitości stylów indywidualnych i rozległości skali. Tłumacz starał się w każdym z osobna wypadku oddać jeżeli nie dokładny układ zwrotek, rymów i taktów, to rytmiczny ich efekt, i jest rzeczą naturalną, że czasem — przy zbyt misternem spleceniu równobrzmiących rymów — przechodziło to jego siły, a czasem — gdy chodziło o schematy rytmiczne obce duchowi polskiej metryki — wynikało coś, co brzmiało nieswojsko lub niemile. Zdarzają się rytmy, nie dające polskiemu uchu wrażenia melodyjnego, zdarzają się i rymy nader wyszukane, czasem stworzone przy pomocy afektowanych archaicznych wyrazów. [2]

Ale w znacznej ilości wypadków przeniesienie ducha danego wiersza angielskiego w formy podobne a jednak swoiste udało się zdumiewająco dobrze. Wyszczególnijmy kilka takich sukcesów! Zaliczam do nich parafrazę uroczego wiersza Edmunda Blunden'a o dwóch ubogich staruszkach, co mieszkają na końcu wsi w małym domku z ładniutkim ogródkiem: tu naszemu tłumaczowi przyszły szczęśliwie z pomocą reminiscencje z polskiego wierszyka „Był sobie dziad i baba". Idąc dalej napotykamy wśród rzeczy wybitnie udałych godny przekład nieśmiertelnego wojennego sonetu poległego młodego poety Ruperta Brooke'a:

Jeżeli zginę, wiedzcie, myśląc o mnie:
Jest spłacheć ziemi kędyś w polu obcem,
Który jest Anglją. Proch drogi ogromnie,
Droższy niż ziemia, leży pod tym kopcem.
Proch, dziecię Anglji, kształt, oddech jej łona,
Co błoń jej kochał, po drogach jej chodził,
Wdychał powietrze, które wdycha ona,
W słońcu jej kąpał się i rzekach brodził.
Wiedzcie też, serce to, zła do cna zbywszy,
Tętno bijące poprzez wieczność całą,
Co z Anglji wzięło, będzie dalej słało:
Głos jej, obrazy, sen dni najszczęśliwszy,
Śmiech druhów szczery, i tę dobroć cichą,
Co w Anglji każdą zdobi miedzę lichą. [3]

---

[1] Np. doskonałego zbiorku, z którego p. Helsztyński głównie czerpał: *An Anthology of Modern Verse,* chosen by A. Methuen, with an introduction by Robert Lynd, Londyn, Methuen, 1921.

[2] P. Helsztyński zresztą nie gardzi przykładem naszych dzisiejszych poetów i dość obficie posługuje się assonansem.

[3] Tylko na dowód, jak trudno jest nawet w umiejętnym przekładzie oddać wszystkie doskonałości prawdziwie wielkiej poezji, wspomnę, że słowa „proch drogi ogromnie" nadają niepotrzebny odcień osobistej pychy wspaniałemu angielskiemu zwrotowi:

There shall be
In that rich earth a richer dust concealed.

Dalej, że w wierszu 2 tłumacz nie zdołał całkowicie zmieścić potężnych słów poety o tym spłachciu obcej ziemi, „co jest już na zawsze Anglją..."

John Davidson (1857—1909), nieszczęśliwy samobójca, poeta zapoznany za życia, a dziś rosnący w pośmiertną sławę, reprezentowany jest w zbiorku p. Helsztyńskiego przez kilka utworów, z których może najudatniej przetłumaczony jest „Stary Port" *(A Cinque Port)* z subtelną, melancholijnie senną, a trudną do oddania melodją swych rymów wewnątrz wiersza. — Z werwą przełożył p. Helsztyński wiersz L. Golding'a „Oracz przy pługu"; ale tu wyraźnie znać, że źródłem siły i trafności wyrażenia jest dziedziczny instynkt rolniczy natury polskiej. Coś z żołnierskich wspomnień znowuż zapewne pomogło do szczęśliwego przekładu wojennego wiersza R. Graves'a o oficerze, co już umierał ranny i widział się nad brzegiem letejskim z Prozerpiną i Cerberem, ale zdołał jeszcze powrócić. [1]

Do najtrudniejszych ze wszystkich należy niewątpliwie wielki Tomasz Hardy, którego lirykę niektórzy zachwyceni wielbiciele stawiają wyżej nawet od jego genjalnych, tragicznych powieści. Zdawałoby się, że cierpkość jego wyrażenia i chropowatość rytmów wraz ze zgrzytami bezlitosnej ironji tragicznej, której pełna jest jego poezja, nietrudno będzie oddać: wystarczy nie mieć daru do pisania gładkich i harmonijnych wierszy. Ale przy bliższem poznaniu tej liryki okazuje się, że między niemelodyjnością jej formy a pesymistyczną filozofją jej treści jest pierwotna i głęboka symetrja, że i tu jak w każdem dziele wielkiej sztuki forma z treścią jest w ścisłem i koniecznem skojarzeniu, i chcąc to skojarzenie odtworzyć, trzebaby się wznieść na te wyżyny, z których roztacza się cały tragiczny na świat pogląd Tomasza Hardy. Pan Helsztyński wielkiemu mistrzowi tragizmu poświęcił dość sporo miejsca: w niektórych wierszach wysilił się nawet rozmyślnie na gwałtowniejsze załamania formy rytmicznej i okrutniejsze przeskoki w dykcję nieubłaganie prozaiczną, niż je ma sam oryginał; szczęśliwszy był w innych, gdzie tragizm wyraża się nie przez owe nagłe zgrzyty, lecz jest raczej rzeczą atmosfery i nastroju, jak np. w przepięknych, a tak pełnych beznadziejnego smutku śmiertelnego wierszach „Za ostatniem światełkiem" lub „Potem". W innych jeszcze, jak wiersz wigilijny „Woły", lub wojenny „W czas gdy się rozbiły narody", źródłem ukojenia i krzepiącej ufności staje się sama odwieczna jednakowość bytu ludzkiego, jak ją najlepiej objawia życie wiejskie, i jak ją w tem wiejskiem życiu sam Hardy w swym zakątku południowo-zachodniej Anglji przez długie lat dziesiątki zamyślonem

---

.....There's some corner of a foreign field
That is for ever England.

Wreszcie, że „dobroć cicha" i „miedza licha" w ostatnich wierszach mają w sobie coś rozrzewniającego dla Polaka, ale w słowach angielskich *gentleness* i *under an English heaven* jest więcej dostojeństwa.

[1] Nie trzeba tylko było — nawet dla rymu — przeinaczać trzeciej głowy Cerbera — obok lwiej i rysiej — na głowę sowy; angielskie *sow* oznacza inne zwierzę, dla swej niechlujności słusznie nieprzyzwoitą noszące nazwę.

okiem oglądał. W ten wiekuiście niezmienny i wszędzie jednaki takt życia wiejskiego i słowo polskie uderzyć zawsze potrafi, i w tych wypadkach nasz tłumacz najlepiej może oddał ton poezji Hardy'ego. Posłuchajmy w jego przekładzie wyznania niezachwianej wiary w żywotność człowieka, na jakie wielki tragik i pesymista umiał się zdobyć w obliczu samej światowej katastrofy wojennej („W czas, gdy się rozbiły narody"):

Samotność, pustka; jeden z broną
Milczący w polu człowiek, —
Koń nogę wlecze utrudzoną,
Sen, męka patrzy z powiek.

Obłoczki dymu u legowisk
Do góry wąsko płyną
Strąci dynastje czas z stanowisk:
Obłoczki te nie zginą.

Patrz, tam, z kochankiem swym dziewczyna,
Idą, ta coś mu szepce:
Mgła dzieje wojny skryje sina,
Ich baśni wiek nie zdepce.

Prostsze niż Hardy zadania stawia tłumaczowi entuzjasta imperjalistycznego patrjotyzmu W. E. Henley, mniej od Kiplinga znany poza Anglją, choć jako poeta może wyższy natchnieniem: w przekład jego *Pieśni Miecza* p. Helsztyński umiał tchnąć coś z siły oryginału; ale akcenty tego rodzaju przedwojennej liryki są dziś bardzo a bardzo nie na czasie. Pokrewny Henley'owi duchem R. Hodgson w naszym zbiorku reprezentowany jest przez wspaniały i naprawdę doskonale oddany wiersz o sędziwym byku, co, zwyciężony przez rywala, kona i konając wspomina dni swej chwały, gdy przewodził stadu. Szkoda tylko, że wybór nie padł na potężny hymn panteistyczny tegoż Hodgsona *The Song of Honour*, jeden z najbardziej żywiołowych śpiewów religijnych nowszej literatury.

Z Kiplinga znajdujemy jego sławny *Hymn skruchy (The Recessional)*, ten majestatyczny nawet w swem ukorzeniu przed Panem rachunek sumienia mesjanistycznego imperjalizmu brytyjskiego. Tu już słowiańska rozlewność naszego języka okazuja się niezdolną do oddania lapidarnych tonów hymnu, rozmyślnie zbudowanego prawie w całości z dobitnych, jednozgłoskowych wyrazów. Ani tu ani w tym szeregu tak rdzennie męskich nauk moralnych, jakim jest sławny dydaktyczny wiersz Kiplinga *If* („Jeśli"), nie dał się pomyśleć żaden należyty odpowiednik rytmiczny w języku polskim, i nie przynosi żadnej ujmy p. Helsztyńskiemu, że takiego odpowiednika nie znalazł.

Innego rodzaju niż Kipling trudności nastręczał wielki powieściopisarz-psycholog Jerzy Meredith, którego lirykę, jak lirykę Hardy'ego, entuzjaści czasem wyżej od jego powieści stawiają. Jak z lirycznej poezji Hardy'ego ironja tragiczna często wydobywa

zgrzyty prozy, tak liryczne rytmy Mereditha w konwulsje jakieś wprawia zawiłość i natężenie analizującej myśli. I tu więc zadanie było prawie beznadziejne, widoki na powodzenie jeszcze mniejsze niż z wierszami Hardy'ego. Jak tam prostota odwiecznego bytu wiejskiego czasem natchnie jakieś małe arcydzieło liryczne, dające się w prostych słowach oddać, tak u Mereditha panteistyczna ekstaza pożycia z przyrodą w takich cyklach jak *A Reading of Earth* czasem uładziła w harmonijny korowód tłok jego subtelnych myśli. Coś z tej najwyższej prostoty zamknięte jest w kilku krótkich wierszach „Śpiewu pogrzebowego w lesie" *(Dirge in Woods)*, i w tym jednym z wybranych Mereditha wierszy nasz tłumacz polski zdołał dać nam nieco prawdziwej poezji.

Wspomniałem już przy omawianiu przedmowy o szlachetnej sztuce wielkiej poetki Alicji Meynell i jej wzniosłych metafizycznych rojeniach. Wśród przekładów znajdujemy kilka z pereł jej liryki — między innemi sławny sonet *Renouncement* i kosmiczną wizję *Chrystus we wszechświecie (Christ in the Universe)*. Zmaganie się z głębią jej myśli i nieskalanem dostojeństwem jej słowa nie mogło być uwieńczone zupełnem zwycięstwem, ale w każdym razie jest i w tych polskich przekładach coś z owej niezrównanej w swej prostocie godności moralnej, która opromienia postać i poezję pani Maynell.[1]

Daleko od tej godności do ekscentrycznych igraszek słowa i wyobraźni w głośnych dziś poezjach wspomnianego już powyżej rodzinnego *trio* Sitwell'ów — dwóch braci i siostry. Nie można powiedzieć, żeby tłumaczowi polskiemu się było udało przenieść w polskie wiersze wraz z groteskowemi dziwactwami tej trójki coś z rokokowego wdzięku i baśniarskiej fantazji ich utworów: trzebaby na to może pióra takiej naszej poetki jak Marja Pawlikowska.

Z większem powodzeniem zato — i z widocznem upodobaniem — pogrąża się nasz tłumacz w twórczość liryczną poległego na wojnie Edwarda Thomas'a. Tu jest skrajna prostota i bezpretensjonalność; krótkie przeważnie i niewyszukane w formie wiersze stawiają nam przed oczy najpowszedniejsze widoki z sielskich zakątków Anglji; nasycone są ich starym wiejskim folklorem, ich potocznem życiem roślinnem i zwierzęcem. Tutaj tłumacz, sięgając w głąb pamięci plemiennej, umiał znaleść rdzennie wiejskie odpowiedniki polskie i odtworzyć atmosferę tej codzienności, co nas w poezji Thomasa owiewa

.....wonią dymów,
Idącą z ogniska, które w polu płonie

---

[1] Szkoda tylko, że jej wiersz wojenny „Lato w Anglji r. 1914" tłumacz (może rozmyślnie) zakończył na silnym dramatycznym zwrocie: „Miłości, skryj oblicze, na plemię nie patrz to zbrodnicze", — i opuścił zwrotkę końcową, która niesie słowo mistycznej pociechy religijnej.

I perze, zielska i szkodliwe chwasty
W słodkie zamienia wonie.[1]

W przestworza mistycznych wzlotów ducha pani Meynell przenosimy się znowu w poezjach jej przyjaciela, nieszczęsnego Franciszka Thompson'a (1859—1907), który w pośmiertnej sławie urósł na prawdziwego *heros eponymos* nowoczesnej katolickiej poezji angielskie,. Niewątpliwie jest najpłomienniejszym śpiewakiem ekstazy religijnej od czasów innego wielkiego pieśniarza katolicyzmu w Anglji — Ryszarda Crashaw w XVII wieku; dzieli nawet wady tego swego genjalnego poprzednika: nadmierną jaskrawość kolorów i barokową obfitość latynizującej dykcji. W treści zaś swych mistycznych wizyj często zbliża się do fantasmagoryj poetyckich i malarskich innego swego wielkiego poprzednika-romantyka Williama Blake: jak Blake, łączy w zawrotnym locie wyobraźni urojone zaświaty z najpospolitszą rzeczywistością, gdy mówi o „drabinie Jakóbowej, rozciągniętej między niebem a ulicą Charing Cross".

Pan Helsztyński odważył się podążyć za najwyższemi uniesieniami Muzy religijnej Thompsona, przekładając jego sławny wiersz *The Hound of Heaven* („Chart gończy niebios"), w którym z „chartem gończym" śmiało porównany jest Chrystus w swym pościgu za miłością indywidualnej duszy ludzkiej. Przekład to jeden z najudatniejszych w książce; płoną w nim rzeczywiście wszystkie ognie namiętnego thompsonowskiego stylu i mknie przezeń cały wicher mistycznej pogoni:

. . . . . .
Bliżej i bliżej wciąż w pośpiechu,
W kroków niezamąconem echu
Pogoń się zbliża w pędzie, w natarczywej woli,
A ponad dźwięk niecące stopy,
Głos szybszy jeszcze woła w tropy —
„Kto mnie nie szuka, tego nic nie zadowoli".

*

Dobiegłszy kresu naszego bardzo pobieżnego przeglądu tego zbiorku przekładów, zapytujemy się o bilans. Każdy prawdziwy miłośnik poezji dobrze wie o dwóch rzeczach: po pierwsze, że poezja na poezję naprawdę przełożyć się nie da, a najmniej z wszelkiej poezji — poezja liryczna; po drugie, że każda antologja pozostawia u czytelnika niezaspokojoną tęsknotę za pewnemi ukochanemi osobiście utworami, których w niej nie znalazł. Z pod tych dwóch praw także antologja p. Helsztyńskiego przy najlepszej woli tłumacza wyłamać się nie mogła. Nawet w tych miejscach, gdzie dykcja, rytm i rym całkiem się wyzwoliły od domieszki mniej szla-

[1] Raz tylko w tym na ogół udatnym wyborze z Thomas'a powinęła się tłumaczowi noga, mianowicie gdy nieco nieokreślony krajobraz w wierszu *The Combe*, pojął jako brzegi „rzeki Combe". Otóż chodzi tu o stoki wzgórza: *combe* jest nazwą gatunkową i oznacza wzgórze.

chetnego metalu językowego, złoto wyrazu poetyckiego niezawsze dźwięczy tym samym właśnie tonem co poetyckie złoto oryginału: taka idealna harmonja jest nie do osiągnięcia, gdzie w grę wchodzą dwie różne osobistości ludzkie: często przecież najdalsze od niej bywają przekłady skądinąd znakomite, bo dokonane przez prawdziwie wybitnych poetów. Ułatwiona jest taka harmonizacja przy pokrewieństwie języków: ale gdzie mamy do czynienia z językami tak od siebie odległemi duchem i charakterem dźwiękowym i rytmem, jak angielski i polski, trudno spodziewać się cudu.

Co się tyczy drugiego punktu, t. j. doboru reprezentowanych w tomiku poetów, przyznać trzeba, że w granicach, jakie sobie wytknął — XX wiek i sama tylko Anglja — tłumacz okazał uznania godną wszechstronność w uwzględnieniu wybitnych indywidualności poetyckich najrozmaitszego pokroju. Rzeczy stosunkowo bezbarwnych i niewiele mówiących jest mało, a większych poetów angielskich (przynajmniej tych, co już są powszechnie uznani jako tacy) znajdujemy prawie wszystkich. Jako uderzające pominięcia wytknąć chyba należałoby, że nie znalazł miejsca w zbiorze A. E. Housman, który do swego przecudnego zbioru *A Shropshire Lad* z 1896 dodał w r. 1922 garść niemniej czarownych *Last Poems*, a z młodszych znany nie od wczoraj Humbert Wolfe, który niedawno przez swoje wspaniałe *Requiem* stanął w pierwszym rzędzie żyjących poetów. Że prastara ojczyzna pieśni — Irlandja — według planu tłumacza pozostała poza nawiasem, tego żałować będzie każdy, komu grają w pamięci złote melodje takich mistrzów czarodziejskiego wiersza angielskiego i czarodziejskiej celtyckiej wyobraźni jak William Butler Yeats, James Stephens i George Russell (pseudonim „A. E"). Z Irlandją razem pozostaje jakoś poza widnokręgiem i Szkocja, głównie może dzięki bezitosnemu faktowi, że Robert Louis Stevenson, równie miły liryk jak powieściopisarz, nie dożył wieku XX. Te i inne luki może wypełni druga antologja nowoczesnej liryki angielskiej, na którą chyba rychło się złożą rozrzucone po różnych pismach w ostatnich latach piękne przekłady p. Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego.

Spoglądając raz jeszcze wstecz na to, co nam dał w swym tomiku p Helsztyński, z wdzięcznością uznać musimy, że czytelnik polski dostał do rąk książkę, która znacznie pogłębia i rozszerza jego kulturę literacką, i godnie uzupełnia ten narodowy czyn wychowawczy, jakiego przed laty dokonał Kasprowicz, rzucając na nasz przedwojenny rynek swoją chrestomatję *Poeci angielscy* (1907).

Roman Dyboski

KSIĄŻKA O ŁODZI

Łódź, miasto pracy, opracował Edward Rosset. Wydawnictwo magistratu m. Łodzi. Łódź 1929

Polskiej literaturze regjonalnej przybyło cenne wydawnictwo. Jest niem praca p. E. Rosseta, naczelnika Wydziału statystycznego

magistratu m. Łodzi. Autor treściwie przedstawia nam rozwój Łodzi na tle jej położenia geograficzno-politycznego. Szerzej zaś omawia stan obecny miasta, podając obszar i ludność, fizjonomję, stan gospodarczy, zdrowotny, kulturalny i społeczny. Z całości przebija głębokie umiłowanie i przywiązanie do Łodzi u autora, niekiedy jednak zbyt jednostronne. Istotnie Łódź jest „miastem pracy", pracy znojnej i dosłownie krwawej, setek tysięcy rąk i nóg robotniczych; istotnie tak olbrzymich rzesz pracowitego a mimo to skrajnie nędznego proletarjatu nie widzi się w innych miastach czy okręgach Polski — niemniej jednak nie można nie doceniać współpracy kapitału w dzisiejszym rozwoju Łodzi i niektórych dobrych stron działalności tegoż.

Łódź dzisiejsza zajmuje obszar 5.875 ha, na którym żyje przeszło 600 tysięcy mieszkańców. Połowę ludności stanowią rzymskokatolicy, $^1/_3$ mojżeszowi, a resztę prawosławni. Pod względem narodowościowym jest niemal $^2/_3$ Polaków, a $^1/_3$ Żydów przy drobnej tylko cyfrze Niemców — $7^0/_0$. Cyfry te dowodziłyby, że naogół mamy fałszywe pojęcie o układzie stosunków w Łodzi — a przynajmniej takie pojęcie miał piszący przed przeczytaniem tej rozprawy. Pod względem zawodowym przeważa w Łodzi proletarjat, na który składa się prawie $^7{}_{10}$ czynnych zawodowo, i to w $81{\cdot}5^0/_0$ proletarjat polski. Wśród mojżeszowych jest tylko $42{\cdot}8^0/_0$ proletarjatu. Pomimo wielkiego skupienia mieszkańców Łódź nie ma charakteru wielkomiejskiego. Przeważają domy parterowe i jednopiętrowe, których jest aż $57^0/_0$ z ogólnej liczby 13.622 budynków. A nieliczne tylko „nowoczesne, wielopiętrowe domy stoją w sąsiedztwie starych, grożących zawaleniem budynków parterowych; nie należy do rzadkości sąsiedztwo pałacu potentata przemysłowego z nędzną lepianką robotniczą". Przemysł łódzki jest silnie rozwinięty. Na obszarze miasta znajdowało się 31 grudnia 1928 r. ogółem 1.202 zakładów przemysłowych, zatrudniających 112.000 robotników. Przeważnie jest to przemysł włókienniczy, silnie skoncentrowany, albowiem w zakładach przemysłowych, liczących ponad 100 robotników, pracuje blisko $80^0/_0$ ogólnej liczby robotników łódzkich. W krótkiej notatce nie sposób zaczerpnąć więcej wiadomości z tej ciekawej broszury. Zwrócimy jeszcze tylko uwagę na sprawę mieszkaniową, niesłychanie groźną dla Łodzi z wielu względów. W Łodzi jedno mieszkanie zajmuje przeciętnie sześć osób, przyczem aż $60^0/_0$ są to mieszkania jednoizbowe. W *Wiadomościach Kasy chorych m. Łodzi* ogłoszono, że sprawozdania funkcjonarjuszy kasowych, zatrudnionych w referacie kontroli, wykazują, iż $90^0/_0$ pacjentów Kasy żyje w okropnych warunkach zdrowotnych. W mieszkaniach ciemnych, brudnych gnieżdżą się niekiedy 2—3 rodziny. Choroby płucne, zwłaszcza zaś gruźlica, mogą się tu rozwijać bez żadnych przeszkód. Matka bowiem zaraża dziecko, dzieci zarażają rodziców, a wszędzie w tych siedzibach ludzkich brak jest niezbędnego dla płuc lekarstwa — słońca i powietrza. W miarę rosnącego głodu

mieszkaniowego poczęto przerabiać na mieszkania ubikacje, które dotychczas służyły jako pralnie, komórki, rupieciarnie itp. Obecne więc warunki mieszkaniowe Łodzi są ponad wszelką miarę złe.

Praca p. Rosseta jest bardzo interesująca, ułożona pracowicie i jasno. Rażą w niej tylko zbędne wyrazy obce, jak np. industrja i inkorporacja. Również wybrane zdjęcia nie mogą uchodzić za „reprezentacyjne" — statystycznie! — dla Łodzi. Ogółem wszelako rozprawa stanowi wartościowy przyczynek do ubogiego naszego piśmiennictwa opisowo-ekonomicznego.

M. J. Ziomek

ANTOLOGJA GWAROWA

Kazimierz Nitsch: *Wybór polskich tekstów gwarowych* (Lwowska bibljoteka slawistyczna, t. X) Lwów 1929, 8-o, str. XIX + 264 i mapka orjentacyjna

Najlepszy znawca i najbardziej zasłużony badacz narzeczy polskich, prof. K. Nitsch, daje w wymienionej książce slawistom, a zwłaszcza polonistom, podręcznik, którego brak szczególnie był dotkliwy. Ułatwi on w znacznej bardzo mierze bliższe poznanie polskich dialektów, będzie doskonałą ilustracją do zwięzłego opisu gwar polskich, jaki tenże sam autor pomieścił w zbiorowej *Gramatyce języka polskiego* (Kraków 1923, nakład Polskiej Akademji Umiejętności). Zbiór Nitscha — pierwszy tego rodzaju zbiór w polskiej literaturze językoznawczej — obejmuje 323 tekstów, z czego 172 nigdzie dotąd niedrukowanych. Nowe teksty przyczyniły się do tego, że już z mniej licznych stron Polski brakuje nam tekstów gwarowych, które zapoznają nas z narzeczami żywiej, aniżeli prace dialektyczne, choćby najlepiej pod względem naukowym robione. Posłuchajmy, co o tych właśnie tekstach mówi w przedmowie prof. Nitsch (str. IX—X): „Jeżeli i teraz dołączona mapka wykazuje wielkie przestrzenie kraju zupełnie puste, to jakiż byłby jej obraz bez tych nowych tekstów? Śląsk nie wyglądałby wprawdzie pusto, ale byłyby to albo próbki stare, albo dyletanckie... W Małopolsce coś podobnego byłoby z tak ważnym, nietylko dla językoznawstwa, dialektem podhalańskim, cała zaś jej część północna, w obrębie b. Królestwa... wyglądałaby jak jakaś barbarzyńska *terra ignota*. Taką nieznaną ziemią została nadal przeważna część Wielkopolski, ale zwracam uwagę, że bez nowych tekstów byłaby nią cała ta prowincja, że bez nich trzebaby było chyba poprzestać na Kolbergu! Nie o wiele lepiej byłoby... z Mazowszem bliższem, gdy Mazowsze dalsze, obok południowo-wschodniej Wielkopolski, dotąd największą jest pod tym względem na obszarze Polski tajemnicą. Wreszcie kresy wschodnie: tu po raz pierwszy udało się pokazać choćby wzory rozsianych na tych obszarach dialektów, jak się pokazało, wcale nie jednolitych, nawet na Czerwonej Rusi. Jedne tylko Kaszuby, dzięki pracom dra Lorentza nie wymagały uprzedniego starania się o teksty, tylko tu można było dla każdego typu

dialektycznego gotową mieć próbkę". Nowych wzorów dialektycznych dostarczyło prof. Nitschowi 39 autorów, jużto zawodowych językoznawców, jużto amatorów, posiadających językoznawcze wykształcenie i dokładną znajomość własnych gwar. Pociągnięcie do współpracy gromadki osób dobrej woli wydało zaiste plon obfity i ważki. Należałoby nie zaniedbywać dalszych prób w tym kierunku, a może do następnego wydania tej pożytecznej książki wypełnią się luki, o jakich autor wspomina. Teksty podane są słusznie w pisowni zapisywaczy, niekiedy nawet literackiej, lub niewiele od niej odbiegającej. Ujednostajnienie bowiem ortografji tekstów tego rodzaju okazuje się z różnych powodów przedsięwzięciem nadto ryzykownem i mogącem tekstom raczej tylko zaszkodzić. Układ tekstów opiera się w zasadzie na podstawach naukowych, wzięto jednak przytem pod uwagę względy praktyczne. Motywując go wystarczająco w przedmowie, podaje prof. Nitsch następnie krótkie charakterystyki poszczególnych obszarów gwarowych i określa cechy, na podstawie których da się w nich wydzielić mniejsze całości. Teksty wyposażył wydawca w objaśnienia znaczeniowe wyrazów i zwrotów nieznanych polskiemu językowi literackiemu, a których nie można też znaleźć w *Słowniku gwar polskich* Karłowicza. Pod względem treści przedstawiają teksty dużą rozmaitość: obok pieśni ludowych i bajek spotykamy tu listy niedołężnie pisane, a zachowujące właściwości gwarowe, dalej opowiadania, przedstawiające różne wydarzenia z życia ludowego, a nawet z życia opowiadających. Dokładne wczytanie się w umiejętnie zebrane teksty pouczy nietylko o polskim języku ludowym, ale w znacznym stopniu zapozna także czytelników z kulturą umysłową naszego ludu. Podnosi to wartość tego i tak cennego zbioru.

Witold Taszycki

UWAGI

O »LENINA« F. A. OSSENDOWSKIEGO

I

Z powodu umieszczonego w zeszycie 92 (z grudnia 1929 r.) naszego miesięcznika sprawozdania z *Lenina* p. F. A. Ossendowskiego nadsyła nam autor tej książki następujące pismo:

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeczytałem w redagowanem przez Pana piśmie ocenę mojej książki *Lenin* pióra p. Konstantego Grzybowskiego. Nie znam autora tego artykułu, więc zdanie jego o mojej pracy jest mi całkiem obojętne; nie zwykł jestem odpowiadać moim krytykom, lecz w tym wypadku muszę to uczynić, albowiem nie mogę puścić płazem lekkomyślnego oskarżenia, rzuconego mi przez autora, umieszczającego

swój elaborat w dwóch pismach naraz — w *Przeglądzie Współczesnym* i w *Dzienniku Poznańskim*.

1. Pan Grzybowski pisze, że na str. 127—8 ja kazałem Trockiemu być narzędziem Lenina w sprawie zerwania z Plechanowym, podczas gdy w rzeczywistości Trockij opowiedział się wówczas po stronie Plechanowa.

A więc biorę cytowany przez p. Grzybowskiego pamiętnik żony Lenina — Krupskiej i czytam. Żeby nie posądził mnie mój krytyk o dowolność przekładu, zacytuję to miejsce z książki *Lenin i Ghandi* pióra René Fuelloepa-Millera.

O tym okresie Fuelloep-Miller na str. 83—84 cytuje z pamiętnika Krupskiej, że Plechanow nie okazywał do Trockiego zaufania, zatem Trockij wkrótce wyjechał. Plechanow nie chciał przyjmować artykułów Trockiego: Plechanow zaprotestował przeciwko powołaniu Trockiego do składu redakcji *Iskry*. A dalej dosłownie co do Genewy:

„— Wkrótce zjawił się też i Trockij, który wobec Plechanowa bronił stanowiska Lenina; dyskusje te między Plechanowem a Trockim toczyły się najczęściej w kawiarni Landolta. Rosyjscy robotnicy oświadczali się też często za poglądami Trockiego, co Plechanowa wyprowadzało z równowagi".

Trockij w książce *Lenin* (francuskie wydanie „Librairie du travail", Paris 1925) na str. 38—40 opowiada o nieprzychylnym do niego stosunku Plechanowa i o rozłamie w redakcji *Iskry*, do czego on sam w znacznej części się przyczynił.

2. Przechodzę do następnego zarzutu, czynionego mi przez p. Grzybowskiego.

P. Grzybowski twierdzi, że na str. 187—8 piszę o tem, że Lenin niespodzianie dowiedział się o zwołaniu konferencji w Zimmerwaldzie i Kienthalu", podczas gdy były one oddzielone znacznym odstępem czasu, jedna w Zimmerwaldzie, druga — w Kienthalu, a sam Lenin nie potrzebował się „dowiadywać", gdyż sam był jednym z ich organizatorów.

Otóż ani na str. 187, ani na 188 nie piszę, że on „niespodzianie się dowiedział".

Piszę, że otrzymał list od żony o kongresie socjalistycznym w Szwajcarji.

Chociaż był to drugi duży kongres zwołany przy udziale Lenina (pierwszy był w Pradze, o czem wspominam na str. 153 mojej książki), jednak Lenin, będąc jednym z jego organizatorów, nie wiedział ściśle ani miejsca, ani daty jego, o czem wspominają socjaliści szwajcarscy Platten i Robert Grimm w listach swoich, cytowanych przez prof. Preobrażenskiego (*Istorja leninizma*, Moskwa, 1928, str. 110—111).

Naturalnie, wiem, że kongres w Zimmerwaldzie odbył się 5 do 12 września 1915 r., a w Kienthalu 5 do 9 lutego 1916 r., lecz

Zimmerwald był przedsionkiem Kienthalu i jednolitą taktyczną operacją.

Czas od 12 września 1915 r. do 5 lutego 1916 r. był nieprzerwanym okresem pracy nad przeredagowaniem i skorygowaniem rezolucji Zimmerwaldzkiej, która, przechodząc przez filtr „Berneńskiej międzynarodowej komisji socjalistycznej", doprowadziła do zwycięstwa bolszewików w Kienthalu, opracowała „program i organ światowej rewolucji", jak pisze Milukow w książce *Rosja na przełomie* (Paryż 1927, tom I, str. 55—56), używając określenia Bałabanowoj i Martowa oraz Jean Maxe'a *De Zimmerwald au Bolchevisme*, Paris, Bossard, 1920.

„Zimmerwaldzka" konferencja, jak stwierdza Zinowjew, *Dzieła*, t. I, str. 122, miała się odbyć w listopadzie 1915 r. w Bernie, lecz z powodów strategicznych została przyspieszona. Dlatego o niej pisała Krupskaja Leninowi, przebywającemu na Capri, dlatego Lenin pospieszył do Szwajcarji, dlatego piszę, że zdążył „na czas" do Zimmerwaldu i Kienthalu, bo są to dwa akty jednej i tej samej sztuki.

3. Na str. 188 piszę, że na tych kongresach Lenin założył podwaliny Trzeciej Międzynarodówki. Pan Grzybowski protestuje, zniekształcając mój tekst. Mówię o „podwalinach", nie o szumnej uroczystości proklamowania III Międzynarodówki w marcu 1919 r. Tego też zdania jest Milukow w cytowanej wyżej książce, tom I, str. 56 i włoski socjalista Serrati, który wtedy oskarżał Rosjan o dążenie do obalenia II Internacjonału i założenia „jakiegoś trzeciego" (*Protokoły Zimmerwaldskoj konferencji*, Izdatielstwo „Mołodaja Gwardja", Moskwa 1925, str. 31—38). O tem też pisze G. Zinowjew (*Lenin*, Gosudarstwennoje Izdatielstwo, Leningrad 1925, str. 35—39).

4. P. Grzybowski twierdzi, że Lenin poznał Gapona nie w Petersburgu, lecz przedtem w Szwajcarji.

Nie piszę o tem, że Lenin „poznał Gapona w Petersburgu". Opisuję spotkanie z nim w Finlandji. Nie było to pierwsze spotkanie, bo, jak pisze Zinowjew (*Lenin*, str. 86), Lenin poznał Gapona w Szwajcarji, pisze o tem też Krupskaja w broszurze *Lenin na emigracji*. Jednak nie chciałem podawać tego szczegółu w mojej powieści o Leninie. Wolałem opisać bardziej rażący przykład uderzającej amoralnej cechy charakteru Lenina w kierunku taktycznego wykorzystania zbrodniczych osobników dla swoich celów. Jest to epizod z prowokatorem Malinowskim, znajdujący się w książce mojej.

5. Na str. 161 napisałem, że Lenin przeniósł się z Krakowa do Poronina, „aby być bliżej granicy rosyjskiej". No, chyba p. Grzybowski nie wątpi, że wiem, iż Poronin leży dalej od granicy rosyjskiej, niż Kraków. Nieraz przecie siadywałem w Zakopanem u Karpowicza i Trzaski, a państwo Kasprowiczowie gościli mnie u siebie i opowiadali o Leninie.

Nie trudno było domyśleć się, że zakradł się tu jakiś błąd, lecz w każdym razie nie geograficzny.

Otóż błąd ten polega na tem, że z wyrwanego przez p. Grzybowskiego zdania wypadło jedno słowo, a mianowicie: „by być bliżej z i e l o n e j granicy rosyjskiej".

Ta „zielona" granica, szlak tak zwanych „jawok" dla rewolucjonistów, szedł nie przez Kraków, gdzie pracowała ekspozytura rosyjskiej policji politycznej, lecz przez Równe, Dubno, Lwów i Przemyśl, gdzie miały siedzibę swoją kryjówki rewolucyjne. Mógłbym nawet wymienić nazwiska tych współpracowników i pośredników rosyjskich sfer rewolucyjnych.

Nareszcie ostatni zarzut.

6. P. Grzybowski pisze na str. 193: „Ossendowski każe Kiereńskiemu być zwolennikiem formuły zimmerwaldzkiej", c o z gruntu fałszywe".

Tak nie pisałem na str. 193, panie Grzybowski!

Tam stoi wyraźnie: „podający się za zwolennika formuły zimmerwaldzkiej".

O tem Kiereńskij kilkakrotnie przed okresem dyktatury swojej wspominał w swoich mowach, twierdząc, że wszystkie burżuazyjne rządy kapitalistyczne są odpowiedzialne za wojnę, że protestuje przeciw aneksji, co stanowiło część formuły zimmerwaldzkiej. Zresztą Milukow w swojej książce wyżej cytowanej na str. 59 oraz Rodzianko (*Archiw* XVII, „Upadek imperjum") piszą: „Do bolszewików na gruncie formuły zimmerwaldzkiej zbliżone były i inne ugrupowania socjalistyczne w Rosji. Czcheidze, Ceretelli i K i e r e ń s k i j n a z y w a l i s i e b i e t e ż „zimmerwaldcami".

Listę błędów historycznych, zawartych w mojej książce *Lenin*, można, podobno, znacznie pomnożyć. Tak przynajmniej twierdzi p. Grzybowski.

Śmiem myśleć, że potrafię dowieść p. Grzybowskiemu, że znam się na historji opisywanego okresu lepiej niż on, który, dając odezwę o pamiętniku Krupskiej, tego pamiętnika w całości nie czytał, również jak i Fuelloepa Millera, a z pewnością i Valeria Marcu, nie mówiąc już o olbrzymiej ilości dzieł Lenina, Trockiego, Zinowjewa, Preobrażenskiego, Bystiańskiego, Tomskiego, Woronskiego, Kurskiego, Beli Kuna, Stuczki, Victora Guilbeau, Plattena, Grimma i t. d. i t. d.

Proszę Szanownego Pana Redaktora o łaskawe umieszczenie mojej niniejszej odpowiedzi na zarzuty p. Grzybowskiego, który w ocenie mojej książki i w przytaczaniu faktów był również wstrętnie nieścisły.

F. A. Ossendowski

II

W sprawozdaniu mojem z książki p. Ossendowskiego postawiłem tezę: książka jest pisana w ten sposób, że stanie się miłą

lekturą dla mało wybrednych i mało kulturalnych mas czytelników, w związkn z tem jednak postać bohatera książki uchwycona jest niehistorycznie, banalnie i płasko. Obok tej zasadniczej tezy poświęciłem drobny ustęp wskazaniu na pewne punkty, w których książka fałszywie przedstawia szereg faktów. P. Ossendowskiego nie dotknęła bynajmniej ogólna charakterystyka jego książki, uczuł się urażony jedynie zarzutem nieznajomości faktów, — przynajmniej do tego zarzutu ograniczył swą replikę. Zgodnie z jego stanowiskiem i ja w mej odpowiedzi ograniczę się do tego terenu.

*

P. Ossendowski broni swego zdania, jakoby Trockij stał się narzędziem Lenina w sprawie zerwania z Plechanowem. Czyni to w ten sposób, że przytacza szereg argumentów na udowodnienie faktu, że Plechanow był Trockiemu nieżyczliwy i nie okazywał Trockiemu zaufania. Miesza tu p. Ossendowski dwie różne rzeczy. Czem innem jest stanowisko Plechanowa wobec Trockiego, a czem innem stanowisko Trockiego wobec Plechanowa. Plechanow nie lubił Trockiego, mało zresztą popularnego wówczas nawet wśród swoich przyjaciół politycznych. Któż zresztą mógł lubić tego zarozumiałego młodego żydka, przybyłego świeżo z Sybiru, który sam o sobie z tej epoki po latach napisze, że nie miał pojęcia o życiu cywilizowanem. Ale czemś zupełnie innem jest fakt, jakie stanowisko zajmował Trocki. Faktem tym zaś jest, iż w chwili wybuchu ostatecznego konfliktu między Leninem a Plechanowem Trocki nie opowiedział się za Leninem, pozostał przy Plechanowie, Martowie, Zazuliczu. Omawiana również przeze mnie, a pod inspiracją Trockiego pisana książka Eastmanna jasno na str. 196—214 przedstawia i sam fakt i jego przyczyny. Temu faktowi p. Ossendowski nie przeczy.

*

P. Ossendowski wyjaśnia, iż wie, że były dwie konferencje: w Zimmerwaldzie i w Kienthalu. Dlaczegoż tedy pisze o „konferencji", nie o „konferencjach". Dlaczegoż każe się Leninowi równocześnie dowiadywać o zwołaniu obu tych konferencyj, skoro w chwili zwoływania pierwszej z nich nie było jeszcze wiadomo, czy, kiedy i gdzie odbędzie się druga. Dlaczegoż wkońcu, wiedząc, że Lenin był organizatorem tych konferencyj, nie wspomina nic o tem, lecz pisząc, „dowiedział się" — suggestjonuje czytelnika, że oto genjalnego taktyka spotyka niespodzianka, że mimo to zdążył na plac boju i zdołał odnieść zwycięstwo. Fantazja poniosła p. Ossendowskiego, stworzył sytuację efektowną i dlatego zamazał fakty, które czyniły ją prostą i pozbawioną efektów.

*

P. Ossendowski wie, że III Międzynarodówka powstała dopiero w 1919 r. Dlaczegoż pomija ten fakt, a pisząc o podwalinach

III Międzynarodówki w 1915—16 r., nie zaznacza, że idzie mu tylko o podwaliny ideowe, że idzie mu tylko o to, że już wtedy zaznaczyła się ostro różnica oddawna istniejąca między umiarkowanem a radykalnem skrzydłem II Międzynarodówki, dlaczegoż nie zaznaczy, że nie doszło jednak wtedy do oficjalnego rozłamu, do powstania odrębnej organizacji. Znowu mu potrzeba efektu: oto potężny gmach II Internacjonału rozbija nie dyktator sowiecki, lecz skromny emigrant polityczny, na długo przed obaleniem caratu i sukcesem w własnej ojczyźnie. I dla podkreślenia tego efektu znowu zamazał fakty i wprowadził w błąd czytelnika, który skądinąd nie wie dokładnie, jak się rzecz miała.

*

P. Ossendowski wie, że Lenin poznał Gapona w Szwajcarji, a nie w Finlandji, czy Petersburgu. Ale „nie chciał podawać tego szczegółu". Wolno mu było go nie podawać i przemilczeć, gdzie Lenin naprawdę Gapona poznał. Ale dlaczego podał szczegół fałszywy? „Wolał opisać... — epizod z prowokatorem Malinowskim". Ależ dla tego epizodu jest obojętne, gdzie Lenin poznał Gapona.

*

Pan Ossendowski wie, że Poronin leży dalej od granicy rosyjskiej, niż Kraków. Nie wątpię o tem, jak również nie kwestjonuję zapewnień p. Ossendowskiego, iż jadał u Karpowicza i Trzaski, a nawet u państwa Kasprowiczów. Najzupełniej jednak jest obojętnem i dla mnie i dla czytelników p. Ossendowskiego, co p. Ossendowski wie, interesuje mnie i ich tylko to, co p. Ossendowski napisał. Otóż p. Ossendowski napisał właśnie, że Poronin leży bliżej granicy rosyjskiej, niż Kraków. Ale p. Ossendowski tłumaczy, że myślał o „zielonej granicy" rosyjskiej, to jest o szlaku rewolucjonistów: Równo, Dubno, Lwów i Przemyśl. Otóż szlak ten przecinałby granicę rosyjską gdzieś w okolicy Brodów. Lenin tedy, zdaniem Ossendowskiego, przeniósł się z Krakowa do Poronina, by być bliżej Brodów. Pozostaje mi tylko jedno: poprosić czytelnika, by zbadał to przybliżenie się do zielonej granicy na mapie.

*

Pozostaje ostatnia kwestja: Stosunku Kiereńskiego do formuły zimmerwaldzkiej (nawiasem mówiąc, p. Ossendowski nigdzie nie wyjaśnia wyraźnie czytelnikowi, co to była formuła zimmerwaldzka). Nie widzę — wbrew zdaniu p. Ossendowskiego — różnicy między tem, czy Kiereński „był" zwolennikiem formuły zimmerwaldzkiej, czy też się za takiego „podawał". Jedno i drugie określenie wyraża toż samo: iż Kiereński w swej działalności politycznej deklarował, iż jest zwolennikiem formuły zimmerwaldzkiej. Otóż p. Ossendowski, jakkolwiek twierdzi to w swej książce, nie twierdzi tego z taką pewnością w swej replice. Ogranicza się do zaznaczenia, iż Kiereński w swych mowach twierdził, jakoby wszystkie burżuazyjne rządy kapitalistyczne były odpowiedzialne za wojnę

i protestował przeciw aneksji, „co stanowiło część formuły zimmerwaldzkiej". Akceptowanie części jakiejś formuły nie jest jeszcze podawaniem się za zwolennika jej całości. Tę część formuły zimmerwaldzkiej akceptowały wszystkie grupy socjalistyczne, ostatni jej punkt — o pokoju bez aneksyj — akceptował cały szereg innych czynników, choćby i pewne koła, zbliżone do Stolicy Apostolskiej. Czyżby na tej podstawie p. Ossendowski miał ochotę twierdzić, że Stolica Apostolska podawała się za zwolennika formuły zimmerwaldzkiej? Znowu pośpiech w pisaniu książki, brak ścisłości kazały p. Ossendowskiemu rzucić określenie zbyt daleko posunięte i przez to w nieznającym nieraz faktów czytelniku wywołać wręcz fałszywe wrażenie, jakoby między Leninem a Kiereńskim nie było zasadniczej różnicy, jakoby obaj byli Zimmerwaldczykami.

*

Pomijam dalsze wywody p. Ossendowskiego. Nie zajmuję się jego twierdzeniem, jakobym nie czytał książek, o których piszę, książek Krupskiej i Valeriu Marcu. Rzucanie takich twierdzeń, tak jak to czyni p. Ossendowski, to jest bez jednego słowa dowodu, kwalifikuje najlepiej jego rzetelność polemiczną. Jego zaś mało ponętne metody charakteryzują dostatecznie takie zwroty, jak (znowu gołosłowne) twierdzenie, iż jestem „wstrętnie nieścisły", iż nie może „puścić płazem" moich wywodów. Nie mam zamiaru zajmować się oceną takich manier pisarskich, które mówią same za siebie. Chcę jedynie wkońcu zająć raz jeszcze stanowisko wobec twórczości p. Ossendowskiego.

Uważam, że dzieje się krzywda zarówno p. Ossendowskiemu, jak i kulturze polskiej. Dzieje się krzywda p. Ossendowskiemu, który mógł z powodzeniem odegrać rolę np. polskiego Karola Maya — wszak tematy obu autorów i sposób ich ujęcia a nawet i stosunek twórcy do własnej osoby są częstokroć podobne. Mógł zyskać zasłużoną sławę jako autor poczytnych, nieskandalicznych i dlatego nawet pożytecznych romansów sensacyjnych. Tymczasem sklasyfikowano go inaczej. Uczyniono z niego autora, wzbogacającego polską literaturę, niemal reprezentanta światowego polskiej kultury, niemal drugiego Sienkiewicza. I tu zaczyna się krzywda polskiej kultury. Dlaczego? Niech wystarczy jeden przykład. Czytam [1] ostatnio, że w reprezentacyjnym włoskim wyborze noweli polskiej ukazują się, na kartach tej samej książki, na której widnieją bohaterskie, na zawsze dumą narodu będące słowa Stefana Żeromskiego — nowele p. Ossendowskiego. Czytam, jak wielki pisarz włoski, Papini, uproszony o poprzedzenie książki wstępem, w pozornie naiwny, wyrafinowanie złośliwy w istocie sposób nazwał autora tych nowel „żurnalistą pełnym fantazji". Nie mam nic do dodania do tej charakterystyki. *Konstanty Grzybowski*

[1] Patrz „Polonika włoskie" w poprzednim zeszycie *Przeglądu Współcz.*

PAWEŁ DE REUL

Urodzony w 1871 r., podwójny doktor fakultetu prawnego i fakultetu humanistycznego, od lat zgórą dwudziestu pięciu profesor uniwersytetu w Brukseli, Paweł de Reul na wszechnicy stołecznego miasta Belgji reprezentuje filologję angielską. W pierwszym okresie swej naukowej twórczości zajmował się głównie zagadnieniami językoznawczemi, jak o tem świadczą m. i. następujące książki i rozprawy: *The Language of Caxton's „Reynard the Fox": A Study in historical English Syntax* (London, Swan and Sonnenschein, 1901), *Les Lois phonétiques* (1899, z krytyką niektórych przesadnych tez t. zw. szkoły neo-gramatyków), *Le Point de vue sociologique dans l'histoire de langage* (1902) i inne.

Z zakresu historji i krytyki literackiej wypada zanotować znaczną ilość studjów prof. de Reul'a, omawiających angielskich pisarzy takich, jak Szekspir, Wordsworth, Coleridge, Byron, Keats. Ruskin. Prace te wyjdą niebawem po raz wtóry w przygotowanym przez autora zbiorowym tomie „Szkiców literackich".

Głównem dziełem belgijskiego filologa jest obszerna monografja: *L'Oeuvre de Swinburne* (Bruxelles 1922, éd. Robert Sand, 502 stron).[1] W przygotowaniu książka: *Lawrence Sterne,* a w druku: *L'Art et la Pensée de Robert Browning* (Bruxelles, Lamertin, ponad pięćset stron). Z książki tej ogłaszamy w niniejszym zeszycie *Przeglądu* rozdział wstępny, łaskawie przesłany nam przez profesora de Reul'a.

O uznaniu, jakiem w krajach anglosaskich cieszy się wiedza belgijskiego uczonego, świadczy fakt, że prof. de Reul, na zaproszenie kół uniwersyteckich, wykładał kilkakrotnie w różnych miastach Stanów Zjednoczonych, w wszechnicy londyńskiej oraz w angielskiej „Royal Society of English Literature".

St. W.

JUBILEUSZ PREZYDENTA T. G. MASARYKA

W kwietniowym zeszycie naszego miesięcznika ukaże się obszerniejszy artykuł pióra p. Henryka Batowskiego p. t.: „T. G. Masaryk a Polska".

---

[1] Znamiennym objawem jest stosunkowo bardzo znaczne zainteresowanie się twórczością Swinburne'a ze strony francuskich i włoskich anglistów. W 1928 r. ogłosił G. Lafourcade olbrzymie dwa tomy, poświęcone li tylko młodości (1837—1867) angielskiego poety *(La Jeunesse de Swinburne,* Publications de l'Université de Strasbourg, tom I stron 272, tom II stron 620). W dziele (zreferowanem obszernie przez prof. de Reul'a w *Revue belge de philologie et d'histoire,* tom VIII, 1929, str. 222—230) francuski doktorand z całą otwartością i przy pomocy obfitych dokumentów oświetla psychopatologiczne podłoże „sadystycznych" tendencyj liryki Swinburne'a. O tym samym temacie pisze włoski anglista, Mario Praz w świeżo nadesłanym mi zeszycie miesięcznika: *La Cultura* (IX, styczeń 1930, str. 11 n.: „Swinburniana" z charakterystyczną „Nota sul tipo letterario dell' Inglese sadico").

TREŚĆ

TOMU XXXII (1930)

PRZEGLĄDU WSPÓŁCZESNEGO

NR 93 (STYCZEŃ)

TADEUSZ SZYDŁOWSKI . . .	*Pamięci Jacka Malczewskiego* . .	3
ADAM HEYDEL	*Ze wspomnień o Jacku Malczewskim*	12
EUGENJUSZ WAWRZKOWICZ .	*Konwencja gen. Alvenslebena 1863 r.*	26
S. S.	*Międzynarodowa współpraca w Lidze Narodów*	45
ROMAN DYBOSKI	*Międzynarodowy Kongres oświatowy w Cambridge (22—29 sierpnia 1929 r.)*	52
ROMAN GRODECKI	*Zagadnienie feudalizmu w Polsce* .	83
KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI .	*Czy Polska może i powinna mieć aktywny bilans handlowy?* . .	101

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Georges Benjamin Clemenceau *(Konstanty Grzybowski)*, 117; Kronika zagraniczna *(H. Dembiński)*, 120; Kronika wewnętrzna *(Konstanty Grzybowski)*, 127. — Życie umysłowe zagranicą: Z literatury niemieckiej o wielkiej wojnie *(Zygmunt Wojciechowski)*, 130. — Nowe wydawnictwa: Ze studjów Boya-Żeleńskiego *(Manfred Kridl)*, 141; Nowe poezje polskie *(K. W. Zawodziński)*, 149; O Leninie *(Konstanty Grzybowski)*, 154; Z językoznawstwa polskiego *(Witold Taszycki)*, 158.

NR 94 (LUTY)

WITOLD KLINGER	*Tadeusz Zieliński*	161
KONSTANTY GRZYBOWSKI . .	*Od dyktatury ku kompromisowi konstytucyjnemu*	173
ALEKSANDER BRÜCKNER . .	*Od pogaństwa do chrześcijaństwa* .	180
ZYGMUNT ZBORUCKI . . . :	*Emigracja francuska w Polsce w latach 1791—1805*	216
MARJAN JEDLICKI	*Z życia politycznego współczesnej Holandji*	235
KAROL L. KONIŃSKI	*Dialektyka nacjonalizmu*	253

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Kronika zagraniczna *(H. Dembiński)*, 287; Kronika ekonomiczna *(Leon Oberlender)*, 292. — Obcy o Polsce: Polonika włoskie *(Roman Pollak)*, 296. — Nowe wydawnictwa: Nowe poezje polskie *(K. W. Zawodziński)*, 311; Z literatury o stosunkach międzynarodowych *(M. St. Korowicz, K. Grz.)*, 316; „Prace etnologiczne" *(W. T.)*, 319.

NR 95 (MARZEC)

PAWEŁ DE REUL . . . . . *Robert Browning* 321
STEFAN SCHMIDT . . . . . *Kryzys rolny* 381
ROMAN DYBOSKI . . . . . *O demokracji amerykańskiej* . . . 361
MIECZYSŁAW KAHANY . . . *Syjonizm, jego cele i jego trudności* 383
STANISŁAW OSSOWSKI . . . *Z Północnej Afryki* 409
ALEKSANDER BREGMAN . . . *Wielkie mocarstwa a Liga Narodów* 421
ADAM ŁYSAKOWSKI . . . . *Przykład nowoczesnej organizacji bibljotecznej* 442
JAN JAKUBOWSKI . . . . . *Język polski w Kowieńszczyźnie* . 450

PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:

Kroniki: Kronika zagraniczna *(Henryk Dembiński)*, 457. — Nowe wydawnictwa: Współczesna liryka angielska w szacie polskiej *(Roman Dyboski)*, 464; Książka o Łodzi *(M. J. Ziomek)*, 472; Antologja gwarowa *(Witold Taszycki)*, 474. — Uwagi: O „Lenina" F. A. Ossendowskiego *(Konstanty Grzybowski)*, 475; Paweł de Reul *(St. W.)*, 482; Jubileusz Prezydenta T. G. Masaryka, 482.

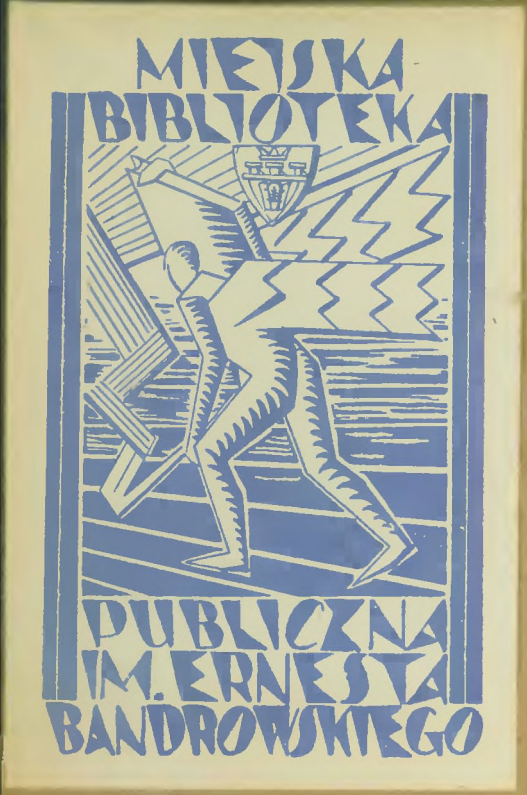
MIEJSKA
BIBLIOTEKA
PUBLICZNA
IM. ERNESTA
BANDROWSKIEGO

PRZEGLĄD WSPÓŁCZESNY

MIESIĘCZNIK POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA WĘDKIEWICZA
PROF. UNIW. JAGIELL.

45

ROK IX — TOM XXXII
(STYCZEŃ — MARZEC 1903) 1930

WYDAWCY:
DR STAN. BADENI i KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
KRAKÓW 1930